

Bertrice
Small

Niewinna

Prolog
Dzieciństwo

Anglia 1143

- Chcę do mamy! - Dziewczynka usiłowała się wyrwać z ramion trzymającej ją zakonnicy. - Mamo! Chcę do mojej mamy!

- Cichutko, Elf! - uspokajał ją łagodnie starszy brat.

Miał wątpliwości, czy słusznie postępuje, lecz chyba de Warenne'owie mieli rację. Nie może samotnie wychowywać pięcioletniej siostry, a zmuszanie Isleen do opieki nad Eleanore nie byłoby w porządku. Chociaż... Bogiem a prawdą, zdarzało się, że na barki młodych żon spadały znacznie cięższe obowiązki.

- Dickon! - szlochała dziewczynka. - Chcę do domu! Chcę wracać do mamy i Idy! - Jej małą buzię w kształcie serca wykrzywiały żal i strach. Z dużych, błyszczących od płaczu szaroniebieskich oczu toczyły się łzy na różane policzki.

Richardowi de Montfort po raz kolejny serce ścisnęło się z rozpacz, ale zachował kamienną twarz.

- Posłuchaj, Elf - zwrócił się surowym tonem do swej małej siostrzyczki. - Wiesz, że mama nie żyje. Trwa wojna, a ja nie potrafię sam się zająć twoim wychowaniem. Przecież dzisiaj wszystko omówiliśmy. W St. Friedeswide będziesz bezpieczna. Teraz tu właśnie jest twój dom.

- Pożegnaj się z bratem, Eleanore. - Eunice, matka przełożona, pogładziła dziewczynkę, po czym zwróciła się do młodej zakonnicy:

- Sostro Cuthbert, proszę zabrać dziewczynkę do jej nowych towarzyszek - poleciła. - Im dłużej będziemy zwlekać, tym gorzej dla niej.

- *Adieu*, siostrzyczko - powiedział Richard de Montfort i pocałował ją w czubek płowozłotej główki.

Elf spojrzała na niego. Nie mogła wydobyć słowa. Po chwili na nowo zaniosła się płaczem, a kiedy siostra Cuthbert energicznym krokiem weszła w klasztorną bramę, niosąc ją, rozszlochaną, na rękach, zawołała jeden jedyny raz:

- Dickon!

Richard de Montfort wyglądał tak, jakby sam się miał lada chwila rozpłakać, więc matka Eunice pocieszającym gestem położyła mu dłoń na ramieniu.

- Pierwszy dzień jest zawsze trudny dla tych maleństw - powiedziała. - Zaopiekujemy się panienką Eleanore, mój lordzie.

- Elf - odrzekł. - Wołamy na nią Elf. Być może łatwiej się tu zadomowi, jeżeli przez jakiś czas będą ją siostry tak nazywać. Nasza matka odeszła, sam jeden nie potrafiłbym wychować Elf. Naprawdę, nie umiałbym, matko przełożona!

- Mój panie, to oczywiste. Proszę się nie zadreczać. Obecnie mamy pod opieką kilka małych dziewczynek. Jedna z nich jest w wieku pańskiej siostry. Przybyła do nas, kiedy miała trzy lata. Inna panienska jest o rok starsza od Eleanore... od Elf. - Uśmiechnęła się do niego. - Panie, myślę, że niedługo przyjdzie czas składać gratulacje z okazji ożenku. - Uspokoiwszy go, zręcznie skierowała rozmowę na inny temat.

- Panna Isleen nie jest jeszcze gotowa do zamażpójścia, ale jej matka zapewnia mnie, że najdalej za rok będziemy mogli się pobrać - odparł.

Dziwiło go, że ktokolwiek może sądzić, iż dziewczyna tak zmysłowa jak Isleen nie dojrzała do małżeństwa, ale nie zamierzał kwestionować zdania lady de Warenne.

Zakonnica była równie zdumiona jak on, lecz nie dała tego po sobie poznać. Isleen de Warenne przebywała w St. Friedeswide przez rok i przełożona nigdy dotąd nie miała do czynienia z młodą panną, która byłaby równie zainteresowana sprawami ciała jak Isleen. Cały zakon odetchnął z ulgą, kiedy opuściła klasztor. Z jej pobytu wynikły jednak pewne korzyści. De Warenne'owie okazali się hojni, no i dzięki ich rekomendacji mała Eleanore de Montfort razem ze swym wianem trafiła do St. Friedeswide.

- Jestem pewna, że lady de Warenne wie, co jest dobre dla

córki, lordzie Montfort. A teraz muszę pożegnać cię, panie. Radziłabym wstrzymać się z odwiedzinami u siostry przez kilka miesięcy. Przez ten czas dziewczynka zdąży przywyknąć do swego nowego życia. Jeżeli to możliwe, proszę przyjechać w listopadzie, w dzień świętego Marcina. Będiesz, panie, mile widzianym gościem.

Przełożona skinęła głową i odwróciwszy się, z godnością weszła w bramę klasztoru. Wrota zamknęły się powoli, szczęknęła zasuwa.

Richard de Montfort dosiadł jabłkowitego ogiera i skierował się w drogę powrotną do Ashlinu, swej rodzinnej posiadłości, oddalonej o osiem mil od klasztoru. Jechał bez eskorty, co w tych burzliwych czasach było przedsięwzięciem raczej niebezpiecznym. Ponieważ jednak ostatnio w okolicach Ashlinu panował spokój, postanowił zaryzykować samotną jazdę. Nie chciał się z nikim dzielić tymi ostatnimi chwilami z Elf. Bardzo kochał swoją małą siostrzyczkę. Kiedy ich ojciec zginął podczas walk toczonych przez króla Stephena z księżniczką Matildą, córką zmarłego króla Henryka, Richard miał jedenaście lat. Pod okiem matki nauczył się zarządzać majątkiem. Małeńka Elf stawiała wtedy pierwsze kroki; nigdy nie miała poznać wspaniałego człowieka, jakim był jej ojciec.

Na szczęście Ashlin nie był dużą posiadłością i nie miał strategicznego znaczenia, więc nie groziło mu przejęcie przez któregoś z potężnych baronów. Żyło się w nim w miarę dostatnio dzięki hodowli owiec, których doglądali pańszczyźniani chłopci pospołu z wyzwolencami. Ręk do pracy było pod dostatkiem. Podstawową sprawą w Ashlinie była troska o przetrwanie. Dwór z kamiennych ciosów, wzniesiony na wzgórzu, otaczała niewielka fosa. Wzdłuż niej tłoczyły się owczarnie, zabudowania gospodarze i chłopskie chaty. Niestety, mały kamienny kościółek uległ częściowo zniszczeniu. Całą posiadłość otaczał mur, którego zadaniem było chronić mieszkańców majątku przed napadami Walijszyków zapuszczających się w te okolice w poszukiwaniu łupów. Owce pasły się na pobliskich wzgórzach, u stóp których rozciągały się pola, gdzie na zmianę uprawiano owies, groch, jęczmień i pszenicę.

Matka Richarda bardzo głęboko przeżyła utratę męża; byli szczerze kochającym się małżeństwem, więc kiedy go za-

brakło, jej życie straciło sens. Ashlin stał na pustkowiu, Anglia była rozdarta wojną domową; nie widywali nikogo oprócz co odważniejszych misjonarzy, którzy z rzadka zapuszczali się na te odległe tereny, ufni, że głęboka wiara ochroni ich przed niebezpieczeństwem. Adeliza de Montfront trwała przy życiu dopóty, dopóki to było możliwe, ucząc syna wszystkiego, co powinien wiedzieć o zarządzaniu posiadłością. Stary Fulk, adiutant ojca i towarzysz broni, dawał mu lekcje wojennej sztuki. Była jeszcze Elf. Richard czerpał z jej obecności ogromną radość. Dziewczynka miała pogodne usposobienie i wrażliwą naturę. Kiedy pod koniec dnia zasiadał znużony przed kominkiem w dużej izbie, Elf wdrapywała mu się na kolana i gładząc go po twarzy pulchną rączką, radośnie szczebiotała w swym dziecinnym języku. Och, jak bardzo ją kochał!

Nagle zeszłej jesieni matka podupała na zdrowiu. Richard był już mężczyzną; potrafił zarządzać Ashlinem. Adeliza de Montfort była tego pewna. Natomiast nadal bała się o los córki, ale nie potrafiła dłużej znosić swego jałowego życia. Któregoś ranka znaleziono ją w łóżku martwą, z uśmiechem ulgi na twarzy. Zrzędzeniem losu dzień wcześniej zatrzymał się u nich wędrowny zakonnik. Wyprawił duszę Adelizy de Montfort na tamten świat, pomógł pogrzebać ciało, po czym ruszył w dalszą drogę. Następnym miejscem, gdzie dwa dni później znalazł schronienie, była posiadłość Hugh de Warrenne'a. Baron Hugh z zainteresowaniem przyjął wiadomość, że Richard de Montfort i jego siostra zostali teraz zupełnie sami na świecie.

Hugh de Warrenne bardzo szybko dotarł do Richarda de Montforta i zaproponował mu małżeństwo ze swą córką. Młody pan na Ashlinie zgodził się rozważyć jego propozycję. Baron zaprosił go do swej rezydencji, więc Richard zostawił Elf pod opieką niani i udał się z wizytą. Wystarczyło jedno spojrzenie na Isleen de Warrenne i Richard przepadł. Była najcudowniejszym stworzeniem, jakie w życiu widział. Miała długie, jedwabiste włosy w kolorze szczerzego złota i lśniące niebieskie oczy. Uderzyła go nie tylko uroda dziewczyny. Było w niej coś takiego, co obudziło w nim dziką żądzę. Wysublimowana zmysłowość w jej ruchach i w głosie sprawiła, że aby ją zdobyć, był gotów udać się do piekła i z powrotem.

Ustalono wstępne warunki małżeństwa. Richard de Mont-

fort miał poślubić Isleen de Warenne, kiedy dziewczyna rozkwitnie. Do tego czasu powinien rozważyć pewien problem. Rodzina oznajmiła, że młodej żonie niezręcznie będzie wprowadzić się do domu, w którym mieszka inna młoda osobka płci żeńskiej o tej samej, co ona, pozycji. Nie należy się również spodziewać, że Isleen zajmie się wychowaniem małej dziewczynki, która nie jest jej córką, mimo że tego rodzaju sytuacji wcale nie należały do rzadkości. Richard de Montfort starał się wytłumaczyć de Warenne'om, że jego siostra nie będzie ciężarem, bo zajmuje się nią jej piastunka Ida. Oni jednak pozostali nieugięci - należy znaleźć jakiś dom dla dziewczynki. Nie okazali przy tym chęci, by przyjąć ją pod swój dach jako przybrani rodzice, aby ułatwić w ten sposób małżeństwo córki. Richard zasugerował, żeby zaręczyć jego siostrę z jednym z synów de Warenne'ów, ale baron Hugh oznajmił, że wszyscy jego synowie mają już zaplanowane małżeństwa.

I wtedy Maude de Warenne zaproponowała, aby umieścić Elf w klasztorze St. Friedeswide.

- Nie możesz jej sam wychowywać - z uśmiechem łagodnie tłumaczyła przyszłemu zięciowi. - I nie przystoi, by dziewczynka mieszkała z wami, kiedy poślubisz Isleen. W St. Friedeswide mieści się zakon sióstr Świętej Marii Dziewicy. Siostry przyjmują młode dziewczęta, zarabiając w ten sposób na utrzymanie klasztoru. Zakonnice kształcą je i przygotowują do małżeństwa. Przecież Isleen też przebywała tam przez jakiś czas. Niektóre panienki są przysposobiane do służby Bogu. Czy nie uważasz, Richardzie, że to byłoby dobre rozwiązanie dla twojej siostry? Umieszczając ją w St. Friedeswide, zapewnisz jej przyszłość. Jestem pewna, że będzie tam szczęśliwa i bezpieczna.

- No i - wtrącił baron Hugh - siostry wezmą połowę wiana, które musiałybyś przeznaczyć dla Elf w przypadku zamążpójścia. Mój chłopcze, to dobre, a zarazem praktyczne rozwiązanie. Co o tym myślisz?

- Uwielbiałam St. Friedeswide - odezwała się Isleen melodyjnym głosem, w którym dźwięczał śmiech. - My, dziewczęta, świetnie się tam bawiłyśmy, a siostry są bardzo dobre. Richardzie... *m'amour* - przymilała się jak kotka.

Dotknęła swą piękną dłońią jego rękawa.

- Twoja siostra będzie tam równie szczęśliwa jak ja, kiedy zostanę twoją żoną, jeśli, oczywiście, porozumiesz się z papą. - Drobne, perłowobiałe zęby Isleen błysnęły, a ciemno-złote rzęsy musnęły blade policzki, kiedy na jedną małą chwilę zacisnęła palce na jego ramieniu. - Richardzie, proszę - wymruczała cicho.

Oczywiście, że się zgodził, bo musiał zdobyć Isleen. Odkąd ją ujrzał, wiedział, że nie mógłby być szczęśliwy z żadną inną kobietą. Jednak nie postąpił zgodnie z sugestią przyszłego teścia, by oddać klasztorowi tylko połowę wiana Elf. Po jej narodzinach ojciec przeznaczył dla niej pewną sumę i Richard de Montfort czuł, że rodzice potępialiby go z za grobu, gdyby uszczuplił posag siostry. A ponieważ ani Isleen, ani jej rodzina nie znali kwoty, nie mogło dojść do sporów na ten temat.

Pierwszego maja Elf skończyła pięć lat i teraz, miesiąc po jej urodzinach, Richard de Montfort wracał do domu sam z klasztoru St. Friedeswide, pogrążony w głębokim smutku.

Stara Ida wybuchnęła płaczem, kiedy poinformował ją o swej decyzji. Padła na kolana i błagała go, by nie oddawał Elf. Kim jest kobieta, którą zamierza poślubić - pytała - skoro domaga się, by usunąć dziecko z domu? Z początku pocieszał starą nianię, która piastowała jego ojca, a później zajmowała się nim i jego siostrą, lecz Ida nie dała się uspokoić, więc w końcu wpadł w gniew i przypomniał jej, że jest tylko służącą. Staruszka pozbierała się z klęczek, ignorując jego wyciągniętą dłoń, i ciskając gromy oczyma, sztywnym krokiem wyszła z komnaty. Od tamtego czasu nie odezwała się do niego słowem. Było mu przykro, ale nie pozwoli krytykować Isleen. Kiedy jego przyszła żona obdarzy go synem, stara Ida otrząśnie się z żalu i z radością zajmie się maleństwem. Szybko zapomni o gniewie z powodu Elf. Nie ma wyboru. Żadne z nich go nie ma. Isleen musi być szczęśliwa w Ashlinie, a on zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby jego przyszła żona była zadowolona.

Część I
Nowicjat
Anglia 1152

1

Ze wzniesienia, na którym stał klasztor St. Friedeswide, roztaczał się piękny widok na okolice Herefordu i na Walię, częściowo przesłoniętą wzgórzami. W południowej części otoczonego wysokimi murami dziedzińca w kształcie kwadratu znajdował się kościół. Cztery dyskretnie osłonięte ścieżki łączyły go z refektarzem, w którym zakonnice i dziewczęta spożywały posiłki, kapitularzem, gdzie siostry przyjmowały gości i zajmowały się pracami administracyjnymi, oraz dormitorium. Klasztor miał również osobne miejsca do nauki dla zakonnice oraz dla wychowanek, kuchnię, piekarnię i browar. St. Friedeswide, choć niewielki, miał własny spichlerz, oborę, kurnik, gołębnik, a także infirmerię. Na terenie urządzono również warsztat, gdzie zakonnice wykonywały ozdobne przedmioty z metalu, pracownię, w której zdołały manuskrypty, oraz herbarium.

Dni w klasztorze upływały według starannie wyznaczonego porządku. O północy odmawiano jutrznię, pierwszą modlitwę z oficjum brewiarza, a niedługo po niej laudę. Wtedy dopiero zakonnice udawały się na spoczynek. W miesiącach letnich primę odmawiano o szóstej, a w zimie, gdy było ciemno, o godzinie siódmej. Wychowanki uczestniczyły w niej wraz z siostrami, by później wspólnie z nimi spożyć śniadanie złożone z owsianki i kromki chleba z masłem. Zakonnice dostawały dodatkowo mały kubek jabłeczniczka albo piwa. Następnie dziewczynki wracały do dormitorium, słały łóżka, zamiatwały podłogę, opróżniały pojemnik pełniący rolę wspólnego nocnika i wietrzyły sypialnie.

W tym czasie siostry gromadziły się w kapitularzu. Omawiano tam sprawy związane z gospodarowaniem, wydawano

zarządzenia, jeżeli akurat zachodziła taka potrzeba, czytano listy, no i wymierzano kary tym zakonnicom, które na nie zasłużyły. O dziewiątej odmawiano tercję. Po niej siostry udawały się do swych codziennych obowiązków. Jedne zajmowały się nauczaniem i wdrażaniem dziewczynek do prac domowych, inne udawały się do pracowni, by zdobić manuskrypty kunsztownymi ornamentami lub wykonywać proste, a jednocześnie piękne przedmioty z metalu. Część sióstr pracowała w pocie czoła na farmie, zajmując się stadem owiec oraz mniejszym stadkiem bydła, oporządzając świnie i karmiąc drób. W modlitwie południowej, sekście, a także w nonie o trzeciej po południu i nieszporach o czwartej brały udział tylko te zakonnice, które o tej porze były wolne.

Tymczasem dziewczęta od śniadania do piątej po południu odbywały lekcje. Uczyły się pisać i czytać oraz prowadzić proste rachunki. Poznawały łacinę, a także angielski i francuski, bo chociaż w tym czasie obu tych języków używano w Anglii, nie wszystkie wychowanki potrafiły się nimi posługiwać, gdy przybywały do St. Friedeswide. Dziewczynki, które miały zostać w zakonie, uczono haftu i tkania gobelinów, a bardziej utalentowane wprowadzano w tajniki pisania i zdobienia manuskryptów. Jeżeli któraś z dziewcząt wykazywała zdolności administracyjne, uczono ją zarządzania klasztorem i nadzorowania jego dóbr, tak by mogła zastąpić matkę przełożoną pod jej nieobecność lub w czasie choroby. Wszystkie przyszłe zakonnice zapoznawały się ze sztuką leczenia.

Panienci, których przeznaczeniem było małżeństwo, kształcono w nieco odmienny sposób, ucząc je gry na instrumentach i haftu, a także nadzorowania prac kuchennych. Zdobywały takie umiejętności, jak gotowanie oraz zaprawianie i solenie żywności na zimę. Musiały również wiedzieć, jak sporządzić mydło do mycia oraz do prania. Zdobywały wiedzę o zarządzaniu majątkiem, tak by pod nieobecność męża przejąć jego obowiązki, a także uczyły się pielęgnować chorych i opatrywać rany.

Elf, choć z początku wystraszona i samotna, szybko przywykła do życia w St. Friedeswide. Siostra Cuthbert, zakonnica, która odebrała ją z ramion brata i zaniósła do klasztoru, była osobą niezwyklej dobroci. To właśnie do niej należała opieka nad sześcioma małymi dziewczynkami, które akurat

przebywały w klasztorze. Pulchna siostrzyczka miała okrągłą, rumianą twarz o łagodnych piwnych oczach, w których zazwyczaj błyskały wesołe ogniki. Rozumiała smutek swej najnowszej wychowanki, ale nie pozwalała jej pogрузić się w rozpacz. Energicznym krokiem weszła do dormitorium i posadziła Elf na podłodze.

- To tu będziesz mieszkać ze swoimi nowymi koleżankami - oznajmiła pogodnym tonem. - Chodźcie, panienki, poznajcie Eleanore de Montfort, czyli Elf. Elf ma pięć lat.

- Nie wygląda na tyle - zauważyła największa z dziewczynek. - Jest taka drobna. Matilda Fritz William ma pięć lat, ale jest o wiele wyższa.

- Jestem większa od Isabeaux St. Simon, a ona ma sześć lat - pochwaliła się Matilda, spoglądając zadziornie na koleżankę, która nie dość, że starsza, w dodatku była córką hrabiego. - Natura każdego z nas inaczej wyposaża - dodała filozoficznie i wyciągnęła rękę do Elf. - Możesz mnie nazywać Matti, bo zostaniemy przyjaciółkami, maleńka Elf. - Matilda miała okrągłe niebieskie oczy i słomkowe warkoczyki.

Elf przyglądała się pozostałym dziewczynkom zza fałd habitu siostry Cuthbert.

- Skończyłam pięć lat w święto Matki Boskiej - oznajmiła z naciskiem, jakby chciała w ten sposób uwiarygodnić owo wydarzenie. - A wołają na mnie Elf, bo jestem taka mała. Mój brat to wymyślił.

- A ja mam sześciu braci - powiedziała Matti. - I dlatego wysłano mnie do St. Friedeswide, żebym została zakonnica. Nie starczyło pieniędzy dla mnie na posag. Przyjechałam tu, kiedy miałam trzy lata, a moja mamusia umarła przy narodzinach najmłodszego braciszka. Spodoba ci się tu. Czy ty także zostaniesz zakonnica?

- Nie wiem - odparła Elf.

- Tak, Elf będzie zakonnica - potwierdziła siostra Cuthbert. - No, Matti, masz teraz kogoś, kto się będzie uczył tego samego, co ty, moje dziecko.

- Ona nie umie tyle, co my - obruszyła się córka hrabiego.

- Oczywiście, że nie - zgodziła się siostra Cuthbert, uśmiechając się pogodnie. - Jest nowa i najmłodsza z was wszystkich, ale wierzę, że Elf polubi lekcje i szybko was dogoni. Irmagarde, nie możesz oczekiwać, że Elf wie tyle, co ty. Przecież

jesteś tu z nami od czterech lat. O ile dobrze pamiętam, jako sześciolatka nic nie potrafiłaś. A Elf ma zaledwie pięć lat.

Dobra siostra Cuthbert nie dodała, że sądzi, iż Elf szybko przegoni Irmagarde w nauce.

Irmagarde Bouvier opuściła klasztor trzy lata później, aby wyjść za starszego od siebie rycerza. Miała zostać jego trzecią żoną i matkować dzieciom z jego poprzednich małżeństw, starszym od niej. Zanim jednak do tego doszło, Elf rzeczywiście wyprzedziła Irmagarde w zdobywaniu umiejętności.

- Nie była najbłyskotliwszą z dziewcząt. - Siostra Cuthbert podsumowała zwięźle Irmagarde, kiedy ta wyjechała z klasztoru, dumna ze swej dojrzałości do zamęścia.

Poza murami klasztoru toczyła się wojna. W 1139 roku księżniczka Matilda najechała Anglię. W roku 1141 jej wojska wzięły w niewolę króla Stephena i wtedy córka Henryka I, a wnuczka Wilhelma Zdobywcy, wkroczyła do Londynu. Pewna siebie księżniczka z miejsca nałożyła na ludność drakońskie podatki. Wygnała ją z Londynu żona Stephena, również Matilda. W końcu, w 1147 roku, córka Henryka I na dobre opuściła Anglię. Na tronie zasiadł jej syn, Henryk Plantagenet, sukcesor prowincji Anjou i Poitu oraz władca Akwitanii dzięki małżeństwu z Alienor, która wniosła mu ją w wianie.

W roku 1152 Elf skończyła czternaście lat. Odbywała nowicjat w St. Friedeswide. Jej śluby zakonne zaplanowano na dwudziestego drugiego czerwca tego roku. W tym dniu obchodzono święto pierwszego męczennika Anglii i Elf postanowiła przybrać jego imię. Miała odtąd być siostrą Alban. Jej najlepsza przyjaciółka, Matti, która składała śluby razem z nią, postanowiła zostać siostrą Columbą. Z kolei Isabeaux St. Simon, druga serdeczna koleżanka, wychodziła jesienią za mąż, więc pod koniec lata miała wyjechać z St. Friedeswide i powrócić do swego domu w pobliżu Worcester.

Pewnego popołudnia, późną wiosną, trzy dziewczęta siedziały razem na zboczach wzgórza, pilnując pasących się owiec. Elf i Matti były ubrane w szare habity nowicjuszek, natomiast Isa narzuciła czerwoną tunikę na ciemnoniebieską spódnicę.

- Elf, nie mogę uwierzyć - odezwała się Isa - że zetną ci

włosy. Matko Boska, jak ja ci ich zawsze zazdrościłam! - Pogładziła Elf po długich, płowozłotych puklach. To okropne!

- Próżność nie przystoi oblubienicy Jezusa - odezwała się łagodnie Elf.

- Wcale nie jesteś próżna! - zaprotestowała Isa. - Wielka szkoda, że nie możesz wyjść za mąż. Założę się, że znalazłby się jakiś dobrze urodzony kawaler, który by cię wziął mimo skromnego posagu. I mnie, i Matti daleko do twojej urody. - Westchnęła. - Szkoda, że będziemy musiały się rozstać za kilka miesięcy. Ja tyle się nawyrzekałam na klasztor, ale prawdę mówiąc, nieźle się tu bawiłyśmy przez te wszystkie lata, no nie?

- Miałyśmy nasze małe przygody - zarechotała Matti.

- Dopust boży z tymi waszymi przygodami! - uśmiechnęła się Elf. - Bez przerwy musiałam czuwać, żebyście się nie wpakowały w tarapaty. Naprawdę, Matti, czas się zmienić.

- Matka przełożona dobrze wie, ile trudu mnie to będzie kosztować - odparła Matti. - Dlatego mam zamiar zostać przy siostrze Cuthbert i zająć się małymi dziewczynkami. Przeorysza twierdzi, że tylko w ten sposób będę mogła się pozbyć nadmiaru energii, aż się zestarzeję i opadnę z sił. Uważa, że każda z nas służy Bogu na swój sposób. Siostra Agnes powiedziała, że jeżeli mój głos będzie się w dalszym ciągu tak rozwijał, to kiedyś zostanę kantorką. Chciałabym, bardzo dobrze wiecie, jak kocham muzykę!

- Lecz kiedy Matilda Fritz William zostanie siostrą Columbą, będzie musiała skończyć z wizytami w stodole. Żadnego więcej podglądania, jak ojciec Anselm obraca na sianie dziewczynę od krów.

- Elf, wielka szkoda, że nigdy nie poszłaś tam z nami - zachichotała Matti. - Nigdy się nie dowiesz, co straciłaś. Odkąd zobaczyłam kobietę i mężczyznę w miłosnych zapasach, uważam, że decyduję się na ogromne poświęcenie. Przepelnia mnie żal, że mojej rodziny nie stać, aby wydać mnie za kogoś krzepkiego, jurnego mężczyznę. Ale pogodziłam się z losem, a moja ofiara złożona Bogu stanie się jeszcze większa.

- Nie mogę się doczekać, kiedy połączę się z sir Martinem w małżeńskim łożu - powiedziała Isa. - Podobno utrata dziewictwa boli, ale potem to mija. Gdy ojciec Anselm wpycha

w Hildę swoje wielkie przyrodzenie, to ona aż popiskuje z rozkoszy!

- I macha nogami w powietrzu, dopóki nie oplecie nimi drogiego ojczulka - uzupełniła Matti z wyraźną tęsknotą w głosie. - Potem podrygują razem aż do utraty tchu. Podoba mi się, kiedy on leży przytulony do jej krągłych, dużych piersi. Wiesz, Elf, on je czasami ssie jak mała dzidzia. To takie podniecające, gdy się na to patrzy.

Elf nakryła uszy dłońmi.

- Dość, Matti! Wiesz, że nie chcę słuchać takich rzeczy! Nie godzi się rozmawiać o nieprzyzwoitych sprawach. Jeżeli nie przestaniesz, będę musiała o wszystkim donieść matce przełożonej, a nie chcę tego robić. Tak bardzo się boję o twoją duszę, Matti!

Matti poklepała przyjaciółkę swą pulchną dłonią.

- Nie martw się o mnie, droga Elf. Kiedy złożę śluby, raz na zawsze skończę z wizytami w stodole. Nie można służyć dwóm panom, a moim jest Wszechmogący, a nie władca ciemności i chuci.

- Z ulgą przyjmuję twoje słowa, Matti - odetchnęła Elf.

Darzyła miłością obie dziewczynki, z którymi się wychowała. Nie było nic złego w tym, że Isabeaux St. Simon interesowały ziemskie sprawy; wkrótce miała zostać żoną. Ale Matilda Fritz William to zupełnie co innego, szczególnie że wyznaczono ją do pomocy siostrze Cuthbert przy opiece nad małymi wychowankami. Kilka miesięcy temu Elf, bardzo się kępując, poruszyła temat podglądania w stodole ze swoją wychowawczynią, lecz siostra Cuthbert nie wydawała się traktować całej sprawy zbyt poważnie.

- Niektóre dziewczynki zakradają się do stodoły, by podglądać Hildę z kochankiem - zaszepiała Elf zwierzyła się zakonnicy. - Nawet te, które mają przyjąć śluby - dodała zatrwożonym szeptem.

Siostra Cuthbert powiedziała niemal dokładnie to samo, co Matti.

- One nie są jeszcze zakonnicy, droga Elf. Poza tym ciekawi je, co w życiu stracą, jeżeli w ogóle można uznać to za stratę. Wiedząc, jak wygląda akt miłosny, albo uznają go za obrzydliwy i będą zadowolone, że są wolne od takich spraw, albo zrozumieją, jakie wyrzeczenie muszą ponieść, chcąc

właściwie służyć Bogu. Nie ma nic złego w tym, że to zobaczą, jeżeli dochowają czystości. Większość wychowanek w naszym klasztorze przynajmniej raz zajrzała do stodoły. Nawet ja to zrobiłam, kiedy byłam młoda - wyznała zaskoczonej Elf. - Nie przejmuj się, moje dziecko. Matilda Fritz William będzie dobrą zakonnicą.

- Przecież nie powiedziałam, że... - zaczęła Elf.

- Nie - przerwała jej siostra Cuthbert - nie powiedziałaś. - Po chwili się uśmiechnęła. - Elf, może zanim złożysz śluby, też powinnaś zajrzeć do stodoły?

- Nigdy! - Elf energicznie pokręciła głową. - Chcę pozostać bez skazy. Będę niewinną oblubienicą Chrystusa. Inaczej sobie tego nie wyobrażam.

- Każda z nas wie, co dla niej najlepsze - podsumowała siostra Cuthbert pojednawczo. - Siostra Winifreda powiedziała mi - zmieniła temat - że jesteś najlepszą uczennicą, jaką zdarzyło jej się mieć. Pytała już matkę przełożoną, czy mogłabyś jej asystować w herbarium. Winifreda nie jest już pierwszej młodości, moje dziecko, i być może kiedyś ją zastąpisz. Ale zatrzymaj tę wiadomość dla siebie, dopóki sama matka przełożona nie poinformuje cię o swej decyzji.

Kilka dni później Elf została wyznaczona do pracy w herbarium. Bardzo się ucieszyła. Darzyła sympatią starą zakonnicę, której odtąd miała pomagać, a która już wcześniej przekazała jej sporą wiedzę o najróżniejszych sposobach leczenia, pielęgnacji chorych i opatrywaniu ran. Elf podobało się w herbarium, bo było tam cicho i spokojnie, a latem, w otaczającym budynek ogrodzie, kwitło mnóstwo kwiatów. Poza tym była zadowolona, że miała już wyznaczone miejsce w hierarchii zakonu.

- Spójrzcie! - Isa wskazała na drogę, wrywając Elf z zadumy. - Jakiś jeździec zbliża się do klasztoru. Ciekawe, jakie wieści niesie. Matko jedyna, popatrzcie, jak w słońcu lśnią mu włosy! Szczere złoto, słowo daje!

- Moje włosy są złote - zauważyła Matti.

- Twoje mają kolor słomy i kiedy je zetniesz, będą wyglądać jak siano - zachichotała Isa. - Dobrze, że będziesz nosić welon, Matti. Na szczęście masz ładną buzię, lecz twoich włosów nikomu nie będzie żal.

- Mam nadzieję, że pierwszą córkę, która ci się urodzi,

przyślesz tu, do St. Friedeswide. Opowiem jej, jaką nieznośną dziewczyną była jej mamuśka - odwdzięczyła się Matti słodziutkim tonem.

- Obie jesteście okropne - skarciła je Elf, po czym zawtórowała im śmiechem. - Och, Iso! Szczerze mi będzie brakować ciebie i twego ostrego języka. Będę się modlić, aby sir Martin docenił, jaką wspaniałą żonę zesłał mu Bóg, nawet jeżeli czasami będzie nieznośna.

- Mężczyźni lubią nieznośne kobiety - stwierdziła Isa.

- Ale nie żony - dodała rezolutnie Matti. - Nawet ja to wiem. Kiedy mój ojciec rozglądał się za narzeczoną dla mojego najstarszego brata, Simon smalił cholewki do córki naszego sąsiada, jednak do papy doszły słuchy, że ona ma duży temperament. Więc poszukał cichej, skromnej dziewczyny. Córka sąsiadów trwała w panieństwie do dwudziestego roku życia, zanim jej rodzinie udało się znaleźć dla niej męża, a oblubieniec był zaskoczony, gdy się okazało, że jest dziewicą, bo nikt w to nie wierzył. Mój ojciec zawsze powtarzał, że dobrej reputacji trzeba bronić tak samo mocno jak dziewictwa.

- Zaręczono mnie z Martinem z Langley, gdy miałam pięć lat, i natychmiast wysłano do St. Friedeswide - powiedziała Isa. - Wrócę do domu wkrótce po dożynkach i zaraz wyjdę za mąż. Kiedy miałam zdobyć reputację?! - zapytała żałośnie.

- Jak wygląda Martin? - zacięła się Matti.

- O ile dobrze pamiętam, a nie widziałam go od dnia zaręczyn, ma kasztanowe włosy i piwne oczy. Wtedy skończył piętnaście lat i właśnie został pasowany na rycerza. Nie potrafię przywołać na pamięć jego rysów, wiem jedynie, że miał miłą twarz i cerę bez blizn po pryszczach. Martin będzie dla mnie całkowitą niespodzianką, oby tylko przyjemną! On też będzie zaskoczony. Zaręczył się z małą dziewczynką, której w dodatku ciekło z nosa. Pamiętam, byłam wtedy zaziębiona i chciałam zostać w moim ciepłym łóżeczku, ale wyciągnęli mnie z niego, ubrali w najlepszą sukienkę i zaprowadzili do kościoła, abym stanęła u boku Martina podczas ceremonii zaręczyn. Nie sędzę, aby spojrzał na mnie więcej niż raz. Zapewne zrobił to po to, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie mam zeza - podsumowała.

Wszystkie trzy zachichotały rozbawione i odwróciły głowy

w stronę klasztoru, bo usłyszały nawoływanie. Siostra Perpetua, furtianka, machała do nich fartuchem.

- Eleanore de Montfort, natychmiast zejźdź na dół! - wołała. - Matka przełożona chce cię widzieć!

Elf podniosła się z ziemi i pokiwała ręką do furtianki.

- Już idę, siostrzo! - odskrzyknęła, po czym nałożyła kornet, upychając pod niego długie warkocze, i otrzepała z trawy szaroniebieską spódnicę.

- Wyglądam porządnie? - zwróciła się do przyjaciółek.

Pokiwały głowami, więc Elf, nie zwlekając, zbiegła po zboczu do klasztoru.

- Masz się stawić w kapitularku, dziecko - poinformowała ją siostra Perpetua. - Czeka tam na ciebie matka przełożona z gościem.

- Jakim gościem? - zaciekaWiła się Elf. - Czy to ten jeździec, którego chwilę temu widziałyśmy przy bramie?

- Tak - odparła zakonnica. - Ale nie wiem, kim jest. Pośpiesz się, dziecko. Nie kaź na siebie czekać matce przełożonej.

Elf szybkim krokiem przeszła przez bramę, przecięła dziedziniec i weszła do kapitularku, kierując się prosto do sali audiencyjnej.

W końcu sali stał fotel przeoryszy, oskrzydłony rzędem krzeseł, na których co rano zasiadały zakonnice. Matka Eunice siedziała na swoim miejscu, a obok niej stał szlachcic w butach do konnej jazdy. Elf podeszła bliżej i chyląc głowę, przyklękała przed przeoryszą.

- Możesz wstać, córko - padło przyzwolenie, a kiedy Elf stanęła z głową pochyloną z szacunkiem, skromnie spuszczać swe niebieskie oczy, przełożona odezwała się łagodnym tonem: - Eleanore, to jest sir Saer de Bude. Ma cię eskortować do domu, do Ashlinu.

Elf podniosła spłoszone spojrzenie na przeorysę.

- Dziecko, twój brat, Richard, jest chory i pragnie cię widzieć - padła odpowiedź na nieme pytanie w oczach Elf. - Sir Saer jest kuzynem twojej bratowej, lady Isleen. To krótka podróż i jeśli przygotujesz się do drogi w ciągu godziny, będziesz w domu o zmierzchu. Siostra Cuthbert pomoże ci spakować niezbędne rzeczy. W domu pozostaniesz tak długo, jak

to będzie konieczne. Kiedy twój brat cię zwolni, wrócisz do nas.

- O co chodzi, moje dziecko? - zapytała po chwili przeorysza, widząc błagalną minę Elf.

- Moje śluby, matko przełożona. Miałam je złożyć razem z Matildą Fritz William dwudziestego drugiego czerwca. Zostały niecałe trzy tygodnie. Co będzie, jeśli nie wrócę do tego czasu? - W oczach Elf zakręciły się łzy.

- Moje dziecko, w takim wypadku złożysz śluby w późniejszym terminie. Pamiętaj, że wszystko dzieje się z woli Boga. Musisz posłusznie podążać ścieżką, którą ci Pan wyznacza.

- Tak, matko przełożona - odparła przygnębiona Elf.

Skoro Richard posyła po nią, sytuacja musi być poważna. W ciągu dziewięciu lat pobytu w St. Friedeswide widziała się z nim jeden raz. To było sześć miesięcy po tym, jak ją tu przywiózł. Przyjechał ze swoją świeżo poślubioną żoną. Isleen, najpiękniejsza kobieta, jaką Elf miała okazję w życiu widzieć, nie bardzo się interesowała swą małą szwagierką. A Dickon się zmienił. Wydawał się taki nieobecny; przez cały czas nie spuszczał oczu z żony. Nie zabawili zbyt długo. Od tamtej pory jedyny kontakt z bratem stanowiły listy, które przysyłał jej raz do roku na urodziny. A w tym roku nawet do niej nie napisał.

Z zamyślenia wyrwał ją głos przeoryszy:

- Idź, córko, przygotuj się do drogi. Sir Saer zaczeka na ciebie przed klasztorną bramą. A kiedy już się spakujesz, pójdź do siostry Josephy. Niech ci wybierze odpowiedniego wierzchowca. Idź z Bogiem, moje dziecko.

Elf ukłoniła się matce przełożonej i natychmiast opuściła kapitułarz.

- Panienska Eleanore pochodzi z dobrej rodziny - zwróciła się przełożona do przybysza. - Jest bardzo wrażliwa. Przybyła do nas jako pięcioletnia dziewczynka i od tamtej pory ani razu nie była poza murami St. Friedeswide. Proszę obchodzić się z nią delikatnie i z szacunkiem. Przede wszystkim nie należy zwracać się do niej ostrym tonem. Jak sam zapewne rozumiesz, panie, obcy jej jest męski sposób bycia. Ojciec Anselm jest jedynym mężczyzną, jakiego zna.

- Naturalnie, matko przełożona - odparł Saer de Bude. - Moja kuzynka bardzo by się rozgniewała, gdybym nawet nie-

chcący uraził panienkę. - Ukłonił się zakonnicy. - Pozwolę sobie pożegnać matkę przełożoną i poczekam na pannę Eleanore za bramą. - Z tymi słowami odwrócił się do wyjścia.

- Jeszcze chwilę, sir. - Matka Eunice zatrzymała go ostrym tonem. - Jak naprawdę wygląda stan zdrowia Richarda de Montforta? Nic nie powiem Eleanore.

- On umiera - oznajmił bez chwili wahania.

Przeorysza jedynie pokiwała głową.

- Możesz, panie, odejść - powiedziała po dłuższym milczeniu.

Eunice nie miała złudzeń; cóż, poza zbliżającą się śmiercią, mogłoby sprawić, że Eleanore de Montfort wzywano do domu? Doskonale pamiętała Isleen de Warenne. Ta dumna egoistka widziała wyłącznie koniec własnego nosa. Po dziewięciu latach małżeństwa Isleen nie doczekała się dziecka. Plotki na ten temat dotarły nawet tu, za mury klasztoru. Jeżeli Richard de Montfort umrze, Eleanore odziedziczy Ashlin. To słodkie dziecko w najbliższym czasie złoży śluby ubóstwa, czystości i posłuszeństwa. A ponieważ zakonnica nie może niczego posiadać i nawet swą nieśmiertelną duszę ofiarowuje Bogu, dlatego Ashlin przejdzie na własność St. Friedeswide.

Przeorysza jąła rozważać ewentualne korzyści wynikające z tej sytuacji. Od jakiegoś czasu nurtowała ją sprawa posiadłości graniczącej z dobrami zakonu. Gdyby tak sprzedać Ashlin, można by było nabyć te tereny, idealnie nadające się na pastwiska. Eunice uśmiechnęła się do swoich myśli. Bóg zawsze odpowiadał na jej modlitwy, nawet jeśli czasami zdawał się zwlekać dłużej, niż to było konieczne.

W czasie gdy przeorysza snuła marzenia dotyczące żywnych pastwisk, Elf stała na środku dormitorium w towarzystwie siostry Cuthbert, sprawiając wrażenie zupełnie zagnębionej.

- Nie mam pojęcia, co powinnam spakować - jęknęła bezradnie. - Czy siostra wie, co mi będzie potrzebne?

- Weź spódnice na zmianę, dwie tuniki, wszystkie swoje trzy koszule, czyste pończochy, szczotkę do włosów i grzebień. Przydałyby ci się rękawiczki na drogę. Dam ci moje, powinny pasować. No i oczywiście narzucię pelerynę - doradzała siostra Cuthbert, jednocześnie składając rzeczy Elf i zawijając je starannie w kawałek szarego płótna.

- Idź, zrób siusiu, dziecko - powiedziała, gdy węzełek był gotowy. - Przed tobą osiem mil drogi. Potem umyj twarz i ręce. A ja tymczasem przyniosę ci świeży kornet. Ten wygląda tak, jakbyś siedziała na nim na trawie, co pewnie nie mija się z prawdą.

Elf zdjęła przybrudzone nakrycie głowy i posłusznie poszła spełnić polecenie siostry Cuthbert. Kiedy wróciła, na łożku czekał na nią czysty kornet. Nałożyła go, po czym narzuciła na ramiona pelerynę, mocując ją zapinką w kształcie krzyża. Materiał, z którego uszyto pelerynę, był o ton ciemniejszy od szarej spódnicy Elf.

- Siostro Cuthbert, powie siostra Matti i Isie, dokąd pojechałam? I że wrócę tak szybko, jak to tylko możliwe?

Zakonnica przytaknęła, poprawiając kornet na głowie Elf.

- To będzie twoja wielka przygoda, kochanie. Powinnaś coś przeżyć, zanim ofiarujesz swoje życie Panu. Będziemy się modlić za twojego brata, Elf. Nie martw się o niego, bo jego los jest w rękach Boga. Chodź, odprowadzę cię do siostry Josephy i sprawdzę, jakiego wierzchowca ci osiodłała. Zawsze stara się nam wcisnąć tego upartego muła, który idzie tylko tam, gdzie chce, co niekoniecznie jest zgodne z naszymi potrzebami. W przeciwieństwie do mnie jesteś zbyt młoda i nieśmiała, aby się przeciwstawić siostrze Josephie.

Razem poszły do klasztornej stajni, małego budynku w zachodniej części dziedzińca. I rzeczywiście, Josepha osiodłałaby swego ukochanego muła, gdyby siostra Cuthbert stanowczo się nie sprzeciwiła.

- Ona musi pojechać na białej klaczy - oznajmiła młodszej rangą zakonnicy.

- Klacz jest do wyłącznej dyspozycji matki przełożonej - zaprotestowała siostra Josepha.

- Matka przełożona nigdzie się nie wybiera, natomiast Eleanore de Montfort musi udać się w podróż. Dobrze wiesz, że ten muł nie słucha nikogo oprócz ciebie.

- Ale jak przewidzieć, ile czasu klacz będzie poza klasztorem? Co zrobię, jeśli matka przełożona będzie jej potrzebować? - upierała się siostra Josepha.

Siostra Cuthbert zwróciła się do Elf:

- Czy jutro, najdalej pojutrze służący twojego brata mogliby odprowadzić konia? Na pewno w domu przeznaczą dla

ciebie jakiegoś porządnego wierzchowca. W ten sposób matka przełożona będzie miała swoją klacz do dyspozycji, jeżeli zajdzie taka potrzeba.

Elf skinęła głową.

- No dobrze - ustąpiła siostra Josepha. - Ale klacz musi tu wrócić za dwa dni, Eleanore de Montfort.

- Wróci, siostrzo, przyrzekam - powiedziała pojednawczo Elf. - I mam nadzieję, że to ja będę siedzieć na jej grzbiecie - dodała, głaszcząc delikatne chrapy zwierzęcia.

Osiadłano konia, przytroczono tobołek i siostry pomogły Elf wdrapać się na siodło. Wszystkie dziewczynki uczyły trzymać się na koniu, na wypadek, gdyby kiedyś miało się to im przydać. Elf nigdy nawet przez myśl nie przeszło, że wyjedzie poza dziedziniec klasztoru, lecz teraz, kiedy zebrała wodze w obleczone w rękawiczki dłonie, poczuła lekki dreszczyk emocji. Wraca do Ashlinu! Zobaczy Dickona, a dzięki swoim umiejętnościom na pewno wyprowadzi go z choroby. Spotka się z Idą, jeśli oczywiście stara piastunka jeszcze żyje. A potem wróci do St. Friedeswide, złoży śluby i spędzi resztę życia, służąc Bogu. Szkoda tylko, że nie ma czasu porozmawiać przed wyjazdem z Matti i Isą.

Siostra Cuthbert wyprowadziła ze stajni klacz z amazonką na grzbiecie. Siostra Perpetua rozwarła skrzydła bramy i Elf znalazła się poza murami klasztoru. Siostra Cuthbert podała wodze wyciągającemu po nie rękę Saerowi de Bude'owi.

- Tylko ostrożnie - upomniała go surowym tonem. - Lady nie ma wprawy w jeździe wierzchem. Jedź z Bogiem, moje dziecko - zwróciła się do Elf.

Ruszyli stępa. Elf widziała Matti i Isę na zboczu wzgórza przy stadzie pasących się owiec. Miała ochotę pomachać do nich, ale czuła się skrępowana i nie chciała ściągać na siebie uwagi. Saer de Bude jechał po jej lewej ręce, równając konia kłęb w kłęb z jej klaczą. Przez jakiś czas przemierzali drogę w milczeniu.

- Czy wolno ci ze mną rozmawiać, pani? - zapytał w pewnej chwili de Bude.

- Tak - odparła. - Nie jesteśmy zakonem o ścisłej regule.

- Nie byłeś w Ashlinie, odkąd przywieziono cię do klasztoru - odezwał się tonem, w którym nie było pytania.

- Nie - potwierdziła. - Sir, niech mi pan opowie o moim bracie. Jak bardzo jest chory i jakie leczenie zastosowano?

- Richard umiera - padła lakoniczna odpowiedź.

- *Mon Dieu!* - wykrzyknęła dziewczyna i zaraz się zarumieniła, bo zdała sobie sprawę, że wymówiła imię Boga nadaremnie.

- Lady Isleen opiekuje się swoim małżonkiem z poświęceniem godnym anioła - stwierdził Saer de Bude. - Twój brat, pani, ma szczęście.

- Dlaczego on umiera? Co mu jest? - wypytywała swego towarzysza. - Niewątpliwie posłaliście po medyka, musiał postawić jakąś diagnozę?!

- Nie sprowadziliśmy medyka - odparł de Bude. - Trzeba byłoby posyłać po niego aż do Worcesteru. Z początku choroba twojego brata, pani, nie wydawała się poważna.

- W zakonie pomagam siostrze infirmerce - powiedziała Elf. - Chciałabym zbadać brata, mimo że nie mam głębokiej wiedzy medycznej. Siostra Winifreda uważa, że jestem jej najlepszą uczennicą. Na pewno jest jakiś sposób, żeby pomóc bratu.

- Lady Isleen będzie niewymownie wdzięczna - odpowiedział de Bude.

- Jak się znalazłeś w Ashlinie, panie?

- Moja matka była z domu de Warenne - wyjaśnił Saer. - Lady Isleen jest moją kuzynką. Jej rodzina uznała, że mogę się przydać twemu bratu, pani.

- Jestem pewna, że Richard jest ci wdzięczny, panie. - Elf grzecznie zakończyła rozmowę.

Pograżyła się w rozmyślaniach. Tylko raz miała okazję spotkać się ze swoją bratową i niewątpliwie wtedy oceniała ją, patrząc na nią oczami małego dziecka, które wyrwano z rodzinnego domu i umieszczono w obcym miejscu. Ta kobieta zabrała jej ukochanego Dickona. To, że Isleen była zniwalażąco piękna, wcale nie pomogło. Jej jedwabiste blond włosy mieniły się srebrzyście, jakby igrało w nich światło księżyca. Oczy miała intensywnie niebieskie, cerę mleczną i leciutko zarumienione policzki. Wokół niej unosiła się woń róż. Ten piękny, świadczący o elegancji zapach przyprawiał Elf o zawrót głowy. Trudno było małej, pięcioletniej dziewczynce w buroszarej sukience poczuć sympatię do takiej kobiety. W dodatku

Isleen nie wysiliła się na najmniejszy gest, aby zdobyć serce maleńkiej siostry swego świeżo poślubionego małżonka. Podczas całej krótkiej wizyty siedziała wpatrzona w okno, gdy tymczasem Dickon rozmawiał z Elf półsłówkami, ani na chwilę nie odrywając oczu od swej żony. W końcu sytuacja stała się dla niego nie do zniesienia, więc pożegnał się i odjechał.

Lecz teraz brat i jego żona, bezdrietni pomimo wielu lat małżeństwa, posłali po nią. Nie wolno mi oceniać Isleen na podstawie jednej wizyty - upomniała się w duchu. - Jednak, bez wątpienia, stać ich było na sprowadzenie medyka. Isleen na pewno kocha mego brata - utwierdzała się w myślach - i dobrze o niego dba. Fakt, że Bóg nie obdarzył ich potomstwem, zapewne łamie jej serce. Muszę powitać ją jak siostrę, jak gdyby to było nasze pierwsze spotkanie. Pokocham ją, bo ona kocha Dickona. Czyż nasz Pan nie nakazuje nam darzyć ludzi taką samą miłością, jaką darzymy Jego?

- Nie złożyłaś jeszcze ślubów, pani? - odezwał się ponownie Saer de Bude. - Naprawdę chcesz zostać zakonnica? Nie myślałaś o rozkoszach małżeńskiego stanu?

- Nigdy nie pragnęłam niczego innego, jak tylko zostać zakonnica - odpowiedziała szczerze. - Błogosławię dzień, w którym brat przywiózł mnie do St. Friedeswide, mimo że byłam wtedy wystraszona i zagubiona. Proszę zrozumieć, straciłam właśnie matkę, a ojca nigdy nie dane mi było poznać. Jedynymi bliskimi mi ludźmi był Dickon i stara niania, Ida. A zakonnice bardzo serdecznie się mną zaopiekowały i zajęły się moją edukacją. Pewnego dnia zrozumiałam, jak bardzo szczęśliwa czuję się pośród nich i jakim szczęściem będzie dla mnie przywilej wstąpienia w ich szeregi i służenia Bogu do końca moich dni.

- Rozumiem cię, pani - przyznał de Bude. - Ja z kolei zawsze chciałem zostać rycerzem i walczyć w służbie króla. Czuję się najszcześniejszy, gdy właśnie tym się zajmuję.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu.

- Czy sądzisz, pani, że moglibyśmy nieco przyśpieszyć? - zapytał.

- Chyba tak - odparła. - Lecz czy się zatrzymasz, panie, jeśli będę się bała?

- Taa - mruknął i puścił konia kłusem.

Klacz podążyła za jego wierzchowcem, Elf pochyliła się nie-

co w siodle. Zdumiewało ją, że potrafi się utrzymać na koniu, choć dotąd tylko parę razy miała okazję kłusować. W dodatku szybsza jazda sprawiała jej przyjemność! Lekki wiatr muskał twarz, poczucie wolności dodawało energii. Siostra Cuthbert wielokrotnie droczyła się z nią, twierdząc, że radość wcale nie jest zabroniona w zakonie, a Elf ma skłonność do traktowania wszystkiego zbyt poważnie.

Jednak po jakimś czasie zaczęła odczuwać znużenie, więc poprosiła de Bude'a, żeby się zatrzymał.

- Wybacz mi, pani, jesteś taka cicha, że niemal zapomniałem, iż nie jestem sam. Naturalnie, zatrzymamy się na chwilę i odpoczniemy. To już niedaleko. Pozwól, pani, pomogę ci zsiąść. - Saer de Bude uniósł Elf z siodła i postawił na ziemi. - Niedaleko stąd płynie mały strumyk. Masz, pani, ochotę się napić?

- Nie, dziękuję. Pragnę jedynie wyprostować nogi i możemy ruszać dalej. - Rozejrzała się dokoła. - Czy to już Ashlin? Wiele lat upłynęło, ale okolica wydaje mi się znajoma.

- Rzeczywiście, masz dobrą pamięć, pani. Tak, jesteśmy na ziemi twojego brata. Jeszcze jakieś dwie mile i będziesz w domu. - Uśmiechnął się do niej, błyskając zębami.

Jego obecność mnie krępuje - pomyślała Elf. Czy dlatego, że jest mężczyzną, a ona nie przywykła do towarzystwa mężczyzn? A może to w jego osobie jest coś takiego, co sprawia, że czuje się nieswojo? Kątem oka zerknęła na de Bude'a. Powierzchność miał dość ujmującą. Postawny, średniego wzrostu, o jasnych włosach i ciemnych oczach. Okrągłą twarz znaczyło kilka śladów po ospie, na tyle jednak mało widocznych, że go nie szpeciły. Starannie przycięta, krótka broda schodziła się z wąsami w kącikach ust. Ubrany był gustownie, ale bez ostentacji. Stroju utrzymanego w jasnym brzozi i zieleni dopełniały wysokie buty, które, jak zauważyła, choć podniszczone, były ze skóry w najlepszym gatunku.

Saer de Bude pociągnął parę łyków z małej flaszki, którą wyciągnął zza pazuchy. Potem ocierając usta wierzchem dłoni, skierował się ku krzakom. Elf spłonęła rumieńcem, kiedy usłyszała, jak oddaje mocz.

- Pani, jeżeli rzeczywiście nie masz ochoty się napić, proponuję, byśmy ruszali dalej - powiedział, wracając.

Elf zaprzeczyła ruchem głowy. Była spragniona, ale się

bała, że potem musiałyby pójść za potrzebą. Jak wybrnąć z takiej sytuacji w obecności mężczyzny?

- Jedźmy, panie - poprosiła. - Podobnie jak ty, bardzo chciałabym być już w Ashlinie.

Poderwał ją z ziemi i posadził na siodle.

- Dziękuję, sir - odezwała się ze wzrokiem utkwionym w niewidoczny punkt nad jego ramieniem. - Teraz czuję się wypoczęta.

W odpowiedzi mruknął coś zdawkowo, wsiadł na konia i ruszyli w drogę. Gdy na koniec przejechali przez gęsty las i znaleźli się na odkrytym wzniesieniu, w promieniach zachodzącego słońca Elf ujrzała niewielki kamienny dwór, dom swego dzieciństwa. Serce podskoczyło jej w piersi. Bezwiednie ścisnęła klaczkę kolanami, skłaniając ją do galopu. Popędziła przez łąkę, płosząc pasące się owce. Jej towarzysz zamarł z wrażenia, lecz zaraz ruszył za nią, mocno zdziwiony spontanicznym zachowaniem małej zakonnicy. Nie spodziewał się takiej reakcji po tej pokornej i łagodnej istocie. Nadchodzące dni niewątpliwie będą należeć do interesujących. Zastanawiał się, czy ten pokaz hartu ducha był czymś wyjątkowym, czy też pod mysio szarym habitem i białym kornetem nowicjuszki kryje się osóbką inteligentna i nie pozbawiona werwy. Isleen na pewno jej o nic takiego nie podejrzewa i nie byłaby tym zachwycona. Natomiast on, jej kuzyn, dobrze się rozejrzy w sytuacji, zanim zdecyduje się na jakikolwiek krok. Niewinna misja, której celem było ściągnięcie siostry Richarda de Montforta do domu, zdaje się przeradzać w fascynującą intrygę. Saer de Bude zaśmiał się pod wąsem.

2

- Witaj w domu, panienko - powiedział młody służący, pomagając Elf zsiąść z konia.

Podziękowała mu, nie rozpoznając go jednak.

- Proszę dopilnować, aby klacz była dobrze traktowana - poleciła chłopcu. - To koń przeoryszy i musi się znaleźć z powrotem w St. Friedeswide w ciągu dwóch dni.

Kiwnął głową.

- Osobiście się nim zajmę, pani. Jestem Artur, wnuk Idy. Panienska na pewno mnie nie pamięta.

- Ależ tak! - zawołała. - Bawiliśmy się razem jako dzieci, a kiedy zmarła moja mama, przyniosłeś stokrotki, których narwałeś dla mnie na łące. Płakałeś, gdy wyjeżdżałam. Pamiętam, jak pociągałeś nosem i ocierałeś oczy rękawem koszuli, stojąc przy swej babce. Niech cię Bóg błogosławi, Arturze, i zawsze ma cię w opiece!

Rozpromieniony Artur odpowiedział pełnym szacunku ukłonem, po czym odszedł, by odprowadzić klacz do stajni.

W tej właśnie chwili Saer de Bude wjechał przez bramę na dziedziniec dworu.

- Pani! - zawołał do Elf. - Proszę zaczekać! Zaprowadzę cię do brata.

Zsunął się z siodła. - Hej, chłopcze, weź także mojego konia! - rozkazał, chwytając Artura za koszulę.

- To bardzo uprzejmie z twojej strony, panie, ale znam drogę! - odkrzyknęła Elf.

- Pani! - De Bude podszedł do Elf i zacisnął dłoń na jej ramieniu. - Moim zadaniem było przywieźć cię do Ashlinu i nie wypełniłbym misji do końca, gdybym nie odprowadził cię do mojej kuzynki i twego brata.

Powiódł ją do domu i wprowadził do paradnej izby.

- Jestem, kuzynko!

Isleen de Montfort odwróciła się do nich z uśmiechem na twarzy.

- Witaj w domu, droga Eleanore! - wymruczała swym zmysłowym głosem, zrywając się z miejsca i podchodząc do Elf. - Szkoda, że twoja wizyta wypada w tak smutnym czasie.

W tej samej chwili Elf uderzyła myśl, że jej bratowa mogła ją wcześniej zaprosić, w szczęśliwszym czasie, ale czym prędzej odsunęła od siebie tę gorzką refleksję. Wyciągając dłonie, podeszła do Isleen i ucałowała ją w oba policzki.

- Niech cię Bóg błogosławi za to, że mnie wezwałaś. Twój kuzyn opowiedział mi, z jakim oddaniem opiekujesz się Dickonem. Teraz masz mnie do pomocy. Gdzie jest mój brat?

- Tam. - Isleen wskazała na łóżko ustawione przy kominu. - Śpi teraz, ale zbudzi się, gdy go zawołasz. Zostawię was samych, byście mogli się przywitać. Chodź, kuzynie. Dotrzy-

masz mi towarzystwa na spacerze po ogrodzie, bo muszę zaczerpnąć świeżego powietrza.

Elf nawet nie zauważyła, kiedy bratowa i rycerz opuścili komnatę. Ze zgrozą wpatrywała się w śpiącego brata. Ten niegdyś przystojny mężczyzna był teraz chudy jak szkielet, a jego cera miała niezdrowy, żółtoszary odcień. Zapadnięte policzki, ostro zarysowany nos i wystające kości policzkowe opinała pergaminowa skóra, natomiast kasztanowe włosy tak się przerzedziły, że miejscami prześwitywała łysa czaszka.

Z oczami pełnymi łez uklękła przy łóżku.

- Dickon! - zawołała go półgłosem. - Dickon, przyjechałam do domu, aby cię przywrócić do zdrowia.

Szare oczy Richarda de Montforta rozwarły się powoli. Koścista dłoń zacisnęła się na jej ramieniu.

- Kto to? - wyrzeźił.

- To ja, Dickon. Twoja siostra, Elf.

Rozwiązała tasiemkę przytrzymującą kornet i zdjęła go, żeby mógł zobaczyć jej włosy, a potem wysiliła się na uśmiech.

- Elf - powiedział cicho. - To naprawdę ty? Wydorostałaś.

- Mam nadzieję, braciszku - roześmiała się. - Dickon, mięło dziewięć lat, odkąd się widzieliśmy. Byłam wtedy małą, pięcioletnią dziewczynką. Teraz skończyłam czternaście lat, miałam właśnie składać śluby wieczyste, ale Isleen przysłała po mnie, bo jesteś poważnie chory. W zakonie asystuję siostrze infirmerce. Być może uda mi się ci pomóc.

Odpowiedział jej uśmiechem.

- Ja umieram, Elf, i nie ma dla mnie ratunku. Kiedy odejdę, Ashlin będzie twój.

- A co z Isleen? - zapytała zdumiona. - Isleen jest twoją żoną. Ashlin powinien przypaść jej, nie mnie.

- Isleen zabierze swoje wiano i wróci do de Warenne'ów - wyjaśnił. - Zgodnie z prawem Ashlin należy się tobie. Nie złożyłaś jeszcze ślubów, Elf. Możesz zmienić decyzję i poszukać sobie męża. Ashlin jest mały, ale wystarczy na godziwy posag. Pozwól zakonnicom zatrzymać sumę, którą wpłaciłem jako twoje wiano, kiedy zawiozłem cię do St. Friedeswide. Tak będzie sprawiedliwie. Siostry wychowywały i kształciły cię przez te wszystkie lata.

- Ale ja nie chcę męża - zaprotestowała Elf. - Cieszę się, że będę składać śluby, Dickonie. Poza tym nie zamierzam po-

zwolnić ci umrzeć. Świetnie znam się na ziołach. Opisz mi objawy choroby. Kiedy zapadłeś na zdrowiu?

- Mniej więcej rok temu - zaczął. - Z początku miałem jedynie kłopoty z żołądkiem. Dokuczał mi, gdy zjadłem to czy tamto, ale po paru dniach wszystko wracało do normy. Jednak później bóle zaczęły pojawiać się coraz częściej. Jelita здаwały się mi płonąć żywym ogniem. Miewałem napady słabości, nie mogłem chodzić, jeździć konno, a nawet utrzymać się na nogach. Potem choroba ustępowała, jednak gdy wreszcie dochodziłem do siebie, wszystko zaczynało się od początku. Teraz w ogóle nie mogę utrzymać pokarmów i jak widzisz, wypadają mi włosy i zęby. Elf, ja wiem, że długo nie pożyję. Nie wierzę, że potrafisz mi pomóc, moja maleńka siostrzyczko.

- Spróbuję - zapewniła go gorączkowo. - Dickon, ja muszę spróbować!

- Gorzej już ze mną być nie może - stwierdził z gorzkim uśmiechem.

- Dlaczego nie macie dzieci? - zapytała go bez ogródek.

- Isleen jest bezpłodna - oznajmił. - Nie mam odwagi jej tego powiedzieć, bo złamałbym jej serce. Mam dwóch synów i córkę wśród czeladzi, ale zatrzymaj to dla siebie. Ona sądzi, że to moja wina, bo jestem chory, lecz tak nie jest. Nie wyjawisz mego sekretu, prawda? Wyznałem przed tobą swój grzech, a ty z racji swego powołania masz obowiązek milczeć. Bóg mnie osądzi - uśmiechnął się do niej słabo.

Zastanowiło ją, dlaczego musiał szukać kobiet wśród czeladzi. Zdecydowała jednak, że to nie jej sprawa, i odegnała od siebie te myśli.

- Dotrzymam tajemnicy, braciszku - obiecała. - Zdrzemnij się teraz, a ja pójde poprosić Isleen, żeby wyznaczyła mi jakieś miejsce na herbarium. Muszę się spieszyć, jeśli mam ci pomóc. Gdzie jest stara Ida?

- Od dnia, kiedy cię wywozłem z domu, nie odezwała się do mnie ani nie zajrzała do dworu.

- Odszukam ją - postanowiła. - Ona pomoże mi ciebie wyleczyć, Dickonie.

Elf podniosła się i przywołała służącego.

- Gdzie jest pani? - zapytała.

- W ogrodzie, panienko.

- Zaprowadź mnie do niej - poleciła. - A potem poszukaj starej Idy. Powiedz jej, że wróciłam i potrzebuję jej pomocy.

Elf podążyła na dwór za służącym. W ogrodzie kwitły już róże. Zauważyła jednak, że roślinność nie jest tak wypielegnowana, jak za czasów jej matki. Nie od razu spostrzegła swą bratową; dopiero po chwili jej wzrok napotkał dwie postaci w głębi ogrodu. Isleen i jej kuzyn siedzieli na drewnianej ławeczce, przechylając ku sobie głowy. Gdy służący odszedł, Elf zawołała bratową.

Isleen zerwała się z miejsca i podeszła do Elf.

- Wielkie nieba, ale mnie przestraszyłaś, Eleanore! - powiedziała, wyraźnie zarumieniona, co jeszcze dodawało jej urody.

- Nie chciałam cię niepokoić, siostrze, ale potrzebuję miejsca, gdzie mogłabym założyć herbarium. Przyjrzałam się Dickonowi. On rzeczywiście jest ciężko chory. Modlę się do Boga, by udało mi się mu pomóc.

- Podobnie jak ja, droga siostrze - odparła słodko Isleen. - Na tyłach ogrodu stoi niewielka szopa, która, jak przypuszczam, może się nadać. Chodź, obejrzymy ją!

Isleen nie zwracała więcej uwagi na Saera de Bude'a, tak jakby go wcale nie było. Poruszając się z gracją, szła między krzewami róż, a jej bladoniebieska spódnica falowała wokół nóg.

Zapach różowych, białych i czerwonych kwiatów przyprawił o zawrót głowy. Unosiły się nad nimi ciężkie trzmielce i nurkowały między płatki w poszukiwaniu słodkiego nektaru. Ich skrzydełka poruszały się z cichym brzęczeniem. Elf podążyła za bratową w smudze woni jej perfum aż na sam koniec ogrodu, gdzie stała niewielka, rozsypująca się szopa.

- Przyda ci się? - zapytała śpiewnie Isleen.

- Jak najbardziej - odrzekła Elf. - To wymarzone miejsce na herbarium. Isleen, czy przydzielisz mi paru służących, żeby dokonać tu niezbędnych napraw?

- Naturalnie - padła odpowiedź. - W gruncie rzeczy to twój dom.

Tej cierpkiej uwadze towarzyszyła wyraźna zmiana w tonie głosu bratowej.

Ona wie, że jeśli Dickon umrze, Ashlin będzie mój. Ma o to żal - pomyślała Elf i dodała na głos:

- Dziękuję ci.

Isleen wzruszyła ramionami.

- W takim razie, Eleanore, zostawiam cię, byś mogła oddać się pracy - powiedziała i energicznym krokiem ruszyła ścieżką.

- Moje maleństwo! To naprawdę ty?! - Stara kobieta, utykając, wyłoniła się zza drzew.

- Ida! - Twarz Elf opromienił radosny uśmiech. Otoczyła piastunkę ramionami. - Och, Ido! Jak dobrze cię znowu widzieć! Dickon mi mówił, że nie odzywasz się do niego, odkąd wyjechałam do St. Friedeswide. Źle robisz. A teraz mój biedny brat jest taki chory. Boję się, że może umrzeć. Ido, potrzebuję twojej pomocy.

- Teraz, kiedy tu jesteś, dziecino, wejdę do dworu i pogodzę się z panem Richardem. Poprzysięgłam sobie, że moja noga tam nie postanie, dopóki nie wrócisz, i dotrzymałam słowa. - Zacisnęła usta, a jej piwne oczy nabrały ostrego wyrazu.

- A co by było, gdybym nie przyjechała do domu? - zapytała łagodnie Elf. - Przecież nie pozwoliłabyś, aby Richard zszedł z tego świata bez twego wybaczenia?

- Jak mu wybaczyć, że przedłożył tę kobietę ponad własną krew! - stwierdziła zajadle Ida. - Jej obowiązkiem, jako pani na Ashlinie, było wychować młodszą siostrę swego męża, skoro odumarała ją matka, niech Bóg ma w opiece czystą duszę naszej lady Adelizy! Wiele pań ze znamienitych rodów zajmuje się w domu męża jego młodszym rodzeństwem, a także dziećmi z poprzednich małżeństw. Ale nie ona!

- Nie lubisz jej - zauważyła cicho Elf. - Czemu? Chyba nie dlatego tylko, że Dickon wyprawił mnie z domu?

- To był początek - oznajmiła Ida swojej dawnej podopiecznej. - Od dziewięciu lat obserwuję, jak pomiata twoim biednym, zaślepionym bratem. On myśli, że świat zaczyna się i kończy na niej. Zjawiała się tu bez służby, choć jej ojca było stać na to, by podarować jej kilku służących. Moje dziecko, bardzo szybko zrozumieliśmy, dlaczego tego nie zrobił. Ona jest złą panią, chociaż przed twoim bratem sprytnie ukrywa swą podłą naturę. Biję służących za najmniejsze przewinienie albo skarży na nich do pana, przez co ściąga na nich kary. To nikiemna kobieta, lepiej na nią uważaj, moja mała Elf!

- Jej kuzyn mówił mi, że pielęgnuje mego brata z wielkim poświęceniem - obruszyła się Elf.

- Ha! - wykrzyknęła Ida. - Jeśli to w ogóle jej kuzyn! Przyjechał do Ashlinu rok temu. Niedługo potem twój brat po raz pierwszy się rozchorował. Do tamtej pory był okazem zdrowia.

Po plecach Elf przebiegł dreszcz.

- Ido, jestem pewna, że to zwykły zbieg okoliczności - powiedziała, tłumiąc niepokój. - Nie powinniśmy rzucać oskarżeń pod adresem Isleen dlatego, że Dickon choruje. Mogę ją oceniać jedynie na podstawie własnych odczuć i jak na razie nie mam jej nic do zarzucenia. Przyjęła mnie serdecznie, dała do dyspozycji tę szopę i pozwoliła mi urządzić herbarium, abym mogła leczyć Dickona.

- To oczywiste, że stara się być dla ciebie miła - stwierdziła Ida. - Jesteś jedyną żyjącą krewną jej męża i odziedziczysz Ashlin, jeśli on umrze.

- Wiem - odparła Elf. - Ale mój brat nie umrze, Ido. Wiele się nauczyłam od siostry Winifredy. Ona twierdzi, że jestem najpojętniejszą uczennicą, jaką zdarzyło się jej mieć. Obiecano mi, że zostanę jej asystentką, kiedy złożę śluby wieczyste, a kiedyś, w przyszłości, jak Bóg pozwoli, sama zostanę infirmerką. Takie mi życie Bóg przeznaczył i niczego więcej nie pragnę. No, a teraz, moja dobra nianiu, musimy poszukać mioteł i wysprzątać tę szopę, żebym tu mogła sporządzać lekarstwa.

- Jesteś taka niewinna i masz złote serce - podsumowała Ida i dziarsko przystąpiła do wypełniania poleceń swej młodej pani.

Wkrótce zjawiono się kilku młodych, silnych parobków. Usunęli z szopy nagromadzone przez lata rupiecie. W pobliżu zbudowali palenisko do grzania wody niezbędnej przy gruntownych porządkach, a dwóch najroślejszych wykopało nową studnię i ocembrowało ją kręgiem z kamieni, sięgającym im do pasa. Skonstruowali również żuraw, dzięki któremu lżej było spuszczać wiadro w głąb studni i czerpać wodę. Potem wstawili do szopy nowe, mocne drzwi, a w oknach o zaokrąglonych łukach zamocowali drewniane ramy z napiętymi zwierzęcymi pęcherzami, które przepuszczały

światło, broniąc jednocześnie dostępu zimnego powietrza do wewnątrz. Wyczyścili dokładnie chatę z kurzu i robactwa, po czym wybielili ściany wapnem, aby rozjaśnić pomieszczenie. Na koniec zamocowali półki na słoje ze specyfikami oraz zbili z desek stół i krzesło. W ciągu siedmiu dni stworzyli Elf idealne warunki do pracy.

Natomiast ona, by nie marnować czasu, z miejsca zajęła się kuracją Dickona. Zaczęła od pojenia go wodą z jęczmiennym słodem, która oczyszcza jelita ze szkodliwych substancji. Szybko się zorientowała, że Isleen poza głośnym wyrażaniem współczucia i pustymi gestami niewiele zajmuje się mężem. To Ida pilnowała, by był czysty i schludnie ubrany, myła go, zmieniała mu pościel, a także leczyła potworne odleżyny. Elf sporządziła maść z jagnięcego tłuszczu i zmielonych żołądździ, którą nakładała na rany, smarując je pierwej ubitym białkiem z kurzych jaj, co miało choć trochę złagodzić ból.

W ciągu dnia Isleen traktowała siostrę męża uprzejmie, pilnowała, by we dworze było czysto, a posiłki podawano na czas, natomiast wieczorami siadała z kuzynem z boku kominka i rozmawiała z nim szeptem, podczas gdy Dickon drzemał w swojej części izby. Elf czuwała przy nim, wyszywając matakę dla zabicia czasu. Czy rzeczywiście działo się tu coś nieprzyzwoitego, jak sugerowała Ida przy każdej nadarzającej się okazji? A może biedna, śliczna Isleen po prostu znajdowała pociechę w towarzystwie swego krewnego?

Nie mogą dopuszczać do siebie takich nieobyczajnych, złych myśli - karciała się w duchu Elf. Isleen i Saer de Bude nie robią nic złego i przez cały czas są w izbie na oczach ludzi. Boże, wybac mi - modliła się - że rzucam podejrzenia na moją szwagierkę. Ida jest zgorzkniała i zapiekła w żalu. Nie ma w domu dzieci, które mogłyby piastować, a przecież zajmowanie się dziećmi stanowiło dla niej sens życia.

- *Ave, Maria, gratia plena* - wyszeptała i pomyślała, że wołałaby być w St. Friedeswide, gdzie dni upływają spokojnie, według z góry ustalonego porządku.

Syn Idy, John, wraz ze swoim synem Arturem wybudowali mały kominek w herbarium Elf. Podłogę chaty wyłożyli łupkowymi płytami, ustawili na niej podstawę z kamieni i wymurowali niewielki, półokrągły kominek, przylegający do ściany chaty. Na koniec wewnątrz kominka zamocowali że-

lazne ruchome ramię, na którym można było zawiesić kociołek. Obaj mężczyźni byli uszczęśliwieni, kiedy Elf okazała im wdzięczność.

- To nic nadzwyczajnego, pani - powiedział skromnie John. - Co prawda nie znam się na tym, co robisz, pani, ale na pewno nie trzeba przy tym wychodzić na dwór za każdym razem, kiedy potrzebna jest gorąca woda. Szczególnie kiedy pogoda nie sprzyja.

- Mam nadzieję, że nie oderwałam was od waszych obowiązków we dworze - zaniepokoiła się Elf. - Nie chciałabym, abyście przeze mnie narazili się na gniew pani.

- Lady Eleanore, dworem bardzo dobrze zajmuje się twoja czeladź. Nikt nie życzy sobie, żeby ten rycerz nam mówił, co mamy robić. Nie jest panem tej ziemi i na niczym się nie zna. Pani, wybac mi moją śmiałość, ale matka powiada, że jesteś za dobra. Nie pozwolę, by ktokolwiek skrzywdził ciebie albo któregoś z domowników. - John skłonił się lekko. - Jesteśmy twymi poddanymi i będziemy cię bronić, jeżeli zajdzie taka potrzeba - dodał i odwróciwszy się, odszedł, zostawiając zaskoczoną Elf w jej królestwie.

W ciągu tygodnia na nowo doprowadzono szopę do porządku. Elf wyznaczyła kilka młodych służących i razem z nimi wędrowała po polach i lasach, szukając ziół na swoje medykamenty. Kobiety zbierały szyszki potrzebne do wytwarzania specyfiku stosowanego przy chorobach nerek i pęcherza, który to specyfik nieumiejętnie sporządzony stawał się afrodyzjakiem. W piwniczce pod główną izbą Elf znalazła spory zapas żołądźci. Ucieszyła się bardzo, bo do nowych zbiorów trzeba byłoby czekać aż do jesieni. W spichrzu zostało trochę ziarna pszenicy i jęczmienia z zeszłorocznych żniw, więc zaczerpnęła po wiaderku obu zbóż. Ponieważ napar z surowego jęczmienia miał właściwości lekko przeczyszczające, prużyła go i gotowała razem z suszonymi figami, otrzymując w ten sposób lekarstwo na wrzody żołądka. Za gumnem znalazła splechetek ziemi porośnięty rukwią. Pozbierała ją skrzętnie, bo roślina pomagała w leczeniu wszelakich schorzeń, począwszy od bólu zęba aż po rwę kulszową i kolkę. Z barci w na wpół spróchniałym pniu w pobliskim lesie wybrała sporą porcję miodu. W warzywnym ogrodzie przy domu hodowano kapustę, dynie, ogórki, pory, cebulę i czosnek, a także szparagi, szpinak, sałatę, pietruszkę

oraz buraki. Rosła tam również gorczyca, mięta, szałwia i koper. Na łące przy domu Elf odkryła kępy szanty, a tuż za swą szopą rosł dziko oman.

Już wkrótce w chacie suszyły się pęki ziół, a słoje zapełniły się kwiatostanami fiołków, korzeniami mniszka, cebulkami krokusów, a nawet figami i daktylami, które Elf przyniosła z dworskiej kuchni. Była zdumiona, kiedy znalazła w spiżarni te trudne do zdobycia rarytasy, ale kucharka wyjaśniła jej, że pani Isleen od czasu do czasu lubi zjeść coś słodkiego. Albert założył w pobliżu szopy maleńki ogródek. Elf posiadała w nim rumianek i najróżniejsze zioła, których nie znalazła w warzywniku.

Pomimo jej starań Dickon zdawał się słabnąć z dnia na dzień. Jednocześnie rosła liczba pacjentów wśród czeladzi. Kiedy zapytała Idę, dlaczego tak tłumnie przychodzą, stara kobieta wyjaśniła, że Isleen nie zna się na leczeniu i nie lubi tego zajęcia.

- Przecież obowiązkiem pani jest opieka nad służbą - zdziwiła się Elf. - Chcesz powiedzieć, że przez ten cały czas, od kiedy została żoną mego brata, nie zdarzyło jej się udzielić pomocy potrzebującym?

- Ani razu - potwierdziła Ida. - Nie dała potomka twojemu bratu, chociaż on ma dzieci z czeladnymi dziewczkami. Nie opatruje ludziom ran ani nie leczy febry czy biegunki. Jest bezużyteczna.

- Ale Dickon ją kocha - argumentowała łagodnie Elf.

Ida prychnęła lekceważąco.

- Dużo mu przyszło z kochania takiej nic niewartej kobiety - mruknęła. - Kiedy mój biedny pan Richard umrze, ty, pani, będziesz lepiej rządzić Ashlinem.

Elf nie odpowiedziała ani słowem. Wszelkie dyskusje z Idą nie miały sensu. Od pierwszej chwili, kiedy Dickon przywiózł Isleen do Ashlinu, była do niej wrogo nastawiona. A jednak... i ją zaczynało niepokoić zachowanie szwagierki. Nie dalej jak wczoraj wieczorem złapała ją na podkarmianiu Dickona kandyzowanymi owocami, za którymi jej brat przepadał. Nie postąpiła tak po raz pierwszy. Elf niezręcznie było besztać bratową, więc tylko łagodnie zaprotestowała.

- Isleen, nie wolno ci nic dawać Dickonowi bez mojej zgody, ponieważ bardzo trudno jest uregulować pracę jego jelit.

Słodczyce jedynie pogarszają ten stan. Wiem, że nie chciałaś mu zaszkodzić i że starasz się mu dogadzać, bo go kochasz, ale nie rób tego więcej.

Isleen zrobiła skruszoną minę, a potem się naburmuszyła.

- Lady Eleanore, czy z równą troską dbałabyś o mnie, gdybym zachorował? - zapytał Saer de Bude z uśmiechem, który wcale się jej nie spodobał.

- Panie, moim obowiązkiem jako infirmerki i sługi bożej jest jak najlepiej wykorzystywać umiejętności w niesieniu pomocy cierpiącym - odparła rzeczowo.

- Na pewno szybko bym wyzdrowiał pod opieką takiej ładnej kobiety - padła przymilna odpowiedź.

Elf oblała się rumieńcem i zignorowała uwagę Saera. Musiał sobie zdawać sprawę, że to, co powiedział, było niewłaściwe. Szlachcic nie powinien przemawiać do przyszłej oblubienicy Chrystusa w taki sposób. Elf pochyliła się nisko nad tamborkiem. Jej uwagi nie umknęła gniewna reprimenda bratowej, chociaż nie słyszała tego, co mówi.

- Jak śmiesz flirtować z tą małą świętoszką? - syknęła Isleen. - Gdyby Richard był zdrow, zabiłby cię za takie zachowanie. Oszalałeś?!

- Nie, ja tylko myślę o naszej przyszłości i ty też powinnaś się na tym skupić, moja piękna kuzyneczko. Czyż nie zaplanowaliśmy razem tego wszystkiego? Po to właśnie ściągnęliśmy małą zakonniczkę z klasztoru. Jak dotąd bardzo dobrze grałaś swoją rolę, Isleen. Nie pozwól, by zawiść i zazdrość o nią wszystko zniszczyły. Przecież to ciebie kocham, nie ją. Zawsze dla mnie liczyłaś się tylko ty. Gdybym był panem na włościach, przekonałbym twego ojca, aby wydał cię za mnie, a nie za Richarda de Montforta.

- Lecz nie jesteś panem na włościach - ucięła szeptem Isleen.

- Nie, ale stanę się nim, gdy ożenię się z twoją szwagierką - odparował Saer de Bude. - I wtedy Ashlin przejdzie w moje ręce. A kiedy niespodziewanie owdowieję, nikt inny, tylko ty zostaniesz moją żoną. - Jego intensywnie niebieskie tęczaówki pociemniały jeszcze bardziej, gdy namiętnym wzrokiem wpatrywał się w jej oczy. Pukiel złotych włosów osunął mu się powoli na czoło. Isleen miała ogromną ochotę wy-

ciągnąć dłoń i odgarnąć go na bok, ale wiedziała, że nie może sobie pozwolić na taki poufały gest.

- Ona nie wyjdzie za ciebie ani za nikogo innego - stwierdziła niemal złośliwie. - Widziałam ją zaledwie raz, zanim jeszcze przyjechałam do Ashlinu po ślubie z Richardem. Zawiózł mnie do klasztoru, żebym mogła ją poznać. Myślę, że liczył, iż zaproponuję, aby ją zabrać z powrotem do domu. Co za głupiec! Była wtedy niczego nieświadomym, małym dzieckiem. Teraz jednak jest na tyle dorosła, żeby wiedzieć, czego chce. A pragnie zostać zakonnica, chociaż zupełnie nie rozumiem dlaczego. Z jej urodą i Ashlinem w wianie bez trudu znalazłaby sobie męża z krwi i kości. Ale ona woli swego Jezusa Chrystusa. Jakie masz szanse z Nim konkurować, kuzynie?

- Jeżeli nie uda mi się jej przekonać po dobroci, mam jeszcze inne wyjście, Isleen. Wezmę ją gwałtem. Zakon zrezygnuje z niej, gdy będzie nieczysta. Kiedy pozbawię ją dziewictwa i dobrze sobie z nią poużyvam, będzie musiała jeszcze raz rozważyć moją propozycję.

- Jesteś potworem - wyszeptwała z uznaniem. - Podejrzewam, iż liczysz na to, że ci się będzie opierać, abyś mógł ją zgwałcić.

- Być może. - Zaśmiał się cynicznie. - Miałabyś ochotę w tym uczestniczyć? Chciałabyś zgwałcić małą zakonnicek?

- Jak to? - szepnęła, a jej niebieskie oczy zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

Czuła, że wkracza na niebezpieczny grunt. Czasami nawet ją Saer napawał lękiem, chociaż musiała przyznać, że jego słowa ją zafrapowały.

- Mam wśród moich rzeczy pewną zabaweczkę, którą nabyłem w składzie Moora w Herefordzie. Niełatwo jest kupić ten zakazany przedmiot, ale Moor zna mój gust. To męskie przyrodzenie wykonane z polerowanego drewna. - Saer uśmiechnął się cynicznie do Isleen. - Kiedy ja wtargnę do Świątyni Wenery naszej małej zakonnicek, ty mogłabyś zaatakować Bramę Sodomy. Tę rzecz można trzymać w ręce lub przymocować do ciała specjalnymi paskami. I co ty na to, kuzynko?

Policzki Isleen spłonęły pod wpływem lubieżnych myśli,

które wywołały słowa Saera. Oszołomiła ją ta wyuzdana prozycja.

- Tak - powiedziała. - Chcę tego, Saer!

- Więc przestań się zachowywać jak zazdrosna idiotka! - skarcił ją półgłosem.

Ida obserwowała ich podejrzliwie z drugiego końca izby.

- Widzisz, pani, jaka ona zarumieniona? - szepnęła do Elf. - Cóż takiego on powiedział, że Isleen się czerwieni? To musiało być coś, czego przyzwoita kobieta nie chciałaby słuchać. Oni trują pana Richarda. Jestem tego pewna!

- Nie mów takich rzeczy! Nie wolno tak, Ido! Co cię skłania do snucia takich podejrzeń?

- Pani, nie znasz życia. Musisz widzieć rzeczy takimi, jakimi są. Twoja bratowa to zła kobieta. Być może przed tobą udaje słodką, lecz tak naprawdę jest z gruntu zła. Boimy się, co będzie, kiedy pan Richard umrze i zostaniesz sama z nią i z tym jej kuzynem. Pani, bardzo możliwe, że oni są kochankami. Niejednokrotnie widziano go, jak wychodził z jej komnaty. Nie mogliśmy o tym powiedzieć panu przy jego stanie zdrowia, ale ty powinnaś o tym wiedzieć.

- Nic nie rozumiem - stwierdziła Elf. - Czy ona nie kocha Dickona, Ido? Jak może kochać męża i zdradzać go?

Pomarszczona twarz Idy złagodniała, a oczy przybrały zadowolony wyraz.

Lekko poklepała Elf po ręce.

- Nie wierzę, by żona naszego pana kochała kogokolwiek poza sobą - powiedziała. - Ona chce wyłącznie brać. Z siebie nic nie daje. Ciebie uczono się poświęcać, jak to uczynił kiedyś nasz Pan, Jezus Chrystus. Dla pani Isleen obce jest znaczenie słowa „poświęcenie”. Chce mieć kuzyna i Ashlin.

Słowa Idy wstrząsnęły Elf. To prawda, że była niewinna i zapewne nie znała życia, ale nie była głupia. Szczerze mówiąc, zastanawiała ją wyraźnie widoczna zażyłość pomiędzy Isleen a Saerem de Bude'em. Niepokoił ją stan zdrowia Dickona i to, że za każdym razem, kiedy Isleen nakarmiła go jego ulubionymi migdałami w lukrze, następowało wyraźne pogorszenie. Czyżby, jak sugerowała Ida, był podtruwany? Nie, nie do wiary! A jednak... to całkiem możliwe. Westchnęła. Jaka szkoda, że nie ma przy niej Isy i Matti, z którymi mogłaby porozmawiać, czy siostry Cuthbert, tej ostoi zdrowego rozsądku.

Była zdana na samą siebie i tak samo bezradna jak czeladź jej brata, bo skoro nie miała dowodów na poparcie podejrzeń, była zmuszona przyglądać się biernie, jak Richard de Montfort gaśnie z dnia na dzień.

Rozmyślania Elf przerwało pojawienie się w izbie rycerza w towarzystwie Cedrica, ich ochmistrza. Gość nazywał się Ranulf de Glandeville i wracał z misji królewskiej do Walii. Był potężnie zbudowanym mężczyzną o tubalnym głosie.

- Panie, czy udzielisz mi schronienia na dzisiejszą noc? - zapytał Richarda, który akurat ocknął się z drzemki i był przytomny.

- Jesteś mile widzianym gościem, rycerzu - słabym głosem odpowiedział z kurtuazją Richard. Spojrzał na Isleen, która uśmiechnęła się z roztargnieniem, nie ruszając się jednak z miejsca. - To moja małżonka, lady Isleen - przedstawił ją w nadziei, że w ten sposób zachęci ją do okazania gościnności.

Isleen posłała rycerzowi jeszcze jeden uśmiech, ale nadal pozostała na swoim miejscu. Osoba Ranulfa de Glandeville'a tylko na chwilę oderwała jej uwagę od pikantnej rozmowy z Saerem.

- A to moja młodsza siostra, lady Eleanore, która zostanie panią na Ashlinie, kiedy zejdem z tego świata - dokończył z naciśkiem Richard, rozgniewany brakiem gościnności swej żony.

Elf uniosła się z miejsca, ośmielona przez Idę.

- Witamy w Ashlinie, sir - odezwała się. - Idę, przynieś naszemu gościowi talerz i puchar wina. A ty, panie, usiądź przy ogniu i ogrzej się, dopóki nasza dobra Ida nie powróci z posiłkiem. Mamy wyjątkowo chłodny i deszczowy dzień jak na czerwiec. - I odbierając od niego opończę, dodała: - Dopilnujemy, żeby wyschła do rana.

- Dziękuję, pani - odparł Ranulf de Glandeville. - To wielce uprzejme z twej strony, że traktujesz mnie tak gościnnie.

Usiadł i zaczął przyglądać się swym gospodarzom. Drugi z mężczyzn znajdujących się w izbie wydał mu się znajomy. Rycerz ogarnął spojrzeniem piękną żonę pana domu i jego nie mniej urodziwą siostrę. Szary strój dziewczyny podpowiedział mu, że jest osobą duchowną, natomiast długie, płomiennozłote warkocze świadczyły o tym, że nie złożyła jeszcze ślubów wieczystych. Jej trójkątna buzia była tak pełna

słodczy, że przeszło mu przez myśl, iż szkoda, że zamiast rozglądać się za mężem wybrała życie w zakonie.

- Jestem sir Saer de Bude - wyrwał go z rozmyślań męski głos. - Walczyliśmy razem dla króla. Pani tego domu jest moją kuzynką. Przebywam tu od roku, by pomagać jej w opiece nad mężem, który, jak zapewne zauważyłaś, panie, jest złożony śmiertelną chorobą.

Ranulf de Glandeville wstał, wyciągając dłoń.

- Pańska twarz jest mi znajoma, sir.

Saer wydał się Ranulfowi przesadnie układny, a jednocześnie pozbawiony taktu. Zachowywał się tak, jakby on był tu panem, a nie Richard de Montfort.

- Wino! - wrzasnął Saer. - Dlaczego nie ma jeszcze wina?! - Nonszalanckim krokiem ruszył do stołu. - Proszę za mną, sir. Służba zaraz poda jedzenie.

Nie mając rozeznania w sytuacji i nie chcąc się okazać niegrzecznym, królewski posłaniec zasiadł za stołem. Piękna pani Eleanore osobiście postawiła przed nim talerz z jedzeniem i kawał świeżego chleba. Na posiłek składały się plastry peklowanej sarniny, spora porcja duszonego królika, kilka dużych krewetek, gruby plaster szynki, karczoch i klinek sera. Uśmiechając się lekko, Eleanore wręczyła mu łyżkę z wypolerowanego drewna. Wychłostane wiatrem, rumiane policzki Ranulfa nabrały jeszcze intensywniejszej barwy, gdy zdał sobie sprawę, że musiała zauważyć, jak zachłannie patrzy na te wszystkie delicje. Przeżegnał się, schylił głowę i uczyniwszy raz jeszcze znak krzyża, zabrał się do jedzenia. Kiedy ostatnim kawałeczkiem chleba zebrał z cynowego talerza resztki sosu i przepłukał usta ostatnim łykiem wina, odchylił się na oparcie krzesła, uśmiechając się z zadowoleniem.

- Pani, ugościłaś mnie po królewsku - powiedział z uznaniem.

- To dom mojego brata - odparła skromnie Elf.

- Jak rozumiem, przyjechałaś z zakonu do domu, aby służyć pomocą? - zapytał. - Czy udało ci się, pani, pomóc bratu? Czy jest coś, co mógłbym dla ciebie zrobić?

- Dickon umrze. - Elf po raz pierwszy wypowiedziała na głos to, co od dawna przeczuwała. Ten rycerz miał takie łagodne oczy, przy nim przez jedną małą chwilę nie czuła się taka samotna. - Pomagam w zakonie naszej zielarce, a zara-

zem infirmerce. W klasztorze *uwważają*, że mam talent do leczenia, lecz w tym przypadku, kiedy już mi się wydaje, że powinna nastąpić poprawa, stan brata ulega dalszemu pogorszeniu. Tak się zdarzyło trzykrotnie podczas paru tygodni mego pobytu w Ashlinie. Nie potrafię rozpoznać, jaka choroba toczy jego organizm. Nie jestem w stanie mu pomóc. On umrze, to już tylko kwestia czasu. - Szaroniebieskie oczy Elf zasły łzami.

- Pani, nie potrafisz dojść, co mu jest? - dopytywał się łagodnie rycerz.

- Wszystko zaczęło się od problemów jelitowych i te go nadal najbardziej dręczą - wyjaśniła. - Bywa, że zwija się z bólu. Bez przerwy ma biegunkę. Wyłysiał i stracił prawie wszystkie zęby, a jego skóra nabrała żółtoszarego odcienia. Dickon jest zaledwie dziesięć lat starszy ode mnie, lecz obecnie wygląda jak starzec. Jedyne, co mi pozostało, to łagodzić mu cierpienie - podsumowała. - Sir, jestem zrozpaczona, że nie umiem mu pomóc.

- Czy on zawsze był słabowity? - zapytał Ranulf, znając niestety takie przypadki.

- Och, nie! Według słów naszej piastunki Idy był okazem zdrowia. Pierwsze objawy choroby wystąpiły mniej więcej rok temu. - Zaczerwieniła się. - Byłabym zapomniała, sir. Brat prosi o rozmowę, zanim udasz się, panie, na spoczynek. Kazałam zrobić posłanie przy kominku. Powinno być wygodne i ciepłe.

Rycerz wstał od stołu.

- Najlepiej, jeśli od razu pójdę zobaczyć się z twoim bratem, pani - powiedział, skłaniając głowę. - Jeszcze raz dziękuję za gościnę, lady Eleanore.

- Życzę spokojnej nocy, sir - pożegnała go.

- Nie wiedziałem, żeś taka biegła w sztuce uwodzenia, moja śliczna - zauważył obleśnie Saer de Bude. - Czy nauczyły cię tego twoje dobre siostrzyczki, Elf? Ze mną nigdy nie flirtujesz, choć jestem pod wrażeniem twej urody. - Wyciągnął rękę, chcąc pochwycić jej dłoń, ale ją w porę cofnęła.

- Czemu w zwykłej gościnności dopatrujesz się czegoś, czego nie ma? - ucięła ostro. - I dlaczego nadal siedzisz w Ashlinie, panie? - zapytała go bez ogródek. - Nie jesteś tu dłużej potrzebny. Dickon wkrótce umrze. Nie przystoi, abyś

przebywał pod jednym dachem z dwiema młodymi kobietami, kiedy nie ma tu żadnych starszych krewnych. Chyba nie chcesz narazić na szwank reputacji swojej kuzynki? - Elf nigdy jeszcze nie była tak rozgniewana.

- A nie obawiasz się o swoją reputację? - podpytywał ją ironicznie Saer.

- A niby dlaczego? Wszyscy, którzy mnie znają, wiedzą, że jestem czysta, bo moim powołaniem jest służba Panu. Mejej opinii nic nie zagraża, ale pomyśl o Isleen, panie - odparła Elf i odwróciwszy się, odeszła od stołu.

Odszukała Idę i razem z nią ułożyła się do snu na pościeli w kącie izby. Elf odstąpiła Ranulfowi swoje miejsce do spania jako najwygodniejsze dla gościa.

Obie z Idą wołały zostać na noc w pobliżu Richarda, który właściwie nie ruszał się już z izby. Isleen spała w alkowie obok, a Saer de Bude zajmował niewielkie pomieszczenie na poddaszu.

Richard de Montfort pozdrowił królewskiego pośłańca i poprosił go, by usiadł przy nim.

- Sir, chciałbym ci powierzyć pewne zadanie, jeśli wyrazisz zgodę - zaczął cicho. - Nie doczekaliśmy się z żoną potomstwa. Zgodnie z prawem spadkowym Ashlin przypada mojej siostrze Eleanore. Oczywiście posag mojej żony musi razem z nią wrócić do jej rodziny, do de Warenne'ów. Isleen nadal jest bardzo piękna, nie wątpię, że znajdą dla niej nowego męża. Rano poproszę siostrę, aby spisała mój testament. Eleanore otrzymała staranne wykształcenie w St. Friedeswide. Siostra sporządzi trzy kopie, jedną zatrzymam dla siebie. Chciałbym cię prosić, panie, abyś drugą dostarczył do rąk biskupa Worcesteru, a trzecią zawiózł królowi. W ten sposób będę miał pewność, że nie nastąpi żadna pomyłka co do moich rozporządzeń względem żony i siostry. Już wyznaczyłem sługę, który zaraz po mojej śmierci uda się do biskupa, żeby go powiadomić o zgonie. Biskup da znać królowi. Czuwanie nad bezpieczeństwem Eleanore powierzam naszemu władcy Stephenowi. Czy podejmiesz się tej misji, panie? - zapytał na koniec pan na Ashlinie osłabłym głosem.

- Z radością to uczynię - zapewnił go cicho Ranulf.

Richard, wyraźnie podniesiony na duchu, pokiwał głową.

- Dziękuję, sir. Nie podoba mi się kuzyn żony. Zbyt pew-

nie się tu czuje. Tolerowałem jego obecność, bo moja żona go lubi. Ale ostatnio zauważyłem, że popatruje na moją młodą siostrę, kiedy myśli, że nikt go nie widzi. Jak na mój gust, sposób, w jaki na nią patrzy, jest zbyt pożądlivy. Elf jest niewinna. Nie wiedziałyby, jak się bronić przed takim mężczyzną.

Elf - powtórzył w myślach Ranulf. - Jakie urocze zdrobienie!

- Jak długo pańska siostra przebywała w St. Friedeswide? Znam ten klasztor, bo kształci się tam jedna z moich młodych krewniaczek. Panna nazywa się Isabeaux St. Simon. Zdaje się, że tej jesieni ma wyjść za mąż.

- To jedna z dwóch serdecznych przyjaciółek Elf - odparł Richard. - Proszę jej koniecznie powiedzieć, że ją znasz, panie. Zawiozłem Elf do klasztoru niedługo po tym, jak skończyła pięć lat. Nasz ojciec zginął, a matka umarła. Byłem po słowie z córką de Warenne'ów, a oni uważali, że Isleen nie powinna wychowywać mojej młodszej siostry, i zaproponowali, bym oddał ją do St. Friedeswide. Wiedzieli, że posag Eleanore jest raczej skromny, więc zasugerowali, że kiedy dorośnie, mogłaby zostać zakonnicą. To było dobre rozwiązanie. Elf miała zapewnione bezpieczeństwo w tych burzliwych czasach. Przy swej łagodności wydaje się powołana do życia w zakonie. Nie muszę się obawiać o jej los, kiedy mnie zabraknie. - Richard zakaszłał i jeszcze bardziej pobladł.

- Może kiedy odziedziczy dwór, zdecyduje się na małżeństwo? - zasugerował Ranulf de Glandeville.

Richard pokręcił głową.

- Bardziej prawdopodobne, że podaruje Ashlin zakonowi. Siostry zadysponują nim według swego uznania. A teraz wybacz, panie, chciałbym się zdrzemnąć, bo choć cały dzień spędziłem leżąc, czuję się bardzo znużony.

Ranulf de Glandeville przywołał młodego pachotka, który miał czuwać przy chorym, a sam udał się na swoje posłanie. Ku swemu zdumieniu spostrzegł przy łóżku mały stołeczek, a na nim misę z ciepłą wodą. Z zadowoleniem obmył twarz i tłuste ręce, po czym wytarł je kawałkiem płótna, leżącym obok dzbana. Jaka szkoda, że jego młoda gospodyni przedkłada stan duchowny nad małżeństwo. Byłaby wspaniałą panią domu i chlubą swego męża. Ranulf zdjął haftowaną tunikę i odłożył ją na bok, rozsznurował i ściągnął dopasowany do fi-

gury skórzany kubrak oraz zzuł buty. Postanowił zostać w bieliźnie. Na koniec wyszedł na dwór za potrzebą, a kiedy wrócił, ponownie starannie zaryglował drzwi.

O świcie zbudził go służący, który przyniósł owsiankę, kawał świeżego chleba, ser, masło i kubek ciemnego piwa. Zaspokoiwszy głód, Ranulf podszedł do łóża Richarda. Zastał tam już Elf, która przepisywała na pergaminie drugą kopię testamentu brata. Kiedy się zbliżył, podniosła ku niemu młodą, poważną twarz. Ranulf przysiadł obok Richarda. Chory leżał z przymkniętymi powiekami i ciężko oddychał. Ranulf przeżegnał się i złożył dłonie do modlitwy. Ręce tego rycerza bardziej były nawykłe do dzierżenia broni niż do kornych gestów, a piwne oczy co rusz strzelały ku głowie pochylonej nad zwojem.

- Została jeszcze ostatnia kopia - odezwała się Elf. - Dokument nie jest długi. Postaram się nie zatrzymywać cię zbyt długo, panie. Na pewno pragniesz jak najprędzej wyruszyć w drogę do króla - powiedziała, wracając do przerwanej zajęcia.

Ranulf wziął do ręki jeden ze zwojów. Testament został sformułowany w bardzo prosty sposób.

Ja, Richard de Montfort, prawowity właściciel Ashlinu, pozostając bezdzietnym po dziewięciu latach małżeństwa z Isleen de Warenne, zapisuję dwór wraz z należącą do niego ziemią, zabudowaniami, czeladzią oraz żywym inwentarzem jedynej spadkobierczyni, mej siostrze Eleanore de Montfort.

Testament zawierał klauzulę, w której Richard nakazywał niezwłocznie zwrócić rodzinie żony sumę równoważną jej wyprawie. Ranulf uniósł brew, zdumiony wysokością kwoty. De Warenne'owie byli nad wyraz hojni. Niewątpliwie zależało im, aby szybko pozbyć się córki z domu. Zaciekawiony, nie potrafił się oprzeć spekulacjom, co nimi kierowało. Przecież Isleen de Warenne była urodziwa i pochodziła z dobrego rodu. W końcowej części testamentu Richard de Montfort powierzał czuwanie nad wypełnieniem swej ostatniej woli jego wysokości królowi Stephenowi oraz jego ekscelencji biskupowi Worcesteru, któremu przesyłał sześć owiec i jednego barana jako zadośćuczynienie za obarczanie go tym kłopotem.

- Gotowe, panie - wyrwał go z rozmyślań głos Elf.

Kiedy podniósł wzrok, Richard zajęty był składaniem podpisów i pieczętowaniem dokumentów. Służący musiał go

podtrzymywać, bo inaczej pan na Ashlinie nie byłby w stanie ani sygnować testamentów, ani tym bardziej odcisnąć na nich pieczęci w wosku. Zanim testamenty zostały zwinięte w rulony i zabezpieczone pieczęcią, Ranulf de Glandeville jako świadek uwiarygodnił je swoim podpisem.

- Co robicie? - zapytała Isleen, wchodząc do izby z Saerem u boku.

Stanowią piękną parę - przeszło przez myśl zafascynowanemu ich widokiem Ranulfowi.

- Podyktowałem Elf mój testament - wyjaśnił cichym głosem Richard. - Ranulf de Glandeville jest świadkiem. Elf sporządziła trzy kopie, a teraz nasz szanowny gość zawiezie jedną z nich do biskupa w Worcesterze, drugą zaś zdeponuje u króla, aby mojej ostatniej woli stało się zadość. Elf odziedziczy Ashlin jako moja spadkobierczyni.

- Oczywiście, że odziedziczy - odparła Isleen niemal z gniewem. - To już wiem, ale zastanawiam się, na co zakonnicy dwór. A może wybuduje nowy klasztor na terenach posiadłości?

- Nie wolno mi będzie niczego posiadać, kiedy złożę śluby wieczyste - wyjaśniła dobitnie Elf. - Gdy wrócę do St. Friedeswide, przeniosę moje prawo do Ashlinu na zakon. Posiadłość stanie się własnością siostr Świętej Marii, Isleen.

Na jedną chwilę, tak krótką, że Ranulf nawet nie miał pewności, czy to nie złudzenie, twarz Isleen wykrzywił wściekły grymas. Natychmiast się jednak opanowała. Ona nienawidzi swej szwagierki - pomyślał rycerz. - Cóż, człowiek jest tylko człowiekiem. Przez swą bezdzietność będzie musiała zrezygnować z wygodnego życia i utraci dom. Prędzej czy później pogodzi się z tym, ale czyż teraz można ją za to potępiać? Ranulf odebrał oba dokumenty od Elf i podniósł się z miejsca.

- Dopilnuję, żeby trafiły we właściwe ręce - zwrócił się do Richarda de Montforta. - I będę się modlił za ciebie, sir. - Ukłonił się mu.

- Dziękuję - odpowiedział Richard.

- Twoja opancza, panie. - Ida wręczyła mu okrycie.

- Wygląda jak nowa! - zawołał zaskoczony.

- Wystarczyło ją dobrze wyszczotkować, panie - wyjaśniła rzeczowo Ida. - Dlatego Bóg stworzył kobiety. To oczywiste,

że mężczyźni potrzebują kogoś, kto o nich zadba. Ruszaj z Bogiem, rycerzu.

Narzucił opończę na potężne bary i kolejno pożegnał się ze wszystkimi. Na koniec podszedł do Elf.

- Nie zapomnę twojej gościnności, pani - powiedział półgłosem. - Jestem ogromnie wdzięczny, bo dzięki twym staraniom minęło znużenie podróży. Przede mną jeszcze szmat drogi. Dzięki ci, pani.

- Niech Bóg cię prowadzi, sir Ranulfie - odpowiedziała Elf. - Będę się za ciebie modliła.

Uklonił się jej i opuścił izbę.

3

- Czy i o mnie będziesz pamiętać w swych modlitwach, pani? - zapytał Saer de Bude, kiedy królewski posłaniec nie mógł go już usłyszeć.

- Wymieniam w nich wszystkich mieszkańców dworu - powiedziała Elf. - Podejrzewam, że masz, panie, więcej powodów, aby prosić o przychylność Boga, niż ten szlachetny rycerz - dodała już ostrzejszym tonem, po czym zwróciła się do Idy: - Potrzebujemy czystej pościeli dla mego brata. Pójdę po nią, a ty wraz z Isleen umyjcie go w tym czasie.

Nie czekając na odpowiedź, zdecydowanym krokiem ruszyła do kredensu, skąd zaczęła wyciągać pościel pachnącą lawendą i damasceńskimi różami. Słyszac za plecami czyjeś stąpanie, odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z Saerem de Bude'em.

- Jesteś piękniejsza nawet od mojej kuzynki Isleen - zaczął.

- Panie, twe słowa i kryjące się pod nimi myśli są wielce niestosowne - przerwała mu.

Irytowało ją, że stoi tak blisko, ale ani się nie cofnęła, ani nie pozwoliła, by zadrżał jej głos.

Saer nie spuszczał z niej swych ciemnoniebieskich płonących oczu.

- Eleanore de Montfort, budzisz we mnie namiętność. Ponieważ nie złożyłaś jeszcze ślubów wieczystych, uważam, że

mam prawo do tego wyznania. - Przysunął się jeszcze bliżej, przypierając ją do kredensu.

- Myślę i czuję jak zakonnica, sir. Nie życzę sobie twych zalotów. Obrażają mnie i napawają odrazą. A teraz, proszę, ustąp z drogi i daj mi przejść. Ta pościel jest pilnie potrzebna.

Roześmiał się. Elf zauważyła, że ma żółtawe zęby, co psuło nieco wrażenie jego idealnej męskiej urody. Saer pochwycił pasmo jej płomiennozłotycho włosów, przesunął je między palcami i podniósł do ust jak do pocałunku.

- Twe włosy są jedwabiące miękkie - wyszeptał.

Elf ogarnęła obrzydzenie. Teraz zrozumiała, dlaczego zakonnice po złożeniu ślubów obcinają włosy. Najwyraźniej prowokowały i rozpalały wyobraźnię mężczyzn, nawet wbrew woli ich właścicieli.

- Proszę pozwolić mi przejść!

W odpowiedzi przesunął smukłym palcem po jej wargach.

- Masz usta stworzone do pocałunków - wymruczał uwodzicielsko.

Chwyciły ją torsje. Nie mogąc nad nimi zapanować, zwymiotowała na jego chabrową tunikę. Zdumiony odskoczył od niej, miotając przekleństwa. Elf skorzystała z okazji i przemknęła obok niego, przyciskając do siebie pościel, która jakimś cudem ocalała przed zabrudzeniem. Była bliska omdlenia, ale się nie poddała.

- Zanieś to do izby - nakazała młodej służącej, wręczając jej pachnącą pościel. - Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza - dodała i wybiegła na dwór, na letni słoneczny poranek.

Przebiegła przez bramę i mknęła przed siebie, dopóki nie znalazła się na łące, gdzie pasło się stado owiec z jagniętami. Usiadła pod rozłożystym dębem i obejmując kolana ramionami, wybuchnęła szlochem. Dickon umiera i ona nic nie może na to poradzić. Wszystkie jej umiejętności okazały się bezużyteczne, a co gorsza, żałowała, że w ogóle brat po nią posłał. Bardzo chciałyby już być z powrotem w St. Friedeswide. Czerwiec dobiega końca. Wigilia najdłuższego dnia w roku za pasem. Matti najprawdopodobniej sama złoży śluby, kiedy ona będzie tkwić tu, w Ashlinie, przy umierającym bracie, z jego żoną i Saerem de Bude'em. Przez te wszystkie lata Dickon tylko jeden raz odwiedził ją w zakonie. Dlaczego akurat teraz zapragnął ją widzieć?! I tak odziedziczyłyby Ashlin po jego

śmierci. Po co to całe zamieszanie? Jej obecność tutaj niczego nie zmienia.

A może jej brat odczuwał wyrzuty sumienia, że pozbył się jej z domu, aby sprawić przyjemność swej przyszłej żonie? Niepotrzebnie! Wystarczył miesiąc, aby się zadomowiła w klasztorze i nawiązała przyjaźnię z rówieśniczkami. Całkiem też prawdopodobne, że Dickon od początku choroby przeczuwał zbliżającą się śmierć i zapragnął mieć Elf przy sobie. Nie widać miłości między nim a Isleen. Czy w przeszłości, aby pozyskać jej przychylność, spełniał wszystkie jej zachcianki? Ach, gdyby Isleen obdarzyła Dickona potomstwem! Niestety, tak się nie stało.

Elf drgnęła przerażona, czując, jak ktoś z impetem siada obok niej. Kiedy zobaczyła, że to Artur, odetchnęła z ulgą.

- Ach, to ty! Dzięki Bogu! - powiedziała, ocierając rękawem łzy.

- Widziałem, jak wybiegłaś z izby, jakby cię gonił sam diabeł.

- Bo tak właśnie było - wyznała swemu towarzyszowi dziecięcych zabaw. - Ten diabeł nazywa się Saer de Bude. Poszedł za mną do kredensu i chciał mnie pocałować. Już kilkakrotnie odzywał się do mnie w wielce swawolny sposób. Zachowuje się tak, jakby chciał mnie uwieść.

- Może ma taki zamiar - zadumał się Artur. - To do niego całkiem podobne, Elf. - Zaczerwienił się zmieszany, kiedy się zorientował, że tak jak kiedyś, w dzieciństwie, użył jej zdrobniałego imienia.

- Arturze, dla ciebie nadal jestem Elf - powiedziała, kładąc mu dłoń na ramieniu. - Po co ten okropny człowiek miałby się do mnie zalecać? Przecież nie zmieniałam planów i nadal pragnę złożyć śluby wieczyste. Szczerze mówiąc, chciałabym już wracać do St. Friedeswide!

- Wkrótce zostaniesz panią niewielkiego, ale zasobnego dworu. Saer de Bude jest młodszym synem, więc nie ma własnego majątku. Założę się, że gdyby to żona naszego pana dziedziczyła Ashlin, z nią by się ożenił. Ale lady Isleen nie zostanie spadkobierczynią, tylko ty. Co będzie z Ashlinem, jaki czeka nas los?

- Dwór przejdzie na własność zakonu - wyjaśniła Elf. - Nie wiem, co postanowi matka przełożona. Być może odda go

w dzierżawę jakiemuś rycerzowi, a może sprzeda. Ale to nie ma znaczenia, bo ty i reszta czeladzi jesteście przypisani do Ashlinu. Nic wam nie grozi, Arturze.

- Ale nie będzie tu już waszej rodziny - westchnął. - Ashlin od dawien dawna stanowi posiadłość de Montfortów.

- Niezupełnie - sprostowała. - Za czasów Wilhelma Zdobywcy należał do Saksonów. De Montfortowie weszli w jego posiadanie poprzez małżeństwo z moją antenatką, Roweną. Historia rodzinna głosi, że jej bracia zginęli w bitwie pod Hastings. Również stary ojciec Roweny został tam ciężko ranny. Odwaga tego człowieka wzbudziła tak wielki szacunek króla, że rozkazał jednemu ze swych rycerzy, pierwszemu Richardowi de Montfortowi, zawieźć sir Edmunda do domu, do Ashlinu. Kiedy ujrzał Rowenę, zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Mam włosy takiego koloru jak ona. Podobno w każdym pokoleniu rodzi się jedno dziecko o takich włosach - zakończyła Elf i zaśmiała się wesoło, bo dwa jagniątko, które szczypały trawę pomiędzy drzewami, zaczęły z zaciekawieniem skubać jej miękkie ciżemki. - Są takie ładne - powiedziała, gładząc je po runie. - Chyba powinnam wrócić do domu - westchnęła.

- Elf, a co z kuzynem naszej pani? - zapytał Artur.

- Zwymiotowałam na niego, kiedy próbował mnie pocałować. Mam nadzieję, że ze strachu, iż znowu może się to zdarzyć, będzie się trzymał ode mnie z daleka.

Artur parsknął śmiechem.

- Ja na pewno omijałbym kołem dziewczynę, która zrobiłaby mi coś takiego.

Podniósł się z ziemi, podał rękę Elf i pomógł jej wstać.

- Elf, wiem, że jestem tylko sługą - powiedział, poważniejąc - ale jeśli ten człowiek zbliży się do ciebie jeszcze raz, chcę o tym wiedzieć.

- Arturze, każdy służący, który podniesie rękę na szlachcica, jest skazywany na śmierć. Niech Bóg broni, by coś ci się miało przeze mnie stać!

- Są inne sposoby niż otwarta walka czy bezpośredni atak na wyrównanie rachunków między panem a sługą - skwitował Artur, mrugając porozumiewawczo. - Nie pozwolimy, aby ten ordynus nagabywał cię w twoim własnym domu, Elf. Nie martw się. I nie narazimy się na niebezpieczeństwo.

- Dziękuję, Arturze - odrzekła i ruszyła w stronę domu z nieco lżejszym sercem.

- Gdzie byłaś? - napadła na nią Isleen, kiedy weszła do izby. - Musiałam sama zmienić pościel, bo ta przeklęta starucha przepadła gdzieś, akurat kiedy jej potrzebowałam. Powiedziała, że idzie po wodę na kąpiel dla mego męża, ale jak dotąd się nie pojawiła.

- Mam zostać z tobą czy poszukać Idy? - zapytała Elf.

Wyprowadził ją z równowagi jęklivy ton Isleen. Najwyższy czas, żeby wreszcie zrobiła coś dla swego męża!

- Och, idź jej szukać! Richard znowu zasnął. Gdzie jest mój kuzyn? Jeżeli już muszę tu siedzieć, niech dotrzyma mi towarzystwa!

- Rozejrzę się za Idą - oznajmiła Elf.

- Jestem już, jestem! - zawołała stara niania, wnosząc do izby dużą misę z wodą. - Pani, nie jestem już pierwszej młodości i nie ruszam się tak szybko jak kiedyś.

Isleen zerwała się z miejsca.

- Och! To ponad moje siły tak siedzieć i patrzeć, jak mój mąż kona! - zawołała i wybiegła z izby.

- Nie jesteś znowu taka powolna, Ido - zauważyła Elf. - Coś cię zatrzymało? Czy celowo nie przychodziłaś, żeby ona posiedziała przy Dickonie?

- Wpadł na mnie jej kuzyn, cały umazany wymiocinami. Strasznie pomstował - wyjaśniła Ida. - Nalegał, bym wzięła jego tunikę do prania, i zażądał wody na kąpiel. Wyobraź sobie, dopiero zaczyna się dzień, a on już nie może utrzymać wina w żołądku! - podsumowała. - Chodź, umyjemy pana!

Elf delikatnie potrząsnęła bratem.

- Dickon, kochanie, obudź się. Chcemy cię z Idą trochę umyć.

Richard powoli podniósł powieki.

- Elf - wymówił jej imię. - Przepraszam, że wywiozłem cię z domu. Nie powinienem był tego robić. Nie powinienem! - powtórzył głośniej, a potem jego ciałem wstrząsnął spazm i głowa Richarda bezwładnie opadła na bok.

- Panie Przenajświętszy i Święta Panienko, miejcie w opiece jego duszę! - zawołała Ida, żegnając się, i rozszlochała się.

Eleanore de Montfort z przerażeniem wpatrywała się w wychudzone ciało brata i jego niewidzące oczy.

- Nie żyje - stwierdziła oczywisty fakt i również się przeżegnała. - Dobry Boże, wybaczone, że nie potrafiłam go uratować. Staralam się z całego serca, ale zbrakło mi umiejętności! - Z płaczem osunęła się na kolana.

- Ona go otruła - zawyrokowała złowieszczym tonem Ida. - Zabiła moją dziecinę! Przeklinam ją za to! On chciał, żeby cię sprowadzić parę miesięcy temu, ale nie zrobiła tego, nikczemna suka, dopóki nie miała pewności, że nie można go już uratować! Niech będzie przeklęta! Bóg ją ukarze!

Elf zapanowała nad własnym żalem, słysząc lament starej piastunki.

Objęła Idę.

- Nie możesz mówić takich rzeczy, skoro nie masz dowodów. Podobnie jak ty nabrałam podejrzeń, ale nie potrafię ich udowodnić. Możesz zapłacić życiem za pomawianie Isleen. Musimy zachować nasze wątpliwości dla siebie, Ido. Musimy! Rozumiesz mnie, kobieto? Nie możemy głośno wypowiadać naszych domysłów!

- I mamy pozwolić, by morderstwo pana uszło jej bezkarnie? - nie ustępowała Ida.

- Skoro nie możemy przedstawić szeryfowi konkretnych dowodów, nie mamy prawa oskarżać Isleen - odparła cicho Elf. - Bóg zna prawdę. To On ją osądzi i ukarze we właściwym czasie. Ido, musimy Mu zawierzyć! - Mocniej przytuliła piastunkę do siebie.

- Będę milczeć wyłącznie ze względu na ciebie - oznajmiła Ida. - Jesteś teraz panią na Ashlinie i winnam ci posłuszeństwo. Puść mnie teraz, moje dziecko. Musimy umyć ciało naszego pana i przygotować go do pochówku.

- Czy nie powinniśmy powiadomić Isleen? - zastanowiła się Elf.

- Dopiero kiedy będzie gotowy - odparła Ida. - Pójdę teraz po całun.

Elf usiadła przy łożu brata i pogрузzyła się w modlitwie. Każdy, kto by wszedł do izby, pomyślałby, że Richard de Montfort śpi. Kiedy Ida wróciła, obnażyły go i delikatnie umyły. Elf z przerażeniem patrzyła na wychudzone ciało brata. Dyskretnie odwracała oczy od jego podbrzusza, zostawiając Idzie obmycie tej okolicy. Kiedy skończyły, owinęły ciało w całun. Głowę zostawiły odkrytą, aby żałobnicy po raz ostat-

ni mogli popatrzeć na twarz Richarda. Przed pogrzebem ją również zasłonią całunem.

Elf wpatrywała się w przystojne niegdyś oblicze brata. Wyglądał tak spokojnie. Dotknęła jego policzka. Był chłodny i przypominał w dotyku wosk. Znowu łzy popłynęły jej z oczu. Jak to możliwe, że spotkał go taki los? Czy rzeczywiście go otruto, jak twierdziła Ida? Przecież to dziwne, że Dickon, zawsze taki zdrowy i silny, nagle się rozchorował. Nachyliła się nad bratem i pocałowała go w czoło.

- Poślij Artura po księdza - zwróciła się do Idy. - Trzeba Dickona namaścić przed pochówkiem. I każ stolarzom zbić porządną trumnę. Na razie mój brat zostanie w izbie, aby cała czeladź mogła go pożegnać.

- Trumna jest już gotowa, pani - powiedziała Ida. - Powiem, żeby ją przynieśli i przełożyli do niej pana. A Artur sprowadzi księdza. Zapewne będzie musiał pojechać aż do klasztoru, bo nigdzie bliżej żadnego nie ma.

- Niech jedzie - zgodziła się Elf. - A teraz pójdę powiadomić Isleen. - Skierowała się do alkowy za izbą. Otwierając drzwi, ujrzała przy kominku Isleen i Saera pograżonych w żartej dyskusji.

Na skrzypnięcie drzwi Isleen zerwała się jak oparzona.

- Czego chcesz? - naskoczyła na Elf, czerwieniąc się ze złości.

- Twój mąż nie żyje - oznajmiła Elf.

- O Boże! - Obejrzała się na Saera. - Za szybko! On nie może być martwy! Nie może! - Przeniosła wzrok na Elf. - Zrób coś, Eleanore!

- Jestem tylko człowiekiem, Isleen. Nie potrafię go wskrzesić - odparła chłodno Elf. - Wiedziałaś, że Dickon gaśnie.

- Ale akurat teraz?

- Taka była wola Boga - ucięła Elf.

- Oszczędź mi swych świętoszkowatych uwag! - krzyknęła Isleen, tupiąc nogą. - Masz wreszcie to, czego chciałaś. Ashlin jest twój! Nienawidzę cię! Nienawidzę! - wybuchnęła płaczem.

Saer de Bude otoczył kuzynkę ramionami.

- Eleanore, ona tak wcale nie myśli. Jestem tego pewien. To szok wywołany śmiercią Richarda.

- Na twoje życzenie wyprawiono mnie z domu, gdy mia-

łam zaledwie pięć lat - zaczęła Elf, nie mogąc zapanować nad wzbierającym w niej gniewem. - Niejednej wielkiej pani zdarzało się wychowywać rodzeństwo męża, dzieci z poprzednich małżeństw, a nawet jego bękarty. Ale ty, Isleen, nie miałaś ochoty zajmować się małą dziewczynką. Na szczęście znalazłam w St. Friedeswide prawdziwy dom i sposób na życie. Nigdy nie zależało mi na Ashlinie. Gdybyś obdarzyła mego brata potomstwem, nie byłoby dziś problemu. Prawdopodobnie nigdy więcej nie zobaczyłabym tego miejsca. Twoje dzieci odziedziczyłyby posiadłość, a ja, może przy odrobinie szczęścia, dowiedziałabym się o śmierci brata przez posłańca. Ale ty nie wywiązałaś się z obowiązku względem Richarda. Nie masz dzieci, więc zgodnie z prawem Ashlin przypada mnie, chociaż go nigdy nie chciałam!

Isleen uniosła głowę znad ramienia Saera.

- Ja chciałam mieć dzieci - załkała - lecz twój brat nie okazał się na tyle mężczyzną, żeby je spłodzić.

- Nie, moja pani, to ty jesteś bezpłodna. Mój brat ma troje dzieci z innymi kobietami! - uniosła się Elf.

Nie pozwoli, aby ta kobieta zniesławiała Dickona, a jeżeli to, co w tej chwili uczyniła, jest grzechem, to wypowiada się ze swego postępuku ojcu Anselmowi po powrocie do klasztoru. A teraz musi bronić pamięci brata.

- Kłamiesz! - wrzasnęła Isleen. Z wściekłości wystąpiły jej czerwone plamy na twarzy. - Jesteś małą, podłą kłamczuchą! Nienawidzę cię!

- Jestem zakonnica, Isleen, i nigdy nie kłamię - odparła spokojnie Elf. - Wina za brak dzieci w waszym małżeństwie leży po twojej stronie, a nie mego brata.

- Gdzie są te małe bękarty?! - wybuchnęła Isleen. - Każę je zabić wraz z ich występnyimi matkami! Gdzie one są?!!!

- Nikogo nie zabijesz. W Ashlinie teraz rządzą ja, nie ty - oznajmiła Elf, a jej słowa wywarły na Isleen piorunujący efekt. - Te dzieci to krew Montfortów i są teraz pod moją ochroną. Spróbuj tylko ich szukać, a będziesz miała Kościół na głowie. - Elf obróciła się na pięcie i wyszła z alkowy.

- O mój Boże! - jęknęła Isleen, osuwając się w ramiona kuzyna.

- Jesteś skończoną idiotką - stwierdził ponuro Saer. - Zro-

biłaś sobie wroga z Eleanore, akurat kiedy należało zabiegać o jej przyjaźń.

- Słyszałaś, co ona powiedziała, Saerze?! Czy dobrze słyszałaś?! Jestem bezpłodna! Richard jest ojcem trojga dzieci, żadne z nich nie zostało poczęte ze mną. - Spojrzała na niego z lękiem. - Teraz już nie będziesz mnie chciał! - zawołała i ze łzami w oczach rozpaczliwie przylgnęła do niego.

- Nie bądź niemądra, Isleen. Oczywiście, że nadal cię chcę. Zawsze ciebie pragnąłem i nic się pod tym względem nie zmieniło. Będziemy dalej działać zgodnie z naszym planem, z jedną tylko poprawką: zmuszę do małżeństwa tę małą zakonniczkę, a kiedy da mi syna, pozbedziemy się jej i będziesz go wychowywać jak własne dziecko. Eleanore może nawet umrzeć przy porodzie, a jak nie, to śmierć nastąpi w połogu. Chłopiec nigdy się nie dowie, że nie jesteś jego prawdziwą matką. Nieistotne, kto go urodzi. Przecież będzie moim synem, no i... twoim, Isleen.

- Z nienawiścią myślę o tym, że się z nią zadasz! - Żałośnie pociągnęła nosem.

- Wiem. - Dla ukojenia pogładził ją po włosach. - Ale nie ma na to rady. Jeżeli nie możesz dać mi dziecka, muszę poszukać żony, z którą będę je miał. To dobre rozwiązanie. I mniej będzie podejrzeń, jeżeli najpierw ożenię się z kimś innym i doczekam się potomka. A potem, kiedy mała zakonniczka pójdzie do swego Boga, połączymy się na zawsze.

- Kto wie, czy nas nie oszukała? - zastanawiała się cicho Isleen. - Saer, być może z tobą mi się uda? Jestem pewna, że ona kłamała!

- Nie - zaprzeczył zdecydowanie. - Ona nie kłamała. Nie zrobiłaby tego. Ona nie jest zdolna do kłamstwa, Isleen. To chodząca niewinność. Podejrzewam nawet, że wcale nie zamierzała ci powiedzieć o dzieciach Richarda, ale sprowokowałaś ją swoim brakiem żalu po stracie męża. Długo czekaliśmy na dzisiejszy dzień, moja piękna kuzyneczko.

- Czy sądzisz, że oni coś podejrzewają?

- To wieśniacy. A Eleanore przebywała tu zbyt krótko, żeby się zorientować. Jestem pewien, że nikt nie wie, iż spowodowaliśmy śmierć twego męża. Nie, Isleen, na pewno nikt nie wie. - Uśmiechnął się czarująco. - Czy nie obiecałem ci, że jeszcze będziemy razem, kiedy twój ojciec wydawał cię za Ri-

charda de Montforta? Dotrzymałem słowa, Isleen. Więc uzbrój się w cierpliwość i koniecznie mi zaufaj. Jeżeli będziesz postępować tak, jak mówię, połączymy się, będziemy mieć potomka i Ashlin dla siebie. Obiecuj, że poczekaś jeszcze trochę. Obiecuj mi to, Isleen! Bo jeśli nie zapanujesz nad sobą, możemy wszystko stracić, łącznie z życiem. Rozumiesz mnie, Isleen? Jeszcze dziś pojednasz się z Eleanore de Montfort, moja piękna. Daj mi na to swoje słowo, kuzynko!

- A gdybym tak urodziła ci dziecko? - nie ustępowała.

- Gdybyś mogła, dawno już byśmy je mieli - uciał. - Odkąd przyjechałem do Ashlinu, sypiamy ze sobą co noc, zdarzało się nam nie zachowywać wstrzemięźliwości nawet w okresie, gdy byłaś nieczysta. Jak dotąd nie poczęłaś, a ja, podobnie jak twój mąż, też mam gromadkę bękartów. Nawet tu, w Ashlinie, kilka miesięcy temu przyszła na świat pewna dziewczynka...

- Och, ty zbereźniku! - zawyła, wyrывая mu się z ramion i okładając go pięściami.

- Przestań się wydzierać! - nakazał jej. - Mężczyzna ma prawo zabawić się z czeladnymi dziewczkami. A teraz, Isleen, idź i zachowaj się jak na zubożałą wdowę przystało. Naszej przyszłości nic nie grozi pod warunkiem, że potrafisz zachować jasny rozum i utrzymać emocje na wodzy. - Puścił jej dłonie, które przytrzymywał za nadgarstki, odkąd się na niego rzuciła, i popchnął ją w kierunku drzwi.

Odsunęła się od niego, wyraźnie dotknięta.

- Kiedy zniewolisz naszą małą zakonniczkę? - zapytała. - Im wcześniej zacniemy naszą grę, tym prędzej będzie po wszystkim.

- Pozwól mi się najpierw do niej pozalecać - odparł.

- Tak jak dziś rano? Nie masz tylu tunik, najdroższy, byś mógł sobie pozwolić na zniszczenie chociażby jednej więcej.

- Mój błąd polegał na tym, że zbyt gwałtownie podszedłem do tej cnotliwej pannicy. Zamierzałem jej pomóc przy sięganiu pościeli z kredensu, ale najwyraźniej źle odczytała moje intencje.

- Dałeś się ponieść chuci, Saer - prychnęła pogardliwie. - Nie okłamuj mnie, mój panie, bo znam cię na wylot. A teraz - oznajmiła - pójdę ukorzyć się przed nową właścicielką Ashlinu, tłumacząc mój wybuch gniewu szokiem i żalem po stracie

męża. Będę ją błagać o wybaczenie i oczywiście zostaną rozgrzeszona, bo nie przyjdzie jej do głowy, że udaję albo że mam jakieś ukryte zamiary.

- Eleanore nie jest głupia - ostrzegł ją Saer. - Ma czyste serce i nie zna świata, ale nie jest prostytutką. Musisz sprawiać wrażenie osoby szczerzej. Pamiętaj, że wśród służby nie ma nikogo, kto by ci sprzyjał. Nie byłaś dobrą panią. Będą śledzić każdy twój krok i donosić nowej właścicielce Ashlinu o najmniejszym potknięciu. Znają ją od dziecka i są pewni, że to ty przekonałaś Richarda, aby pozbył się jej z domu. Stara Ida szczególnie cię za to nienawidzi.

- Niby dlaczego miałam wychowywać cudzego bachora? - odburknęła, po czym wygładziła woal i sprawdziła, czy przypadkiem nie przekrzywiła się jej przepaska na czole. - Opuścisz alkowę, dopiero kiedy wyjdę - rzuciła i zniknęła za drzwiami.

Zobaczyła w izbie trumnę ze zwłokami Richarda, ustawioną na dębowym katafalku. W jego narożnikach w wysokich lichtarzach płonęły woskowe świece. W głowach i u stóp trumny w kamionkowych wazonach stały bukiety róż i polnych kwiatów. Richard leżał ze złożonymi dłońmi, owinięty całunem. Na jego piersi spoczywał krucyfiks. Uczesano mu starannie włosy, a właściwie ich mizerne resztki, a szczękę podwiązano płócienną przepaską. Zamknięte powieki przytrzymywały dwa miedziane pieniążki. Richard wyglądał bardzo spokojnie.

Isleen wydała z siebie piskliwy okrzyk i dramatycznym gestem rzuciła się na trumnę.

- Richardzie, moja miłości! Dlaczego mnie opuściłeś?! - zawodziła wśród łkań.

- Hipokrytka! - mruknęła pod nosem Ida. - Najpierw go morduje, a potem zalewa się fałszywymi łzami. Jeżeli jest jakaś sprawiedliwość, Bóg powinien pokarać ją nagłą śmiercią, a naszego pana powrócić do życia w dobrym zdrowiu i w pełni sił!

- Bóg już powołał Dickona do siebie - powiedziała cicho Elf.

W tej chwili do izby wszedł ojciec Anselm.

- Moja droga Eleanore! - pozdrowił Elf, kierując się w jej stronę.

Elf odwróciła się i ruszyła mu naprzeciw, wyciągając ręce na powitanie.

- Dziękuję, że ksiądz przyjechał. Jak szybko ojciec tu dotarł! Jestem taka wdzięczna. Czy ojciec udzieli memu bratu ostatniego błogosławieństwa i odprowadzi go jutro na cmentarz?

- Akurat załatwiałem sprawy jakieś trzy mile stąd, kiedy odszukał mnie twój służący - wyjaśnił. - Tak, zostanę do jutra. Cieszę się, że mogę służyć pomocą tobie i pogrążonej w smutku wdowie.

Isleen, ani na chwilę nie przestając szlochać, przysłuchiwała się ich rozmowie.

- Siostrzo, wybac mi ostre słowa! - Odwróciła się do Elf i padła przed nią na kolana. - Wiedziałam, że mój biedny Richard jest konający, ale kiedy nadeszła ta straszna chwila, nie mogłam się z tym pogodzić. To szok i żal sprawiły, że obróciłam się przeciwko tobie, któraś przez trzy tygodnie leczyła i pielęgnowała mego najdroższego męża z największym poświęceniem. Błagam cię o wybaczenie, Eleanore! Palę się ze wstydu, że zrobiłam ci awanturę! - Isleen w błagalnym geście wyciągnęła ramiona przed siebie.

- Naturalnie, że ci wybaczam. - Elf pochyliła się i podniosła bratową z klęczek. - Ale ty też musisz mi wybaczyć gorzkie słowa, które wcześniej wypowiedziałam. Obawiam się, że przeze mnie również przemawiał żal. - Pocałowała Isleen w oba policzki.

- I ja ci wybaczam - odparła słodkim głosem Isleen, odwzajemniając pocałunki. - Już nigdy więcej nie wolno nam się pokłócić, siostrzyczko.

Ojciec Anselm uśmiechał się z zadowoleniem, przyglądając się tej scenie pojednania. Kiedy Elf przedstawiła mu bratową, bardzo uprzejmie odniósł się do młodej wdowy.

- A to mój kuzyn, Saer de Bude - Isleen wskazała na Saera. - Mój ojciec przysłał go do pomocy, kiedy Richard zachorował. Pan de Bude będzie mnie eskortować do domu moich rodziców, gdy po pogrzebie mego biednego męża udam się tam wraz ze swoim posagiem. Teraz Ashlin należy do Eleanore. Może nim swobodnie dysponować.

- Przekażę go na własność zakonowi - oznajmiła Elf.

- Matka przełożona będzie zachwycona takim darem. - Ojciec Anselm z aprobatą pokiwał głową.

- Ojcie Anselmie, czy Matilda Fritz William złożyła już śluby wieczyste? - zapytała Elf. - Miałyśmy zrobić to razem w czerwcu, w dniu świętego Albana.

- Tego właśnie dnia siostra Columba została na zawsze oblubienicą Chrystusa, Eleanore. Kazała przekazać, że modli się za ciebie i niecierpliwie wygląda twego powrotu - odrzekł ksiądz. - Matka przełożona mówi, że będziesz mogła złożyć śluby w październiku, w święto patrona Friedeswide, jeśli do tego czasu uporasz się ze sprawami, które trzymają cię w Ashlinie. Jak się zapewne domyślasz, to wielki honor dla ciebie, moja córko.

Twarz Elf pojaśniała z radości.

Ksiądz i nowicjuszka razem czuwali przez całą noc przy trumnie Richarda de Montforta. Isleen, która już wczesnym wieczorem słaśniała się ze zmęczenia, wycofała się na noc do swej alkowy. Przez całą dobę i następnego dnia rano do izby zachodzili służący i wyzwoleńcy, by pożegnać swego pana i razem z duchownym oraz przyszłą zakonnica pomodlić się za spokój jego duszy. Godzinę po wschodzie słońca pojawiła się Isleen z prośbą, aby ją zostawić na jakiś czas sam na sam ze zmarłym małżonkiem. Wtedy też do izby zajrzała Ida i wymogła na Elf, żeby wreszcie się posiliła, a potem zaprowadziła panienkę na posłanie, aby zdrzemnęła się choć trochę przed pogrzebem brata. Pochowali Richarda de Montforta, pana na Ashlinie, wczesnym popołudniem czerwcowego dnia. Niebo nad głowami żałobników zasnuwały ołowiane chmury, w powietrzu wisiał deszcz. Po pogrzebie Elf zwolniła służących na resztę dnia i kazała wystawić dla nich poczęstunek. O zmierzchu spadł deszcz, a nad wzgórzami na granicy hrabstwa Hereford i Walii przetoczyła się burza.

- Rano w izbie odprawię mszę za zmarłych i udam się w drogę powrotną do St. Friedeswide - oznajmił ojciec Anselm. - Co mam powiedzieć matce przełożonej? Na kiedy planujesz powrót, moja córko?

- Zabiorę się z wami - odrzekła Elf. - Nie jestem już dłużej potrzebna w Ashlinie, poza tym chcę jak najprędzej wrócić do mego normalnego trybu życia.

- Och, zostań, proszę, dopóki nie będę gotowa do wyjazdu do mojej rodziny - przymilała się Isleen. - Bardzo możliwe, że nigdy w życiu już się nie zobaczymy. Czy te parę dni sprawi ci różnicę, droga Eleanore?

- Jestem pewien, że matka przełożona nie będzie mieć za złe tej zwłoki - poparł ją duchowny. - Lady Isleen opowiadała mi, z jakim poświęceniem zajmowałaś się bratem, moja córko. Masz prawo odpocząć kilka dni, zanim powrócisz do St. Friedeswide. Osobiście porozmawiam z matką przełożoną. Wrócisz, kiedy uznasz za stosowne.

- No cóż... - wahała się Elf. - Powinam wyznaczyć zarządcę majątku, dopóki matka przełożona nie postanowi, co zrobić z Ashlinem. No i muszę wydzielić posag Isleen, żeby go mogła zabrać ze sobą, wracając do rodziny. Kiedy skończy się okres żałoby, twój ojciec, Isleen, niewątpliwie znajdzie ci nowego męża.

- A więc zostajesz? - Isleen po dziecinnemu klasnęła w dłonie z radości. - Och, tak się cieszę! - Na ułamek sekundy jej wzrok pomknął ku Saerowi de Bude'owi, co nie uszło uwagi Idy.

Co też ta para knuje - zastanawiała się w duchu. Musi czuwać nad swą słodką dzieciną, bo jeszcze wyrządzą jej jakąś krzywdę. Oboje są niegodziwi i zdolni do wszystkiego.

Gdy następnego ranka ojciec Anselm odjechał do St. Friedeswide, Isleen natychmiast odszukała swoją szwagierkę.

- Jesteś teraz panią w Ashlinie, więc zabiorę swoje rzeczy z alkowy, abyś mogła zająć należne ci miejsce - powiedziała.

- Ależ nie! - zaprotestowała Elf. - Będziemy tu jeszcze tylko parę dni, siostrzo. Nie rób sobie kłopotu. Nie jestem przyzwyczajona do sypiania w osobnej komnacie. W St. Friedeswide dzieliłam dormitorium z innymi dziewczętami. Kiedy złożę śluby, przydzielą mi małą celę. Źle bym się czuła w alkwie. Ostatni raz spałam tam, gdy byłam dzieckiem.

- Wobec tego obie śpijmy w alkwie - przymilała się Isleen. - Nie uchodzi, żeby właścicielka dworu nocowała na posłaniu w izbie. Będziemy wspominać Richarda, zanim na zawsze się rozstaniemy - uśmiechnęła się ujmująco.

Ciekawe, co chodzi po głowie tej lisicy - zastanawiała się Ida.

- No, dobrze - zgodziła się Elf. - Oczywiście, jeżeli nie na-

rażę cię w ten sposób na niewygodę. To przecież tylko kilka dni.

- Cudownie! - zaszczebiotała Isleen. - Od razu przenieśmy twoje rzeczy, siostró!

- Ja to zrobię, pani - wtrąciła szybko Ida.

Miała ochotę sprawdzić, czy przypadkiem nie ma w alkuwie czegoś, co mogłoby wzbudzić jej niepokój. Nie zajrzała do tego pomieszczenia, odkąd zabrano stamtąd małą Elf.

- Tylko nie dotykaj moich rzeczy - zaznaczyła jadowicie Isleen. - Poznam, czy je ruszałaś!

Ida zmierzyła młodą kobietę gniewnym spojrzeniem, ale nie odezwała się ani słowem. Nie, moja pani - myślała wzburzona. - Nie dotknę twoich rzeczy, ale możesz być pewna, że sprawdzę, czy żaden z przedmiotów należących do Ashlinu nie zaplątał się w twoje bagaże!

Stara niania pozbierała nieliczne ubrania Elf i zniknęła w alkuwie. Wewnątrz panował bałagan i brud. Ida wyszła, nie położywszy nawet tobołka, i zamaszystym krokiem skierowała się prosto do Elf.

- Pani, nie możesz się tam przenieść. Komnata jest zapuszczona, a bałagan w niej taki, że nie ma kawałka wolnego miejsca. Dopóki alkuwa nie zostanie wysprzątana, lepiej, żebyś spała w izbie.

- Dlaczego w alkuwie jest brudno? - Elf zwróciła się do bratowej.

W zakonie przywiązywano wielką wagę do utrzymywania czystości.

- Od śmierci Richarda służący nie spełniają żadnych moich poleceń - żaliła się płacząco Isleen. - Nawet moja pokojówka gdzieś zniknęła.

- Nie dziwię się. Poza tym to nie wygląda mi na parodniowy bałagan - mruknęła Ida do Elf.

Trudno odgadnąć, czy Elf usłyszała jej słowa, bo nie dała tego po sobie poznać.

- Kto służy pani Isleen? - zapytała. - Niech dziewczyna dalej wykonuje swe czynności, dopóki wdowa po moim bracie nie wyjedzie z Ashlinu do domu rodziców. Dopiero wtedy zostanie zwolniona z tego obowiązku. Niech służąca stawi się tu natychmiast i poukłada rzeczy pani Isleen. Komnata ma być wysprzątana. Wprowadzę się do alkuwy dopiero wtedy,

kiedy będzie w niej czysto. Jeszcze tej nocy mam zamiar tam spać. Zrozumiano?

Ochmistrz Ashlinu, Cedric, wysunął się naprzód.

- Natychmiast się wszystkim zajmę, pani. Twoje słowo jest dla mnie rozkazem.

- Doskonale, Cedricu. A teraz obie z lady Isleen zostawiamy alkowę pod twoim nadzorem - uśmiechnęła się serdecznie.

Widok służby śpieszącej wykonać polecenie swej nowej pani rozzłościł Isleen. Jej rozkazów nigdy nie wypełniali tak skwapliwie. Uznała, że wykorzystując naiwność Eleanore, chcą przez te parę dni zrobić na niej dobre wrażenie. Kiedy Saer zostanie tu panem, a Elf będzie sprawować swe krótkie rządy jako jego żona, odsłonią swoje prawdziwe oblicze, bo wszyscy oni są z natury leniami i nierobami. Dlatego Isleen ogarnęło zdumienie, kiedy wraz z Elf późnym popołudniem weszły do alkowy. Nie pamiętała, żeby od jej przyjazdu do Ashlinu było w niej tak czysto i panował tak nieskazitelny porządek.

Ściany i kamienna posadzka zostały wyszorowane. Wyczyszczony kominek przestał dymić. Umyto nawet dwa wąskie, zakończone łukami okna! Teraz wpadały przez nie promienie chylącego się ku zachodowi słońca. Najwyraźniej wytrzepano i wyszczotkowano oba kobierce wiszące na ścianach, bo ich kolory nabrały życia, a pajęczyny zniknęły. Nad łóżem, które kiedyś Isleen dzieliła z Richardem, upięto świeżą drapekę, czysta pościel i nowe puchate poduszki pachniały lawendą, a dobrze przewietrzony materac z pierza na powrót nabrał miękkości. Dwie skrzynie należące do Isleen zostały przestawione. Leżały w nich jej starannie poukładane rzeczy. U stóp łóża stał nieco mniejszy, kolorowy kufer, którego nigdy przedtem nie widziała. Zauważyła w nim ubrania szwagierki.

Elf roześmiała się i z radości aż klasnęła w dłoń.

- Kufer mojej mamy! - powiedziała z zachwytem w głosie. - Nie widziałam go od wyjazdu z Ashlinu. Bardzo mi się podobał, bo jest pomalowany w ptaszki i zwierzątka. Kiedyś należał do mojej antenatki, Roweny. - Elf uważnie przesunęła wzrokiem po komnacie. - Prawda, Isleen, że pięknie posprzątała? Jaki tu porządek! Chodź, pójdziemy powiedzieć Ce-

dricowi, że jesteśmy zadowolone. - Elf ujęła wypięlegnowaną dłoń bratowej.

Isleen wyszarpnęła rękę.

- Mamy go chwalić, bo służba zrobiła, co do niej należało?! Dawno powinni się byli tym zająć! Nie mam zamiaru nikomu dziękować.

- A ja to zrobię - oznajmiła Elf. - Przecież czeladź, tak samo jak my, jest przygnębiona śmiercią Richarda. Wygaś stary saksoński ród. De Montfortowie już nie będą rządzić Ashlinem. Czeladź i ich rodziny od wieków byli przypisani do tej ziemi. Oni się boją o swój los, Isleen.

- Eleanore, stary ród, o którym mówisz, wcale nie musiałyby wygasnąć, gdybyś, zamiast na resztę swoich dni zamykać się w klasztorze, pomyślała o małżeństwie - odparowała Isleen. - Teraz, kiedy Richard odszedł na zawsze, a ja nie mam dziecka, które odziedziczyłoby tę ziemię, twoją powinnością jest zrezygnować z zakonu i urodzić spadkobiercę. Ale ty z właściwym sobie egoizmem wolisz realizować własne plany niż przyjąć na siebie obowiązek zesłany przez Boga.

Elf wyglądała na zszokowaną. Ani przez chwilę nie brała pod uwagę takiej możliwości. Nie wyjdzie za mąż!

- Isleen, ja już jestem zakonnicą - powiedziała z naciskiem.

- Eleanore, nie złożyłaś jeszcze ślubów. Richard umieścił cię w St. Friedeswide, ponieważ wiano, jakie wyznaczył twój ojciec, było zbyt skromne, aby znaleźć ci męża, który posiadałby odpowiednią pozycję i własną ziemię. Richard bardzo starannie przedyskutował wszystko z moimi rodzicami, zanim zdecydował się oddać cię do klasztoru. Zakonnice z wielką radością przyjęły twój mizerny posag, a ty, służąc Panu, miałabyś zapewnione spokojne, dobre życie. Teraz jednak zostałam dziedziczką poważnej fortuny. Masz posiadłość z inwentarzem, dworem i czeladzią. Stanowisz świetną partię dla rycerza z jakiegoś dobrego rodu.

- Wybrałam już drogę życia - odparła stanowczo Elf. - Ślubowałam Bogu, kiedy miałam dziesięć lat. Właśnie wtedy zostałam postulanką. Dwa lata później dostąpiłam zaszczytu rozpoczęcia nowicjatu. W październiku, w święto St. Friedeswide, złożę śluby wieczyste i stanę się siostrą Albaną. I tylko tego pragnę. Takie jest życzenie Boga. Żle czynisz, Isleen, pró-

bując mnie sprowadzić z wybranej drogi. Żadne twoje argumenty nie są w stanie mnie przekonać.

- Cóż, myślę, że nie masz racji - powiedziała Isleen, a w duchu dodała: Bardzo mi jest na rękę ta twoja niezłomność. Z jeszcze większą radością będę się przyglądać, jak Saer pozbawia cię czci i nagina do swojej woli. Nauczy cię używać ust nie tylko do modlitwy. Pokaże ci, jak należy całować, lizać, ssać i jak dawać rozkosz mężowi na tak różne sposoby, jakich nawet nie jesteś w stanie sobie wyobrazić, mała zakonniczko! Dostaniesz lekcję posłuszeństwa, jakiej nigdy nie dano ci w tym twoim klasztorze. A kiedy urodzisz Saerowi silnego syna i dziedzica, osobiście wyślę cię na tamten świat.

4

- Będę spała na dostawionym łóżku - oznajmiła Elf, gdy szykowały się do snu.

- Najpierw musimy się wykapać - odparła Isleen. - Wanna z wodą dla nas czeka gotowa przy kominku. Możesz się pierwsza wykapać, droga siostrze.

Elf rzuciła niepewne spojrzenie na wielką dębową kadź. Z łatwością pomieściłyby się w niej dwie osoby. W klasztorze kapały się w niewielkich cebrzykach. Nachyliwszy się, zdjęła znad kolan podwiązki, wysunęła stopy z pantofli i zrolowała pończochy. Ściągnęła przez głowę szarą tunikę z małym, okrągłym dekoltem, złożyła ją starannie, a na wierzchu położyła spódnice. Następnie podpięła włosy i zaczęła wchodzić po stopniach do kadzi.

- Zamierzasz się kąpać w ubraniu?! - krzyknęła do niej Isleen. - Eleanore, masz na sobie koszulę!

- Tak nas w klasztorze nauczono - wyjaśniła Elf. - Ze względu na skromność. Nie należy bezwstydnie obnażać ciała.

- Nie jesteś w klasztorze - przypomniała jej Isleen - więc ściągnij koszulę i wykąp się porządnie. Nikt cię tu nie zobaczy. Obiecuję, że nie będę na ciebie patrzeć, skoro jesteś taka wstydliva.

- Więc się odwróć - zażądała Elf.

Nie była w nastroju do sporów i szczerze mówiąc, cieka-

wiło ją, jakie to uczucie, gdy woda obmywa nagie ciało. Kiedy Isleen odwróciła się do niej plecami, zdjęła długą koszulę i upuszczając ją na podłogę, weszła do kadzi. Woda była gorąca i ładnie pachniała. Cudownie pieściła skórę. Westchnęła z rozkoszy. Nie zazna takich luksusów po powrocie do klasztoru. Lecz zaraz skarciła się w myślach. Potrafi się obejść bez zbytków. Szybko się przystosuje do życia w klasztorze.

Saer de Bude, ukryty za gobelinem, omiótł taksującym spojrzeniem nagie ciało dziewczyny, zanim zanurzyła się w wodzie. Co prawda nie była tak pończta jak jego kuzynka Isleen, ale proporcje miała idealne. Ledwo opanował pokusę, by nie wyjść ze swojej kryjówki i nie rzucić się na nią już teraz. Zaplanował jednak nad sobą, mając w pamięci jej histeryczną reakcję sprzed dwóch dni. Musi dziewczynę nieco oswoić, zanim ją uwiedzie.

Isleen podeszła do jego kryjówki.

- I co? - szepnęła. - Jak ci się podoba, kuzynie?

- Miło z nią będzie poswawolić - wymruczał tak cicho, że ledwo go usłyszała.

- Idź już! - poleciła i wydała z siebie westchnienie ulgi, słysząc ciche trzaśnięcie sekretnych drzwi w ścianie pod gobelinem.

- I jak, Eleanore? Przyjemna kąpiel? - zapytała, odwracając się.

- Och, tak! - przyznała Elf. - O wiele milej kąpać się bez koszuli, ale niestety w klasztorze obowiązuje nas skromność, siostrzo.

- Eleanore, mogłabyś przynajmniej zastanowić się nad tym, co ci powiedziałam - przekonywała ją łagodnie. - Jesteś śliczną dziewczyną. Gdybyś tylko chciała, znalazłoby się wielki kandydatów do twej ręki. Mój ojciec, baron Hugh, na pewno chętnie wzięłby na siebie rolę twego opiekuna. Ashlin cię potrzebuje!

- Bóg mnie powołał - odparła Elf. - Źle bym zrobiła, postępując wbrew Jego woli. Przestań mnie nękać, Isleen. Ty wiedziałas, że pragniesz wyjść za mąż, a ja wiem, że chcę zostać w zakonie, więc nie ma o czym mówić.

Isleen zasznurowała usta. Jeżeli Saer uważa, że przełamie upór dziewczyny, to się grubo myli. Będzie musiał ją zgwałcić, jeśli chce zdobyć Ashlin.

- Tu masz kawałek miękkiej tkaniny do wytarcia - powiedziała. - Wychodź z wody, póki jeszcze ciepła, żebym się też zdążyła wykapać.

- Odwróć się! - poleciła Elf, wstając, chociaż wysoki brzeg kadzi całkowicie zasłaniał jej nagie ciało. Wyszła z wody i chwytając za ręcznik, szczelnie się nim owinęła. Zarumieniła się na widok obnażonego ciała Isleen, kiedy ta, zrzuciwszy koszulę, podeszła do kadzi i z nieukrywaną rozkoszą zanurzyła się w ciepłej wodzie. Elf się wytarła, założyła koszulę i wyciągnęła się na dostawionym łóżku.

Isleen skończyła kąpiel i wyszła z cebrzyka. Widząc Elf na wąskim pościaniu, zaczęła protestować.

- Jesteś panią w Ashlinie. Łoże jest twoje - przekonywała ją.

- To małżeńskie łoże. Spali w nim moi rodzice, a potem ty z Dickonem. Chyba czułabym się w nim niezręcznie.

- W takim razie śpijmy w nim obie, głuptasku - zaproponowała Isleen.

- Nie. Jest mi tu całkiem wygodnie. Niech Bóg ci ześle spokojny sen. Dobranoc, Isleen - zakończyła i zaczęła po cichu odmawiać modlitwę.

Mała świętoszka - pomyślała Isleen i przewróciła się na bok, podciągając pod brodę puchową kołdrę. Perspektywa spędzenia samotnej nocy mocno jej była nie w smak. Postanowiła więc, że wymknie się z alkowy i odwiedzi Saera na jego poddaszu, kiedy mała zakonniczka zaśnie na dobre. Ciekawe, czy wziął dziś do łóżka jakąś dorodną dziewczkę. Miała nadzieję, że tak. Bardzo lubiła te zabawy we troje. Nieraz nachodziła ją ochota, żeby wezwać do sypialni kogoś z młodych, muskularnych pachotków, ale Saerowi ten pomysł nie przypadł do gustu. Czasami wydawał się jej nieznośny i trudno z nim było wytrzymać, ale to wcale nie osłabiało jej uczucia do niego. Zapałała do niego miłością już w dzieciństwie. Wychowywali się razem, bo jej rodzice wzięli go pod swój dach, kiedy miał sześć lat. Isleen była najmłodsza z rodzeństwa, więc w przeciwieństwie do trzech siostr i braci mieszkała jeszcze wtedy w domu. Isleen przymknęła powieki. Zdrzemnie się trochę, a kiedy się przebudzi, odwiedzi Saera.

Gdy Elf otworzyła oczy, słońce stało wysoko. Początkowo nie bardzo wiedziała, gdzie się znajduje. Dopiero po chwili przypomniała sobie, że tej nocy spała w alkwie. Przeciągnęła się, wstała z łóżka i sięgnęła po ubranie. Kiedy Ida zamasyżystym krokiem weszła do komnaty, była już gotowa.

- No, w końcu wstałaś, dziecino - powiedziała. - Nie chciałam cię budzić, bo potrzeba ci było snu. Odkąd tu przyjechałaś, ani chwili nie wypoczęłaś, zajmując się cały czas swoim biednym bratem. Panie, świeć nad jego duszą! Chodź teraz do izby, śniadanie czeka.

- Która godzina? - spytała Elf, podążając za Idą.

- Dochodzi południe.

- Och! - Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy od wielu dni czuła się odprężona. - Gdzie pani Isleen?

- Na przejażdżce z tym swoim kuzynem - odparła Ida. - Chciała cię obudzić, byś pojechała z nimi, ale się nie zgodziłam. Bardziej ci potrzeba porządnego wypoczynku niż przejażdżek w towarzystwie tych dwojga.

- Gdzie jest Cedric? - zapytała Elf, siadając do stołu. - Muszę się zająć posagiem Isleen, aby mogła wrócić do domu ojca. Na pewno będzie chciał ponownie wydać ją za mąż.

- Najpierw trzeba coś zjeść i nabrać sił - oświadczyła Ida tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Jesz tyle co ptaszek! Czy cię tam głodzili w tym twoim klasztorze? - Skinęła na służących, by podali śniadanie.

- Obżarstwo jest śmiertelnym grzechem, Ido. Należy jeść tylko tyle, żeby utrzymać się przy życiu. Nigdy nie byłam głodna w St. Friedeswide. Słowo honoru! Odnoszę wrażenie, że w Ashlinie przyrządza się zbyt wiele jedzenia, marnując je w ten sposób.

Skłoniła głowę do krótkiej modlitwy, przeżegnała się i zaczęła jeść owsiankę, którą służący podał jej w drewnianej misce. Nieco z boku na stole stał talerz z jajkiem na twardo i małym klinkiem sera, a przed nią kubek z rozcieńczonym winem, doprawionym ziołami i korzeniami.

- To, co zostaje z pańskiego stołu, zjada służba, bo jak inaczej by się wyżywili? - odezwała się Ida. - Takie jest ich prawo. A resztki dostają żebracy, którzy często pukają do naszych drzwi. Przez te wojny wszystkim się ciężko żyje. Miesz-

kając w klasztorze, miałś zapewnione bezpieczeństwo, ale świat inaczej jest zbudowany.

- Sam dobry Bóg nakazuje miłosierdzie - odrzekła Elf. - Poprawię się, Ido.

- Jedz swoje śniadanie - ucięła stara niania, dodając śmietany do owsianki.

Elf roześmiała się. Miała tego ranka wilczy apetyt. Kiedy skończyła owsiankę, zjadła kawałek chleba z serem i jajko, po czym wysączyła wino do ostatniej kropli. Tymczasem w izbie zjawił się Cedric i stając przed nią, czekał na znak, żeby przemówić. Skinęła mu głową.

Odpowiedział jej pełnym szacunku ukłonem.

- Przejrzałem dokumenty, aby dokładnie ustalić, jaki posag wniosła pani Isleen. Okazało się, że w większości były to monety, które twój brat, pani, Boże świeć nad jego duszą, skrzętnie odłożył. Nigdy ich nie ruszył, więc nadal leżą w kufrze, w którym przyjechały. Pani Isleen przywiozła również trochę sprzętów i konia pod wierzch. Wszystko zostało szczegółowo spisane, więc nie będzie trudności z oddzieleniem jej rzeczy od tego, co należy do Ashlinu.

- Jak szybko się z tym uporasz, Cedricu? Jestem pewna, że pani Isleen zależy na jak najszybszym powrocie do rodziny, a ja też chciałabym już się znaleźć wśród siostr w St. Frideswide.

Cedric uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Do wieczora powinienem wszystko uporządkować, więc jutro będziesz mogła, pani, wyjechać z Ashlinu. Czy tak będzie dobrze?

- Wprost idealnie, Cedricu. - Obdarzyła go lekkim uśmiechem. - Dobrze służyysz naszej rodzinie. Tak zawsze twierdzili moja mama i brat. Ani trochę się nie zmieniłeś przez te lata.

- Pani, czy mogę cię o coś zapytać?

Skinęła głową.

- Co z nami będzie, kiedy wrócisz do klasztoru?

- Jako zakonnica nie mam prawa niczego posiadać - wyjaśniła Elf. - Przekażę Ashlin na własność zakonowi. Matka przełożona uczyni z nim to, co uzna za stosowne. Być może powstanie tu nowy zakon, albo też dwór i ziemia pójdą w dzierżawę lub nawet zostaną sprzedane. Ja o tym nie decyduję, ale jedno ci mogę zagwarantować: przypisańcy i wy-

zwolenci, którzy od pokoleń mieszkają na tej ziemi, są nierozwalnie z nią złączeni i nadal tu pozostaną. Matka przełożona jest mądrą i dobrą kobietą. Nie pozwoli, by stała się wam krzywda. Masz na to moje słowo, Cedricu. Słowo Eleanore de Montfort. A jak sam wiesz, słowo de Montfortów wart jest tyle, co złoto!

- Dzięki ci, pani - odpowiedział ochmistrz. - Musiałem to wiedzieć, aby móc zapewnić ludzi, że po twoim wyjeździe, pani, nie spotka ich nic złego. Bardzo nam żal, że nie zostaniesz z nami, pani.

- Nie mogę. Taka jest wola Boga. Możesz teraz odejść, Cedricu. Dopilnuj przygotowań do wyjazdu wdowy po moim bracie.

Ochmistrz uklonił się i wyszedł. Elf rozejrzała się po izbie. Nie miała tu nic do roboty. Na spakowanie rzeczy wystarczy kilka minut. Ida się tym zajmie jutro rano przed samym wyjazdem z rodzinnego domu. Postanowiła zajrzeć jeszcze do herbarium. Miała tam parę spraw do załatwienia. Rośliny w małym ogródku bujnie się rozrosły, szkoda byłoby je zostawić. Pozbiera, co się da, i zawiezie do klasztoru. Siostra Winifreda się ucieszy. Elf wybiegła z izby i dziarsko ruszyła ścieżką przez ogród. Pomachała do Artura, który pielił chwasty pomiędzy krzewami róż. W oddali dostrzegła dwie sylwetki jeźdźców zmierzających w stronę domu. To na pewno Isleen i jej odpychający kuzyn - pomyślała.

Elf zaśmiała się pod nosem. Saer de Bude omijał ją z daleka od incydentu przy kredensie. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego wtedy chwycił ją torsje. Przecież wcale się go nie bała. On ją po prostu napawał obrzydzeniem, a jeszcze do tego cierpiała akurat na swą miesięczną niedyspozycję. Niewątpliwie musiała go do siebie zniechęcić, z czego była ogromnie rada. A tamten płacz był wynikiem frustracji. Łzy przyniosły jej ulgę. No i, podobnie jak to się nieraz zdarzało w chwilach strachu w dzieciństwie, Artur podniósł ją na duchu. Teraz zdała sobie sprawę, że jego przyjaźń była jedną z tych niewielu rzeczy, których brakowało jej po wyjeździe z Ashlinu i za którymi znowu będzie tęsknić. Wiele przyjdzie mi poświęcić - pomyślała.

Lecz czy poświęcenie nie stanowi esencji religijnego życia? Z drugiej strony, kto wie, czy w stwierdzeniu Isleen, że

przedkłada własne pragnienia nad obowiązek względem rodziny, nie kryła się odrobina prawdy? Ale przecież to sam Bóg kieruje ludźmi. Eleanore de Montfort potrząsnęła głową. Nigdy dotąd nie nachodziły jej takie niepokojące myśli. Nigdy, przenigdy, nawet przez chwilę nie miała wątpliwości, że Bóg wybrał ją na jedną ze swych oblubienic. Skąd teraz te rozterki? Szatan! To muszą być podszepty szatana! Przeżegnała się i weszła do herbarium. Zauważyła, że palenisko w kominiku było zimne.

Sporządzą nieco eliksirów i maści i zabiorę je do klasztoru - pomyślała.

- Arturze! - zawołała. - Pójdź do domu i przynieś trochę rozżarzonych polan, żebym mogła rozpalić w kominku! Poproś Cedrica, niech ci znajdzie na nie jakiś garnek!

- Już biegnę, pani! - odkrzyknął Artur, puszczając się pędem.

Elf podeszła do studni, wyciągnęła wiadro wody, po czym wniosła je do chaty. Przetarła na mokro blat wyłożony łupkiem, postawiła wiadro pod stołem i sięgnęła po moździerz oraz tłuczki z półki. W ogrodzie oberwała największe liście z jasnozielonych główek sałaty i zniosła je do herbarium, żeby je opłukać.

Wrzuciła liście do kociołka z wodą. Zagotowane z miodem i odparowane do konsystencji syropu, staną się podstawą uspokajającego napoju, który zsyła sen podobnie jak mak, a także neutralizuje ugryzienia pajaków.

Następnie sięgnęła po pęk wysuszonych liści szanty, pokruszyła je, wrzuciła do moździerza i utarte na proch przesyłała do kamionkowego naczynia. Z tego proszku będzie można przyrządzić leczniczą herbatkę albo syrop. Wiadomo bowiem, że szanta leczy żółtaczkę, przewlekły kaszel, a także korzystnie działa przy utracie ostrości wzroku, bardzo częstej przypadłości wśród starszych sióstr w zakonie.

- Przyniosłem węgle, Elf. Czy mam rozpalić pod kominikiem? Zdaje się, że chcesz zagotować kociołek wody? - zapytał Artur, wnosząc do herbarium garnek z żarzącymi się polanami.

- Robię syrop z sałaty - wyjaśniła. - Tak, Arturze, rozpal ogień, a potem możesz wrócić do swojej pracy. Dziękuję ci. Będę w ogrodzie.

Najpierw nabierała do kosza szaławii, która działała uspokajająco, potem zerwała mięte, leczącą wymioty, czkawkę i wszelkie dolegliwości żołądkowe, następnie gorczycę, skuteczną w przypadku chorób stawów, a szczególnie podagry, oraz anyż, środek przeciw wzdęciom.

- No, będę się zbierał - powiedział Artur. - Kominek dobrze ciągnie, woda w kociołku zagotuje się łąda chwila. Elf, czy mam ci zanieść ten kosz?

- Nie, dam sobie radę - odparła i pomachała mu na pożegnanie, kierując się do chaty. Postawiła kosz na małym stoliczku i zaczęła segregować świeżo zebrane zioła. Właśnie kończyła swe zajęcie, kiedy uchyliły się drzwi. Elf podniosła wzrok.

- Czego szukasz, panie? - zapytała chłodno.

- Eleanore, pragnę cię przeprosić. Tamtego dnia zachowałem się niewłaściwie. Ale - Saer de Bude ciągnął dalej - każdy mężczyzna, który miałby okazję choć raz na ciebie spojrzeć, z miejsca by mnie rozgrzeszył, bo nawet ten szary habit nie jest w stanie ująć ci urody, pani.

- Przyjmuję twoje przeprosiny, panie, bo odmawiając wybaczenia, nie zachowałabym się po chrześcijańsku - odpowiedziała.

- Co robisz w tej chacie?

- Sporządzam lekarstwa, tynktury i maści - wyjaśniła, pragnąc, by jak najszybciej odszedł.

- Jak dobra pani domu - uśmiechnął się.

- Jestem asystentką naszej infirmerki, siostry Winifredy - przypomniała mu.

- Co tam gotujesz w tym kociołku? - Wsunął się do chaty, zamykając za sobą drzwi, po czym zajrzał do garnka. - Pachnie znajomo.

- Robię syrop z sałaty - odpowiedziała. Kiedy on wreszcie pójdzie - pomyślała.

- Słyszałem, że sałata przytępia zmysły - zauważył.

- Ty na pewno jej nie jadasz, panie.

Saer de Bude zaśmiał się hałaśliwie. Cicha woda z tej małej zakonniczki! Potrafi być dowcipna. Tego się po niej nie spodziewał. I wcale nie jest taka ograniczona i nudna, jak mu się wydawało. Wcale nie...

- Pani - zaczął - będę z tobą szczerzy. - W tej chwili Saer

doszedł do przekonania, że akurat w przypadku tej dziewczyny wszelka obłuda jest nierozsądna. - Jestem młodszym synem. Chcę mieć własną posiadłość. Jeżeli zmienisz zdanie i nie wrócisz do klasztoru, masz we mnie dobrą partię. Moja matka była z domu de Warenne, a rodzina mego ojca cieszy się wielkim poważaniem w Normandii. Jestem człowiekiem honoru.

- Nie, panie, wcale nie masz honoru, bo cudzołożyłeś z żoną mego brata. Nie jestem aż taka naiwna, żeby się nie zorientować, chociaż, jak mi Bóg miły, wolałabym się mylić. Mogę jedynie żywić nadzieję, że Dickon o tym nie wiedział, jednak obawiam się, iż się domyślił, bo nie należał do głupców. Służba szepce między sobą, że razem z Isleen truliście mego brata. Niestety, z braku dowodów nie można was formalnie oskarżyć. Dlatego ujdzie wam to na sucho. A co do mnie, zostałam wybranką Boga i żaden mężczyzna mnie nie poślubi. Jeśli pragniesz mieć Ashlin, porozmawiaj z przeoryszą, matką Eunice. Ona zadecyduje, co zrobić z Ashlinem; być może będzie szukać dzierżawcy.

- Nie zamierzam być dzierżawcą - odparł ponuro Saer i pochwywszy Elf, przyciągnął ją do siebie. - Pani, zdobędę Ashlin i ciebie, czy z twoją wolą, czy wbrew niej!

Elf usiłowała się wywinąć z jego objęć, ale mocno ją trzymał.

- Proszę mnie natychmiast puścić - zażądała stanowczym tonem.

Śmiejąc się drwiąco, wpił się w jej miękkie usta w brutalnym pocałunku. Przyciskając Elf ramieniem do swej szerokiej piersi, wolną ręką sięgnął do dekoltu tuniki i szarpnąwszy z całej siły, rozdarł ją razem z koszulą. Rozsunął brzegi materiału, odszukał jej pierś i zaczął ją brutalnie ugniatać.

Niespodziewana napaść zaskoczyła i przeraziła Elf. Straciła oddech pod żelaznym uściskiem jego ramienia. Szarpała się rozpaczliwie, pragnąc oderwać usta od jego warg. Chciała krzyżeć, ale z zaciśniętego gardła wydobył się zaledwie słaby pisk. Kręciło się jej w głowie, za wszelką cenę starała się zachować przytomność.

- W tobie drzemie wulkan namiętności, Eleanore - wycharczał Saer. - Ja go zbudzę!

Przyssał się wargami do jej białej szyi, nadal lubieżnie obmacując pierś.

- Kiedy skończę, żaden zakon na ziemi cię nie zechce, moja piękna. Nie będziesz już niewinną gołąbeczką, Eleanore.

Podciął jej nogi. Straciła równowagę i runęła na ziemię. Impet upadku ponownie pozbawił ją oddechu. Saer stanął nad nią okrakiem i poluzował ubranie, uwalniając nabrzmiąły członek.

- Patrz, co dla ciebie mam, moja śliczna!

Opadł na nią, przgniatając ją całym swoim ciężarem.

Wstrząs wywołany widokiem obnażonego Saera przywrócił Elf głos. Krzyczała, ile sił w płucach. Opuściło ją odrętwienie. Zmagała się z Saerem z taką determinacją, jakby ceną było życie. W pewnym sensie tak właśnie było. Jeśli ją zgwałci, nie będzie mogła wrócić do zakonu. Zmuszą ją do małżeństwa z Saerem, a to była ostatnia rzecz pod słońcem, jakiej Eleanore de Montfort pragnęła. Orała paznokciami jego urodziwą twarz, kiedy zadarłszy jej spódnice, rozsuwał kolanami zaciśnięte uda. Jej oszalały krzyk niósł się w ciszy letniego popołudnia jak dźwięk dzwonu bijącego na alarm.

- Zamknij się, ty mała dziwko! - Saer bił ją po twarzy, chcąc zmusić do milczenia. Ale Elf nie przestawała krzyczeć.

- Ratunku! - wołała najgłośniej, jak potrafiła. - Ratunku!!!

- Sama tego chciałaś! - warknął. - Przyszynaj się, mała dziwko. Chciałaś tego!

- Nie! - krzyczała. - Niee!

- Spodoba ci się - wycharczał. Opór dziewczyny podsycił jeszcze jego podniecenie.

Boże, ratuj mnie - błagała gorączkowo Elf, czując, że opada z sił.

Jakby w odpowiedzi na jej modlitwę drzwi do herbarium otworzyły się z hukiem i usłyszała wiązki soczystych przekleństw. W tej samej chwili Artur złapał Saera za kark i ściągnął go z wrywającej się dziewczyny. Ułamek sekundy później jego pięść wylądowała na szczęce Saera. De Bude runął jak długi, po drodze zawadzając głową o krawędź stołu. Elf podniosła się z podłogi, obciągając spódnice i zgarniając brzegi rozdartej tuniki.

- Idziemy! - powiedział Artur, chwytając ją za rękę.

- Ale on jest ranny - zaoponowała. - Muszę go opatryć.

Artur wyprowadził ją z chaty.

- Przyślemy kogoś z dworu, niech się nim zajmie. Na Bo-

ga, Elf, albo jesteś święta, albo niespełna rozumu! Ten obleśny sukkinsyn próbował cię zgwałcić, a ty będziesz opatrywać mu rany?!

Ciagnął ją za sobą do dworu ścieżką przez ogród.

- Cedricu, babciu! - zawołał, stając na progu izby.

- Matko Boska i wszyscy święci!!! - jęknęła Ida na widok Elf. - Co się stało mojej dziecinie?!

- De Bude próbował ją zgwałcić - wyjaśnił Artur ponuro.

- Dzięki Arturowi do niczego nie doszło - odezwała się

Elf. - Ale Saer leży ranny w herbarium. Artur go uderzył, a on, padając, zawadził głową o blat stołu. Poślijcie kogoś po szeryfa! Złożę na de Bude'a skargę o napaść na mnie.

- Nie! - Cedric powstrzymał ją grobowym tonem. - Pani, to Artura uwiężą, bo jest służącym, a podniósł rękę na szlachcica. Za takie przestępstwo skazuje się na śmierć. Zajmiemy się rycerzem, a ty, pani, wracaj jak najprędzej do klasztoru. Artur musi jechać z tobą i błagać o azyl. Tam przeczeka bezpiecznie, dopóki nie wyjaśnisz szeryfowi, co zaszło. Twoje zeznanie, pani, będzie bardziej wiarygodne, jeśli złożysz je na terenie klasztoru, a nie tu, w Ashlinie. Biegnij do stajni, chłopcze, i osiodłaj dwa konie. A ja, pani, obiecuję, że zajmę się szlachcicem.

- Zanim wyjadę, muszę wiedzieć, czyśmy go czasem nie zabili - powiedziała Elf.

- Sam to sprawdzę - odrzekł Cedric i w pośpiechu opuścił izbę.

Kiedy wrócił kilka minut później, Ida zdążyła już spakować węzełek Elf, a ona sama zmieniła koszulę i tunikę. Krzątały się cicho, aby nie zbudzić Isleen drzemiącej w alkwie.

- De Bude przeżyje - oznajmił Cedric. - Już próbował siadać. Powiedziałem mu, że przyślę pomoc. Pani, musisz się śpieszyć. Na wszelki wypadek wyprowadzimy pozostałe konie na pastwisko, choć nie sędzę, aby w ciągu najbliższych dwóch dni de Bude był w stanie ruszyć w pościg. Rana jest poważna, lecz, niestety, nie śmiertelna.

- Cedricu, tych dwoje ma się wynieść z Ashlinu, gdy tylko de Bude będzie w stanie podróżować. Poślij w moim imieniu umyślnego do barona Hugh, niech przyśle eskortę dla swej córki i jej kuzyna. Kiedy przyjadą, ta kreatura ma być gotowa do drogi, nawet jeśli mieliby go wieźć na noszach.

- Tak, pani - odpowiedział ochmistrz, uśmiechając się nieznacznie. - Niech Bóg cię prowadzi, pani.

- Zostańcie z Bogiem! - powiedziała na pożegnanie Elf i nie zwlekając dłużej, razem z Idą wyszły na dziedziniec, gdzie Artur już czekał z dwoma końmi.

Chłopak pomógł swej pani usiąść w siodle, po czym wskoczył na swojego wierzchowca.

- Do widzenia, babciu! - zawołał.

Ida się rozpłakała.

- Nie płacz, Idó - pocieszyła ją Elf. - Nie pozwolę, by cokolwiek stało się Arturowi. Nie zrobił nic złego. Gdyby jednak sprawy przybrały niekorzystny obrót, wyślę go do Walii, gdzie będzie go chronić normańskie prawo. - Elf podniosła dłoń starej kobiety do ust i pocałowała. - Żegnaj, moja droga niani! Niech Bóg cię ma w opiece!

- Niech Najświętsza Paniienka nad tobą czuwa, dziecino - zaszlochała Ida i odwróciwszy się gwałtownie, pobiegła do dworu.

- Potrafisz jechać szybciej niż stępa? - zapytał Artur.

- A ty? - odpowiedziała pytaniem i puściła konia galopem.

Przejechali osiem mil do St. Friedeswide bez jednego postoju i o zachodzie słońca byli na miejscu.

- Witamy z powrotem, Eleanore de Montfort! - pozdrowiła ją furtianka, siostra Perpetua, kiedy wjechali przez bramę.

- Dziękuję, droga siostró! - odpowiedziała Elf. - To Artur, mój służący. Chce prosić o azyl. Jestem pewna, że kiedy matka przełożona wysłucha jego opowieści, bez wahania mu go udzieli.

- Elf! - Isabeaux St. Simon wybiegła jej naprzeciw, kiedy Eleanore zsiadała z konia. - Nie wiedziałam, że dzisiaj wracasz!

- Ja też nie - odparła Elf. - Iso, poszukaj matki przełożonej i zapytaj, czy przyjmie mnie w bardzo pilnej sprawie.

Isa kiwnęła głową i pobiegła spełnić jej prośbę. Kilka minut później była już z powrotem.

- Matka przełożona chce cię widzieć w kapitularku - oznajmiła. - Kto to? - zapytała, rzucając spojrzenie w stronę Artura.

- Mój służący - odparła Elf, nie wdając się w wyjaśnienia.

- Aha. - Zainteresowanie Isy osobą Artura wyraźnie osłab-

ło. Ten przystojny, młody chłopak był tylko służącym. Przez chwilę myślała, że może teraz Elf, kiedy została dziedziczką, zrezygnuje ze ślubów. Że postanowiła wyjść za mąż, a ten młodzieniec jest jej wybrańcem.

- Chodź ze mną! - rzuciła Elf do Artura i ruszyła przez dziedziniec do kapitułarza. Skierowała się wprost do sali audiencyjnej, gdzie czekała matka Eunice. Padła przed przeoryszą na kolana, dotykając czołem posadzki w pełnym szacunku ukłonie.

- Wstań, moja córko. Co cię sprowadza w takim pośpiechu i kim jest ten młody człowiek? - odezwała się przeorysza.

- To Artur, mój służący, matko przełożona. Przybył błagać o azyl w klasztorze. Udziel mu schronienia, bo dziś uratował mnie przed losem gorszym niż śmierć - zaczęła Elf, podnosząc się z klęczek. Potem nakreśliła obraz sytuacji, jaką zastała w Ashlinie. Opowiedziała o śmierci brata, o naciskach bratowej, aby zrezygnowała ze stanu duchownego i wyszła za mąż, a także o napaści de Bude'a. - Gdyby nie to, że Artur był akurat w pobliżu i usłyszał moje wołanie o pomoc, zostałabym skalana i pohańbiona. - Elf załkała cicho. - Nie mogłabym wrócić do St. Friedeswide i zmuszono by mnie do małżeństwa z tym potwornym człowiekiem! Biedny Artur! Za to, że pośpieszył mi na ratunek, skazą go na śmierć, jeżeli matka przełożona nie udzieli mu schronienia.

- Arturze z Ashlinu, gwarantuję ci azyl w murach klasztoru St. Friedeswide na rok i jeden dzień. Jeżeli przez ten czas nie uda nam się wyjaśnić całej sprawy, zostaniesz tu tak długo, jak to będzie konieczne - oświadczyła przeorysza. - A teraz, młodzieńcze, idź do stajni. Tam rządzi siostra Josepha. Powiedz jej, że poleciłam, aby przydzieliła ci miejsce do spania i jakieś zajęcie.

Artur ukląkł przed przeoryszą.

- Matko przełożona, dziękuję za twą łaskawość! - Ujął rękę jej habitu, podniósł go do ust, po czym wstał i wyszedł z sali.

- Och, dzięki ci matko przełożona! Artur był towarzyszem moich dziecięcych zabaw. Kiedy wróciłam do Ashlinu, jako jeden z pierwszych bardzo serdecznie mnie powitał. Ida, jego babka, była moją piastunką. Nie mogłam dopuścić, żeby przeze mnie zginął... - Teraz Elf rozszłochała się na dobre.

Chociaż przeorysza widziała, że dziewczyna jest w szoku, nie mogła pozostawić paru istotnych kwestii bez wyjaśnienia.

- Moja córko, muszę dokładnie wiedzieć, co ten mężczyzna ci zrobił. Chodź, usiądź tu przy mnie. - Zaprowadziła Elf na ławkę pod ścianą. - Bądź ze mną szczerą, Eleanore de Montfort. Jeżeli skłamiesz, skażesz swą duszę na wieczne potępienie. Rozumiesz, córko?

- Tak, matko przełożona - odparła Elf. Przeszedł ją dreszcz. - On rzucił się na mnie i pocałował. Złapał mnie za pierś. A potem przewrócił mnie na podłogę i się obnażył. Mówił takie ohydne rzeczy. Opowiadał, co ze mną zrobi i jak bardzo mi się to spodoba. - Znowu przebiegł ją dreszcz, więc przełknęła ślinę, aby się uspokoić, i dzielnie brnęła dalej. - A potem położył się na mnie. Wzywałam pomocy, krzyczałam... Chwała Bogu, że Artur przybiegł. Odciągnął napastnika i wymierzył mu cios w szczękę. Wtedy właśnie de Bude zatoczył się do tyłu, a padając, uderzył głową o krawędź stołu. Widziałam, jak z rany trysnęła krew. Chciałam zostać i go opatrzyć, ale Artur mi nie pozwolił. Pobiegliśmy do dworu, a Cedric, mój ochmistrz, poszedł do szopy. De Bude żył, już odzyskał przytomność. Cedric powiedział mi, żeby się nie ruszać. Że zaraz przyśle pomoc. W tym czasie Ida spakowała moje rzeczy i uciekliśmy z Arturem do St. Friedeswide - zakończyła swą opowieść Elf.

- Czy napastnik dotknął przyrodzeniem twych intymnych miejsc, czy doszło do wniknięcia? - dociekała przeorysza.

- Nie! Absolutnie nie, matko przełożona! - Wyraz zgrozy na twarzy Elf upewnił ją, że dziewczyna mówi prawdę.

- Czy w tej chwili masz na sobie to samo ubranie, co podczas napadu? - zapytała Eunice. Musiała rozwiać wszelkie wątpliwości, choćby to miało być nie wiadomo jak bolesne.

- Tak, oprócz koszuli i tuniki - odparła Elf. - Podarł je, kiedy się na mnie rzucił. - Elf zbiełała na twarzy. - Czy mogę wziąć kąpiel, matko przełożona? Jeszcze czuję na sobie zapach tego mężczyzny.

- Naturalnie, moja córko, i wyjątkowo dziś wykąpiesz się bez koszuli. Przekaż siostrze Cuthbert, że ja tak poleciłam. Albo nie, sama jej to powiem. - Matka Eunice uniosła się z ławki. - Chodź, moja biedna Eleanore, poszukamy siostry Cuthbert, trzeba się tobą zająć.

Opuściły kapitularz i przeszły dziedzińcem do dormitorium dla wychowanek. Zarówno siostra Cuthbert, jak i Matti, obecnie siostra Columba, wybiegły Elf na spotkanie.

- Wejź do środka wraz z siostrą Columbą, moja córko, i wyjmijcie cebrzyk z szafki. Nalejcie wody nagrzanej nad ogniem. Weź ten mniejszy, Elf. Jest bardziej poręczny. Kiedy skończycie, dajcie mi znać - instruowała je przeorysza.

Kiedy dziewczęta zniknęły za drzwiami, przełożona zrelacjonowała historię Elf siostrze Cuthbert.

- Jestem przekonana, że Eleanore opowiedziała mi wszystko tak, jak spamiętała, ale czasami szok, strach... hmm, sprawdź, czy nie ma śladów krwi na jej spódnicy albo na udach. Elf zmieniła tunikę i koszulę, bo ten mężczyzna podarł je na niej. Musimy mieć pewność, czy pozostała nietknięta.

Wyraz przygnębienia odmalował się na twarzy młodej zakonniczki.

- Jakie potworne przeżycie spotkało tę biedną dziewczynę! Oczywiście zrobię, jak każesz, matko przełożona. Niemniej jestem pewna, że Eleanore mówiła prawdę. Bardzo poważnie podchodzi do swego powołania, nie skłamałaby. Kim jest ten młody człowiek, z którym przyjechała?

- To służący, który ją uratował. Ma na imię Artur. Udzieliliśmy mu azylu, ponieważ za ten odważny i szlachetny czyn grozi mu wielkie niebezpieczeństwo. Nie muszę ci mówić, jaka kara czeka służącego, który uderzył szlachcica.

Siostra Cuthbert pokiwała głową.

- To byłaby wielka niesprawiedliwość, gdyby chciano ukarać chłopca za to, że stanął w obronie swojej pani.

- Poczekajmy, zobaczymy, czy szlachcic złoży skargę - odparła przeorysza. - Jeżeli się do tego posunie i przyjadą tu po chłopaka, powiemy, że jest pod naszą ochroną, i wystąpimy w sądzie w jego obronie. Wiemy, co zaszło, więc nie godzi się postąpić inaczej.

5

Hugh de Warenne patrzył na swą najmłodszą córkę z irytacją i pogardą. Na szczęście nie ubyło jej urody i nadal wy-

glądała na tyle młodo, by ponownie wydać ją za mąż. Niemniej był na nią zły.

- Gdybyś urodziła Richardowi dziecko, chociażby nawet córkę, byłabyś teraz godną szacunku wdową. A tak, będę musiał ci znaleźć jakiegoś podstarzałego szlachcica, który pragnąc doczekać potomka, będzie skłonny przymknąć oko na twe skromne wiano.

- Ona jest bezpłodna - oznajmił wujowi Saer de Bude. - Tak Richard, jak i ja doczekaliśmy się bękartów w Ashlinie, ale twoja córka nie poczęła z żadnym z nas.

- Znowu się do niej dobrałeś? - z rezygnacją stwierdził jego wuj. - No cóż, jeśli to, co mówisz, jest prawdą, przynajmniej nie muszę się obawiać, że Isleen za twoją sprawą urodzi bękart. Tak, moja droga, trzeba ci będzie znaleźć jakiegoś zamożnego starca. Wtedy to jego będzie można obciążyć winą za brak potomstwa, a kiedy umrze, zostaniesz majątną wdową, gotową zagrzać łóżę następnego zamożnego męża. Odpowiada ci to, prawda, ty mała, chciwa ladacznico? - zarechotał, po czym zwrócił się do siostrzeńca: - A ty, Saerze de Bude? Co mam z tobą począć? Jesteś synem mojej siostry, więc poczuwam się do obowiązku względem twojej osoby, ale jak mam cię urządzić, skoro niczego nie posiadasz?

- Ashlin odziedziczyła siostra Richarda de Montforta. Zaranżuj mi małżeństwo z nią, a będę panem na włościach. Dziewczyna jest ładna, chętnie ją wezmę.

- Ta zakonnica?! Chyba postradałeś rozum, chłopcze! - uciał Hugh.

- Ona dopiero w październiku złoży śluby wieczyste. Wuj, ja ją posiadałem, tylko potem w przypływie wyrzutów sumienia uciekła przede mną do klasztoru. Pomógł jej w tym jeden ze służących, towarzysz jej dziecięcych zabaw. Jestem pewien, że i jemu nie poskapiła wdzięków, bo wcale nie była dziewicą. Musisz wiedzieć, wuju, że złożyłem skargę do szeryfa. Powieszą tego pachółka, jak go tylko złapią.

- Skoro dziewczyna jest łatwa, dlaczego ją chcesz? - sondował Hugh.

- Kiedy ją nieco przycisnąłem, wyznała, że dogadzał jej tylko palcami. Dobrze przeorałem jej szparkę, wuju. Kto wie, czy nie nosi dziecka. Mojego dziecka, które zostanie prawowitym dziedzicem Ashlinu, jeśli ją poślubię.

Baron Hugh rozważał w myślach sugestię siostrzeńca. Saer, najmłodszy z gromadki dzieci siostry, od urodzenia był lekko-
duchem. Tego w gruncie rzeczy dobrego żołnierza gubiła, nie-
stety, słabość do kobiet. Wszystkich kobiet. Dlatego Hugh za-
oferował Richardowi hojniejszy posag, niż z początku zamie-
rzał przeznaczyć dla Isleen, bo przyłapał córkę i jej jurnego
kuzynka na miłosnych igraszkach. Widok ich spoconych, sple-
cionych w uścisku ciał i jęki rozkoszy, jakie wydawali, kazały
mu przypuszczać, że nie pierwszy raz tak się zabawiali. Kiedy
powiedział o tym żonie, ta najpierw dokładnie obijała Isleen,
a potem poinstruowała ją, jak udawać dziewicę. Jeżeli nawet
Richard zorientował się w oszustwie, nie dał nic po sobie po-
znać, bo do szaleństwa był w Isleen zakochany. A teraz ona,
jak zły szeląg, z powrotem znalazła się w domu, a w dodatku
wyszło na jaw, że Saer prawie rok spędził w Ashlinie.

Hugh de Warenne nie miał ochoty dochodzić prawdy, choć
żywił pewne podejrzenia. Jeszcze rok temu Richard de Mont-
fort był w pełni sił. Tych dwoje wyrzuteków ściągnie nieszczę-
ście na całą rodzinę, jeżeli raz na zawsze się ich nie rozdzieli.
Młoda żonka, gromadka dzieciaków i obowiązki związane
z prowadzeniem posiadłości odciągnęłyby myśli Saera od Is-
leen. A co do córki... Im prędzej znajdzie dla niej męża, tym le-
piej. Na razie nadzór nad nią powierzy żonie. Było nie było,
Isleen jest w żałobie. A przynajmniej powinna sprawiać takie
wrażenie. Suka - pomyślał Hugh z irytacją.

- Rano pchnę dwóch posłańców. Jednego wyślę do bisku-
pa Worcesteru, aby przekazać mu, co od ciebie usłyszałem.
Drugi pojedzie do króla z prośbą, żeby wyznaczył mnie na
opiekuna lady Eleanore. Kiedy nim zostanę, na mocy swej
władzy ułożę twoje małżeństwo z nią. Czy to ci odpowiada,
Saer?

- Jak najbardziej, wuju.

O zmierzchu Isleen wreszcie zdołała się wymknąć spod
czujnych oczu matki.

- Dlaczego nie ująłeś się za mną, kiedy ojciec oświadczył,
że będzie mi szukać męża?! - zaatakowała kochanka podczas
schadzki w ogrodzie. - Nigdy nie będziemy razem, Saer! Po-
dejrzewam, że ty mnie wcale nie kochasz!

Saer przyparł Isleen do starego dębu i zadarłszy jej spódni-
cę, wszedł w nią powoli.

- Nie kocham cię, moja piękna? Czy tak się zachowuje ptaszek mężczyzny, który nie kocha?

- To ptaszek lubieżnika - wymruczała, zarzucając mu ramiona na szyję i oplatając go w pasie nogami.

- Jesteś jedyną kobietą, którą kochałem i zawsze będę kochać - uśmiechnął się, patrząc jej prosto w oczy. - Plan twojego ojca jest idealny, Isleen. Poślubisz bogacza, który pragnie doczekać się dziecka. Oczywiście nie będzie wiedział, że mu go nie możesz dać. A kiedy zaczniesz się niecierpliwic, będziesz go truć powoli, tak jak Richarda. Tymczasem ja ożenię się z małą zakonniceką i spłodzę syna. Potem ona umrze, a lord Saer de Bude weźmie za żonę bogatą wdowę, lady Isleen. Dzięki naszym połączonym fortunom dokupimy taką ilość ziemi, która pozwoli nam zawładnąć okolicą. To doskonały plan, tylko musisz uzbroić się w cierpliwość, moja piękna.

- Dlaczego powiedziałeś ojcu, że ją miałeś? - nie ustępowała Isleen. - Zdawało mi się, że ci uciekła dzięki pomocy swego pachółka.

- Bo tak było, ale wiedziałem, że twój ojciec nie będzie skłonny do jakiegokolwiek działania, jeżeli dziewczyna nadal jest dziewicą. Tylko faktem dokonany mogłem go zmusić, żeby wystąpił do biskupa. A biskup nie zezwoli Eleanore de Montfort na złożenie ślubów, dopóki nie sprawdzi mego oświadczenia. Na jego podstawie Eleanore zostanie zmuszona do opuszczenia zakonu i tym samym straci jego ochronę. A jeśli nie, sam król przechyli szalę na moją korzyść dzięki memu zeznaniu. Pamiętaj, że dobrze ją sobie obejrzałem podczas kąpieli. Potrafię w najmniejszych szczegółach opisać wszelkie zalety i niedoskonałości jej ciała. Któż inny, jak nie kochanek, mógł poznać je tak dokładnie, moja śliczna? - Mówiąc to, jednocześnie wbił się w Isleen.

- Sprytnie to wszystko ukartowałeś - odparła, myśląc nad czymś intensywnie.

- Chcę mieć Eleanore de Montfort, chcę mieć Ashlin. I będę miał jedno i drugie! - oznajmił, poruszając się w niej coraz gwałtowniej.

- Bierzesz mnie za idiotkę? - spytała.

Żaden inny mężczyzna nie podniecał jej tak, jak Saer. Było w nim coś, co ją przerażało, ale zarazem ekscytowało.

- Hmm - jęknęła, gdy doprowadzał ją do szczytu rozkoszy. - Uuuch!

- Sama zdecyduj, moja piękna - odrzekł wymijająco, kiedy na drżących nogach postawił ją na ziemi.

- Jesteś wcielonym diabłem, co do tego jednego mam pewność - powiedziała chrapliwie.

- Może i tak! - zaśmiał się de Bude. - Bo komuż innemu sprawiłoby rozkosz zniewolenie zakonnicy? - rzucił za siebie i zostawiając Isleen samą, zniknął w mroku ogrodu.

Przebiegł ją dreszcz. Zdaje się, że dopiero teraz zaczynała odkrywać, jak podstępny i podły potrafi być Saer. W tej chwili intuicyjnie wyczuwała, że był gotów nawet ją zdradzić. Nie wątpiła w jego miłość. Była pewna, że ją kocha, ale swym zachowaniem zasiał w niej niepokój. Czy wystarczy mu syn z Eleanore? A jeżeli zapragnie mieć z nią więcej dzieci? Czy możliwe, że wtedy zapała miłością do Eleanore i zapomni o niej? Matka nieraz powtarzała, że mężczyzna obdarzy kobietę miłością i wszystko jej wybaczy, jeśli da mu ona potomstwo. A tego akurat Isleen nie mogła mu ofiarować. W takim razie musi zapobiec swemu ewentualnemu małżeństwu, a jeżeli się to nie uda, jak najszybciej wyprawić małżonka na tamten świat. Wtedy będzie mogła dopilnować Saera, żeby pozbył się tej małej świętoszki. Nie da sobie odebrać kochanka! O nie! Drugi raz do tego nie dopuści!

Kiedy wiadomość od barona Hugh dotarła do biskupa Worcesteru, ten odczytał ją, unosząc brwi, i czym prędzej wyprawił posłańca do klasztoru St. Friedeswide z listem do przeoryszy, w którym stanowczo nakazywał wstrzymać śluby wieczyste Eleanore de Montfort do chwili, aż skarga wniesiona przez barona Hugh i jego bratanka Saera de Bude'a zostanie rozpatrzone i uznana za słuszną lub nie.

Przeorysza gniewnie cisnęła zwojem pergaminu o posadzkę.

- Niech to piekło pochłonie! - zaklęła półgłosem i czym prędzej przeżegnała się skruszona.

Biedna Eleanore! Dopiero co zaczęła dochodzić do siebie po tym potwornym przeżyciu! Eunice nie była naiwna, od razu się domyśliła, że w całej tej intrydze chodzi o Ashlin. Według słów Eleanore jej napastnik był rycerzem bez ziemi. A więc postanowił pozbawić pannę dziewictwa, aby nie mogła zostać

w zakonie. Wydano by ją za niego za mąż i tym sposobem wszedłby w posiadanie Ashlinu. Teraz razem ze swym wujem próbuje oszczerstwem zdobyć to, czego nie udało mu się osiągnąć siłą.

- Należałoby im obu obciąć języki - mruknęła pod nosem Eunice.

Przeorysza wezwała do siebie Elf i jednocześnie posłała po siostrę Columbę. Ona i Isabeaux St. Simon od dziecka przyjaźniły się z Eleanore. Niestety, dwa tygodnie temu Isabeaux opuściła klasztor, żeby się przygotować do ślubu, więc Elf musi wystarczyć siostra Columba.

Młoda zakonnica niezwłocznie stawiała się przed obliczem przeoryszy.

- Słucham, matko przełożona - ukłoniła się. - Czym mogę ci służyć?

- Usiądź, córko - poleciła przeorysza, po czym przedstawiła jej sytuację.

- Co za podłość! - zawołała zrozpaczona siostra Columba. - To złamie serce Elf, matko przełożona!

- Właśnie dlatego ci o tym powiedziałam. Musisz mi pomóc przekonać Eleanore, że to, co zamierzam zrobić, ma na celu wyłącznie jej dobro. Sama z nią porozmawiam, ale chcę, żebyś przy tym była.

Kiedy Elf usłyszała, co baron Hugh i jego siostrzeniec napisali w liście do biskupa, wybuchnęła płaczem.

- Matko przełożona, ja naprawdę jestem dziewicą! Przysięgam! Przecież kłamiąc w takich okolicznościach, skazałabym swą duszę na wieczne potępienie!

- Ja ci wierzę, moje dziecko - zapewniła ją przełożona. - Ale biskup cię nie zna i słowo mu nie wystarcza. Chce, żeby dowiedziono twojej niewinności. Dlatego siostra Winifreda będzie musiała cię zbadać, aby już nikt nie miał prawa wątpić w twoją prawdomówność.

- Zbadać mnie? - Głos Elf zadrżał. - Jak?

- Sprawdzi palcem, czy pozostałaś nienaruszona. Nie poczujesz najmniejszego bólu i bardzo szybko będzie po wszystkim - wyjaśniła przeorysza z kamienną twarzą.

Elf pobladała, a siostra Columba głośno westchnęła.

- Nie będziemy tego odwlekać, żebyś nie przeżywała tortur, czekając na badanie - oznajmiła łagodnie przeorysza. -

Chodź! - zwróciła się do Elf, wstając ze swego fotela. - Ty też pójdziesz z nami, siostrzo Columbo. Potrzywasz swą przyjaciółkę za rękę, żeby dodać jej otuchy.

Wszystkie razem wyszły z kapitułarza i przeszły przez dziedziniec do infirmerium. Przeorysza przedstawiła sytuację siostrze Winifredzie. W odpowiedzi infirmerka spokojnie poikiwała głową i poprosiła Elf, by położyła się na stole. Potem przyniosła miskę z wodą i starannie umyła ręce.

- Podciągnij jej spódnicę - zwróciła się do siostry Columby. - A ty, Eleanore de Montfort, unieś i rozsuń nogi, opierając stopy na stole.

- Boję się - powiedziała Elf.

- Nie ma czego - ucięła siostra Winifreda. - Lepiej obserwuj uważnie, co będę robiła, bo w przyszłości zajmiesz moje miejsce i być może sama będziesz musiała przeprowadzić takie badanie. A więc zaczynamy.

Zakonnica zanurzyła palce w garnku z oliwą i ostrożnie zaczęła wsuwać je między uda dziewczyny.

Z ust Elf wyrwał się słaby krzyk i dziewczyna zemdlała.

- No i dobrze. Przynajmniej rozluźniła mięśnie - skomentowała siostra Winifreda i marszcząc w skupieniu brwi, dokończyła badanie, po czym ponownie umyła ręce. - Obciągnij Elf spódnicę, siostrzo Columbo - poleciła. - I podsuń jej pod nos palące się piórko. Z miejsca oprzytomnieje - dodała i odwróciła się do przeoryszy. - Matko przełożona, nie mam najmniejszych wątpliwości, że dziewczyna jest nietknięta. Wejście jest ciasne, a błona dziewicza nienaruszona. Jej oskarżyciele kłamią. Przysięgam na ciało Chrystusa.

- Dziękuję, siostrzo. Ja również w to ani przez chwilę nie wątpiłam, ale biskupowi jej słowo nie wystarczało. Jednakże nie ma prawa podważyć opinii infirmerki zakonu.

- Co się teraz będzie działo? - zapytała Elf, kiedy jej przyjaciółka, docuciwszy ją, pomogła jej zejść ze stołu.

- Wyślę biskupowi list z informacją o wyniku badania. Będziesz mogła złożyć śluby wieczyste dopiero wtedy, kiedy biskup wyrazi zgodę - wyjaśniła przeorysza. - Załączę również świadectwo Artura i zawiadomię biskupa, że udzieliłyśmy chłopakowi azylu z powodu zajścia z Saerem de Bude'em. Artur przysięgnie na swą duszę, że nie doszło do gwałtu. To po-

winno wystarczyć. Kto wie, może złożysz śluby jedenastego listopada, w dniu świętego Marcina.

- Cóż, muszę się tym zadowolić - odparła Elf.

Kilka tygodni później przyszła następna wiadomość od biskupa. Nie wystarczało mu świadectwo siostry Winifredy oraz złożone pod przysięgą zeznanie Eleanore de Montfort, że nie doszło do cielesnego zbliżenia. Biskup w imieniu króla nakazywał Eleanore de Montfort i przeoryszy klasztoru St. Friedeswide stawić się w Worcesterze w dniu świętego Andrzeja. W tym czasie bowiem król, który osobiście życzy sobie rozpatrzyć przypadek Eleanore de Montfort, będzie jego gościem.

Pierwszy raz w życiu Eleanore straciła panowanie nad sobą.

- Czy nie ma końca perfidii tego człowieka?! - krzyczała. - Czy jemu się wydaje, że król zmusi mnie do małżeństwa z nim?! Prędzej umrę, niż wyjdę za mąż!!! To niesłychane! Oby mu wyrosła brodawka na samym czubku nosa i zeszpeciła tę jego nieskazitelną twarz!!!

Przeorysza przygryzła wargę, by pohamować śmiech.

- Moje dziecko, nie wolno nikomu źle życzyć. A szczególnie nie należy tego czynić w przypadku Saera. To oczywiste, że Bóg poskąpił mu rozum, a to samo w sobie jest już największą karą, jaka może spotkać człowieka. - Pocieszająco poklepała Elf po ręce. - Pojedziemy do Worcesteru na świętego Andrzeja i wszystko wyjaśnimy. Przy okazji poprosisz króla, by ułaskawił Artura. Chłopiec będzie mógł wrócić do Ashlinu.

Elf pokiwała głową na znak zgody.

- Wstyd mi za mój wybuch.

- Moja córko, wprawdzie zamierzasz zostać zakonnicą, ale jesteś tylko człowiekiem. I chociaż być może nosisz w sobie pragnienie świętości, większość z nas pozostaje zwykłymi kobietami. Ulegamy podobnym słabościom jak nasze świeckie siostry. Więc nie skupiaj się aż tak bardzo na doczesnej poprawności, bo ważniejsza jest doskonałość twojej nieśmiertelnej duszy. Nie ma nic złego w słusznym gniewie, Eleanore, tylko nie wolno go w sobie pielęgnować.

Wyjechały z St. Friedeswide na kilka dni przed trzydziestym listopada, by na czas dotrzeć do Worcesteru. Czterem zakonnicom towarzyszyło sześciu uzbrojonych mężczyzn,

choć prawdopodobieństwo napadu na osoby duchowne było raczej niewielkie. Przeorysza poprosiła siostrę Winifredę, żeby pojechała z nimi, podejrzewając, że jej ustne zeznanie może okazać się przydatne. Aby Elf nie dłużyła się kilkudniowa podróż, wzięła również do towarzystwa jej przyjaciółkę, młodą siostrę Columbę. Siostra Winifreda, jako osoba wiekowa, jechała na furmance, co znacznie spowalniało jazdę. Na drogę, którą normalnie pokonywało się w trzy dni, one potrzebowały czterech.

Nad mdłym jesiennym krajobrazem wisały ołowiane chmury. Tu i ówdzie stadka owiec szczypały poszarzałą trawę. Pierwszą noc spędziły w zamku barona spokrewnionego z przeoryszą. Dwie następne w mijanych po drodze klasztorach, a kiedy czwartego dnia dotarły do Worcesteru, dostały do wyłącznej dyspozycji hospicjum katedralne. Na zamku biskupim powiewał królewski sztandar. Przez umyślnego powiadomiły biskupa o swym przyjeździe.

Akurat król w towarzystwie biskupa i dworzan spożywał posiłek w sali audiencyjnej.

- A więc przeorysza wraz ze swą pupilką już są - skomentował wiadomość król.

Król miał smutną twarz. Jego włosy i broda w kolorze piasku były poprzetykane siwizną.

- Teraz będziemy musieli znaleźć definitywne rozstrzygnięcie. - Niebieskie oczy władcy przybrały zamyślony wyraz.

- Panie, czy już coś postanowiłeś? - zapytał jego przyjaciel, Geoffrey de Bohun.

- Sytuacja jest niezręczna - odparł król. - Hugh de Warrenne domaga się, aby go wyznaczyć na opiekuna dziewczyny. Jego najmłodsza córka jest wdową po właścicielu Ashlinu. Jeżeli uczynię de Warrenne'a opiekunem Eleanore de Montfort, niewątpliwie zabierze ją z klasztoru i wyda za mąż za swego siostrzeńca Saera de Bude'a, aby utrzymać majątek w rodzinie. De Bude twierdzi, że posiadał dziewczynę, ona zaprzecza, a infirmerka zakonu pod przysięgą orzekła, że dziewczyna nie kłamie i jest dziewicą.

- Czy baron Hugh popierał cię, panie? Czy zasługuje na twoje względy? - dociekał Geoffrey de Bohun.

- Baron Hugh robił to, co akurat było mu wygodne. Popierał mnie, kiedy widział w tym korzyść, lub stawał po stronie

mojej kuzynki Matildy, gdy szala zwycięstwa przechylała się na jej stronę. - Król się uśmiechnął nieco ironicznie.

Odkąd jakiś czas temu owdowiał, na jego twarzy rzadko gościł uśmiech. W ich stadle do królowej należał decydujący głos i bardzo mu brakowało jej mądrych rad. Teraz usiłował wyobrazić sobie, jak ona postąpiłaby na jego miejscu.

- Czy Richard de Montfort był twoim wasalem, panie? - chciał wiedzieć de Bohun.

- Richard de Montfort przestrzegał prawa i był lojalny w stosunku do króla - wtrącił biskup.

- A czy przypadkiem jego ojciec nie zginął, walcząc po stronie księżniczki? Panie, jak ważny jest dla ciebie ten dwór?

- To prawda, że ojciec lorda Richarda walczył dla Matildy, podobnie jak wcześniej czy później robiło to wielu innych szlachciców. Kiedy zginął, Richard był dzieckiem, a jego siostra niemowlęciem przy piersi. Richard nigdy nie knuł intryg, przestrzegał prawa i był wiernym wasalem władcy tej ziemi. Jego siostra od piątego roku życia przebywa w klasztorze. Wątpię, czy ma jakiegokolwiek rozeznanie w sprawach tego świata, a już na pewno nie zna się na polityce. - Biskup gorąco bronił de Montfortów.

Cała ta sytuacja była dla niego bardzo denerwująca, choć rozumiał, o co toczy się gra. Ziemia stanowi podstawę potęgi, o czym de Warenne'owie i ich siostrzeniec dobrze wiedzieli.

- Eminencjo, proszę mi co nieco opowiedzieć o dworze w Ashlinie - poprosił swym cichym głosem król. Zależało mu na podjęciu właściwej decyzji.

- Panie, dobra de Montfortów znajdują się na terenach graniczących z Walią. Posiadłość jest mała i na pewno nie należy do zamożnych, ale jest samowystarczalna. To jej jedyny atut. Saer de Bude jest szlachcicem bez ziemi, no i nie ma pieniędzy, żeby kupić Ashlin, więc może wejść w jego posiadanie jedynie poprzez małżeństwo ze spadkobierczynią.

- Dziewczyna nie złożyła jeszcze ślubów wieczystych? - upewnił się król.

- Nie, panie. Zaplanowano je na czerwiec, ale musiała pojechać do Ashlinu, by czuwać przy łożu konającego brata. Uroczystość została przesunięta na dziewiętnasty październik, na święto klasztoru St. Friedeswide, ale wtedy właśnie przyszło od de Warenne'a pismo z informacją, że między

dziewczyną a jego siostrzeńcem doszło do fizycznego zbliżenia. Eleanore de Montfort stanowczo temu zaprzeczyła, a jej prawdomówność została potwierdzona przez infirmerkę zakonu, która stwierdziła, że dziewczyna jest dziewicą. Już byłem skłonny wyrazić zgodę na śluby, gdy okazało się, że baron Hugh wniósł skargę także przed twoje oblicze, a ty, panie, życzyłeś sobie poznać dziewczynę, zanim dasz odpowiedź. Czy już podjąłeś decyzję, królu?

- Sądzę, że tak. Ale moją wolę ogłoszę dopiero po przesłuchaniu. Każ obu stronom stawić się przede mną jutro po porannej mszy.

Biskup zwrócił się do posłańca:

- Wrócisz teraz do hospicjum katedralnego i przekażesz przeoryszy, że jutro rano po mszy ma przyjść wraz z lady Eleanore do sali audiencyjnej.

Posłaniec skłonił się i śpiesznie wyszedł.

Herold biskupa obwieścił przybycie trzech zakonnice i nowicjuszek. Trzy postaci w czarnych habitach i jedna w szarym przepłynęły przez salę audiencyjną niczym stadko czarnych łabędzi z pisklęciem. Przeorysza złożyła niski ukłon przed królem i pocałowała biskupa w pierścień. Jej towarzyszki uczyniły to samo. Król skierował wzrok na Eleanore de Montfort. Zachwyił go widok twarzy w kształcie serca, okolonej kornetem, i dużych szaroniebieskich oczu, które na chwilę zatrzymały się na nim, by zaraz skromnie opuścić się w dół. Bezwiednie uśmiechnął się do dziewczyny. Nie dziwota, że młody de Bude zapałał do niej żądzą.

Wezwano barona Hugh de Warenne'a i jego siostrzeńca. Weszli do sali audiencyjnej razem, a butna postawa Saera wyraźnie wskazywała, że nie wątpi w korzystny werdykt. Poprzedniego wieczoru jego wuj wychylił sporo szklanice wina z zaufanym druhem króla, Geoffreym de Bohunem, i wysunął pewne sugestie, które ten przekazał królowi. Po ich wysłuchaniu i wnikliwym rozważeniu król nie mógł postąpić inaczej, jak tylko oddać Eleanore de Montfort pod opiekę de Warenne'om, co oznaczało, że dziewczyna wkrótce zostanie jego żoną. De Bude równocześnie z wujem ukłonił się królowi Stephenowi i przeniósł wzrok na swą zdobycz. Elf odpłaciła mu tak gniewnym spojrzeniem, że o mało nie parsknął śmie-

chem. Nie, zakon nie był jej przeznaczeniem. Ta dziewczyna o bujnym temperamentie musi należeć do niego, a nie jakiegoś tam niewidzialnego Boga.

- Baronie Hugh - przemówił król. - Twój siostrzeniec twierdzi, że między nim a Eleanore de Montfort doszło do zbliżenia. Natomiast ona utrzymuje, że to nieprawda. Infirmierka zakonu po przebadaniu nowicjuszki orzekła, że dziewczyna jest niewinna i czysta jak w dniu narodzin. Czy twój siostrzeniec skłamał w tej materii?

- Królu, przyznał mi się do kłamstwa dopiero dziś rano - powiedział z pokorą baron de Warenne. - Kiedy zażądałem, żeby wyjaśnił, dlaczego posunął się do oszczerstwa, oświadczył, że zakochał się w lady Eleanore i nie widział innego sposobu, aby ją zdobyć. Panie, on jest młody i w gorącej wodzie kapany. Błagam, wybacz mu.

- Nie ja o tym decyduję, tylko ta dama - powiedział cicho król. - Czy przebaczysz mu, pani? - zwrócił się do Elf.

- Panie, co mam wybaczyć: czy to, że mnie oczernił, czy też że nakłamał wujowi, ażeby usprawiedliwić oszczerstwo? - zapytała słodkim głosem Elf.

- Pani, nie wierzysz, że on cię kocha? - Kąciki królewskich ust lekko zadrgały.

- Czy kochając, zachowałyby się wobec mnie w taki sposób? Jakim cudem mógłby się we mnie zakochać, skoro w ogóle mnie nie znał? Nie jestem aż tak naiwna, by nie widzieć, dlaczego mu na mnie zależy. Przecież tu chodzi o mój Ashlin, to oczywiste! Ten człowiek nie posiada własnej ziemi, więc ma nadzieję zdobyć pozycję poprzez małżeństwo ze mną, choć jestem mu tak samo obojętna jak on mnie! Mogę to jeszcze jaśniej wyrazić. Ja należę do Boga.

- Twoja posiadłość, pani, z racji swego położenia jest narażona na ataki wrogów - zaczął król. - Potrzebny mi na tym terenie rycerz całkowicie oddany mnie i memu synowi. Człowiek, którego ludzie w Ashlinie będą darzyć szacunkiem i którego będą słuchać. Tylko w jeden sposób mogę zrealizować swój zamiar, a twoja obecność w Ashlinie jest do tego niezbędna. Przedyskutowałem wszystko z biskupem i jesteśmy tego samego zdania. Nie złożysz ślubów wieczystych, Eleanore de Montfort. Wyjdiesz za męża.

- Nie! - jęknęła Elf, rzucając błagalne spojrzenie przeory-

szy. Usłyszała, jak Matti, obecnie siostra Columba, rozpłakała się za jej plecami.

- Moje dziecko, pozostaje tylko rozstrzygnąć, kto ma być twoim mężem - ciągnął spokojnie król, niewzruszony jej protestem. - Jesteś pewna, że nie chcesz Saera de Bude'a na swego małżonka?

- Nigdy! - warknęła Eleanore. - Ten człowiek jest cudzołożnikiem, dzielił łóżę z żoną mego brata! Nie chciałabym go, nawet gdyby był jedynym mężczyzną pod słońcem! Panie, błagam, nie zmuszaj mnie do małżeństwa! Dam ci Ashlin, jeśli tego chcesz, lecz pozwól mi przeżyć życie tak, jak tego pragnę. Ja myślę i czuję jak zakonnica.

- W takim razie, jeżeli nie chcesz tego młodzieńca, który tak się do ciebie pali, sam muszę ci wyznaczyć męża - zdecydował król. - Ponieważ przewidziałem twoją odpowiedź, dokonałem już wyboru. Poślubisz jednego z moich rycerzy. Człowieka, który wychował się na dworze mego wuja, króla Henryka, i od lat wiernie mi służy. Podobnie jak Saer de Bude nie posiada ziemi. Czas najwyższy, żebym go nagroził za lojalność. Eleanore de Montfort, to mężczyzna dobry i bogobojny. Będzie cię traktował z szacunkiem. W jego rękach i ty, i mieszkańcy Ashlinu będziecie bezpieczni - zakończył ze spokojem król Stephen, nie zważając na jej rozpaczliwe błaganie. - Chodź tu, sir Ranulfie de Glandeville, i pokłoń się przed narzeczoną.

Przeorysza wysunęła się do przodu i łagodnym gestem zdjęła kornet z głowy Elf oraz wysunęła spinkę podtrzymującą gruby warkocz. Dziewczyna podniosła na nią zatrwożone oczy.

- Matko przełożona, błagam - wyszeptała Elf.

Przeorysza, nie mniej zaskoczona od swej wychowanki, nie potrafiła wydobyć z siebie głosu.

- Panie, dlaczego mi to robisz? - Elf zwróciła się do króla. - Dlaczego?

- Eleanore de Montfort, czyż w St. Friedeswide nie nauczyłaś cię posłuszeństwa? - upomniał ją biskup.

- Mój biskupie, dziewczyna ma prawo wiedzieć, dlaczego w taki drastyczny sposób zmieniam jej życie. - Król wyciągnął rękę do Elf. - Chodź tu, moje dziecko, postaram ci się to wytłumaczyć - zachęcił ją łagodnie, a kiedy z wahaniem ujęła

jego dłoń, posadził ją przy sobie. - To nie jest decyzja bezpodstawna i nieprzemyślana - mówił, zrażając głos. - Sprawdziłem, że de Montfortowie walczyli po stronie mego dziada Wilhelma Zdobywcy tak w Normandii, jak i w Anglii. Przybyli na te ziemie pod jego sztandarami i mieli swój udział w wielkim zwycięstwie pod Hastings. Wtedy właśnie twój pradziad poślubił saksońską dziedziczkę Ashlinu. Zapewne stąd się wziął płomiennozłoty kolor twoich włosów. - Król uśmiechnął się do Elf, by dodać jej otuchy, i wrócił do przerwanej wątku. - W wyniku tego związku krew pierwszych właścicieli Ashlinu płynęła potem w żyłach de Montfortów. Masz na swej ziemi poddanych, prawda, lady Eleanore? Ilu ich jest?

- Siedemdziesięciu trzech przypisanych do ziemi i dziesięciu wyzwoleńców - odparła cicho.

- Czy kiedykolwiek burzyli się przeciwko swym panom? - dopytywał się król.

- Przenigdy, panie! Ludzie w Ashlinie są bardzo spokojni - zapewniła go skwapliwie.

- A gdyby wezwano ich do obrony Ashlinu, okazaliby posłuszeństwo? - badał dalej.

- Naturalnie! Ludzie w Ashlinie zawsze byli lojalni wobec nas.

- A właśnie, wobec nas. Czyli kogo? Twojej rodziny, pani, ponieważ łączą ich więzy krwi z pierwszymi właścicielami Ashlinu! I właśnie to jest powód, dla którego musisz wyjść za mąż. Nie można dopuścić, by przerwana została ciągłość rodu w Ashlinie, by zerwały się więzy między panami a ich poddanymi. To mogłoby wywołać zamieszanie wśród ludzi i obudzić ich opór względem nowego pana, czego można uniknąć, jeżeli będzie on mężem dziedziczki, która pochodzi z de Montfortów. Właśnie ty nią jesteś, Eleanore. Twój mąż będzie mógł w sposób pokojowy sprawować władzę na tej ziemi i bronić jej dla mnie, ponieważ prawo twego zmarłego brata do niej, Panie świeć nad jego duszą, poprzez twoją osobę przejdzie na niego. Jesteś mądrą dziewczyną i nie wątpię, że rozumiesz, jak ważne jest przekazanie władzy de Montfortów Glandeville'om.

- Tak, panie - odpowiedziała cicho Elf.

- Ale nie jesteś przekonana - zauważył król. - Bądź ze mną szczerą, postaram się rozwiać twoje obawy.

Elf przysunęła się bliżej, nadal nerwowo ściskając jego rękę.

- Panie, ja nie będę umiała pełnić roli żony - wyszeptwała. - Nawet gdybym tego szczerze pragnęła. W klasztorze przygotowano mnie do życia w zakonie. Potrafię czytać i pisać, znam francuski, angielski i łacinę. Posiadam wiedzę o ziołach i asystuję infirmerce. Umieję śpiewać. Ale nie mam najmniejszego pojęcia o prowadzeniu domu. Nie znam się na gotowaniu, robieniu zapraw czy konfitur, obce mi są wszelkie umiejętności, jakie ceni się u żony. Ja nawet nie gram na żadnym instrumencie! A do tego - Elf spłonęła rumieńcem - nic nie wiem o mężczyznach i ich pragnieniach. Mogę zostać bardzo dobrą zakonnicą, ale żona będzie ze mnie beznadziejna.

Król z powagą wysłuchiwał wynurzeń dziewczyny.

- Być może to wszystko prawda, ale jestem pewien, że tak jak nauczyłaś się być dobrą zakonnicą, tak samo, przy pomocy życzliwych ci ludzi, nauczysz się być dobrą gospodynią. A co do reszty... wiem z doświadczenia, że mąż bardzo chętnie wprowadza swą żonę w te sprawy.

- Panie mój, ale... - Elf jeszcze raz próbowała wyłagać zmianę decyzji, lecz biskup wszedł jej w słowo.

- Moja córko, powiedziano ci, co masz czynić. Przestań się użalać i zapewnij króla, że będziesz posłuszna jego woli - zgaśnił ją zniecierpliwiony. Upór tej smarkuli zaczynał powoli wprowadzać go z równowagi.

Jednak Elf nie rezygnowała. W jej szarych oczach płonęła jeszcze wola walki. Już otwierała usta, aby zaprotestować, lecz zmroziło ją spojrzenie przeorowsy. Zacięła usta z cichym sapnięciem.

- Córko - zwróciła się do niej matka Eunice. - Kiedy do nas przyszłaś, wierzyłam, że Bóg chce, abyś została z nami na zawsze. Natomiast teraz widzę, że Pan wyznaczył ci nową drogę i musisz postąpić zgodnie z Jego wolą, Eleanore de Montfort. Zostaniesz żoną, nie zakonnicą. Temu dobremu rycerzowi, który zostanie twoim mężem, winna będziesz szacunek i posłuszeństwo. Kto wie, może kiedyś przyślesz do nas którąś ze swych córek i ona wstąpi w nasze szeregi, jeśli takie będzie boskie życzenie. Natomiast jeżeli dalej będziesz się sprzeciwiać królowi i biskupowi, okryjesz hańbą nasz klasz-

tor, bo rozniesie się wieść, że nie potrafimy odpowiednio wychowywać dziewcząt powierzanych naszej opiece. Wiem, że nie chciałabyś dla nas takiego wstydu, dziecko.

Elf westchnęła głęboko i przeniosła wzrok na króla.

- Panie, podporządkuję się twojej woli, ale robię to z ciężkim sercem - oznajmiła z rezygnacją.

Król Stephen poklepał pojednawczo drobną białą dłoń, która spoczywała w jego ręce.

- Eleanore de Montfort, bywa, że trudno jest zrozumieć boskie wyroki i pogodzić się z nimi. Niemniej musimy być posłuszni Jego woli. Nie obawiaj się. Dobrego człowieka przeznaczyłem ci na męża. - Odwrócił na chwilę głowę. - Zbliź się, Ranulfie de Glandeville! - zawołał, a kiedy rycerz stanął przed nim, wsunął filigranową dłoń Elf w jego mocną rękę. - Ranulfie de Glandeville, jako opiekun tej oto panny daję ci ją za żonę i przekazuję w twoje władanie wszelkie dobra należące do niej wraz z całym dobytkiem. Czy będziesz darzył ją miłością i szacunkiem oraz bronił jej ziemi w moim imieniu?

Duża ręka zamknęła się na dłoni Elf. Biło z niej ciepło i emanowała siła.

- Tak, mój królu. Biorę na to Boga na świadka - odpowiedział cicho niski, znajomy jej skądś głos.

Podniosła głowę i pierwszy raz, odkąd znalazła się w sali, spojrzała na mężczyznę, który miał zostać jej mężem.

- To ty, sir?! - powiedziała zaskoczona. - Jesteś, panie, tym rycerzem, który zatrzymał się przejazdem w Ashlinie tuż przed śmiercią mego brata. To ty, panie, zawiozłeś jego ostatnią wolę królowi i biskupowi.

- Ja nim jestem, pani - przytaknął Ranulf de Glandeville.

- Jutro biskup udzieli im ślubu w mojej obecności - zadecydował król. - Moja dobra przeoryszo, czy możesz dopilnować, żeby lady Eleanore miała odpowiedni strój na tę okazję?

- Bardzo chętnie, panie, ale nie mam monet, za które mogłabym kupić odświętne szaty - odpowiedziała z zakłopotaniem przeorysza.

- Biskup przydzieli niezbędną sumę - oznajmił król i dodał z wesołym błyskiem w oku: - A wybieraj swobodnie, pani. Jestem pewien, że biskup szczerze sypnie groszem, bo wie, że widok pięknie przyodzianej pani na Ashlinie sprawi mi radość.

- Ależ oczywiście - przytaknął skwapliwie biskup. - Wybierz dla panny młodej, co tylko chcesz, matko przełożona.

- Panie mój - Elf zwróciła się do króla. - Mam jeszcze dwie prośby, zanim odejdę. Czy mogę? - Płynnym gestem wysunęła rękę z dłoni Ranulfa.

- Mów, pani - zezwolił król. Jej zręczny manewr nie uszedł jego uwagi. Przeczynał, że lady Eleanore, pomimo przygnębienia, szybko odnajdzie się w sytuacji, która spadła na nią tak niespodziewanie.

- Chciałabym, aby wiano, które mój brat zawiózł do St. Friedeswide, pozostało w klasztorze. Zakonnice opiekowały się mną, odkąd skończyłam pięć lat. W dodatku siostra Winifreda nie będzie teraz miała nikogo do pomocy, a jest już w podeszłym wieku. Przyuczenie nowej asystentki zajmie sporo czasu, ponieważ trzeba znaleźć dziewczynę o odpowiednich zdolnościach. Taką, która potrafi rozpoznawać i mieszać zioła oraz zajmować się chorymi. Nie każda się do tego nadaje. Mój posag w postaci Ashlinu powinien wystarczyć sir Ranulfowi.

Król przeniósł wzrok na rycerza.

- Dobrze - powiedział. - Lecz ostateczna decyzja należy do ciebie, Ranulfie. Co ty na to?

- Ja też się zgadzam, królu. To sprawiedliwe, by wiano mej pani przeszło na własność zakonu. Przecież lada dzień miała złożyć śluby wieczyste. Od siebie pragnę dodać dwie beczki piwa rocznie, które będę w październiku posyłał klasztorowi w podzięce za szczęśliwy los i narzeczoną.

- Dobrze powiedziane! - pochwalił go król. - A twa druga prośba, pani?

- Chodzi o mego służącego Artura - zaczęła Elf.

- Zaatakował mnie i poważnie zranił! - podniósł głos Saer de Bude, zły, że przez cały ten czas musiał stać przy wuju, a ten ani słowem się za nim nie wstawił, kiedy król oddawał rękę Eleanore innemu rycerzowi! - Sługa, który zaatakuje szlachcica, jest skazywany na śmierć! Pachołek zbiegł z Ashlinu do St. Friedeswide i do dziś się tam ukrywa. Żądam sprawiedliwości!

- Czy chociaż raz w życiu powiedziałaś prawdę? - oburzyła się Elf. - Artur odciągnął cię, kiedy rzuciłaś się na mnie,

żeby pozbawić mnie niewinności. A ty, padając, uderzyłeś głową o kant stołu.

- On mnie uderzył! - wykrzyknął Saer de Bude, tracąc panowanie nad sobą.

- Nie widziałam, żeby podniósł na ciebie rękę - skłamała brawurowo Elf, patrząc mu prosto w oczy. - Artur - zwróciła się do króla - jest o rok starszy ode mnie. Bawiliśmy się razem jako dzieci, bo między mną a moim bratem było dziesięć lat różnicy. Tamtego dnia pracował w ogrodzie. A jeszcze wcześniej pomógł mi napalić w kominku, żebym mogła sporządzić moje eliksiry. Gdyby go tam wtedy nie było i gdyby nie usłyszał mego wołania o pomoc, byłabym skompromitowana. Bez wahania rzucił mi się na ratunek, a potem razem pobiegliśmy do dworu. Cedric, mój ochmistrz, i stara piastunka Ida doradzili mi, żebym jak najszybciej wróciła do zakonu. Ochmistrz pozwolił Arturowi mnie odwiedzić. To od Cedrica wiedziałam, że ten człowiek dyszy chęcią zemsty i że kiedy Artur wróci do Ashlinu, będzie domagał się jego śmierci. Więc poprosiłam przeoryszę, by udzieliła mu azylu, na co ona chętnie przystała. Czyż nie tak było, matko przełożona? Prawda, że Artur poprosił cię o ochronę?

Matka Eunice zawahała się, ale tylko na jedną sekundę.

- Tak - oznajmiła. - Artur z Ashlinu rzeczywiście poprosił o azyl, a ja mu go udzieliłam.

Do głowy by jej nie przyszło, że Eleanore, ta cicha i pokorna Eleanore potrafi tak zręcznie kłamać! Ale przecież Elf nie prosiła jej, aby potwierdziła całą historię, lecz tylko powiedziała o azylu. Więc sumienie ma czyste.

- Wybaczam służącemu Arturowi z Ashlinu wszelkie przewiny, których się być może dopuścił - zdecydował król. - Pani - zwrócił się do przeoryszy - jutro dostaniesz gwarancje na piśmie, abyś je mogła zabrać ze sobą. - Do de Bude'a zaś powiedział: - Saerze de Bude, jesteś dobrym rycerzem, ale widać wyraźnie, że brakuje ci ogłady. Wysyłam cię na dwór mego brata do Blois. Pozostaniesz u niego w służbie, dopóki nie wydam nowych rozkazów. To miejsce wytworne i eleganckie, więc pragnę cię zachęcić, abyś jak najwięcej wyniósł z pobytu tam. Jeszcze dziś wyruszysz, a przy okazji zawieziesz bratu listy ode mnie. Niech fortuna ci sprzyja!

Saer de Bude skłonił głowę. Lepiej się nie sprzeciwiać kró-

lewskiej woli, jeśli chce się dłużej pożyć. Owszem, kochał Isleen, ale nie zamierzał dla niej ginąć. Na świecie jest wiele innych kobiet godnych miłosnych zapałów.

- Dziękuję za twą łaskawość, królu - ukłonił się jeszcze niżej, po czym wycofał się w gromadę rycerzy, rozglądając się za jakimś kompanem, z którym mógłby zabić czas dzielący go od wyjazdu. Wuja zostawił bez pożegnania, bo dziś okazał się niezbyt pomocny. Saer był pewien, że ani słowem nie wstawiłyby się za nim, gdyby król postanowił go uwięzić za napaść na Eleanore.

- Baronie Hugh - przemówił ponownie król - pozostaje jeszcze sprawa twojej córki. Doszły mnie słuchy, że okoliczności choroby i śmierci Richarda de Montforta są wielce tajemnicze. Co prawda nie ma żadnych konkretnych dowodów przeciwko twej córce, lecz pada na nią poważne podejrzenie, do czego niewątpliwie przyczyniła się jej zażyłość z kuzynem. Nie zaprzeczaj, mój lordzie, bo wiele osób wiedziało o ich romansie, z czego tych dwoje albo nie zdawało sobie sprawy, albo nie dbało, żeby się lepiej pilnować. Stąd domniemanie, że Richard de Montfort został otruty. A ponieważ poza służbą, która nie żywiła do swego pana żadnych wrogich uczuć, jedynie twoja córka i jej kuzyn mieli do niego dostęp, bardzo prawdopodobne, że to właśnie ona podawała truciznę mężowi. W związku z tym nie zezwalam na ponowne małżeństwo Isleen de Warenne. Baronie Hugh, umieścisz ją w klasztorze i niech tam siedzi do końca swoich dni. To niebezpieczna kobieta.

- Panie mój, nie masz żadnych dowodów, że moja córka dopuściła się takiego okropnego czynu - zaprotestował Hugh de Warenne. - Co by ją miało do tego skłonić? Przecież kochała Richarda.

- W ciągu dziewięciu lat małżeństwa nie dała mu potomka. Tymczasem Richard de Montfort spłodził przynajmniej trójkę dzieci z dworskimi dziewczkami. Prawdopodobnie wiedziała o tym, więc trawił ją gniew i gorycz. Poza tym darzyła miłością swego kuzyna. Więc postanowiła zabić męża, skłonić kuzyna, by uwiódł jego siostrę, prawowitą dziedziczkę Ashlinu, aby w ten sposób zmusić ją do małżeństwa z nim. Potem, za jakiś czas, mogłaby się pozbyć niewinnej dziewczyny, wyjść za kuzyna i razem z nim rządzić w Ashlinie.

- Królu, to czyste spekulacje! - uniósł się Hugh de Warenne. - Nie masz nawet cienia dowodu przeciwko mej córce i Saerowi de Bude'owi!

- Wystarczy mi to, co wiem - oznajmił chłodno król. - Cedricu z Ashlinu, podejdź bliżej i złóż świadectwo.

Ochmistrz nieśmiało wysunął się do przodu. Był oszołomiony i onieśmielony znakomitością tego zgromadzenia, lecz jednocześnie zdecydowany za wszelką cenę bronić swej pani i jej rodziny przed Saerem de Bude'em.

- Jestem, panie - odezwał się, zginając się w niskim ukłonie.

- Hugh de Warenne, czy wolisz wysłuchać zeznania ochmistrza, czy też bez dalszych sprzeciwów postąpisz zgodnie z moim poleceniem? - zapytał król.

- Spełnię twoją wolę, panie - odparł baron Hugh, przeklinając w myślach swą córkę. Już on znajdzie dla Isleen jakiś klasztor o surowej regule, gdzieś na końcu świata, i dopilnuje, by na zawsze tam została! Mało brakowało, a z powodu tej nienasyconej, drapieżnej suki ucierpiałyby cała rodzina!

- Więc odejdz i spełnij mą wolę - odprawił go król.

Hugh de Warenne ukłonił się i czym prędzej usunął z oczu królowi.

- Cedricu z Ashlinu, czy w imieniu własnym i wszystkich mieszkańców posiadłości gotów jesteś przysiąc lojalność lordowi Ranulfowi? - zapytał król. - Czy uznacie w nim swego nowego pana?

- Z radością, jeżeli będzie właściwie dbał o naszą panią - odpowiedział odważnie ochmistrz.

- Otoczę ją najserdeczniejszą opieką - odezwał się Ranulf de Glandeville.

- W takim razie będziemy ci służyć z oddaniem, panie - zapewnił go Cedric, schylając przed nim głowę.

- Więc wszystko załatwione - ucieszył się król. - Ślub odbędzie się jutro, tuż przed poranną mszą.

Kiedy opuścili komnatę, Elf zwróciła się do Cedrica:

- Jak się tutaj znalazłeś? Nie dałam ci pozwolenia wyjazdu poza granice Ashlinu.

- Pani, musiałem przyjechać i mam nadzieję, że mi to wybaczysz. Stara Ida nie zaznałaby spokoju, gdybyśmy nie mieli pewności, że Saer de Bude nie posunie się do dalszych

oszczerstw, aby zmusić cię do małżeństwa. Trudno byłoby nam służyć temu człowiekowi, choć ugięlibyśmy się z miłości do ciebie. Wybacz mi samowolę, pani.

- Jakim cudem udało ci się zdobyć posłuchanie u króla?

- Po prostu oznajmiłem odźwiernemu biskupa, że mam ważne informacje dla króla związane ze sprawą, którą będzie dziś rozpatrywał. Odźwierny szepnął słówko majordomusowi, a ten napomknął o mnie królowi. Kiedy mnie zawezwał, opowiedziałem wszystko, co widziałem i słyszałem w ostatnich miesiącach życia lorda Richarda. Lady Isleen była tak zajęta przeprowadzaniem swego podłego planu, że nie zwracała na nas uwagi. Nie mogliśmy nic zrobić, aby jej przeszkodzić, bo jesteśmy tylko poddanymi. Gdybyśmy głośno wyrazili nasze podejrzenia, spotkałaby nas kara. Ida sądzi, że ona podtruwała pana migdałami w lukrze, które mu ciągle przynosiła. Słyszeliśmy dostatecznie dużo, aby mieć pewność, że nasz drogi pan zginął z jej ręki. Pomyślałem, że król powinien się o tym dowiedzieć, zanim podejmie jakąkolwiek decyzję. Pani, cieszę się, że wracasz do Ashlinu, tam, gdzie naprawdę jest twoje miejsce - zakończył Cedric.

- Dzisiejszy wieczór spędzisz u mnie, ochmistrzu - zarządził Ranulf de Glandeville. - Twoja pani musi się zająć przygotowaniami do ślubu. - A potem zwrócił się do Eleanor: - Pani - zaczął, ujmując jej dłoń - nie obawiaj się mnie. Mam łagodne usposobienie. Uszanuję twe życzenia w każdej sprawie, bo liczę, że nasz związek będzie szczęśliwy.

Elf nieśmiało podniosła oczy.

- Jesteś taki ogromny, panie.

- A ty filigranowa - odpowiedział z nieznacznym uśmiechem.

- Obawiam się, że nie będę dobrą żoną.

- Ugościłaś mnie po królewsku, kiedy nocowałem w Ashlinie. Zadbałaś o strawę i miejsce do spania, podczas gdy twoja bratowa była zajęta kochankiem. Myślę, że będziesz bardzo dobrą żoną.

- Ale nie znam się na wielu rzeczach. To nic trudnego podać rycerzowi talerz ze strawą, lecz co będzie, gdy przyjdzie mi dawać dyspozycje kucharzowi?

- Cedric ci pomoże, prawda, ochmistrzu? - Spojrzenie Ranulfa powędrowało ku sędziwemu słudze.

- Tak, panie. I kucharz również. Wszyscy będziemy panią wspierać, ponieważ jesteśmy szczęśliwi, że wraca do domu - skwapliwie zapewniał go Cedric.

- Więc sama widzisz, droga Eleanore - powiedział Ranulf, unosząc jej dłoń do ust i składając na niej pocałunek, czym zresztą przypawił ją o rumieniec - że już wkrótce będziesz wytrawną gospodynią.

Dotarli do drzwi katedralnego hospicjum.

- Tu cię pożegnamy, panie - odezwała się przeorysza. - Jeżeli Eleanore ma być jutro panną młodą, musimy obejść kramy i sklepy i rozejrzeć się za odpowiednim strojem.

- Matko przełożona, jestem pewien, że cokolwiek lady Eleanore włoży, to i tak będzie pięknie wyglądać. - Zaczerwienił się. - Obawiam się, że nie jestem zbyt zręczny w dwornej mowie. - Ukłonił się czterem kobietom i odszedł wraz z Cedrikiem.

- Jak na kogoś, kto nie jest dworzaninem, całkiem zgrabnie prawi komplementy - zauważyła przeorysza z lekkim uśmiechem. - Podoba mi się.

Część II
Oblubienica

Anglia 1152-1153

6

- Matko przełożona, to dla mnie wielki zaszczyt - powitał przeoryszę kupiec bławatny, prowadząc ją w głąb sklepu. - W czym mogę pomóc? Akurat sprowadziłem z Francji cienką czarną wełnę.

- Czy znajdę u ciebie szatę odpowiednią dla panny młodej, mistrzu Albercie? - chciała wiedzieć przeorysza. - Moja nowicjuszka niedawno odziedziczyła posiadłość po swoim bracie. Tak król, jak i biskup życzą sobie, aby wyszła za mąż za rycerza zamiast składać śluby wieczyste. Chcą, żeby zaślubiny odbyły się jutro rano. Jak się zapewne domyślasz, pani nie ma niczego poza habitem. Przecież nie może w nim iść do ołtarza. - Matka Eunice uśmiechnęła się do niego z nadzieją.

- Och! - westchnął kupiec, z frasunku marszcząc brwi.

Po chwili twarz mu pojaśniała.

- Moja córka wychodzi za mąż za dwa miesiące! Zawołam żonę, zobaczymy, może ona znajdzie wśród wyprawy Cecily coś odpowiedniego dla młodej damy. - Podeszedł do schodów prowadzących na piętro. - Zejdź no, Marto! - krzyknął, zadzierając głowę. - Potrzebuję twojej pomocy!

Sytuacja Eleanore natychmiast obudziła wielką życzliwość kupcowej.

- Naturalnie, że mogę pomóc - oznajmiła. - Żadna kobieta w dniu swego ślubu nie powinna wyglądać jak szara myszka.

- Mam czym zapłacić, biskup przyznał mi odpowiednie fundusze - zapewniła ją przeorysza.

Marta przyjęła jej słowa z uśmiechem. Pieniądze z ręki do ręki, żadnego czekania rok na spłatę długu. Wspaniale! Ta świadomość wprawiła ją w jeszcze lepszy humor.

- Chodź, dziecko, niech ci się przyjrzę - powiedziała do

Eleanore. - Hmm, jesteś niższa niż nasza Cecily, ale można podłożyć dół. Poza tym rozmiar by się zgadzał. - Marta zwróciła się do przeoryszy: - Możemy również wykorzystać tunikę i spódnicę panienki, łącząc je z kolorowym materiałem. Żółta góra ładnie harmonizowałaby z szarą spódnicą - zastanawiała się na głos. - Podkreślałaby kolor włosów. Hmm, a co by tu dołożyć do popielatej tuniki? - Przez chwilę myślała intensywnie. - Może spódnicę w różowo-szare pasy? W ten sposób zyskamy dwa stroje. A teraz zastanówmy się nad strojem ślubnym... Gorset w kolorze leśnej zieleni z przodem haftowanym złotą nicią, nakładany na zieloną spódnicę w jaśniejszym odcieniu! Doskonale będziesz się prezentować w tym gorsecie, moje dziecko, choć mojej córce od pierwszej chwili nie przypadł do gustu. Nie wiem dlaczego, bo uważam, że jest śliczny. Może wydaje się jej zbyt strojny dla kogoś, kto wychodzi za członka gildii stolarskiej. Chociaż ja wierzę, że przyjdzie taki dzień, że i Peter wyzwoli się na mistrza - dodała z dumą. - Ale nie ma co się spierać z dziewczyną, kiedy ma nerwy napięte z powodu zamążpójścia. Chodźmy na górę, dziecko, trzeba sprawdzić, jakie przeróbki nas czekają.

- Siostró Columbo, pójdź z Eleanore, a my z siostrą Winifredą zaczekamy na dole - odezwała się przeorysza.

Kupcowa zaprowadziła je na piętro do jasnej, przestronnej izby. Podeszła do drewnianej skrzyni i wyciągnęła z niej żółtą tunikę. Poprosiła Elf, by zdjęła górę swego szarego stroju, i pomogła jej się przebrać. Potem przewiązała tunikę na biodrach ciemniejszą o ton szarfą przetykaną nicią w kolorze miedzi i na koniec, odstąpiwszy o krok od Eleanore, z zadowoleniem pokiwała głową.

- Nasza Cecily jest wyższa i ciut szersza w ramionach, ale obie jesteście smukłe.

Elf dotknęła opuszkami palców miękkiego, śliskiego jedwabiu. Od przyjazdu do klasztoru nosiła wyłącznie rzeczy szyte z wełny lub płótna.

- Jak wyglądam? - nieśmiało zwróciła się do siostry Columby.

- Cudownie! Och, Elf! Jaka szkoda, że się nie możesz zobaczyć! Nawet twoje śliczne włosy wydają się jeszcze piękniejsze przy tym kolorze!

- Tunika leży idealnie, trzeba będzie ją tylko trochę zebrać

w ramionach. Widocznie wzrost Cecily kryje się w nogach. - Marta uśmiechnęła się do Elf. - Młoda siostrzyczka ma rację. W żółty jest ci do twarzy. A teraz, dziecko, zdejmij i górę, i dół. Przymierzmy tę pasiastą spódnicę i zaznaczymy, ile ją należy skrócić.

Gdy Elf spełniła jej prośbę, Marta przyklękła, podpięła rąbek i zrobiła zakładki w pasie. Potem podała szarą tunikę, a kiedy Elf ją narzuciła, zawiązała szarfę z różowego jedwabiu, haftowanego srebrną nicią. Elf spojrzała pytająco na swą przyjaciółkę, a ta z aprobatą pokiwała głową.

Wreszcie nadszedł czas na przymiarke stroju weselnego.

- Do ślubu założysz pod spód koszulę wykończoną haftem - wyjaśniła Marta. - Teraz chcę jedynie sprawdzić, czy gorset dobrze leży. - Przytrzymała go, aby Elf mogła wsunąć weń ramiona. Gorset był usztywniony i wcięty w pasie. Miał doszyte długie, szerokie, zdobione haftem rękawy. Do przedłużonego stanu przypięta była plisowana spódnica. Głęboko wcięty dekolt przechodzący w pęknięcie miała zasłaniać haftowana koszula. Marta dociągnęła sznurówkę z tyłu gorsetu i aż cmoknęła ze zdziwienia, widząc, że trzeba go będzie zwęzić. Tuniki były luźne, lecz podtrzymywały je szarfy; natomiast dopasowany gorset okazał się niestety zbyt obszerny na filigranową Elf!

- To się da poprawić - wymruczała pod nosem kupcowa. - Szew tu, szew tam i po robocie. I jak, do twarzy twojej przyjaciółce w tym kolorze, siostrze? - zwróciła się do zakonnicy.

- Elf, wyglądasz przepięknie! - zawołała siostra Columba. - Ciemna zieleń i złoto bardzo dobrze harmonizują z twoją cerą i kolorem włosów. Jaka szkoda, że nie ma tu Isy. Pękłaby z zazdrości!

- Powinnaś się wstydzić! - Elf skarciła przyjaciółkę, nie mogąc jednak opanować chichotu. Pogładziła materiał palcami. - Kolor gorsetu bardzo mi się podoba, ale czy koniecznie musi być tak ciasno zasnurowany? Nieskromnie przylega do ciała.

- Wszystkie wielkie damy noszą gorsety - oznajmiła Marta. - Jeżeli sam biskup udziela ślubu w obecności króla Stephena, to musisz, pani, wyglądać jak najpiękniej. Pan młody będzie dumny, że ma taką modną żonę.

- Matka Isy wysłała jej gorset do noszenia po domu -

wtrąciła siostra Columba. - Ale na pewno nie był taki piękny jak ten.

Marta ponownie przyklękła i podpięła dół plisowanej spódnicy, a potem zrobiła zakładki w pasie.

- Będzie z ciebie panna młoda jak marzenie, moja droga - powiedziała na koniec. - A teraz proszę się przebrać w swoje rzeczy. Pójdziemy do przeoryszy. Czeka mnie pracowita noc, jeżeli wszystko ma być gotowe na jutro.

- Możemy pomóc - zaproponowała Elf.

- Jestem pewna, że matka przełożona się zgodzi - poparła ją przyjaciółka. - Potrafimy szyć. Nie wypada nam nadużywać pani uprzejmości.

Zeszły na dół, a Marta zdała przeoryszy relację z przymiarki.

- Do tej żółtej tuniki będzie pasować również zielona spódnica i w ten sposób pani zyska czwarty strój - powiedziała na koniec.

- Doskonale - ucieszyła się przeorysza. - Lady Eleanore będzie mieć odpowiednią garderobę bez zbędnej ekstrawagancji. Moja droga - zwróciła się do Elf - kupiłam ci kilka materiałów. Na pewno zechcesz uszyć sobie parę sukien, kiedy wrócisz do Ashlinu. Pozwoliłam sobie również wybrać muślin na woale oraz wstążki, z których zrobisz przepaski na czoło, bo nie będziesz więcej nosić kornetu.

- Matko przełożona, potrzebne mi parę miar płótna na bieleznię - zauważyła nieśmiało Elf. - Jak zapewne pamiętasz, mam tylko jedną koszulę. Będę musiała uszyć ich więcej po powrocie do domu.

Matka przełożona kiwnęła głową na znak zgody.

- Kupcze, ile jesteśmy ci winne, odliczając pomoc pani oraz siostry Columby przy poprawkach?

Mistrz Albert wymienił kwotę, a jego żona mu przytaknęła.

- Uważam, że to uczciwa cena - uśmiechnęła się przeorysza, licząc pieniądze. - A to dodatkowa zapłata za uprzejmość dla pani Eleanore. - Wręczyła obojgu po srebrnej monecie.

Kupiec podziękował z uniżonym ukłonem i przeorysza wraz z siostrą Winifredą opuściły sklep. Marta z zadowoloną miną wsunęła monetę do kieszeni i skinięciem dłoni dała znak Elf i jej towarzysze, by poszły za nią na piętro. Wszystkie trzy zabrały się do poprawek. Elf szyła w milczeniu, skupiona na

pracy, tymczasem siostrze Columbie nie zamykały się usta. Wkrótce Marta wiedziała niemal wszystko o dwóch młodych kobietach. Z wielkim przejęciem wysłuchiwała historii nowicjuszek, która tuż przed ślubami wieczystymi musiała opuścić zakon, żeby wyjść za rycerza. - Nie chcę być wścibska - szepnęła do młodej zakonnicy, w której wyczuła bratnią duszę - ale czy młoda pani wie cokolwiek o potrzebach mężczyzn? Mam nadzieję, że nie wprawiłam siostry w zakłopotanie?

- Masz córkę - odparła Columba. - Może powinnaś oświecić nieco Elf?

- Co takiego? - Elf podniosła głowę znad szycia, słysząc swoje imię.

- Pani Marta domyśla się, że niewiele wiesz o sprawach doczesnych, więc zapytała mnie, czy nie powinna z tobą porozmawiać, tak jak by to zrobiła twoja matka, gdyby żyła. Elf, to chyba dobry pomysł. Nigdy nie zaglądałaś z nami do stodoły i nic w tym złego, ale jutro wychodzisz za męża, a jak mówi ta dobra kobieta, mężczyzna spodziewa się pewnych względów od swojej żony. Musisz wiedzieć, co cię czeka.

Elf spaşowiała.

- Ja wiem... i jestem... szczerze przerażona.

- Normalna reakcja dziewicy - skwitowała jej słowa Marta. - Ale, moje dziecko, naprawdę nie ma się czego bać. Podczas gdy kobietę natura wyposażyła we wspaniałe ciało, mężczyzna, choć może nie odrażający, jest bardzo pospolity. Kobieta ma piersi, które należy pieścić, pośladki do głaskania, natomiast mężczyznę interesuje tylko jedna część jego ciała... a mianowicie przyrodzenie. Wiele legend sami mężczyźni tworzą na jego temat. Młodzi chłopcy porównują ich wielkość. Dorośli mężczyźni opowiadają niestworzone historie o swych możliwościach i prześcigają się w opowieściach o miłosnych podbojach. To bardzo zabawne, biorąc pod uwagę fakt, że to ich przyrodzenie przez większość czasu jest niczym innym jak tylko wiotkim wyrostkiem. - Po tym wstępie Marta, traktując Elf jak własną córkę, przeszła do bardziej szczegółowych wyjaśnień.

- Czy chciałabyś jeszcze coś wiedzieć? - zapytała na koniec.

Elf pokręciła głową.

- Oczywiście rozumiesz, że masz prawo zadawać pytania

mężowi? Ależ tak! Oni też lubią być pieszczeni. Nie wstydź się go dotykać. A czy ty wiesz cokolwiek... no, na pewno musisz trochę wiedzieć... o zapobieganiu poczęciu?

- Tego nie należy robić!

- Czasami trzeba - odparła Marta. - Przynajmniej ja tak uważam. Jeżeli kobieta rodzi kilkoro dzieci rok po roku, jej ciału należy się odpoczynek. Nie powinna też ryzykować, kiedy błogosławiony stan zagraża życiu. Trzeba być rozsądną. Och, wiem! W takich przypadkach Kościół zaleca wstrzeżność, ale bardzo często tak żona, jak i mąż nie chcą zrezygnować ze współżycia. Bo jeżeli do tego dochodzi, to prośba, które leży w naturze mężczyzny, popycha go w ramiona innej kobiety, a tego żona sobie nie życzy. Kościół, niech Bóg mi wybaczy, nie bardzo rozumie się na tych sprawach i za wiele od nas żąda. Nic się złego nie stanie, jeśli kobieta zje dziennie łyżkę nasion dzikiej marchwi, która zapobiega poczęciu. Dzięki temu jej mąż będzie ukontentowany i nie posunie się do śmiertelnego grzechu, jakim jest cudzołóstwo - optymistycznie podsumowała swój wykład ta dobra kobieta.

- Rozumiem - powiedziała Elf. I chociaż wszystko, co usłyszała, nie zgadzało się z tym, czego jej uczono, nie mogła odmówić poglądom kupcowej pewnej dozy praktycznej logiki. - Dziękuję, pani Marto.

Zanim uporały się z przeróbkami, na dworze zrobiło się ciemno. W sklepie zjawiło się dwóch zbrojnych mężczyzn ze straży biskupiej, żeby eskortować młode kobiety do hospicjum. Kupiec Albert wytoczył mały wózek, aby przewieźć kuferek, który po południu dostarczono z warsztatu stolarskiego, mieszczącego się zaledwie parę domów dalej. Marta osobiście zapakowała wyprawę Elf i nie wypuściła dziewcząt, dopóki nie nakarmiła ich mięsem z duszonego królika. Podała do niego chrupiący chleb i młody jabłecznik.

Grupę ludzi, która wyszła z domu kupca bławatnego, poprzedzało dwóch czeladników niosących pochodnie. Dalej szedł mistrz Albert, a za nim podążali uczniowie ciągnący wózek. Pochód zamykały kobiety i towarzyszący im uzbrojeni strażnicy. Dochodzili już do hospicjum, gdy w wąskiej uliczce rozwarły się drzwi jednego z domów i na zalany światłem bruk wysypała się gromadka mężczyzn. Wszystkim niezłe kużyło się z głów od ilości wypitego wina.

Jeden z nich zastąpił drogę Elf.

- Aaa, to lady Eleanore de Montfort! Miała zostać moja żoną, ale zamiast mnie poślubi jutro starego rycerza! - Otepiła od nadmiaru alkoholu twarz Saera de Bude'a zamajaczyła tuż przed Elf. Owionął ją kwaśny odór jego oddechu.

- Zejdź mi z drogi! - zażądała.

Uderzyła ją myśl, że nie kto inny, jak właśnie Saer ponosi winę za wszystko, co się stało. Gdyby nie jego zakusy na Ashlin, król nigdy by się nie dowiedział o jej istnieniu i żyłaby sobie spokojnie, tak jak zaplanowała. Rozzłoszczona, z całej siły nastąpiła mu na nogę.

Zaskoczony, cofnął się z okrzykiem bólu.

- Suka! - warknął, kiedy przemknęła obok niego. W tej samej chwili eskorta zagrodziła mu drogę, oddzielając go od Elf na dobre.

Drzwi hospicjum otworzył im odzwierny biskupa. Pozwolił mistrzowi Albertowi wnieść kufer do holu, gdzie odebrał go od niego służący. Zanim kupiec opuścił dom, zarówno Elf, jak i siostra Columba podziękowały mu za uprzejmość. Chwilę później dziewczęta legły na swoich posłaniach. Elf, wyczerpana wydarzeniami dnia, nie zbudziła się nawet wtedy, gdy zakonnice wstały przed północą i udały się do sąsiadującej z hospicjum katedry na odmawianie brewiarza. Obudzono ją jednak na primę. Po modlitwie siostry zajęły się przygotowaniem kąpieli dla panny młodej, a ona w tym czasie posilała się gorącą owsianką i chlebem z miodem.

Wreszcie nadszedł czas na przebranie Elf w weselne szaty. Ponieważ akurat wyłącznie zakonnice korzystały z gościny u biskupa, nikt nie zakłócał im intymności tej chwili. Przeoryszę zachwycił zielony gorset o przodzie ze srebrno-złotego brokatu. Najpierw siostry podały Elf świeżą koszulę, a dopiero na nią nałożyły tę ozdobioną przy szyi lamówką ze złotego haftu. Długie rękawy wierzchniej koszuli były ufarbowane na zielono, aby harmonizowały z resztą stroju. Gdy przeorysza sznurowała gorset, dociągając ile sił tasiemki, siostra Winifreda skupiła się na przypinaniu szerokich, plisowanych rękawów do brokatowych, sięgających łokci rękawków gorsetu. W tym samym czasie siostra Columba przymocowywała długą, plisowaną zieloną spódnicę do dołu gorsetu, a na koniec opasała biodra Elf szarfą ze złotego brokatu, spiętą

klamrą z wypolerowanego do blasku mosiądzu. Panna młoda wcześniej włożyła pończochy, podtrzymywane podwiązkami na wysokości kolan, i wsunęła stopy w skórzane trzewiki, które wyczyściła dla niej siostra Columba.

Przeorysza małą szczotką tak długo czesała nigdy nie ścinane włosy Elf, aż płomiennozłote pasma, sięgające kolan, nabrały połysku. Tym razem Elf nie zaplotła warkocza, bo rozpuszczone włosy były atrybutem panińskiego stanu. Na koniec siostry upięły welon z jedwabiu w kolorze złota i przytrocowały go zieloną wstążką.

- No, moja córko, jesteś gotowa - oznajmiła przeorysza, lekko się uśmiechając.

- Och, Elf! Jaka jesteś piękna! - westchnęła jej przyjaciółka.

- Dziwnie się czuję. Nigdy nie nosiłam niczego innego poza prostą klasztorną suknią. Ten strój jest taki wytworny. Mam wrażenie, że jestem nadmiernie wystrojona.

- Nieprawda - uspokajała ją przeorysza. - To ubiór na szczególne okazje. Odpowiedni na ślub dla damy o twojej pozycji społecznej. Będiesz go mogła nosić również w święta lub kiedy wypadnie ci złożyć wizytę na dworze. Ale czas się zbierać. Przed mszą mamy się stawić w prywatnej kaplicy biskupa. Zrobiło się późno, więc się pośpieszmy.

Trzy zakonnice zaprowadziły pannę młodą do przydomowej kaplicy, gdzie biskup Worcesteru miał zwyczaj w samotności odmawiać modlitwy. W niewielkiej komnacie znajdował się prosty dębowy ołtarz nakryty batystowym obrusem. Stał na nim złoty krucyfiks misternej roboty i utrzymane w tym samym stylu dwa lichtarze, w których płonęły woskowe świece. W kaplicy nie było okna, a na ścianach wisiły stacje Męki Pańskiej, oprawione w ramy wygięte w kształcie łuku. Biskup ubrany w uroczyste szaty czekał już na nie w towarzystwie pana młodego.

Pierwszy raz od ich spotkania Elf przyjrzała się mężczyźnie, którego miała poślubić. Był przynajmniej o stopę wyższy od niej. Wbrew panującej wśród rycerstwa modzie włosy miał krótko przystrzyżone i nie nosił zarostu. Twarz o wyraźnie zarysowanych kościach policzkowych, mięsistych wargach i kwadratowej szczęce była raczej pociągła, a nos, choć wydatny, nie psuł proporcji. Brwi miał gęste i ciemne, a piwne oczy o owalnym wykroju osłaniały, jak zauważyła, bardzo długie

rzęsy. Jego cera o dość jasnej karnacji była ogorzała od słońca i wiatru. I wcale nie wydawał się taki stary!

Lustrujące spojrzenie lady Eleanore nie uszło uwagi Ranulfa de Glandeville'a. Ubrał się dzisiaj w swą najwytworniejszą tunikę ze szkarłatnego jedwabiu z szerokim pasem haftu przyszy i u dołu rękawów. Na nogi w szafirowych obcisłych rajtach naciągnął wysokie buty z miękkiej skóry z odwijanymi mankietami i przepasał się w talii szeroką niebiesko-złotą szarfą. Do kaplicy przyszedł bez miecza i nakrycia głowy.

Biskup przyglądał się przez chwilę stojącej przed nim parze. Dobrze, że ona wychodzi za mąż - pomyślał. Ta słodka twarzyczka nawet w kornecie zakonnicy mogłaby stać się pokusą dla mężczyzny znacznie bardziej okrzesanego niż Saer de Bude. Tak, życie w zakonie nie było przeznaczone tej dziewczynie. Ranulf de Glandeville, wierny rycerz króla, zostanie jej mężem i roztoczy opiekę tak nad nią, jak i jej majątkiem. Biskup z czystym sumieniem rozpoczął ceremonię zaślubin.

Elf wsłuchiwała się w śpiewne brzmienie łacińskich słów. Jej los został przypieczętowany. Tyle lat uczono ją posłuszeństwa, a mimo to w jej duszy tlił się bunt. Wzdrygnęła się, kiedy niespodziewanie Ranulf ujął jej drobną dłoń w swe potężne łapsko. Kątem oka spojrzała na niego, lecz on nie odewrwał wzroku od duchownego, nawet wtedy, gdy lekko ścisnął jej palce. Uderzyła ją przerażająca refleksja. Czyżby on umiał czytać w jej myślach? Czy wiedział, co ona czuje? Nie! Nie mógł tego wiedzieć, a jednak...

Dyskretnie ponaglona przez stojącą obok przeoryszę, wy dobyła z siebie głos, by złożyć przysięgę małżeńską przed Bogiem i tą niewielką grupką świadków. Pan młody wsunął jej na palec delikatną złotą obrączkę wysadzaną rubinami, która... o dziwo, pasowała jak ulał! Kiedy biskup ogłosił ich mężem i żoną, i Elf obróciła się ku Ranulfowi, spostrzegła króla Stephena, który musiał niepostrzeżenie wśliznąć się do kaplicy w trakcie ceremonii. Teraz zbliżył się do młodej pary, a Elf przyklękła przed nim i położyła rękę na jego dłoni, składając w ten sposób wasalski hołd, bo, jak dotąd, jeszcze tego nie uczyniła.

Król uniósł ją z klęczek i uśmiechając się, stwierdził, że jako monarcha ma prawo pierwszy pocałować pannę młodą.

- Przyniosłem prezent, lady Eleanore - oznajmił, złożyłwszy pocałunki na obu policzkach spłonionej panny młodej, i wręczył jej piękną broszę z centralnie osadzonym szlachetnym zielonym kamieniem. - Należała do mojej zmarłej żony, królowej Matildy, która podobnie jak ty, pani, została dziedziczką na ziemi swych ojców. Gdyby była tu z nami, niech Pan Bóg ma w opiece jej duszę, na pewno sama by ci ją podarowała, bo moja Tilda uwielbiała dawać prezenty. Noś ją na jej pamiątkę. - Król przypiął broszę do brzeżku gorsetu i ucałował dłoń Elf.

- Królu, czuję się zaszczycona twoją uprzejmością. Moja rodzina nie należy do najznacześniejszych, ale ty potraktowałeś mnie, jakbym była twojego stanu. Będę się zawsze modlić za ciebie i twą zmarłą żonę, Panie świeć nad jej duszą - odparła szczerze Elf.

Król Stephen w odpowiedzi skinął głową.

- Spóźnimy się na mszę, jeśli zaraz stąd nie wyjdziemy, prawda, biskupie? - zwrócił się do duchownego i pierwszy wyszedł z kaplicy.

- Znalazłaś się jak należy, Eleanore - pochwalił ją Ranulf.

- Uczono mnie dobrych manier, mój panie - odparła nieco oschle.

- Nie mam co do tego wątpliwości, pani.

Kiedy Ranulf prowadził ją do wyjścia, dostrzegła pod ścianą swego ochmistrza Cedrica.

- Stałeś tu przez całą uroczystość? - zapytała.

- Tak, pani - odpowiedział z promiennym uśmiechem. - Stara Ida by mi nie wybaczyła, gdybym po powrocie nie opowiedział jej wszystkiego ze szczegółami. - Ukłonił się Ranulfowi. - Wszystko gotowe do drogi - zapewnił go skwapliwie.

Widać było, że w pełni aprobuje swego nowego pana.

- Doskonale! - pochwalił go Ranulf. - Odprowadź nas teraz na mszę, Cedricu. - Zapewne - zwrócił się do Elf - nie masz ochoty podróżować w weselnych szatach. Ja zresztą też. Po mszy przeberzemy się i czym prędzej wyruszymy do Ashlinu. Aż do St. Friedeswide będziemy jechać razem z zakonnicami i ich eskortą.

- Nie masz giermka?

Pokręcił głową.

- Nie stać mnie, Eleanore. Chociaż w moich żyłach płynie

szlachetna krew, nie posiadam niczego oprócz konia, zbroi, miecza i sakiewki monet, które przez te wszystkie lata udało mi się odłożyć. Małżeństwo z tobą jest dla mnie błogosławieństwem z wielu względów. Dostałem cnotliwą kobietę za żonę i wszedłem w posiadanie dworu, co oznacza, że mogę pomyśleć o synach i córkach. No i zyskałem dom, w którym spokojnie doczekam starości.

- Ile masz lat, panie? - zebrała się na odwagę, mając w pamięci zgryźliwą uwagę Saera de Bude'a z poprzedniego wieczoru.

- Trzydzieści - odparł. - To nie tak dużo. Pani, przysięgam, że jestem zdolny płodzić dzieci. A ile ty liczysz sobie wiosen?

- Czternaście i pół - odparła. Matko Boska, on rzeczywiście jest stary! - pomyślała.

Weszli do kościoła za biskupem i królem. Gdy odśpiewano mszę, pożegnali się z monarchą oraz z duchownym i Ranulf odprowadził Eleanore do hospicjum. Elf przebrała się w szarą spódnicę i żółtą tunikę, po czym starannie spakowała weselny strój oraz resztę ubrań do drewnianego kufra. Służący biskupa umieścili go na furze, gdzie już czekała siostra Winifreda, pewną ręką dzierżąc lejce zaprzęzonego do dyszla ukochanego muła siostry Josephy.

Niewielka kawalkada szybko zostawiła za sobą Worcester. Na dworze panował ziąb, bo właśnie zaczął się grudzień. Na szczęście dzień był jasny, a niebo bezchmurne. Ranulf narzucił szybsze tempo niż to, w jakim zakonnice podróżowały do Worcesteru. Razem z Cedrikiem otwierał orszak, za nim jechały dwie zakonnice oraz Elf, a na końcu wóz otoczony przez czterech uzbrojonych strażników. Nawet muł, najwyraźniej czując, że kierują się w stronę domu, truchtał rażno, co wprawiło zakonnice w zdumienie. Droga powrotna do St. Friedeswide zajęła im tylko trzy doby, czyli o jedną mniej niż podróż do Worcesteru. Na pokonanie odległości z St. Friedeswide do Ashlinu potrzeba było dodatkowo pół dnia.

Pierwszą noc spędzili w hospicjum opactwa, gdzie wszystkich mężczyzn umieszczono razem w osobnym pomieszczeniu. Drugiego dnia nocowali w klasztorze, ulokowani w taki sam sposób. Kiedy dotarli do St. Friedeswide, rozstanie z sio-

sferami, które od piątego roku życia zastępowały Elf rodzinę, było dla niej trudnym, a zarazem dziwnym przeżyciem.

- Będiesz tu zawsze mile widzianym gościem - zapewniła ją przeorysza, zamykając w czułych objęciach. - Niech cię Bóg błogosławi, córko!

- Moje dziecko, niełatwo mi przyjdzie znaleźć drugą taką zdolną asystentkę - westchnęła stara siostra Winifreda. - Ale Bóg najwyraźniej miał inne plany co do ciebie. Szkoda tylko, że wcześniej nie dał mi o tym znać. - Ona również wyściskała Elf na pożegnanie. - Przyjeżdżaj mnie odwiedzić, dziecko.

Kiedy siostra Columba podniosła wzrok na przyjaciółkę, w jej dużych niebieskich oczach zakręciły się łzy i parę kropel stoczyło się na rumiane policzki.

- Och, Elf, myślałam, że zawsze będziemy razem! Będę za tobą tęsknić!

Elf otoczyła Columbę ramionami.

- Nie płacz - pocieszała ją. - Będę do was często zaglądać. Obiecuję!

- Chodźcie, siostry! - ponagliła je przeorysza. - Musimy podziękować Bogu za szczęśliwą podróż. - Na koniec zwróciła się do rycerza: - Sir, nie zapomnij nam zwrócić klaczy, na której jedzie lady Eleanore.

- Może matka ją zabrać już teraz - oznajmił Ranulf i poderwawszy z ziemi swą zaskoczoną żonę, posadził ją przed sobą na siodle. - To niedaleko, więc moja pani może jechać ze mną.

- Ruszaj z Bogiem, sir Ranulfie! - Przeorysza pobłogosławiła ich na drogę, po czym powiodła swe podopieczne i pozbawioną amazonki klaczkę przez klasztorną bramę.

- Można było zwrócić konia jutro - stwierdziła Elf. Postępek Ranulfa wyprowadził ją z równowagi.

- Zbliża się zawieja - usprawiedliwiał się. - Pani, jak sama zapewne czujesz, burza wisi w powietrzu. Jest grudzień. Jeżeli rzeczywiście ci niewygodnie, niech Cedric idzie pieszo, a ty weź jego konia.

- Nie mogę żądać, by Cedric w jego wieku szedł tyle mil w taki zimny dzień. Jak w ogóle mogłeś coś takiego wymyślić?!

- A więc zadowala cię jazda ze mną?

- Najwyraźniej nie mam wyboru - odparła naburmuszona.

- Możesz iść pieszo - podpowiedział. Nie potrafił się po-

wstrzymać od śmiechu na widok jej rozgniewanej miny. - Pani żono, twoja klasztorna pokora zdaje się szybko cię opuszczać i coraz bardziej przypominasz zwykłą śmiertelniczkę. Widzę, że masz gorącą naturę.

- *Ave Maria, gratia plena* - zaczęła bezgłośnie modlitwę. Rzeczywiście, dała się ponieść złości. Nie odezwie się więcej i będzie się modlić aż do samego Ashlinu. Co prawda zrzuciła habit, jednak musi dbać o łagodność charakteru. Nic nie usprawiedliwia swarliwego zachowania. Czy wszyscy mężczyźni są tacy denerwujący? Czy zawsze traktują kobiety protekcyjnie? Nagle Elf poczuła się zdominowana przez tego rosnącego mężczyznę. Ranulf miał na sobie tę samą ciężką opończę, w której zatrzymał się przejazdem w Ashlinie. Najwyraźniej od tamtego czasu nikt jej porządnie nie wyszczotkował. Szorstki materiał drapał ją w policzek, a nacisk ramienia Ranulfa, którym przytrzymywał ją w talii, budził w niej trudne do określenia odczucia.

Dyskretnie spojrzała w górę. Zobaczyła przystojną twarz o zdecydowanie męskich rysach. W kąciakach oczu dostrzegła drobne zmarszczki. Na korzyść Ranulfa przemawiał fakt, że jego ciało nie wydzielało przykrewj woni. W pewnej chwili duży płatek śniegu osiadł mu na rękach i Elf pomyślała, że jej mąż się nie pomylił. Niebo było ciężkie, lada chwila rozpęta się burza.

- Słusznie skarciłeś mnie za mój wybuch, panie - przyznała. - Jak sądzisz, daleko jeszcze stąd do Ashlinu?

- Jesteśmy w połowie drogi - odparł za Ranulfa jadący obok Cedric. - Panie, czy mam pojechać przodem i zawiadomić dwór o przyjeździe? Lepiej, żeby kucharz wiedział o tym zawczasu.

- Jedź - zgodził się Ranulf. - Trakt wyraźnie prowadzi. I przygotujcie też gorącą kąpiel dla mojej żony. Zmarzła i musi się rozgrzać.

- Skąd wiesz, że mi zimno, panie? - zapytała Elf, gdy Cedric odjechał. - Przecież się nie uskarżam.

- Nie, ale czuję, jak drżysz.

Oto jeszcze jeden rys jego charakteru - pomyślała. Był wrażliwy na jej potrzeby. Wykazywał zainteresowanie. Jej brat bardzo ją kochał braterską miłością, ale nie poświęcił jej ani jednej myśli, odkąd bezpiecznie ulokował ją w St. Frie-

deswide. Ojciec Anselm, taki dobry ksiądz, a ulegał lubieżnym pokusom i zabawiał się z mleczarką na sianie, no i z innymi służącymi również, jeżeli wierzyć Matti i Isie. Nigdy nie miała powodu, by wątpić w prawdomówność obu przyjaciółek. A jej sługa? Wszyscy traktowali ją z szacunkiem, zarówno Cedric, Artur, jak i jego ojciec John, lecz oni należeli do niej jako dziedziczki Ashlinu. Natomiast król i biskup, osoby o potężnej władzy, zmienili całe jej życie, nie pytając jej nawet o zdanie. Hmm, mieli prawo tak postąpić - doszła do wniosku.

To wszystko, co do tej pory wiedziała o mężczyznach. A teraz zjawił się on, Ranulf de Glandeville. Jej mąż. Pan i władca. Wróciła myślami do tamtego wieczoru, kiedy zatrzymał się na noc w Ashlinie. Mówił wtedy przyciszonym głosem i okazał wdzięczność za jej gościnność. Nie tak jak inni, którzy zjawiali się ni stąd, ni zowąd, przyjmowali gościnę jak coś, co im się należało, i znikali, ledwo mówiąc „dziękuję”. A w dzień ślubu Ranulf odgadł, że nie chciałyby podróżować w swych najlepszych szatach, i cierpliwie czekał, aż się przebierze. W podróży troszczył się o zakonnice, owszem, narzucił dość szybkie tempo, ale ich nie popędzał. Wiedział, że w zimie z pogodą nie ma żartów i że w każdej chwili może się pogorszyć, co właśnie teraz miało miejsce. No i jak dotąd nie słyszała, aby choć raz podniósł głos, chociaż na pewno potrafił wpaść w gniew.

Nieraz słyszała, jak dziewczęta w klasztorze rozmawiały o mężczyznach, których znały. Twierdziły, że żądają posłuszeństwa i że choć czasem bywają mili, przeważnie budzą lęk. Jedna z dziewcząt wyraziła nawet opinię, że wolałyby urodzić się zwykłą, wolną kobietą, która mogłaby uczyć się rzemiosła, niż córką barona. W niektórych gildiach kobiety stanowią większość. Znacznie więcej kobiet niż mężczyzn zajmuje się przędzeniem, tkactwem i warzeniem piwa. Przynajmniej - mówiła - mogłaby się nauczyć fachu, odsłużyć kilka lat jako czeladniczka i wyzwolić się na mistrza. I wtedy większość dziewcząt wyśmiała ją, twierdząc, że kobiece gildie są także kierowane przez mężczyzn. Nie było ucieczki od męskiej władzy i dominacji. Nawet w żeńskich zakonach w przypadku ważnych decyzji ostatnie słowo należało do biskupa. Mężczyźni rządzą. Kobiety okazywały posłuszeństwo.

Była dziedziczką w Ashlinie, lecz teraz to on, jej mąż, będzie nim władał. Czy ona ma prawo chociaż do części wpływów i władzy nad ludźmi i ziemią? Gdzie się ma tego wszystkiego dowiedzieć? Kto jej to wyjaśni?

Boże jedyny, była zupełnie nieprzygotowana do roli żony i gospodyni! Czy król wziął to pod uwagę, wydając swoją decyzję? Oczywiście, że nie! Westchnęła głęboko i instynktownie przysunęła się bliżej Ranulfa. Uchylił połę opończy i starannie owinał nią Elf. Zaskoczył ją ten gest. Kim jest człowiek, którego poślubiła - zastanawiała się po raz kolejny. Jaki on właściwie jest? Ma całe życie przed sobą, żeby się tego dowiedzieć.

7

Po zmroku zaczął sypać gęsty śnieg. Zgubiliby drogę, gdyby z dworu nie wyjechali im naprzeciw mężczyźni z pochodniami. Kiedy Ranulf przejeżdżał tędy latem, nie przyglądał się zbyt dokładnie posiadłości. Teraz dopiero zauważył opasujący ją kamienny mur. Należało go znacznie podwyższyć, jeżeli naprawdę miał służyć jako ochrona przed atakami wrogów. Kiedy zajechali na dziedziniec, zręcznie zeskoczył z siodła i pochwycał Elf na ręce, pewnym krokiem wkroczył do dworu przez szeroko otwarte drzwi.

- Cedric mi powiedział, że stary obyczaj nakazuje przynieść żonę przez próg.

- Naprawdę? - Pierwszy raz o czymś takim słyszała, bo niby skąd miała to wiedzieć?

- Gdzie jest alkowa?

- Proszę za mną, panie. Witamy w domu! - odezwał się Cedric.

- Postaw mnie - poprosiła cicho Elf.

Alkowa? Dlaczego chce ją zabrać do alkowy? Czyżby zamierzał natychmiast skonsumować ich małżeństwo? Dotąd nie miał okazji, bo nocowali po klasztorach.

- Zmarzłaś i jesteś znużona - odpowiedział, zniżając głos. - Eleanore, czy masz osobistą służącą, która się tobą zajmie?

Matko Boska! Co za słodki ciężar trzymam w swych ramionach - myślał Ranulf. Eleanore jest lekka jak piórko i taka kru-

cha! Przypadła mu do gustu od pierwszej chwili, kiedy ją ujrzał, ale nawet w najśmielszych marzeniach nie przyszłoby mu do głowy, że będzie należeć do niego. Wiedział, że król myślał wydać ją za Jeana de Burgonne'a, innego lojalnego rycerza, ale Geoffrey de Bohun stwierdził, iż de Burgonne nie jest typem mężczyzny, któremu do szczęścia potrzebna jest żona. Jean de Burgonne ze śmiechem przyznał mu rację.

- Prawie zakonnica? - wykrztusił, szczerze rozbawiony. - Bóg mi świadkiem, królu, że wolałbym tego uniknąć, jeśli mam jakiś wybór. Lubię słodkie, ogniste i bardzo doświadczone kobiety. Przeznacz mi jakąś nieokiełznaną kobietkę, która wie, jak zadowolić mężczyznę, i niech wszyscy święci bronią mnie przed zasuszoną dziewicą.

Król Stephen przeniósł wzrok na Ranulfa.

- Czy ty myślisz podobnie?

- Nie, panie. Byłbym szczęśliwy, mając żonę, szczególnie tak posażną jak lady Eleanore z Ashlinu. Osiągnąłem wiek, w którym odzywają się stare rany, kiedy się zbiera na deszcz. Przydałby mi się przytulny dom i troskliwa żona.

- Pewnie ma końską twarz - droczył się z nim de Burgonne. - Z tego, co wiem, dziewczęta przeznaczone do zakonu są raczej szpetne.

Ranulf nie odpowiedział na zaczepkę.

Król uśmiechnął się pod wąsem, bo wiedział, że de Glandeville niedawno przejeżdżał przez Ashlin. Dziewczyna zapewne jest ładna. Pomyślał, że chyba lepiej jej będzie z tym statecznym rycerzem niż z krewkim Jeanem de Burgonne'em.

- Ranulfie de Glandeville, w takim razie ty weźmiesz Eleanore z Ashlinu razem z jej włościami i całym majątkiem. Oczywiście jako nowy pan na Ashlinie odnowisz przede mną przysięgę wasalską. Świadomość, że osadzę na rubieżach rycerza o twoich umiejętnościach, napełnia mnie spokojem.

- Na litość boską! - Rozmyślenia Ranulfa przerwał dramatyczny okrzyk. Zobaczył, jak stara kobieta biegnie ku nim, ile sił w nogach. - Moja dziecina! Czy coś się jej stało?

- Jest zziębnięta i zmęczona - uspokoił ją Ranulf.

- To Ida, panie - wyjaśnił Cedric. - Stara piastunka lady Eleanore.

- Postaw mnie, zapewniam cię, że potrafię utrzymać się na

własnych nogach - poprosiła Elf. I tym razem znowu wzruszyła ją jego troskliwość.

Ida ściągnęła rękawiczki z dłoni swej pani.

- Masz palce jak sople lodu. Nie mogłeś, panie, zadbać, żeby nie zmarzła? - rzuciła z pretensją do Ranulfa. I nie czekając na odpowiedź, zdjęła z Elf płaszcz i zaprowadziła ją bliżej kominka. - Chodź, dziecinko! Musisz się rozgrzać. A ty, Cedricu, co tak stoisz?! Przyniesz pani grzane wino z korzeniami! Trzeba jej pobudzić krew.

- Pozwól, że cię opuszczę. - Nowy pan na Ashlinie skłonił się Elf i wyszedł z alkowy razem z Cedrikiem.

- Ta stara kobieta znowu się nad panią trzęsie - narzekał Cedric. - Jej się wydaje, że ciągle ma do czynienia z dzieckiem. Idzie odebrano Eleanore, kiedy była pięcioletnią dziewczynką. Teraz znowu jest w swoim żywiole.

- Czy któraś z czeladnych dziewczek nadawałaby się na osobistą służącą pani? - zapytał Ranulf. - Ida ma szczerą chęć, lecz dbanie o potrzeby mojej żony może okazać się ponad jej siły. A nie wygląda mi na osobę, która z własnej woli poprosi o pomoc.

- Właściwie ją, panie, oceniłeś - przytaknął mu Cedric. - Dobrze, rozejrzę się za jakąś dziewczyną, która poradzi sobie z humorami Idy. Wytłumaczę piastunce, że nasza pani już dorosła i została mężatką, więc potrzebuje przynajmniej dwóch osobistych służących. Ona będzie starszą rangą. To powinno zaspokoić jej próżność.

Ranulf powiódł spojrzeniem po wypolerowanej posadzce, płonąącym rażno kominku i błyszczących lichtarzach na stole.

- Izba wygląda bardzo schludnie - zauważył.

- Służący znają swe obowiązki, panie - odparł Cedric. - A teraz, kiedy pani wróciła do domu, będą jeszcze bardziej się starać pod jej okiem.

Ranulf przyciągnął ławę bliżej kominka i odebrawszy od służącego wino z korzeniami, ogrzewał swe duże dłonie o srebrny puchar. Upił parę łyków gorącego płynu. Burza rozszalała się na dobre. Jest skazany na siedzenie w domu, dopóki śnieżyca nie ustanie. Dopiero wtedy będzie mógł sprawdzić, w jakim stanie jest dwór. Kiedy jechali przez posiadłość, dostrzegł zarysy zabudowań: stodołę, chat i kościoła. Zwierzęta zapewne stoją bezpiecznie gdzieś pod dachem. Nie on jeden

przewidział zbliżającą się zamieć. Chłopi, którzy żyją z naturą za pan brat, musieli spostrzec, co się święci. A jednak...

- Cedricu! - zawołał ochmistrza i podzielił się z nim swymi obawami.

- Wczoraj spędzono bydło z pastwiska. Wszystko w porządku - uspokoił go Cedric.

Z ulgą rozkoszował się zawartością pucharu. Zapatrzony w roztańczone płomienie, pierwszy raz od wielu dni doznał błęgiego uczucia ciepła.

Jakiś czas później stanął przed nim Cedric.

- Panie, podano do stołu. Pani prosiła, żeby jej wybaczyć. Dziś nie dotrzyma towarzystwa przy kolacji, bo jest bardzo zdrożona. Ida zaniosiła jej tacę z posiłkiem.

- Oczywiście. - Podeszedł do stołu. Czekał tam na niego Fulk, dowódca straży, i jego paru mężczyzn. Fulk usiadł dopiero wtedy, gdy przedstawił się swemu nowemu panu, obiecując rano złożyć raport o stanie obronności dworu.

- Jesteś wyzwolencem czy przypisańcem? - chciał wiedzieć Ranulf.

- Jestem wolny, panie, chociaż urodziłem się jako pańszczyźniany chłop. Pan Robert obdarował mnie wolnością, kiedy się poznał na mych umiejętnościach. Uznał, że będę lepiej walczył jako wolny człowiek. To było trzydzieści lat temu.

- Pan Robert niewątpliwie miał rację, Fulk. Doszły mnie słuchy, że w przeciwieństwie do innych posiadłości Ashlin jest omijany przez Walińczyków.

- Mam układ z Walińczykami mieszkającymi po sąsiedzku. Ja zostawiam ich kobiety w spokoju, a oni nie napadają na Ashlin. Tym samym nie zmuszają mnie, bym wybił ich co do nogi, przez co ich bezbronne żony i córki znalazłyby się na mojej łasce - zakończył zadowolony.

Ranulf roześmiał się z uznaniem.

- Usiądź, Fulku z Ashlinu. Nie podsuwaj tym młodym mężczyznom zbereźnych myśli, bo sądząc po ich minach, niejedno im chodzi po głowie.

Młodzi wojowie wybuchnęli śmiechem i unosząc kubki w górę, wypili toast za pomyślność nowego pana, życząc mu długiego życia i wielu synów.

Młodsza ze służących, podających do stołu, zastanawiała się, jakim panem okaże się Ranulf de Glandeville. Zostawi je

w spokoju czy będzie je molestował jak Saer de Bude? Większość służby wywodziła się z plemion Sasów oraz Anglów. Z zasady nie przepadali za Normanami, ale de Montfortów uważali za dobrych panów. Oby podobnie im się żyło pod rządami de Glandeville'ów!

Po kolacji Ranulf rozsiadł się przy ogniu razem z Fulkiem i jego ludźmi. Popijali wino i gwarzyli o sprawach, jakie najczęściej zajmują mężczyzn, kiedy nie ma w pobliżu kobiet. Ranulf powiadomił ich, że będą musieli podwyższyć obronne mury. Planuje też przeszkolić więcej mężczyzn do obrony Ashlinu, jako że ostatnio Walijczycy zrobili się niespokojni. Wiosną muszą być zdolni do odparcia ewentualnego ataku, ponieważ królowi leży na sercu bezpieczeństwo Ashlinu.

Mężczyźni z zadowoleniem kiwali głowami.

- Dawno byśmy to zrobili, tylko że biedny pan Richard nie przejawiał żadnego zainteresowania tymi sprawami od dnia swego ślubu. Żona pochłaniała go całkowicie, a potem, kiedy zachorował, nie można go było nękać takimi problemami. Dobrze, że posiadłość nie wygląda na zasobną. Wiele razy przejeżdżały w pobliżu bandy uzbrojonych rabusiów, ale kradli tylko parę owiec czy krów. Przymykaliśmy na to oko, a oni zostawiali nas w spokoju.

- Fulk, w przyszłości nie będziemy więcej pozwalać na kradzież - zapowiedział stanowczo Ranulf. - Ani też nie damy się zaskoczyć, kiedy nas zaatakują, bo prędzej czy później musi do tego dojść.

Robiło się późno. Wiatr ucichł i płatki śniegu bezszelestnie opadały na ziemię. Fulk i jego ludzie owinęli się w derki i ułożyli na pryzkach. Ranulf wstał z ławy i przeszedł do alkowy. W palenisku tlił się ogień. Stara Ida pochrapywała na swym pościaniu obok kominka. Minał ją po drodze, kierując się do małego alkierza, a kiedy zamknął za sobą drzwi, rozejrzał się wokół siebie. Tu, podobnie jak w alkowie, jedyne światło pochodziło z główki dogasających w kominku. Dorzucił parę szczap i płomień buchnęły w górę.

Zauważył, że niemal cały alkierz zajmowało potężne, dębowe łoże z zasłonami. Przy kominku, obok stołka na trzech nogach, stał niewielki kwadratowy stolik, a na nim miednica. Umył ręce, opłukał twarz i wytarł się kawałkiem miękkiego płótna, leżącym obok cynowego dzbana. Usiadł na stołku,

zwał buty i ustawił je równo pod stołem. Potem wstał, zdjął kasak, dwie tuniki, ściągnął bieliznę, dokładnie poskładał wszystkie rzeczy i położywszy je na stołku, przeciągnął się z lubością. Na koniec podszedł do łóża i odsunął zasłonę. Zobaczył śpiącą Elf. Opuścił kotarę, obszedł łóże dookoła, wdrapał się na nie z drugiej strony i wygodnie ułożył na miękkim materacu.

Elf słyszała, jak Ranulf wszedł do alkierza. Nie wierzyła, by odważył się dzielić z nią łóże. Zapewne będzie spać na dostawionym łóżku. Ona sama miała ochotę się tam położyć, ale nie chciała robić tego przy Idzie, wiedząc, że wprawiliby ją tym w zakłopotanie. A potem zmorzył ją sen i obudziła się dopiero, kiedy wszedł. Słyszała, jak szykuje się do snu. Omal głośno nie krzyknęła, kiedy odsunął kotarę. Na szczęście zaraz ją opuścił. Już miała odetchnąć z ulgą, gdy nagle poczuła powiew chłodnego powietrza zza odgarniętej zasłony, a chwilę później materac ugiął się pod jego ciężarem.

- Co... co robisz?! - pisnęła nerwowo.

- Kładę się spać - usłyszała jego głęboki głos.

- W takim razie ja się przeniosę na dostawione łóżko - oświadczyła, zrywając się z pościeli.

Pochwycił ją za ramię.

- Nie, Eleanore. I ja tam też nie pójdę, bo noc jest bardzo zimna.

- Nie możemy dzielić łóża - zachłysnęła się z wrażenia.

- Dlaczego nie? Jesteśmy małżeństwem, Eleanore.

- Ale... ale... - gorączkowo szukała argumentu.

- Odwróć się do mnie - poprosił i przyciągnął ją ku sobie.

Nagle znalazła się z nim twarzą w twarz. Serce waliło jej jak młot, policzki oblał rumieniec.

- A teraz posłuchaj mnie, moja młoda żono. Nie jesteś już zakonnica. Jako dziewczica jesteś najniewinniejsza z niewinnych i jeszcze przez jakiś czas taka pozostaniesz. Zdaję sobie sprawę, że nic nie wiesz o mężczyznach poza plotkami, które słyszałaś. Bóg jeden wie, co ci naopowiadano. Nie jestem dziką bestią, która ślini się z pożądania na myśl o twojej cności. Jak nisko musisz mnie cenić, skoro sądzisz, że wezmę cię siłą.

- Nie wiem, co mam sądzić i kim właściwie jesteś, panie - wydusiła z siebie. - Jestem pełna obaw.

Jego wzrok złągodniał.

- Niepotrzebnie, Eleanore. Jestem dumny z tego, że potrafię panować nad sobą. Nie będę studził płonących zmysłów z dworskimi dziewczkami. Masz na to moje słowo. Będziemy się stopniowo poznawać, aż połączy nas wspólne poszukiwanie przyjemności, a także chęć posiadania potomstwa. Moim przeznaczeniem jest służba królowi, mam czuwać nad Ashlinem i dobrze nim zarządzać. Twoim obowiązkiem jest stać się dobrą gospodynią i matką. Nie jesteś już zakonnica.

- Ile mi dajesz czasu? - wyszeptwała.

- Sami będziemy wiedzieć, kiedy nadejdzie odpowiednia chwila - uspokoił ją. - A teraz śpij już, moja żono. Niech Bóg ześle ci spokojny sen!

- Tobie również, mój panie - odpowiedziała Elf, odwracając się z powrotem na bok. Jej serce nadal biło jak oszalałe. Jakie to dziwne uczucie dzielić łóżko z drugą osobą, a w dodatku z mężczyzną! Jak przez mgłę pamiętała, że w dzieciństwie spała z matką. Czy to było w tym samym łóżku? Potem, w klasztorze St. Friedeswide, każda z dziewcząt miała osobne posłanie. Nie wyobrażała sobie, by mogło być inaczej. Instynktownie odsunęła się od Ranulfa. Kiedy dotknął nogą jej łydki, uciekła na samą krawędź łóżka.

- C-co robisz?

Oplótł ją ramionami i przyciągnął do siebie. Miał na sobie tylko cienką koszulę do kolan, a ciepło bijące z jego ciała zdawało się parzyć jej plecy.

- Eleanore, nigdy mnie nie poznasz, jeśli będziesz przede mną uciekać. - Była gotowa przysiąc, że w jego głębokim głosie czai się śmiech. - Dobranoc, *petite*.

Z początku napięta, odprężyła się powoli w jego ciepłych objęciach. Ranulf spał, jego miarowy oddech poruszał włosy u nasady jej szyi. Przywołała wspomnienie Matti i Isy i ich sprośnych opowieści. Pomyślała o Marcie, żonie kupca z Worcesteru, która, starannie dobierając słowa, jasno jej wytłumaczyła, co dzieje się w sypialni między mężem a żoną. Chociaż rozmowa okazała się wielce pouczająca, nie była jeszcze gotowa poznać w praktyce tego, co usłyszała. Jednak musiała uczciwie przyznać, że mężczyzna, który trzymał ją teraz w objęciach, wcale nie był taki, jak się obawiała. Gdyby zechciał, mógłby siłą dochodzić swych praw. A jednak zdecydował się

czekać. Dał jej czas, żeby zdążyła oswoić się z wielką zmianą, jaka zaszła w jej życiu. Kto wie - pomyślała - może życie w małżeństwie wcale nie okaże się takie złe?

Kiedy się obudziła, jego już nie było. W alkierzu zrobiło się jasno, więc pora musiała być późna. Wskoczyła z łóżka, krzywiąc się odruchowo, gdy bosymi stopami dotknęła zimnej posadzki. Na stoliku, przy żywo płonącym kominku, czekała misa z czystą wodą. Umyła się, ubrała i wsunęła nogi w domowe pantofle. Raźnym krokiem opuściła alkierz i przeszła przez alkowę do izby. Ranulf siedział przy stole i jadł śniadanie.

- Powinieneś był mnie obudzić - zganiła go łagodnie, po czym, przeżegnawszy się, usiadła do stołu, a służąca postawiła przed nią miseczkę owsianki. Zaczepnęła jej łyżką.

- Uznałem, że należy dać ci się wyspać, Eleanore. A Ida się ze mną zgodziła - powiedział Ranulf. - Bardzo szybko pokonaliśmy drogę z Worcesteru, a ty, *petite*, nie jesteś przyzwyczajona do takich podróży. - Wziął ją za rękę. - Dobrze spałaś?

- Tak. - Poczuła falę ciepła na policzkach.

Ranulf uniósł do ust drobną dłoń Elf i po kolei pocałował opuszki jej palców.

- Cieszę się - powiedział, uwalniając rękę.

Zaparło jej dech w piersiach, powietrze uwięzło w krtani, ale z uporem żuła owsiankę. W końcu musi odzyskać oddech, którego ją pozbawił. Czuła się niezręcznie, zupełnie nie wiedziała, jak zareagować na jego zachowanie.

- Napij się jabłeczniaka - poradził, podając jej kubek.

Zakrzusiła się, bo jabłeczniak razem z haustem powietrza trafił do tchawicy.

Ranulf poklepał ją po plecach. Ach, jak bardzo pragnął wziąć swą żonę w ramiona i zapewnić ją, że wszystko dobrze się ułoży. Fascynowało go w niej owo połączenie nieśmiałości ze stanowczością. Jak odważnie przeciwstawiła się królowi! Eleanore z Ashlinu nie była pozbawiona temperamentu, to powołanie nakazywało jej do niedawna powściągliwość. Nawet teraz walczyła ze swoją naturą, a on nie chciał, by dłużej tłumiała swoje prawdziwe reakcje.

Wreszcie Elf przestała kaszleć i podniosła na niego zażalwione oczy.

- Nie wiem, co się stało.

- Wstrzymałaś oddech, kiedy całowałem twoje palce - odpowiedział wprost. - Nie możesz mi tak schlebiać, Eleanore. Przyznaję, zyskałem reputację walecznego rycerza, ale nie jestem zbyt biegły w zdobywaniu względów u kobiet. Jeszcze poprzewraca mi się w głowie, jeśli będziesz tak gwałtownie reagować na objawy czułości z mej strony. - W jego piwnych oczach rozbłysły wesołe ogniki.

- Jak się pewnie domyślasz, nie przywykłam do czułych gestów. Rzeczywiście, zaparło mi dech w piersiach, ale to nie było przykre uczucie. - Jego ciemne oczy przywodziły na myśl leśne jeziora jesienią. Czy można utonąć w czyichś oczach - zastanawiała się Elf.

- Czy następnym razem, kiedy cię dotknę, znowu będziesz bliska omdlenia?

- Nie, mój panie.

- Nie, Ranulfie - powtórzył z naciskiem, gładząc jej policzek kostkami dłoni. - Sprawisz mi radość, mówiąc do mnie po imieniu.

- Ranulf - wyszeptała zdławionym głosem. - Mój pan, Ranulf.

Drgnął, słysząc swe imię w jej ustach.

- *Petite*, teraz z kolei ja straciłem oddech z wrażenia.

Rozmowę przerwało im dyskretne chrząknięcie.

- Dzień dobry, panie! Dzień dobry, pani! - pozdrowił ich Cedric. - Jeżeli skończyłeś śniadanie, panie, są pewne sprawy dotyczące dworu, które należałoby pilnie omówić.

Ranulf zamknął małą dłoń Eleanore w swych silnych palcach.

- Mów, Cedricu. Moja pani i ja chętnie cię wysłuchamy.

- Potrzebny nam rządca, panie. Nie mamy nowego, odkąd zmarł stary ekonom. Nasz pan Richard był tak zajęty swoją żoną, niech mi pani zechce wybaczyć, że zapomniał wyznaczyć kogoś na to stanowisko. John, syn Idy, jest bratankiem poprzedniego rządcy. Przejął obowiązki wuja po jego śmierci, lecz nie posiada formalnej władzy. To dobry człowiek, panie. Uczciwy i sumienny. Chciałbym go polecić.

- A potrafi pisać i czytać? - chciał wiedzieć Ranulf.

- Pan Richard dopilnował, by ci, którzy pragną się uczyć, mieli możliwość zdobycia tych umiejętności - odparł Cedric. -

John, podobnie jak ja, zna się na literach. Nauczał nas stary ojciec Martin, który już, niestety, nie żyje.

- Czy John jest tu, w izbie? - zapytał Ranulf.

- Jestem, panie. - John wysunął się do przodu.

- W takim razie mianuję cię rządcą Ashlinu. Przynieś książki dla swej pani, żeby mogła je przejrzeć - polecił Ranulf.

- Dzięki ci, panie. - John wycofał się z ukłonem.

- Co jeszcze? - Ranulf zwrócił się do Cedrica.

- Młynarz i jego żona nie mają dzieci. Raczej trudno już liczyć, że doczekają się potomstwa. Proszą wielmożnego pana, by pozwolił im wybrać ucznia spośród przypisańców.

Elf pociągnęła Ranulfa za rękaw.

- Wyznacz Artura - doradziła, zniżając głos. - Zasługuje na to i nie będzie oszczędzał sił u młynarza.

- Czy Artur jest w izbie?! - zawołał Ranulf.

- To ja, panie - odezwał się Artur, wychodząc przed szereg i kłaniając się Ranulfowi.

Kiedy Elf pojechała do Worcesteru, Artur wrócił cichaczem do domu. Poczuł się bezpieczny, wiedząc, że Saer de Bude również przebywa w Worcesterze.

- Zostaniesz uczniem młynarza, Arturze?

Nie wierzył we własne szczęście. Zaproponowano mu to, czego pragnął! Takiego pana jeszcze w Ashlinie nie było!

- Tak, panie. Z chęcią będę uczył się na młynarza. To dobry fach. Być może kiedyś uzbieram dość pieniędzy, żeby się wykupić - mówił z entuzjazmem.

- Arturze, zyskałeś wolność w dniu, kiedy zostałem włodarzem Ashlinu - oznajmił Ranulf. - Zasłużyłeś na nią, kiedy niepomny na grożące ci niebezpieczeństwo, obroniłeś moją żonę przed zakusami Saera de Bude'a. Sporządzę odpowiedni dokument.

- Panie mój! - Artur padł na kolana i pochwyciwszy dłoń Ranulfa, pocałował ją z namaszczeniem. - Nigdy nie zdołam ci się odwdziżyć!

- Młodzieńcze, podczas tych siedmiu lat terminowania we młynie jeszcze będziesz mile wspominał pańszczyznę - uśmiechnął się Ranulf. - Ale kiedy szczęśliwie zakończysz nauki... - Uniósł ramiona. - Kto wie... Młynarz nie będzie żył wiecznie. Staraj się, aby widział w tobie godnego następcę.

- Dzięki ci, panie! - Artur wstał z klęczek i wmieszał się

z powrotem pomiędzy patrzących na niego z zazdrością chłopów. W ciągu zaledwie paru minut urosła jego pozycja w społeczności i odmieniło się życie.

- Cedricu, czy są jeszcze jakieś sprawy, którymi należy się zająć? - zapytał Ranulf.

- Nie, panie. To wszystko na dziś - skłonił się Cedric.

- Będziemy potrzebować kamieni na podwyższenie murów - powiedział Ranulf. - Czy łatwo tutaj o nie?

- Tak, panie. Wybieraliśmy je z kamieniołomu na terenie posiadłości. Sporo ich tam jeszcze zostało. Czy mam polecić rządcy, aby wyznaczył robotników?

- Dobrze. Ale i tak nic nie zrobią, dopóki pada śnieg. Kiedy zadymka ustanie, będę chciał obejrzeć posiadłość.

- Tak jest, panie. - Cedric ukłonił się ponownie.

- Jeszcze dziś musisz przejrzeć zapiski rządcy, *petite* - Ranulf zwrócił się do Elf. - Dobra gospodyni wie wszystko o swoim majątku. Gdyby król wezwał mnie na wojnę, tobie przypadłoby zarządzać posiadłością. Więc powinnaś zapoznać się z wszelkimi sprawami dotyczącymi Ashlinu, a nie tylko tymi, które są tradycyjną domeną kobiet.

- Umiesz czytać? - spytała go. Elf znała wielu mężczyzn, a wśród nich także i rycerzy, którzy tego nie potrafili. Tej umiejętności nie uważano bowiem za istotną w przypadku mężczyzn.

- *Petite*, wychowałem się na dworze króla Henryka, wielce światłego człowieka. Podobnie jak twój ojciec, umożliwił naukę wszystkim, którzy chcieli się kształcić. Wielu moich kompanów uważało naukę pisania i czytania za stratę czasu. Jaki z tego pożytek dla rycerza, mawiali. Ja uważałem, że nigdy nie wiadomo, co się może w życiu przydać. Uznałem, że warto poślęczęć nad literami z królewskim kapelanem. Potrafię pisać, choć czynię to dość niezgrabnie. Dziwisz się? Czy gdybym nie umiał pisać ani czytać, straciłbym w twoich oczach?

- Gdybyś tego nie umiał, Ranulfie, sama zajęłabym się twoją edukacją - oznajmiła, wprawiając go tym w zdumienie. - Nie, nie straciłbyś w moich oczach. Wielu mężczyzn nie ma czasu na naukę, chociaż, jak mawiała przeorysza, to wielka szkoda, bo gdy włodarz jest niewykształcony, służyć kusi, żeby go okradać. Razem przejrzymy zapiski Johna, dając mu

w ten sposób do zrozumienia, że też potrafisz czytać i pisać. On to rozgłosi wśród ludzi i żaden z nich nie będzie próbował wyprowadzić cię w pole. Mam jeszcze jedną sprawę, Ranulfie. Kiedy będziecie kopać kamienie na mury, wybierz też trochę na naprawę kościoła. Jest w ruinie. Dopóki go nie odbudujemy, nie mogę się zwrócić do biskupa z prośbą o przysłanie nowego księdza.

- Czy ty wiesz, jaka jesteś cudowna, moja Eleanore?

- Panie! - upomniała go, rumieniąc się. - Pytałam o kamienie.

- Masz najśodsze usta. Dałbym ci księżyc i gwiazdy, gdyby do mnie należały - wyszeptała.

- Ale nie należą - odrzekła. - A ja chcę tylko trochę kamieni. - On jest niemożliwy - pomyślała. Jej serce znowu zabiło w przyspieszonym rytmie.

Ranulf zaśmiał się cicho.

- Są twoje - obiecał.

Fulk zbliżył się do nich i już po chwili Ranulf pograżył się z nim w rozmowie o obronności dworu. Elf podniosła się zza stołu i wróciła do alkowy, gdzie czekała na nią Ida w towarzystwie młodej dziewczyny.

- To jest Willa. Cedric mówi - nachmurzyła się - że pani przystoi mieć dwie służące. Coś mi się wydaje, iż on uważa, że sama nie podołam obowiązkowi.

- Myślę, że chodziło mu bardziej o twoje dobro niż o mnie - Elf pocieszyła piastunkę. - Moja najdroższa Ido, nie jesteś pierwszej młodości. Przyda ci się krzepka pomocnica. - Elf obdarzyła uśmiechem Willę, ładną dziewczynę o warkoczach koloru lnu i i bystrych niebieskich oczach.

- Na pewno wystarczy dla niej zajęcia - przyznała udobruhana Ida. - Pani, rozpakowałyśmy twój kufer. Jakież piękne materiały przywiozłaś! Jest nawet zwój batystu na bieliznę.

- Król i biskup byli bardzo hojni - odpowiedziała Elf. - Teraz, kiedy nie jestem już zakonnicą, będę potrzebować nowych strojów.

- Pani - odezwała się Willa. - Ta śliczna zielono-złota rzecz, co to jest? Nigdy czegoś takiego nie widziałam.

- To gorset, obecnie bardzo modna część garderoby - wyjaśniła jej Elf. - Jednak nie sądzę, bym odważyła się uszyć coś

podobnego. Wykroimy proste spódnice i tuniki. Jeden gorset aż nadto wystarcza, kiedy się mieszka na wsi.

Przez resztę dnia trzy kobiety kroili i szyły ubrania w przytulnym ciepłe alkowcy. Przyszedł do nich kucharz z propozycją dań na wieczerzę. Mężczyznom w taki zimny dzień przyda się duszona dziczyzna, oświadczył, bo dobrze syci głód. Ma też kilka tłustych, dobrze skruszałych kaczuszek, które poda z sosem z suszonych owoców. A ponadto przygotowuje mortrew - danie z jajek i chleba, oraz piure z ziemniaków z kapustą, brukwią i marchwią, okraszone masłem, natomiast na deser poda pszenicę gotowaną w mleku z dodatkiem miodu.

- Czy to wystarczy? - zapytała go Elf.

- Tak, pani. Na stole będzie jeszcze ser, chleb i masło - odpowiedział kucharz, więc Elf na znak aprobaty skinęła mu głową.

Zjawił się również w alkowce Cedric z pytaniem, czy Elf nie wyznaczyłaby dodatkowo paru młodych kobiet do sprzątania we dworze.

- Czy wiesz, które byś chciał?

Kiedy przytaknął, dała mu wolną rękę.

Dzień miał się ku końcowi i wreszcie przestał sypać śnieg. Tym razem burza śnieżna okazała się nie tyle groźna, ile przydługa. Elf kazała przygotować wodę na kąpiel, bo nie kąpała się od dnia ślubu. Wczorajszego wieczoru była na to zanadto zmęczona.

- Pan też się powinien wykapać - zauważyła Ida. - On wejdzie do cebrzyka pierwszy, a ty go, pani, umyjesz.

- Ja? - Elf wyglądała na przerażoną.

- Oczywiście, pani. Obowiązkiem żony jest myć swego męża. Któż inny miałby to robić? - zdziwiła się Ida.

- Ale ja nigdy nie kąpałam mężczyzny! Nikogo nie kąpałam i zawsze myłam się sama! - protestowała zdenerwowana Elf. - Dlaczego nie może sam się umyć?!

- Pani! - obruszyła się Ida.

- Nigdy nie widziałam nagiego mężczyzny - wyznała Elf.

Willa zachichotała, a Ida zmiażdżyła ją groźnym spojrzeniem.

- Piśnij chociaż jedno słowo z tego, co słyszysz w tej komnacie, a osobiście utnę ci język! - ostrzegła ją. - Rozumiesz?!

Pobladła Willa skinęła głową.

- No! - sapnęła Ida.

- Nie wiedziałam, że żona musi kąpać męża - powiedziała Elf.

- Zdarza się, że pomaga również przy kąpieli gości - wyjaśniła Ida.

- Ooch! - jęknęła Elf.

- Willa! Idź, powiedz Cedricowi, że trzeba dla pani wyjąć cebrzyk z komórki i napełnić go wodą - rozkazała Ida. - A potem pójdziesz do kredensu po płótno do wycierania i mydło.

Kiedy dziewczyna wyszła, Ida zwróciła się do swojej pani:

- Wiem, że nigdy nie widziałas nagiego mężczyzny, ale teraz jesteś mężatką. Nie ma nic strasznego w widoku męskiego ciała. Pomogę ci, dziecino. Podpowiem, co masz robić, a twój mąż będzie zadowolony. A teraz idź i powiedz Cedricowi, żeby podano wieczerzę.

Mężczyźni pochłaniali potrawy z wielkim apetytem. Kucharz miał rację, będzie musiała zapamiętać jego słowa. Kiedy na dworze robi się zimno, wzrasta chęć do jedzenia. Elf zjadła odrobinę dziczyzny, maczając chleb w ciemnym, winnym sosie. Po kolacji powiedziała mężowi o czekającej na niego kąpieli.

- Doskonale! - rozpromienił się. - Cuchnę po podróży. W przeciwieństwie do wielu mych kompanów nie boję się wody. Czy umyjesz mnie, moja pani żono? - zapytał z figlarnym błyskiem w oczach.

Elf skinęła głową.

- Co prawda nie wiem, jak się to robi, ale Ida obiecała mi pomóc. Nigdy nie asystowałam żadnemu mężczyźnie przy kąpieli. O ile pamiętam, tego w klasztorze nie uczono - odpowiedziała dowcipnie na zaczepkę, mimo że była zdenerwowana. - Mam nadzieję, że szybko zdobędę tę umiejętność.

W odpowiedzi ujął jej dłoń i szczypał wargami koniuszki palców.

- Ja też mam taką nadzieję, *petite*.

- Cóż takiego jest w moich palcach, że tak cię fascynują, mój panie Ranulfie? - zapytała, tym razem nie wrywając ręki.

- Są pyszne. Domyślałem się tego od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałem, Eleanore.

- Gdy widziałeś mnie pierwszy raz, nosiłam habit - przypomniała mu, lekko zgorziona.

- Co nie przeszkodziło mi dostrzec, że jesteś najpiękniejszą dziewczyną, jaką w życiu spotkałem - odrzekł z rozbijającą szczerością. - Pomyślałem wtedy, że taka piękna kobieta nie powinna spędzić życia zamknięta w klasztorze.

- Nie uważałam, by spotkał mnie ciężki los - odpowiedziała mu równie szczerze.

- Eleanore, nadejdzie taka noc, kiedy pozwolisz mi się kochać - powiedział cicho, nachylając się nad nią. - Wtedy zrozumiesz, że miałem rację. Zakon nie był twoim przeznaczeniem. Opatrzność wyznaczyła ci miejsce w moim sercu i łożu - dodał, całując wnętrze jej dłoni.

Wstała od stołu, zastanawiając się, czy ktoś przypadkiem nie zauważył, jak płoną jej policzki.

- Chodź, Ranulfie, idziemy się kąpać. - Splótłszy palce z jego palcami, wyprowadziła go z izby do alkowy, gdzie stał już ogromny cebrzyk pełen parującej wody.

Ida czekała na nich opasana fartuchem wokół pulchnej talii.

- Chodź, panie - zachęciła Ranulfa. - Usiądź, a ja zuję ci buty. Zapewne pani cię uprzedziła, że będę ją instruować podczas kąpieli, bo tej umiejętności nie wpojono jej w klasztorze. - Ida zręcznym szarpnięciem zdjęła Ranulfowi buty, po czym szybko zrolowała rajtuzy.

Wstał, a ona zdjęła kasak, dwie tuniki i bieliznę. Kiedy został jedynie w sięgającej kolan koszuli z rozcięciami do pasa po bokach, wymownie spojrzał na Idę.

Pokiwała głową ze zrozumieniem i podała Willi jego rzeczy.

- Hej, dziewczyno, dopilnuj, żeby buty pana zostały wyczyszczone, tuniki i kasak wyszczotkowane, a rajtuzy oraz bielizna wyprane i suche na rano. Za młoda jesteś na takie piękne widoki - zarechotała złośliwie. - No, uciekaj! A ja teraz zdejmę panu koszulę i poproszę panią, by odłożyła ją na bok. Potem obie złapiemy za szczotki - poinstruowała Elf.

Raz-dwa ściągnęła mu przez głowę koszulę i podała ją Elf, a Ranulf w tym czasie wskoczył do cebrzyka tak szybko, że jego żonie mignęły jedynie gołe pośladki.

- Do czorta! Ale gorąca! - wrzasnął, kiedy zanurzył się w wodzie. - Chcesz mnie ugotować, kobieto?!

- Po tobie, panie, jeszcze pani musi wziąć kąpiel. - odparła Ida. - Więc jeśli woda nie byłaby odpowiednio nagrzana, ostygłaby, zanim pani by do niej weszła. Poza tym mężczyźni mają grubszą skórę niż kobiety. A teraz poproszę panią, by wzięła szczotkę. Słój z mydłem stoi obok.

Ranulf wstał, a obie kobiety uzbrojone w szczotki szorowały go do czysta. Elf skromnie odwróciła oczy, kiedy wszedł na stołek w cebrzyku, żeby ułatwić im mycie nóg. Uśmiechnął się do Idy. Jeszcze przyjdzie taki czas, kiedy żona przestanie się go krępować, a ten cebrzyk jest wystarczająco obszerny dla dwojga. Wyobraził sobie, jak kąpią się razem, i ta myśl mocno go podnieciła.

Rozbawiona Ida chrząknęła znacząco. Ranulf, zaciskając zęby, skupił się na wspomnianiu ostatniego królewskiego turnieju. Król Stephen, pomimo sprzeciwów kleru, zaszczerpił w Anglii modę na pojedynki. Ranulf myślał tak intensywnie, że aż odezwał się ból w barku - pamiątka po ranie zadanej włócznią przeciwnika. Niemniej cel został osiągnięty - podniecenie go opuściło.

- Pani, umyj mężowi włosy, ale najpierw dokładnie powybieraj gnidy - zadysponowała Ida.

- Ja nie mam wszy! - oburzył się. - Dbam o czystość, kobieto.

Ida przeczesała mu włosy palcami, tu i ówdzie rozgarniając pasma.

- Pani, rzeczywiście nie widać wszy - oznajmiła w końcu.

Elf zachichotała, a Ranulf spojrział na nią i zawtórował jej śmiechem.

- Eleanore, król niepotrzebnie przysłał mnie do Ashlinu. Masz tu smoka, który cię upilnuje.

- Gdyby cię nie przysłał, panie, ta wspaniała dziewczyna siedziałaby zamknięta w klasztorze - odcięta się Ida. - Wszystkim nam się poszczęściło, a najbardziej tobie, panie.

Elf skwitowała jej słowa uśmiechem i rozprowadziwszy mydło na włosach Ranulfa, myła je starannie, tak jak to nieraz robiła w klasztorze, pomagając siostrze Cuthbert przy młodszych dziewczynkach. Na koniec zanurzyła jego głowę pod wodę, aby spłukać mydło.

- Gotowe - oznajmiła.

- Teraz, pani, przytrzymasz ręcznik i owiniesz nim pana -

poinstruowała ją Ida, kiedy Ranulf wyszedł z cebrzyka. - No, dobrze. Proszę posadzić pana przy ogniu i wytrzeć do sucha, a ja tymczasem przyniosę czystą koszulę. I niech pan się zaraz kładzie do łóżka, żeby nie dostać dreszczy!

Elf, onieśmielona, przyklękła i osuszyła mu stopy i łydki. Potem wstała i wytarła plecy, ramiona, barki i tors. Ranulf był taki potężny, jego mięśnie budziły w niej lęk.

- Resztą sam się zajmę - powiedział, zniżając głos.

Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością, kiedy wstał, żeby przejść do alkierza, gdzie czekała Ida z koszulą.

- Dobrze sobie, pani, poradziłaś. - Ida pochwaliła Elf, wynurzywszy się z alkierza. - A teraz, pani, pomogę tobie.

Elf rozbierała się powoli, podając Idzie kolejne części garderoby. Kiedy została w samej koszuli, ściągnęła ją zdecydowanym ruchem i upinając wysoko warkocz, weszła do cebrzyka. Woda sięgnęła jej do szyi i zakryła ramiona. Westchnęła z rozkoszy, bo kąpiel jeszcze nie wystygła. Uczucie błogości zakłócił głos Idy. Kazała jej stanąć na stołku wewnątrz cebrzyka i wręczyła mydło i szmatkę.

- A włosy? - zapytała, kiedy zobaczyła, że Elf kończy kąpiel.

- Umyłam głowę przed ślubem - tłumaczyła się Elf. - Wytrzymam jeszcze parę dni. Poza tym robi się późno. Przecież nie położę się do łóżka z długimi, mokrymi włosami, prawda?

Stara kobieta zaśmiała się rubasznie.

- Gdyby ten olbrzym o gorącym spojrzeniu był moim mężem, też by mi się spieszyło do łóżka. He! He!

- Przynieś mi moją koszulę - zażądała Elf, czując, że frywolna uwaga niani przyprawiła ją o rumieniec.

- Co?! Masz zamiar spać w koszuli, mając u boku takiego mężczyznę? - Westchnęła głośno. - Pani, coś mi się widzi, że wiele czasu upłynie, zanim wyleczysz się z klasztornej pruderii.

Podreptała do alkierza po koszulę, a Elf w tym czasie wyszła z cebrzyka i wycierała się energicznie, bo po gorącej kąpeli powietrze w alkwie wydawało się chłodne. Na koniec włożyła koszulę.

- Niech Bóg ześle ci zdrowy sen, Ido. I powiedz Willi, że może spać tu z tobą.

Weszła do alkierza, zamykając za sobą drzwi. Usiadła na stołku przy kominku, wyjęła z włosów spinki i rozplotła gruby warkocz. Wzięła ze stolika szczotkę z włosia dzika, którą przyniosła dla niej Ida.

- Pozwól mi - powiedział Ranulf, zamykając palce na jej dłoni.

- Sądziłam, że śpisz - odpowiedziała łagodnie.

- Grzałem dla ciebie łożo.

Miarowymi ruchami przeciągał szczotką po włosach Elf, aż grube sploty stały się gładkie i błyszczące jak bizantyjski jedwab. Rytmiczne muśnięcia szczotki działały na Elf odprężająco.

- Masz wspaniałe włosy - odezwał się Ranulf. - Cała jesteś piękna, *petite*.

Odwróciwszy się nieco, przechyliła się, by wziąć od niego szczotkę. Ich usta znalazły się tuż-tuż i serce Elf ruszyło w dziuki płas. Ich oczy spotkały się na jedną ulotną chwilę. Miała wrażenie, że stopi się pod ich gorącym spojrzeniem. Zaciśnęła dłoń na uchwycie szczotki i wyjęła mu ją z ręki, odwracając wzrok.

- Muszę zapleść warkocz - powiedziała cicho.

- Oczywiście - przytaknął, wstając.

Za ścianą służący zmagali się z cebrzykiem. Słysząc było, jak wylewają wodę i ciągną cebrzyk do schowka.

- Wiesz, przyszło mi coś do głowy... - zaczął Ranulf. - Gdyby tak wyciąć odpływ w posadzce alkowy, a w dnie cebrzyka zamocować szpunt? Można by tak stawiać cebrzyk, by szpunt znajdował się dokładnie nad odpływem. Wtedy opróżnianie go i chowanie na miejsce wymagałoby mniej wysiłku.

- To wspaniały pomysł! - zachwyciła się Elf. Kończyła właśnie zaplatać włosy. - Jakiś ty mądry, Ranulfie!

Podeszła do swej strony łoża i uklękła. Ku jej wielkiemu zadowoleniu on uczynił to samo po swojej stronie i razem odmówili modlitwę. Potem oboje wspięli się na łożo.

Natychmiast pochwycił jej dłoń, lecz tym razem się nie przestraszyła. Nie obawiała się go. Zaczynała wierzyć, że być może przeorysza miała rację, mówiąc, że Bóg zmienił swe plany względem Eleanore de Montfort. Najwyraźniej przegna-

czył jej tego dobrego mężczyznę, więc musi zrobić, co tylko w jej mocy, żeby stać się dla niego kochającą żoną.

- Ranulfie, ja w ogóle ciebie nie znam - wyznała. - Tymczasem ty o mnie wiesz wszystko. Opowiesz mi trochę o sobie?

- Nie ma wiele do opowiadania - odparł. - Mój ojciec, Simon de Glandeville, miał posiadłość w Normandii. Zginął w Ziemi Świętej. Matka wysłała mnie na dwór króla Henryka, żebym tam się wychowywał. Potem ponownie wyszła za męża. Jakimś sposobem należna mi ziemia w Normandii stała się częścią dóbr ojczyma. Kiedy dorosłem na tyle, żeby zrozumieć, co się stało, pojechałem do Normandii upomnieć się o swoje. Miałem wtedy szesnaście lat. Ojczym oznajmił mi, że matka żyła z moim ojcem w nielegalnym związku. Ponieważ w rodzie Glandeville'ów nie było potomków płci męskiej, wszelkie dobra przypadły mojej matce, a po ślubie z ojczymem przeszły na jego własność. Moja pozycja była zbyt słaba, żeby walczyć z uzurpatorem.

- A co na to twoja matka? - chciała wiedzieć Elf. - Przecież mówiąc tak o niej, ojczym zniesławił ją i jej rodzinę.

- Matka była jedynaczką, późnym dzieckiem. Kiedy to wszystko się działo, jej rodzice już nie żyli. Nie miała nikogo, kto by ujął się za nią, więc błagała mnie, żebym milczał. Wyznała, że mąż przysiągł jej, iż utrzyma w tajemnicy jej hańbę i to, że pochodzę z nieprawego łoża. Więc musiałem się pogodzić z losem. Oczywiście, cała ta historia była wyssana z palca. Moja babka po kądzieli żyła jeszcze, zanim jako siedmiolatek udałem się na królewski dwór. Według jej słów ród, z którego się wywodzili, był bardzo stary, choć zubożały. Dla mego ojca małżeństwo z moją matką było zaszczytem. Babcia zawsze z dumą powtarzała, że ze względu na nazwisko nie żądał posagu. Wszyscy - sąsiedzi, Kościół, cała okolica - darzyli mych rodziców szacunkiem. Inaczej by nas traktowano, gdyby moja matka była jedynie konkubina, a ja bękartem. Kiedy byłem mały, ojciec woził mnie przed sobą na siodle i przedstawiał chłopom pańszczyźnianym jako *le petit monseigneur*, czyli małego dziedzica. Wiwatowali na moją cześć. Tak było przed jego wyjazdem do Ziemi Świętej, kiedy miałem zaledwie pięć lat, ale dobrze to pamiętam.

A więc byłem szesnastolatkiem, świeżo pasowanym na rycerza. Nie miałem ani bogactwa, ani władzy, żeby się przeciw-

stawić ojczymowi. Gdybym mu pozwolił zbrukać moje dobre imię, nic już by mi nie pozostało. Odarto by mnie ze wszystkiego, Eleanore. Oświadczyłem więc matce, że nie poczynię żadnych kroków i że pozostaje mi jedynie modlić się za nią. Podziękowałem ojczymowi za to, że tak łaskawie broni reputacji matki i naszego nazwiska. Wtedy zaczął wylewnie mnie zapewniać, że ją kocha, że jest wspaniałą żoną i że obdarzyła go potomstwem, więc zasługuje na jego wspaniałomyślność. Oznajmił napuszczonym tonem, że gdyby ktoś o mnie pytał, zawsze z dumą nazwie mnie swoim pasierbem, bo bądź co bądź wychowałem się na dworze króla Henryka.

Najchętniej z miejsca położyłbym go trupem, ale tego nie uczyniłem. Opuściłem Normandię, przyjechałem do Anglii i udałem się na służbę do króla. Szczerze mu o wszystkim opowiedziałem. Król Henryk pochwalił mnie za rozagę i doradził, bym został w Anglii. Po śmierci króla rozgorzał spór między królem Stephenem i księżniczką Matildą. Postąpiłem tak, jak powinien uczynić rycerz w mojej sytuacji. Opowiedziałem się po jednej ze stron i pozostałem wierny. Oczywiście potężni panowie zmieniali stanowisko w zależności od tego, na którą stronę przechylała się szala zwycięstwa. Rycerze o mojej pozycji nie mogli pozwolić sobie na tak ryzykowne posunięcia. Dopiero wtedy, gdy przewaga jednej ze stron byłaby miażdżąca, kurczowe trzymanie się przy przegranych świadczyłoby o braku rozsądku.

- Ty jesteś rozsądny, Ranulfie - zapewniła go Elf. - Uwzględam, że jesteś bystry i pomysłowy. Słusznie postąpiłeś, broniąc matki przed zemstą męża, który najpierw okradł jej dziecko, a potem groził, że okryje hańbą tak ją, jak i nazwisko swego pasierba, tylko po to, żeby zatrzymać zagrabiony majątek. To musi być bardzo zły człowiek, bo przecież twoja matka jest również matką jego dzieci, a więc jej zła sława odbiłaby się również na nich.

- Chciwość, moja maleńka, niewinna żono, nie zna wstydu - westchnął. - Najlepszym przykładem jest żona twego brata. Nasi ludzie niewiele dobrego mają do powiedzenia na jej temat. Fulk napomknął, że zanim zjawił się tu jej kuzyn, flirtowała z jego zbrojnymi. Król słusznie uczynił, wysyłając ją do zakonu, stamtąd nie będzie mogła nikomu szkodzić.

- Nie wierzę, że Isleen potulnie pozwoli się zamknąć na

resztę życia w klasztorze - odparła Elf. - Ale nie rozmawiajmy o niej, Ranulfie. Boli mnie świadomość, że otruła mojego brata. Był takim dobrym, łagodnym człowiekiem.

- Przyzwoici mężczyźni często padają ofiarą złych kobiet - zauważył. - Niewiele miałaś styczności ze złem tego świata, ale lepiej, żebyś zdawała sobie sprawę z jego istnienia. Jeżeli król wezwie mnie do siebie, będę się musiał niezwłocznie stawić, a tobie przyjdzie zarządzać Ashlinem. Musisz być świadoma zagrożeń i umieć się przed nimi bronić. Zło często przybiera złudnie miłą postać. - Ranulf przewrócił się na bok i leżał wpatrzony w swoją żonę.

Elf zapało dech w piersiach. Nachyloną nad nią twarz cechowały zdecydowane, mocne rysy. Już zdążyła pokochać jego piwne oczy.

- Będiesz moim przewodnikiem, Ranulfie - wyszeptała. - Prawda?

- Tak, *petite* - obiecał i złożywszy lekki pocałunek na jej czole, opadł na poduszkę. - Niech Bóg ci ześle dobre sny, Eleanore - zakończył rozmowę i umilkł.

Chociaż nie posunął się poza muśnięcie wargami, miejsce na czole paliło jak po dotknięciu rozgrzanym do czerwoności żelazem. Chyba poczuła się lekko zawiedziona, że nie pocałował jej w usta. Przeczynała, że jego pocałunek byłby słodki i delikatny, zupełnie niepodobny do brutalnej napaści de Bude'a parę miesięcy temu. Czy była już gotowa zostać w pełni jego żoną? Nie miała pewności. Będę się o to modlić - zdążyła pomyśleć, zanim zapadła w sen.

8

Na dworze nadal było zimno, ale względnie sucho. Wydobyto i zwieziono z odkrywki ciosy kamienne na podwyższenie murów wokół dworu. Dni płynęły spokojnie według ustalonego rytmu. Ranulf nadzorował prace przy wzmacnianiu murów i szkolił młodych mężczyzn do obrony Ashlinu. Elf uczyła się tego wszystkiego, co powinna wiedzieć dobra gospodyni. Zdumiewało ją, ile niezbędnych umiejętności wyniosła z klasztoru. To tam wdrożono ją do czystości, a teraz

kierowała służącymi przy sprzątanii. Również w klasztorze pokazano jej, jak wyrabiać mydło. Latem nauczy się robić zaprawy, kandyzować owoce, solić mięso i ryby. Mimo że mieli w Ashlinie bardzo dobrego kucharza, zdobywała podstawowe wiadomości dotyczące gotowania, chociażby po to, żeby nadzorować zużycie tych produktów, których nie mogli wyhodować w majątku.

Raz w tygodniu ochmistrz i rządcą przynosili jej zwoje ze sprawozdaniami. Studiowała je wnikliwie, a oddając, czasami zadawała pytania. Minał styczeń i luty, prawie kończył się marzec, kiedy pewnego dnia, gdy wyszła na dwór, ni stąd, ni zowąd nagle uderzyła ją myśl, że czuje się szczęśliwa! Polubiła życie w Ashlinie. A jej mąż... dobry człowiek... prawdziwy pan, jak mówili o nim chłopci... ale... ich małżeństwo nie zostało jeszcze skonsumowane... a przecież to do niego należała inicjatywa. Czyżby go nie pociągała? Nieraz, drocząc się z nią, powtarzał, że nie jest już zakonnica. A więc o co chodzi?

Pogrążona w myślach nie zauważyła nawet, kiedy nogi same zniosły ją przed kościół. Ranulf dotrzymał słowa i przywiózł kamienie potrzebne do jego naprawy, choć najpierw oczywiście zamierzał załatwić sprawę murów. Weszła do środka. Strzecha wymagała uszczelnienia. Może poczekać do lata. Marzył jej się dach z łupkowych dachówek, ale na to nie było widoków. Kiedyś wprawi okna - przyrzekła sobie. Nie takie wymyślne jak w kościele w Worcesterze, ale wystarczy, że będą z prawdziwego szkła. Przeszła wzdłuż jedynej nawy. Kamienny ołtarz był pusty. Zastanawiała się, gdzie się podział krucyfiks i świeczniki, jeśli w ogóle tu kiedykolwiek były. Kościół uległ zniszczeniu, zanim się urodziła, lecz ksiądz odprawiał w nim msze aż do śmierci. Westchnęła, rozglądając się dokoła. Dużo zachodu będzie kosztować odbudowa kościoła, ale dopnie swego.

Wróciła do otwartych na oścież drzwi i zatrzymawszy się w nich, przez chwilę przyglądała się dworowi. Ashlin dobrze się prezentuje - pomyślała. Jej wzrok natrafił na kępkę jaskrawożółtych żonkili tuż obok szerokich stopni kościoła. Uśmiechnęła się. Widok kwiatów zdawał się podpowiadać jej, że dopóki trwa życie, zawsze jest nadzieja na lepsze dni. Drgnęła, kiedy usłyszała głos Ranulfa.

- Zajmiemy się tym - obiecał, jakby czytając w jej myślach. Otoczył ją ramieniem i lekko przytulił.

- Wiem, że mury są ważniejsze - powiedziała. - Popatrz, idzie wiosna. Rodzą się już jagnięta. I jak dotąd nie widać wilków. Poszczęściło się nam.

Podążając oczyma za ruchem jej ręki, Ranulf spojrzął na żonkile i uśmiechnął się do niej, kiedy podniosła na niego wzrok. Tak bardzo kusiły go jej usta. Przełknął głośno ślinę, na chwilę zaciskając powieki, lecz kiedy je unióśł, wargi Elf znalazły się niebezpiecznie blisko jego ust. Nie panując dłużej nad wzbierającym pożądaniem, złożył na nich namiętny pocałunek, pilnując się jednak, by nie przytulić jej z całej siły do siebie.

- Wybacz, Eleanore! - Z trudem łapał powietrze, kiedy oderwał się od jej ust.

- Ranulfie, jak sam często powtarzasz, nie jestem już zakonnicą - wyszeptwała. Zamglony wzrok i uniesiona głowa podpowiadały mu, że czeka na więcej.

- Eleanore! - Objął ją mocno, szukając wargami jej ust.

Kręciło się jej w głowie. Serce galopowało, a żołądek kurczył się rytmicznie. Zarzuciła mu ramiona na szyję, a kiedy poderwał ją z ziemi, ich ciała zetknęły się po raz pierwszy. Z delikatnego, a zarazem żarliwego pocałunku wyczytała, że pragnie jej bardziej, niż chciałby okazać. Nie chce mnie wystraszyć - przemknęło jej przez myśl, ale i tak się bała. Gdzieś w niej, głęboko, budziło się i wzbierało dziwne uczucie, wywołane dotykiem jego warg. Napięcie. Słodycz. Nagła, niezrozumiała tęsknota.

Wreszcie oswobodził ją z objęć i postawił na kamiennym stopniu.

- Chłopi będą plotkować - powiedział cicho.

Lecz tak naprawdę obawiał się, że jeszcze chwila, a porwie ją na ręce i zanieśie do dworu, prosto do ich sypialni. W życiu by się nie spodziewał, że ta drobna, niewinna dziewczyna tak bardzo rozpali jego zmysły. Tylko ona mogła zaspokoić to nowe dla niego uczucie nieznośnego głodu. Ale czy jest gotowa? Niczego bardziej się nie obawiał niż tego, że mógłby ją skrzywdzić lub wzbudzić w niej niechęć. Kochał ją. Był w niej zakochany niemal od początku, chociaż do tej chwili nie przy-

znawał się do tego nawet przed sobą samym. On ją naprawdę kocha!

- Chłopi tak czy owak będą plotkować - stwierdziła Elf z odrobiną przekory. - Ranulfie, właśnie odkryłam, że pocałunki są przyjemne. Czy ty lubisz się całować? A może to cię nudzi, bo jak sądzę, od wielu lat musisz całować się z kobietami?

- Pocałunki z tobą wcale nie są nudne - zapewnił ją skwapliwie.

- To dobrze, ponieważ chciałabym ich o wiele więcej, Ranulfie. Może dziś wieczorem, kiedy położymy się spać?

Znowu na moment zacisnął powieki, a kiedy je uniósł, spojrzał prosto w jej twarz.

- Eleanore, powiada się, że kobiety są słabe, ale ja w to nie wierzę. To my, mężczyźni, mamy słabą naturę, bo nie panujemy nad instynktem. Dopóki przed zaśnięciem jedynie trzymaliśmy się za ręce, byłem w stanie zachowywać się powściągliwie. Jednak wiem, że jeśli zacznę cię całować, stracę kontrolę nad sobą! Zasmakowałaś w pocałunkach i w swej słodkiej nieświadomości pragniesz je powtórzyć. Ale ja jestem mężczyzną! Będę się domagał więcej! - Jego głos zdradzał cierpienie, a dłonie zaciskały się i otwierały bezwiednie.

- Zechcesz mnie dotykać? - odpowiedziała cicho.

Wyciągnęła rękę i pogładziła go smukłymi palcami po twarzy.

- Tak! - Pochwycił jej palce, całował wewnątrz jej dłoni i nadgarstek, a potem przycisnął rękę Elf do piersi.

- Zapewne najwyższy czas, byśmy przypieczętowali nasz związek. Chciałbyś tego, Ranulfie? - zapytała otwarcie.

Czuła, jak jego serce łomocze pod jej dłonią, i знаła odpowiedź, zanim się odezwał.

- Tak - wyszeptał. - Najwyższy czas, ale pragnąłem usłyszeć to z twoich ust, *petite*. Nie chcę, byśmy się znienawidzili.

- Puść moją rękę - upomniała go delikatnie.

Uśmiechając się, uwolnił jej dłoń, ale najpierw zanurzył w niej usta.

- Jesteś pewna?

- Wiem, że pierwszy raz boli. Ale myślę, Ranulfie, że za parę miesięcy bolałoby tak samo.

- Postaram się być delikatny - zapewnił ją.

- Wiem - odrzekła, zostawiając go na stopniach kościoła z mętlikiem w głowie i rozszalałym sercem.

Na stole nakrytym do wieczerzy w wysokim srebrnym kielichu stały dwa słonecznie żółte żonkile. Były ich tajemnym znakiem, przypomnieniem o nadchodzącej nocy. Elf powitała go uśmiechem i Ranulf gotów był przysiąc, że dostrzegł w nim pewną zalotność. To było coś, czego nigdy przedtem u niej nie widział. Czuł narastające napięcie w dolnej połowie ciała, ogarniało go podniecenie. Boże jedyny, jak on jej pragnął! Jakie słodkie miała usta dziś po południu. Chociaż niedoświadczona i niewinna, niezwykle go pociągała. Tak! Pożądał jej!

Cóż najlepszego zrobiła w owej krótkiej chwili zatracenia, kiedy ją pocałował - gryzła się w duchu Elf. Sama nadała nieodwracalny bieg wydarzeniom. Czy rzeczywiście była na nie gotowa? Została żoną przez niespodziewane zrządzenie kapryśnego losu. Poznała wszelkie strony małżeńskiego stanu, oprócz jednej. A jutro? Jutro będzie w pełni mężatką. Spojrzała spod rzęs na człowieka, z którym związała się na całe życie. Miał dwa razy tyle lat co ona, ale wcale nie wydawał się stary. Na pewno jest jeszcze zdolny zostać ojcem.

Ciekawe, co ona myśli - zastanawiał się Ranulf, czując na sobie jej wzrok. Czy kiedykolwiek go pokocha? Czy powinien jej wyznać miłość? Nie, to nie byłoby zbyt rozsądne. Co będzie, jeśli mu nie uwierzy? Przecież byli małżeństwem zaledwie od czterech miesięcy! Poza tym uczucie wcale nie było konieczne w chrześcijańskim związku. Obowiązkiem żony było szanować męża, więc czy zdobyłby jej szacunek, przyznając się do takiej słabości jak miłość? Okazał cierpliwość i dobrze ją traktował, a ona w zamian za to nie kazała mu czekać w nieskończoność. To znaczy, że darzy go szacunkiem. Najlepiej nie burzyć harmonii - zdecydował. Złapał za udko pieczonego królika i skupił się na jedzeniu.

Elf ze wszystkich sił starała się odtworzyć rozmowę z żoną kupca. Co ona mówiła? Ranulf będzie ją całował i pieścił jej piersi i inne miejsca... Jakie miejsca? Zdaje się, że sprawiało mu przyjemność całowanie jej dłoni i palców. Czy to wystarczy? Cóż... niedługo się dowie. A dotykanie... Marta mówiła, że to go podnieci i wtedy... Co też jej przyszło do głowy, żeby

mówić Ranulfowi takie rzeczy po południu! Zachowała się bezwstydnie. Co w nią wstąpiło?!

Ranulf przechylił się ku niej, zbliżając usta do jej ucha.

- Eleanore, jeżeli zmieniłaś zdanie, zrozumiem - powiedział tak cicho, by tylko ona mogła to usłyszeć.

- Nie!

Dobry Boże! Właśnie straciła jedyną okazję, żeby zapobiec temu szaleństwu! Dlaczego powiedziała nie?!

Wieczorem minstrel poprosił o nocleg. Teraz zaczął grać na małej harfie dla niewielkiej kompanii zgromadzonej w izbie. Żywy ogień w kominku rzucał refleksy na kamienne ściany. Migotały rozedrgane płomyki świec. Ranulf ujął dłoń Elf, kiedy bard śpiewał swą balladę o wielkiej, namiętnej miłości. Gdy skończył i biesiadnicy nagrodzili go oklaskami, Elf wymknęła się z izby.

Cebrzyk czekał napełniony wodą, więc wykapała się czym prędzej, zanim Ranulf zjawił się w alkowie.

- Zostaw wodę dla mojego męża - poleciła Willi. - Idź do izby i go przywołaj.

Kiedy Willa wróciła do alkowy, przekazała jej słowa Ranulfa:

- Pan powiedział, że dziś się sam wykąpie. Mówi, że niedługo przyjdzie.

Elf weszła do alkierza. Ida akurat spulchniała poduszki na łożu.

- Ido, czas się położyć. Słońce dawno zaszło, a ty nie masz już tyle siły, co dawniej.

- Wsunęłam nóż pod łóżko, żeby złagodził ból - oznajmiła Ida.

- Co takiego? - zdziwiła się Elf.

- Pani, nie jestem aż tak stara, żeby nie widzieć, co się tu dzieje. Nadal jesteś dziewicą, ale postanowiłaś zmienić ten niedorzeczny stan dzisiejszej nocy. Nóż przecina ból. Powszechnie wiadomo, że tak jest.

- Naprawdę? - Elf spłonęła rumieńcem.

- Pani, nie możesz wiedzieć takich rzeczy, skoro od wczesnego dzieciństwa przebywałaś w klasztorze, ale tak jest. Nie lękasz się, prawda? Nie ma się czego obawiać.

- Wcale się nie boję - odparła Elf, panując nad głosem.

Jej strach za chwilę wyjdzie na jaw, jeśli nie pozbędzie się

starej piastunki z alkierza. Zdecydowanie nie miała ochoty rozmawiać z Idą na ten temat.

- To dobrze - uspokoiła się niania. - W takim razie pójdę już sobie. Od dzisiaj obie z Willą będziemy spać w izbie. Masz, pani, prawo do intymności, a te cienkie drzwi wcale jej nie zapewniają.

Ida wyszła z alkierza, zostawiając oniemiałą Elf samą.

Czyżby wszyscy w Ashlinie wiedzieli, jak wygląda jej małżeństwo? - zastanawiała się, rozplatając warkocze i szczotkując włosy. Czy niczego nie da się uchować w tajemnicy? Zdawała sobie sprawę, że w małych społecznościach nie ma prawdziwych sekretów. Przynajmniej nigdy nie było ich w St. Friedeswide. Powolnymi ruchami przeciągała szczotką po długich płomiennozłoty pasmach. Potem zaplotła włosy w jeden warkocz i weszła do łóżka. Gdzie jest Ranulf? Och, być może nie uświadamia sobie, że wszyscy w Ashlinie znają ich małżeńskie problemy, więc zgodnie z codziennym zwyczajem został w izbie z Fulkiem i z innymi mężczyznami. Uśmiechnęła się, przeciągając się pod kołdrą. W komnacie panował półmrok i nie dokuczał ziąb. Powieki zaczęły jej ciążyć, wkrótce zapadła w sen.

Kiedy stanął nad łóżkiem wpatrzony w Elf, pomyślał, że ma przed sobą najpiękniejszą dziewczynę, jaką w życiu widział. Jej długie, ciemne rzęsy dotykały policzków. Małe, zmysłowe usta prowokowały go jak żadne inne.

Wykąpał się już i wszedł do alkierza, najciszej jak potrafił. Teraz unióś kołdrę i wśliznął się do łóża. Czy powinien ją obudzić, czy raczej poczekać, aż sama się ocknie? Jednak nie potrafił się powstrzymać, więc nachylił się nad nią i musnął wargami jej usta.

Elf uniosła powieki i spojrzała w jego piwne oczy.

- Nie powinieneś przesiadywać tak długo w izbie, panie. Wszyscy wydają się zorientowani w naszych prywatnych sprawach - powiedziała. - Czyś zauważył, że Ida i Willa przeniosły się dziś do izby? Ida uważa, że drzwi nie gwarantują nam intymności.

Zaśmiał się cicho.

- A więc jesteśmy na ustach całego Ashlinu? Jak to możliwe? - Podciągnął poduszkę, by oprzeć się o wezgłowie, i wziął Elf na kolana.

Kiedy ją objął, serce podeszło jej do gardła, ale nie pokazała po sobie, jak bardzo się denerwuje.

- Ida powiedziała, że ukryła nóż pod łóżkiem, bo to podobno zmniejsza ból - wyjawiała mu.

- Kto jak kto, ale żeby dojrzała kobieta wierzyła w takie bajdy! - zaśmiał się cicho. - Matko jedyna, *petite*, ty się chyba nie boisz! Nie dopuszczę do tego, byś się obawiała kochania!

- Dlaczego wszyscy mnie pytają, czy się boję?! - Na jej twarzy w kształcie serca pojawił się wyraz takiego wzburzenia, że Ranulf o mało nie roześmiał się na głos. - Jeżeli fizyczne zbliżenie między mężem i żoną jest przyjemnością, dlaczego miałabym się bać? Och, wiem, pierwszy raz będzie dziwnie i oczywiście poczuję ból, ale szczerze mówiąc, jestem nadto ciekawa, o co w tym wszystkim chodzi, by się przejmować przelotnym bólem. Nie, Ranulfie, nie boję się!

- Jesteś cudowna! - odetchnął z ulgą. - Teraz już rozumiem, dlaczego dotąd żadna inna kobieta nie pociągała mnie na tyle, żeby zaproponować jej małżeństwo. Eleanore, Bóg najwyraźniej przeznaczył mi ciebie na żonę.

Ku jego zaskoczeniu, ale i radości pocałowała go przelotnie w usta.

- Ranulfie, czy ty się do mnie zalecasz? Jeżeli tak wygląda uwodzenie, to bardzo mi się podoba. - Przytuliła się do jego piersi.

Dobry Boże, pomóż mi wytrwać, żebym jej nie ponaglał - modlił się w duchu. Wyciągnął rękę i pogładził Elf po głowie.

- Twoje włosy mają piękny kolor. Nie są miedzianorude, lecz raczej złote z czerwonymi refleksami. Czyś ty je kiedy podcinała, Eleanore? - Pociągnął za koniec wstążki i rozwiązał kokardę na warkoczu. Powoli rozplatał długie pasma. - *Petite*, pragnę ujrzeć cię naga, okrytą jedynie płaszczem z włosów. - Podniósł do ust złoty pukiel i przycisnął go do warg. - Uhhh, pachniesz lawendą.

Naga? On chce widzieć mnie naga? Och, tego nie wzięła pod uwagę.

- Czy przystoi, abyś oglądał mnie... obnażoną? Ranulfie, nie sądziłam, że mężowie widują swe żony bez ubrania.

- Naturalnie, że tak - zapewnił ją. - Czyż Bóg nie przysłał cię na ziemię nagusieńką, Eleanore? Uczy się nas wstydzić

własnego ciała, ale czy tak powinno być? Przecież ono pochodzi od Boga.

- Och! - Jej głos zabrzmiał bardzo niepewnie.

Ranulf odchylił jej twarz ku sobie.

- *Petite*, jesteś piękna i pragnę cię widzieć taką, jaką stworzył cię Pan Bóg. Raduje mnie twoja nieśmiałość, ale nie należy wstydzić się własnego męża.

Policzki piekły ją od rumieńców wywołanych jego szczerością, ale nie spuściła oczu.

- Ranulfie, tyłu rzeczy jeszcze nie wiem. Musisz mnie wszystkiego nauczyć.

Podtrzymując ją ramieniem, wolną ręką zaczął rozwiązywać wstążki na karczku koszuli. Oczy Elf robiły się coraz większe, w miarę jak poszerzała się na piersiach szczelina rozcięcia koszuli. Nie była pewna, czy w ogóle jeszcze oddycha, ale chyba skądś brała powietrze. Długie palce Ranulfa powoli rozsuwały materiał, aż koszula ześlizgnęła się jej z ramion i opadła poniżej talii, zatrzymując się na biodrach.

Ranulf rozmyślnie błędził nieśpiesznym spojrzeniem po jej kształtnej sylwetce. Po drobnych, kragłych piersiach, podobnych do małych jabłek, po talii, którą z powodzeniem zamknąłby w dłoniach.

- *Mon Dieu!* - westchnął przez ściśnięte gardło. - Masz idealne ciało, *petite*.

Elf, nie spuszczać ani na chwilę wzroku z Ranulfa, rozplątała tasiemki jego koszuli i rozsunawszy brzegi materiału, obnażyła go do pasa. Teraz oderwała oczy od jego twarzy i oglądała go równie uważnie, jak on ją chwilę wcześniej. Przyszedł jej na myśl tamten pierwszy raz, kiedy widziała go nagiego w kąpieli, ale teraz to było zupełnie co innego. Gładziła go smukłymi dłońmi po szerokiej piersi i po barkach. Kiedy powiodła ręką wzdłuż umięśnionego ramienia, jej palce zatrzymały się na niedużej, ale za to głębokiej bliznie na bicepsie.

- Pamiątka po ranie zadanej włócznią podczas turnieju - wyjaśnił, unosząc jej rękę do ust i całując wewnątrz dłoni.

- Wygrałeś? - zapytała, cofając rękę.

- Tak.

- A ta blizna, tutaj? - Opuszką palca dotknęła końca

długiej, wąskiej szramy wysoko na ramieniu. - Skąd się wzięła?

- Zostałem ranny podczas starcia wojsk naszego króla z oddziałami księżniczki Matildy.

- Powinieneś więcej ćwiczyć - oznajmiła mu. - Za każdym razem zraniono cię po tej samej stronie. Nie zasłaniasz się. Jeżeli się tego nie nauczysz, któregoś dnia możesz stracić życie przez zwykłą nieostrożność.

- Eleanore, skąd się wzięła u świętej mniszki taka znajomość wojennej sztuki? - zapytał zdumiony trafnością jej spostrzeżenia.

- Czyż te blizny nie mówią same za siebie? - padła szybka odpowiedź.

- Masz bystre oczy - powiedział cicho.

Podniecenie wzbierało gorącą falą w jego łędzwiach.

- A twoje oczy, Ranulfie, mają nieskromny wyraz. Czy nie czas, byś mnie pocałował? - Elf odgadła jego rosnące pożądanie. Już sam jej widok rozpałał mu zmysły.

Ranulf ponownie otoczył ją ramieniem i wpił się wargami w jej usta. On jest niebezpieczny - zdążyła pomyśleć, zanim zachłysnęła się z wrażenia, czując, jak dotyka jej piersi. Na to nie była przygotowana. Nakrył pierś dłonią i pieścił delikatnie, masując sutek szorstkim opuszką kciuka, aż uniósł się i stwardniał.

- Ranulfie! - wyszeptała zdławionym głosem, drżąc na całym ciele.

- Eleanore!

- Och! - Przecież Marta mówiła, że mężczyźni lubią dotykać kobiecych piersi. Jednak zapomniała wspomnieć, że to wywoła u niej uczucie zimna i gorąca zarazem i przyprawi ją o kołatanie serca. Nie, o tym nie było ani słowa!

- Masz idealne ciało, *petite*. - Głos Ranulfa wydał jej się dziwnie zmieniony. Jego ręka zbłądziła na drugą pierś.

Patrzyła zafascynowana na tę masywną dłoń, obserwowała jednostajny ruch kciuka, kiedy pocierał brodawkę tak długo, aż osiągnął zamierzony skutek. Przesuwał palcami delikatnie po skórze, czyniąc jej ciało boleśnie wrażliwym.

- Przestań - wyszeptała. - Chyba umieram. Za chwilę umrę!

Odpowiedział jej pocałunkiem. Jego wargi muskały jej usta,

dotykały ich i skubały, parząc jak ogień. Westchnęła, nie kryjąc zadowolenia, a on roześmiał się cicho. Objął ją w pasie i poderwał do góry, wtulając twarz we wgłębienie między piersiami.

Elf zarzuciła mu ramiona na szyję. Unosił ją, jakby ważyła tyle, co piórko. Dotyk jego twarzy na skórze budził podniecenie. Wstrzymała oddech, kiedy powoli przesunął językiem między piersiami.

- Uhhh. - Język Ranulfa obwodził sutki. Dreszcz rozkoszy przebiegł jej wzdłuż kręgosłupa. Ranulf zamknął usta na sutku i ssał go mocno. - Uhhmm. - Zamknęła oczy, delektując się uczuciem błogości. Jego usta powędrowały ku drugiej piersi. Zadrżała z oczekiwania.

Powoli zsunął ją na swoje kolana i otoczył ramionami.

- Nie jesteś przestraszona. - Jego słowa zabrzmiały jak stwierdzenie faktu, a nie pytanie.

- Nie - odparła. - Jest cudownie. Nigdy bym nie przypuszczała...

- Oczywiście, że nie, moje ty niewiniątko - zaśmiał się cicho. - Małe zakonnice nie mają pojęcia o cielesnej miłości. I nie powinny o niej wiedzieć.

- Matti i Isa podglądały księdza z dziewczyną od krów - zwierzyła się mu.

- Ale ty tego na pewno nie robiłaś.

- Rzeczywiście, nie - przyznała. Poruszyła się lekko w jego ramionach i odsunęła nieco, by móc go dotknąć. Nachylając się nad nim, polizała go po szerokiej piersi. Usłyszała, jak szmatycznie wciągnął powietrze, lecz wcale nie próbował jej powstrzymać. Wręcz przeciwnie, wypuścił ją z objęć, umożliwiając swobodę ruchów. Jego skóra miała słonawy smak i pachniała.... Czym? Mydłem i chyba... piżmem? Właśnie owa woń piżma tak bardzo pobudzała jej zmysły.

Ranulf obserwował niewinną wędrowkę Elf po swoim ciele. Jej głowa przesuwiała się coraz niżej i niżej, a kiedy znalazła się nad ściśniętym z podniecenia żołądkiem, wiedział, że najwyższy czas ją powstrzymać. Resztką woli podciągnął Elf ku sobie i odnalazł jej usta. Przytuliła się, przywierając do jego ciała wilgotną skórą. Spleceni w uścisku, złączyli wargi w długim pocałunku, dopóki z głębokim westchnieniem nie ode-rwała się od niego.

Już czas - pomyślał. Powoli zdjął z niej koszulę i upuścił na posadzkę. Wolno przeciągał wargami po jej twarzy, całował powieki i napiętą szyję. Jedną ręką obejmował jej ramię, drugą gładził delikatnie po całym ciele, odkrywając piękno, jakiego dotąd nie poznał ani... istnienia nie podejrzewał. Trzymał w objęciach wijący się płomień. Przez atłasowo gładką skórę Elf wyczuwał drżenie jej ciała. Podziwiał jego idealne proporcje, kusząco zaokrąglone biodra i smukłe nogi.

Musnął palcami ciepłe wzniesienie w spojeniu jej ud. Gładkie i pozbawione włosów, jak na damę przystało. Poczuł potężne napięcie w podbrzuszu. Na chwilę oderwał się od Elf, by wyswobodzić się z koszuli. I znowu zaczął ją pieścić. Przesunął palcem wzdłuż rowka dzielącego delikatne płatki ciała. Poczuł, jak instynktownie zwarła uda.

Takie intymne miejsce?! Elf nigdy nie przeszło przez myśl, że ktoś mógłby jej tam dotykać. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że jest zupełnie naga. Ogarnął ją niepokój, choć czuła, że nie musi się bać. Palec wsunął się głębiej. Napięła mięśnie, więc Ranulf zatrzymał dłoń i pocałował ją w usta, jakby chciał w ten sposób rozwiązać jej obawy. Ponowił próbę, posuwając się coraz głębiej. Elf ze wszystkich sił powstrzymała krzyk.

Nóż pod łóżkiem nie będzie potrzebny - pomyślał. Wystarczy ją dobrze przygotować. Ostrożnie odszukał klejnot jej kobiecości i muskał go cieniem dotyku, jednocześnie całując jej usta i twarz. Zamknął Elf w mocnych objęciach, a natarczywy palec nie przestawał delikatnie masować małej wypukłości.

Co się ze mną dzieje - myślała Elf. Serce biło jej coraz szybciej. Napięcie w sekretnym miejscu stało się nie do wytrzymania. Oblała ją gorąca fala nieznanych dotąd, intensywnych doznań.

- Ranulf! - zawołała jego imię, z trudem chwytając powietrze, kiedy poczuła, że palec powoli wślizguje się coraz głębiej. Uniosła biodra, przywierając do niego całym ciałem.

Szybko się rozbudziła - pomyślał, szczerze uradowany. Była wilgotna i otwarta. Zmrużyła oczy, kiedy natrafił na przeszkodę, ale się nie odsunęła ani nie poprosiła, by przestał.

- Eleanore, jesteś gotowa stać się kobietą? - zapytał, wpatrując się w jej szaroniebieskie oczy.

- Tak - szepnęła. Pragnęła ulgi! Chciała, by uwolnił jej ciało od trawiącej je gorączki, która zdawała się zagrażać jej życiu.

Instynktownie wyczuwała, że tylko on mógł położyć kres tej torturze.

- Jesteś taka drobna, a ja sporo ważę. Mógłbym cię zmiażdżyć. Musimy być niezmiernie ostrożni ten pierwszy raz. - Zsunął ją z kolan i ułożył na materacu, a potem uklęknął przed nią, przysiadając na piętach.

Oczy Elf zrobiły się ogromne z wrażenia, bo dopiero teraz po raz pierwszy zobaczyła swego męża w całej okazałości.

- Nie możesz! - jęknęła. - Jesteś za duży. Ja tego nie przeżyję!

- *Petite*, wszystko będzie dobrze. Obiecuję - zapewniał ją. - Otwórz się na mnie, zaufaj mi, Eleanore. Nie zrobię ci krzywdy.

Z rezygnacją poddała się jego woli. Delikatnie ujął jej nogi w kostkach i powoli przyciągnął ją ku sobie. Ocierając się o nią, wniknął w wilgotną szczelinę, przysuwając Elf jeszcze bliżej. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz, nie tyle strachu, ile oczekiwania na to, co stanie się dalej.

Ranulf pomału posuwał się naprzód, na tyle, na ile to było możliwe, by dać upust swej żądzy, nie narażając Elf przy tym na ból.

- Gdy będę głębiej, opleć mnie nogami - poradził zdławionym głosem.

Kiedy naparł mocniej, z zadowoleniem stwierdził, że ścisnęła go udami. Była taka ciasna, gorąca i wilgotna. Jęknął z rozkoszy. Jej dotyk drażnił jego zmysły i przyprawiał o zawrót głowy.

Kiedy w nią wszedł, zachłysnęła się z wrażenia. Poczowała się zniewolona, a zarazem kompletna. Rozumiała już, dlaczego kochał się z nią w taki sposób. Wybrał pozycję, w której nie przygniatał jej swym potężnym ciałem. Z jej ust wyrwało się kolejne westchnienie. Czuła, jak się w niej porusza. O dziwo, jego miłosne zabiegi sprawiały jej przyjemność. Nagle znieruchomiał, przywarł wargami do jej ust i wbił się w nią z całą mocą. Z gardła Elf wyrwał się szloch, który utonął w jego ustach, a po policzkach potoczyły się łzy z przeszywającego bólu.

- Wybacz mi, *petite* - wyszeptał, odrywając się od jej ust. - Nie było innego sposobu. - Pocałunkami osuszał jej łzy, nie przestając się w niej poruszać. Coraz gwałtowniejszy rytm

przyprawiał ją o zawrót głowy. Ból przeminał, jakby go nigdy nie było. Wzbierało w niej uczucie rozkoszy. Ciche okrzyki wyrwały się z jej ust.

- Ranulf! Ooch! Matko jedyna! Nigdy nie myślałam... Cudownie! Ooch! - Jej ciało wyprężyło się, wstrząsane paroksyzmem dreszczy. - Nieee! Chcę jeszcze! Oooch! - Bliska omdlenia, odpłynęła w ciepłą ciemność.

Z pomrukiem rozkoszy osiągnął spełnienie. Jego ciało pulsowało w spazmatycznym przedłużeniu, dopóki, niechętnie, nie oderwał się od niej, przetaczając się na bok.

Ile kobiet miał w swoim życiu? Dość, by wiedzieć, że ta niezwykła dziewczyna, ta kobieta, była dla niego kimś szczególnym. Jak on ją kochał! A ona, jego słodka Eleanore, nic o tym nie wie. Dziś poznała namiętność. Co będzie, jeśli ta namiętność szybko ostygnie? Czy staną się podobni do wielu innych małżeńskich par, które łączą jedynie dzieci i czasami wzajemny szacunek? Nie zniósłby, gdyby go odrzuciła. Lepiej, aby nigdy się nie dowiedziała, że zawojowała jego serce. Nie chciałby usłyszeć, że oddaje się mu z litości albo z obowiązku. Jeśli nadejdzie taki dzień, kiedy powie, że go kocha, dopiero wtedy wyzna jej swe uczucie.

Uniósł się z łoża i wziął w ramiona na wpół przytomną Elf. Spostrzegł ślady krwi na jej udach i na prześcieradle. Tuląc ją mocno do siebie, odgarnął jej włosy z czoła i delikatnie pocałował.

- Wszystko dobrze, *petite*?

Skinęła głową i pieszczotliwie pogładziła go po twarzy. Czy to, co czuła, to miłość? A może jedynie pożądanie? Skąd miała wiedzieć? Nie mogła przecież zapytać Ranulfa! Niewątpliwie wprawiłaby go w zakłopotanie swą dziecinną naiwnością. A poza tym on jej na pewno nie kocha, więc swymi wynurzeniami jedynie postawiłaby go w niezręcznej sytuacji. Już lepiej, żeby milczała. On jest starszy, mądrzejszy. Rycerzom pokroju Ranulfa de Glandeville'a, przywykłym do wojaczki, obce są uczucia takie jak miłość. Nie, nie powie ani słowa, zachowując w ten sposób jego szacunek i przyjaźń.

- Byłaś bardzo dzielna - stwierdził z uznaniem.

- A ty niezwykle delikatny - odpowiedziała. - Kiedy znowu będziemy to robić, Ranulfie? Muszę przyznać, że kochanie się z tobą jest przyjemne.

Roześmiał się, mile zaskoczony.

- Ach, *petite*, potrzebuję czasu, żeby ochłonać, kto wie, może przed świtem połączymy nasze ciała, jeśli zechcesz.

- A ty miałabyś na to ochotę? - upewniała się.

- Tak, Eleanore. Jesteś najśłodszym ciężarem, jaki trzymałem w ramionach. Król nawet się nie domyśla, jak bardzo mnie nagroził - wyznał szczerze.

- I wcale mu o tym nie powiemy - dokończyła filuternie. Jej spojrzenie zatrzymało się na kroczu Ranulfa. - O, zupełnie tak, jak mówiła pani Marta - zauważyła. - Jej słowa od początku do końca okazały się prawdziwe.

- Jaka pani Marta?

- Żona kupca bławatnego z Worcesteru. Kiedy przerabiałymy suknię, którą kupił dla mnie biskup, wprowadziła mnie w tajemnicę alkowy i męskiego ciała. Inaczej byłabym zupełnie niezorientowana.

Ranulf roześmiał się rozbawiony.

- *Petite*, jaka to ulga wiedzieć, że zostałam uświadomiona!

- Wiesz, przeorysza nie uczyniła najmniejszego wysiłku, żeby mnie choć trochę oświecić, a nie miałam ochoty zaufać plotkom, jakie opowiadały dziewczęta.

Znowu wybuchnął radosnym śmiechem.

- Jakaś ty niewiarygodnie praktyczna! - Pocałował ją w usta. - Prześpijmy się trochę, *petite* - zaproponował, naciągając na nich kołdrę.

Kiedy się obudziła, w kominku tlił się zaledwie żar, ale w alkierzu panował półmrok, bo światło z dworu sączyło się przez szczeliny w okiennicach. Spojrzała na swego męża i nie spodziewanie zapragnęła dać mu rozkosz i dostać to samo od niego. To musi być чуć - pomyślała. Zsunęła kołdrę i oglądała Ranulfa w milczeniu. Leciutko przesunęła dłonią po jego płaskim brzuchu i nie namyślając się wiele, nachyliła się i przeciągnęła po nim językiem. Kątem oka zauważyła, jak drgnęło mu przyrodzenie. Odważnie wyciągnęła rękę, obserwując, jak pod dotykiem jej palców jego męskość powiększa się i wydłuża.

- Bezwstydnica - wymruczał Ranulf, nie otwierając oczu. Wziął Elf w ramiona i podciągnął na siebie.

- Uhm! - sapnęła, zaciskając uda na jego biodrach.

- Dosiądź mnie - powiedział schrypniętym głosem.

Zaczerwieniła się, zdziwiona własnym brakiem skrępowania. Poruszała się na nim najpierw powoli, a potem coraz gwałtowniej. Przycisnął ją do siebie, miażdżąc drobne piersi o tors. Odnalazł jej usta i całował je łapczywie, aż w namiętym galopie razem osiągnęli spełnienie. Elf osunęła się na niego z ekstatycznym westchnieniem.

- Och, Ranulf! Było cudownie!

Serce mu biło tak mocno, jakby lada chwila miało pęknąć z uniesienia.

- Nie, Elf, to ty byłaś cudowna! - roześmiał się uszczęśliwiony. - Uwielbiam cię, *petite!* Nie ma drugiej takiej kobiety jak ty, teraz już jesteś w pełni kobietą i moją żoną - powiedział, otaczając ją ramionami.

Podobnie jak on miała skórę zroszoną potem. Jakie to wspaniałe uczucie tak leżeć na nim. Czuła pod sobą pulsowanie jego mięśni. Wyznał, że ją uwielbia. Dała mu rozkosz. I on ją też zadowolił. Teraz poznała tajemnicę małżeństwa, rozumiała, co by ją ominęło, gdyby złożyła śluby wieczyste. Jednak gdyby nie Ranulf, nie wiedziałyby o swoim poświęceniu. Przeszłyby przez życie nieświadoma cudownej, zdumiewającej namiętności, jaka może łączyć małżonków. Rozpłakała się.

- *Petite*, nie płacz - uspokajał ją, wyraźnie przejęty, kołysząc ją w ramionach. - Co się stało? Czy sprawiłem ci ból? Powiedz coś, Eleanore, bo łamiesz mi serce!

- Ja... ja... ja jestem taka szczęśliwa! - wychlipała.

- To dlaczego szlochasz?

- Bo jestem szczęśliwa! Wszystko dobrze, Ranulfie! - Wtuliła się w niego i pogłaskała go po piersi.

Był zupełnie zbity z tropu, ale na szczęście nic jej nie bolało. Czy właśnie coś takiego mieli na myśli mężczyźni, kiedy twierdzili, że nikt nie jest w stanie zrozumieć kobiety? Całując ją czule w czubek głowy, doszedł do wniosku, że to właśnie musi być to.

9

Mur otaczający dwór podwyższono do dwunastu stóp. Po jego wewnętrznej stronie biegły wzmocnione blanki szerokości trzech stóp, niższe od muru o cztery stopy. Wartownicy

mieli stamtąd dobry widok na całą okolicę. W narożnikach wzniesiono kamienne schody, aby ułatwić obrońcom dostęp do parapetu w razie napaści. Nowe, masywne skrzydła dębowej bramy okuto żelazem i zamocowano na żelaznych zawiasach. Pogłębiono płytką fosę opasującą mury, usypano wzdłuż niej wał z ziemi, a zwykłe przejście zastąpiono solidnym zwodzonym mostem z dębowych bali.

- Oprzemy się w razie oblężenia - stwierdził Fulk.

- Nie - zaprzeczył Ranulf. - Mury okalają zbyt dużą przestrzeń. W takim wypadku może dojść do przełamania obrony. Nie bez wysiłku co prawda, ale dobrze zorganizowane wojsko wdarłoby się za mury. Natomiast nie musimy się obawiać walijskich rabusiów. Potrzebny nam zamek w Ashlinie, ale nie mamy ani odpowiednich środków, ani pozwolenia króla na jego budowę. Więc, mój Fulku, musimy opracować plan, jak najlepiej bronić dworu w Ashlinie w razie ataku. Ale najpierw trzeba zająć się kościołem, bo inaczej moja pani zarzuci mi, że nie dotrzymuję słowa.

- Panie, czas się zająć orką - zauważył Fulk.

- Pańszczyźniani chłopci mają obowiązek pracować dla mnie trzy dni w tygodniu. Ci, którzy zdecydują się na dodatkowy dzień pracy przy odbudowie kościoła, dostaną zapłatę w brzęczącej monecie po zakończeniu roboty - oznajmił Ranulf.

- Ogłoszę im twoją wolę, panie - wtrącił rządcą John, który przechadzał się wraz z nimi.

- Liczę, że z każdego domostwa stawi się jeden silny mężczyzna - zaznaczył Ranulf. - Powiedz im, że nikt nie dostanie zgody na zawarcie małżeństwa, dopóki mury nie będą naprawione, a dach załatany. Pani pragnie sprowadzić księdza do Ashlinu. Biskup nikogo nie przyśle, jeżeli kościół nie będzie odbudowany.

Zaorano pola i zebrano ozime plony. Ziemię uprawiano w systemie trójpolowym. Jedno pole stało ugorem, drugie obsiewano wiosną, a trzecie późnym latem pod wiosenne żniwa. Tego roku urodziło się mnóstwo jagniąt. W lecie sprzedadzą runo na targu w Herefordzie. Przyszły też na świat trzy cielęta. Elf odchwaściła ogród przy herbarium i powiększyła go o nowe grządki, tak by zawsze mieć w pogotowiu zioła dla przychodzących po pomoc poddanych.

Elf była szczęśliwa. Musiała przyznać, że czuła się szczęśliwsza niż kiedykolwiek przedtem. Uważała, że powinna mieć z tego powodu wyrzuty sumienia, lecz nie potrafiła ich w sobie wzbudzić. Odpowiadał jej nowy tryb życia, a także cieszyła miłość do męża, nawet jeśli nie miał się o niej nigdy dowiedzieć. Ostatnio gwałtownie zapragnęła dziecka, owocu swej miłości.

- Nie bądź taka niecierpliwa - tłumaczyła jej Ida. - Dzieci przychodzą na świat, kiedy przychodzą, a nie kiedy ty chcesz. Taka jest wola boska.

- Ranulfie, czy ty masz jakieś bękarty? - zapytała go pewnej nocy, kiedy leżeli w łożu, a niesforne palce Elf akurat zawędrowały na jego brzuch.

Otworzył szeroko piwne oczy, które mrużył dotąd w oczekiwaniu na rychłe przyjemności.

- Masz jakieś bękarty? - powtórzyła pytanie, gdy nieznośne palce wplątały się w ciemny, gęsty busz włosów.

- Skąd takie pytanie? - Odjął jej dłoń od podbrzusza i rozciągając ramiona Elf, lekko przygniótł ją sobą, aby móc patrzeć jej w twarz.

- Chcę mieć dziecko - oznajmiła. - Jak dotąd nie poczęłam. Po prostu zastanawiam się, czy spłodziłeś jakiegoś bękarta. Może jestem bezpłodna, tak jak Isleen. Co za tragedia dla Ashlinu!

- Eleanore, jak dotąd żadna kobieta nie złożyła mi dziecka u stóp - oznajmił, ze wszystkich sił tłumiąc śmiech. Co za tupet ma ta mała - myślał rozbawiony. - Prawdę mówiąc, zawsze byłem ostrożny, nie pozwalałem, by przyrodzenie rządziło moim rozumem. A kobiety, z którymi miałem do czynienia, były na tyle mądre, żeby wiedzieć, jak chronić się przed niepożądaną ciążą i uniknąć narodzin dziecka, które byłoby dla nich tylko ciężarem i nigdy nie poznałoby swego ojca.

- Masz na myśli nierządnicę? - upewniła się.

- Skąd moja wychowana w klasztorze, młoda żona wie o takich sprawach? - zapytał zaintrygowany.

- Dziewczęta w klasztorze wiedziały o najróżniejszych rzeczach, Ranulfie. Nie wszystkie byłyśmy przeznaczone do życia zakonnego. Rozpustne kobiety fascynują młode panienki. Zakazany owoc zawsze pociąga. - Uśmiechnęła się uwodzicielsko, patrząc mu prosto w twarz. - Masz ochotę się piep...

- Tak - nie dał jej dokończyć. - Z rozkoszą, *petite*. - W jego oczach pojawiły się swawolne ogniki. - Czy nadal pociąga cię to, co zakazane, Eleanore? Dawno temu pewna piękna i bardzo biegła w sztuce miłosnej ladacznica pokazała mi pewną pieszczotę, która sprawia wielką przyjemność tak kobiecie, jak i mężczyźnie. Zdobędziesz się na odwagę? Czy wolisz porzucić na rozmowie?

- Czy to coś bardzo zdrożnego? - chciała wiedzieć.

W jej oczach odbijało się żywe zainteresowanie. Wyraźnie rozważała jego wyzwanie.

- Niektórzy uważają, że tak, a inni, że nie - odpowiedział. Jego mała zakonniczka przeistacza się w sybarytkę - pomyślał. Nie odrywała swych niebieskich oczu od jego źrenic. On tymczasem podciągał ją za nogi, aż znalazły się na wysokości jego barków.

W oszołomieniu patrzyła, jak wzgórek Wenery przybliżyła się do jego ust. Znieruchomiała, gdy dotknął jej tam wargami i rozchylił kciukami najintymniejsze miejsce. Czuła, że płoną jej policzki. Czy powinna go powstrzymać? Jednak nie mogła oderwać od niego oczu, obserwowała, jak pieści ją z początku delikatnymi, a potem coraz śmielszymi pociągnięciami języka.

- Och, Ranulf! - Język nieubłaganie drażnił wrażliwe miejsce.

Westchnęła, nie ukrywając przyjemności, jaką jej to sprawiało, a dreszcze rozkoszy wstrząsnęły jej ciałem. Nie patrzyła już na niego, tylko poddała się w pełni intensywności doznań. Jej ciało napięło się i po chwili rozluźniło, kiedy odeszła fala kulminacji.

Był gotowy i twardy jak stal. Zsunął nieco jej nogi i wbił się w nią, a kiedy jęknęła pożądliwie, nie potrafił opanować uśmiechu.

- Ty bezwstydnico! - wyszeptał chrapliwie, napierając z całej siły na wijącą się pod nim Elf. - Ty w ogóle nie masz wstydu, *petite!* - Rany boskie! Nie mógł się nią nasycić tej nocy! Była taka gorąca i ciasna. Poderwał ją do góry, pragnąc wedrzeć się w nią jak najgłębiej.

Przywarła do niego. Szaleństwo zmysłów przyprawiało ją o zawrót głowy. Zmierzając ku spełnieniu, zaciskała bezwiednie palce na plecach Ranulfa. Jestem zachłanna i samolubna -

przemknęła jej stłumiona myśl. - Dążę wyłącznie do własnej przyjemności.

- Ja też chcę ci dać rozkosz! - sapnęła, kiedy zanurzał się w niej z dziką gwałtownością.

- Dajesz ja! - wyrzęził przez zaciśnięte zęby. - Jak mi Bóg miły, dajesz mi ja! - Razem zaznali uniesień spełnienia. Drżeli jeszcze w miłosnym oszołomieniu, kiedy zaspokojeni padli sobie w ramiona.

- Byłaby z ciebie beznadziejna zakonnica - zauważył po chwili, kiedy jego serce przestało bić jak oszalałe.

- Nieprawda! - zaprotestowała. - Gdybym się nie dowiedziała, jakie słodkie może być kochanie, zostałabym bardzo dobrą zakonnica.

Oboje skwitowali śmiechem ten ich stały żart, kiedy przekomarzali się ze sobą.

Święto Matki Boskiej Majowej, w które przypadały piętnaste urodziny Elf, Ranulf ogłosił dniem wolnym od pracy. Wkopano w ziemię wysoki słup i przystrojono go wstążkami i girlandami z kwiatów. Pan i pani na Ashlinie płasali wokół gaiku wraz z poddanymi. Ranulf wyprawił ucztę dla chłopów na rozstawionych w pobliżu słonecznej łąki stołach. Wytoczono beczki z jabłecznikiem i z piwem. Urządzono wyścigi oraz konkurs strzelania z łuku, a zwycięzca w nagrodę dostał młodego kogutka i parę kur. Zakończono odbudowę kościoła - naprawiono ściany i uszczelniono dach. Ranulf wyraził zgodę, aby wkrótce sześć młodych par stanęło na ślubnym kobiercu, jak tylko biskup przyśle księdza. Dwie z przyszłych oblubienic spodziewały się potomstwa, ale ów dowód płodności nie był żadnym wstydem, a młodzi kandydaci na mężów deklarowali szczerze uczucie.

- Jakiś jeździec się zbliża! - zawołała jedna z dziewcząt i podekscytowana wskazała na trakt, bo goście rzadko trafiali do położonego na uboczu Ashlinu.

Uwagi Ranulfa nie uszedł błysk słońca odbity od klingi miecza. W takim razie to rycerz. Czy był sam? Czy też ode-rwał się od większej grupy na rekonesans? Nie. Nikt nie udawałby się samotnie na przeszpiegi, ryzykując spotkanie z licznym przeciwnikiem. Poza tym rycerz jechał stępa, co ozna-

czało, że cel podróży znajdował się w zasięgu jego wzroku, a więc tym celem mógł być wyłącznie Ashlin. Ranulf podniósł się z ławy.

- Biegnij do dworu i przynieś mi miecz! - rozkazał jednemu ze służących. - Pośpiesz się!

Pachołek rzucił się spełnić polecenie i już po chwili był z powrotem z mieczem i pasem, który Ranulf pospiesznie zapiał na biodrach. Następnie godnym krokiem ruszył przed siebie, dystansując się od gromady poddanych, aby obcy od pierwszej chwili nie miał wątpliwości, że ma przed sobą pana Ashlinu.

Elf bez słowa stanęła u boku męża. Spojrzał na nią, uśmiechając się nieznacznie.

Jeździec ściąganiem cugli zatrzymał potężnego rumaka.

- Czy mam do czynienia z panem Ashlinu? - zapytał uprzejmie.

- Tak. Jestem Ranulf de Glandeville. Czym mogę ci służyć, panie?

Rycerz zsiadł z konia i w powitalnym geście wyciągnął rękę, którą Ranulf uściskał.

- Nazywam się Garrick Taliferro. Mam polecenie od księcia Henryka, by porozmawiać z tobą w jego imieniu, panie.

- Księcia Henryka? - powtórzył Ranulf, nie bardzo kojarząc.

- Pana Normandii, Anjou, Maine, Tourraine i Akwitanii - dopowiedział półgłosem Garrick.

- Pierworodnego syna księżniczki Matildy? Jestem wasalem króla Stephena, panie. Zawsze nim byłem i pozostanę do końca - odparł Ranulf.

- Sir Garricku - wtrąciła się do rozmowy Elf. - Na pewno jesteś spragniony po podróży, panie, pozwól do stołu, służba poda ci wino. Rolph! Zaprowadź konia do stajni i dopilnuj, żeby dostał obrok i wodę.

- To moja małżonka, lady Eleanore - przedstawił ją Ranulf. - Słusznie mówi. Zupełnie zapomniałem o dobrych manierach. Proszę za mną. Obchodzimy dziś we dworze święto Matki Boskiej i urodziny mojej żony. Posilmy się, zanim przejdziemy do rozmów.

Posadzono sir Garricka na środkowej ławie. Cedric osobiście poszedł po karafę z winem i sam napełnił puchar. Posta-

wiono przed rycerzem talerz smakołyków. Jadł z apetytem, dokładając jądra dwukrotnie i trzy razy dolewając wina, zanim odsunął talerz z uśmiechem zadowolenia na twarzy.

- Wdzięczny jestem za waszą gościnność.

- Naturalnie zatrzymasz się, panie, u nas na noc - zaproponowała Elf.

- Z przyjemnością, pani.

- Czy powiesz nam, panie, dlaczego ksiązę Henryk wysłał cię do mnie? - zapytał Ranulf. - Jak już zaznaczyłem, jestem wasalem króla Stephena.

- Ksiązę Henryk o tym wie. Dlatego przysłał mnie nie tylko do ciebie, panie, ale i innych rycerzy tobie podobnych. Właśnie wasza lojalność skłoniła mego pana, by się do was zwrócić. Żyjecie tak daleko od bitego traktu, że być może wiadomości o wydarzeniach z ostatnich miesięcy nie dotarły jeszcze na to odludzie.

- W grudniu zeszłego roku biskup udzielił mi ślubu z lady Eleanore w obecności króla Stephena. Wcześniej przez cały czas pozostawałem w służbie u króla. Wyjechaliśmy do Ashlinu w dniu naszych zaślubin. Od tamtej pory żaden gość do nas nie zawitał. Co się stało? Czy król jest w dobrym zdrowiu?

- Król Stephen czuje się dobrze. W całym kraju nastąpiło zawieszenie broni. Ksiązę Henryk przybył do Anglii w styczniu.

- Przypłynął z Normandii w środku zimy?! - Ranulf nie wierzył własnym uszom. Nawet w najlepszą pogodę wody kanału bywały niespokojne, a w zimie szalały tam wysokie, spienione fale. Księżca musiała cechować wielka odwaga albo też był skończonym głupcem, któremu dopisało szczęście - zastanawiał się w duchu.

- Król Stephen życzy sobie jeszcze za życia koronować na króla Anglii swego najstarszego syna Eustace'a - zaczął Gerrick. - Jak zapewne ci wiadomo, panie, to zwyczaj praktykowany przez francuskich monarchów. Jednak na rozkaz papieża arcybiskup Canterbury nie zgodził się na koronację. Nawiasem mówiąc, ksiązę Eustace jest równie nikczemnym mężczyzną, jak księżniczka Matilda podłą kobietą.

- Tak - zgodził się z nim Ranulf. - Słyszałem, że pod żadnym względem nie przypomina swych wspaniałomyślnych rodziców.

- Obecnie Kościół na drodze mediacji usiłuje rozwiązać ten długotrwały i ponury konflikt, targający Anglią od lat. Duchowieństwo sugeruje, aby król Stephen rządził do końca swych dni, a jego sukcesorem został książę Henryk, pierworodny syn Matildy. - Rycerz pociągnął parę łyków wina. - Król - mówił dalej - oczywiście sprzeciwia się takiemu rozwiązaniu, ale wcześniej czy później będzie musiał ustąpić. Eustace nie nadaje się na władcę, a jego młodszy brat, William, zapewnił księcia Henryka, że jest ukontentowany swoją pozycją księcia Bolognii. William nie ma zakusów na angielski tron.

- A książę Henryk ma - mruknął pod nosem Ranulf.

- Tron Anglii prawnie mu się należy - odparował Garrick. - Mój pan życzy sobie wiedzieć, czy staniesz po jego stronie przeciwko księciu Eustace'emu, kiedy król Stephen zejdzie z tego świata. Twój dwór, choć niewielki, ma strategiczne znaczenie ze względu na usytuowanie w pobliżu walijskiej granicy. - Garrick rozejrzał się dokoła. - To nowe mury?

- Nie. Jedynie wzmocnione. Sir Garricku, proszę ze mną, chętnie oprowadzę.

Obaj mężczyźni podnieśli się z ławy i skierowali się w stronę murów.

Elf przywołała Idę i Willę.

- Chodźcie, musimy przygotować jakieś godne miejsce do spania dla naszego gościa - oznajmiła, po czym wszystkie razem pośpieszyły do dworu.

Później, w alkierzu, Elf zapytała męża:

- Jak zamierzasz postąpić, Ranulfie? Będziesz popierać Eustace'a czy księcia Henryka?

- Księcia Henryka - odparł bez chwili wahania.

- Dlaczego?

- Z kilku powodów, *petite*. Eustace, którego znam od urodzenia, jest dość nikczemnym człowiekiem i brakuje mu ogłady oraz rycerskości swego ojca. Na dworze króla Henryka znalazłem się jako zaledwie siedmioletni chłopiec. Miałem niecałe trzynaście lat, gdy król umarł. Za każdym razem, kiedy Stephen, hrabia Blois, zjawiał się w Anglii, służyłem mu jako paź. Król był wujem Stephena i bardzo go lubił. Ja także go pokochałem, chociaż to ogólnie znana prawda, że nie jest najlepszym monarchą, *petite*. Ma wiele uroku, jest waleczny, ale brakuje mu innych przymiotów, niezbędnych dobremu

władcy. Gdyby nie to, że księżniczka Matilda ma zły charakter, jest arogancka i nazbyt dumna i że co potężniejszym baronom zależy na tym, aby w kraju nie było silnej, centralnej władzy i panował w nim chaos, król Stephen nie utrzymałby się na tronie. Kiedy został królem, uczynił mnie giermkim, a gdy skończyłem szesnaście lat, pasował na rycerza. Zawsze był dla mnie szczodry i wysoko mnie cenił. Gdybym się lubił przechwalać, kto wie, czy nie naraziłbym się tym, których synowie znajdowali się wyżej w hierarchii ode mnie. Zawsze byłem lojalny w stosunku do króla Stephena i nigdy się z tym nie kryłem. Elf, rozumiesz dlaczego, prawda?

Znałem królową, sukcesorkę Eustace'a II, hrabiego Bolonii, i Mary, najmłodszej córki króla Szkotów Malcolma III. Miała na imię Matilda i z całego serca kochała króla Stephena, tak samo zresztą jak on ją. Z ich związku narodziło się trzech synów: Baldwin, który zmarł w wieku dziewięciu lat, Eustace i William, obecnie hrabia Bolonii. Przyszły na świat także dwie córki. Pierwsza zgasła, nie ukończywszy dwóch lat, a druga, Mary, jest niezamężna. Hrabia William i Mary są łagodni i dobrze ułożeni, natomiast Eustace jest gwałtowny, złośliwy, cyniczny i traktuje ludzi z pogardą. Nawet jego własna żona Konstancja z Tuluzy nie darzy go sympatią i nie ma z nim potomstwa. Konstancja jest siostrą francuskiego króla, poprzez małżeństwo z nią Eustace miał nadzieję zyskać Normandię. Naturalnie tak się nie stało, bo Francja nie życzyła sobie angażować panów z Anjou w tę sprawę. To właśnie oni przejęli Normandię, podczas gdy Stephen walczył z Matildą o tron Anglii.

Ranulf zamilkł i pogrążył się w myślach.

- Chyba wszystko zrozumiałam, Ranulfie, może oprócz tego, co mówiłeś o Eustace'u.

- Niepokoi mnie jego przebiegła natura, Elf. Poza tym zbyt łatwo wpada w gniew. Szczerze mówiąc, nie ufam mu, *petite*. Darzę miłością ojca, lecz nie jestem zwolennikiem jego syna.

- A co wiesz o księciu Henryku?

- O dziwo, całkiem sporo. Od tamtej pory, kiedy jego matka zrezygnowała z pretensji do tronu, uważa się go za rywala Stephena. Ożenił się z twoją imienniczką, Alienor, wielką dziedziczką Akwitanii. Jej poprzednie małżeństwo z Ludwikiem VII zostało anulowane z powodu zbyt bliskich więzów

krwi. Henryk przepada za nią, mimo że Alienor jest dziesięć lat od niego starsza. Dwór Henryka jest w ciągłej podróży, a on sam wydaje się w ogóle nie potrzebować snu. Chodzą słuchy, że potrafi podróżować cały dzień, a potem spędzić pół nocy na pijatyce. Jego sekretarze ciągle narzekają na nadmiar pracy. Jest niespożyty i wszystkich wokół siebie doprowadza do skrajnego wyczerpania. Henryk jest wykształcony i bystry jak jego nieżyjący dziad król Henryk I. Uwielbia polowania, biesiady i podobno nadmiernie gustuje w kobietach. Będzie bardzo młodym królem, bo ma dopiero dwadzieścia lat. Żonaty zaledwie od roku, w trzecim miesiącu małżeństwa spłodził syna. Ludzie powiadają, że to Alienor Akwitańska parła do ich związku.

Księżę Henryk jest dobrym żołnierzem. I choć naturę ma porywczą - mówi się, że jeden z jego przodków poślubił córkę diabła - jest człowiekiem prawym i rządzi sprawiedliwie. Bardzo sprawnie steruje swym rozległym księstwem. Jedyne, co mam mu do zarzucenia, to wybujały temperament, który popycha go w ramiona innych kobiet, mimo że tak bardzo kocha swą żonę. Eustace nie dorasta mu do pięt. I dlatego stanę po stronie księcia Henryka. Los Anglii nie mógłby się znaleźć w lepszych, pewniejszych rękach.

- Może król zgodzi się pójść na ugodę z duchowieństwem? - wyraziła nadzieję Elf.

Ranulf pokręcił głową.

- Wątpię. Król Stephen jest uparty, a poza tym równie ambitny jak księżniczka Matilda, gdy sprawy dotyczą ich synów. Pocięsza mnie myśl, że mój dobry pan nie będzie już żył, kiedy nadejdzie czas, abym się opowiedział przeciwko jego nieudanej latorośli.

Rankiem Ranulf de Glandeville w towarzystwie swego gościa udał się na pobliską łąkę, gdzie owce spokojnie skubały trawę. Elf odprowadziła ich wzrokiem, żałując, że nie usłyszy rozmowy, mimo że dokładnie wiedziała, co jej mąż zamierzał powiedzieć.

- Panie, możesz przekazać księciu Henrykowi - zaczął Ranulf - że poprę go jako pretendenta do tronu po śmierci króla Stephena, ale nie wcześniej. Nie mogę sobie pozwolić na zrobienie sobie wroga z księcia Eustace'a i jego zauszników.

Stać ich na to, by się zemścić, nasyłając na mnie Walińczyków. W tym roku urodziło się sporo jagniąt i cieląt. Pola się zieleńią, obiecując dobre zbiory. Nie pozwolę, by cokolwiek przeskodziło mi w zebraniu plonów czy odstawieniu runa na sierpniowy targ w Herefordzie. Jeżeli Eustace odczyta moje postępowanie jako zdradę i w odwecie zaatakuje posiadłość, nie będę w stanie wykarmić moich ludzi podczas przyszłej zimy, a książę Henryk z pewnością mi w tym nie pomoże.

- Mury wyglądają na mocne - zauważył Garrick z nieznacznym uśmiechem.

- Mury opasują wyłącznie dwór. Pastwisk i pól nie można obronić, szczególnie przed żniwami. Walińczycy zostawiają Ashlin w spokoju, sądząc, że nie jest warty zachodu. Wolę, aby nadal tak uważali. Nie chcę, żeby ktokolwiek skusił ich bręczącą monetą do splądrowania mych ziem. Twój książę ze swą ziemią i zamkami już teraz żyje jak król. Po drugiej stronie wody są wyłącznie wielkie latyfundia. Natomiast tu, w Anglii, mamy paru wielkich panów, a reszta szlachty żyje w małych dworach jak mój i podobnie jak ja pracuje na polu ramię w ramię ze swymi chłopami. Uważamy się za szczęśliwców, gdy udaje się nam wyhodować dość pszenicy, żyta i owsa, zebrać owoce z sadów oraz dochować się takiej liczby drobiu i bydła, aby przetrwać kolejną długą zimę. Twój książę chyba rozumie, jak wygląda życie w Anglii. - Ranulf zamyślił się na chwilę. - Chociaż wcale nie jestem tego taki pewien. Przecież otacza go tłum pochlebców, którzy mówią mu to, co chce usłyszeć. Wszyscy oni mają przywileje oraz bogactwa i dążą do tego, by zyskać jeszcze więcej. Ja jestem zwykłym rycerzem z niewielką posiadłością. I niczego więcej nie pragnę. Książę Henryk może w pełni liczyć na moją lojalność, kiedy dojdzie do władzy. Masz na to moje słowo, sir Garricku, a wiedz, że zawsze go dotrzymuję.

- Ranulfie de Glandeville, cieszysz się dobrą sławą. Przekażę księciu Henrykowi, co mi powiedziałaś. To pierwsza szczerą wypowiedź, jaką usłyszałem od dłuższego czasu. Tutejsi panowie lubią rzucać słowa na wiatr. Niewielu może poszczyścić się czystym sercem podobnym do twego. Ani ty, ani twa zacna małżonka, ani twoi poddani nie ucierpiecie przez to, co od ciebie usłyszałem. Bądź dalej lojalny wobec króla Stephena aż do jego śmierci. Potem stawisz się w Westminsterze i zło-

żysz przysięgę wasalską swemu nowemu władcy, Henrykowi z Anjou.

- Zgoda - powiedziała Ranulf i mężczyźni przypieczętowali umowę uściskiem ręki.

Kilka dni później sir Garrick Taliferro, zaopatrzony w prowiant, a także we wskazówki, jak dotrzeć do posiadłości barona Hugh de Warenne'a, opuścił Ashlin.

- Co się stanie z synem króla? - chciała wiedzieć Elf. - Na pewno nie odda Henrykowi korony bez walki?

- Na pewno nie - zgodził się z nią Ranulf. - Będzie stawiał opór, ale nie ma natury żołnierza jak jego ojciec. Książę Henryk go pokona. I wtedy dopiero w Anglii zapanuje król, który nie będzie miał równych sobie pretendentów do tronu, mogących siać zamęt i niezgodę. Henryk z Anjou będzie sprawował rządy silnej ręki i wreszcie na tej ziemi zapanuje pokój.

Krótko po święcie Michała Archanioła, które przypadało dwudziestego dziewiątego września, dowiedzieli się, że książę Eustace zmarł nagle i nieoczekiwanie. Wiadomość przywiózł Hugh de Warenne, który specjalnie pofatygował się do Ranulfa ze swej posiadłości. Baron Hugh, człowiek kochający plotki, usłyszał o śmierci Eustace'a od wędrownego handlarza i czym prędzej pospieszył podzielić się tą informacją z rodziną zmarłego męża swej córki. Handlarz nie znał dokładnej daty śmierci Eustace'a, wiedział jedynie, że umarł w sierpniu. Król Stephen, który szykował się w tym czasie do starcia z wojskami księcia Henryka, był załamany. Przystał na ugodę z Kościołem. Henryk z Anjou miał po nim zostać królem Anglii.

- A co słysząc u Isleen? - zapytała Elf słodziutkim głosem.

- Ta wywłoka uciekła z domu - odparł baron Hugh skwaszonym tonem. - Dużo czasu zajęło nam wyszukanie odpowiedniego klasztoru; w końcu znaleźliśmy w Yorku jeden, który zgodził się ją przyjąć za horrendalną zapłatą. A król cały czas nalegał. Tłumaczyliśmy Isleen, że nie będzie tkwić w klasztorze bez końca i opuści to miejsce, kiedy książę Henryk zostanie królem, ale wiecie, jaka nieobliczalna potrafi być Isleen. Okazało się, że zniknęła z domu tego dnia, kiedy mieliśmy się udać w podróż do Yorku.

- Biedna Isleen - skwitowała Elf, udając współczucie.

Baron Hugh pominął milczeniem jej uwagę i zwrócił się do Ranulfa:

- Sir Garrick wspomniał, że najpierw zajechał do ciebie. Naturalnie opowiedziałeś się po stronie księcia Henryka?

- Zawsze pozostaję lojalny wobec angielskiego króla - odparł wymijająco Ranulf.

- Ale którego króla? - nie ustępował Hugh.

- Tego, który z woli Boga zostaje pomazańcem - odpowiedział Ranulf.

Baron Hugh, wytracony z równowagi faktem, że nie może wyciągnąć z Ranulfa żadnych ciekawych ani wartościowych informacji, wlepił wzrok w Elf.

- Nie jesteś jeszcze przy nadziei, dziecko? - zapytał bez ogródek.

- Mam czas - odpowiedziała mu. - Dzieci przychodzą na świat, kiedy Bóg zechce, nie prędeej.

- Nadal świętoszka, co? - skrzywił się urągliwie.

- Proszę przekazać nasze pozdrowienia zacnej małżonce - zakończyła rozmowę Elf.

Ponieważ nie było powodu, aby przedłużać wizytę, Hugh de Warenne wyjechał z Ashlinu.

- Co za niegodziwiec! - prychnęła gniewnie Elf, kiedy wyjechał za bramę.

Ranulf pocieszającym gestem otoczył ją ramieniem.

- *Petite*, tak jak powiedziałaś, dzieci przyjdą na świat, kiedy taka będzie wola Boga. Nie minął nawet rok, odkąd jesteśmy małżeństwem. - Pogłodził ją po głowie. - A my przecież gorliwie spełniamy nasz obowiązek, prawda?

Roześmiała się niepewnie, podnosząc na Ranulfa oczy błyszczące od łez.

- Nigdy nie myślałam o dzieciach, kiedy byłam w klasztorze. Wtedy nie miałam powodu, żeby się nad tym zastanawiać, ale teraz jestem żoną, a obowiązkiem żony jest wydać na świat potomstwo i je wychować. Czerpiemy wielką przyjemność z naszego współżycia, ale czasami dręczy mnie poczucie winy, że nasze starania są bezowocne. A co będzie, jeśli, jak Isleen, okażę się bezpłodna?

- Pod żadnym pozorem nie przypominasz samolubnej żony swojego brata, Eleanore - usiłował ją podnieść na duchu.

- Chcesz syna, Ranulfie?

- *Petite*, każdy mężczyzna chce mieć syna... i córkę, tak samo słodką jak jej matka - wyznał szczerze. - Ale jeśli Bóg nam nie pobłogosławi, i tak będę zadowolony, mogąc przeżyć resztę życia u twego boku.

Elf wybuchnęła płaczem.

- Po stokroć wolę życie z tobą od bycia zakonnicą! - załkała i wysunawszy się z jego objęć, uciekła.

Co takiego powiedział, że doprowadził ją do łez - zastanawiał się zaskoczony. Uniósł bezradnie ramiona, nie umiejąc znaleźć wyjaśnienia owej zagadki, po czym skierował się na pole, by pomóc chłopom przy młócce.

Plony były obfite. Spichlerze zapełniły się ziarnem. Cała służba z dworu pracowała w sadzie przy zbieraniu jabłek i gruszek na zimowe zapasy. Chaty chłopskie zostały ogacone, a ich dachy pokryte świeżą słomą. Od kilku tygodni Artur i młynarz, jego chlebobawca, mielili ziarno na mąkę. Dokonano uboju i zasolono mięso. Sagi porąbanego drewna piętrzyły się wysoko. Ranulf zdecydował, że dwa razy w miesiącu, w dniu przez niego wyznaczonym, poddani mogą polować na króliki i łowić ryby w jego strumieniach. Zaplanowano polowanie na sarny i wszyscy w majątku w podnieceniu liczyli dni do obchodów Bożego Narodzenia.

Sąd dworski, któremu przewodniczył pan wraz z panią, rozstrzygał spory, nakładał grzywny i ferował sprawiedliwe wyroki. Ashlin kwitł jak nigdy przedtem. W skrytce w ścianie alkowy spoczął miśzek wypełniony monetami, bo zyski z sierpniowego targu w Herefordzie okazały się wysokie. Runo było bardzo dobrej jakości.

Elf spędzała sporo czasu w małym herbarium, sporządzając balsamy, tynktury i maści dla swej infirmerii. Suszyła kwiaty, korę, liście oraz korzenie, z których potem będzie przyrządzać herbatki, napary i eliksiry niezbędne do leczenia kaszlu i wszelkich innych przypadłości. Pozbierała i wysuszyła mech służący do okładania ran. Ostatnio ona sama czuła się nie najlepiej. Nie służyły jej potrawy przygotowywane przez kucharza. Ulgę podrażnionemu żołądkowi przynosiło picie miętowej herbaty, którą czasami słodziła miodem. Elf kazała ustawić w pobliżu herbarium sześć uli, jako że miód był cudownym składnikiem niektórych medykamentów.

- Pani, kiedy wreszcie zamierzasz powiedzieć o tym panu? - zapytała ostrym tonem Ida pewnego październikowego, deszczowego popołudnia, kiedy Elf siedziała w izbie przy warsztacie tkackim.

Elf podniosła na nią wzrok, a ręka z czółtenkiem zawisła jej w pół drogi.

- O czym mam panu powiedzieć, Ido?

- Pani! - Ida była wyraźnie zniecierpliwiona. - Jesteś przy nadziei!

- Ja... przy nadziei... ? Ido, dlaczego tak sądzisz? - Dłoń z czółtenkiem opadła na gobelin.

- Pani, od dwóch miesięcy nie krwawisz. Nie zastanowiło cię to? Na pewno spodziewasz się dziecka. Poczęłaś je w czerwcu, jeśli się nie mylę. - Rozradowana Ida zaśmiała się skrzekliwie.

- Jesteś pewna? Nigdy o czymś takim nie wspomiano w St. Friedeswide. Dziewczęta, których przeznaczeniem było małżeństwo, instruowały ich matki. Auu! - Elf uniosła palec do ust i ssała go chwilę. Niewinność niewątpliwie była cnotą, lecz ignorancja w tym wypadku okazała się wielce niekorzystna. Ciekawe, ile by czasu potrzebowała, żeby samej domyślić się swego stanu - myślała poirytowana.

- Czy nie ma jakiegoś innego powodu, który mógłby zaburzyć mój miesięczny związek z fazami księżyca? - upewniła się.

- Nie - padła zdecydowana odpowiedź. - Nie, dopóki nie będziesz taka stara jak ja. Wtedy stracisz okres, ponieważ nie będziesz już płodna. Ale takie rzeczy nie przytrafiają się kobietom w twoim wieku, pani. A więc kiedy planujesz powiedzieć panu o tym szczęśliwym wydarzeniu?

- Poczekajmy, aż minie trzeci cykl - odparła zadumana Elf. - A ty, Ido, nie piśniesz panu ani słowem. I pamiętaj, żadnych aluzji ani znaczących spojrzeń. Muszę się więcej na ten temat dowiedzieć.

- W takim razie porozmawiaj z Orwą, żoną Johna. Jest matką kilkorga dzieci i dochowała się gromadki wnucząt. To ona odbiera wszystkie porody w majątku. Będzie również przy tobie, gdy będziesz rodziła.

Już następnego dnia Elf wybrała się z koszem jabłek i gru-

szek do chatki rządcy, solidniej zbudowanej i większej od domostw zwykłych pańszczyźnianych chłopów.

- Dzień dobry, Orvo! - pozdrowiła Elf żonę rządcy. - Przyniosłam ci koszyk owoców. I chciałabym zamienić z tobą parę słów.

- Bardzo proszę. - Orva zaprosiła ją do środka. Kiedy Elf przestąpiła próg chaty, wskazała jej stołek w pobliżu kominika. - W czym mogę ci pomóc, pani?

- Ponieważ spędziłam większość życia w St. Friedeswide, bardzo mało wiem o sprawach, które wydają się oczywiste normalnym kobietom - zaczęła Elf.

- Sądzisz, że jesteś przy nadziei - odpowiedziała cicho Orva.

- Ja sama nic nie podejrzewałam - wyznała Elf. - To stara Ida podsunęła mi taką myśl. Muszę ci się przyznać, że czuję się jak ostatnia naiwna.

- Nie, pani, nie trzeba tak mówić. Sposób, w jaki cię wychowano, i twoje powołanie wykluczały taką wiedzę. Poza tym młode niewiasty nigdy nie mają pewności co do swego stanu za pierwszym razem - pocieszała ją Orva matczynym tonem. - A teraz powiedz mi, pani, kiedy ostatnio krwawiłaś.

- Dwa tygodnie po święcie plonów. Od sierpnia więcej mi się to nie przydarzyło.

- Czy od czasu, kiedy zaczął się twój miesięczny związek z fazami księżyca, kiedykolwiek miałaś przerwy w krwawieniu?

Elf pokręciła głową.

- Zauważyłaś może, że twoje piersi stały się większe? Miewałaś ostatnio mdłości? Czy niektóre pokarmy budzą twoją niechęć?

- Tak! Zwróciłam uwagę na piersi, bo kiedy w święto Michała Archanioła założyłam gorset, cisnął mnie w biuście! Ostatnio prawie nic nie przechodzi mi przez gardło. Jedyne napar z mięty przynosi mi ulgę. A moje sutki... - Elf się zarumieniła - stały się bardzo... wrażliwe.

Orva uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- Spodziewasz się dziecka, pani. Z daty, jaką mi podałaś, wynika, że powinno przyjść na świat pod koniec maja albo w pierwszym tygodniu czerwca. Twoje problemy żołądkowe

wkrótce ustaną, ale piersi będą się dalej powiększać, byś była gotowa do karmienia niemowlęcia. No i urośnie ci brzuch.

- Co mam robić?

- Jedz proste jedzenie - poradziła Orva. - Unikaj sosów i zbyt dużej ilości soli. No i, pani, zrezygnuj z wina. Możesz pić piwo, pod warunkiem, że ci smakuje, bo ono wzbogaca pokarm. Będę zaglądać do dworu każdego ranka, żeby sprawdzić, co słychać. Proszę, pytaj mnie, pani, o wszystko, co chcesz, bez obawy, że pytania mogą się wydać niemądre. Dopiero gdy doczekasz się, pani, piątki potomstwa i siedmiorga wnucząt, możesz uznać, że już wszystko wiesz. - Chociaż - zaśmiała się - i tak każdego dnia będziesz, pani, odkrywać, że wiele się jeszcze można nauczyć.

- Pomożesz mi, kiedy nadejdzie mój czas? - zapytała zdenerwowana Elf.

- Pani, odbieram wszystkie porody w Ashlinie, ale pewnie o tym nie wiesz, bo długo przebywałaś poza domem. Byłam przy narodzinach każdego dziecka, które przyszło na świat w ciągu ostatnich dwudziestu lat, a przede mną zajmowała się tym moja matka. Ciebie, pani, też odebrałam.

- Naprawdę? - Szare oczy Elf zrobiły się okrągłe ze zdumienia. Bardzo ją podniosła na duchu ta wiadomość. Orva asystowała przy jej porodzie, a teraz odbierze jej dziecko.

- Tak. Wiesz, pani, że jesteś bardzo podobna do swojej matki, tyle że znacznie od niej ładniejsza? Ona bardzo dobrze znosiła ciążę i miała lekkie porody. Wydawała się taka krucha, a w gruncie rzeczy była silna.

- Ale miała tylko dwoje dzieci, a między mną i Dickonem była różnica dziesięciu lat - zauważyła Elf.

- Nie, pani. Twoja matka urodziła sześcioro dzieci, ty byłaś ostatnia - poprawiła ją Orva. - Pierworodnym był Robert, który dostał imię po waszym ojcu. Zmarł na skutek przeziębienia, zanim ukończył rok. Potem przyszedł na świat nasz pan, Richard. Następnie urodziło się dwóch maleńkich chłopaczków, obaj martwi. To miało miejsce wtedy, kiedy pan walczył na wojnie. Jak bardzo twoja matka przeżywała, kiedy na nią szedł! Nie należała do kobiet, które z odwagą wysyłają mężów na bój. Twoja siostra Adela urodziła się dwa lata przed tobą. Zaczynała chodzić, gdy zaraziła się wietrzną ospą podczas wiosennej epidemii. Twoja matka była załamana, ale je-

sienią tego samego roku poczęła znowu, no i wtedy, pani, urodziłaś się ty!

- Nie przypuszczałam, że mama miała tyle dzieci - powiedziała Elf, zatapiając się w rozmyślaniach. Ciekawe, czego jeszcze nie wie. - Jakie to smutne, że tyle z nich straciła! - westchnęła.

- Tak już jest ten świat zbudowany - zauważyła filozoficznie Orva. - Twoja matka płakała, jak my wszystkie płacemy, kiedy tracimy dziecko. To się zdarza.

- Myśl, że mogłabym utracić moje dziecko, napawa mnie przerażeniem.

- Nie myśl o tym, pani - poradziła Orva. - Twoja matka miała pecha, ot i wszystko. Popatrz na mnie. Urodziłam piątkę dzieci i dzięki Bogu wszystkie wychowały się zdrowo! Postępuj tak, jak ci powiedziałam, a latem urodzisz zdrowe maleństwo.

- Czy mam podzielić się tą wiadomością z mężem, czy poczekać, aż minie jeszcze jeden księżyc?

- To już od ciebie zależy, pani. Zdarza się, że w przypadku pierwszej ciąży kobieta jak najdłużej chce zachować tajemnicę i nie dzielić się nią - powiedziała Orva.

- Jeszcze jedna sprawa - zebrała się na odwagę Elf, czerwieniąc się nieco. - Czy powinniśmy przestać się kochać do narodzin dziecka?

- Pan to potężnie zbudowany mężczyzna, a ty, pani, jesteś filigranowa, ale jeżeli zachowa ostrożność, a ty nie będziesz odczuwać przykrości, możecie dalej obcować ze sobą. Proszę powiedzieć panu, żeby do mnie zajrzał, na wszelki wypadek udzielę mu paru rad na czas, kiedy twój brzuch urośnie i znacznie przeszkadzać.

Elf podniosła się ze stołka.

- Dziękuję, Orvo. Byłam przerażona, ale teraz już się nie boję - powiedziała, uśmiechając się do starszej kobiety.

- Nie ma się czego obawiać, pani. Narodziny dziecka są dla kobiety wspaniałą, a przy tym zupełnie naturalną sprawą. Jesteś zdrową dziewczyną. Nic złego się nie stanie. I proszę nie słuchać matki mego męża. Nie mówię tego przez brak szacunku. Choć stara Ida chce dobrze, czasami po prostu nie starcza jej wiedzy.

- Ida jest zawsze pełna złych przeczuć i wierzy w najdziw-

niejsze znaki, nawet jeśli się głośno do tego nie przyznaje - zaśmiała się Elf.

- A jak się sprawuje Willa? - zapytała Orva. - Pani, wiesz oczywiście, że to moja córka. Jest zaledwie rok młodsza od Artura.

- Nie, tego nie wiedziałam. Willa jest miłą dziewczyną i dobrze sobie radzi.

- Bardzo się cieszę. - Orva odprowadziła swą panią do wyjścia. - O rety! - krzyknęła na widok gromadki kobiet przed chatą. Wszystkie z napięciem wpatrywały się w drzwi. - Nie powinnam była zapraszać cię, pani, do środka! - Obejrzała się na Elf. - Należało pójść na spacer w jakieś ustronne miejsce. Te plotkary domyśliły się powodu twojej wizyty, pani. Wieczorem cały majątek będzie się trząsł od plotek i nie ma jak temu zaradzić. Sądzę, że lepiej, abyś jeszcze dziś, pani, podzieliła się dobrą nowiną z mężem. Proszę się nie gniewać na te kobiety, one chcą dobrze. Będą się cieszyć razem z wami, że urodzisz Ashlinowi dziedzica i że zostanie podtrzymany ród Harolda Strongbowa, Roweny Strongbowsdatter oraz jej męża lorda de Montforta.

Elf powiodła wzrokiem po twarzach kobiet, patrzących na nią z przejęciem; po ich dobrodusznym twarzach, które tak dobrze znała.

- W czerwcu - oznajmiła ze śmiechem. - Tylko, na miłość boską, zachowajcie to dla siebie, dopóki najpierw nie powiem mężowi.

- Kiedy mu, pani, o tym powiesz? - zapytała odważnie żona młynarza.

- Myślę, że niedługo - uprzedziła Orva odpowiedź Elf - bo oto i pan. Biegnie do nas, ile sił w nogach. Ktoś musiał mu donieść, że jesteś, pani, u mnie.

- *Petite*, co się stało? - Zadyszany Ranulf zbliżył się do żony.

- Nic się nie stało, mój panie - odparła spokojnie Elf.

- Powiedzieli mi, że poszłaś się zobaczyć z żoną Johna - tłumaczył się zdenerwowany.

- A do kogo miałam pójść, jak nie do akuszerki, skoro spodziewam się dziecka? - zapytała przymilnie. - Kto ci powiedział, gdzie jestem? Hmm, jakbym nie wiedziała! - prychnęła, udając zagniewaną.

- Spodziewasz się dziecka?! Spodziewasz się dziecka! - powtórzył głośniej, a twarz rozpromienił mu szeroki uśmiech. Czym prędzej pochwyć ją na ręce. - Nie wolno ci się nadwężać, *petite!*

Kobiety stojące dokoła zareagowały gromkim śmiechem.

- Ranulfie, postaw mnie na ziemię - zażądała Elf, również nie mogąc się powstrzymać od śmiechu. - Cięża nie jest niczym nadzwyczajnym. Nie jestem chora ani ranna. Puść mnie w tej chwili!

Niechętnie spełnił polecenie.

- Eleanore, czy nie powinnaś odpoczywać?

- Jak najbardziej, kiedy się zmęczy - wtrąciła się Orva, dodając Ranulfowi odwagi uśmiechem. - Pani może prowadzić normalne życie, tak jakby nie była brzemienna. Przynajmniej na razie. A skoro tu jesteś, panie, czy zajdziesz do chaty, żeby porozmawiać chwilę na osobności?

Elf posłała Ranulfowi promienny uśmiech, a kobiety aż popiskiwały z radości, ponieważ ich mężom Orva również udzielała rad, kiedy po raz pierwszy miały zostać matkami.

W świetnym humorze i znacznie lepszej kondycji Elf wracała do dworu, pogwizdując wesoło. Nie była bezpłodna jak żona jej brata! Na myśl o Isleen de Warenne zimny dreszcz przebiegł jej po krzyżu. Czym prędzej odsunęła od siebie wspomnienie o niej. Nic nie jest w stanie zakłócić jej szczęścia. Będzie miała dziecko!

10

Clud, stręczyciel, uniósł ramię i wymierzył kobiecie trzeci cios.

- Zrobisz, jak każę, ty angielska dziwko! - warknął.

Isleen de Warenne zebrała się z podłogi i doskoczyła z pięściami do napastnika z taką furią, że kulawy mężczyzna zachwiał się pod jej razami.

- Nie jestem zwykłą dziwką! - wrzasnęła.

- Może nie zwykłą, ale tak czy owak dziwką - stwierdził Clud, chwytając kobietę za gruby, jasny warkocz. - Słono za ciebie zapłaciłem, a teraz życzę sobie zysków z tej inwestycji.

- Jestem córką barona Hugh de Warenne'a! Wdową po panu na Ashlinie! - wyskrzeczwała rozwścieczona Isleen. - Podróżowałam w towarzystwie tego handlarza dla bezpieczeństwa! Nie miał prawa mnie tobie sprzedać!

- Ale sprzedał. I teraz zamierzam odzyskać, co moje, z namiątką. Będę miał z ciebie niezły dochód, dopóki się nie zedrzesz, ty wścieklico! A teraz zrobisz to, czego od ciebie żądam, albo cię zwiążę, żeby cię brał, kto tylko zechce. Czy ty wiesz, co to oznacza, suko?! Parobcy i i przejezdni będą się z tobą tak długo zabawiać, aż z twego pięknego białego ciała zostaną nędzne strzępy. A więc połóż się, suko. Pan Merin ap Owen i jego kompani przybyli się trochę rozerwać wieczorem.

- Nie ma mowy! - wykrzyzczała mu w twarz.

Znowu się na nią zamierzył, ale powstrzymał go męski głos:

- Nie, Clud, nie bij jej do utraty przytomności. Zepsujesz nam zabawę. Lubimy ogniste kobiety. Zostaw nas teraz, już my sobie z nią poradzimy.

Te słowa wypowiedział wysoki mężczyzna o ciemnych włosach i z blizną na twarzy, która biegła od kącika lewego oka aż do podbródka, szpecąc jego idealne rysy.

Mężczyzna uśmiechnął się, a wtedy Isleen przeszedł dreszcz. Ten człowiek musi być okrutny - pomyślała.

- Jestem córką szlachcica - oznajmiła dumnie.

- Na jak długo ją chcesz, panie? - zapytał rajfur.

Merin ap Owen wręczył mu ciężką, srebrną monetę.

- Zatrzymamy ją na całą noc - zdecydował. - I nie targuj się ze mną, bo jestem pewien, że zapłaciłem ci dwa razy więcej, niż za nią dałeś. A więc już zrobiłeś interes.

- Macie zamiar ją potem zabić? - zastanawiał się na głos Clud.

Merin ap Owen roześmiał się rozbawiony.

- Co najwyżej zakochamy ją na śmierć. A teraz idź już sobie i przyślij nam tu bukłak wina.

- Tak jest, panie. Już biegnę! - powiedział Clud i wykuśtykał z izby.

Merin ap Owen mierzył Isleen leniwym spojrzeniem.

- Więc powiadasz, że jesteś córką szlachcica, dziewczko? Oczywiście z nieprawego łoża. Ze służącą, he?

- Jestem pełnej krwi szlachcianką. Jakież bękart miałby takie rysy jak moje albo równie piękne włosy?

- Zdejmij koszulę - polecił.

- Nie!

Błyskawicznym ruchem sięgnął do dekoltu i rozdarł materiał aż po rąbek.

- To moja jedyna koszula! - krzyknęła.

- Jeżeli nie chciałaś, bym ją zniszczył, trzeba było posłuchać - wycedził półgłosem. - Jeszcze da się zeszyć pod warunkiem, że ja i moi kompani wcześniej nie podrzemy jej na tobie w strzępy.

Niebieskie oczy Isleen zrobiły się okrągłe z przerażenia. Wyczytała z jego twarzy, że nie żartuje, więc bez dalszych dyskusji zsunęła koszulę i położyła ją w kącie izby. Teraz była zupełnie naga, bo wcześniej pozbawiono ją ubrania, zostawiając jedynie koszulę.

- Ma ładne, duże cycki, panie - stwierdził z uznaniem jeden z towarzyszy Merina.

- To prawda - zgodził się z nim Merin ap Owen, zaciskając dłoń na prawej piersi Isleen. I spoglądając jej prosto w twarz, powiedział: - Pani, zapomniałem o dobrych manierach! Nie przedstawiłem się jeszcze. Jestem Merin ap Owen, pan tego niewielkiego kawałka ziemi. A oto trzech moich najlepszych kompanów: Badan, którego imię znaczy tyle co knur, Gwyr, czyli czysty, bo kipi w nim czysta złość, nieprawdaż, Gwyrze? - zwrócił się do druha. - A na ostatniego, lecz wcale nie pośledniego, jak się wkrótce przekonasz, wołają Siarl, czyli jurny. Ci trzech kompani dobrze się dziś mi zasłużyli, a teraz pragniemy rozrywki, której ty nam dostarczysz, moja piękna ładaczniczo.

- Nazywam się Isleen de Warenne - odezwała się, panując nad głosem. Ani na chwilę nie oderwała swych jasnoniebieskich oczu od ciemniejszych o parę tonów oczu Merina ap Owena. W pierwszej chwili ogarnęło ją przerażenie, ale wiedziała, że okazując je, sprawi tym mężczyznom przyjemność. Nie da po sobie poznać, jak bardzo się boi. W końcu nie chcieli od niej niczego nadzwyczajnego, a ona nie była dziewicą. Czterech mężczyzn w jeden wieczór. Nigdy nie sądziła, że coś takiego ją spotka, ale właściwie... dlaczego by nie? - Merinie

ap Owen, jeżeli dalej będziesz tak ścisnąć moją pierś, to za chwilę ją zmiażdżysz - zwróciła mu uwagę chłodnym tonem.

- Ach, więc się nie boisz, piękna ladacznico. - Ta kobieta zaczynała go intrygować. - To dobrze. Lepiej się zabawimy, jeżeli będziesz chętna, niż gdybyś się wzbraniała. Przełamywanie oporu kobiety pochłania dużo energii.

W tej chwili dziewczyna o przerażonym wyrazie twarzy uniosła kotarę, wśliznęła się do alkowy i powiesiwszy bukłak z winem na gwoździu wbitym w ścianę, czym prędzej zniknęła.

- Dotąd kochałam się z jednym mężczyzną - oznajmiła buńczucznie Isleen.

- Chciałaś powiedzieć: z jednym naraz - poprawił ją Merin ap Owen. Podejrzewał, że rzeczywiście mogła być córka szlachcica, ale naturę miała dziwki. Tego był pewien. Już sam jej wygląd na to wskazywał. Bujne, lubieżne ciało. Puścił jej pierś, sięgnął po bukłak i przepłukał suche gardło kwaśnym winem. - Kto pierwszy? - zwrócił się do kompanów, podając dalej bukłak. - Pogodzicie się czy trzeba będzie rzucić kości? Ja wezmę ją ostatni. - Wyciągnął Isleen na środek koła utworzonego przez mężczyzn. - No dalej, piękna ladacznico, pokaż, co potrafisz. Chodźcie, druhowie, jest wasza!

Isleen, osaczoną przez trzech mężczyzn, ogarnęło przerażenie, ale czym prędzej je w sobie zdusiła. Czyjeś ręce błędziły po jej ciele, ktoś pociągnął ją za włosy i miażdżył usta pocałunkiem, wpychając w nie język. Czuła, jak palce któregoś z nich wślizgują się w nią i posuwają coraz głębiej. Westchnęła z nieukrywanym zadowoleniem, napierając na tamtą dłoń. Gdyby tak udało jej się zapanować nad nimi i powstrzymać ich przed zbyt brutalnymi wybrykami, mogłaby mieć z tego tyle samo przyjemności, co oni. Czyjeś dłonie obmacywały jej piersi. Isleen otarła się krągłymi pośladkami o krocze ich właściciela.

- Ummm - wymruczała, odrywając usta od całującego ją mężczyzny. - Jaki jesteś duży. Chcesz mnie?

- Tak - wycharczał głos prosto w jej ucho. - Kamraci, zagrajmy w kości, zanim eksplodują. Ta dziewczka jest nagrzana i ja też!

Dwie kości i kubek poleciały na brudną podłogę. Mężczyźni padli na kolana i rzucili się do gry. Isleen uśmiechnęła się

i spozrzała prosto w oczy Merina ap Owena. Wygiął nieznacznie usta i lekko skinął głową. Odpowiedziała mu uśmiechem i prowokacyjnie, powoli oblizała wargi. Merin parsknął śmiechem.

- Wygrałem! - padł triumfalny okrzyk. Siarl już zbierał się z podłogi, ale ściągnięto go na nią z powrotem.

- Poczekaj, aż zobaczymy, kto będzie drugi i trzeci - zażądał Badan. - Ta dziewczka tak mnie podnieciła, że aż mnie rozpiera.

Kości ponownie zagrzechotały w kubku. W końcu decyzja zapadła. Siarl miał być pierwszy, Badan drugi, a Gwyr trzeci. Mężczyźni wstali z podłogi, poluzowując ubrania. Isleen wyciągnęła się na sienniku.

- No dobrze - rzuciła obojętnie. - Ty, Jurny, zabieraj się do roboty, chociaż i tak do mnie należy ocena, który z was jest najlepszy.

- Nie będziesz miała powodu do narzekań - odpowiedział Siarl i osunął się na kolana pomiędzy jej rozsuniętymi nogami, demonstrując wzwidziony członek.

- Nie najgorszy - skomentowała Isleen nieco znudzonym tonem - ale liczy się to, jak go użyjesz, Siarl. No to wypełnij mnie i spraw, żebym śpiewała! - zachęciła go wulgarnie.

Siarl runął na Isleen i wbił się w nią ze zwierzęcym pomrukiem.

Pozostali mężczyźni obserwowali jego poczynania - Merin ap Owen obojętnie, a Gwyr i Badan z rosnącym podnieceniem. Merin ściągnął wzrokiem swych kompanów.

- Ona może z dwoma naraz - powiedział półgłosem. - Ty, Badan, jesteś drugi, prawda? No to ruszaj!

Badanowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Przyklęknął za głową Isleen i ocierał się o jej wargi. Isleen spozrzała na niego spod przymrużonych powiek i otworzyła usta. Obaj mężczyźni, pocąc się i sapiąc, niemal jednocześnie osiągnęli spełnienie. Kiedy osunęli się na bok, dysząc z wyczerpania, Gwyr dopadł do ciągle chętnej Isleen. I chociaż był drobnej budowy, nie brakowało mu energii. Już wkrótce oboje jęczeli z rozkoszy. A kiedy skończył, szczerząc zęby w uśmiechu, zwrócił się do Merina:

- Nigdy nie galopowałem na lepszej klaczce, panie. Życzę ci, żebyś zaznał z nią jeszcze większej rozkoszy.

- Dajcie mi wina, świnie! - wyrzęziła Isleen, a oni skwapliwie spełnili jej żądanie. Cała noc przed nimi - Isleen kalkułowala w myślach - jeszcze wiele godzin do świtu.

Łapczywie łykała cierpkawy płyn. Potem ku zdumieniu mężczyzn wsunęła bukłak między uda i podmyła się winem. Wszyscy trzej przyglądali się jej szeroko otwartymi oczyma.

- No, co? - warknęła. - Nie zamierzam nabawić się choroby ani począc z którymś z was bękarta. - Jej wzrok powędrował ku Merinowi ap Owenowi. - Jesteś gotowy? - zapytała zaczepnie.

Kiwnął głową z kamienną twarzą.

- Nachyl się - rozkazał. - A wy ją przytrzymajcie - rzucił swym poddanym.

- Co zamierzasz? - zaskrzeczała, z całej siły starając się zapanować nad strachem, który ścisnął jej serce. Z trudnością odwróciła głowę, żeby spojrzeć na niego. Merin dzierżył w ręce skórzany pas.

- Nogi szeroko, Isleen! - polecił.

Z miejsca go usłuchała, zdając sobie sprawę, że w jej sytuacji opór na nic się nie zda i że może co najwyżej wzbudzić w nim jeszcze większy cynizm. Oto prawdziwy mężczyzna - pomyślała tęsknie, czując, że prawie go kocha. Skórzany pas ze świstem przeciął powietrze i smagnął ją po pośladkach. Isleen pisnęła przeraźliwie.

Merin ap Owen prychnął pogardliwie.

- No, no, moja piękna ladacznico. Jesteś w stanie znieść o wiele więcej. To był zaledwie miłosny klaps w twój śliczny, krągły tyłeczek. Zapewne nieraz dostałaś baty.

- Nigdy! - krzyknęła. - Nigdy!!!

- Nie bił cię ani ojciec, ani mąż, ani kochankowie? - zapytał z niedowierzaniem. - Cóż, moja piękna ladacznico, mam zamiar cię oćwiczyć. Nie dlatego, żeby cię ukarać czy złamać, ale żebyś nauczyła się czerpać rozkosz z bólu. - Uniósł ramię i smagnął ją pasem jeszcze raz.

Isleen zacisnęła zęby, żeby nie krzyżeć. Uderzenia bardziej piekły ją, niż bolały. Razy spadały jeden za drugim, pośladki zdawały się płonąć żywym ogniem. Uczucie gorąca ustąpiło, a błogie ciepło rozchodzące się po ciele budziło w niej dziką żądzę. Isleen jęknęła, lecz w jej głosie nie było bólu, tylko pragnienie zaspokojenia.

Merin ap Owen uśmiechnął się z satysfakcją.

- Puśćcie ją - polecił. - Na kolana, Isleen! - rozkazał, a kiedy go posłuchała, uklęknął za nią i wsunął członek w zaogniony rowek między jej pośladkami.

- Co... co robisz? - pisnęła, gdy poderwał ją za biodra.

- Czy ktokolwiek wziął cię kiedyś w ten sposób? - zapytał. - Czy nikt cię tak nie chędożył?

- Nie! - wysapała, czując, jak wdziera się w jej ciało. - Nie, ty zbrojeńcu!

- To doskonale. - Merin ap Owen pchnął mocniej, zbywając uśmiechem jej piskliwe protesty. - Ummm, jesteś cudowna! - Wycofał się i wszedł w nią ponownie, balansując rytmicznie biodrami. - Moja piękna ładacznico, przestań pomstować i wsłuchaj się w swoje ciało. O, właśnie tak - pochwalił ją, kiedy zaprzestała walki. - Dobrze! O, jak dobrze, moja piękna! Podoba ci się to, co, Isleen? To jest występne i zakazane, i bardzo ci się podoba!

- Tak! - przyznała niemal ze szlochem.

Zaśmiał się na całe gardło, coraz szybciej zmierzając ku spełnieniu.

- Nie będziesz mieć ze mną bękarta! - wyszeptał, odrywając się od niej.

- Ty łajdaku! - warknęła i opadła twarzą na słomiany barłóg. Czuła się obolała, ale... niech diabli porwą Merina, to było podniecające! Nadal trawiła ją żądza. Przewróciła się na plecy i posłała Merinowi wściekłe spojrzenie. W tej samej chwili doskoczył do niej Badan. Oplotła go nogami, zachęcając do wzmożenia wysiłków. Nie zawiódł jej.

- Co za traf, przyjaciele! - mruknął Merin, obserwując parę. - Dziwka, która nie ma dość, i cała noc przed nami!

Kiedy długa noc dobiegła końca, Merin ap Owen, pan tych ziem, przekonał się, że Isleen pozostała niepokonana i nic nie wskazywało na to, by cokolwiek było w stanie ją złamać. Kiedy spała pośród trzech mężczyzn, przygładził ubranie, by wyglądać w miarę porządnie, i udał się na poszukiwanie Cluda. Znalazł go na ławce przed domem. Popijał wino, zabawiając się z młodą dziewczką, która siedziała mu na kolanach. Merin ap Owen wysupłał dwie srebrne monety z sakiewki u pasa. Nie zamierzał się wdawać w spory ani targi z Cludem. Przytrzymał monety nad wyciągniętą chciwie ręką rajfura.

- Zabiorę Isleen ze sobą, kiedy rano zbierzemy się do drogi - oznajmił tonem nieznoszącym sprzeciwu, po czym upuścił monety na otwartą dłoń Cluda.

Palce stręczyciela błyskawicznie zacisnęły się na srebrnych krążkach.

- Jest twoja, panie. Miałbym z nią same kłopoty. Za to ty, panie, wiesz, jak poskromić dziwkę.

- Ona jest nieposkromiona i nigdy się nie da ujarzmić - oświadczył Merin ap Owen. - Dlatego właśnie ją chcę. Jest zachłanna, pozbawiona skrupułów i jak mniemam, niebezpieczna niczym wściekły pies. Ale odpowiada mi, na razie. Każ zanieść cebrzyk gorącej wody do alkowy, oddaj jej rzeczy i znajdź nową koszulę. Ale najpierw powiedz moim ludziom, żeby wracali do zamku, a potem zadbaj, żeby się ogarnęła.

Clud zepchnął dziewczynę z kolan na ziemię i zerwał się z ławy.

- Tak jest, panie. Już biegnę!

- Będę z powrotem w południe - oznajmił Merin ap Owen. - Daj jej jeszcze trochę pospać, ale kiedy przyjadę, ma czekać gotowa. Będę w południe - powtórzył z naciskiem.

- Tak, panie! - Clud kiwał się, zgięty wpół w słuźalczym ukłonie.

Merin ap Owen z sardonicznym uśmiechem odwrócił się i odszedł.

- W południe! - rzucił przez ramię.

- W południe, panie! - powtórzył za nim Clud.

Isleen ocknęła się, kiedy wciągnano cebrzyk do alkowy. Jęknęła, czując znużenie i ból w całym ciele. Uniosła głowę i przewróciła się na bok. Mężczyźni zniknęli, w komnacie była jedynie drobna dziewczyna o rozbieganych oczach, która pracowała w zamtuzie jako posługaczka.

- Która godzina? - zwróciła się do niej Isleen.

- Będzie prawie jedenasta. Pan mówi, że masz się wykąpać. Lord Merin przyjedzie po ciebie w południe. Odkupił cię od Cluda. Tu są twoje rzeczy. Koszulę zeszyłam. Pośpiesz się, pani! Lepiej, żebyś była gotowa.

Na twarzy Isleen pojawił się drapieżny uśmiech. A więc ten drań odkupił ją od rajfura. Po co? Czy zrobi z niej zamkową dziwkę dla swoich ludzi? To do niego podobne - Isleen szybko się zorientowała, że Merin ap Owen jest bezwzględny.

A może zamierza zatrzymać ją dla siebie? Daj Boże, aby tak się stało! Wczoraj nie dała się zastraszyć. Teraz też się nie ulęknie. Być może przy pomocy tego walijskiego szlachcica zemści się na swej potulnej szwagierce, tej świętoszce Eleanore. To przez tę małą zakonnice Saer de Bude nie został dziedzicem Ashlinu. A ona, Isleen, odczekałaby jeszcze trochę i znowu byłaby panią w Ashlinie. Od dziecka pragnęła zostać żoną swego kuzyna. Eleanore de Montfort pokrzyżowała jej szyki i sprawiła, że Isleen nigdy nie zejdzie się z Saerem. Więc teraz weźmie na niej odwet, a dokona tego przy pomocy Merina ap Owena.

Isleen wykapała się dokładnie w prymitywnym szafliku, który znalazł dla niej Clud. Umyła swe długie, jasne włosy i wysuszyła je nad żelaznym pojemnikiem z rozżarzonego węgla drzewnym, który przyniesiono do ogrzania alkowy. Powoli rozczesywała splecione pasma, aż stały się niemal suche. Na koniec zaplotła włosy w warkocz i zwinięty upięła u nasady szyi.

- Przynies mi pachnący olejek - rozkazała posługaczce.

- Tutaj nie ma takich rzeczy - odpowiedziała dziewczyna.

- Twój pan nie ma pojęcia o prowadzeniu porządnego lupanaru - zirytowała się Isleen.

- Ten jest najlepszy w całym Gwynfr - zauważyła posługaczka.

- Najlepszy, bo jedyny - ucięła ironicznie Isleen, po czym ubrała się w swą niebieską spódnicę i złotą-niebieską tunikę.

- Oooch! - westchnęła z zachwytem posługaczka. - Nigdy nie widziałam czegoś tak pięknego! Czy mogę tego dotknąć?

Isleen kiwnęła głową, rozbawiona jej naiwną reakcją.

Dziewczyna pomacała materiał.

- Jesteś najpiękniejszą damą, jaką w życiu widziałam - wyznała. - Z pewnością przyda ci się służąca, kiedy wyjedziesz z panem Merinem. Wiem na pewno, że w zamku Gwynfr żadnej nie znajdziesz. Potrafię szyć i mogę cię czesać. - Na jej prostodusznej twarzy malowała się nadzieja.

- Jesteś dziwką?

- Nie! - zaprzeczyła z całą mocą. - Clud jest moim wujem. Kiedy odumarała mnie matka, zabrał mnie do siebie, żebym mu usługiwała. Ale dziwką nie jestem. Przysięgam na Najświętszą Panią!

Isleen rozważała w myślach jej prośbę. Dziewczyna jest na tyle mało atrakcyjna, że nie będzie przyciągać uwagi. Ma dość sprytu, żeby starać się wyrwać z tego miejsca, ale przy jej potulności łatwo ją będzie kontrolować. Zna okolicę i jej mieszkańców. Może się przydać.

- Urodziłaś się wolna czy jako pańszczyźniana chłopka? - zapytała ją. Jeżeli dziewczyna jest przypisana do majątku, Isleen będzie musiała namówić Merina, żeby ją kupił.

- Urodziłam się wolna - odparła dziewczyna. - To jedyna dobra rzecz, jaka mi się w życiu przytrafiła. Będę ci wiernie służyć, pani.

- Jak ciebie wołają?

- Arwydd.

Isleen roześmiała się. Tak, mała potrafiła ją podejść.

- Zbierz swoje rzeczy, Arwydd - poleciła dziewczynie.

- Mam je na grzbiecie - odpowiedziała Arwydd z nutką ironii w głosie.

Isleen z dezaprobatą spojrzała na brudną i przepoconą suknię dziewczyny.

- Nie, to się nie nadaje. Sprowadź tu wuja.

Arwydd wybiegła i parę minut później wróciła z Cludem.

Stręzcyciel zmierzył Isleen taksującym wzrokiem.

- Chyba za tanio cię sprzedałem - stwierdził.

- Cokolwiek ci Merin dał, i tak było to za dużo - zareplikowała pogardliwie. - A teraz posłuchaj. Zabieram Arwydd ze sobą, bo potrzebuję służącej. Znajdź dla niej jakieś czyste ubranie, ty skąpy draniu. Ona cuchnie, jakby cały rok harowała w tych samych rzeczach. Na pewno w dzień Michała Archanioła nie zapłaciłeś jej ani grosza za jej robotę. Nie musisz jej teraz dawać pieniędzy. Ubierz ją tylko porządnie, a ja zabiorę ją ze sobą. To dla ciebie zaszczyt mieć siostrzenicę na służbie w zamku Gwynfr.

- Zapewnię jej utrzymanie i dach nad głową - tłumaczył się Clud.

- Rzeczywiście! Idź już i zrób, co ci powiedziałam. A potem chcę z tobą porozmawiać, Clud, ale najpierw rzeczy dla Arwydd. Pospiesz się! - Kiedy Clud wybiegł z alkowy, zwróciła się do swojej służącej: - Zdejmij te śmierdzące łachmany i wskakuj do cebrzyka, dziewczyno. Jeżeli chcesz mi służyć, musisz dbać o czystość.

Arwydd bez słowa protestu zdjęła brudną suknię i weszła do wody, by się wykąpać i umyć głowę. Clud powrócił, niosąc koszulę, spódnicę i tunikę. Isleen obejrzała je krytycznie. Rzeczy były w kiepskim gatunku, ale miały przynajmniej tę zaletę, że były czyste. Spódnica i tunika miały trudny do określenia niebieskawy kolor. Clud położył ubranie na stołku w pobliżu cebrzyka, zerkając pożądliwie na piersi siostrzenicy.

- Wyjdź ze mną na zewnątrz, Clud - poleciła Isleen. - Arwydd, więcej skromności, bo cię ze sobą nie wezmę!

Kotara oddzielająca alkowę opadła i stanęli w wąskim korytarzyku.

- Clud, nie masz najmniejszego pojęcia o prowadzeniu zamtuza - skrytykowała go Isleen. - Kiedy zadomowię się u Merina ap Owena i moja pozycja będzie bezpieczna, powiem ci, jak masz postępować, i jeśli mnie posłuchasz, nie minie rok, a staniesz się bogatym człowiekiem.

- A skąd córka szlachcica może znać się na takich sprawach? - obruszył się. - Jeśli rzeczywiście nią jesteś.

- Naturalnie, że tak - zapewniła go. - A skąd wiem? Bo jestem kobietą. Znam mężczyzn. Jeżeli zamierzasz dostarczać rozrywki pańszczyźnianym chłopom i biednym wyzwolencom, postępuj tak dalej. Ale jeśli chcesz, by bogaci panowie należeli do twojej klienteli, posłuchaj moich rad. Mężczyźni wolą pięknie przyodziane kobiety i przyjemne zapachy. Lubią miękkie łóżka i dobre wino. To kwasidło z winogron i sienniki zadowolą biedaków, ale musisz nauczyć się obsługiwać bogaczy, bo wtedy zbijesz majątek.

- A czego chcesz za swoje rady?

- Niewielkiego udziału w zyskach, Clud, ale nie pora o tym rozmawiać. Najpierw sprawdź, czy mówię prawdę, i wtedy podyskutujemy o tym, ile moja pomoc jest dla ciebie warta. - Isleen obdarzyła go słodkim uśmiechem.

Przeczcucie podpowiadało Cludowi, że nie należy ufać tej kobiecie, ale jej słowa intrygowały go. Potulnie odpowiedział:

- Dobrze, pani.

- Jestem gotowa! - Arwydd uniosła kotarę i weszła do korytarza. Wyglądała na domytą, czarne włosy zaplotła w dwa warkocze, a nadzieja na lepszy los ożywiała spojrzenie jej niebieskich oczu.

- Doskonale. - Isleen z aprobatą pokiwała głową. - A teraz wyjdźmy na dwór wyglądać Merina ap Owena.

Ledwo zdążyły wyjść na zewnątrz, kiedy pan zamku Gwynfr wjechał w uliczkę na potężnym rumaku. Zatrzymał się przed domem Cluda, podał rękę Isleen i wciągnął ją na siodło.

- Zabieram tę dziewczynę ze sobą. Arwydd będzie moja służącą - oznajmiła Isleen.

Merin ap Owen spojrział z góry na drobną dziewczynę.

- Idź do zamku. Powiedz ochmistrzowi, że jesteś jej służącą, niech ci wskaże komnatę.

- Tak, panie. - Arwydd dygnęła.

Merin ap Owen zawrócił konia i odjechał z Isleen.

- Nie myliłem się - powiedział. - Jesteś piękną kobietą.

- Czy będę twoją dziwką, czy wszystkich mężczyzn w zamku? - zapytała go.

Walijczyk roześmiał się rozbawiony.

- Jasno stawiasz sprawę, nie dbasz o pozory, prawda, Isleen? Będiesz moją dziwką, dopóki nie zdecyduję inaczej. Jednak czasami będę cię użyczał co ważniejszym gościom, kiedy będzie mi zależało, żeby się dobrze u mnie bawili. Wtedy masz zapewnić im noc pełną wrażeń, jakich dotąd nie zaznali, tak by rano przystali na wszystko, czego będę od nich chciał. Rozumiesz mnie?

- Tak. Jednoznacznie określiłeś, czego się po mnie spodziewasz, ale w zamian ja też chcę czegoś od ciebie.

- Czego? - W jego oczach odmalowało się zdumienie.

- Człowiek, który sprzedał mnie Cludowi, nie miał prawa tego uczynić. Urodziłam się jako wolna kobieta. Wiesz, że nie kłamię, prawda?

Przytaknął skinieniem głowy.

- Nie wzbogacę się u ciebie, Merinie ap Owenie, a pragnę majątku i niezależności. Muszę zdobyć pieniądze.

Merin słuchał jej zafascynowany.

- Mów dalej - zachęcił ją, koncentrując uwagę na prowadzeniu konia ciasną uliczką.

- Gwynfr leży przy drodze do Herefordu, ważnym trakcie zarówno dla Anglików, jak i Walijczyków. Clud jest właścicielem jedyne go zamtuza w Gwynfr, ale nie ma pojęcia, jak należy go prowadzić. Tylko ktoś tak zepsuty, jak ty, może tam by-

wać. A gdyby lupanar Cluda stał się eleganckim miejscem, takim, które mogłoby obsługiwać bogatą klientelę? Nie tylko robotników rolnych i żołnierzy, ale także kupców i szlachciców. Zaproponowałam Cludowi, że doradzę mu, jak osiągnąć ten cel. Przrzekam, że to zajęcie nie będzie kolidować z moimi obowiązkami względem ciebie, panie. Spełnię każde twoje polecenie, pod warunkiem, że pozwolisz mi w wolnym czasie pomagać Cludowi.

- A co zyskasz w zamian, Isleen? - Była cudowna. Nigdy nie miał do czynienia z bardziej zepsutą kobietą.

- Z początku nic, bo muszę sprawić, aby Clud wysupłał pieniądze na remont domu, tak by bogaci ludzie chcieli do niego zaglądać. Potem musimy znaleźć najlepsze i najbieglejsze w rzemiośle ladcznice. A ty, panie - wymruczała mu do ucha, opierając się o niego - będziesz oceniał ich przydatność. - Język Isleen znalazł się w uchu Merina i pieszczotliwie je musnął. - Potem, kiedy udowodnię Cludowi, że moje obietnice nie były puste, zażadam połowy zysków.

- A na koniec, zanim się obejrzy, podstępnie zagarniesz resztę - dopowiedział Merin i zarechotał ponuro.

- Naturalnie, mój panie - potwierdziła bezwzględnie. - Nie sądzisz chyba, że mam zamiar zadać sobie tyle trudu tylko po to, żeby napełnić kiesę tej kreaturze.

Merin ap Owen roześmiał się pełną pierśią.

- Bestia! - wykrztusił. - Jesteś wcieloną diablicą, moja piękna Isleen! Będzie z nas dobrana para. Być może kiedyś się nawet z tobą ożenię.

- Piękne dzięki - odparła. - Mam ojca, byłam mężatką i miałam po drodze paru kochanków. Nigdy więcej nie chcę być własnością żadnego mężczyzny. Natomiast zamierzam się zemścić na rodzinie mego zmarłego męża, a potem zostanę najbogatszą rajfurką w Walii. I na zawsze pozostanę ci wdzięczna za pomoc.

Skwitował jej wypowiedź jeszcze głośniejszym śmiechem. Każde jej słowo wzbudzało w nim radość. W zasadzie nie przepadał za kobietami. Były podstępными, pokrętnymi stworzeniami. Odkąd umarła jego jędzowata matka, w zamku aż do tej pory nie mieszkała żadna kobieta. Pierwszą żonę, czternastoletnią dziewczynę, zdręczył na śmierć. Druga, siedemnastoletka, w miesiąc po ślubie uciekła od niego i schroniła się

w klasztorze. Powiadomiono go, że władze kościelne formalnie rozwiązały małżeństwo. Rodzina dziewczyny nie domagała się nawet zwrotu wiana. Później dowiedział się, że nosiła jego dziecko, kiedy uciekła. Utopiła syna zaraz po porodzie. Na szczęście dla jej rodziny popełniła samobójstwo. Nie, kobietom nie można ufać.

A teraz znalazł Isleen. Była tak samo zdemoralizowana jak on. I nie czyniła z tego sekretu. Była pierwszą uczciwą kobietą, jaką znał, chociaż okazałby się głupcem, gdyby jej zaufał.

- Czy lubisz bić kobiety? - zapytała otwarcie Isleen.

- Na tyle, aby spotęgować ich... i moje odczuwanie przyjemności - przyznał się.

- Zawsze używasz pasa?

- Cienka, giętka leszczynowa witka też się nadaje - odpowiedział. - Tnie ostro, ale jeśli odpowiednio się jej używa, nie zostawia blizn.

- Czy kobieta może wysmagać mężczyznę? - dopytywała się.

- Tak. Niektórzy mężczyźni lubią być bici, lecz ja do nich nie należę - oświecił ją.

Kiwnęła głową na znak, że przyjęła tę informację do wiadomości.

- Nauczysz mnie? To może być ciekawa odmiana dla moich dziwek. Staną się dzięki temu niepowtarzalne.

- Masz głowę do interesów - zauważył.

- Raczej intuicję, prawdę mówiąc. Ale głowy nie mam. Nie nauczyłam się nawet pisać ani czytać.

- Ja też nie - wyznał cicho. - Ale myślę, że powinnaś zdobyć te umiejętności. Po co jakiś skryba miałby cię oszukać? Albo mnie?

- Chcesz mieć udział w moim lupanarze? - spytała zaskoczona.

- Oczywiście, moja piękna ładacznico - oznajmił. - Jeżeli ci pomogę i nie znudzisz mi się do tego czasu, będzie mi się należała część zysku. Tak nakazuje uczciwość.

Isleen nachmurzyła się, ale już po chwili jej zdrowy rozsądek wziął górę.

- Dobrze - zgodziła się.

Dojeżdżali do zamku uliczką pnącą się po zboczach wzgórz. Budowla wyglądała na niezbyt wielką, a jej stan nie przedsta-

wiał się najlepiej. Natomiast zwodzony most i opuszczana krata były świeżo wyremontowane. Merin zatrzymał konia na dziedzińcu, zeskoczył z siodła i pomógł zsiąść Isleen.

- Zaprowadzę cię do twojej komnaty - oznajmił.

Zamek miał tylko dwie baszty. Łączył je wewnątrz przestronny hol. Merin wskazał schody do jednej z nich. Wspięli się na trzecią kondygnację. Wkrótce odkryła, że jej komnata znajdowała się na samym szczycie wieży. Była jasna, ale bardzo skromnie umeblowana. Pomieszczenie ogrzewał komin.

- A ty gdzie mieszkasz? - zwróciła się do Merina.

- Zajmuję całe piętro pod tobą, moja piękna ładacznico.

Pokiwała głową. Musi pozostać wierna Merinowi tak długo, jak będzie sobie tego życzył, bo żeby dostać się do niej, trzeba przejść przez jego komnaty.

- Kiedy będę zabawiać twoich gości, panie, mam to robić tutaj czy w jakimś innym miejscu?

- Gości umieszczam w drugiej baszcie. I tam będziesz ich oczekiwać. Jutro możesz zwiedzać zamek, ile tylko zechcesz, Isleen.

- A jeśli ty, panie, będziesz mnie chciał?

- To przyjdę do ciebie. Do moich komnat nikt nie ma wstępu, Isleen.

- Kto je sprząta i zmienia ci pościel? - zainteresowała się.

- Nie twoja sprawa, kto się tym zajmuje.

- Jaka jest moja rola? Będę twoją utrzymanką? Jeżeli tak, co należy do moich obowiązków? Czy życzysz sobie, abym nadzorowała służbę? Wydawała dyspozycje kucharzowi? Nie chcę żadnych nieporozumień między nami.

- Mam starego ochmistrza, który spędził w zamku całe życie. On czuwa nad wszystkim i dobrze sobie radzi. Na imię ma Harry. Od ciebie wymagam stałej gotowości do zaspokajania mej żądy. Poza tym będziesz dotrzymywać mi towarzysztwa, jeśli akurat tego zapragnę. Masz być wtedy zabawna i czarująca. Obowiązkiem Harry'ego jest spełniać twoje życzenia, tak abyś była zadowolona.

- Chcę, żebyś mi coś obiecał - zażądała. - Żaden z twoich mężczyzn nie zbliży się do Arwydd. Z wielkim brzuchem stałaby się dla mnie bezużyteczna. Z racji swego pokrewieństwa z Cludem jest dla mnie cennym nabytkiem nie tylko jako

służąca. Potrzebuję jej, mój panie. To bystra dziewczyna. Obiecuj mi, że twoi ludzie zostawiają w spokoju.

- Zadrzyj spódnicę, Isleen - rozkazał w odpowiedzi.

Nie wahała się ani chwili. Uniosła spódnicę, odsłaniając nagie ciało. Uklęknął przed nią i rozchylając palcami srom, pieścił ją językiem. Isleen zmrużyła oczy i wydała z siebie głębokie, pełne zadowolenia westchnienie. Kiedy doprowadził ją niemal do szczytu, wstał i obnażył wzwiedziony członek. Isleen odgadła, czego się po niej spodziewa. Opuściła spódnicę i opadając na kolana przed Merinem, drażniła jego męskość ustami i językiem, aż nakazał jej przestać. Podciągnął ją z kłęczek i pchnął na łożo. Oplotła go nogami obleczonymi w pończochy, bijąc piętami po rytmicznie podrygujących pośladkach. Merin był niestrudzonym kochankiem, powoli doprowadzał ją do ekstazy. Ku zdumieniu Isleen, podobnie jak poprzedniej nocy, kiedy uznała to za czysty przypadek, równocześnie z nią osiągnął spełnienie. Natychmiast jednak odezwał się od niej i obciągnawszy jej spódnicę, podał jej rękę i pomógł się podnieść.

- Powiedz swojej pokojówce, żeby nie flirtowała z moimi ludźmi. Żadnego strzelania oczami, bo to jurna banda. Jeżeli cię usłucha, nic jej z ich strony nie grozi. Jedynym człowiekiem w zamku, któremu można bezgranicznie ufać, jest stary ochmistrz Harry. Pamiętaj o tym, moja piękna ładacznico.

- Panie, a co z tymi trzema, którzy byli z tobą poprzedniej nocy?

- Nigdy więcej nie podniosą oczu na ciebie. Wiedzą, że zapłaciliby za to życiem. Spędzili noc w raju. Teraz muszą zapomnieć, że w ogóle tam byli. Czy któryś z nich szczególnie się wyróżnił?

- Tylko ty mnie zadowoliłeś, mój panie - wymruczała cicho.

- Szczególnie kiedy wychłostałem cię pasem i wziętem od tyłu - zauważył ze złośliwym uśmiechem.

- Tak - przyznała. - To było podniecające. Czy zrobisz to znowu?

- Kiedy będę miał ochotę, Isleen. Musisz się nauczyć dawać przyjemność na wiele sposobów. I być posłuszna wszelkim życzeniom swego pana, choć muszę przyznać, że w sprawach ciała jesteś bardzo gorliwa, prawda, Isleen?

- Tak - zgodziła się z nim.

- Unieś spódnicę jeszcze raz - zażądał.

Usłuchała go.

- Pochyl się!

Znowu go posłuchała. Przełożył ją przez kolano i wymierzył kilka piekących klapsów.

- Bardzo gorliwa! - wymruczał ze złośliwym uśmiechem, wsuwając palce między jej pośladki.

Isleen popiskiwała, wijąc się lubieżnie.

- Zawsze twierdziłem, że nie ma idealnych kobiet, moja piękna ladacznico, ale coś mi się zdaje, że ty jesteś doskonała.

Ciałem Isleen wstrząsnął dreszcz. Dysząc gwałtownie, osunęła się na Merina.

- Och, to było cudowne, mój panie, ale dziś wieczorem chcę tam czuć twe twarde przyrodzenie.

Jest wspaniałym kochankiem - pomyślała. O wiele lepszym niż jej kuzyn Saer de Bude. Ale i tak nie zrezygnuje z zemsty na Eleanore de Montfort. Dzięki przymiotom swego ciała owinie Merina ap Owena wokół małego palca. Może go nawet w sobie rozkocha? A wtedy skłoni go, aby najechał na Ashlin i obrócił w perzynę cały dorobek małej zakonnicy i jej męża rycerza. Wiedziała, że mieszkańcom Ashlinu dobrze się prowadzi. Ojciec nie omieszkał jej tego wytknąć. Ranulf de Glanville doprowadził Ashlin do rozkwitu - oznajmił jej. Gdybyś pomogła Richardowi w gospodarstwie, zamiast gzić się z kuzynem, sprawy mogłyby przybrać inny obrót - wyrzucał jej baron Hugh. Na sierpniowym targu w Herefordzie Ranulf dużo zarobił na runie. Ale nie! Ty nie zadałaś sobie trudu, żeby być dobrą żoną. Dać mężowi potomstwo! Może, jak twierdzi Saer, rzeczywiście jesteś bezpłodna, ty bezużyteczna wywłoko! Ściągnęłaś tak wielką hańbę na rodzinę, że sam król nakazał cię ukarać. No cóż, wreszcie znalazłem klasztor w Yorku, który się zgodził cię przyjąć. Znają tam sytuację. Zostaniesz zakuta w pas cnoty, ty przeklęta dziwko, i resztę życia spędzisz na pracy i na modlitwie! W tym zakonie przez okrągły rok chodzi się w brunatnych, wełnianych habitach. Nie nosi się koszul, bo szorstki materiał ma przypominać o grzesznej naturze ciała. W południe będziesz dostawać jedyny posiłek w ciągu dnia. Jedzenie jest proste, ale pożywne. Nie ma wina, mięsa ani sera. A kiedy już cię tam wywożę, moja córko, mam nadzieję nigdy więcej cię nie oglądać!

- Przecież obiecałeś, że będę w klasztorze tylko do śmierci króla Stephena! - jęknęła Isleen.

- Ale zmieniłem zdanie - oznajmił baron Hugh.

Jeszcze tej samej nocy Isleen uciekła z domu. Ojciec prawdopodobnie sądził, że już nie żyje. Ale ona nie umarła. Żyła i planowała zemstę, choćby miała za to skończyć w piekle.

Część III

Żona

Anglia 1154

11

Zima minęła szybko. W Ashlinie wystarczyło zapasów tak dla ludzi, jak i dla zwierząt. Kwiecień minął jak z bicza strze-
lił i znowu był pierwszy maja. W swe urodziny Elf była już
bardzo ociężała, a od jakiegoś czasu wszystko działało jej na
nerwy.

Nikt, nawet Ranulf, nie ośmielił się zaprotestować, kiedy
pewnego popołudnia, mniej więcej w połowie maja, oznaj-
miła, że udaje się z wizytą do St. Friedeswide.

- Czy uważasz, że to rozsądne? - zdobył się na pytanie
pan Ashlinu w swej jedynej próbie powstrzymania Elf.

Obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

- Mój panie, całą zimę siedziałam tutaj jak w więzieniu.
Nie mam do kogo otworzyć ust, poza Willą i starą Idą, która
bez przerwy sączy mi w uszy swoje zabobony. Na wszelki
wypadek zabiorę ze sobą Orwę i Willę, ale nic się nie wydarzy.
Chcę się zobaczyć z moimi przyjaciółkami!

- Trzeba starannie wyścielić wóz - zastrzegł.

- Jeżeli to poprawi twoje samopoczucie... - odpowiedziała
zadziornie.

- I pojedziesz ze zbrojną eskortą, *petite*.

- Naturalnie.

- Nie podoba mi się ten pomysł z wyjazdem.

- Bardzo mi przykro, że moja chęć spotkania się z przyja-
ciółkami tak cię poruszyła, panie - odparła kwaśnym tonem.

Willa dyskretnie dotknęła ramienia Ranulfa.

- Panie, Orva powiada, że kobiety bliskie rozwiązania mie-
wają humory. Jestem pewna, że pani nie chciała cię urazić.

- Kłaniaj się ode mnie przeoryszy, *petite* - poprosił żonę. -

I pozdrów także siostrę Winifredę i Columbę. - Uśmiechnął się do Elf.

- Oczywiście - odrzekła krótko.

Wóz, którym podróżowała Elf, został wyłożony grubymi, wełnianymi derkami obleczonymi niebieskim jedwabiem. Miał baldachim z jedwabiu w czerwono-niebieskie pasy z bocznymi zasłonami, które można było opuścić w razie deszczu. Baldachim był nawoskowany, aby nie przepuszczał wody. Elf najwygodniej było, gdy siedziała z nogami ułożonymi wyżej, więc Orva i Willa jechały obok wozu wraz z eskortą złożoną z sześciu uzbrojonych mężczyzn. Wyruszyli z Ashlinu rano, a po południu byli już w St. Friedeswide. Mężczyźni eskortujący wóz zostawili kobiety pod klasztorem i wrócili do majątku.

Przed bramą natychmiast zjawiła się zakonnica i wprowadziła wóz na dziedziniec, bo woźnica odjechał wraz ze zbrojnymi.

Gdy zatrzymano konie i zamknięto wrota, Orva i Willa pomogły Elf zsiąść z wozu.

- Elf! - Siostra Columba wybiegła przyjaciółce naprzeciw, łopocząc czarnym habitem. - Och, Elf! Jak dobrze cię widzieć! - zawołała. Pochwyciła Elf za ręce i trzymała ją na długość wyciągniętych ramion. - Matko jedyna! Jakaś ty gruba! Dzieciak będzie taki sam ogromny jak tatuś! Słowo daję!

- Nie wiem, jak ja go urodzę - westchnęła Elf, lecz zaraz się roześmiała. - Cieszę się, że znowu tu jestem! - stwierdziła uradowana.

- Chodź, zaprowadzę cię do hospicjum - powiedziała Columba. - Będziesz je mieć wyłącznie dla siebie.

- Rzadko się zdarzało, by przyjezdni musieli w St. Friedeswide dzielić kwatery - zachichotała Elf. - To moje służące, Willa i Orva. Orva jest akuszerką w majątku. Pomyślałam, że lepiej, aby mi towarzyszyła.

- Jesteś blisko rozwiązania? - zapytała siostra Columba, otwierając szeroko oczy.

- Tak. Prawdopodobnie nie powinnam się była decydować na tę podróż, ale nie mogłam wytrzymać zamknięta w Ashlinie ani chwili dłużej. Do tego Ranulf usiłował odgrywać pana i władcę. Miałam tego po prostu dość! Poza tym bardzo chciałam się zobaczyć z tobą i resztą sióstr. Nie byłam

w St. Friedeswide od wyjazdu do Worcesteru. Od tamtej pory minęło półtora roku.

Doszły do hospicjum i siostra Columba wprowadziła przyjezdne do wewnątrz.

- Elf, jak to jest być mężatką?

- Bardzo przyjemnie - odpowiedziała Elf, po czym zwróciła się do służących: - Orva, Willa, rozpakujcie rzeczy, proszę! Tam jest nasza sypialnia - wskazała na drzwi. - A my z siostrą Columbą przejdziemy się po ogrodzie. Niedługo powinni dzwonić na kolację. Nasłuchujcie głosu dzwonu. - Elf wzięła siostrę Columbę pod rękę i młode kobiety wyszły na zewnątrz.

- Zrobiłaś się bardzo władcza - zauważyła zakonnica.

- Muszę taka być - zaśmiała się Elf. - Jestem panią na włościach - przypominała przyjaciółce. - A teraz opowiem ci o moim małżeństwie. Mój mąż jest łagodnym człowiekiem i ma dobre serce. Jest sprawiedliwym panem i ludzie darzą go wielkim szacunkiem. Dzień upływa mi na obowiązkach, podobnie jak tu, w St. Friedeswide. Czas wypełnia nam zasiewanie pól i zbieranie plonów, ubój, młocka, gotowanie mydła oraz przygotowywanie zapasów na zimę. Wiele dokonaliśmy w Ashlinie od naszego przyjazdu, a szczególnie jestem dumna z odbudowy kościoła. Zwróciliśmy się do biskupa z prośbą, żeby przysłał nam księdza, i zeszłej jesieni zjawił się u nas ojciec Oswin.

- Widzę, że jesteś szczęśliwa - powiedziała cicho siostra Columba.

- Tak - wyznała Elf swej najlepszej przyjaciółce. - Jestem bardzo szczęśliwa, Matti. Kiedy zmuszono mnie, bym zrezygnowała z życia, jakie zawsze chciałam prowadzić, wydawało mi się, że już nigdy nie zaznam radości. Ale teraz jestem zadowolona. Jestem szczęśliwsza niż kiedykolwiek przedtem.

- Kochasz go?

- Tak. Chociaż nigdy mu tego nie powiedziałam.

- Dlaczego, na miłość boską?!

- Ranulf jest rycerzem zahartowanym w bojach. W jego sercu nie ma miejsca na sentymenty. Wprawiłabym go w zakłopotanie, wyznając mu, że go kocham - stwierdziła Elf, uśmiechając się niepewnie. - Co mógłby mi na to odpowiedzieć? Lubimy się i darzę go szacunkiem. Jesteśmy dobrym małżeństwem.

- Gdybyś mi powiedziała, że go kochasz, może odpowiesz ci podobnym wyznaniem? - zastanawiała się siostra Columba z nadzieją w głosie.

- A jeśli nie? Postawiłabym go w niezręcznej sytuacji, byłby zażenowany, bo nie chciałby mi świadomie sprawić przykrości. Nie, lepiej niech już zostanie tak, jak jest.

- A ja bym chciała, żeby mój mąż wiedział, że go kocham - stwierdziła stanowczo siostra Columba. - Każdego dnia zapewniam naszego dobrego Pana o mojej miłości.

- Matti, ale ty mówisz o miłości do Boga. Moje uczucie jest zbyt przyziemne, a mój mąż byłby skonfundowany, gdybym zaczęła szeptać mu do ucha czułe słówka - roześmiała się.

- Eleanore!

Obie kobiety podniosły wzrok i zobaczyły przeoryszkę zmierzającą ku nim z ramionami wyciągniętymi w powitalnym geście. Elf ujęła dłonie matki Eunice w obie ręce. Matka przełożona przyjrzała się z uwagą swej byłej wychowance i uśmiechnęła się serdecznie.

- Jest tak, jak ci powiedziałam tamtego dnia w Worcesterze, Eleanore. Sam Bóg odmienił twój los. Najlepszym dowodem jest to rosnące w tobie nowe życie i twoja rozpromieniona twarz. Nigdy nie wątpiałam, że znajdziesz szczęście.

- A ja tak, przynajmniej przez jakiś czas - uśmiechnęła się przekornie Elf. - Ale mój mąż mnie zawojował.

- Król, chociaż może nie najmądrzejszy władca, jest dobrym człowiekiem. Wiedziałałam, że nie wydałby cię za grubianina - odrzekła matka Eunice. - Moja córko, widzę, że jesteś blisko rozwiązania.

- Tak - potwierdziła Elf. - Ale musiałam tutaj przyjechać, zanim bezpowrotnie przeminą moje dziewczęce lata i zostanę matką.

Obie zakonnice skwitowały śmiechem tę uwagę.

- Isa zrobiła to samo, tyle że nie była tak blisko rozwiązania jak ty.

- Isa ma dziecko? - zdziwiła się Elf. - Nie wiedziałam.

- W zeszłym roku powiła dziewczynkę, a teraz znowu jest przy nadziei - poinformowała ją siostra Columba.

Elf uśmiechnęła się.

Przez kilka następnych dni Elf żyła jak za dawnych czasów. Uczestniczyła w modlitwach i pomagała starszej siostrze Winifredzie. Obecnie infirmerka uczyła inną nowicjuszkę sztuki leczenia i wprowadzała ją w tajniki zielarstwa.

- Czy założyłaś własny ogród? - zainteresowała się starszuszka.

- Tak. Mam szczęście, bo na razie leczę same proste przypadki, opatruję niewielkie rany i złamania. Boję się, co będzie, jeśli wybuchnie jakaś zaraza.

- Dasz sobie radę - uspokoiła ją siostra Winifreda. - Och, dziecko, twoja obecność cieszy moje serce!

Elf spędziła w klasztorze cały tydzień. Gdy rankiem, w dzień wyjazdu, podniosła się z łóżka, ni stąd, ni zowąd woda chlusnęła jej spomiędzy nóg. Elf zamarła z przerażeniem w oczach.

- Orva! - zawołała dziwnie słabym głosem. - Orva!

- Matko Boska, miej nas w opiece! - wymamrotała Orva, widząc swą panią stojącą w kałuży. Na szczęście z miejsca odzyskała zimną krew. - Pani, nie ma rady. Wszystko wskazuje na to, że jeszcze dziś urodzisz i stanie się to tutaj, w St. Friedeswide. - Widząc nieme pytanie w oczach Elf, uniosła rękę na znak protestu. - Nie, nie ma mowy o powrocie do Ashlinu. To zbyt niebezpieczne, skoro poród się zaczął. Pan by nas zabił, gdyby coś się stało tobie, pani, albo dziecku. To miejsce jest równie dobre do rodzenia jak Ashlin, a może nawet lepsze. Willa! Chodź tu i zajmij się panią, a ja poszukam przeoryszy!

Orva wybiegła z hospicjum i przecinając dziedziniec, skierowała się prosto do kapitułarza, gdzie, jak sądziła, powinna znaleźć przeoryszę zajętą pracami administracyjnymi. Poranna narada dobiegała akurat końca. Orva podeszła do siedzącej w fotelu matki przełożonej i kucnęła w niskim ukłonie.

- Tak, Orvo? - odezwała się przeorysza.

- Matko przełożona, moja pani będzie rodzić! Potrzebna mi pomoc.

- O Boże! - westchnęła zaskoczona przeorysza, lecz już za moment uśmiech opromienił jej twarz. - Siostry! - zwróciła się do zakonnic. - Dzisiaj w naszym klasztorze urodzi się dziecko. Siostrzo Winifredo, proszę, byś służyła wszelką pomocą Orwie. A reszta z was niech się modli o szczęśliwe rozwiązanie. Rozejdźcie się teraz.

- Matko? - Siostra Columba nieśmiało zwróciła się do przeoryszy.

Przełożona spojrzała na młodą zakonnice.

- Idź - poklepała ją po ramieniu. - Zostań ze swoją przyjaciółką - powiedziała łagodnie. - I informuj nas, co się dzieje, Columbo.

- Dobrze, matko przełożona.

- Zaraz przyniosę do hospicjum wszystko, co może się przydać - poinformowała Orwę siostra Winifreda, opuszczając kapitułarz.

- A ja pójdę z tobą, Orvo - zdecydowała najbliższa przyjaciółka Elf.

- Porodom towarzyszy spory upływ krwi - uprzedziła ją Orva. - Czy siostra nie mdleje na widok krwi?

- Nie wiem. Nigdy nie widziałam dużej ilości krwi.

Orva wzruszyła ramionami.

- Jeżeli siostra się obawia, że może zemdleć, to lepiej niech się trzyma z daleka. Nie będę miała czasu zajmować się siostrą, kiedy moja pani będzie w bólach.

- Ile czasu to może potrwać?

- Niektóre dzieci szybko przychodzą na świat. Innym zajmuje to sporo czasu. Przyda nam się twoja modlitwa, siostró.

- Zakonnice już się modlą - powiedziała pośpiesznie siostra Columba. - Na pewno mogę dać z siebie więcej Eleanore. Chcę pomóc. Nie mam zamiaru wykręcać sobie palców przy każdym jej krzyku.

- No dobrze - ustąpiła zadowolona Orva. - Przyda mi się każda para rąk, siostró. Willa, służąca mojej pani, jest bardzo młoda i choć była przy narodzinach swych dwóch braci i najmłodszej siostrzyczki, może mi nie wystarczyć do pomocy.

Obie kobiety weszły do domu dla gości. Willa nie marnowała czasu. Pod nieobecność Orvy przebrała swą panią w suchą koszulę i zaprowadziła z powrotem do łóżka. Teraz zmagą się ze stołem, usiłując przysunąć go bliżej kominka. Miał posłużyć za łóżko porodowe, bo z oczywistych powodów w klasztorze nie było specjalnie przystosowanego krzesła. Siostra Columba, widząc wysiłki dziewczyny, pośpieszyła jej z pomocą.

- Lepiej by było, gdybyśmy miały krzesło - stwierdziła

z niepokojem Orva. - Ale musimy sobie jakoś poradzić. Willa, gdzie jest pani?

- Odpoczywa.

Orva dała córce lekkiego kuksańca.

- Dobrze wiesz, że nie powinnaś pozwolić jej leżeć! - ofuknęła ją, po czym wmaszerowała do sypialni, gdzie leżała blada i wystraszona Elf.

- Wstajemy, pani! - poleciała różnym głosem i pomogła Elf podnieść się z łóżka. - Leżenie na nic się nie zda. Masz, pani, bóle?

- Nie - zaprzeczyła cicho Elf.

- Na pewno niedługo wystąpią, skoro odeszły wody - stwierdziła rzeczowo Orva. - Pani, musisz chodzić. Im szybciej dziecko przyjdzie na świat, tym lepiej dla ciebie. - Orva otuliła Elf peleryną i wyprowadziła ją na dziedziniec. - Będziemy razem spacerować wzdłuż boków tego kwadratu. Lada chwila zaczną się bóle.

- Ranulf... - przypomniała jej Elf. - Musimy posłać po mojego męża.

- W takiej chwili mężczyzna jest zupełnie bezużyteczny - oznajmiła Orva rzeczowym tonem. - Poślemy po niego, kiedy maleństwo przyjdzie na świat.

- A jeśli umrę? - Elf dała wyraz swej największej obawie.

- Śmierć przy porodzie czasem się zdarza, lecz tobie, pani, to nie grozi. Mimo drobnej budowy jesteś, pani, bardzo silna.

Niezmordowanie maszerowały po alejkach. Krzaki damasceńskich róż obsypane były kwiatami. Ich słodki aromat unosił się w powietrzu. Dzień był słoneczny, lekki wiatr rozwiewał zapach róż po całym ogrodzie.

Wreszcie Orva pozwoliła Elf na chwilę wytchnienia. Obie kobiety przysiadły na małej, kamiennej ławeczce.

- Czy bóle się pojawiły?

- Właściwie nie. Ale co rusz odczuwam nieprzyjemne napięcie w podbrzuszu. Taki ogromny ciężar, jakby mnie coś rozsadzało.

- Wracajmy do domu - zdecydowała Orva. Ze słów Elf wynikało, że dziecko mogło się lada chwila urodzić.

Elf podniosła się z ławki.

- Uuuuh! - jęknęła i zgięła się wpół.

Orva, podtrzymując swą panią ramieniem, prowadziła ją

do domu. Kiedy znalazły się w środku, akuszerka skinęła na Willę i razem pomogły Elf ułożyć się na stole.

- Siostrze, niech siostra tu przyjdzie i stanie za panią. Trzeba ją podeprzeć, żeby siedziała - poinstruowała Orva zakonnice. - Pani, proszę unieść i rozsunąć nogi. Muszę cię, pani, teraz zbadać. - Akuszerka pochyliła się i uważnie przyjrzała się położnicy. Nie pomyliła się. Poród będzie szybki i lekki. Jej pani miała szczęście. Główka dziecka już była widoczna. - Willa, okręć mnie fartuchem - poleciała córce - i przynieś mi się z wodą i karafkę z winem. Wiesz, co mi będzie potrzebne. - Orva przeniosła wzrok na Elf. - Pani, ten ciężar, który odczuwasz, bierze się stąd, że dziecko się opuściło. Idzie bardzo szybko. Proszę za wszelką cenę powstrzymać się od parcia, dopóki nie powiem. - Orva znieruchomiła na chwilę, pozwalając Willi opasać się obszernym fartuchem. Następnie dokładnie umyła ręce, najpierw winem, a potem wodą z mydłem. - Masz nóż do przecięcia pępowiny? - zwróciła się do Willi.

- Tak, matko.

- Przyniosłam Eleanore zioła uśmierzające ból - wysapała siostra Winifreda, wpadając do izby.

- Nie będą potrzebne, siostrzyczko - uspokoiła ją Orva. - Za chwilę urodzi. Zostanie siostra, żeby mi pomóc?

Elf wydała z siebie przeciągły jęk.

Siostra Winifreda zmoczyła czystą szmatkę w zimnej wodzie i otarła zroszone potem czoło Elf.

- Spokojnie, kochana. Cierpisz tak samo, jak cierpiała Matka Boska. Czyż to nie wspaniałe?

Do izby wkroczyła siostra Josepha, rozsiewając wokół siebie woń stajni. Dźwigała niewielki żłóbek.

- Najmniejszy, jaki udało mi się znaleźć - oświadczyła. - Wyszorowałam go i wysłałam świeżym sianem ze skoszonej trawy i koniczyny. Na wierzch położyłam czyste płótno. Nie mamy kołyski, ale dziecko będzie w nim bezpieczne. - Z impetem postawiła korytko na podłodze. - Jeżeli Pan Jezus mógł leżeć w żłóbku, naszemu dzieciątku też musi wystarczyć - podsumowała. - Jak Elf sobie radzi?

- Bardzo dobrze - odparła Orva.

- Już nigdy więcej nie chcę rodzić! - zawodziła Elf. - Dlaczego nikt mnie nie uprzedził, że to tak boli?! Oooch!

- Cichutko! Pani, masz bardzo lekki poród! - zbeształa ją Orva.

- Będę przecież! - zawołała Elf.

- Jeszcze nie! - powstrzymała ją Orva. - No, teraz! Przyj, pani, ile siły! Siostrzo Columbo, proszę mocno ją trzymać!

Elf z krzykiem napięła mięśnie, chcąc pozbyć się brzemienia, które, jak jej się zdawało, jeszcze chwila, a rozerwie ją na dwie połowy.

- No dalej, Eleanore de Montfort, dasz radę! - zagrzewała ją do większego wysiłku siostra Josepha.

Siostra Winifreda wsunęła Elf do ust mały listek.

- Żuj to, kochanie. To ci doda siły.

- Ooch! - jęknęła Elf. A potem odchyliła głowę, by spojrzeć na przyjaciółkę. - Matti, ciesz się, że jesteś zakonnica! - powiedziała płacząco. Czuła, jak ciężar w podbrzuszu przesuwa się coraz niżej, napierając nieubłaganie. Zareagowała głośnym jękiem.

- Poczekaj! - nakazała surowym tonem Orva. - Teraz! Przyj!

Piękne rysy Elf wykrzywiły się pod wpływem wysiłku.

- Jest! Widzę główkę! - zawołała podniecona Orva. - Jeszcze trochę i dziecko wyjdzie! Bądź, pani, dzielna! Kiedy pojawi się ból, proszę mocno przecież!

- Uuuuh!!! - krzyknęła Elf z twarzą ściągniętą bólem. - Oooch!

Orva czekała skupiona. Wysunęły się ramionka i część tułowia. Akuszerka ostrożnie obróciła maleństwo i otarła drobną twarzyczkę. Para niebieskich oczek popatrzyła na nią z pretensją. Maleńkie usteczka otworzyły się, żeby złapać pierwszy oddech.

Elf jęczała, prac, ile siły. Była wyczerpana. Nigdy w życiu nie czuła większego znużenia.

- Pani, jeszcze tylko jeden raz! - zachęcała ją Orva.

- Chyba nie dam rady! - protestowała Elf.

- Musisz. Już prawie wyszło. Przyj mocno!

Elf zebrała w sobie resztkę sił. W nagrodę poczuła ogromną ulgę, bo dziecko wysunęło się do końca i wydało z siebie przeźliwy krzyk.

- Chłopiec! - wychrypiała Orva. - Ashlin ma dziedzica! Panu niech będą dzięki!

- Amen! Amen! - zawtórowały zakonnice, uśmiechając się błogo. Dziecko musiało być niezwykle, skoro postanowiło przyjść na świat w klasztorze.

- To dobry dzień na powicie chłopca - obwieściła siostra Josepha. - Trzydziestego maja przypada święto Huberta, patrona myśliwych. Eleanore de Montfort, dasz mu na imię Hubert? Jak zamierzałaś go ochrzcić?

- Simon. Zastanawialiśmy się z Ranulfem nad wyborem imienia i postanowiliśmy nazwać go Simon po jego ojcu. Ochrcimy go Simon Hubert. Czy ojciec Anselm jest w klasztorze? Dziecko trzeba natychmiast ochrzcić. Poślijcie po mojego męża. Ranulf musi się dowiedzieć, że ma potomka. Auu, Orva! Znowu mam bóle! Co się dzieje?

- Pani, to tylko łożysko. Willa, podaj mi miednicę!

Pozostałe kobiety krzątały się przy noworodku. Siostra Winifreda przecięła i związała pępowinę. Następnie z pomocą siostry Josephy delikatnie obmyła maleństwo najpierw w winie, potem w ciepłej wodzie, a na koniec natarła je oliwą. Zakończywszy te zabiegi, podała dziecko Columbie, która zawinęła je w powijaki z cienkiego płótna. Willa zajęła miejsce Columby przy Elf i podtrzymała ją podczas usuwania łożyska, które jej matka wrzuciła do miednicy, by później zakopać pod dębem. Kobiety umyły Elf, przebrały w świeżą koszulę, a krzepka Orva przeniosła ją na łóżko. Siostra Winifreda podała młodej mamie kubek wina z roztrzepanym surowym żółtkiem i z ziołami o nasennym działaniu.

- Chcę zobaczyć Simona - zażądała Elf. - Wszyscy, oprócz mnie, widzieli mojego syna. Czy posłano po Ranulfa? - zapytała, z przyjemnością sącząc wino.

- Willa pojedzie do domu - zdecydowała Orva, podając Elf niemowlę. - Z powodzeniem dotrze do Ashlinu przed zmierzchem.

Noworodek, który dotąd głośno dawał upust swemu niezadowoleniu, natychmiast ucichł w przytulnych ramionach matki.

- Czy to bezpieczne? - zaniepokoiła się Elf, mimo że jej uwaga była skupiona na synku. - Jest śliczny! - powiedziała wzruszona.

- Czyżbym słyszała płacz niemowlęcia? - Do izby wkroczyła przeorysza.

- Elf ma syna, matko przełożona - poinformowała ją pod-
ekscytowana siostra Columba.

- Trzeba go ochrzcić - powiedziała sennie Elf. Najwy-
raźniej zioła zaczynały działać.

Przeorysza nachyliła się nad Simonem Hubertem de Glan-
deville'em.

- Dzięki Bogu, chłopaczek wygląda zdrowo. Sądzę, że
możemy odłożyć chrzest do jutra, Eleanore. Przecież chcesz,
żeby w takiej chwili był przy tobie ojciec dziecka. Kogo wy-
znacysz na rodziców chrzestnych, Eleanore?

Elf, choć bardzo znużona, była zakłopotana pytaniem.

- Chcę, żebyście wszystkie zostały jego matkami chrzest-
nymi - odparła. - Tak będzie najbardziej sprawiedliwie, bo
stanowicie moją rodzinę, no i tutaj Simon przyszedł na świat.

- Eleanore, nie sądzą, aby mały lord Simon potrzebował aż
tylu matek chrzestnych - mitygowała ją przeorysza. - Niech
w imieniu nas wszystkich zostanie nią siostra Columba. To za-
dowoli Kościół i zapewne ciebie też ucieszy. A kto będzie oj-
cem chrzestnym?

- Wybór chrzestnego należy do mego męża - wyjaśniła
Elf. - Podoba mi się twój pomysł, matko przełożona.
W przyszłości mój syn otoczy opieką St. Friedeswide, ponie-
waż w tym miejscu jego matka zaznała wiele dobrego. Takie
będzie moje życzenie. - Ta przemowa odebrała Elf resztki sił.
Powieki jej opadły i zasnęła z dzieckiem w ramionach.

- Włóżcie go do tej niby-kołyski - poleciła przeorysza,
uśmiechając się nieznacznie. - Pójdziemy do kościoła pomo-
dlić się za dziecko i podziękować Bogu za szczęśliwe roz-
wiązanie. - Matka przełożona posuwistym krokiem wyszła
z izby, a za nią podażyły siostry Winifreda i Josepha.

- Jeśli Willa ma jechać do pana Ranulfa, kto będzie
doglądał Elf? - zapytała siostra Columba.

- Ja się panią zajmę. Niech się siostra nie martwi - uspoka-
jała ją Orva.

- Ale ty musisz tu posprzątać...

- Proszę iść z przeoryszą - poprosiła uprzejmie Orva, rozu-
miejąc niepokój zakonnicy. Przecież Columba i jej pani są ser-
decznymi przyjaciółkami od najmłodszych lat. - Po modlitwie
siostra wróci doglądać pani. Bardzo mi się przyda pomoc sio-
stry - tłumaczyła łagodnie.

- Masz rację - pokiwała głową zakonnica i pośpieszyła za swymi towarzyszkami.

- Sama potrafisz osiodłać konia. Więc idź do stajni i ruszaj w drogę - zwróciła się Orva do córki. - Przekaż panu, że pani ma się dobrze, a syn, dzięki Bogu, jest zdrowy. Wróc razem z nim, bo będziesz mi tu potrzebna. Aha, i spraw, żeby Ida nie przyjechała. Nacieszy się dzieckiem, kiedy za parę dni wrócimy do Ashlinu. Uważam, że pani powinna wyznaczyć młodszą kobietę na piastunkę dla swego synka. Ida ma ponad siedemdziesiąt lat. Ciekawe, kiedy ona wreszcie pogodzi się ze swoim wiekiem i zechce odpocząć, wygrzewając stare kości na słońcu.

- Może uważa, że będzie mieć na to dość czasu po śmierci, matko - zdobyła się na uwagę Willa, powodowana współczuciem dla babki. - Ida pragnie być użyteczna. Czy ty, gdybyś była w jej wieku, chętnie zrezygnowałabyś z tego, co nadaje sens twemu życiu, i siedziałabyś beczynnienie?

Orva wbiła w córkę surowy wzrok. Zawsze uważała Willę za niezbyt rożgarnięte stworzenie. Zaskoczyła ją jej trafna uwaga.

- Pośpiesz się, dziewczyno - ponagliła córkę, pozostawiając bez odpowiedzi jej śmiałe pytanie. Nie - przyznała w duchu - z pewnością nie podda się upływowi czasu, ale przecież ma zupełnie inny charakter niż jej teściowa.

Willa, jakby czytając w jej myślach, posłała matce triumfalny uśmiech i wybiegła z domu, kierując się przez dziedziniec do stajni. Ponieważ nigdzie nie było widać siostry Josephy, osiodłała konia, pomachała na pożegnanie siostrze Perpetui, wyjechała za bramę i rażnym truchtem ruszyła do Ashlinu.

Na miejscu niezwłocznie odszukała Cedrica.

- Gdzie pan? Przywożę wiadomości!

Natychmiast wprowadzono ją do dużej izby.

- Panie! - Podbiegła do stołu, ledwo pamiętając o ukłonie. - Masz syna! Dziś w klasztorze St. Friedeswide przyszedł na świat twój syn! Pani czuje się dobrze. Och... ! - Dopiero teraz Willa zauważyła drugiego rycerza. Ten szlachetny pan gościł u nich parę tygodni temu. Wyglądał bardzo godnie. - Daruj, panie - spłoniła się. - Tak mi było śpieszno przekazać ci wiadomość, że nie zauważyłam, iż masz gościa.

Twarz Ranulfa promieniała szczęściem.

- Wybaczam ci, Willo. Powiedz, dziewczyno, czy chłopak jest zdrowy. A moja cudowna małżonka dobrze się czuje?

- Tak, panie - uspokoiła go, po czym zdała relację z wydarzeń dnia. - Panie, pojedziesz ze mną do klasztoru? Przystano mnie po ciebie. Pani pragnie cię zobaczyć.

- Idź do kuchni i posil się - polecił Ranulf. - Potem wrócisz ze mną do klasztoru. Bądź gotowa do drogi najdalej za godzinę.

- Tak, panie. - Willa ukłoniła się i zniknęła w kuchni. Była głodna jak wilk, cały dzień nic nie jadła.

- Gratuluje, Ranulfie - odezwał się Garrick Taliferro. - To wspaniała sprawa mieć syna. Doczekałeś się potomka.

- Mam nadzieję, że pierwszego z wielu. - Ranulf nie przedstawiał się uśmiechać. Nagle spoważniał. - Po drodze do Worcesteru zajedziemy do klasztoru. Powiadasz, iż nie znasz powodu, dla którego książę Henryk życzy sobie mnie zobaczyć?

- Nie. Mogę ci jedynie wyznać, że książę przyjechał do Worcesteru w tajemnicy i polecił mi ciebie sprowadzić. Im szybciej tam się znajdziemy, tym prędzej się dowiesz.

- Będziemy musieli zanocować w klasztorze - stwierdził Ranulf. - Do St. Friedeswide dojedziemy tuż przed zmierzchem i wyruszymy stamtąd dopiero rano.

- Nie liczyłem, że przybędziemy do Worcesteru prędzej niż za tydzień - wyznał sir Garrick. - Książę będzie szczęśliwy, widząc nas tak rychło.

Chwilę później dwaj rycerze w towarzystwie służącej wyruszyli w drogę do St. Friedeswide. Kiedy stanęli u bram klasztoru, słońce skryło się za wzgórza dzielące Anglię od Walii. Siostra Perpetua otworzyła wrota, witając ich szerokim uśmiechem. Podróżni zsiadli z koni przed stajnią, powierzając je siostrze Josephie.

- Bogu dzięki, panie, żeś tak szybko przyjechał! - powiedziała przeorysza, wychodząc im naprzeciw. - Pani się niecierpliwi, a i ty, panie, zapewne jak najprędzej chcesz ujrzeć syna - uśmiechnęła się do Ranulfa.

Ranulf odniósł wrażenie, że wszystkim dokoła niego uśmiech nie schodzi z twarzy. Świeżo upieczony ojciec najpierw przedstawił swego towarzysza, a potem zwrócił się z prośbą do przeoryszy:

- Matko przełożona, sir Garrick i ja prosimy cię o udzielenie nam gościny na jedną noc.

- Z radością was przenocuję.

- Gdzie Eleanore?

- Willa zaprowadzi cię, panie, do hospicjum - odrzekła przeorysza. - Rzadko się zdarza, by zatrzymywali się u nas mężczyźni - dodała. - Służąca pani Eleanore wskaże ci, panie, miejsce do spania. Dostaniecie również wieczerzę. - Przeorysza pożegnała ich skinieniem głowy i oddaliła się.

Mężczyźni podążyli za Willą do hospicjum. Dziewczyna powiodła sir Garricka do komnaty, w której mieli nocować, natomiast uwagą Ranulfa całkowicie zawładnęła Orva, która wybiegła mu na powitanie.

- Witaj, panie! - Kucnęła w ukłonie. - Pani prosi, abyś jak najszybciej przyszedł i zobaczył małego panicza Simona Huberta.

- Czy bardzo cierpiała? - zapytał akuszerkę.

Orva pokręciła głową.

- Należałoby się spodziewać, że ta drobna dziewczyna bardziej się namorduje przy narodzinach takiego dużego chłopaczka. Poród trwał zaledwie kilka godzin i dziecko rodziło się lekko. Rzadko się zdarza widzieć coś takiego. Zupełnie jakby aniołowie czuwali nad panią.

- Bo i tak było - powiedział wzruszony. - Nie ma lepszej kobiety niż moja Eleanore, Orvo.

- Pani jest tam - Orva wskazała na drzwi sypialni. Ranulf, nie zwlekając, wszedł do środka.

- *Petite!* - Klęknął przy łożu i złożył pocałunek na czole Elf. Elf uśmiechnęła się do męża. Boże drogi, jak ona go kocha!

- Nareszcie jesteś! - westchnęła. - Chciałam posłać po ciebie, kiedy się zaczęły bóle, ale Orva powiedziała, że mężczyzna jest zbyt cenny podczas porodu. Zajrzyj do korytka przy kominku. To twój syn, Ranulfie.

- Dobrze się czujesz, *petite*?

Pokiwała głową.

- Idź i zobacz Simona Huberta! To najpiękniejsze dziecko pod słońcem.

Podniósł się i podszedł do prowizorycznej kołyski. Przyklęknął i z nieukrywanym podziwem przyglądał się synkowi

ściącemu na brzuszku, jego ułożonej na bok, kształtnej główce pokrytej rudawym puszkciem.

- Ma twoje włosy - zauważył z czułością i nieśmiało dotknął palcem główki niemowlęcia. - Jest śliczny. - Wstał znad kołyski, przysunął stołek do łoża i usiadł przy Elf. - Umówiliśmy się co do Simona. A dlaczego Hubert?

- Ranulfie, dzisiaj przypada dzień świętego Huberta - wyjaśniła. - To patron myśliwych. Imię wydaje mi się bardzo męskie. Ale chrzest odbędzie się dopiero jutro, więc jeśli nie chcesz, możemy z niego zrezygnować.

- Nie, Eleanore. Myślę, że to bardzo dobre imię.

- Miałaś rację, Ranulfie. Nie powinnam była udawać się w podróż do St. Friedeswide tuż przed rozwiązaniem, ale nawet przez myśl mi nie przeszło, że tutaj właśnie urodzę.

Ujął jej rękę i, tak jak lubiła, po kolei całował palce.

- *Petite*, nie ukrywam, że wolałbym, aby nasz pierworodny przyszedł na świat w Ashlinie, jednak tutaj byłaś równie bezpieczna jak w domu. Rozumiem, że lepiej znosiłaś cierpienie otoczona przez bliskie ci zakonnice. Nie gniewam się na ciebie.

- Były wspaniałe, Ranulfie! Przeorysza pozostała oprowadzana jak zawsze. Siostra Winifreda przyniosła mi zioła uśmierzające ból i sporządziła napój nasenny. Siostra Josepha wyczyściła korytko, wyłożyła je pachnącym sianem i wysłała płótnem, żeby zastąpiło Simonowi kołyskę. Matti ani na chwilę mnie nie odstępowała. Dzięki nim wszystkim i ich modlitwom udało mi się pozbyć obaw, które po cichu żywiłam.

- Eleanore, pomyślimy o jakimś godnym prezencie dla zakonu, żeby okazać w ten sposób naszą wdzięczność.

- Czy wrócimy jutro do domu? - zapytała z nadzieją w głosie.

Jakiż on przystojny! - pomyślała, patrząc na męża. Taki silny, a przy tym niezwykle delikatny! Kochała go, a jednak nie miała odwagi powiedzieć mu o swoim uczuciu. Wzrok Elf powędrował ku synkowi. To dziecko to prawdziwy cud.

Rozmyślenia Elf przerwał głos Ranulfa.

- Uważam, że powinnaś odpocząć parę dni, zanim zawieziemy cię do domu. Rankiem udaję się do Worcesteru. Zajadę tutaj w drodze powrotnej i razem wrócimy do domu, *petite*.

Orva twierdzi, że miałaś lekki poród, ale nie zaszkodzi ci parę dni odpoczynku. Wydałem już odpowiednie dyspozycje, za tydzień zjawi się tu sześciu zbrojnych mężczyzn z Ashlinu, aby nas eskortować. Przrzekasz, że nie będziesz próbowała wyjeżdżać stąd sama, *petite*?

- Tak. - Elf była zaskoczona. - Po co jedziesz do Worcesteru?

- Przysłał po mnie ksiązę Henryk, który przebywa tam potajemnie. Nie pytaj mnie, dlaczego, bo nie wiem, co się za tym kryje. Ksiązę wie o mojej lojalności w stosunku do króla Stephena, więc jestem pewien, że nie chodzi o żaden spisek. Przyjechał po mnie sir Garrick. Uważam go za człowieka honoru. *Petite*, nie zaszkodzi nam, jeżeli będę mógł w jakiś sposób przysłużyć się przysłtemu władcy, pozostając przy tym lojalnym wobec króla Stephena. Ksiązę Henryk jest powszechnie uważany za prawego człowieka, więc nie sędzę, by wzywał mnie do Worcesteru w jakimś niegodziwym celu.

- Ciekawe, czego może chcieć - zastanawiała się Elf. - Jeżeli jest coś takiego, czego nikt inny nie potrafi dokonać, a ty sobie z tym poradzisz, ksiązę Henryk będzie musiał okazać ci wdzięczność. To może otworzyć pewne możliwości przed naszym synem. - Elf zaczynała myśleć jak ambitna matka. - Czy czasem para książęca nie ma małego synka? Może w przyszłości Simon mógłby służyć na dworze. Gdyby dorastał razem z małym księciem, mogliby zostać przyjaciółmi. Bliżskimi przyjaciółmi. Jakaż to wielka szansa dla naszego dziecka, Ranulfie! Jeżeli się dobrze przysłużysz księciu Henrykowi, możemy mieć z tego ogromne korzyści!

Ranulf de Glandeville ze zdumieniem przyglądał się swojej żonie. Oto nowy rys jej charakteru, którego istnienia nie podejrzewał. Zaledwie parę godzin temu powiła potomka, a już budzą się w niej aspiracje, by zapewnić dziecku wspaniałą przyszłość. Ranulf nie wiedział, czy powinien być zadowolony, czy raczej obawiać się tej nowej Eleanore.

- *Petite*, prości rycerze rzadko, jeśli w ogóle, miewają okazję czynić tak wielkie przysługi możnym tego świata, by ci nagradzali ich aż tak wspaniałomyślnie. Noszę zbyt skromne nazwisko, aby mój syn mógł zostać towarzyszem zabaw księcia Williama - uśmiechnął się do niej i poklepał ją po ręce.

- Nigdy tego tak do końca nie wiadomo, mój panie - odparła Elf.

Ranulf roześmiał się pod wąsem. Jego żona nie zamierzała łatwo zrezygnować ze swych marzeń.

- Książę Henryk - tłumaczył - nie zna tych ziem. Prawdopodobnie chce się o nich co nieco dowiedzieć od ludzi, którzy mają majątki na tym obszarze. Zostałem wyznaczony do objęcia Ashlinu z powodu jego położenia na granicy angielsko-walijskiej. Książę Henryk jest świetnym strategiem, Eleanore. Może zastanawia się nad inwazją na Walię po objęciu angielskiego tronu. *Petite*, nie przychodzi mi do głowy żaden inny powód, dla którego książę mógłby po mnie posłać. - Ranulf podniósł się ze stołka i nachylając się nad Elf, delikatnie pocałował ją w usta. - Eleanore, miałaś ciężki dzień. Musisz się przespać i nabrać sił. Od jutra będziesz karmić naszego synka.

- Zajdziesz do mnie przed wyjazdem? - zapytała niespokojnie. - Ranulfie, nie odjeżdżaj, nie pożegnawszy się z nami. Poza tym Simon musi zostać ochrzczony, zanim udasz się w drogę.

- Nie wyjadę przed chrztem - obiecał i wyszedł.

Do komnaty wsunęła się Willa, podeszła do niby-kołyski, wyjęła z niej Simona i przyniosła go Elf.

- Pani, mama mówi, że musisz spróbować go nakarmić. Mleko się jeszcze nie pojawi, ale ten płyn, który masz w piersiach, jest dla niego bardzo odżywczy.

Elf przemogła się, aby usiąść. Kiedy wreszcie usadowiła się w miarę wygodnie, rozwiązała tasiemki przy koszuli i wyciągnęła ramiona po synka.

- Co mam robić? - zapytała Willę, kiedy Simon zaczął trącać ją buzią w pierś.

- Pani, po prostu wsuń mu brodawkę w usta. Dalej sam sobie poradzi - nauczyła ją Willa. - Wiele razy widziałam, jak mama tak robiła.

Podtrzymując synka ramieniem, Elf przyłożyła sutek do jego maleńkich usteczek. Usta otworzyły się i zacisnęły ze zdumiewającą siłą.

- Matko Boska, zupełnie jak jego ojciec! - zawołała zaskoczona Elf i natychmiast się zarumieniła, zdając sobie sprawę, co się jej wymknęło. Willa zachichotała. Elf zafascynowana

przyglądała się, jak dziecko łapczywie i z wielką determinacją ssie pierś. Jego maleńkie niebieskie oczka patrzyły na nią z zainteresowaniem. - Tak - przemówiła do niego. - Jestem twoją mamą, Simonie Hubercie. Nigdy nie przypuszczałam, że zostanę matką, no i zobacz, synku, co się porobiło!

Do sypialni zajrzała Orva.

- Och, pani, zaczęłaś go już karmić. Bardzo dobrze! To ogromny chłopak. Proszę go przystawić do drugiej piersi, to pobudzi je do wytwarzania mleka. Za dzień, dwa będziesz go, pani, mieć pod dostatkiem.

Elf przystawiła protestujące niemowlę do lewej piersi. Apetyt Simona wcale nie osłabł. Jednak po chwili powieki zaczęły mu opadać, główka osunęła się na bok i w jednej chwili zasnął kamiennym snem. Orva ułożyła dziecko do snu i poleciła córce czuwać przy nim, dopóki ktoś jej nie zmieni.

- Mają teraz w klasztorze trzy postulantki i dwie nowicjuszki - wyjaśniła swej pani. - Przeorysza powiedziała, że w nocy będą na zmianę siedzieć przy dziecku, abyśmy się mogły przespać. Jesteś głodna, pani?

- Czuję się zmęczona - powiedziała Elf.

- W takim razie proszę spać - doradziła Orva. - Dziś się natrudziłaś, pani, a dzięki Bogu i Najświętszej Paniencie na świecie wokół nas panuje pokój.

12

Dwa dni później sir Garrick Taliferro i Ranulf de Glandeville osiągnęli cel podróży. Usytuowany na wschodnim brzegu rzeki Severn Worcester był pięknym, małym miasteczkiem o długiej i burzliwej historii. Ku zaskoczeniu Ranulfa książę Henryk zatrzymał się u biskupa. Przed piętnastu laty, kiedy wojska księżniczki Matildy podpaliły miasto, Worcester poważnie ucierpiał na skutek pożaru, ale na szczęście nie został doszczętnie zniszczony. Przetrwał również atak oddziałów króla Stephena pięć lat temu. Wzniesiono na nowo zrównane z ziemią domy i odbudowano katedrę, tylko wieża nadal leżała w gruzach, czekając na lepsze czasy.

Ponieważ wizyta księcia była tajna, nie towarzyszyły jej

przepych i pompa. Ranulfa wprowadzono do niewielkiej, wyłożonej drewnem komnaty, w której rażno płonął ogień w kominku, ogrzewając pomieszczenie w to chłodne i wilgotne popołudnie pierwszej dekady czerwca.

- Witamy, sir Ranulfie! - pozdrowił go Henryk z Anjou ze zdawkowym uśmiechem.

Ranulf skłonił się, spostrzegając w tej samej chwili, że jest znacznie wyższy od księcia. Zgarbił się odruchowo, lecz księżę zauważył jego gest i najzwyczajniej w świecie się roześmiał.

- Nie ma sposobu, mój panie - odezwał się dziwnie chropawym głosem - byś ukrył swój wzrost. Jesteś wyższy niż przeciętni mężczyźni. Mnie wystarczy to, co mam, bo góruję nad większością rozumem. Gdybym się obrażał na każdego człowieka, który jest ode mnie wyższy, nie miałbym w ogóle przyjaciół. Siadaj, proszę, porozmawiamy.

Obaj mężczyźni zajęli miejsca na ustawionych naprzeciw siebie krzesłach o wysokich drewnianych oparciach i tapicerowanych siedzeniach.

- Potrzebna mi twoja pomoc, Ranulfie de Glandeville - zaczął księżę. - Król Stephen nie czuje się dobrze. W krótkim czasie stracił ukochaną żonę i tego mojego przekłętą kuzyna Eustace'a. Jest załamany i sprawia wrażenie nieobecnego ducha. Niewiele go obchodzi, co się wokół niego dzieje, przestał się interesować sprawami Anglii. Utracił całą radość życia. Mało prawdopodobne, by ją kiedykolwiek odzyskał. Według posiadanych przeze mnie informacji nie pozostało mu wiele czasu. Panuje pogląd, że przed końcem roku zostanę królem Anglii. Uważam, że to całkiem możliwe.

Sukcesja została już ustalona i mam błogosławieństwo kleru. Jednak niepokoję się, że angielscy baronowie zaczną się ferment, kierując się prywatą, tak jak to było podczas walk o władzę między moją matką a jej kuzynem. Muszę jak najszybciej wrócić do Normandii, uporządkować sprawy na moich ziemiach i terenach należących do żony, a także wyznaczyć namiestników, którzy w moim imieniu będą sprawować rządy w Normandii, kiedy zostanę królem Anglii. Czekają mnie dwie przeprawy przez kanał. Kiedy powrócę tu jesienią, przywiozę ze sobą żonę i syna, aby pokazać Anglii królową i następcę tronu. Ufam, że ich widok zapobiegnie zamiesz-

kom. Ranulfie, chcę, żebyś towarzyszył mi do Normandii. Nikt się nie może dowiedzieć, że Alienor i William przybędą do Anglii w tym samym czasie co ja. Liczę na twoją dyskrecję, bo właśnie tobie zamierzam powierzyć eskortowanie mej żony i syna.

- Mnie? - Ranulf oniemiał ze zdumienia. - Panie, czyż ten wielki zaszczyt nie powinien przypaść komuś znaczniejszemu ode mnie? Jestem zwykłym rycerzem, a moje dobra nie są zbyt rozległe. Co prawda Ashlin ma strategiczne znaczenie, ale ja jestem tylko skromnym człowiekiem, który pragnie ci lojalnie służyć.

Książę utkwiał bystre szare oczy w Ranulfa.

- Mój wybór padł na ciebie właśnie z tych powodów, które wymieniłeś, starając się mnie przekonać, żeś niegodny tej misji, Ranulfie de Glandeville. Moim życzeniem jest, aby sprowadzić żonę i syna do Anglii bez rozgłosu. Nie powierzę tego zadania żadnemu z potężnych panów, bo silny baron mógłby uznać, że poprzez pieczę nad moją żoną i synem zyskał władzę nade mną. Do tego nie mogę dopuścić, a w przypadku twojej osoby nie ma takiego zagrożenia. Jesteś uczciwym człowiekiem. Wiem, że ci mogę zaufać, Ranulfie de Glandeville. Królowa musi stanąć u mego boku. Kiedy i ona, i dziecko tu dotrą, będę mógł ich odpowiednio chronić. Natomiast podróż napawa mnie niepokojem. Za kilka dni wracam do Normandii. Dołączysz do mego orszaku. Będziesz jednym z wielu rycerzy, nikt nie będzie niczego podejrzewał, co najwyżej twoja obecność zostanie odczytana jako chęć okazania mi lojalności w związku z kończącym się panowaniem króla Stephena. - Książę dostrzegł nieszczęśliwy wyraz twarzy Ranulfa. - O co chodzi, rycerzu? - zapytał zaniepokojony.

- Moja żona, która też ma na imię Eleanore, dwa dni temu powiła naszego pierwszego syna. Była z wizytą w zaprzyjaźnionym klasztorze St. Friedeswide, gdy chwyciły ją bóle. Zajechałem tam w drodze do ciebie, panie, żeby zobaczyć żonę i dziecko. Obiecałem Eleanore, że wrócę i zabiorę ją razem z synem do Ashlinu. Jeżeli mam być przy tobie podczas podróży do Normandii, jak dotrzymam obietnicy złożonej żonie?

- Czy nie ma w twej posiadłości giermka ani żadnego inne-

go rycerza, który mógłby przywieźć żonę i dziecko do domu? - zapytał nieco zniecierpliwiony książę.

- Panie, jak już wspominałem, Ashlin jest nieduży. Zapewne powinienem był pomyśleć o giermku, ale dopóki się nie ożeniłem, nie było mnie na niego stać. Czy bardziej rzucałbym się w oczy, gdybym przybył do Normandii sam? Tak jak powiedziałeś, panie, zapewne i w tym przypadku uznano by mnie za jeszcze jednego rycerza, który pragnie złożyć ci hołd, gdy losy kraju są przesądzone

- Czy to twoje pierwsze dziecko?

- Tak. - Ranulf nie potrafił ukryć radości. - Chłopak ma na imię Simon Hubert. Przyszedł na świat w dzień świętego Huberta, jak powiedziały żonie zakonnice. Eleanore uważa to imię za bardzo męskie.

Książę Henryk zaśmiał się rozbawiony.

- A kochasz ty swoją żonę, Ranulfie de Glandeville? Ja szaleję za moją Alienor! Była królową Francji, ale ten błazen Louis potrafił spłodzić z nią jedynie dwie córki. Dopuścił, aby rozwiązano jego małżeństwo z powodu więzów krwi. Co za głupiec! Ja nie tylko zagarnąłem jego ziemię, lecz także doczekałem się syna z Alienor, gdy tymczasem jego biedna druga żona, Konstancja z Kastylii, powiła mu trzecią córkę! Uwielbiam moją Alienor! Kochasz Eleanore?

- Kocham, panie - powiedział cicho Ranulf, otwierając duszę nie przed tą osobą, której należało się owo wyznanie. - Eleanore została by zakonnica, gdyby nie umarł jej brat. Ona jest prawdziwym skarbem, panie. Nigdy nie sądziłem, że taki zahartowany na wojnach żołnierz, jak ja, ożeni się kiedykolwiek, i to w dodatku z taką słodką istotą, jak moja Eleanore.

- Zapewniono mnie, że Stephen przetrwa lato - powiedział książę Henryk. - Daję ci miesiąc na uporządkowanie swoich spraw. Ale przed dniem świętego Swithena musisz wyruszyć w drogę do Normandii. Płyn do Barfleur, a stamtąd kieruj się na Rouen. Zamierzam zawieźć żonę i syna na pierwszą wizytę do matki. W Rouen dołączysz do orszaku. Ranulfie, bardzo dobrze, że kochasz swą żonę. To mi daje pewność, że otoczysz moją małżonkę staranną opieką i bezpiecznie przywieziesz ją do Anglii. Kiedy przybędziesz do Normandii, omówimy szczegóły związane z przeprawą mojej rodziny.

Ranulf de Glandeville wstał i skłonił się nisko przed księciem.

- Co tylko rozkażesz, panie.

- I nikomu ani pary z ust o tym, co tu mówiliśmy. Ewentualnie możesz zwierzyć się żonie, pod warunkiem, że ufasz jej, iż tego nie rozpowie.

- Rozumiem, panie. - Ranulf wycofał się z małej komnaty na korytarz. Ponieważ nikt na niego nie czekał, skierował się do stajni, gdzie w przestronnym boksie stał jego koń. Ranulf odpassał miecz i wyciągnął się na stercie świeżego siana w głębi boksu. O brzasku obudziło go światło, przenikające do stajni przez szczelinę w ścianie. Ranulf wstał, ulżył sobie w kącie, przypasał miecz i wyszedł z boksu.

- Za pół godziny koń ma być osiodłany - rzucił parobkowi, który usuwał nawóz z boksu naprzeciwko, po czym wyszedł ze stajni, ochlapał się wodą z koryta do pojenia koni i przygładził włosy mokrymi rękami. Następnie, podążając za grupą księży zmierzających do biskupiego pałacu, trafił do przestronnej izby, gdzie właśnie roznoszono śniadanie. Na stołach stały kosze z chlebem i drewniane kufle, które służący napełniali piwem. Na każdym ze stołów leżał również krążek sera. Ranulf sięgnął po bochenek chleba, a także wyciął nożem klin sera.

Jadł w milczeniu, ponieważ nie dostrzegł nikogo znajomego przy żadnym z sąsiednich stołów. Nigdzie nie było widać Garricka Taliferra, ale się tym nie przejął. Przynajmniej nie musiał się tłumaczyć, dlaczego księżę chciał go widzieć. Kiedy skończył się posilać, schował połowę chleba i sera, ponieważ nie wiedział, kiedy znowu będzie miał okazję coś zjeść. Na koniec dopił resztkę piwa, wstał z ławy i opuścił izbę. Osiodłany koń czekał przywiązany do słupka przed stajnią. Stajenny gdzieś zniknął, więc Ranulf wskoczył na grzbiet swego wierzchowca i odjechał.

Kiedy znalazł się za bramą i skierował konia na drogę wiodącą do Ashlinu, słońce dopiero wpłynęło na niebo. Gdy stanęło w zenicie, Ranulf zatrzymał się przy strumieniu i napił konia. Dał zwierzęciu szczypać trawę, a sam usiadł pod drzewem i dojadł resztę chleba z serem, gasząc pragnienie lodowatą wodą. Odświeżony, wsiadł na wierzchowca i ruszył w dalszą drogę. Był czerwiec, zmierzch zapadał późno. Ranulf

odetchnął z ulgą, kiedy na horyzoncie zamajaczyły zarysy klasztoru, w którym wraz z Garrickiem zatrzymał się w drodze do Worcesteru. Kiedy podjechał pod bramę, poprosił furtiana o nocleg.

Przybył w samą porę, bo w refektarzu akurat podawano skromny posiłek dla wędrowców. Ranulf dostał mały bochenek chleba, kawałek duszonej tuszki z królika i niewielki kufel piwa. Mnich sprawujący pieczę nad hospicjum, widząc, jak szybko potężny rycerz pochłonął swoją porcję, powodowany współczuciem przyniósł mu dodatkowy kawałek mięsa.

- Dokąd jedziesz, panie? - zaciekał się mnich.

- Do St. Friedeswide - odparł Ranulf, kiwając głową w podziękę za dokładkę. - Moja żona pojechała tam z wizytą i akurat urodziła mi syna. - Chwilę żuł w milczeniu, zastanawiając się, co powiedzieć. - Bawiłem w Worcesterze, kiedy przejeżdżający przez miasto wędrowiec przekazał mi tę wiadomość - skłamał. - Jadę teraz do St. Friedeswide, żeby zabrać żonę i dziecko do domu, do Ashlinu.

- Do Ashlinu? Jesteś panem Ashlinu? - zapytał mnich.

- Tak.

- Mieszkacie bardzo blisko walijskiej granicy. Doszły mnie słuchy, że ostatnio Walijczycy podnoszą głowę.

- Dwór jest dobrze chroniony, bracie. Mury są wysokie, a ludzie wyszkoleni we władaniu bronią.

- Na niewiele się to zda, jeśli podpalą wam zbiory i ukradną zwierzęta - odrzekł mnich. - Oni robią to dla czystej przyjemności niszczenia. Walijczycy są bezbożnikami, panie.

- Więc proszę cię, bracie, o modły w intencji Ashlinu. - Ranulf był szczerze zaniepokojony. - Czyżbyś miał jakieś świeże wieści?

- Znowu zaczęły się najazdy. To tu, to tam Walijczycy robią krótkie wypadki poza granicę swych ziem. Jeden z tych bandytów zyskał szczególnie złą sławę. Nazywa się Merin ap Owen. Podobno towarzyszy mu złotowłosa jędrza, nie mniej żadna krwi od niego. Jego ludzie nikogo nie zostawiają w spokoju. Kilka tygodni temu napadli na mały klasztor St. Bride. Wymordowali starsze zakonnice, a młodsze zgwałcili i potem pozabijali. Ludzie powiadają, że doszło tam do rzezi. - Mnich ze smutkiem pokręcił głową. - Nie powinieneś, panie, samotnie podróżować.

- Jestem dobrze uzbrojony - uspokoił go Ranulf. - Poza tym, braciszku, nie wyglądam na kogoś, na kogo warto napisać.

- Masz konia, panie.

- To prawda. Ale zapewniam cię, że mojego Shadowa nie dogoni żaden z koni tych bandytów.

- Będę się za ciebie modlił, synu - obiecał mnich. - Za ciebie i za Ashlin.

Ranulf z ulgą spostrzegł, że jest jedynym podróżnym, który zatrzymał się na nocleg w klasztorze, i że nie będzie musiał z nikim dzielić siennika. Wstał, gdy jeszcze było szaro na dworze, i udał się do skromnego kościółka, żeby razem z mnichami odmówić primę. Potem dostał niezwykle pożywne śniadanie - owsiankę i ciepły chleb. Zjadł owsiankę i połowę bochna chleba, natomiast drugą połowę schował do sakwy na później. Na koniec wypił kubek jabłecznika, podziękował mnichom za gościnę, położył na stole monetę i skierował się do stajni po konia. Ponieważ o zwierzę zadbano równie starannie jak o jego właściciela, w odruchu wdzięczności podarował monetę również mnichowi opiekującemu się stajnią.

Jechał bez ustanku do południa. Potem zatrzymał konia na krótki popas, napił go, a sam zjadł chleb. Wieczorem dotrzedo St. Friedeswide. Czeka go tam kolejny, prosty posiłek. Tęsknił za domem, za obfitymi wieczerzami, na które składały się gorące, pieczone króliki w sosie z wina, soczyste krewetki i słodki pudding. Oczywiście duszy widział ser... i masło. Glinianą miseczkę pełną świeżego masła, którym smarował gorący chleb. Ranulf roześmiał się, dosiadając konia. Zaczynał się przyzwyczajać do wygodnego życia ziemianina. Ciężko byłoby mu teraz tłuc się po drogach jak zwykłemu rycerzowi.

Czy okazał się nielojalny w stosunku do króla Stephen? - zapytywał się w duchu. Książę Henryk nie żądał od niego niczego szczególnego, więc wykonując zadanie, jakie mu powierzył, nie złamie słowa danego Stephenowi. Przecież już przysiągł, że będzie wiernie służył Henrykowi, gdy ten zostanie królem - rozumował Ranulf. Odda Henrykowi z Anjou ceną przysługę, sprowadzając do Anglii jego żonę i syna. Na co może liczyć w zamian? Królowie byli znani ze swej hojności w stosunku do wiernych poddanych. Czego Ranulf pragnie? Książę Henryk na pewno zada to pytanie.

Ranulf zastanawiał się chwilę. Nagle przyszło olśnienie. Chce zgody na budowę zamku! Aby skutecznie bronić granicy między Walią a Anglią, Ashlin musi stać się twierdzą! Ranulf nie miał prawa zbudować zamku bez królewskiej zgody. Musi więc zaskarbić sobie wdzięczność przyszłej królowej, bo jej poparcie może okazać się przydatne. Uśmiechnął się przebiegle. Eleanore będzie z niego dumna, bo myśli teraz jak zapobiegliwy mąż, ojciec i prawdziwy ziemianin. Zaśmiał się radośnie, a koń zastrzygł uszami, zaskoczony niespodziewanym hałasem.

Zmierzchało, a on ciągle jechał. Wreszcie z półmroku wyłonił się klasztor. Na jego widok puścił konia żwawszym truchtem, pragnąc jak najszybciej znaleźć się u celu podróży. Siostra Perpetua stała przy bramie, której jedno skrzydło było otwarte, a drugie pozostało zamknięte. Gdy tylko przejechał bramę, wrota zatrzasnęły się z głuchym łoskotem. Ranulf zsiadł z konia i pomógł zakonnicy zasunąć masywny, drewniany rygiel.

- Dziękuję - odezwała się furtianka. - Czekaliśmy na ciebie, panie. Eleanore była pewna, że wrócisz, zanim się ściemni.

- Obiecałem jej, że nie zabawię długo w Worcesterze - odpowiedział Ranulf. - Siostrze, czy moi ludzie już dotarli?

- Przyjechali przed wieczorem, panie. Ulokowałyśmy ich w stajni, razem z końmi. Matka przełożona uznała, że tak będzie najlepiej.

- Dziękuję. Gdzie jest przeorysza? Chcę złożyć jej wyrazy uszanowania, zanim pójde do żony i dziecka.

- Znajdziesz ją w kapitularku.

Pośpiesznie udał się we wskazane miejsce i znalazł matkę Eunice w komnacie, w której zajmowała się prowadzeniem klasztornych ksiąg. Drzwi były otwarte, przeorysza podniosła głowę znad długiego dębowego stołu.

- Wejdz, sir Ranulfie.

Przysiadł na krześle stojącym przed stołem.

- Matko przełożona, chcę się podzielić z tobą wiadomościami, które muszą zostać utrzymane w tajemnicy - wyznał. - Nie chodzi tu o żaden spisek, ale kiedy ci wszystko opowiem, sama zrozumiesz, że dyskrecja jest konieczna.

- Mów, sir Ranulfie.

- Król umiera - zaczął. - Książę Henryk, którego wasalem zostanę po śmierci Stephena, nakazał mi, abym udał się do Normandii i przywiózł do Anglii jego żonę i syna. Wybór padł na mnie, bo książę życzy sobie, aby misja została przeprowadzona w tajemnicy. Nikt, a szczególnie potężni baronowie nie mogą się dowiedzieć, jakim sposobem przyszła królowa znalazła się w Anglii. Książę na dniach wraca do Normandii. Ja wyruszam tam za miesiąc. Zadanie jest proste, ale chcę, żeby przełożona wiedziała o wszystkim, bo w razie gdyby coś mi się przytrafiło, liczę, że matka pomoże mojej żonie.

- Rozumiem cię, panie. Czy wyjawisz Eleanore, dokąd się udajesz i po co?

- Tak. Nie mamy przed sobą tajemnic.

- O co zamierzasz poprosić księcia w zamian za przysługę, sir Ranulfie? - postawiła rzeczowe pytanie przeorysza.

- Jeżeli moja misja zakończy się powodzeniem, poproszę go o wyrażenie zgody na budowę zamku w Ashlinie.

Przeorysza z uznaniem pokiwała głową.

- Jesteś mądrym człowiekiem - pochwaliła go. - Mając zamek, łatwiej ci będzie strzec tego kawałka przygranicznej ziemi.

- Matko, chciałbym porozmawiać z tobą o jeszcze jednej sprawie. Doszły mnie słuchy, że Walińczycy znowu napadają. Jest między nimi jeden szczególnie okrutny bandyta, Merin ap Owen. Spalił klasztor i dokonał rzezi na jego mieszkankach. Ludzie mówią, że podczas wypadów towarzyszy mu kobieta. Bądźcie czujne. Pilnuj, aby St. Friedeswide było odpowiednio zabezpieczone tak w dzień, jak i w nocy.

- Zazwyczaj zostawiano nas w spokoju, jako że powszechnie wiadomo, iż zakon nie jest bogaty. Nie posiadamy srebrnych i złotych świeczników ani relikwiarzy.

- Macie owce i bydło.

- To prawda - przytaknęła zadumana przeorysza. - Jeśli Walińczycy napadną na St. Friedeswide, zabiorą zwierzęta, a nas zostawią w spokoju.

- Ten Merin ap Owen jest człowiekiem pozbawionym sumienia. Matko przełożona, w tamtym klasztorze, który zrównał z ziemią, jego ludzie zgwałcili młodsze zakonnice. On nie jest zwykłym rabusiem, to morderca i barbarzyńca. - Ranulf

uniósł się z miejsca. - Pójdę teraz do żony i syna. Czy nadal dobrze się czują?

- Tak - odparła przeorysza, myśląc o tym, co usłyszała od Ranulfa. Należy się bać człowieka, który podnosi rękę na zakonnicę. Muszą się modlić o to, by ów Merin ap Owen nie upatrzył sobie ich klasztoru.

Ranulf opuścił kapitułarz i przeszedł przez dziedziniec do hospicjum. Wchodząc do środka, pozdrowił Orwę i Willę. Jego spojrzenie pomknęło ku Eleanore, która z Simonem przy pierśsi siedziała w pobliżu kominka.

- *Petite!* - zawołał ją, a kiedy spojrzała na niego, jej oczy rozbłysły radośnie, a twarz opromienił uśmiech.

- Wróciłeś! - ucieszyła się. - Witamy cię, mój panie. Chodź, zobacz Simona! Jestem gotowa przysiąc, że już urośł.

Żwawym krokiem przeszedł przez izbę i usiadł obok Eleanore. Boże - pomyślał - jak ją kocham! Dlaczego jej tego nie potrafię powiedzieć?! Znał odpowiedź na swe pytanie. Eleanore z całej duszy pragnęła zostać zakonnicą. Zmuszono ją do ślubu z nim. Zazwyczaj małżeństwo aranżowali rodzice lub opiekunowie młodych kobiet, a one same miały czas, by poznać swych przyszłych mężów i co nieco się o nich dowiedzieć. No i nie wychowywały ich zakonnicę. Czy Eleanore mogła darzyć go uczuciem, skoro zmuszono ją, by za niego wyszła? Skoro całe jej życie z dnia na dzień uległo dramatycznej odmianie? Choć była dobrą żoną, na pewno nie darzyła miłością człowieka, którego jej narzucono wbrew jej woli. A on nie zniósłby, gdyby lekceważąco odniosła się do jego wyznania. Dlatego lepiej, żeby zachował swe uczucia dla siebie.

- Kiedy wrócimy do domu? - zapytała Elf.

- Jutro, pod warunkiem, że się będziesz dobrze czuła, *petite*. Dziś przyjechała eskorta. Mam informacje, że Walijszczy znowu atakują. Chcę widzieć ciebie i syna bezpiecznych w Ashlinie. Eleanore, za miesiąc muszę wyjechać, bo księżę Henryk zlecił mi pewne zadanie.

Poznał po jej minie, że jest zaskoczona i rozczarowana, więc czym prędzej przeszedł do sedna sprawy. Orwa i Willa opuściły izbę, by ich nie krępować.

- Tylko ty i przeorysza będziecie znać prawdę. Nikt więcej nie może się dowiedzieć, dlatego wyjechałem. Nie wolno ci o tym z nikim rozmawiać, *petite*. Wymyślimy jakąś historyjkę

na wypadek, gdyby ktoś się zainteresował, dlaczego mnie nie ma w domu. Na przykład, jeśliby zjawił się ten wścibski baron Hugh i zaczął węszyć.

Elf skończyła karmić syna.

- Masz. - Podała niemowlę jego zaskoczonemu ojcu. - Potrzymaj go, dopóki nie zawiążę koszuli. - Roześmiała się na widok przerażonej miny Ranulfa, kiedy dziecko spoczęło w jego dużych dłoniach. - Przytul go, Ranulfie. Nic mu się nie stanie.

- On mi się przygląda - oznajmił z mieszaniną dumy i niepokoju.

- Naturalnie. Nie zna twojego głosu. Chce wiedzieć, kim jesteś. To twój tata, Simonie - zagrychała czule do dziecka. - Kiedy urośniesz, będzie z tobą jeździć konno i pokaże ci, jak się posługiwać mieczem i włócznią. A ja nauczę cię czytać i pisać, no i zadbam o twoje maniery. Oboje będziemy cię bardzo kochać, Simonie Hubercie de Glandeville, ty mój śliczny syneczku! Damy ci braciszków, żebyś miał się z kim bawić, i siostrzyczki, abyś miał komu psocić - opowiadała Elf maleństwu.

- Chcesz więcej dzieci? Przecież dopiero co urodziłaś - zdumiał się Ranulf, ciesząc się w duchu.

- Oczywiście, że chcę! W przyszłości Ashlin stanie się warownią i de Glandeville'owie będą potężnym rodem. Tak, Ranulfie, musimy mieć więcej dzieci. Poza tym - wymruczała mu do ucha - ile przyjemności dało nam staranie się o Simona. - Ze śmiechem wyjęła mu dziecko z rąk, zanim o mało nie upuścił go z wrażenia.

Ranulf głośno przełknął ślinę.

- Eleanore, nie ułatwiasz mi wyjazdu - wyznał cicho.

- W takim razie osiągnęłam swój cel. Postarasz się jak najszybciej wrócić do domu - zaśmiała się.

Do izby weszła Willa z tacą.

- Panie, pewnie nic nie jadłeś - powiedziała, stawiając tacę na stole.

Smakowity zapach podrażnił nos Ranulfa. Otworzył szeroko oczy na widok obfitej wieczerzy. Miał przed sobą miskę duszonej baraniny z porami i marchewką w zawiesistym sosie, małego pieczonego pstrąga na warstwie rzeżuchy, świeży chleb, ser i karafkę wina.

- Czy tak się jada w zakonie? - zapytał zdziwiony.

- Zakonnice odżywiają się skromnie, ich wychowanki nie-
co lepiej, ale ty jesteś szczególnym gościem - wyjaśniła Elf.

Wstała z ławy, oddała dziecko pod opiekę Willi i zaczęła
krzątać się przy niewielkim stoliku, który wyciągnęła z kąta.
Postawiła przed Ranulfem miskę oraz talerz z wypolerowane-
go drewna i nałożyła mu sporą porcję jedzenia.

Ranulf jadł z ogromnym apetytem, aż pochłonał wszyst-
ko, co przyniosła Willa. Kiedy Elf postawiła przed nim mi-
seczkę dziko rosnących truskawek, obficie polanych śmietaną,
uśmiechnął się uszczęśliwiony. Gdy się wreszcie najadł do
syta i przepłukał usta winem, wstał od stołu i westchnął z za-
dowoleniem:

- Od tygodnia marzył mi się porządny posiłek, właśnie
taki, jaki mi podałaś, *petite*.

- Chcę wyjechać po primie - oznajmiła Elf. - Im szybciej
ruszymy w drogę, tym prędzej będziemy w domu. Ranulfie,
miesiąc temu wyjechałam z Ashlinu. Chcę do domu!

- Jesteś pewna, że dobrze zniesiesz podróż, *petite*?

- Nie jestem jakimś delikatnym kwiatkiem, mój panie.
Dzięki Bogu, mam sporo siły. Bierzymy naszego syna i rusza-
my skoro świt - powiedziała stanowczo.

- Pamiętam takie czasy, kiedy łkałaś z żalu, że nie możesz
zostać w St. Friedeswide - przypomniał żartobliwie, przechy-
lając się, by ją pocałować, kiedy usiadła przy nim. - Przestałaś
być małą zakonnichką, Eleanore. Jesteś dojrzłą kobietą, matką
Simona i dobrą żoną dla mnie.

- Jestem wdzięczna losowi za lata tutaj spędzone. I na
pewno byłabym szczęśliwa, gdybym została w klasztorze
i poświęciła życie Bogu, ale bardzo się cieszę, że wyszłam za
ciebie i mam Simona. - A w duszy dodała: No i kocham cię
nad życie, Ranulfie. Tak chciałabym, żebyś i ty mnie pokochał,
ale wiem, że to niemożliwe. Musi mi wystarczyć, że uważasz
mnie za dobrą żonę i odnosisz się do mnie serdecznie. Musi
mnie zadowolić twoja przyjaźń.

Kobiety spały w swoim dormitorium, natomiast Ranulf
spędził noc w wydzielonej dla mężczyzn części hospicjum.
O poranku oboje z Elf udali się na primę do przyklasztorne-
go kościoła, a po powrocie zjedli śniadanie ze służącymi.
Wóz czekał gotowy do drogi. Kiedy Elf usadowiła się na nim

wraz z dzieckiem, przeorysza w otoczeniu zakonnice przy-
szła się z nią pożegnać.

- Przygotowałyśmy podarunek dla twojego kościoła
w Ashlinie - oznajmiła i podała Elf wiklinowy koszyk, w któ-
rym spoczywał pięknie haftowany obrus na ołtarz.

- Będziemy o niego dbać jak o skarb - zapewniła Elf matkę
przełożoną, obdarzając serdecznym uśmiechem wszystkie za-
konnice.

- A opiekuj się dobrze naszym chrześniakiem! - nakazała
przeorysza z nietypową dla niej wesołością. - Mamy nadzieję,
że razem z nim będziesz nas odwiedzać, kiedy tylko znaj-
dziesz czas, Eleanore.

- Żegnaj, kochanie - powiedziała siostra Winifreda. - A tu-
taj masz parę pędów dzięgiela do swojego ogrodu.

Elf ucałowała pomarszczony policzek zakonnicy.

- Dziękuję, siostrzo. - Łzy zakręciły się jej w oczach.

- No nie, nie trzeba, moje dziecko - skarciła ją łagodnie Wi-
nifreda. - Młoda siostra Mary Gabriela dobrze sobie radzi,
choć brak jej twego naturalnego daru - dodała i odsunęła się
od wozu.

- Nie mówię: żegnaj, tylko: do zobaczenia, do następnego
razu - zwróciła się do Elf siostra Columba. - Te parę tygodni
z tobą okazało się dla mnie prawdziwym błogosławieństwem.
Zrozumiałam, że tak jak twoim przeznaczeniem jest mieszkać
w Ashlinie, być żoną i matką, tak moim jest żyć w zakonie.
Niech ci Bóg błogosławi, najdroższa przyjaciółko! - powie-
działa, ściskając Elf.

Niewielka kawalkada wyjechała z klasztornej dziedzińca
na trakt. Zakonnice stoczyły się w otwartej bramie, otaczając
przeoryszę jak kurczęta kwokę.

- Pamiętaj o naparze z koperku, gdyby dostał kolki! -
krzyknęła siostra Cuthbert. Jako opiekunka dzieci w St. Frie-
deswide znała się na takich środkach.

Zakonnice machały rękami na pożegnanie. Przeorysza, sio-
stry: Agnes, Hilda, Mary Gabriela, Philippa, Mary Basilia,
Anna, Winifreda, Columba, Perpetua i wszystkie pozostałe
siostry uniosły dłonie w pożegnalnym geście.

- Niech matka przełożona pamięta o zamykaniu bramy! -
Ranulf upomniał przeoryszę, a ona pokiwała głową na znak,
że docenia wagę ostrzeżenia.

Elf także właściwie odczytała słowa Ranulfa.

- Myślisz, że Walijscy mogą napaść na klasztor? - spytała. Przez wszystkie lata, które tu spędziła, St. Friedeswide było oazą spokoju.

- Wszystko może się zdarzyć - odparł Ranulf. - Przeorysza nie powinna ryzykować, *petite*. Jeśli Walijscy podejną pod klasztor, prawdopodobnie ukradną zwierzęta pasące się poza murami, a siostry zostawią w spokoju. Ogólnie wiadomo, że w St. Friedeswide nie ma cennych przedmiotów ani pieniędzy. To właśnie owce i stadko krów mogą skusić włóczęgich się rabusiów. Niemniej jednak doszło niedawno do spalenia klasztoru.

Cały dzień spędzili w drodze, jadąc wygodnym traktem do Ashlinu. Od czasu do czasu Ranulf dostrzegał na wzgórzach sylwetki pojedynczych jeźdźców, ale ponieważ żaden z nich nie próbował się do nich zbliżyć, nie stanowili zagrożenia. Wóz spowalniał podróż i Ranulf żałował, że nie wyznaczył dwa razy większej eskorty. Niestety, przed wyjazdem do Worcesteru nie słyszał o napaściach Walijszyków. Wreszcie późnym popołudniem dojechali do Ashlinu. Chłopi pracujący w polu pozdrawiali swego pana i panią, i odkładając narzędzia, biegli zobaczyć przyszłego dziedzica Ashlinu.

- Niech im pani da popatrzeć na dziecko - powiedziała półgłosem Orva.

Elf kazała woźnicy zatrzymać wóz i pokazała wszystkim Simona. Rozległy się okrzyki radości i komentarze na temat zdrowego wyglądu maleństwa.

- Oto następne pokolenie linii Strongbowów - oznajmiła Elf. - Jeżeli Bóg da, w następnych latach przybędzie mu braci i sióstr.

Ojciec Oswin, nowy ksiądz Ashlinu, wyszedł im naprzeciw.

- Zapewne został już ochrzczony? - upewniał się.

- Przez ojca Anselma - przytaknęła Elf. - Rodzicami chrześnymi zostali sir Garrick i siostra Columba, która reprezentowała wszystkie zakonnice. Simon Hubert de Glandeville roztoczy opiekę nad St. Friedeswide, kiedy dorośnie.

- Amen! - Ojciec Oswin entuzjastycznie przypieczętował wypowiedź Elf.

Nowy ksiądz był młodym człowiekiem o miłej powierzchowności. Miał ciepłe piwne oczy i ciemne, proste włosy.

Wóz przetoczył się przez bramę i wjechał na dziedziniec, gdzie czekali już Ida i Cedric.

- Dajcie mi moją dziecinę! - ekscytowała się stara piasunka.

- O nie, Ido! - zaśmiała się Elf. - Dzieckiem będzie się zajmował kto inny. Jesteś mi potrzebna. Willa nie potrafi usługiwać tak dobrze jak ty. Musisz ją jeszcze wiele nauczyć. Nie puszczę cię, ale na razie możesz wziąć mego synka.

Ida nie bardzo wiedziała, czy powinna się czuć rozczarowana, czy raczej dumna. Trzymając niemowlę na rękach, przez chwilę rozważała w myślach ów dylemat i doszła do wniosku, że rzeczywiście jest zbyt stara, aby wychowywać kolejne dziecko. Do opieki nad niemowlęciem potrzeba kogoś młodego. Zdecydowanie wołała dalej usługiwać swej pani.

- Pomogę wyszukać odpowiednią kobietę na niańkę dla naszego panicza. Będzie jej całym światem, tak jak pani i Richard byliście dla mnie.

Orva, stojąca za plecami Elf, uśmiechnęła się dyskretnie. Pani posłuchała jej rady, lecz rozegrała całą sytuację bardzo taktownie. Sprawiała, że Ida poczuła się ważna i niezastąpiona. Jak na taką młodą osobę jej pani okazała wiele mądrości.

Weszli do dworu. Elf z zadowoleniem stwierdziła, że w czasie jej nieobecności ani Cedric, ani pozostali służący nie zaniedbywali swych obowiązków. Potem usiadła przy kominu, wzięła synka z ramion Idy i zaczęła go karmić, gdy tymczasem służba krzątała się po izbie, zajęta przygotowaniami do wieczerzy.

- Muszę zamienić parę słów z Fulkiem. Pójdę go poszukać - oznajmił Ranulf.

Elf kiwnęła głową, skupiona na dziecku.

Ranulf znalazł dowódcę straży na dziedzińcu - akurat ćwiczył swych ludzi w strzelaniu z łuku.

- Fulk! - Odwołał na bok starego wiarusa o włosach przyprószonych siwizną.

- Tak, panie?

- Potrzebny mi giermek. Czy masz pośród swoich ludzi kogoś, kto by się nadawał? Czy jest ktoś, kto według ciebie zasługuje na takie wyróżnienie?

- Mój siostrzeniec, panie. Ma dziewiętnaście lat i jest bardzo silny. Sam go uczyłem posługiwać się mieczem, kopią

i toporem. Za młodych lat byłem giermkim pana Roberta. Nauczę go czyścić zbroję i dbać o twego konia, panie. Chłopak ma na imię Pax i damę głowę, że będzie ci bardzo oddany.

- Sądziłem, że chcesz, aby w przyszłości siostrzeniec ciebie zastąpił - zauważył Ranulf.

- I na to przyjdzie pora, panie - odparł Fulk. - Poza tym są inni, na przykład Simon mógłby kiedyś zająć moje miejsce. Paxowi nie zaszkodzi doświadczenie, jakie można zdobyć jedynie dzięki służbie u rycerza. Panie, przekazałem mu całą moją wiedzę. Teraz potrzebuje ogłady i nabierze jej, służąc u twego boku.

- Który to Pax? - zainteresował się Ranulf.

- Pax, chodź no tu! - zawołał Fulk i młody mężczyzna odebrał się od grupki młodzieńców ćwiczących strzelanie.

- Tak, wuju?

Chłopak był barczysty, wzrostu raczej średniego. Miał kulistą głowę, ciemne włosy, okrągłą twarz i piwne oczy o poważnym, szczerym spojrzeniu.

- Panie! - Nieco nerwowo złożył ukłon przed Ranulfem.

- Fulk mówi, że byłby z ciebie dobry giermek. Chciałbyś nim zostać? Wiesz, co należy do obowiązków giermka, poza tym musiałbyś mi towarzyszyć podczas wyjazdów z Ashlinu. I co ty na to?

Uśmiech, który opromienił twarz Paxa, uczynił ją niemal przystojną.

- Chcę, panie! - zawołał z entuzjazmem.

- Masz miesiąc na wdrożenie się w nowe obowiązki - oznajmił Ranulf. - Potem wyruszamy do Normandii.

- Będę gotowy!

- Czy znasz jakieś obce języki? - zapytał Ranulf i zdumiał się bardzo, kiedy usłyszał odpowiedź.

- Znam trochę normandzki. Na tyle, żeby się porozumieć i służyć ci pomocą, panie. Właściwie więcej rozumiem, niż potrafię powiedzieć - dodał. - Wuj mnie nauczył - wyjaśnił, widząc nieme pytanie malujące się na twarzy dziedzica.

Ranulf uśmiechnął się zamyślony.

- Ważniejsze dla mnie, że rozumiesz tę mowę. Naturalnie, obcując z językiem na co dzień, nabierzesz wprawy w mówieniu, lecz nikt o tym nie musi wiedzieć.

- Tak, panie.

- Będiesz mi dziś usługiwał podczas wieczerzy - polecił mu Ranulf i oddalił się.

- Chłopcze, bądź panu wierny, dobrze mu służyć, a przyszłość masz zapewnioną! - stwierdził z zadowoleniem dowódca straży. - To sprawiedliwy pan.

- Co należy do moich obowiązków podczas wieczerzy? - chciał wiedzieć Pax.

- Musisz stać za jego krzesłem i pilnować, aby puchary pana i jego małżonki były pełne. W dużych dworach zajmuje się tym paź, ale nasza posiadłość jest zbyt skromna - wyjaśnił Fulk. - Sam wcześniej zjedz posiłek. Idź teraz do kuchni i wyjaśnij całą rzecz kucharzowi, to ci coś da. Tak, tak, chłopcze, Ashlin się rozwija. Jeszcze będziemy kiedyś twierdzą. Mam nadzieję, że dożyję tych czasów.

- Ashlin twierdzą? - zdziwił się Pax. - Skąd ci to przyszło do głowy, wuju? Ashlin jest zbyt mały.

- Chłopcze, pana wezwano do Worcesteru - zaczął Fulk. - A kiedy stamtąd wrócił, uznał, że potrzebuje giermka. Do tego jeszcze wybiera się za miesiąc do Normandii. Przecież nie jedzie tam w swoich sprawach, tylko na polecenie jakiegoś znamienitego lorda. Zapewne sprawa wymaga dyskrecji, skoro wybór padł na naszego pana, bo przecież nie jest żadnym wielmożą. Jeżeli ta misja się powiedzie, czeka go nagroda. Ja na miejscu pana poprosiłbym króla o pozwolenie na budowę zamku, tu, w Ashlinie, by w ten sposób wzmocnić obronność. A teraz, Pax, zapamiętaj sobie: to, co mówiłem, to czyste spekulacje, ale jest w tym pewna logika. Miej oczy i uszy szeroko otwarte, natomiast język trzymaj za zębami. Rozumiesz, chłopcze?!

- Tak, wuju. Nie będę niczego rozpowiadał.

- I nie próbuj bezmyślną paplaniną robić wrażenia na tych dziewczkach, za którymi się uganiaasz - ostrzegł go Fulk. - Musi im wystarczyć twój szeroki uśmiech i to, co nosisz w portkach.

- Dobrze, wuju - ponownie przytaknął Pax. Jego piwne oczy rozbłysły, aż Fulk wybuchnął śmiechem.

Tego wieczoru Pax po raz pierwszy usługiwał państwu w wielkiej izbie. Duże dłonie pociły mu się z wrażenia, lecz pan go pochwalił, a pani patrzyła na niego łaskawie.

- Powiedz matce, żeby jutro do mnie przyszła - poleciła mu Elf. - Jak podejrzewam, nie masz odpowiedniej ilości

odzieży. Dam twojej matce wszystko, co potrzeba, aby mogła uszyć ci parę rzeczy.

- Dziękuję, pani - powiedział Pax.

- Służ dobrze mojemu mężowi, a dopilnuję, byś został wyzwolony - obiecała Elf.

Pax ukląkł i ucałował rąbek jej sukni.

- Dzięki, pani!

- Widzę, że to poczciwy chłopak - powiedziała Elf do męża, kiedy tej nocy wreszcie legli w jednym łóżu. - Fulk nie ma własnych dzieci, Pax jest jego oczkiem w głowie. Dobrze go wychował, podobnie jak swego drugiego siostrzeńca Sima.

- Zamierzam się przyrzeć jego umiejętnościom - odpowiedział Ranulf, muskając ustami jej szyję. Elf pachniała tak słodko! Szkoda, że będzie mu wolno zbliżyć się do niej dopiero na krótko przed wyprawą do Normandii. Kiedy wyjeżdżali z St. Friedeswide, przyszła do niego stara siostra Winifreda z ostrzeżeniem, że trzeba Eleanore dać czas, by wydobrzała po porodzie.

- Jak słyszałam, niektórzy mężczyźni nie przejmują się, że w ten sposób robią krzywdę swoim żonom - mówiła zakonnica. - Jeśli chcesz, by Eleanore przez wiele lat była w dobrym zdrowiu, zapanuj nad swymi apetytami, mój panie. - Siostra Winifreda zmierzyła go surowym spojrzeniem, a on poczuł, że się czerwieni. Staruszka zaśmiała się. - Trzy tygodnie postu - podkreśliła stanowczo.

Teraz żona obróciła się w jego ramionach i całując go, przytulała się, bardziej uwodzicielska niż zwykle.

- No, mój panie - wymruczała mu do ucha.

- Nie możemy - odparł.

- Dlaczego nie? - spytała, wyraźnie zawiedziona. Od kilku miesięcy tęskniła za jego gorącymi objęciami.

- Siostra Winifreda uważa, że musisz wydobrzeć po porodzie - odpowiedział stanowczym tonem. - A ja mam zamiar posłuchać jej rady, *petite*.

- Rany boskie! - wyrwało się jej, czym wprawiła Ranulfa w zdumienie. - Przecież nie jestem w zakonie!

Zaśmiała się z satysfakcją.

- Czyżbyś pragnęła mnie tak bardzo, jak ja ciebie, *petite*? Cierpię męki, wiedząc, ile jeszcze muszę czekać. - Pogładził ją po włosach.

- Przecież za miesiąc cię tu nie będzie! - jęknęła Elf.

- Na tydzień przed moim wyjazdem wolno nam będzie się do siebie zbliżyć.

- A potem pojedziesz do Normandii, a ja zostanę i będę tęsknić - powiedziała niemal z gniewem. - Nawet nie potrafisz określić, ile czasu cię nie będzie!

- Wolałabyś, żebyśmy w ogóle nie...

- Nie! - rozzłościła się.

- Chcesz sypiać osobno, dopóki nie możemy być ze sobą?

- Nie! - Wtuliła się w jego szerokie ramiona.

- Sądziłem, że jako przyszła zakonnica nawykłaś do wyrzeczeń - drażnił się z nią, podtrzymując ją za podbródek. - Łatwo jest być świętym, kiedy się nie wie, ile przyjemności daje zakazany owoc, prawda, *petite*?

- Nie znoszę cię! - wymruczała i lekko pacnęła go po policzku.

Ranulf ze śmiechem pochwycił jej dłoń i pocałował ją.

- Czy wiesz, jaki jestem zazdrosny o naszego syna?

- Dlaczego miałabyś być o niego zazdrosny? - zapytała. -

Och! - zaczerwieniła się po chwili.

- Spij już, *petite* - poprosił. - Niech ci poprawi humor świadomość, że mnie wcale nie jest łatwiej.

- Dobrze ci tak! - oznajmiła i pogładziła go po podbrzuszu, zanim odwróciła się plecami.

Ranulf ponownie wybuchnął śmiechem.

- Wiedźma! - wyszeptał i przysunąwszy się do niej, nakrył ręką jej pierś.

- To nie w porządku! - zaprotestowała.

- O co ci chodzi? - zapytał niewinnie.

W odpowiedzi wparła się mu pośladkami w krocze.

Jęknął, czując, że za chwilę spłonie z pożądania.

- To nieuczciwe - skarżył się.

- Mój panie, teraz oboje gramy w tę samą grę - odparła słodkim głosem.

- Eleanore, czas spać - wydusił przez zaciśnięte zęby.

- Dobrze - zgodziła się przymilnie.

Dotyk jego dłoni na piersi podniecał ją, a zarazem wzbudzał poczucie bezpieczeństwa. Tak bardzo tęskniła za zbliżeniem z Ranulfem, ale wiedziała, że siostra Winifreda ma rację. Jej ciało było jeszcze osłabione i obolałe po porodzie. Gdzie

podziała się jej cierpliwość, z której była taka dumna w czasie pobytu w klasztorze? Musi się czym prędzej wziąć w garść! Poczwała jeszcze, jak Ranulf musnął wargami jej kark, i z westchnieniem zamknęła powieki.

13

W ciągu następnych kilku tygodni ich życie mniej więcej wróciło do normy. Ranulf codziennie udawał się na objazd posiadłości. Bezpieczeństwo Ashlinu leżało mu na sercu, coraz bardziej dochodził do przekonania, że majątek nie będzie w pełni bezpieczny, dopóki Ashlin nie stanie się warownią. Mury wokół posiadłości były wysokie, lecz otaczały odkryty teren - wewnątrz stał dwór, kościół, chaty chłopów pańszczyźnianych, chałupki wyzwoleńców, a także domostwa służby. Prawdę mówiąc, majątek przypominał wieś o rozrzuconych zabudowaniach. Jeżeli komuś rzeczywiście zależałoby na przedarciu się przez mury, niewątpliwie by tego dokonał, a mieszkańcy staliby się bezradni wobec napastnika.

Niewiele większą ochronę jego własnej rodzinie zapewniał wzniesiony na płaskim terenie dwór. Wystarczyło wyważyć drzwi i jego mieszkańcy byli bezbronni. Chociaż, prawdę mówiąc, nigdy dotąd nie dbano o bezpieczeństwo Ashlinu tak starannie jak obecnie. Podwyższono mury, strażnicy ćwiczyli posługiwanie się bronią. Ranulf musiał zdać się na Fulka i wierzyć, że dzięki jego konszachtom z Walijczykami rabusie zostawią Ashlin w spokoju.

Im więcej się Ranulf nad tym wszystkim zastanawiał, tym mocniej utwierdzał się w przekonaniu, że misja powierzona mu przez księcia Henryka ma ogromne znaczenie dla jego przyszłości i bytu całej rodziny. Być może, tak jak sugerowała Elf, uda mu się kiedyś umieścić Simona na dworze nowej królowej. Pan na zamku stał wyżej w hierarchii od właściciela dworu. Ranulfa rozbawiły własne myśli. Mierzył bardzo wysoko. Przede wszystkim musiał zdobyć pozwolenie na budowę zamku. I ma zamiar dążyć do tego celu.

Zapowiadał się urodzaj. Często padał drobny deszcz. Za dnia było ciepło, w nocy chłodniej, ale nie za zimno. Zboże

wyrosło wysoko. Niecierpliwie wyglądano paru dni bez opadów, żeby skosić trawę i zgromadzić zapas siana na kolejne dwanaście miesięcy. Kwitły kwiaty w ogrodzie Elf przy herbarium. Dorodnie wyglądały owce i było wypasane na sozystej trawie.

Ani się obejrzeni, jak nadeszło letnie przesilenie. Naturalnie nie mogło się obyć bez świętowania. Zgodnie z utartym zwyczajem Ranulf ogłosił ten dzień wolnym od pracy. Wielu mieszkańców Ashlinu wstało przed świtem, ażeby obejrzeć wschód słońca. Przy bezchmurnym niebie widok był imponujący. Nieboskłon jaśniał powoli, bladł głęboki granat nocy, barwy horyzontu ocieplały się, przechodząc od cytrynowej przez złotą i różową aż po pomarańczową. Kiedy jaskrawoczerwona kula słońca wypłynęła na linię horyzontu, rozćwierkały się i rozśpiewały ptaki. Zapowiadał się piękny letni dzień.

Od rana lekki wiatr niósł z piekarni zapach chleba świętojańskiego. Ten rarytas, wypiekany ze strąków drzewa świętego Jana, jadano raz do roku podczas uczty świętojańskiej, na którą państwo zapraszali wszystkich poddanych. Z pastwiska przyprowadzono na łąkę owce przeznaczone na wieczerzę - miały być upieczone w dwóch specjalnie do tego celu wykopanych dołach. Chłopi pańszczyźniani nieczęsto mieli okazję jadać mięso. Tego wieczoru dostaną pieczoną sarninę i prosięta z nadzieniem z sera, chleba, orzechów i ziół. W kuchni prużono owcze żołądki nafaszerowane jajkami, serem, jarzynami, chlebem i wieprzowiną, duszono też kurczęta z ryżem, migdałami i cukrem. Przygotowywano węgorze w ziołach, dorsza w śmietanie i łososia, a także pudding z jabłek gotowanych w ocukrzonym mleku z korzeniami i zagęszczonym mąką. Na stołach nie zabraknie sera, masła i twarogu oraz ofiarnych ciasteczek w kształcie ptaszków, dzikich zwierzątek, chatynek oraz przedmiotów codziennego użytku. Wszyscy będą popijać miód doprawiony miętą i piwo imbirowe z dodatkiem bazylii i anyżu.

Poprzedniego wieczoru wędrowni muzykanci poprosili o nocleg we dworze. Teraz w dowód wdzięczności zabawiali państwa muzyką. Grali na gęślach, piszczałkach, fujarce, dzwonekach i tamburynie. Na łąkę wbiegli pierwsi tancerze, zwabieni skoczną melodią. Rozstawiano też tarcze strzelnicze

do konkursu łuczników i rozpoczęto gonitwy, a dziewczęta, wróżąc sobie z płatków kwiatu ziela świętojańskiego, sprawdzały, czy kocha, czy tylko żartuje. Kiedy ostatni płatek odpowiedział Willi, że kocha, wśród dziewcząt rozległy się znaczące chichoty i wszystkie oczy strzeliły ku Paxowi, a rumieńce na twarzy Willi wzmogły jeszcze ogólną wesołość. Część młodzieży udała się na poszukiwanie kwiatu paproci, dzięki któremu można było ponoć stać się niewidzialnym, lecz niestety nikt go tym razem nie znalazł.

- Chodźcie puszczać łódki! - zawołał Artur, kiedy słońce chyliło się ku zachodowi.

Wszyscy pospieszyli nad staw przy młynie, gdzie czekały wcześniej wystrugane z kory łódeczki z życzeniami wyrytymi przez ich właścicieli. Teraz ostrożnie ustawiano na nich płonące ogarki i puszczano je na wodę. Koło młyńskie burzyło wodę w stawie i pobliskim strumyku. Małe stateczki podskakiwały na falach miniaturowego morza, niektóre z nich tonęły, podpłynawszy zbyt blisko koła, na innych wiatr zdmuchnął świece. Właściciele łódek, które z płonącymi ogarkami pokonały szerokość stawu, mieli pewność, że ich życzenia się spełnią.

- Nasze łódki szczęśliwie dobiły do brzegu - uśmiechnęła się Elf. - Ranulfie, jakie było twoje życzenie?

- Jak najszybciej powrócić do ciebie - wyznał. - A ty, *petite*, czego sobie życzyłaś?

- Dokładnie tego samego.

- Zapalają już ogniska! - krzyknął ktoś w tłumie, więc Elf i Ranulf, trzymając się za ręce, wrócili na łękę.

Płomienie ognisk strzelały wysoko, kiedy zasiedli za stołem. Długi dzień miał się ku końcowi. Dojadano resztki potraw, popijając miodem i piwem. Słońce chowało się za wzgórzem na zachodzie, rzucając na nie różowe, fioletowe, pomarańczowe i żółtozielone cienie. Muzykanci zaczęli grać, a Cedric skinieniem głowy dał znak swemu państwu. Elf i Ranulf podnieśli się z ławy. Ranulf za rękę z Elf poprowadził korowód, a ona z kolei podała dłoń Willi. Za Willą podążył Pax, podrywając z ławy następną dziewczynę, i tak biesiadnicy, chwytając się za ręce, uformowali długi wąż, i prowadząc go między ogniskami, odtańczyli starodawny taniec znany pod nazwą „nawlekanie igły”. Słońce zniknęło za wzgórzami, po-

ciemniało niebo. Muzyka stała się gwałtowniejsza, rytm nabrał pierwotnej dzikości. Nagle muzykanci przestali grać. Zapadła cisza. Dogaszono ogniska i ludzie zaczęli się rozchodzić. Większość skierowała się do domów, a młodzi kochankowie zniknęli w ciemnościach. Ranulf podał rękę Elf i powiódł ją do dworu. Wieczór świętojański dobiegł końca, nazajutrz czekał ich wypełniony pracą dzień.

- Willa się gdzieś zapodziała - mruknęła Ida. - Pomogę ci się, pani, rozebrać.

- Nie, kobieto, idź poszukać swego łóżka - powiedział półgłosem Ranulf. - Równie dobrze ja mogę to zrobić.

- A ile przy tym będziesz mieć radości, panie - padła odpowiedź, której towarzyszył rubaszny śmiech.

Ranulf odpowiedział Idzie uśmiechem, po czym, cały czas trzymając Elf za rękę, wprowadził ją do alkierza.

Elf odwróciła się do męża i zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Wkrótce wyjeżdżasz do Normandii - powiedziała cicho, patrząc mu w oczy. - Nie wiem nawet, jak długo cię nie będzie. Ranulfie, zapewne przez skromność nie powinnam tego mówić, ale chcę, żebyś się ze mną kochał. Tak wiele czasu minęło od ostatniego razu. - W jej szarych błyszczących oczach odbijała się czułość i nieskrywane pożądanie.

- Będę ostrożny - zapewnił ją.

Roześmiała się cicho.

- Choć nie mam porównania, myślę, że trudno o delikatniejszego mężczyznę od ciebie. Gdybym cię tak dobrze nie znała, zaczęłabym podejrzewać, że znalazłeś sobie kochankę wśród chłopek. Nie, nie, wiem, że to nieprawda - dodała szybko, widząc jego zdziwione spojrzenie. - Ranulfie, mój drogi mężu, od samego początku czerpię radość z naszego współżycia. Od miesięcy nie zbliżyliśmy się do siebie, a ty za parę dni wyjeżdżasz do Normandii i nie wiadomo, kiedy wrócisz. Nie sądzisz, że należy nam się trochę cielesnych uciech? Dzięki moim ziołowym naparom nadwerężone miejsce już się wygoiło. - Elf z zalotnym uśmiechem pogładziła go po policzku. - Czyżbyś nie miał ochoty się ze mną kochać? Zapewne mężczyźnie jest łatwiej niż kobiecie. Kiedy cię nie będzie, honor i kobieca natura będą mi nakazywały zachować czystość. Ty być może postąpisz inaczej. Kto wie, czy na dworze księcia Henryka jakaś piękna i elegancka dama nie wzbudzi w tobie

pożądania! - Już na samą myśl o tym w oczach Elf pojawiły się gniewne błyski. - Psiakrew! Nie zniosłabym tego! - Tupnęła nogą i zaczęła okładać go po piersi drobnymi pięściami.

Ranulf nie potrafił opanować śmiechu. W jednej chwili Elf z czułej kusicielki przeistoczyła się w drapieżną zazdrośnicę. Czyżby jej na nim zależało? Serce mu szybciej zabiło na tę myśl.

- *Petite* - zaczął, i delikatnie, choć stanowczo przytrzymał jej ręce za nadgarstki. - Obojętnie, jak bardzo będę wyposzczony, nie zdradzę cię, bo na świecie jest tylko jedna kobieta, której pragnę, i jesteś nią właśnie ty, Eleanore. - Przytulił ją do swej szerokiej piersi i wodził ustami po jej włosach. - Jesteś moją żoną, *petite*. Inne kobiety mi nie w głowie. - Dotknął ustami jej warg.

Nieco uspokojona odwzajemniła pocałunek, manipulując jednocześnie przy zapince jego pasa.

- *Petite*, ty bezwstydnico! - Tym razem Ranulf zareagował cichszym, gardłowym śmiechem. - Widzę, że jednak postawisz na swoim! - Ułatwił jej zadanie, zdejmując tunikę przez głowę, a potem rozwiązał plecionkę w talii Elf, aby i ją uwolnić z tuniki, bo spódnica sama spłynęła na podłogę.

Elf poluzowała tasiemki przy koszuli Ranulfa i ściągnęła ją z niego, stopniowo obnażając barki, tors i biodra, aż koszula wylądowała u jego stóp. Ranulf rozebrał Elf z koszuli i przytulił ją mocno do siebie. Przyłgął nagim torsem do jej krągłych piersi, czuł dotyk ponętnie uwypuklonego brzucha, a jego członek, ciągle jeszcze uwięziony w ubraniu, zdawał się płonać żywym ogniem.

Elf gwałtownie zaczerpnęła powietrza, kiedy klęknął przed nią i zdjął jej pończochy, pokrywając kolana pocałunkami. Potem wstał i zsunął spodnie, a ona, naśladując go, przyklękała, żeby ściągnąć mu rajtuzy. Z jej ust wyrwał się okrzyk zdziwienia, bo po raz pierwszy miała okazję przyjrzeć się z bliska jego pobudzonej męskości. Zafascynowana patrzyła na sprawcę jej rozkoszy i doszła do wniosku, że poza imponującym rozmiarem niewiele tam było do podziwiania. Powoli spuściła oczy i dokończyła zdejmować rajtuzy. Kiedy wstała, Ranulf spojrział na nią pytająco.

- Wygląda niezbyt ciekawie, ale podoba mi się to, co potrafisz - oznajmiła.

Ranulf przyciągnął Elf do siebie, delektując się ciepłem bijącym z ich ciał.

- *Petite*, jest tyle rzeczy, których chciałbym cię nauczyć teraz, kiedy znamy się już tak dobrze - wyznał, dotykając ustami jej brwi.

- Czy chciałbyś, żebym cię tam pocałowała?

- Tak.

- I czego jeszcze byś chciał?

- Żebyś pieściła mnie, tak jak ja pieczę twoje piersi - poprosił.

Rany boskie, jak ona podnieca go tą rozmową! Jeszcze chwila, a oszaleje!

- A jeśli połknę nasienie, czy znajdę w ciąży? - dochodziła zaciekawiona.

- Nie! - zapewnił ją. - Ale do tego nie dojdzie. Trafi tam, gdzie przeznaczone. Nie chcę go marnować, *petite*.

- Czy sprawię ci tym przyjemność?

- Tak! - jęknął zdławionym głosem.

Bez chwili wahania opadła na kolana i z zapałem zaczęła go pieścić.

Jego podniecenie sięgnęło zenitu.

- Delikatniej, *petite!* - wyrzeźził. Słodki Jezu! Jego Elf zupełnie nie przypominała tamtego niewiniątka, które poślubił niespełna dwa lata temu! Gwałtowne „dość” wydarło mu się z gardła.

Elf podniosła się zarumieniona. Przywarł do jej ust w żarliwym pocałunku. Czuł, że zbliża się do kresu wytrzymałości, więc uniósł ją, podkładając swe duże dłonie pod jej pośladki, a kiedy instynktownie opasała go nogami, wniknął powoli w jej chętne ciało. Zarzuciła mu ramiona na szyję, wydając z siebie głębokie, zadowolone westchnienie.

Czy zależy jej na mnie - pytał się w myślach - czy tylko na uciechach małżeńskiego stanu? Złączony z Elf w uścisku, przeniósł ją przez alkowę do ciasnej sypialni i ułożył na pościeli. Poruszał się w niej ostrożnie, niespokojny, czy nie sprawi jej bólu, lecz czytał z jej twarzy, że czerpie przyjemność z jego delikatnych zabiegów.

Jęknęła cicho. Jak on ją wypełnia! Tak bardzo za nim tęskniła. Czy Ranulf zdoła ją kiedykolwiek pokochać, czy będą musiały wystarczyć jej te cudowne chwile, kiedy byli ze sobą

blisko? Wzbierał w niej krzyk, bezwiednie wbiła paznokcie w mięśnie na jego plecach, spełnienie przeszło ją gorącą falą i w tej samej chwili usłyszała, jak Ranulf krzyknął coś niewyraźnie.

Opadł na nią i leżał bez ruchu, dopóki go delikatnie nie odsunęła. Kiedy spotkały się ich oczy, serce o mało nie pękło mu ze wzruszenia na widok czułego uśmiechu, jakim go obdarzyła. Kochał ją i pragnął, ażeby i ona go kochała! W jaki sposób mężczyzna może zdobyć miłość kobiety? Uczucie, którym ją darzył, nie było zwykłym pożądaniem, bo poza chwilami, kiedy się kochali, Elf budziła w nim również inne emocje. Pragnął otoczyć ją opieką. Chciał dzielić się z nią swymi myślami i poznać jej myśli. Zależało mu, żeby wiedziała, jakie znaczenie ma dla niego jej uznanie. Chętnie wyznałby jej, że kiedy bierze ją za rękę, serce zaczyna mu szybciej bić. Krępowała go ta nadmierna skłonność do wzruszeń, bo przecież był mężczyzną. Czy mężczyźnie wypada być sentymentalnie nastrojonym do kobiety, do żony?!

A jeśli zwierzy się jej ze swych uczuć i się okaże, że ona ich nie odwzajemnia? Jaki wpływ miałyby to na ich związek? Czy możliwe, że nie jest jej obojętny? Eleanore nie należy do kobiet, które byłyby skłonne udawać uczucia. Nie pozwala jej na to prostolinijność i uczciwość. Pod tym względem się nie zmieniła. Gdyby wyznał, że ją kocha, a ona nie mogłaby się zrewanżować podobnym wyznaniem, otwarcie by to powiedziała. Więc od miłosnych deklaracji powstrzymywała go myśl, że być może ona nic do niego nie czuje. Pierwszy raz Ranulf de Glandeville zdał sobie sprawę, że się boi. Owszem, odczuwał lęk, kiedy szedł do boju, ale to był zupełnie inny rodzaj strachu.

Własna matka wyrzekła się go dla drugiego męża. Jej postępek wprowadził go w osłupienie, bo przecież był jej synem. W dodatku pierworodnym synem, a odwróciła się od niego bez skrupułów! Kiedy otrząsnął się z bólu i oszołomienia, doszedł do wniosku, że matka uczyniła to, co było najlepsze dla niej i dla dzieci zrodzonych w nowym związku. Stała po stronie męża, gdy ten pozbawił Ranulfa majątku, mimo że na swój sposób musiała go kochać. Wiedziała, że jej pierworodny urządzi się jakoś przy królu Stephenie. Ranulf wybaczył matce, choć jej czyn na zawsze odcisnął swoje piętno na jego du-

szy. Teraz czuł, że gdyby Elf odrzuciła jego miłość, zraniłaby go znacznie boleśniej niż matka, kiedy odwróciła się od niego. Więc wolał milczeć. Przynajmniej na razie.

Elf leżała w objęciach Ranulfa, z głową na jego piersi. Jak bardzo mężczyźni różnią się od kobiet - myślała. Pamiętała, jak dziewczęta w klasztorze mówiły, że oni potrafią odczuwać wyłącznie pożądanie i namiętność. Zdażyła się przekonać, że te uczucia niekoniecznie muszą być zdrożne, jednak jej serce tęskniło za czymś więcej! Z drugiej strony nie była do końca przekonana, czy miłość to taka dobra rzecz. Jej brat kochał swą żonę, Isleen, i nic dobrego z tego nie wynikło. To dla miłości Dickon wyrzekł się jej, Elf, i wysłał ją do St. Friedeswide. W ciągu dziewięciu lat odwiedził ją jeden jedyny raz. Dobrze, że akurat czuła się w klasztorze szczęśliwa, bo gdyby było inaczej, Dickon nie kiwnąłby nawet palcem, żeby ją stamtąd zabrać. Najważniejsze, że Isleen była zadowolona. Aż w końcu ona go zabiła z powodu miłości do swego kuzyna, Saera de Bude'a, który w dodatku wspierał ją w zbrodniczych poczynaniach.

Czy miłość czyni mężczyzn słabymi i głupimi? - zastanawiała się Elf. - Jak w takim razie może wyznać Ranulfowi, że zawładnął nie tylko jej ciałem, ale i sercem? Pragnęła cały czas być przy nim, niepokoiła się, kiedy znikał jej z oczu. Myśl, że wyjedzie do Normandii i nie wiadomo, kiedy wróci, była nie do zniesienia. Tyle lat sypiała sama w wąskim klasztornym łóżku, a teraz nie wiedziała, jak uda się jej zasnąć, kiedy zabraknie szerokich pleców Ranulfa, do których się mogła przytulić. To nie było zwykłe pożądanie. Kiedy się do niej uśmiechał, robiło jej się ciepło koło serca. Uszczęśliwiał ją dźwięk jego głosu. Jak będą wyglądać jej dni, kiedy go przy niej zabraknie? Jakie będą jego dni bez niej?

Powiedziałyby mu, co czuje, ale podejrzewała, że swą szczerością mogłaby go wprowadzić w zakłopotanie. Był o wiele starszy od niej i mądrzejszy. Zapewne uznałby ją za głupią. Miała wrażenie, że Ranulf darzy ją szacunkiem. Nie chciała stracić w jego oczach z powodu dziewczęcych rojeń. Jej mąż wychował się na dworze, był człowiekiem światłym i bywałym w świecie. Może nie pochodził ze znamienitego rodu ani nie miał bogatej rodziny, ale sam ksiązę Henryk poznał się na nim i powierzył mu ważną misję. Takiego mężczy-

znę miłosne wyznania mogły jedynie speszyc i wprawic w konsternacje. Juz lepiej, jezeli bedzie milczec. Ranulf byl dla niej dobry, czegoz wiecej mogla chciec?

Nadszedl lipiec i Ranulf musial wyruszac do Normandii. Niechcinnie zbieral sie do drogi. Chociaz wokol Ashlinu panowal spokoj, to tu, to tam Walijczycy dokonywali kolejnych najazdow. Sluzacy, wyslany do St. Friedeswide z kilkoma kosztami sliwek - darem Simona dla swych chrestnych matek - powrotil z wiadomoscia, ze z przyklasztornej laski zniknelo stadko owiec. Porwano je w nocy, co jeszcze dodawalo grozy calemu zajsciui. Zakonnice odkryly strate nastepnego dnia rano. Pies pasterski, ktory pilnowal stada, zostal zabity. To wlasnie wrony kołujace nad jego scierwem przyciagnely uwage siotr.

- Nawet za dnia trzymaj polowe bramy zamknietą - upominat Elf Ranulf. - Jezeli Walijczycy podejda pod Ashlin, chłopi pracujacy na polach moga sie schronic za brame. Pamietaj jednak, zeby dobrze ja zaprzec, zanim konie napastnikow znajda sie w poblizu mostu. W razie czego kaz podniec most. To moze ich zniechecic. Nasze mury sa niskie i wprawni jezdcy moga sie przez nie przedrec, ale nie sadze, by Walijczycy do nich nalezeli. Jezeli bedziesz pamietac o srodkach ostrozności, nic wam nie grozi. Badz czujna, *petite*.

- A jezeli nasi ludzie zostana zaskoczeni na otwartej przestrzeni?

- Beda musieli sami sobie poradzic i niech Bog ma ich w opiece - odparl Ranulf. - Bezpieczenstwo wszystkich mieszkancow Ashlinu zalezycy od twoich decyzji. Fulk dowodzi ludzmi, ale ty jeste tu pania, a twoje slowo jest prawem.

- Nie chce, aby to, co powiem, zabrzmiatlo dziecinnie, ale nie wiem, czy udzwignę taką wielką odpowiedzialność.

- Eleanore, gdybym zginat w bitwie, musiałybyś utrzymac dwor dla naszego Simona, tak jak kiedyś uczynila to wasza matka dla twego brata. Jak mi mowiono, byla rownie delikatną kobietą jak ty, ale znalazla w sobie siłę, zeby ocalic dziedzictwo, w przeciwienstwie do mojej matki, ktora dopuscila do tego, by ojczym zawlaszczyl moj majatek i obdzielil nim swoich synow. Nie brakuje ci odwagi, *petite*. A ja wröce do domu najszybciej, jak to bedzie mozliwe. - Ranulf pocie-

szającym gestem otoczył Elf ramieniem. Poczwała, jak spływa na nią jego siła.

- Wybacz mi tę chwilę słabości - szepnęła. - Spełnię swój obowiązek.

- Wiem, że tak będzie - odrzekł Ranulf. - Każ strażnikom obchodzić mury tak w dzień, jak i w nocy. A pasterzom powiedz, że gdyby Walińczycy próbowali ich podejść w nocy, tak jak to miało miejsce w St. Friedeswide, niech wezmą psy i skryją się w lesie. Nieuzbrojeni nie poradzą sobie z tą dziczą ani też nie zapobiegą kradzieży owiec. Można nabyć nowe zwierzęta. Życia ludziom nie da się przywrócić, a nam potrzeba lojalnych poddanych.

- Czy dasz mi znać, kiedy się można ciebie spodziewać?

- Nie sądzę, ponieważ moja misja ma poufny charakter. Niemniej będę próbował przesłać wiadomość. Kiedy usłyszysz, że król Stephen zakończył życie, wiedz, że będę w drodze do domu - odpowiedział jej. - Wtedy królowa wraz z synem musi dotrzeć do Anglii.

Elf spakowała rzeczy Ranulfa do sakw, które miały podróżować na grzbiecie jucznego muła. Przygotowała mężowi dwie paradne tuniki do noszenia na dworze i dwie na codzienny użytek. Uszyła mu kilka koszul z cienkiego płótna. Zapakowała nowe spodnie, rajtuzy i bieliznę. Wśród rzeczy był także wytworny kaftan, jaki nosiło się na dworze, narzucając go na zbroję, ponadto pas zdobiony granatami i perłami, para futrzanych rękawic i peleryna z cienkiej wełny, obszyta rysim futrem.

- Nie wiem, czy ci to wystarczy - niepokoila się.

- Będzie musiało - odpowiedział rozbawiony. - Jestem zwykłym rycerzem. Nie chcę na siebie ściągać uwagi, *petite*. Mam być szarym angielskim wróblem pośród pawia na dworze księcia Henryka. Poza tym oprócz bagażu muł musi udźwignąć zbroję. Kto wie, może zaproszą mnie do udziału w turnieju.

- A jeśli zostaniesz ranny?! - zawołała Elf, blednąc. - Ciekawe, kto będzie cię opierać, jeżeli twój pobyt w Normandii potrwa dłużej niż miesiąc, a może nawet dwa? Czy książę Henryk o tym pomyślał? Nie! Oczywiście, że nie! On ma zostać królem i już się przyzwyczaił rozkazywać wszystkim dookoła, nie dbając o niczyje dobro!

Ranulf roześmiał się, rozbawiony gderaniem Elf.

- Pax będzie mnie opierał - uspokoił ją. - To należy do obowiązków giermka. Obiecał, że będzie dbać o mnie nie gorzej od żony - przekomarzał się Ranulf.

- Hmm! - mruknęła znacząco.

Nastał nowy dzień, przytroczono juki do grzbietu muła. Pax po raz kolejny podziękował wujowi za szansę, jaką mu stworzył, ucałował matkę, patrzącą na niego z dumą, po czym wskoczył na swego nowego konia. Ranulf z pobłażliwym uśmiechem obserwował podnieconego młodzieńca. Wiedział, że chłopak nigdy dotąd nie ruszył się poza granice Ashlinu i że dla niego ta podróż jest wielką przygodą.

Elf walczyła ze łzami cisnącymi się do oczu. Nie zrobi z siebie widowiska! Wyprawiała Ranulfa w zwykłą podróż do Normandii, a nie na wojnę.

- Będę się modlić za ciebie - szepnęła mu - i o powodzenie misji, jak również o to, byś jak najszybciej szczęśliwie wrócił do domu.

- *Petite*, kiedy wyjadę, z każdą godziną będzie ubywać czasu do mego powrotu - pocieszył ją, a potem wziął w ramiona i delikatnie pocałował w usta. - Eleanore, dbaj o Simona i o Ashlin - powiedział, wypuszczając ją z objęć.

- Będę dbać, Ranulfie - obiecała. Czyżby w jego oczach dostrzegła coś, czego nigdy przedtem nie widziała? Ostatnio wydawało się jej, że być może miłość nie była mu obcym uczuciem. Ach, gdyby tak mogła otworzyć przed nim serce! Patrzyła, jak Ranulf dosiada swego potężnego, bojowego wierzchowca. Na koniec przechylił się w siodle, uniósł ją nad ziemię i złożył na jej ustach pożegnalny pocałunek.

Kiedy na jedną małą chwilę skrzyżowały się ich spojrzenia, Elf wydało się, że unosi się w przestworza.

- Żegnaj, *petite* - powiedział, stawiając ją na ziemi. Słodki Jezu, ile wymowy miało jej spojrzenie - pomyślał Ranulf. Czy możliwe, że darzy go miłością? Czy wolno mu na to liczyć? Westchnął i puścił konia stępa. Pozna odpowiedź na te pytania dopiero po powrocie. Musi nabrać pewności. Musi usłyszeć z jej ust, że go kocha. Nie może wyjść przed nią na głupca. Pragnął jej miłości, nie współczucia.

Elf odprowadzała Ranulfa wzrokiem tak długo, aż sylwetki obu jeźdźców stały się ruchomymi punktami na trasie. Po-

kręciła głową i cofnęła się za bramę Ashlinu, aby przystąpić do swych codziennych obowiązków. Jeszcze dziś rano musi przeprowadzić rozmowę z Fulkiem, Johnem i Cedrikiem. W przyszłym miesiącu przypadają żniwa, trzeba będzie zorać pola i posiać oziminę. Należało ostrzyc owce, aby na zimę urosło im bujne runo i żeby mogli sprzedać wełnę na wrześnieowym targu. Tyle pracy ją czeka!

Merin ap Owen skradał się brzegiem lasu na obrzeżach Ashlinu. Nie ufał swoim ludziom na tyle, by wysyłać ich na rekonesans, kiedy w grę wchodził ewentualny najazd. Zawsze sam udawał się na zwiad. W tym tkwiła tajemnica jego sukcesów. Przyjrzał się murom na wzgórzu. Były znacznie wyższe, niż opisała je Isleen. Czyżby go okłamała? Czy Isleen naopowiadała mu bzdur, czy też mury wzmocniono? Bardziej prawdopodobna wydała mu się druga możliwość, bo Isleen głupia nie była. Musi podejść bliżej. Isleen twierdziła, że fosa jest bardzo płytka, ale skoro podniesiono mury, zapewne także pogłębiono fosę.

Merin wyszedł z lasu na wąską ścieżkę wiodącą pod mury. Ubrał się na tę wyprawę w zielono-brązowy strój, by nie zwracać na siebie uwagi krzykliwym odzieniem. Na plecach niośł koło do ostrzenia noży. Często korzystał z tego rekwizytu. W każdej ludzkiej siedzibie były jakieś noże do naostrzenia, chociaż w majątku takim jak ten zapewne mieli własne koło. Jednak dzięki tej maskaradzie Merin nie budził podejrzeń, więc nie odmówią mu noclegu, jeśli o niego poprosi, a właśnie tak planował postąpić. To był najlepszy sposób na rozeznanie się w terenie. Poza tym czeladź lubi plotkować, a celują w tym kobiety. Merin obnażył zęby w drapieźnym uśmiechu i pewnym krokiem ruszył przed siebie.

Tak jak przypuszczał, wpuszczono go za mury. Merinowi wystarczył jeden rzut oka, aby się upewnić, że fosę rzeczywiście pogłębiono. W dodatku zlikwidowano kładkę przysypaną ziemią, zastępując ją zwodzonym mostem z dębowych bali. Po wewnętrznej stronie murów wzniesiono platformę, po której przechadzali się wartownicy. W ogóle musiało tu być więcej uzbrojonych ludzi, niż się spodziewał. W dodatku ci, których widział, wydawali się dobrze wyszkoleni. Zdobycie Ashlinu będzie trudniejsze, niż przypuszczał. Nieźle się

nagłowi, zanim znajdzie sposób, aby się tu wedrzeć. Czy rzeczywiście skórka warta jest wyprawki? - zastanawiał się.

Wieczorem, kiedy siedział w wielkiej izbie, rozglądał się dokoła, w skupieniu rozważając ryzyko w zestawieniu z ewentualnymi zyskami. Owce i bydło pasły się na łące poza murami. Zwierzęta wydawały się stanowić główne bogactwo Ashlinu i można je było ukraść, nie narażając się na straty w ludziach. Co prawda izba była przestronna i wygodna, lecz nie dostrzegał tu srebrnych pater ani zbytkownych przedmiotów, na które warto by było się połakomić. Isleen pragnęła zemsty, ale on nie pozwoli, by chęć dogodzenia tej dziwce przyćmiła mu zdrowy rozsądek.

Pani tego dworu poślubiła mądrego mężczyznę. Zadał o wykształcenie ludzi i przedsięwziął odpowiednie środki ostrożności, by obronić dwór przed rabusiami takimi jak on. Merin uśmiechnął się do siebie. Mąż Eleanore uczynił wszystko, co w podobnej sytuacji zrobiłby on sam. Ale nie było go w domu, jak zdołał się zorientować z szeptanych rozmów służących. Więc pora na atak wydawała się odpowiednia.

Wzrok Merina spoczął na właścicielce posiadłości. Chyba w życiu nie widział kobiety piękniejszej od małej zakonniczki, jak nazywała ją Isleen. Jej płomiennozłote włosy, zaplecione w warkocze, zasłaniał skromny woal. Z całej postaci emanował spokój, nie znał drugiej kobiety, która roztaczałaby podobną aurę. Oczy Merina zwęziły się w szparki. Ze sposobu, w jaki służący zwracali się do niej, odgadł, że kochają ją i darzą szacunkiem. Uświadomił sobie, że po raz pierwszy w życiu ma do czynienia z kobietą godną szacunku. Nie przypuszczał, że takie stworzenia w ogóle stąpają po ziemi. To z kolei nasunęło mu pytanie, jak godna szacunku kobieta zachowuje się w łożu. Czy pozostaje elegancko chłodna i nieporuszona, czy też staje się gorąca i namiętna w ramionach męża? Ale tego się nie dowie - stwierdził ironicznie.

Merinowi wyznaczono na nocleg miejsce w pobliżu kominika, a rano nakarmiono go chlebem i serem. Ponieważ w Ashlinie nie było noży do naostrzenia, opuścił dwór i po kilkudniowej wędrówce przez walijskie wzgórza dotarł do Gwynfr. Kiedy przestąpił wrota zamku, skierował się prosto do komnaty Isleen i kazał ją przywołać.

- Więc wróciłeś, panie! - zawołała, stając na progu w sukni

z jedwabiu niebieskiej barwy, która podkreślała kolor jej oczu, a rozpuszczone złote włosy spływały jej na ramiona.

- Kładź się na plecy i podciągnij spódnicę - rozkazał. - Stęskniłem się, Isleen, za twą gorącą, chętną szparką. Najpierw sobie poużywam, a potem porozmawiamy, moja piękna ladacznico.

Rzucił się na nią zachłannie. Poddała się biernie, udając, że ją podnieca. Merin poznał, że musiała go zdradzać z którymś z jego ludzi. Kto wie, czy nie było ich kilku. Nie powiedział jednak ani słowa. Choć czerpał przyjemność z jej rozpustnych skłonności, wiedział, że prędzej czy później odeśle ją z powrotem do Cluda, bo nie pozwoli, by robiła zeń głupca i narażała na niewybredne żarty poddanych. Kiedy nasycił żądzę, podniósł się i poprawił ubranie.

- Wstawaj! - warknął. - Teraz możemy rozmawiać.

- Napadniesz na Ashlin? - zapytała z przejęciem.

- Isleen, on się zmienił od czasu, kiedy mieszkałaś tam jako żona Richarda de Montforta - zaczął, po czym opisał jej wszystko ze szczegółami. - Możemy ukraść owce i bydło, ale w samym dworze nie ma niczego takiego, żeby warto było narażać życie moich ludzi - podsumował.

- Co?! - rozgniewana wrzasnęła piskliwie. - Czy zanim udałeś się na te idiotyczne przespiewki, nie powiedziałam ci dość wyraźnie, że chcę widzieć Eleanore de Montfort martwą?! Zasługuje na śmierć za to, co mi zrobiła! Ta mała zakonniczka ma cierpieć tak, jak ja cierpiałam! Chcę, żeby przeszła przez ręce wszystkich mężczyzn z twego garnizonu, zanim pozwolę ci ją zabić. Jeżeli mnie kochasz, zrobisz to dla mnie!

- Ale ja cię nie kocham, Isleen! - zaśmiał się Merin ap Owen. - Skąd ci to przyszło do głowy? Czy dlatego, że wzięłam cię do zamku jako swoją dziwkę? Jesteś drapieżna jak wściekła kotka, moja piękna ladacznico. Zawsze osobiście przeprowadzam zwiad i sam decyduję, co jest warte zachodu. A w Ashlinie interesują mnie owce i bydło. Nie ma tam nic więcej godnego uwagi. Mąż Eleanore wyjechał, więc okoliczności nam sprzyjają.

- Ty głupcze! - zawyła i jęła go okładać pięściami po pożątej piersi. - Ty walijski zakuty łbie! Oczywiście, że w Ashlinie jest o wiele więcej do zrabowania niż tylko bydło! Nie widzisz tego?!

Brutalnie przytrzymał ją za nadgarstki.

- Co?! - krzyknął i uderzył ją otwartą dłońią. - Cóż takiego wartościowego przeoczyłem w Ashlinie, Isleen?! Co umknęło mojej uwadze? - Potrzęsnał nią.

- Eleanore de Montfort! - jęknęła. - Puszczaj mnie, ty osiłku! Miażdżysz mi ręce! - Roztarła obolałe nadgarstki. - Merinie ap Owen, czy pani Ashlinu nie jest godna okupu? Bydło i owce rzadko osiągają dobrą cenę, bo wszyscy wiedzą, że są kradzione. Zostaw zwierzęta na łące, a zamiast tego porwij Eleanore. Jej mąż będzie musiał je sprzedać, ażeby zdobyć pieniądze na okup. Zyskasz dwa razy więcej, niż gdybyś sam zapędził zwierzęta na targ. Czy to nie jest lepszy pomysł?

- Tak, masz rację - przyznał zamyślony. - Ale niech ci się nie wydaje, że nie wiem, co ci chodzi po głowie. Planujesz przejąć pieczę nad branką i zemścić się na niej, gdy tymczasem ja będę ręczył słowem za jej nietykalność. Nic z tego, Isleen. Liczę na spory trzos złota od jej męża. Jeżeli Eleanore stanie się krzywdą, nie tylko nie dostanę okupu, ale mogę stracić życie, kiedy rozjuszony małżonek rzuci się na mnie. A tego byś nie chciała, prawda, Isleen? - Spojrzał na nią, rozciągając usta w uśmiechu. - Przecież pragniesz, żebym cię pokochał. Kto wie, czy do tego nie dojdzie, jeśli dalej będziesz mnie tak wspaniale wspierać pomysłami, które rodzą się w twojej sprytniej główce. - Merin przyciagnał Isleen do siebie i wpił się w jej usta.

Oddając mu żarliwy pocałunek, zamknęła rękę na jego kroczu i nie cofnęła jej, aż Merina ponownie ogarnęło podniecenie. Wtedy wyrwała mu się z objęć, zrzuciła suknię i podtrzymując piersi dłońmi, kusiła go ich widokiem. Merin pochwyił Isleen w pół i postawił na łożu. Nachyliła się nad nim i przesunęła sutkami po jego ustach, a gdy próbował dotknąć ich językiem, uskoczyła do tyłu.

- Suka! - warknął i łapiąc ją za kostki u nóg, przewrócił na plecy. Wymotał się z ubrania i przygwoździł ją do łoża. - Suka! - powtórzył, kiedy usiłowała się mu wywinąć.

Isleen obsunęła się niżej i zatopiła zęby w jego barku.

- Zaraziłam cię wścieklizną! - parsknęła śmiechem, kiedy poczuła w ustach smak krwi.

Dla ostrzeżenia wymierzył jej kilka niezbyt silnych policzków.

- Moja piękna ladacznico, jesteś sprytna - przyznał - ale niech ci się nie wydaje, że jesteś niezastąpiona. Któregoś dnia mogę cię zabić.

- Kto wie, czy ja prędzej nie zabiję ciebie - odpaliła i roześmiała się, widząc jego zaskoczoną minę.

Kochał się z nią brutalnie, doprowadzał niemal do szczytu, a potem rozmyślnie zwlekał, bawiąc się jej napięciem, aż zaczęła miotać przekleństwa. Wreszcie pozwolił jej osiągnąć spełnienie.

- Jesteś tylko kobietą, Isleen - wycedził ze śmiechem, odrywając się od niej. - Słabą kobietą, pamiętaj o tym, piękna ladacznico. A teraz muszę przemyśleć, co mi powiedziałaś. - Obciągnął ubranie i wyszedł z komnaty, słysząc, jak znowu ciska za nim przekleństwa.

Isleen - myślał, wchodząc do swych prywatnych apartamentów - zaczyna być uciążliwa. Ale odpowiada mu jej dzika zmysłowość. Musiał przyznać, że żadna inna kobieta nie dostarczyła mu takich doznań. Niestety, nie należy jej ufać - upomniał siebie. Isleen pragnie bogactwa i niezależności. Kto wie, czy on nie pomoże jej osiągnąć zamierzonych celów, jeżeli będzie się dobrze sprawować. Już lepiej mieć w niej sojuszniczkę niż wroga.

Jej pomysł, by porwać Eleanore, wydał mu się godny uwagi. Miała rację, mówiąc, że okup przyniesie dwa razy większy zysk niż sprzedaż zwierząt skradzionych z Ashlinu. Ale jeśli porwie Eleanore i przywiezie do Gwynfr, czy uda mu się ją ochronić przed zemstą tej wściekłej dziwki? Martwa lub okaleczona pani na Ashlinie nie będzie przedstawiać żadnej wartości. Isleen żywi do Eleanore de Montfort nieuzasadnione pretensje. Sama mu przecież opowiedziała, jak przekonała Richarda, żeby przed ich ślubem wywiózł maleńką siostrę do zakonu. Potem odwiedził ją w klasztorze tylko jeden raz. Dopiero dziewięć lat później, na krótko przed śmiercią, wezwał ją do siebie.

Kuzyn Isleen, jej współnik w zbrodniczych działaniach, musiał być skończonym głupcem. Wybrał na gwałt zły czas i miejsce. Powinien był, z pomocą Isleen, zakraść się do Eleanore w nocy, kiedy nikt ze służących nie usłyszałby jej krzyków. Ten błąd pokrzyżował plany Isleen. Trudno Eleanore de Montfort winić, że broniła się przed niechcianymi zalotami

Saera de Bude'a, i nie można mieć pretensji do służącego, że przyszedł z pomocą swej pani.

Żale Isleen są bezpodstawne. Ona jest najzwyczajniej w świecie zazdrosna o byłą szwagierkę - doszedł do wniosku Merin. Tak, tutaj tkwił problem. Eleanore de Montfort ani trochę nie ustępowała urodą Isleen de Warenne. W dodatku ludzie ją kochali i darzyli szacunkiem, czego nie można powiedzieć o Isleen. Ileż to razy jego piękna ładacznica wyrzekała na mieszkańców Ashlinu! Eleanore pod każdym względem różniła się od Isleen i za to ona właśnie jej tak nienawidziła. Isleen nie potrafiła ani nie chciała się zmienić. Wszystko musiało być po jej myśli, a jeśli nie osiągała tego, czego chciała, podnosiła wrzask, że dzieje się jej krzywda.

Nie będzie łatwo ustrzec zakładniczkę przed Isleen. Kiedy już rozwiąże ten problem, zastanowi się nad planem porwania. Nie warto narażać się na straty w ludziach przy pokonywaniu murów, chociaż gdyby udało im się wdrzeć do wewnątrz, opanowanie samego dworu nie stanowiłoby trudności. Skoro więc nie można dokonać porwania we dworze, należy wywabić ofiarę poza mury, gdzie znacznie łatwiej będzie ją pochwycić.

Merin ap Owen napełnił puchar szlachetnym winem, które trzymał w swojej komnacie, i rozsiadł się przy kominku, aby wnikliwiej przeanalizować całe przedsięwzięcie. Pani na Ashlinie była mocno związana z zakonnicami, które ją wychowały. Czy wywabiłby ją poza posiadłość, napadając na St. Friedeswide? Całkiem możliwe, ale pewności nie ma. Za bezpieczeństwo dworu odpowiadał ten siwy, zaprawiony w bojach dowódca straży. Szczwany lis, na pewno nie pozwoli swej pani jechać z pomocą do St. Friedeswide po napaści. Wyśle tam swoich ludzi. Może jednak podstęp z klasztorem przyniosłby jakieś korzyści?

Zmrużył oczy i w zamyśleniu pocierał podbródek. A gdyby tak posłać do Ashlinu człowieka, żeby odurzył strażę przy bramie i na murach oraz służbę, a potem otworzył wrota... Ha! Nareszcie ma świetny plan! Tylko kogo tam wysłać? Kogo strażę wpuszczą do środka? Kto nie wzbudzi ich podejrzeń? Niech pomyśli, kogo uda mu się nakłonić do tego czynu... To musi być osoba w pełni zdana na jego łaskę, a przy tym całkowicie mu wierna... Powoli cień uśmiechu rozjaśnił przystojną

twarz Merina. Już wie! Służąca Isleen! Siostrzenica Cluda, Arwydd!

Arwydd była rozgarniętą dziewczyną. Okazała dość sprytu, znajdując sposób na wyrwanie się z lupanaru wuja, gdzie harowała za darmo jak niewolnica. Isleen ani razu się na nią nie skarżyła, co oznacza, że dziewczyna dobrze sobie radzi z humorami swej kapryśnej pani. Czy zechce służyć jemu z równym oddaniem? Ha! Zechce i będzie, bo inaczej własnoręcznie skręci jej kark! Nie potrzebuje nieposłusznych służących. A teraz się dowie, kto chędożył jego dziewczkę, kiedy był w Anglii. Ostrzegł swych ludzi, by nie ważyli się zbliżyć do jego własności, a jednak któryś z nich uległ przemożnemu czarowi Isleen. Teraz mu przyjdzie zapłacić za to życiem. Nie wspomni Isleen o tym ani słowem, ale już ona zrozumie przestrożę, podobnie zresztą jak pozostali jego poddani. Więcej nikt nie śmie jej tknąć, chyba że on sam na to pozwoli.

Uśmiechnął się cierpko, po czym zaczął się zastanawiać, jakim sposobem Arwydd mogłaby trafić do Ashlinu. Najlepiej niech udaje zbiegłą niewolnicę. Powie, że uciekła, bo jej pan chciał sprzedać ją do zamtuza, albo coś w tym rodzaju. Taką historią na pewno zdobędzie współczucie dobrotliwej pani Eleanore. Merin zachichotał. Pomysł jest świetny, a Arwydd dobrze się nadaje do tej roli. Teraz pozostało już tylko wymyślić jakiś sygnał, aby dziewczyna mogła jemu i ludziom dać znak, że wszystko gotowe. Sukces był w zasięgu ręki. Błogi uśmiech pojawił się na twarzy Merina. Był zadowolony z siebie, a nawet i z Isleen.

14

Pax nie mógł się nadziwić tym wszystkim cudom, które oglądał na świecie. Ile będzie miał do opowiadania Willi! Ponad tydzień jechali z panem, zanim dotarli nad morze. Anglia musi być sporym krajem! W końcu wjechali do jakiegoś miasta, pan powiedział, że nazywa się Portsmouth i że stąd przeprawia się przez kanał do Barfleur. Pax nigdy nie widział takiego dużego miasta, a wiatr od morza miał dziwny, słonawy smak. Musiał się dobrze wsłuchiwać, żeby zrozumieć ludzi,

bo choć mówili po angielsku, inaczej wymawiali słowa niż jego ziomkowie w Ashlinie. Na szczęście coraz bieglej posługiwał się mową Normanów, bo pan codziennie ją z nim ćwiczył.

- Pamiętaj! - ostrzegł Paxa Ranulf. - Masz udawać, że rozumiesz wyłącznie najprostsze polecenia i podstawowe zwroty. Wtedy ludzie będą swobodnie przy tobie rozmawiać i być może wyłowisz jakieś informacje, które mogą się mi przydać.

- Będę pamiętał, panie - zapewnił go Pax.

- Jak dotąd dobrze się spisujesz - pochwalił go Ranulf, a Pax aż urósł z dumy, bo szczerze pragnął podnieść swą pozycję w ashlińskiej społeczności i po powrocie do domu poprosić o rękę Willi. Jeżeli pan będzie z niego zadowolony, na pewno da mu zgodę na ślub.

Przeprawa do Normandii wypadła w piękny letni dzień. Morze było gładkie, słońce przygrzewało i wiał lekki wiatr.

- Szczęście nam sprzyja - stwierdził Ranulf, kiedy następnego dnia po południu dobili do portu w Barfleur. - Przepłynęliśmy szybko i bez kłopotów. To dobry omen.

- Czy dzisiejszą noc spędzimy już w Rouen, panie? - chciał wiedzieć Pax.

- Nie. Być może jutrzejszą, ale wszystko zależy od pogody i od dróg.

Sprowadzili na ląd konie i muła.

- Rozejrzemy się za targowiskiem, Pax - zdecydował Ranulf. - Kupię trochę jedzenia, bo nie wiem, czy znajdziemy jakieś przyzwoite miejsce na nocleg i być może wypadnie nam rozłożyć się w lesie, jeżeli nie natrafimy po drodze na jakąś gospodę czy opactwo. Lepiej się przygotować na każdą ewentualność, prawda? - Ranulf wsiadł na swego wierzchowca i odwracając się w siodle, rzucił do Paxa: - Trzeba napoić konie, zanim opuścimy miasto.

- Tak, panie! Zajmę się tym.

Najpierw jednak poszukali rynku i Ranulf kupił dwa duże bochny chleba, niewielki krążek sera, pęto tłustej kiełbasy, kilka brzoskwiń i spory bukłak wina, kosztując je najpierw, by sprawdzić, czy przypadkiem nie jest kwaśne.

- Jesteś Anglikiem? - zapytał go handlarz winem.

- Tak - potwierdził Ranulf. - Jestem skromnym rycerzem,

przyjechałem złożyć hołd księciu Henrykowi, bo nasz król leży złożony chorobą.

Handlarz ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Lepiej uczynić to wcześniej niż później - podsumował. - Jesteś mądrym człowiekiem, panie. Dobrze, że tak dbasz o swoją rodzinę. Księżę Henryk jest wspaniałomyślnym władcą, a księżna Alienor najpiękniejszą i najmądrzejszą z kobiet. Miałem okazję ją widzieć, kiedy odwiedzałem moją siostrę w Rouen. Cudna z niej białogłowa, jeśli mi wolno tak powiedzieć.

Handlarz wskazał im drogę do miejskiego poidła, a Ranulf podziękował mu za uprzejmość. Pojechali napoić konie, po czym skierowali się na drogę do Rouen. Powoli zapadał zmierzch, zapobiegliwość Ranulfa okazała się słuszna. Nigdzie po drodze nie dostrzegł żadnej gospody ani klasztoru, gdzie mogliby prosić o schronienie. Kiedy wypatrzył polankę w pobliżu strumyka, osłoniętą drzewami od traktu, zarządził postój.

- I żadnego ogniska, by nie zwabić jakichś zbirów - ostrzegł Paxa. - Posilimy się, zanim zapadnie zmrok. Konie mają wodę i mnóstwo trawy.

- Czy nie zaatakują nas dzikie bestie, jeśli nie rozpalimy ognia? - niepokoił się Pax.

Ranulf uśmiechnął się.

- Prędzej napadną na nas dwunożne bestie, jeżeli ogniskiem damy im znać, że tu jesteśmy - oznajmił, zsiadając z konia. - Spójrz tam, widzisz bydło, które pasie się na tamtej łące? Wieśniacy nie zostawiliby go na noc, gdyby się obawiali dzikich zwierząt. Chodź, zjedzmy coś i wyśpijmy się porządnie. Zeszłej nocy na statku na wpeł czuwałem w obawie, że któryś ze współpasażerów połakomi się na nasze konie oraz muła i poderżnie nam gardła. - Uśmiechnął się lekko, widząc, jak policzki giermka pobielały ze strachu. - Nikomu nie wolno ufać, chłopcze - ostrzegł go cicho. - Tutaj tylko na mnie możesz polegać.

Rozsiodłali konie, by swobodnie mogły się paść. Młody giermek z nabożeństwem odkroił dwa kawałki chleba, sera i kiełbasy i podał porcję swemu panu. Zabrali się do jedzenia, popijając od czasu do czasu winem z bukłaka. Brzoskwinie postanowili zachować na później. Mieli za sobą długi dzień

i zmęczenie dawało im się we znaki. Słońce już zaszło, gęstniał zmrok. Noc była pogodna. Pax, leżąc na plecach, patrzył w gwiazdy i myślał, jak bardzo się od siebie różnią. Na niebo wypłynął sierp księżycy, srebrząc łąkę delikatną poświata, gdy obaj mężczyźni zapadli w twarde sen.

Ranulfa obudził ptasi świergot. Otworzył oczy. Niebo na horyzoncie jaśniało. Wstał, poszedł za potrzebą, a wróciwszy, szturchnął giermka czubkiem buta.

- Wstawaj, chłopcze, za chwilę będzie świtać! Posilmy się i ruszajmy w drogę. Następną noc chcę spędzić w Rouen, a nie na wilgotnej łące. To nie na moje stare kości.

Pax zebrał się z ziemi.

- Panie, przepraszam. Nie chciałem zapaść.

- Idź sobie ulżyć i zabierajmy się do jedzenia.

Jedną trzecią chleba, resztkę kiełbasy i brzoskwinię odłożyli na południowy posiłek. Teraz zjedli tylko chleb i ser i napili się wina. Alkohol orzeźwił ich i rozgrzał. Ranek był nieco parny, zapowiadał się gorący dzień. Kiedy skończyli się posilać, napiili i osiodłali konie, po czym ruszyli w dalszą drogę. Jechali przez płaski teren ograniczony łagodnymi wzgórzami. Szlak prowadził wzdłuż Sekwany. Późnym popołudniem ukazały się ich oczom dachy miejskich zabudowań. Rycerz i jego giermek przejechali po wspartym na trzynastu przęsłach, szerokim, kamiennym moście przerzuconym łukiem nad rzeką.

Rouen miało długą historię. Za czasów imperium rzymskiego było stolicą prowincji - wyjaśnił Ranulf Paxowi. Giermek ze zrozumieniem pokiwał głową, choć nie miał pojęcia, kim byli owi Rzymianie, ale wolał nie pytać, by nie wyjść na nieuka. Normandia - tłumaczył dalej Ranulf - stanowiła część prowincji zwanej Galią. Nawet Anglia należała do Rzymian. Nazywali ją Brytanią. Pax po raz wtóry pokiwał głową, strzelając oczami na prawo i lewo, gdy przemierzali wąskie uliczki, przy których stały trzy-, a nawet czteropiętrowe domy. Nigdy nie widział takich domów.

- Musimy znaleźć jakieś lokum - zdecydował Ranulf. - Najlepiej jak najbliżej zamku.

- Nie będziemy mieszkać w samym zamku? - Giermek wydawał się zaskoczony.

- Nie, jeśli nas tam nie zaproszą. Nie zapominaj, że jestem

tylko skromnym rycerzem, który przyjechał złożyć hołd księciu Henrykowi, naszemu przysłęmu królowi. Więksi panowie ode mnie gnieźdzą się po gospodach, dzieląc pomieszczenia ze służbą. Być może uda mi się wyprosić miejsce dla nas w książęcej stajni. Wszystko zależy od tego, jak liczny jest książęcy orszak. Zaczniemy nasze poszukiwania od zamku, Pax. Z tego, co widzę, tutejsze gospody mogą się okazać zbyt drogie na mą skromną kiesę.

Ranulf przemilczał przed swoim giermkim prawdziwy powód wyprawy do Normandii. Chłopakowi brakowało doświadczenia i Ranulf nie był do końca pewien, czy czegoś by nie wypaplał.

Nietrudno było znaleźć zamek księżnej Matildy. Ta najbardziej okazała budowla w Rouen miała zarówno wielką komnatę recepcyjną, jak i potężną basztę. Zwodzonym mostem wjechali na dziedziniec pełen ludzi. Ranulf powiódł wzrokiem po zabudowaniach w poszukiwaniu stajni. Kiedy ją wreszcie wytropił, skierował konia w jej kierunku, a Pax podążył za nim. Odszukawszy koniuszego, zwrócił się do niego z prośbą o nocleg.

- Jestem sir Ranulf de Glandeville, pan na Ashlinie. Przyjechałem z Anglii złożyć hołd księciu Henrykowi. Może na stryszku nad stajnią znajdzie się trochę miejsca dla mnie i dla mego giermka?

Koniuszy taksującym spojrzeniem ogarnął obu przybyłych. Ubrani byli porządnie, w rzeczy dobrej jakości, nieco przykurzone po podróży. Konie też mieli przednie.

- Znasz tu kogoś, panie? - zapytał.

- Sir Garricka Taliferra, dworzanina księcia Henryka - odrzekł Ranulf. - On potwierdzi moją tożsamość i prawdomówność.

- Wybacz, panie, ale muszę mieć pewność, że jesteś tym, za kogo się podajesz. Przyjeżdża tu wielu Anglików, na dwór ciągną całe procesje rycerzy pragnących zapewnić księcia o swej lojalności. Trudno o skrawek miejsca.

- Rozumiem - uprzejmie odpowiedział Ranulf.

- Wyślę kogoś po sir Garricka, którego mam honor znać. Za jego zgodą udzielę ci, panie, i twojemu giermkowi schronienia na tak długo, jak to konieczne.

- Nie jestem wielkim baronem, będę wdzięczny za kawałek dachu nad głową - zapewnił go Ranulf.

- Hej tam, paziu! - Koniuszy pochwycił za kark chudego wyrostka. - Biegnij poszukać sir Garricka Taliferra i powiedz mu, że koniuszy Conan chciałby z nim rozmawiać. - Lekkim kopniakiem dodał chłopcowi przyśpieszenia.

W ciągu dnia nie tracili czasu na postój, więc teraz Ranulf rozkazał Paxowi wyjąć ostatki jedzenia. Obaj mężczyźni usadowili się na ławie przy wrotach stajni i sączyli resztki wina z bukłaka. Czekali dłuższy czas, słońce chyliło się ku zachodowi i zapadał zmierzch. Wreszcie z półmroku wyłoniła się sylwetka sir Garricka.

- Ranulf! Co robisz w Rouen?! Jak się ma mój chrześniak? - Stając przed nimi, Garrick wyciągnął rękę w serdecznym powitaniu.

Ranulf podniósł się z ławy i uściśnął wyciągniętą dłoń.

- Pomyślałem, że czas złożyć uszanowanie księciu Henrykowi. Moja pani też uważa, że to słuszny krok. A Simon rośnie w oczach.

- Jak Stephen?

- Jeszcze się w nim dusza kołacze - odpowiedział Ranulf. I zaraz dodał z uśmiechem: - Garricku, jeżeli uda ci się przekonać koniuszego Conana, że może nam zaufać, to jest gotów udzielić nam noclegu tu, w stajni. Czy nas zarekomendujesz?

- Ależ z ochotą! Zamek jest pełen, nawet palca nie wciśniesz, bo księżna z całą świtą przyjechała w odwiedzinach do matki. Chodź, zaprowadzę cię i twego giermka do sali recepcyjnej. Zbliży się pora wieczery. Nie będzie tak suta jak południowy posiłek, bo stara władczyni wydziela skromne racje, ale trochę sobie podjecie - zaśmiał się Garrick Taliferro, po czym zwrócił się do koniuszego: - Książę będzie wdzięczny, jeżeli znajdziesz odpowiednie schronienie dla tego rycerza, jego giermka i zwierząt.

- Już się robi, panie - odpowiedział koniuszy. - Rycerzu, pójdz za mną, jeśli łaska, wskażę ci miejsce na nocleg.

Koniuszy wszedł pierwszy, a oni podążyli za nim w głąb stajni. Kiedy znaleźli się pod przeciwległą ścianą, koniuszy wskazał im kilka pustych boksów ze świeżą ściółką.

- W jednym umieście zwierzęta, a w drugim zróbcie sobie pośłania. Miejsce jest ustronne, nikt was tu nie będzie niepo-

koił. Najlepiej niech giermek sam zadba o konie i muła, wtedy stajenni nie będą zaglądać do tej części stajni i twoja zbroja, panie, będzie bezpieczna - doradził, mrugając porozumiewawczo.

- Dziękuję, panie Conanie. - Ranulf wcisnął mu w dłoń małą srebrną monetę. - Jestem wdzięczny za pomoc.

Koniuszy schylił głowę w ukłonie i odszedł.

- Panie, ja już nasyciłem głód - powiedział Pax. - Zostanę tutaj, rozsiodłam i wyczyszczę konie. Proszę iść beze mnie.

- Jesteś pewien?

- Tak, panie!

Ranulf w towarzystwie Garricka wszedł do sali recepcyjnej, akurat gdy roznoszono posiłek. Znaleźli miejsce u szczytu jednej z ław. Przed gośćmi układano płaskie bochny chleba, po jednym na dwie osoby. Garrick przeciął chleb i podsunął część Ranulfowi. W cynowych kubkach stało średniej jakości wino, a na każdej z ław leżał niewielki krążek sera. Wśród biesiadników krążył półmisek z porcjami pieczonego królika. Ranulf nabił jedną z nich na nóż i położył na chlebie, po czym odciął sobie spory klinek sera. Kiedy ksiądz uniósł się ze swego miejsca przy głównym stole i odmówił krótką modlitwę, zabrali się do jedzenia.

Gdy Ranulf zaspokoił głód, rozejrzał się wokół siebie. Przystronna komnata była wypełniona ludźmi. Przeważali rycerze i ich giermkowie, chociaż przy jednej z ław w pobliżu głównego stołu dostrzegł grupę urodziwych kobiet. Honorowe miejsce za stołem zajmował książę Henryk, po jego prawej ręce siedziała matka, księżna Matilda, a po lewej żona, Alienor Akwitańska. Ranulf widział już raz księżną Matildę. Niewiele się zmieniła od tamtego czasu. Pozostała arogancka i nadal patrzyła na wszystkich z pogardą. Księżna ani na chwilę nie zapominała o swym szlachebnym pochodzeniu. Jej rodzicami byli król Henryk I i córka króla Szkotów Malcolma. Z kolei żona Malcolma pochodziła w prostej linii od ostatniego króla saksońskiego Edwarda. W żyłach księżnej Matildy płynęła najbardziej błękitna z błękitnych krew.

Natomiast na księżniczkę Ranulf patrzył jak na zjawisko. Jego Eleanore była piękna, lecz Alienor wydała mu się skończoną pięknnością. Złotowłosa, o niebieskich, roziskrzonych oczach, których czysty błękit był widoczny nawet z jego od-

ległego miejsca na końcu ławy. Alienor miała regularne rysy, nieskazitelną cerę, prosty nos i pełne, skore do śmiechu usta.

- Tylko się w niej nie zakochaj - uprzedził go Garrick półgłosem. - Większość mężczyzn pała do niej miłością. Księżniczce schlebia ich uwaga, ale pozostaje wierna mężowi.

- I tak powinno być - odparł Ranulf, nieco zdumiony słowami swego towarzysza.

- Zapewne nie miałeś okazji słyszeć plotek o jej trubadurach?

- Nie. A co się mówi? - zapytał Ranulf, szczerze zaciękawiony.

- Dwór księżniczki jest najweselszym i najbardziej tętniącym życiem miejscem na świecie - zaczął Garrick Taliferro. - Alienor uwielbia muzykę, literaturę oraz poezję, no i kocha artystów. Jej dwór jest nazywany Dworem Miłości. Trubadur zazwyczaj upatruje sobie jakąś szlachetną damę, naturalnie mężatkę, bo musi być nieosiągalna, potem zakochuje się w niej i tworzy wyrafinowaną poezję o niespełnionej miłości do damy swego serca.

- A co robi jego wybranka?

- To okazuje mu przychylność, to wzgardę.

- Jakież to czeze! - stwierdził Ranulf. - I według mnie trochę śmieszne. Poza tym jakim prawem ci wędrowni grajkowie z porządnej kobiety czynią obiekt swych westchnień?

Garrick Taliferro wybuchnął gromkim śmiechem.

- Jesteś nadto przyziemny, przyjacielu! Te damy to uwielbiają! A dla męża to wielki honor, że znany trubadur wielbi akurat jego żonę. W tej zabawie nie ma nic zdrożnego, chociaż, jeśli chodzi o księżną, niektórzy ludzie powiadają, że bierze sobie tych młodych mężczyzn na kochanków. Oczywiście, to nieprawda. Księżna jest zbyt rozważna i dumna, by romanować z trubadurami. Ona darzy księcia szczerym uczuciem.

- Nie pozwoliłbym, aby mężczyźni tego pokroju kręcili się koło Eleanore - ponuro stwierdził Ranulf. - Nie ma miejsca dla wagabundów w takim skromnym dworze jak Ashlin - podsumował i całkowicie zmienił temat: - Garricku, jak myślisz, kiedy będę mógł złożyć hołd księciu Henrykowi? Nie chciałbym zbyt długo zostawiać żony i dziecka samych. Na granicy walijskiej robi się niespokojnie. Wzmocniłem mury, mam dobrego dowódcę straży, ludzie są wyćwiczeni,

ale wolałbym nie przebywać poza domem dłużej, niż to konieczne.

- Porozmawiam z księciem, kiedy nadarzy się sposobność - obiecał Garrick. - A na razie mam nadzieję, że wraz ze mną i pozostałymi rycerzami udasz się na polowanie i weźmiesz udział w potyczkach na lance.

- Zabrałem ze sobą zbroję - przyznał Ranulf. - Co prawda liczyłem, że wyprawa nie zajmie zbyt wiele czasu, lecz z drugiej strony dość obracałem się na królewskim dworze, by wiedzieć, że moje nadzieje są raczej płonne. Mówi się, że król Stephen długo nie pociągnie, więc sądzę, że wrócę do domu przed Bożym Narodzeniem. Pozostaje mi jedynie modlić się, by Walijczycy omijali mój dom.

- Najwyżej stracisz swe stada - niefrasobliwie stwierdził Garrick Taliferro. - Lepiej opowiedz mi o moim chrześniaku.

- Bystry z niego chłopaczek - pochwalił się Ranulf. - Jestem gotów się założyć, że rozpozna mnie po głosie, kiedy wchodzę do alkierza, lecz moja żona twierdzi, iż jest na to za mały.

- Ja chyba też powinienem pomyśleć o ożenku - zastanawiał się Garrick. - Mam niewielką posiadłość na zachód od Londynu. Moja matka, która tam mieszka, bez przerwy suszy mi głowę, że czas, abym się żenił. Może kiedy ksiązę Henryk zostanie królem, poproszę go, by wyszukał dla mnie jakąś atrakcyjną pannę, którą mógłbym poślubić i płodzić z nią dzieci. Mężczyźnie potrzebni są synowie. Król już ma jednego, a chodzą słuchy, że księżniczka znowu jest przy nadziei.

- Widzisz, to jeszcze jeden powód, dla którego spieszo mi do domu - uśmiechnął się Ranulf. - Oboje z Eleanore pragniemy mieć więcej dzieci, a trudno tego dokonać, kiedy ja tkwię w Normandii, a ona siedzi w Ashlinie.

Wieczór upływał w miłym nastroju. Biesiadników zabawiali żonglerze oraz trubadur, najnowszy pupilek królowej, młody, smukły mężczyzna o ciemnych lokach i lśniących oczach koloru bursztynu, który śpiewał liryczne pieśni o nieszczęśliwej miłości do najpiękniejszej róży Akwitanii. Ranulf musiał przyznać, że choć słowa wydały mu się infantylne, melodia chwyciła go za serce. Mężczyźni siedzący z nim przy stole zaczęli grać w kości, więc pożegnał się i wyszedł, bo nie zamierzał uszczuplić swych skromnych zasobów.

Wrócił do stajni i skierował się prosto do boksu, który Pax pod jego nieobecność zdołał przemienić w całkiem wygodne lokum. Giermek rozsiadł konie i rozjuczył muła, po czym nakarmił, napoił i wyczyścił zwierzęta. Siodła przewiesił przez szeroką barierkę dzielącą boksy, a zbroję i ich dwa kuferki umieścił w kącie. Naniósł też więcej siana, by usypać przyzmy i nakryte płaszczami, służyło im za pośłania.

- Panie, myć się musisz na zewnątrz w poidle dla koni - zwrócił się do Ranulfa.

- Umyję się rano - zdecydował Ranulf, wyciągając się na sianie.

Następne kilka tygodni minęło zdumiewająco szybko. Posiłki jadali w komnacie recepcyjnej na zamku księżnej Matildy. Ranulf wraz z innymi rycerzami towarzyszył księciu na polowaniach. Brał też udział w potyczkach na lance, dzięki czemu wkrótce stał się znany, bo, jak dotąd, żaden z przeciwników go nie pokonał ani nawet nie wysadził z siodła. Po jednym z takich pojedynków, gdy zrzucił z konia faworyta księżnej Matildy, przyjąwszy potem z rąk księcia Henryka wieniec laurowy należny zwycięzcy, podarował go księżnej z pełnym szacunku ukłonem.

- Kto to? - zapytała jedną z dam dworu księżniczka Alienor.

- Nie wiem, pani. Zapewne nikt znaczący - odparła dworka.

Alienor Akwitańska uśmiechnęła się z pobłażaniem.

- Adelo, może ten rycerz nie pochodzi ze znamienitego rodu, ale jest mądry i ma nienaganne manieri. - Henryku, kto to jest? - zwróciła się do męża.

- Ranulf z Ashlinu - padła natychmiastowa odpowiedź. - Przybył złożyć mi przysięgę wierności. Być może to odpowiednia chwila, by mu na to pozwolić. - Skinieniem dłoni przywołał Ranulfa. - Witamy cię w Normandii, sir Ranulfie.

Ranulf ukląkł przed księciem Henrykiem i kładąc ręce na dłoniach przyszłego władcy Anglii, złożył hołd lenniczy.

- Wstań, sir Ranulfie - powiedział Henryk po przyjęciu przysięgi. - Darzymy uznaniem takich lojalnych rycerzy jak ty. Wiemy, że przez całe panowanie króla Stephena wiernie i z oddaniem mu służysz.

- Panie, tak samo będę służył tobie - odpowiedział Ranulf.

- Ufamy, że tak będzie. A teraz przedstawię cię twojej przyszłej królowej, mej małżonce księżniczce Alienor.

Ranulf skłonił się nisko przed nieziemskiej urody kobietą, która z bliska wydała się mu jeszcze piękniejsza.

- Pani, ślubuję ci posłuszeństwo - powiedział.

- Dziękujemy ci, sir Ranulfie. - Głos księżniczki zabrzmiał dźwięcznie i melodyjnie. - Nie uszło naszej uwagi, że dotąd nikt nie wysadził cię z siodła. Jesteś biegły w rycerskim rzemiośle.

- Szczęście mi sprzyja, pani - odpowiedział skromnie Ranulf i zaczął się wycofywać.

- Sir Ranulfie, miło nam będzie, jeśli zatrzymasz się w Rouen przez jakiś czas - odezwał się książę. - Naturalnie, jeśli nie jesteś pilnie potrzebny w domu.

- Panie, czuję się zaszczycony. Co prawda Walijczycy zrobili się niespokojni tego lata, ale zdążyłem otoczyć Ashlin mocnym murem i przekazałem rządy mej żonie.

- Zbudowałeś warownię? - Książę ściągnął brwi.

- Nie, panie! Nie wolno tego czynić bez królewskiej zgody - odpowiedział szybko Ranulf. - Podwyższyłem mury wokół dworu, aby zapewnić bezpieczeństwo rodzinie i czeladzi. Mam nadzieję, że nie naruszyłem prawa.

- Nie - potwierdził uspokojony książę.

Ucieszyło go zdyscyplinowanie Ranulfa de Glandeville'a. Ach, gdyby wszyscy angielscy rycerze okazywali takie posłuszeństwo! Niestety, większość ich dopuszczała się samowoli. Byli chciwą, zachłanną bracją i Henryk zamierzał rządzić nimi silną ręką.

- Ranulfie de Glandeville, możesz odejść. Wiedz, że jesteśmy z ciebie zadowoleni - zakończył audiencję. Kiedy na moment skrzyżowały się ich spojrzenia, Ranulf wyczytał z oczu Henryka wiadomość dla siebie.

Zanim się oddalił, skłonił się kolejno księciu, księżniczce oraz księżnej Matildzie.

- Dzięki takim ludziom, jak on, Stephen utrzymuje się przy władzy przez te wszystkie lata - skomentowała niemal ponuro księżna Matilda. - W stosunku do ciebie, Henryku, będzie tak samo lojalny. Dla tych prostych rycerzy honor to rzecz święta. Zgromadź ich wokół siebie jak najwięcej. Oni pomogą

ci utrzymać się przy władzy, kiedy wielcy baronowie zaczęli się buntować. Kiedy go poznałeś?

- Dlaczego sądzisz, że znałem go wcześniej?

- Mam dobry wzrok, widziałam wasze wymowne spojrzenia - prychnęła Matilda. - Ten twój rycerz nie zjawił się tu przypadkiem - zauważyła półgłosem. - Co zamierzasz?

- Matko, obiecuję, że wszystko wyjaśnię, kiedy będziemy sami - zakończył rozmowę Henryk, a Matilda pokiwała głową, nie drążąc dalej tematu. Była głównym doradcą syna, nie mieli przed sobą tajemnic. Henryk od małości uczył się od niej sztuki rządzenia, a ponieważ był świadkiem jej upadku, spowodowanego nadmierną arogancją, sam obrał inną taktykę. Postępował z ludźmi stanowczo, ale jednocześnie bywał dla nich pobłażliwy i wyrozumiały. Takie podejście niewątpliwie przyczyniło się do jego sukcesu.

Ranulf powrócił do namiotu, gdzie czekał na niego giermek. Po chwili zjrzał do nich sir Garrick. Obaj mężczyźni pograżyli się w rozmowie, podczas gdy Pax uwalniał swego pana ze zbroi.

- To było mądre posunięcie - pochwalił go Garrick. - Wywołałeś sporo zawiści wśród pozostałych rycerzy.

- Nie zamierzałem nikogo obrazić.

- I nie obraziłeś - zaśmiał się Garrick. - Wzbudziłeś ogólny podziw, wysadzając z siodła faworyta Matildy, a na dodatek obdarowałeś tego starego potwora wieńcem. Sprytnie to wymyśliłeś!

- Lepiej w tak wysokich kręgach nie mieć wrogów wśród kobiet. Zdażyłem się tego nauczyć - uśmiechnął się Ranulf. - Księżę mnie rozpoznał i miałem okazję złożyć mu wasalską przysięgę. Przedstawił mnie księżniczce, a ona uprzejmie ze mną rozmawiała. Zaproсила mnie, bym dłużej pozostał na dworze. Nie wypadało odrzucić takiego zaproszenia.

- Jestem pewien, że twoja małżonka to zrozumie.

- Tak. Ona jest dobrą żoną i panią domu - potwierdził Ranulf, lecz po cichu martwił się o swoją *petite*. Rouen wydawało się leżeć gdzieś na końcu świata. Od Ashlinu dzieliło je morze i ogromna połać lądu. Zastanawiał się, czy Walijscy napadli na jego ziemie, czy też, jak dotąd bywało, zostawili je w spokoju. Nie było sposobu, by posłać wiadomość żonie. Ashlin nie leżał przy głównym szlaku. Żaden dworzaniek ani żaden

z wizytujących obecnie Rouen angielskich rycerzy, wracając do domu, nie udawał się w tamtym kierunku. Nie słyszał również, by wybierała się w jego strony jakaś kupiecka karawana. Do Ashlinu zaglądali co najwyżej wędrowni handlarze, ale poważni kupcy nigdy tam nie zajeżdżali. Pozostawało mu jedynie prosić Boga, by czuwał nad jego rodziną.

Od turnieju, w którym pokonał ulubionego rycerza Matildy, księżniczka Alienor wyraźnie go faworyzowała. Jeszcze tego samego dnia wieczorem w sali recepcyjnej przywołała go do siebie.

- Sir Ranulfie, czy cenisz sztukę?

- Pani, jestem prostym rycerzem. Potrafię czytać i pisać, bo te umiejętności potrzebne są włościaninowi - odpowiedział z niepewnym uśmiechem.

- A znasz łacinę?

- Kościelną, pani.

- Nie znasz poezji? - Alienor przechyliła głowę na bok.

- Nie, pani. Jaki miałbym z tego pożytek?

- Poezja pomaga przypodobać się niewieście. Czy nie ma wśród moich dam żadnej, która by ci się podobała, sir Ranulfie? Jeżeli chcesz zdobyć wybrankę serca, musisz nauczyć się wierszy.

- Pani, jestem żonatym człowiekiem. Przyjechałem do Rouen złożyć hołd lenny twojemu mężowi i oferować swe usługi, na wypadek gdyby miał dla mnie jakieś zadanie. Księżno, otaczające cię damy dworu są piękne jak kwiaty w porze lata, ale ich uroda blednie przy twojej, która jest jak blask srebrnego księżycyca.

Alienor Akwitańska odpowiedziała uśmiechem. Rycerz pochlebił jej i mile zaskoczył ją swą przemową.

- Myślę, że jeszcze zrobimy z ciebie poetę, sir Ranulfie. W takim razie powiedz mi, jakim sposobem zdobyłeś serce swej żony, jeśli nie uczyniłeś tego za pomocą poezji.

- Król Stephen wyznaczył mnie na męża Eleanore z Ashlinu. Posiadłość leży blisko walijskiej granicy, król chciał umieścić tam jakiegoś lojalnego rycerza. Moja żona od piątego roku życia wychowywała się w klasztorze St. Friedeswide i miała właśnie złożyć śluby wieczyste, lecz zamiast tego wyszła za mnie.

- Aha - powiedziała jedynie księżniczka, bardzo dobrze rozumiejąc sytuację.

- Właśnie urodził się nam syn. Daliśmy mu na imię Simon, po moim ojcu. A na drugie ma Hubert, bo przyszedł na świat w dniu świętego Huberta.

- Kto wie, może kiedyś twój syn zamieszka na dworze i będzie służył małemu Williamowi? - zamyśliła się Alienor.

Spodobał jej się ten prosty rycerz i jego szczere odpowiedzi. Wszelka pretensjonalność była obca Ranulfowi de Glandeville'owi, co dla księżniczki stanowiło miłą odmianę.

- A może potrafisz śpiewać, sir Ranulfie? - zapytała go, wracając do rozmowy o sztuce.

Czy potrafisz śpiewać? To pytanie wydało mu się dziwaczną. Mężczyźni nie śpiewają.

- Nie, pani. Ja nie śpiewam - odpowiedział.

Jedna z dam dworu przechyliła się ku swej pani i szepnęła jej coś do ucha. Alienor Akwitańska uśmiechnęła się przewrotnie.

- Elise pragnie się dowiedzieć, jak uszczęśliwiasz swoją panią, skoro nie piszesz i nie recytujesz wierszy ani nie śpiewasz.

- Sprawiam, że ona śpiewa - odpowiedział bez namysłu, a Alienor i damy dworu zareagowały wybuchem śmiechu.

- Masz cięty dowcip - pochwaliła go księżniczka. Jej niebieskie oczy zamigotały wesoło, a w melodyjnym głosie porbrzmiewało szczere rozbawienie. - Mimo wszystko rokujesz nadzieje.

Ranulf ukłonił się.

- Po prostu mówię to, co myślę - odrzekł z uśmiechem.

Od tej pory często obracał się w dworskich kręgach, chociaż wielcy lordowie dalej uważali go za osobę mało znaczącą. Wieczorami księżniczka powierzała jego opiece młodsze damy dworu. Pod okiem Ranulfa były bezpieczne, chronił je przed zalotami co poniektórych bardziej krewkich rycerzy, którzy mogliby narazić na szwank reputację naiwnych pańien. W przeciwieństwie do wielu rycerzy Ranulf nie wdawał się we flirty, bo nie miał wątpliwości, że jego niewinna Eleanore poczułaby się zraniona, gdyby potem doszły ją jakieś słuchy. Młodsze dworki z fraucymeru księżniczki nazywały go Panem Wujkiem, co niezmiernie bawiło Garricka Taliferra.

- Ładną reputację sobie zyskałeś! - podkpiwał z przyjaciela.

- Już wolę być nazywany wujkiem niż niecnym postępowaniem narazić się na to, że któregoś dnia moja żona dowiedziałaby się o jakichś nieobyczajnych czynach, których dopuszczałem się na dworze - odparował Ranulf. - W klasztorze wpojono Eleanore bardzo surowe zasady.

- Widzę, że ją kochasz.

- Tak, chociaż jej nigdy tego nie powiedziałem. Ale kiedy wrócę do domu, zamierzam to uczynić. Już dawno powinna była usłyszeć ode mnie, co do niej czuję. Zawsze towarzyszyła mi obawa, że może mnie odrzucić, bo jestem od niej starszy, no i nie wyszła za mnie z własnej woli. Jednak przed wyjazdem odniosłem wrażenie, że traktuje mnie czulej, więc być może żywi do mnie podobne uczucia jak ja do niej. Nie chcę dłużej milczeć.

- Naturalnie, że powinienesz wyznać jej miłość - zgodził się z nim Garrick. - Choć to dla mnie niepojęte, kobiety bardzo lubią słyszeć słowa: *Je t'aime*.

Minął sierpień, a potem wrzesień. W pierwszych dniach października książę zarządził wyprawę na jednego ze swoich wasali, Roberta de Torigny'ego, człowieka sprawiającego kłopoty, który ni stąd, ni zowąd przestał się wywiązywać z lennych obowiązków. Ranulfa zaproszono do wzięcia udziału w najeździe na zamek Torigny. Przystał na to chętnie, bo dworskie życie i opieka nad panienkami nie bardzo mu były w smak. Udział w oblężeniu wyzwolił w nim pokłady energii, więc walczył z zapałem, czym zdobył sobie uznanie wielkich lordów, którzy dotąd patrzyli na niego z lekceważeniem. Bardzo szybko zyskał opinię człowieka, którego lepiej mieć u swego boku niż za plecami.

Pod sam koniec miesiąca do księcia dotarła wiadomość, że król Stephen zakończył życie dwudziestego piątego października w swoim zamku w Dover. Henryk przyjął tę wiadomość spokojnie i kontynuował oblężenie Torigny, aż z zamku pozostały ruiny, a jego właściciel dostał lekcję pokory. Nowy król powrócił do domu, aby świętować swoje wyniesienie na tron wraz z uszczęśliwioną matką oraz z żoną, która była już w mocno zaawansowanej ciąży z ich drugim potomkiem. Odśpiewano *Te Deum*, we wszystkich kościołach Rouen od-

prawiono msze za duszę zmarłego króla i pomyślność jego następcy. Miasto, mimo że było siedzibą arcybiskupa, nie miało katedry.

Pewnej nocy zjawił się w stajni paź Henryka i wyrwawszy Ranulfa ze snu, przekazał mu polecenie swego pana, że ma się natychmiast stawić w jego prywatnych apartamentach. Ranulf udał się za paziem, walcząc po drodze z resztkami snu. Nowy król należał do ludzi, którzy niewiele śpią, często wystarczyły mu zaledwie cztery godziny. Paź wprowadził go do królewskiej komnaty i zniknął, a Ranulf ukłonił się władcy.

- Nalej sobie wina, jeśli masz ochotę - odezwał się król, wskazując Ranulfowi krzesło przy stole. - Przysięgam na Boga, że nigdy dotąd nie miałem tyle roboty! Muszę uporządkować swoje sprawy w Normandii, zanim wyruszę do Anglii. W dodatku, jak mi doniesiono, deszcze i wiatry wzburzyły to przekłete morze. Przeprowadzę się sam, ale muszę mieć baczenie na żonę ze względu na jej stan. Dlatego będzie podróżować ze mną, de Glandeville. Nie ma już potrzeby, by królowa wjechała do Anglii w tajemnicy. Tobie zamierzam powierzyć opiekę nad małym Williamem. To wielce odpowiedzialne zadanie, bo kto wie, czy tym razem Alienor nie powije mi córki. Na dworze krążą pogłoski, że zostawiam syna, bo jest za mały na taką wyczerpującą podróż. Ci moi wielce oddani rycerze mają mnie za głupca, skoro sądzą, że zostawię mego jedynego dziedzica na pastwę stada wilków! Niech tak sobie myślą, bo celowo nie zabieram ze sobą całej świty. Natomiast ty weźmiesz mego syna oraz jedną z jego mamek i pojedziecie we trójkę do Anglii. Masz uchościć za rycerza, który podróżuje wraz z żoną i dzieckiem. Wyruszysz do Barfleur dwie doby przed nami. Omówimy wszystko szczegółowo za kilka dni.

- Jaśnie panie, kto jeszcze będzie wiedział, że eskortuję twego syna?

- Wyłącznie matka i żona oraz mój spowiednik.

Ranulf pokiwał głową.

- Czyżbym wyrwał cię ze snu? - zapytał niespodziewanie król.

Ranulf, czerwieniąc się, przytaknął skinieniem głowy. Nie sądził, że jego senność jest aż tak widoczna.

- Wybacz mi, panie.

- Ja potrzebuję niewiele snu - zachichotał Henryk. - Zapewne słyszałeś narzekania. Zawołałem cię o tej porze, by nie zauważono i nie komentowano naszej rozmowy. Od dziś w tej sprawie informacje będzie ci przekazywać moja matka albo żona, względnie mój spowiednik. W dniu wyjazdu dostaniesz sakiewkę z pieniędzmi na wydatki.

- Co mam zrobić po przyjeździe do Anglii?

- Dołączysz do mego orszaku w drodze do Londynu i wtedy dopiero rozgłosimy, że następca tronu jest z nami. W Anglii zajmiesz się werbunkiem odpowiednich ludzi na służbę dla niego. Chętnych będzie mnóstwo - zauważył król z nutą ironii w głosie. Lecz zaraz się roześmiał. - De Glandeville, przy Williamie nie zaznasz chwili wytchnienia. Ma dwa lata, ale jest bardzo niesforny. Nie pozwól, by ci wszedł na głowę, ten malec już nauczył się wykorzystywać swą pozycję królewskiego syna. Traktuj go surowo, jakby był twoim dzieckiem. Musi cię słuchać, bo inaczej i siebie, i ciebie narazi na niebezpieczeństwo. Bądź z nim stanowczy! - zakończył przemowę Henryk. - Masz moje przyzwolenie na wszelkie działania, które uznasz za konieczne, aby szczęśliwie dowieźć dziecko do Anglii.

- Dobrze, jaśnie panie, mnie też zależy, by wrócić bezpiecznie do żony i dziecka. Przysięgam, że będę strzegł księcia jak własnego syna.

- O to właśnie chodzi! - ucieszył się król. - A teraz wracaj do łóżka - polecił i pochylił się nad dokumentami rozłożonymi na stole.

Ranulf wycofał się z komnaty pochyłony w ukłonie. Ponieważ nigdzie nie dostrzegł pazia, sam wrócił do stajni.

Kiedy Ranulf poprzez Garricka dowiedział się, że król życzy sobie, by stawił się w Normandii, wydawało mu się, że będzie podróżować jak wielki pan. Świadomość, iż tylko on i Pax będą eskortować małego księcia i jego mamkę, napełniła go niepokojem. Na szczęście trakt z Rouen do Barfleur należał do bezpiecznych. Ale dziecko było małe. Chyba wolałby wieść oseska. Ranulf nie miał zbyt dużego doświadczenia w zajmowaniu się dwulatkami, ale jeśli dobrze kojarzył, dzieci w tym wieku są bardzo ruchliwe. Będzie musiał trzymać chłopca na siodle przed sobą. Zapewne nie uda im się szybko przemieszczać. To nie będzie łatwa wyprawa.

Będzie musiał wtajemniczyć Paxa. Młody giermek dowiedział w ostatnich miesiącach, że jest godny zaufania. Lecz nic mu nie powie aż do czasu, kiedy pozna datę wyjazdu. Ranulf wsunął się do boksu i opadł na posłanie. Jedzie do domu! Wkrótce połączy się ze swą Eleanore i z synkiem. Kiedy dotrze do Ashlinu, Simon będzie miał pół roku. Ciekawe, jak udały się żniwa i czy stada są bezpieczne. W Bogu nadzieja, że Walijczycy zostawili Ashlin w spokoju. A jeśli go ograbili, oby straty okazały się niewielkie i nie było ofiar w ludziach - zdążył jeszcze pomyśleć Ranulf de Glandeville, zanim zapadł w sen.

15

Wartownicy czuwający na murach Ashlinu przyglądali się z podejrzliwym zainteresowaniem, a potem z coraz to większym zdumieniem postaci w łachmanach, która, słaniając się, biegła przez pole między pierzchającymi na boki owcami. Postać wspięła się niezdarnie po zboczu pod mury obronne, unosząc ramiona w błagalnym geście. Kiedy pokonała przerzucony przez fosę zwodzony most, strażnicy rozpoznali, że mają przed sobą kobietę.

- Pomóżcie mi! - wycharczała i osunęła się na ziemię tuż przy podniesionej kratownicy.

Dwaj strażnicy stojący przy bramie wahali się chwilę. Czy to aby nie jakiś nowy fortel Walijczyków? Sprawdziwszy jednak, że nigdzie jak okiem sięgnąć nie widać żywego ducha, wybiegli na pomoc.

- Jezus, Maria! - zawołał wartownik, który pierwszy znalazł się przy kobiecie. Była wynędzniała, a z licznych sińców na jej wychudzonym ciele odgadł, że została poważnie pobita. Strażnik stał pochylony i patrzył na nią bezradnie, nie bardzo wiedząc, co począć.

- Przyprowadź Fulka - zdecydował jego towarzysz i zniknął, zostawiając go sam na sam z kobietą.

- Pomóż mi - wyszeptała błagalnie, wyciągając rękę do wartownika, a on uskoczył jak oparzony.

- Sim poszedł po dowódcę - zdołał wydusić. - On ci pomoże.

Kobieta z trudem skinęła głową i oparła czoło o ziemię.

Nadbiegł Fulk z kilkoma strażnikami. Przyjrzał się kobiecie, kręcąc głową.

- Zbiegła niewolnica - zawyrokował znużonym tonem. Pochylił się nad nią i uniósł z ziemi jej twarz. - Jesteś niewolnicą?

- Już nie - odparła z naciskiem.

- Będą cię szukać? - zapytał z niepokojem w głosie.

- Nie wiem. Chyba go zabiłam.

- Cóż, miejmy nadzieję, że tak się stało, dziewczyno - westchnął Fulk. - Bo jeśli uznają, żeś warta zachodu, lada moment cię tu wytropią. Jak masz na imię?

- Arwydd.

- Walijka? Jak na Walijkę dobrze mówisz po angielsku - zauważył Fulk.

- Moja matka była Angielką. Pochodziła z Herefordu - padła odpowiedź.

- Jak stałaś się niewolnicą? - Fulk, podtrzymując dziewczynę, poprowadził ją przez bramę na podwórze.

- Dawno temu moja matka została porwana. Porywacze ją zgwałcili i ja się urodziłam. Imię nadał mi mężczyzna, któremu ją sprzedali. Matka nie żyje od wielu lat. To on ją zabił, kiedy usiłowała mnie przed nim obronić. Miałam jedenaście lat, gdy pierwszy raz mnie wykorzystał. Świnia jedna! Tfu! - splunęła słabo.

- Czy to jego zabiłaś?

- Tak. Bawiło go dzielenie się mną z kompanami. Robili ze mną, co chcieli. Więc kiedy parę dni temu się upił, poderżnęłam mu gardło i uciekłam. Od trzech dni nie miałam nic w ustach. Żywiłam się jagodami, które znajdowałam w lesie, ale niektórych z nich bałam się jeść, bo nie wiedziałam, czy nie są trujące. Błagam, pomóż mi!

- Zaprowadzę cię do naszej pani - zdecydował Fulk. Sam nie wiedział, czy należało ufać tej dziewczynie. Fakt, była posiniaczona i wynędzniała, jakby głodzono ją od lat. Jej historia też brzmiała wiarygodnie, a mimo to coś go w niej niepokoiło. Ani razu nie spojrzała mu prosto w oczy. Czy to nie był przy-

padkiem jakiś podstęp Walijczyków? Ostrzeże panią, a sam będzie miał dziewczkę na oku.

Arwydd jeszcze raz powtórzyła swoją historię przed Eleanore. Kiedy Ida z Willą zabrały dziewczynę do kąpieli, Fulk poprosił swą panią na stronę.

- Nie ufam jej do końca - oznajmił półgłosem. - Coś mi się w tym wszystkim nie zgadza. Dręczy mnie pytanie, jakim cudem znalazła się u nas, skoro Ashlin leży daleko od bitego traktu.

- Może trafiła tu z woli Boga, Fulk - odpowiedziała cicho Eleanore. - Dziewczyna jest w bardzo złym stanie. Bóg wiedział, że potrafię ją wyleczyć.

- Może i tak - zgodził się Fulk.

Za każdym razem, kiedy jego pani okazywała taką naiwną dobroć, chciało mu się krzyżeć z rozpaczą. Eleanore ciągle nie zdawała sobie sprawy, jaki okrutny i drapieżny bywa świat poza granicami Ashlinu i zakonu St. Friedeswide.

- Pani, zważ na moje słowa - zaklinał ją. - Należy uważnie słuchać, co dziewczyna mówi, i nie ufać jej. Błagam cię, pani. To zbyt niebezpieczne wierzyć obcym w dzisiejszych czasach.

- Wolę doszukiwać się jasnych stron życia - powiedziała Elf swemu dowódcy straży. - Fulk, nie jestem aż tak naiwna, jak ci się wydaje. - Roześmiała się, widząc, jak zmieszany oblał się rumieńcem. - Wezmę pod uwagę twoje słowa - zapewniła, chcąc go udobruchać.

Fulk ukłonił się Eleanore i odszedł do swoich obowiązków.

- Pani, Arwydd jest chuda jak szczapa - oznajmiła Willa, wchodząc do izby. - Ida ją wykapała i odwszawiła. Ona ma całe ciało w sińcach. Nie wiem, jak ktoś mógł katować takie chuchro?!

- Czy coś mówiła?

- Nie - pokręciła głową Willa. - Tylko dziękowała za okazane serce.

- Zatrzymamy ją, dopóki nie dojdzie do siebie - zdecydowała Elf.

- Dobrze - ucieszyła się Willa. - Biedna dziewczyna, nigdy nie zaznała dobroci.

Arwydd zadomowiła się w Ashlinie. Po paru tygodniach jej przeraźliwie blada cera nabrała rumieńców, a kształty się zaokrągliły. Sińce powoli bladły, sinogranatowe place stawały

się fioletowe, potem żółte, brązowe, zielonkawe, aż wreszcie znikwały zupełnie. Arwydd była niebrzydka, choć twarz miała okrągłą i dość pospolitą. Kiedy doszła do siebie, jej niebieskie oczy nabrały życia. Po kilku dniach pobytu w Ashlinie skierowano ją do lżejszych prac domowych i bardzo dobrze wiązywała się ze swych obowiązków. Najbardziej jednak lubiła układać bukiety. Kochała kwiaty. Zrywała je w ogrodzie i na łące, komponowała z nich kolorowe wiązanki i ustawiała, gdzie tylko możliwe. Elf popierała jej zamiłowanie, bo szczerze podobały jej się kompozycje Arwydd, o czym otwarcie jej powiedziała.

Fulka nurtowała myśl, że dziewczyny nikt nie szuka. Przecież jej zamordowany pan musiał mieć jakichś krewnych, a jednak nikt nie zajął do Ashlinu z pytaniem o zbiegłą niewolnicę. Bardzo go to niepokoiło. Nabierał coraz większego przekonania, że Arwydd jest szpiegiem, nasłanym prawdopodobnie przez Walińczyków. Niestety, jak dotąd dziewczyna nie dostarczyła swoim zachowaniem żadnych dowodów na poparcie jego podejrzeń. Natomiast intuicja nakazywała mu być czujnym. Spróbował nawet wypytać Arwydd o rodzinę matki w Herefordzie, ale zaklinała się, że nic na ten temat nie wie, więc nie udało mu się pozbyć dziewczyny z Ashlinu i wysłać jej do krewnych.

Nadszedł sierpień, lecz tego roku z powodu grabieży Walińczyków zrezygnowano z wyprawy na targ święta plonów, uznając wyjazd za zbyt ryzykowny. Do końca września uprzętnięto zboże z pól, a w nadchodzących tygodniach planowano przystąpić do zbierania owoców w sadach. Dwudziestego dziewiątego września, w dzień Michała Archanioła, we dworze upieczono gęsi i wyzwoleńcy razem z chłopami zasiedli do wspólnej uczty, a czeladź dostała doroczną wypłatę.

Kilka dni później zjawił się w Ashlinie posłaniec w stroju służącego z wiadomością, że walijski bandyta Merin ap Owen wraz ze swymi ludźmi oblega klasztor St. Friedeswide. Przeorysza przysłała go do Ashlinu z błaganiem o pomoc.

Elf była przerażona.

- Weź ludzi i ruszaj z odsieczą! - rozkazała Fulkowi.
- Pani, czy znasz tego posłańca? - zapytał podejrzliwie.

Pokręciła głową.

- Nie, ale to nie ma znaczenia - odparła. - Ma barwy klasz-

toru. Wielu służących w St. Friedeswide było w podeszłym wieku. Może ten służy od niedawna.

- Tak właśnie jest, pani - odezwał się mężczyzna. - Jestem synem świniopasa Waltera.

Wprawdzie Elf nie potrafiła sobie przypomnieć imienia świniopasa, ale pamiętała, że był to człowiek starszy, więc przybysz rzeczywiście mógł być jego synem. Zresztą to nieistotne, klasztorowi groziło niebezpieczeństwo i trzeba było spieszyć mu na ratunek. Elf utkwiała zaczepne spojrzenie w Fulka.

- Po co ten człowiek miałby przyjeżdżać z wiadomością, że klasztor jest oblężony, gdyby to była nieprawda? Fulk, skrzyknij ludzi i natychmiast zbieraj się do drogi! Odeprzuj Walijszyków, zabezpiecz klasztor, a jeśli uznasz za konieczne, rusz za napastnikami w pogoń i wybij ich jak najwięcej. Niech Bóg zlituje się nad ich grzesznymi duszami! Dostałeś rozkazy! Idź już!

Fulk pomyślał, że coś w tym wszystkim się nie zgadza. Czuł to przez skórę, ale Elf była tu panią i nie miał prawa się jej sprzeciwiać. Obowiązywało go posłuszeństwo.

- Dobrze, pani - odpowiedział, chyląc przed nią czoło. - Ale aż do mojego powrotu proszę trzymać bramę zamkniętą tak w dzień, jak i w nocy. Przymierz się, pani, że zastosujesz się do mojej prośby. Musisz mi to obiecać!

- Obiecuję, Fulk. Nie musisz się obawiać o nasze bezpieczeństwo - uspokajała go łagodnie. Rozumiała jego niepokój, ale musieli pomóc St. Friedeswide. Nie mieli wyboru.

- Pojedziesz ze mną - oznajmił Fulk posłańcowi.

- Dobrze - powiedział spokojnie mężczyzna, ale jego potulna zgoda wcale nie podniosła wiarygodności jego opowieści w oczach Fulka. Coś mu w niej nie pasowało!

Fulk i jego ludzie przebyli odległość dzielącą zakon od Ashlinu w błyskawicznym tempie. Kiedy podjechali pod St. Friedeswide, ujrzeli płonące zabudowania po zewnętrznej stronie murów. Natomiast na okolicznych pastwiskach nie było ani śladu krów czy owiec.

- Odejdźcie stąd, bezbożni Walijszy! Zaklinam was w imię Chrystusa, odstepcie! - doszedł ich głos zza bramy, kiedy zaczęli się do niej dobijać.

- Siostrzo Perpetuo, Fulk z Ashlinu przybył z odsieczą! - zameldował mocnym głosem dowódca ashlińskiej straży.

W bramie uchyliło się małe okienko i mignęła w nim twarz zakonniczy.

- Bogu niech będą dzięki! - zawołała furtianka. Zatrzasnęła z hukiem przeziernik i po chwili rozwarła jedno skrzydło bramy, aby go wpuścić.

- Zostańcie na straży, a jeśli zobaczycie Walijczyków, rzućcie się za nimi w pogoń - rozkazał Fulk swoim ludziom, zanim wszedł na dziedziniec klasztoru. - Gdzie matka przełożona? - zapytał furtiankę.

- Modli się z siostrami w kościele.

Fulk powstrzymał się od ciętej uwagi i tylko podziękował zakonniczy skinieniem głowy. Skierował się prosto do kościoła i żegnając się zamasyżuje od progu, wszedł do środka, dudniąc butami o posadzkę.

- Matko przełożona, pani Eleanore przysłała mnie z Ashlinu na pomoc.

Przeorysza uniosła się z klęczek i odwróciła się do niego z wyrazem ulgi na swej zazwyczaj opanowanej twarzy.

- Kapitanie Fulk, witamy z radością - powiedziała i razem z nim opuściła kościół, zostawiając pogrążone w modlitwie zakonnicze.

- Co się tu wydarzyło? - zapytał Fulk, gdy powoli przemierzali dziedziniec w pierwszych kroplach deszczu.

- Walijczycy - odparła z rezygnacją. - Przez ostatnie kilka tygodni systematycznie porywają nam owce i krowy. A dziś podpalili zabudowania na przedmurzu i zabili służących, których udało im się dopaść. Tych biedaków, co pozostali poza murami, żeby wydoić krowy i zdążyć ze zwózką zboża... chociaż jestem pewna, że zboże by też zabrali, gdyby go nie spalili. Nie wiem, skąd wezmę w zimie jedzenie dla nas i czym wykarmię pozostałą czeladź i zwierzęta. A potem Walijczycy zniknęli tak samo szybko, jak się pojawili. Jak widzisz, zagaął po nich wszelki ślad.

Fulk analizował w myślach sytuację. Skoro Walijczycy kręcili się wokół klasztoru od kilku tygodni, dlaczego przeorysza czekała z wezwaniem pomocy aż do dziś? Zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie ma związku pomiędzy pojawie-

niem się Arwydd w Ashlinie i nękanie klasztoru przez walijskich zbirów.

- Matko przełożona, kiedy Walijscy podeszli pod St. Friedeswide? - zapytał.

Przeorysza zastanawiała się dłuższą chwilę, zanim odpowiedziała.

- To było jakieś sześć tygodni temu. Pewnego popołudnia niespodziewanie wynurzyli się zza wzgórz. Furta była wtedy otwarta, kilka z naszych wychowanek i młodych zakonnice przebywało poza murami. Pierwsza dojrzała ich siostra Perpetua i zaczęła bić w dzwon na alarm. Dzięki Bogu i Jego błogosławionej Matce wszystkie kobiety w porę umknęły i schroniły się w murach klasztoru. Walijscy nie próbowali wdrzeć się do środka. Zajęli się rozkradaniem naszych stad i plądrowaniem wszystkiego, co było do splądrowania. Natomiast parę dni temu podjęli niezbyt, jak na mój gust, zdecydowaną próbę wyważenia bramy. Nasze wierzeje są bardzo masywne, bo wzmacniają je żelazne sztaby. A dzisiaj podpalili zabudowania na przedmurzu i zniknęli - zakończyła swą opowieść przeorysza.

Niepokój i złe przecucia wywołały u Fulka pulsowanie w skroniach. Znał odpowiedź na swe pytanie, zanim jeszcze je zadał.

- Matko przełożona, w takim razie dlaczego wysłałaś świniopasa do Ashlinu z prośbą o pomoc?

Przeorysza spojrzała na niego zaskoczona.

- Kapitanie Fulk, nie wysłałam świniopasa do Ashlinu. Nikogo tam nie wysyłałam. Niebezpieczeństwo minęło, straciliśmy co prawda nasze stada, paru służących i zniszczono nam budynki, ale, dzięki Bogu, klasztor i jego rezydentki ocalały. Ucieszył mnie pański przyjazd, chociaż pana nie wzywałam. Kapitanie Fulk! Czy dobrze się pan czuje?!

Fulk pobielał na twarzy.

- W Ashlinie zjawił się mężczyzna, który twierdził, że jest synem Waltera, tutejszego świniopasa. Powiedział, że za waszą wiedzą wymknął się z klasztoru, aby sprowadzić pomoc. Nasza pani go nie rozpoznała i pomimo moich rad rozkazała nam jechać z odsieczą. Bardzo się bała ó was, tak jak ja w tej chwili drzę o jej bezpieczeństwo, bo nie mam wątpliwo-

ści, że mężczyzna, który się pojawił w Ashlinie, był walijskim szpiegiem.

- Boże jedyny, zmiłuj się! - zawołała przeorysza, wyraźnie przerażona.

- Muszę natychmiast wracać do Ashlinu! - oznajmił Fulk.

- Noc zapada i nie ma księżycy - powiedziała przeorysza. - Będą wam potrzebne pochodnie do oświetlania drogi. Zaraz każę je przynieść, musicie chwilę poczekać. Kapitanie, jeżeli pojedziesz po ciemku, narazisz życie swoje i ludzi, a martwy nie pomożesz Eleanore. Okaż cierpliwość. Za chwilę będą pochodnie.

- Poczekał przed bramą wraz z moimi ludźmi. Muszą się dowiedzieć, co zaszło. - Fulk skłonił się i odszedł.

Fulk wyjaśnił sytuację podkomendnym.

- Gdzie jest ten człowiek, który zabrał się z nami? - zapytał swego zastępcę.

- Poszedł do chlewika sprawdzić, czy jakieś świny ocalały z pożaru.

- Ile czasu minęło? - dociekał Fulk.

Jego zastępca bezradnie uniósł ramiona.

- Niewątpliwie był jednym z nich i na pewno go już nie ujrzemy, bo dawno dołączył do swego pana - skwitował Fulk.

Prawie godzinę czekali, niecierpliwiąc się, podczas gdy zakonnice szykowały pochodnie. Zmierzch zgęstniał i przeszedł w noc. Przy bezksiężycowym niebie ciemność zamknęła ich w sobie, jak we wnętrzu pustego bukłaka. Wreszcie w uchylonym skrzydle bramy stanęła przeorysza, prowadząc za sobą sześć zakonnice z naręczami pochodni. Siostry odpalały je najpierw od żagwi niesionej przez przeoryszę i rozdzielały pomiędzy mężczyzn. Wszyscy dostali po dwie zapasowe pochodnie, które zatknęli za siodła.

- Dziękuję, matko przełożona - powiedział Fulk.

Zawrócił konia i powoli poprowadził kawalkadę, oddalając się od murów klasztoru. Niebo nad nimi było szaroczarne. Deszcz przestał siąpić, lecz wilgoć wisząca w powietrzu czyniła tę bezksiężycową noc jeszcze ciemniejszą. Płomienie pochodni migotały poruszane lekkimi podmuchami wiatru. Jeźdźcy nie mieli wyboru, musieli posuwać się powoli, bo trakt był wąski, a noc czarna. Fulk dygotał ze zniecierpliwie-

nia. Dał się podejść jak wiejski parobek podczas pierwszej wizyty w mieście!

Jeżeli cokolwiek stało się lady Eleanore albo małemu paniczowi, co powie panu, gdy ten powróci z Normandii? Ciężko mu było na sercu, bo nie wywiązał się ze swego obowiązku opieki nad nimi. Przecież intuicyjnie wyczuwał, że coś jest nie w porządku, a jednak zabrakło mu zdecydowania, aby sprzeciwić się swojej pani. A powinien był! Pani jest młoda i niedoświadczona. Klasztorne wychowanie ukształtowało ją na osobę łagodną. Tak łatwo wszystkim wierzy. To może kosztować ją życie! Rany boskie! Żółw porusza się szybciej niż oni! Ile ujechali?! Miłe? Trzy? Gotów się założyć, że nie pokonali nawet połowy drogi.

Głos dzwonu z dworskiego kościoła podpowiedział im, że są na terenie Ashlinu. Trafili do domu jakby wiedzeni opatrzością. Zaraz, ale dlaczego bije dzwon? Fulk nakazał na chwilę zatrzymać się jeźdźcom, musiał zebrać myśli. Bez płonących pochodni nie widzieli niczego na długość wyciągniętej ręki. W takim razie ich przeciwnicy też musieliby poruszać się po omacku. W takich okolicznościach nie ma mowy o zasadzce. Czyżby Walińczycy przedarli się do dworu? Wszystko możliwe, chociaż intuicja podpowiadała mu, że nie porwaliby się na taki czyn. Kazał ludziom ruszać. Ten dzwon bije na alarm - zdecydował. Nagle dostrzegł światła na murach Ashlinu. Poderwał oddział do szybszej jazdy. Teraz widział już zarys murów i sylwetki owiec pasących się na polach i łąkach po obu stronach drogi. Dziwne. Jeżeli Walińczycy podeszli pod dwór, dlaczego nie zabrali zwierząt?

Fulk powiódł swych podkomendnych na wzgórze pod mury dworu. Zwodzony most był opuszczony, a krata uniesiona. Zdezorientowany, ale zarazem czujny, znowu zatrzymał konia. Co się tu dzieje? W tej samej chwili zawołał go Sim. Zatrzymał oddział i wyjechał na spotkanie swemu zastępcy.

- Kapitanie Fulk?! To ty?! Zabrali panią Eleanore! - wołał Sim. - Porwali naszą panią!

Fulk dał znak ludziom, by jechali za nim.

- Jak? - rzucił pytanie, wjeżdżając w obręb murów. - Opucić kratę i podnieść most, kiedy wszyscy znajdą się w środ-

ku! - Zsiadł z konia i cisnął wodze młodemu stajennemu. - Jak? - powtórzył pytanie.

- Nie wiemy. - Głos Sima drżał.

- Kto pilnował bramy i co robiły strażę na murach? - dochodził Fulk, tłumiąc gniew.

- Alfred był przy bramie. Kapitanie, i on i wartownicy na murach zostali oszołomieni. Zasnęli na jakąś godzinę i niczego nie widzieli. Obudził ich lament starej Idy, która wybiegła z dworu, krzyząc, że pani zniknęła. Willa zaniósła panicza do pani Eleanore na karmienie i nie znalazła jej w łożu. Kobiety przeszukały dom, ale nigdzie ani śladu pani. One teraz histeryzują, a panicz płacze, bo jest głodny - zakończył Sim.

- Biegnij do Orvy i powiedz jej, że natychmiast ma przysłać mamkę dla panicza. I zaraz wracaj do dworu. Sam przeszukam dom - oznajmił swoim, podkomendnym. Rany boskie! Od razu coś mu się w tym wszystkim nie zgadzało! Dlaczego, zamiast pójść za głosem intuicji, ślepo spełnił życzenie dobrej, lecz przy tym naiwnej i młodej niewiasty?! Podniesiona krata, opuszczony most i otwarta brama podpowiadały mu, jaki będzie wynik poszukiwania, ale musiał upewnić się osobiście, że Eleanore nie ma. Kiedy z posępną miną wszedł do dworu, z miejsca został otoczony przez rozhisteryzowane kobiety.

- Cicho! - krzyknął na całe gardło, przerywając lament. Jego wzrok spoczął na Willi. Oczy miała suche i zdawała się panować nad sobą lepiej niż pozostałe. - Co się tu działo? - zwrócił się do niej. - A reszta milczeć!

- Poszliśmy spać krótko po zachodzie słońca, tak jak zawsze, gdy we dworze nie ma gości. Tuż przed północą panicz zaczął popłakiwać, więc Alyce, jego niania, zaniósła go do pani na karmienie, ale nie było jej w alkierzu. Kiedy przeszukałyśmy cały dom i nigdzie nie znalazłyśmy pani, wszczęłyśmy alarm.

- Czy wieczorem wszystkie byłyście w dużej izbie?

- Wszystkie z wyjątkiem Alyce.

- A Arwydd?

- Nie. Arwydd zjadła wcześniej w kuchni, bo pracowała w zielnym ogródku pani - wyjaśniła Willa. - Ostatnie dni spędzała na okopywaniu i nakrywaniu roślin na zimę.

Usta Fulka wykrzywił przelotny, ponury uśmiech. Wszyscy

we dworze dostali jakiś łagodny środek usypiający. Wszyscy z wyjątkiem Alyce, która opiekowała się dzieckiem, no i Arwydd. To ona musiała dodać czegoś do jedzenia lub picia. Jej obecność w kuchni przed wieczerzą stanowi klucz do zagadki.

- Gdzie jest Arwydd? - zapytał Willę. - Kiedy ostatni raz ją widziałaś?

Willa chwilę myślała intensywnie, zanim odpowiedziała.

- Wczoraj po południu, kiedy oznajmiła mi, że będzie pracować w ogrodzie, i poprosiła panią o zgodę na jedzenie w kuchni o wcześniejszej porze.

- Na rany Chrystusa! - Fulk krzyknął z taką furją, że kobiety aż odskoczyły od niego ze szlochem. - Wiedziałem, że ta dziewczka kłamie, lecz na nieszczęście nie potrafiłem tego dowieść! - Uderzył pięścią w otwartą dłoń. - Jezu! Komu aż tak zależało na porwaniu pani, żeby uknuć taki przebiegły plan?! Kto to zrobił?! I dlaczego?! - Marszcząc brwi, próbował znaleźć odpowiedź na swe pytania. Pani na pewno nie miała wrogów. Więc może pan? Niewiele wiedzieli o jego życiu, zanim przyjechał do Ashlinu, oprócz tego, że był lojalnym rycerzem króla Stephena i że wywodził się z Normandii. Jednak na jego rozum prawdopodobieństwo, by Ranulf de Glandeville miał takich zaciekleń wrogów, było niewielkie. Po prostu nie był takim typem człowieka. Więc kto?!

- To ta jędza, która uśmierciła pana Richarda - orzekła niespodziewanie Ida.

- Dlaczego tak uważasz? - zapytał ją Fulk lekceważącym, ale i wyrażającym zaniepokojenie tonem.

- Czy nie mówi się ostatnio o walijskim bandycie, któremu w napadach towarzyszy złotowłosa piękność? - dowodziła Ida. - Czyż nie udało się tej wywołce uciec spod kurateli ojca, akurat kiedy miał ją zamknąć w klasztorze? Czy nie planowała wydać naszej pani za swego kuzyna, by ją potem zamordować, tak jak swego męża? A wszystko po to, żeby mieć Ashlin dla siebie! Ale podła intryga się nie powiodła, a lady Isleen - Ida splunęła na podłogę - sam król wyznaczył karę. Karę, przed którą zbiegła. Isleen jest jedyną osobą, która żywi nienawiść do naszej słodkiej pani Eleanore.

- To, co mówisz, brzmi dość logicznie - odparł pogrążony w rozmyśleniach Fulk. Kto wie, czy stara kobieta nie natrafiła

na właściwy trop. - Ale po co Isleen miałyby porywać panią? - zastanawiał się na głos. - Czemu po prostu nie ukradła zwierząt?

- Za panią dostanie okup od jej męża - wyjaśniła opryskliwie Ida, dając mu do zrozumienia, że sam się powinien tego domyślić. - A co do reszty, skąd mam wiedzieć, jakie pomysły lęgną się w głowie bandyty? Ty jesteś mężczyzną. I w dodatku żołnierzem. Sam musisz dojść, o co tu chodzi.

W tej chwili do izby weszła Orva, prowadząc ze sobą młodą kobietę.

- Maria może karmić panicza. Jej synka czas już odstawić od piersi. Jest zdrowa i ma dużo mleka.

- Dzięki Bogu! - odetchnęła z ulgą Alyce, przekazując niemowlę mamce. - Biedne maleństwo, płacze od wielu godzin. Dałam mu cukier w szmatce do ssania, ale on chce mleka.

Jakby na poparcie jej słów usteczka Simona Huberta zacisnęły się łapczywie na obnażonym sutku, aż Maria drgnęła zaskoczona, i niemowlę zaczęło ssać, głośno cmokając i ugniatając pierś małymi rączkami. Niebieskie oczka zamknęły się z rozkoszy, a napięte ciało odprężyło się w ramionach mamki. Wszystkie kobiety uśmiechnęły się z ulgą, a Fulk pokiwał głową. Przynajmniej jeden problem został rozwiązany.

- Fulk, jak zamierzasz odnaleźć panią Eleanore? - zapytała odważnie Willa. - Zniknęła dobre parę godzin temu, a tu już niebo jaśnieje i słońce wschodzi.

- To dopiero brzask, ale masz rację, do wschodu niedaleko. Wy, kobiety, zajmijcie się swoją robotą, jak gdyby się nic nie stało. Postępujcie tak dla dobra małego panicza. Nikt nie może się dowiedzieć, że w Ashlinie nie ma ani pana, ani pani, by nie narazić dziecka na zakusy różnych nadmiernie ambitnych ludzi pokroju barona Hugh - powiedział Fulk, a w duchu dodał: żeby obronić to dziecko, walczyłbym i z samym królem, gdyby to było konieczne. - Moi ludzie całą noc jechali bez wytchnienia i bez strawy - przypomniał zgromadzonym wokół siebie kobietom. - Przygotujcie im szybko porządny posiłek, a udamy się na poszukiwanie pani, jak tylko wstanie dzień.

Fulk wyszedł z izby, żeby dopilnować swych podkomendnych i ich koni. Znowu zaczyna padać - stwierdził zrezygnowany. Postanowił rozejrzeć się za ojcem Oswinem i znalazł go modlącego się w kościele. Młody ksiądz zerwał się z kłę-

czek, a brunatna sutanna zawirowała wokół kostek jego chudych nóg.

- Niech będzie pochwalony, ojcze! Zapewne modlisz się za naszą panią.

- Tak, kapitanie.

- Jestem przekonany, że ją porwano - oznajmił mu Fulk. - Ze względu na dobro panicza należy utrzymać tę całą sprawę w tajemnicy. Rozumiesz mnie, ojcze?

- Tak - zgodził się z nim ksiądz. - Kiedy we dworze zabrakło i pana, i pani, nie potrzeba nam dodatkowych kłopotów, prawda, Fulk? Czy wiesz, kto porwał panią? I co zamierzasz uczynić?

- Nie wiem, kto, lecz podejrzewam, że to może być ten Walijczyk Merin ap Owen, który grasuje w okolicy. Jechaliśmy całą noc, oświetlając drogę pochodniami, lecz posuwaliśmy się w żółtym tempie. Jak tylko moi ludzie się pożywią, ruszymy w pościg. Wyznaczę Sima na mego zastępcę, a ty, ojcze, będziesz czuwał nad dworem aż do czasu, kiedy przywiozę panią albo pan wróci z wyprawy.

- Więc przewidujesz, że to dłużej potrwa?

Fulk pokręcił głową.

- Nie wiem, ojcze. Naprawdę, nie mam pojęcia. Najpierw muszę dojść, kto przetrzymuje panią. Dopiero wtedy mogę się zastanowić, jak bezpiecznie sprowadzić ją do domu.

- Przyjacielu, wiem, że jesteś człowiekiem czynu i nie tolerujesz bzdur. Wiem też, że bardziej wierzysz w działanie niż modlitwę, lecz wiedz, że będę się modlił za twoje powodzenie, a także bezpieczeństwo naszej pani - dokończył ksiądz z nieśmiałym uśmiechem.

- Będzie potrzebować twojej modlitwy - powiedział cicho Fulk. - Dlatego i ja o nią proszę. - Skinął głową na pożegnanie i szybko odszedł.

Dzień wstał pochmurny i chłodny. Deszcz nie przestawał siąpić, a kiedy oddział był gotowy wyruszyć na poszukiwanie Elf, przeszedł w ulewę. Fulk, patrząc w niebo, ciskał przekleństwa. Jeżeli porywacze zostawili po sobie jakiegokolwiek ślady, to właśnie zostały zmyte. Nie było sensu ruszać w drogę, dopóki nie przestanie padać. Fulk pozwolił rozejść się swoim ludziom, a sam, tupiąc głośno, wszedł do izby i pomrukując gniewnie pod nosem, zastanawiał się, dlaczego Bóg wystawia

jego cierpliwość na próbę akurat wtedy, gdy jego pani może zagrażać śmiertelne niebezpieczeństwo.

Z braku śladów będzie zmuszony zdać się na intuicję. Przede wszystkim musi się dowiedzieć, gdzie Merin ap Owen ma swoją siedzibę. Następnie sprawdzić, czy bandyta rzeczywiście przetrzymuje panią Eleanore. Jeżeli ten rzezimieszek ją porwał, będzie się domagał okupu. Ile? I jak dwór ma go zapłacić, skoro pana nie ma w domu? Fulk potarł czoło. Głowa pękała mu od myślenia, bo pod nieobecność dziedzica na nim spoczywało podejmowanie decyzji.

Przygnębiony westchnął ciężko. Nie wie nawet, gdzie jest jego pan ani jaki był prawdziwy powód jego wyjazdu, bo Fulk wcale nie uwierzył, że dziedzic pojechał do Normandii, żeby złożyć hołd wasalski księciu Henrykowi. Ashlin był małą posiadłością. Ranulf de Glandeville mógł poczekać z przysięgą lojalności do czasu, kiedy Henryk już jako król zjedzie do Anglii. Nie naraziłby się na niezadowolenie monarchy. Za tym wyjazdem kryło się coś innego, ale pani nikomu się nie zwierzyła, a może sama też nie znała prawdy. Była taka niedoświadczona, uwierzyła mężowi na słowo. Więc Fulk nie ma jak przesłać swemu panu wiadomości o tym, co zaszło. Muszą zdać się na siebie. Znowu potarł czoło. Dowodzenie to ciężkie zadanie, nigdy więcej nie będzie zazdrościł tym, co stoją nad nim.

Przez trzy długie dni i noce jesienny deszcz nie zelżał ani na chwilę. Czwartego dnia poranek był pochmurny, ale suchy. Nie było nadziei na odnalezienie śladów porywaczy, które musiały dawno zniknąć, rozmyte trzydniową ulewą. Fulk już miał wyruszać na czele swego oddziału na poszukiwanie siedziby Merina ap Owena, gdy Sim, jego zastępca, jął go przekonywać, iż to on powinien jechać, i w końcu Fulk ustąpił.

- Uparłeś się, że poprowadzisz oddział do St. Friedeswide - przypomniał kapitanowi - i zobacz, co się stało, kiedy ciebie nie było. Tym razem jadę ja. Poza tym mnie nie znają tak dobrze, jak ciebie.

- Wcale nie nalegałem, by pani mnie wysłała - zaprotestował Fulk.

- Mogłeś mnie kazać jechać, a sam zostać - odparł Sim. - To ciebie pan wyznaczył do obrony Ashlinu i małego dziedzic-

ca. Co by było z nami, gdyby coś ci się stało? Ja przynajmniej nie jestem niezastąpiony, choć zapewniam cię, że mam zamiar wrócić żywy z tej wyprawy.

- Moja obecność niczego by tu nie zmieniła - potwierdził stanowczo Fulk. - Do jedzenia albo picia został dodany środek nasenny. Spałbym takim samym kamiennym snem jak ty, Sim. Chociaż muszę przyznać, że to, co mówisz, nie jest pozbawione sensu. Mam z was wszystkich najwięcej doświadczenia, jeśli chodzi o obronność i dowodzenie w walce. Kiedy nadejdzie czas, by odbić panią, poprowadzę naszych ludzi, lecz tobie z kolei łatwiej będzie wytropić Merina ap Owena i sprawdzić, czy więzi naszą panią. Jeżeli to nie jego sprawa, to już nie wiem, gdzie szukać. Pozostanie nam jedynie czekać na żądanie okupu.

- Które ty będziesz umiał przeczytać, a ja nie! - podsumował triumfalnie Sim.

- Książd by ci je odczytał - odrzekł Fulk z nieznacznym uśmiechem. Simowi bardzo zależało, by się wykazać swymi umiejętnościami i odwagą, więc szukał ku temu okazji. - Jeżeli myślisz o tym, by mnie w przyszłości zastąpić - zwrócił się do młodzieńca - będziesz się musiał nauczyć czytać i pisać. Człowiek uczony może dalej zająć, a jego pan ma z niego większy pożytek. Prostemu człowiekowi pozostaje praca w polu albo śmierć na pierwszej linii, chłopcze.

- Sądziłem, że chcesz, aby Pax w przyszłości zajął twoje miejsce - powiedział ponuro Sim. - Poświęcisz jego dla mnie?

- Obaj jesteście moimi krewniakami - odrzekł Fulk. - Pax jest giermkim naszego pana i jeśli, na co liczę, dobrze będzie się wywiązywał ze swej roli, może któregoś dnia zostać nawet rycerzem. Wcale nie trzeba do tego urodzić się szlachcicem. Wystarczy być odważnym i wyzwolonym. Pax zapracuje na swoją wolność, a wtedy, kto wie...

Sim, zadowolony, pokiwał głową.

- Czas na mnie - oznajmił.

- Niech cię Bóg prowadzi, chłopcze. I bądź ostrożny! - ostrzegł go Fulk. - Pamiętaj, że nikt nie oczekuje od ciebie, abyś uwolnił panią. Masz znaleźć siedzibę Merina ap Owena i sprawdzić, czy to on ją porwał. Potem wrócisz do Ashlinu i opowiesz, czegoś się dowiedział.

- Rozumiem. I obiecuję, że będę ostrożny.

Sim wsiadł na konia i wyjechawszy ze stajni, skierował się do bramy.

Fulk odprowadził go wzrokiem. Z jednej strony żałował zmiany decyzji, z drugiej czuł, że chłopak miał rację. W tej chwili jego doświadczenie bardziej się przyda tu, w Ashlinie, niż przy poszukiwaniu lady Eleanore. Fulk poszedł poszukać ojca Oswina. Książd z wyraźną ulgą przyjął wiadomość, że kapitan zostaje we dworze.

- Mój przyjacielu, ludzie nie darzą Sima takim zaufaniem jak ciebie. Jak każdemu młodemu człowiekowi, potrzeba mu więcej doświadczenia - stwierdził ojciec Oswin. - Na pewno się ucieszysz, jeśli ci powiem, że właśnie zająłem do panicza i dzieciaczek wygląda kwitnąco dzięki mamce. Maria jest dobrą kobietą. Obie z Alyce zadbają o maleństwo, a stara Ida je dopilnuje - dokończył książd ze śmiechem.

- Dzięki Bogu, jedno zmartwienie mniej! - odetchnął Fulk. - Pozostaje mi czekać na Sima z wiadomościami. Wtedy zdecyduję, co robić i jak panią odbić.

- Uda nam się z bożą pomocą - powiedział z przekonaniem książd.

- Martwię się o panią - wyznał Fulk. - Ostatnie dni były takie mokre.

Jak mokro! Nawet w kąpieli nigdy nie czułam się taka nasiąknięta wodą - pomyślała Elf. Teraz umysł miała jasny jak bezchmurne niebo, ale nie od początku tak było. Czuła się bardzo znużona, gdy kładła się spać tamtego wieczoru. Ile dni minęło? Cztery... ? A sny miała, jeśli to były sny, bardzo niespokojne. Jakieś szepty w ciemności. Ktoś ją podniósł. Płynęła w powietrzu, potem obudziło ją uczucie chłodu na twarzy, ale to już był dzień. Arwydd przyniosła jej coś ciepłego do picia i Elf znowu zapadła w sen. I tak na zmianę, budziła się i zasypiała.

Teraz, gdy jej umysł pracował sprawnie, zorientowała się, że niosą ją w lektyce i że pada deszcz. Nie miała pojęcia, gdzie się znajduje, ale jej porywacze, sądząc po mowie, byli Walijczykami. Teraz również zrozumiała, że Fulk miał rację, nie ufając Arwydd. Dziewczyna zdobyła sympatię domowników wyłącznie po to, aby ich zdradzić. Lecz Arwydd nadal była

dla niej miła. Dzisiaj wcisnęła jej do ręki mały mieszek i rozmawiała z nią tak, aby nikt ich nie mógł usłyszeć.

- Proszę to ukryć - powiedziała, zniżając głos do szeptu. - Przyjmij to, pani, żeby zatrzymać pokarm. Jeżeli moja pani się zorientuje, że masz, pani, dziecko, nie spocznie, dopóki nie dostanie go w swoje ręce. Byłaś, pani, bardzo dobra dla mnie, ale nic więcej nie mogę zrobić. Za kilka godzin dotrzemy do zamku Gwynfr i wtedy znowu będę musiała posłusznie spełnić polecenia mej pani.

Elf powąchała saszetkę. Pachniała szałwią.

- Czy tym mnie poiłaś? - zapytała.

Arwydd skinęła głową.

- Podobnie jak ty, pani, też potrafię leczyć - odpowiedziała po prostu. - Zanim matka umarła, zdążyła mnie tego nauczyć.

- Czy naprawdę była Angielką?

- Tak, była, biedaczka - odparła. - Tyle że nie była branką, z której uczyniono niewolnicę. Uciekła z domu z moim ojcem wbrew woli rodziców. Powiedziała mi, że dziadek handlował wełną. Kazano mi opowiedzieć tę okropną, zmyśloną historię, choć muszę przyznać, że moje życie też nie należało do szczęśliwych. Mój ojciec zapił się na śmierć i wtedy jego brat, który jest stręczycielem, zabrał mnie do siebie do zamtuza na służącą. Moja pani wyciągnęła mnie stamtąd i dlatego winna jej jestem lojalność. Ale ponieważ ty, pani, byłaś dla mnie taka dobra, zrobiłam, co mogłam. Od tej chwili więcej nic nie uczynię - zakończyła Arwydd.

Elf pokiwała głową, rozumiejąc sposób myślenia dziewczyny.

- Arwydd, powiedz mi tylko jedną rzecz. Kto mnie porwał?

- Merin ap Owen, pani - padła odpowiedź i Arwydd odeszła od lektyki.

Elf rozejrzała się po obozowisku w poszukiwaniu przywódcy. Natychmiast spostrzegła wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę o władczej postawie. Musiał poczuć na sobie jej spojrzenie, bo odwrócił się i wbił w nią demoniczne oczy. Elf zaczerwieniła się, ale wytrzymała jego wzrok.

Merin ap Owen przeszedł przez obóz do miejsca, gdzie siedziała Elf.

- Pani, jak się czujesz?

- Ile wynosi okup? - zadała półgłosem pytanie, po czym dodała: - A jeśli chodzi o to, jak się czuję, to jestem przemoknięta. Nie mogłeś znaleźć jakiegoś schronienia przed deszczem, Merinie ap Owenie? Mój mąż nie zapłaci ci za zwłoki.

- Pani, twój mąż jest w Normandii, a do czasu, kiedy wróci i zapłaci mi sowity okup, pozostaniesz moim gościem - oznajmił jej. - Bądź wdzięczna, że cię ubrałem, zanim wyniosłem cię z domu - powiedział, prześlizgując się po niej lubieżnym spojrzeniem. - Doszłaś do siebie na tyle, by jechać ze mną konno - dodał oschle i wyciągnął rękę, by pomóc jej wstać.

Elf nie zamierzała mu się sprzeciwiać. Jakakolwiek próba oporu skazana była na klęskę. Merin podprowadził ją do potężnego jabłkowitego konia, posadził w siodle, po czym sam wskoczył na koński grzbiet. Jednym ramieniem objął Elf mocno w pasie, a wolną ręką zebrał wodze. Towarzysząca mu banda niechlujnych mężczyzn pozbierała się z ziemi, dosiadła swoich wierzchowców i podążyła za swym panem. Elf zauważyła, że Arwydd jedzie sama na kudłatym walijskim kucu. Dziewczyna ani razu nie spojrzała w jej stronę.

Elf jechała w milczeniu, natomiast Merin ap Owen okazał się całkiem rozmowny.

- Może w Gwynfr nie będzie ci, pani, tak wygodnie jak w domu, ale nikt nie śmie się z tobą źle obchodzić. A towarzysztwa dotrzyma ci, pani, moja ladacznica. Ona twierdzi, że jest córką szlachcica, ale nigdy nie wiadomo, kiedy ta pokrętna suka mówi prawdę, a kiedy kłamie. Zdaje się, że znasz ją, pani. Twierdzi, że w przeszłości była twoją bratową. - Merin ap Owen poczuł, jak branka sztywnieje w jego ramionach.

- Isleen?

- Isleen de Warenne - powiedział cicho tuż przy uchu Elf. - Ach, więc znasz ją, pani. Tym razem ta suka mnie nie okłamała. To dobrze.

Elf nie potrafiła powstrzymać gniewu ani chwili dłużej.

- Ta kreatura uśmierciła mego brata! Otruła go! Lepiej się miej na baczności, Merinie ap Owenie.

- Dlaczego go zabiła?

- Kochała swego kuzyna, rycerza o nazwisku Saer de Bude. Razem zaplanowali, jak pozbyć się Richarda. Potem

de Bude miał mnie zgwałcić, żebym nie mogła przyjąć ślubów zakonnych. Naturalnie Saer „honorowo” ożeniłby się ze mną. Podejrzewam, że po pewnym czasie i ja zostałabym otruta, a ta kreatura połączyłaby się z kochankiem i weszła w posiadanie mego rodzinnego majątku, na czym jej od początku zależało - podsumowała z gniewem Elf. - Nie podejrzewałam, że można posunąć się do takiej podłości, a jednak, jak widać, jest to możliwe. Na szczęście Bóg czuwał nade mną i jej plany spełzły na niczym.

- Jak do tego doszło? - zapytał Merin. Znał już wersję wydarzeń ze strony Isleen i miał ochotę wysłuchać relacji z ust Eleanore, która, jak podejrzewał, będzie bardziej zbliżona do prawdy.

- De Bude działał zbyt pochopnie. Rzucił się na mnie w herbarium. Obronił mnie jeden z moich służących. Mój brat już nie żył i został pochowany, a ja wróciłam do St. Friedeswide.

- Ale nie złożyłaś, pani, ślubów?

- Nie. De Bude utrzymywał przed królem, że pozbawił mnie czci. Zostałam wezwana przed królewskie oblicze. Pojechałam razem z przeoryszą i paroma innymi siostrami. Dowiodłyśmy, że de Bude skłamał. I wtedy król uznał, że bardziej przydam się w Ashlinie niż w zakonie. Uważał, że majątkiem powinien zarządzać silny włodarz, więc wydał mnie za Ranulfa de Glandeville'a. De Bude został wysłany na dwór do Blois, a Isleen de Warenne miała spędzić resztę swych dni zamknięta w klasztorze.

Merin ap Owen parsknął śmiechem.

- Isleen w zakonie?! Najwyraźniej król jej nie znał!

- Rzeczywiście, nie znał - zgodziła się z nim Elf. - Nikomu nie przeszło przez myśl, że można mieć taką podłą naturę. Trudno w to uwierzyć. A teraz dowiaduję się, że pomysł, aby mnie porwać i żądać okupu, zrodził się w głowie Isleen. Tego już za wiele! Uczono mnie, abym kochała ludzi, była łagodna i posłuszna, lecz Isleen de Warenne obraca wniwecz moje dobre intencje. W tej chwili najchętniej wydrapałabym jej oczy!

Merin ap Owen roześmiał się jeszcze donośniej.

- Cudownie! Obie razem będziecie dla mnie niewyczerpanym źródłem rozrywki tej zimy, droga Eleanore! Och, proszę

spojrzeć. Oto przed nami zamek Gwynfr. Pani, czy pozwolisz się zaprosić w moje skromne progi? - zapytał z kpina.

- Idź do diabła! - Elf pierwszy raz w życiu wypowiedziała to straszne przekleństwo i o dziwo, była z siebie zadowolona.

- Jedna dziwka, a druga gorąca natura! - zauważył jej ciemiężyciel z szatańskim chichotem. - Jest lepiej, niż się spodziewałem!

Część IV

Branka

Walia 1154-1155

16

- A więc - przywitała go Isleen de Warenne - nareszcie wróciłeś i przywiozłeś małą zakonnicek. Wtrąć ją do najgłębszego i najciemniejszego z lochów! Obejrzałam je sobie, mój panie, pełno w nich szcurów. Niech prosi Boga, żeby jej żywcem nie zjadły.

- Nie bądź niemądra, moja piękna ladacznico - odparł Merin ap Owen. Ześliznął się z siodła, wyciągnął ręce do Elf i postawił ją na ziemi. - Do czasu uzyskania okupu nasza branka będzie mieszkać w moich prywatnych komnatach. Znając twoją podłą naturę, tylko wtedy mogę mieć pewność, że nie zrobisz jej krzywdy i przy okazji nie pozbawisz mnie części okupu.

- Już wolę siedzieć w lochu! - burknęła Elf. Była przemarznięta i głodna. I nie mogła patrzeć na Isleen. Matko Boska, gdzie jej brat miał oczy, że nie poznał się na tej kreaturze?!

- Nie! - Ton Isleen zdradzał wzburzenie. - Panie, nie możesz trzymać jej w swoich apartamentach! Nikomu tam nie pozwalasz wchodzić! Nawet mnie, a przecież jestem twoją kochanką.

- Nie ufam ci, Isleen. Twoje pragnienie zemsty odbiera ci zdrowy rozsądek - odrzekł Merin ap Owen.

- Zemsty?! - Z głosu Elf przebijało znużenie, a zarazem gniew. - Chcesz się na mnie zemścić? A za co, ty krwiożerca suko?

Isleen wyraźnie zaskoczył zarówno ton głosu Elf, jak i jej waleczna postawa. Nie była już tamtą pokorną i cichą, małą zakonnicek, jaką zapamiętała.

- Gdybyś - zaczęła - wyszła za mąż za Saera...

- Tobym była martwa, jak mój brat! - weszła jej w słowo Elf. - Masz mnie za kompletną idiotkę, Isleen? Sądysz, że nie wiem, co zaplanowałam, by dostać Ashlin i swego kuzynka?

- Moje panie, moje panie! - mitygował je Merin ap Owen, a jego ciemne oczy zalśniły z rozbawienia. Jeżeli ich nie powstrzyma, gotowe są rzucić się na siebie z pięściami. Hmm, w końcu mógłby im na to pozwolić ku rozrywce mężczyzn, którzy ich otaczali, ale chwila była niestosowna. - Zaprześciecie kłótni. - Merin odwrócił się do Isleen i pieszczotliwie przesunął palcami po jej policzku. - Ja tu jestem panem, moja piękna ładacznico. Lepiej o tym pamiętaj, bo inaczej będę zmuszony przypomnieć ci, gdzie twoje miejsce, i to w sposób, który na pewno ci się nie spodoba. Rozumiesz? - Obdarzyła ją uśmiechem, po czym zwrócił się do Elf: - Lady Eleanore, nie możesz, pani, ufać Isleen. Skrzywdzi cię, jeżeli tylko nadarzy się ku temu sposobność, bo Isleen kieruje się emocjami. Nigdy nie przebywaj z nią sam na sam. Zrozumiałaś mnie, pani? - Merin uniósł twarz Elf, podtrzymując ją za podbródek, tak by spojrzeć jej w oczy.

Odpowiedziała mu gniewnym spojrzeniem.

- Sądysz, panie, że nie wiem, czego się po niej spodziewać? - zapytała chłodno. - Zapewniam cię, że nie mam zamiaru szukać jej towarzystwa ani znosić go z własnej woli.

Merin roześmiał się. Jego branka przypominała najeżone, fukające kociątko, ale był na tyle przebiegły, by wiedzieć, że nawet małe kotki mają ostre pazurki i użyją ich, jeśli się je sprowokuje.

- Wejdzmy do izby. Pani, czy głód daje ci się we znaki tak samo jak mnie?

Elf przytaknęła skinieniem głowy.

- Doskonale! - Merin ap Owen podał Elf ramię, wprowadził ją do izby i wskazał miejsce po swej prawicy, budząc tym wściekłość Isleen. Skwaszona mina kochanki, której pozostało usiąść po jego lewej ręce, wprawiła Merina w jeszcze lepszy humor.

- Podać do stołu! - wrzasnął pan na zamku Gwynfr i natychmiast pojawił się szpaler służących, którzy gorączkowo roznosili półmiski i misy z jedzeniem. Młody chłopak zaczął napełniać winem kielichy stojące przy każdym nakryciu.

Te inkrustowane czarnymi onyksami, ciężkie, srebrne pu-

chary przyciągnęły uwagę Elf. Talerze i łyżki też były ze srebra. Elf zastanawiała się, komu Merin ukradł zastawę, bo sam zamek był niemal ruiną. Posiłek okazał się bardzo obfity. Podano ryby, dziczyznę, drób i baraninę, a także sałatę, chleb, masło oraz ser. Elf sobie nie żałowała. Ssała ją z głodu w żołądku, a potrawy były smakowite. Jadła i piła, aż poczuła się syta.

- Panie, będę chciała wziąć kąpiel - zwróciła się do Merina, kiedy skończyła jeść. - Nadal jest mi zimno i jechałam cztery dni. Każ mnie zaprowadzić do mojej komnaty.

- Rany boskie, mała zakonniczko, ty się zrobiłaś bezczelna! - rzuciła urągliwie Isleen. - Kąpiel? Myślisz, że jesteś w pałacu?!

- W przeciwieństwie do niektórych osób mam zwyczaj regularnie się kąpać. Nie oblewam się perfumami, by ukryć odór niemytego ciała - odparła ostrym tonem Elf.

Elf była zdumiona, że Isleen de Warenne potrafi wzbudzić w niej aż taką furję. Była przekonana, że jeśli okaże najmniejszą słabość, Isleen rzuci się na nią jak drapieżnik na swoją ofiarę.

- Lady Eleanore, czy potrafisz się sama wykąpać? - zaśmiał się Merin ap Owen. - Na zamku nie ma kobiet, poza tobą, moją piękną ładacznicą oraz Arwydd.

- Mój panie, nie jestem jakąś bezradną istotą. Pamiętaj, że w klasztorze nauczono mnie samodzielności. Nie miałam służby, dopóki nie wróciłam do Ashlinu. Poradzę sobie bez pomocy Arwydd i tej kreatury.

- Lady Eleanore, pozwól przynajmniej, by Arwydd pomogła nosić wodę na tę twoją upragnioną kąpiel - przekonywał ją Merin.

Zaskoczyło ją, że spodziewał się, iż sama będzie dźwigać wodę.

- Z chęcią przyjmę jej pomoc - odparła, ukrywając zdziwienie przed kpiącym spojrzeniem Isleen.

- Arwydd, pójdiesz z panią Eleanore. Wiesz, gdzie jest cebra. Ustaw go przy kominku w mojej komnacie. - Merin spokojnym tonem wydawał instrukcje. - Pani będzie spała w alkierzu obok mojej sypialni. Kiedy się będzie kąpać, przygotujesz jej pokój.

- Dobrze, panie - odpowiedziała Arwydd. - Pani, proszę za mną - zwróciła się do Elf beznamiętnym tonem.

Elf wstała od stołu i wyszła z izby za służącą.

- Zamierzasz nadskakiwać tej dziwce? - zapytała Isleen, wyraźnie zazdrosna.

- Nie uważam, by można było nazwać dogadaniem to, że sama nie będzie dźwigać wody dwa piętra w górę ani palić w kominku - stwierdził oschle. - Poza tym z przyjemnością popatrzę, jak się będzie kapać. Ciebie nigdy nie widziałem w kąpielni, moja piękna ladacznico.

- Więc masz zamiar dogodzić sobie z małą zakonniceczką? - natarła na niego z wściekłością, piorunując go spojrzeniem.

Merin ap Owen nie odpowiedział, tylko powoli wygiął usta w uśmiechu, przez co połowa jego twarzy nieoszczędzona blizną stała się jeszcze przystojniejsza.

- Wstań, Isleen, oprzyj ręce o stół i mocno się nachyl - polecił.

Isleen wbiła w niego wzrok.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie - odparła wyniośle. - Czy zamierzasz chędożyć małą zakonniceczkę?

Merin ap Owen wstał, szarpnięciem za długie złotoblond włosy poderwał z miejsca swą kochankę i pchnął ją na stół.

- Nie radzę ci protestować, Isleen - powiedział, nachylając się nad nią. - Jeżeli sprzeciwisz się mi w obecności tych mężczyzn, będę musiał cię zabić.

- Jezu! - szepnęła. - Chyba nie zamierzasz mnie wziąć tutaj, przy wszystkich?

W odpowiedzi podciągnął jej spódnice, zatykając brzeg za wycięcie stanika na karku. Zawsze uważał, że Isleen ma wyjątkowo kształtną pupę. Przesunął dłońmi po jej gładkich, krągłych pośladkach, napawając się ich widokiem. Widząc, jak przeszedł ją dreszcz, nachylił się nad nią i szepnął do ucha:

- Ach, więc tym razem byłaś mi wierna, prawda, piękna ladacznico?

- Myślałeś, że któryś z twoich ludzi zechce mi dogodzić po tym, jak przed wyprawą do Anglii powiesiłeś tamtych dwóch głupców? - prychnęła ze złością.

- Jesteś gotowa mnie zaspokoić?

- Nie - odpowiedziała cicho.

- W takim razie muszę cię podniecić - oznajmił ze złośliwym chichotem.

Wyprostował się i wymierzył jej siarczystego klapsa.

Isleen wrzasnęła, a mężczyźni siedzący przy ławach, ustawionych poniżej głównego stołu, podnieśli wzrok i przyglądali się im z zainteresowaniem. Niektórzy z nich, szczerząc zęby w uśmiechu, czynili nieprzyzwoite gesty.

- Za każde krzyknięcie dołożę dwa uderzenia - ostrzegł ją Merin. - Więc zamiast dziesięciu klapsów dostaniesz dwanaście, moja piękna ladacznico. - Ręka Merina podnosiła się i opadała, aż odmierzył odpowiednią liczbę razów w zaognione pośladki Isleen. - A teraz jesteś gotowa? - zapytał.

- Tak! - zawołała i spazmatycznie wciągnęła oddech, kiedy się w nią wbił.

Roześmiał się, gdy przylgnęła gorącymi pośladkami do jego krocza.

- Jesteś doskonałą ladacznicą, Isleen - stwierdził, pompując zawzięcie lędźwiami. Trzymał ją mocno za biodra, białą skórę znaczyły czerwone ślady po jego palcach. Merin był niespożyty, z gardła Isleen kilkakrotnie wydobył się jęk rozkoszy. Mężczyźni obserwowali ich z rosnącym podnieceniem, niektórzy zaczęli się masturbować. Wreszcie zaspokojony Merin ap Owen oderwał się od Isleen.

Przez jakiś czas leżała wyciągnięta na stole, potem podniosła się z westchnieniem zadowolenia.

- Jesteś wspaniałym kochankiem, mój panie - pochwaliła go, obciągając spódnice. - Założę się, że mała zakonniczka nie zadowoli cię tak, jak ja.

Merin rozsiadł się na krześle i wychylił puchar wina.

- Jesteś zazdrosna, moja piękna ladacznico? - zapytał drwiąco.

- Dlaczego nie zamkniesz jej w lochu?

- Bo mnie niczym nie rozgniewała - odparł. - Jest łagodną i dobrą kobietą. Nie mam nic przeciwko mej samej. Chcę jedynie dostać okup od jej męża. To zwykła transakcja, moja piękna ladacznico, nic więcej.

- Więc dlaczego oddałeś jej swoje komnaty? - nie ustępowała.

- Ponieważ, jak już wcześniej powiedziałem, nie ufam ci, a poza tym w całym zamku nie ma innych pomieszczeń, które

byłyby odpowiednie dla takiej damy, jak lady Eleanore - wyjaśnił. Isleen była zazdrosna, bawił się świetnie, drażniąc się z nią.

- To umieść ją w mojej komnacie razem ze mną - powiedziała niemal błagalnie. - Będę na każde twoje zawołanie i zrobię wszystko, czego zapragniesz. - Pochwyciła jego rękę w obie dłonie.

- Nie, moja piękna ladacznico. Lepiej, aby lady Eleanore mieszkała u mnie, tam gdzie nikt nie ma prawa wstępu - oznajmił jej. - Moja branka jest bardzo piękna, mam zamiar zwrócić ją mężowi taką samą, jaką ją porwałem. Albo prawie taką samą - droczył się ze swoją kochanką.

- Uważasz, że ona jest piękna?! - Isleen czuła, jak wzbiera w niej złość. Merin nigdy jej nie powiedział, że jest piękna, czyżby według niego mała zakonniczka była piękna? - Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś nazwał Eleanore de Montfort pięknoscią, mój panie Merinie. To o mnie tak mówiono - chełpiła się Isleen, uśmiechając się z satysfakcją.

- Niczego ci nie brakuje - przyznał Merin ap Owen - ale nie jesteś tak piękna jak lady Eleanore. Wiem, że jasne włosy i niebieskie oczy, takie jak twoje, są dla Anglików ideałem urody, ale nie dla mnie. Uważam, że szare oczy lady Eleanore, jej płomiennozłote włosy, jasna cera i łagodny wyraz twarzy tworzą całość znacznie ciekawszą od twojej dość pospolitej urody. Nikt ci tego dotąd nie powiedział? Czyżby wszyscy mężczyźni, jakich znałaś, padali ci do stóp porażeni widokiem twych złotych włosów i oczu barwy szafiru? Jesteś tak samo podła jak ja, Isleen. Zło zaczyna odciskać się piętnem na twoich rysach. Lady Eleanore ma czyste serce i z jej twarzy emanuje dobroć.

- Zaczynasz się w niej zakochiwać - rzuciła oskarżycielskim tonem Isleen.

Zaśmiał się szorstko.

- Nie! - zaprzeczył i podniósł się z miejsca. - Idę do siebie, moja piękna ladacznico. Chodź, odprowadzę cię do twojej komnaty, żeby mieć pewność, gdzie jesteś. - Szarpnął ją i pociągnął za sobą.

Po drodze Isleen obrzucała go przekleństwami.

- Jesteś psem, Merinie ap Owenie! Nie będę dłużej odgrywać twojej suki, jeśli nie zaczniesz mnie lepiej traktować.

Uważaj! Miażdżysz mi nadgarstki! Aau! Nie ciągnij mnie za włosy, ty bydlaku!

Popchnął ją na ścianę w ciasnym korytarzu, aż uderzyła głową o kamienie.

- Posłuchaj, co ci powiem! Należysz do mnie i tylko do mnie! Nie różnisz się niczym od niewolnicy, Isleen! Będziesz robić, co ci powiem i kiedy ci powiem - tak długo, jak będzie mi to odpowiadać. - Palce Merina wbijały się boleśnie w jej ramię. - Rozumiesz mnie, Isleen? - Jego ciemne oczy płonęły z gniewu.

W tej chwili przestraszył ją nie na żarty. Ten mężczyzna nie był podobny do innych, których znała. Przeraził ją, a mimo to wielbiła go całym swoim jestestwem. Nie dopuści, by Eleonore de Montfort odebrała jej go i po raz drugi zrujnowała jej życie! Sprawi, że Merin ap Owen zapała do niej miłością! Doprowadzi do tego!

- Rozumiem, mój panie! - odpowiedziała cicho.

- No! To bardzo dobrze, moja piękna ładacznico.

Wspięli się po schodach, minęli prywatne apartamenty Merina i jeszcze węższymi schodami wewnątrz baszty dotarli do komnaty Isleen. Merin otworzył drzwi i wepchnął Isleen do środka.

- Nie wychodź stąd aż do rana. Przyślę do ciebie Arwydd. Kiedy tu przyjdzie, spuszczę mastify. Rozerwą cię na strzępy, jeśli tylko spróbujesz zajrzeć do mojej komnaty. Dobranoc!

Merin zatrzasnął za sobą drzwi i zszedł piętro niżej, gdzie mieściły się jego pokoje.

- Idź do swojej pani, Arwydd - polecił służącej, stając w progu komnaty. - I pośpiesz się, bo za chwilę spuszczę psy. Zostaniesz u pani do rana.

- Tak, panie! - Arwydd dygnęła i czym prędzej wyszła.

Merin rozejrzał się po komnacie. Wanny nie było już przed kominkiem. Wchodząc do sypialni, zajrzał do małego alkierza we wnęce naprzeciw swego łoża.

- Pani, nie jesteś gotowa do snu - odezwał się do Elf, widząc ją w ubraniu. - Czy twoje szaty nie są nasiąknięte deszczem?

- Nie ma tu drzwi ani portiery, która gwarantowałaby mi intymność - odpowiedziała Elf.

- Lepiej, żebym miał cię na oku, pani - powiedział. - Pro-

szyć, zdejmij suknię. Jak to wcześniej trafnie zauważyłaś, pani, mąż nie zapłaci mi za zwłoki. Jestem przekonany, że skromną koszulą nie obudzisz mych pierwotnych instynktów. Poza tym, gdybym czytał na twą cnotę, pani, nawet zbroja nie stałaby mi na przeszkodzie.

Przyglądała mu się, niepewna, czy chciał ją przestraszyć, czy też rozbawić.

- Proszę zgasić świece w kandelabrze - powiedziała w końcu.

- Proszę bardzo. - Bez dyskusji przystał na jej prośbę. Potem, obserwując jej cień w świetle głównej żarzących się w kominku, zdjął ubranie i wszedł do łóżka. - Dobrych snów, pani - powiedział.

Elf wsłuchiwała się w oddech Merina; po chwili zaczął chrapać. Szeptem odmówiła modlitwę i starała się zasnąć, lecz sen nie nadchodził. W jej głowie kłębiło się mnóstwo pytań, na które nie знаła odpowiedzi. Jakim sposobem Isleen znalazła się w zamku Gwynfr? A Merin ap Owen? Czego się można po nim spodziewać? Brutalny w stosunku do Isleen, z nią obchodził się bardzo szarmancko. Czy będzie w stanie obronić się przed jego zalotami, jeśli podejmie takie próby? Czuła się zagubiona. Nie martwiła się o synka, bo wiedziała, że służba w Ashlinie zaopiekuje się Simonem z najwyższym poświęceniem. Nie będzie kłopotu ze znalezieniem mamki wśród czeladzi. I choć, być może, dziecku zabraknie pochylonej nad nim matczynej twarzy, nie odczuje nieobecności Elf, jeśli przytula go do mlecznej piersi opiekuńcze ramiona mamki. Niestety jej, oderwanej od synka i męża, nie będzie łatwo uwolnić się od poczucia straty. Piersi bolały ją nie mniej niż serce, które, jak jej się zdawało, jeszcze chwila i pęknie z rozpacz. Ale dla dobra Simona musi trzymać emocje na wodzy. Jej wrogowie nie mają prawa dowiedzieć się o istnieniu dziecka.

Ranulf... Westchnęła cicho. Jest bezpieczny w Normandii, ale kiedy on wróci do domu? Gdy usłyszysz o śmierci króla Stephena - przywołała w myślach jego słowa. Jest już październik, a do niej nie dotarły żadne wieści o królu. Serce krwawiło jej z tęsknoty za Ranulfem. Miała przed oczyma jego twarz. Krzaczaste brwi nad ciepłymi, piwnymi oczyma. Mocno zarysowane usta, które całowały tak delikatnie, a zarazem namiętnie. Pamiętała, jakie miękkie w dotyku są jego kaszta-

nowe włosy. Z jaką czułością Ranulf zabiegał o jej względy! Jak ona go kocha! Jeżeli zobaczy go kiedykolwiek w życiu, powie mu o swej miłości, chociażby miała go tym wyznaniem wprawić w zakłopotanie. Czy jakaś kobieta była kiedykolwiek zakochana w Ranulfie de Glandeville'u? Z tego, co mówił, wynikało, że nie. Dawno już należało wyznać mu miłość. Będzie musiał przyjąć do wiadomości, że go kocha, nawet jeśli on nie kocha jej, bo nie wie, co to znaczy kochać. Ech, nieważne, wystarczy, że ona jest w nim zakochana!

Kiedy rano Elf otworzyła oczy, Merina ap Owena nie było już w sypialni. Wstała i ubrała się, po czym przeszła do bawialni. Nacisnęła klamkę drzwi prowadzących do holu, ale okazało się, że zostały zamknięte na klucz. Natomiast ogień płonął w kominku, a na stole stała taca z karafką napoju, obok niej leżał niewielki bochenek świeżego chleba, jabłko i plaster miodu. Przeszło jej przez myśl, że być może Isleen podsypała trucizny do jedzenia lub picia, lecz po chwili doszła do wniosku, że jest nierozsądna. Słyszała odgłosy dochodzące z pomieszczeń w baszcie, jedno piętro wyżej, więc Isleen nadal musiała przebywać u siebie. Poza tym Isleen nie miała klucza do jej więzienia.

Usiadła do stołu i pożywiła się, na wszelki wypadek zachowując połowę jedzenia na później. Kiedy skończyła, z braku zajęcia posłała łoże w sypialni Merina i swoje łóżko w alkierzu. Potem jakiś czas wyglądała przez okno. Zamek Gwynfr stał na skalistym wzgórzu. Poniżej leżała wieś. Otaczające ją wzniesienia mieniły się barwami jesieni. Dzień był szary i dżdżysty. Ledwo zdążyła usiąść przy kominku, gdy poderwał ją na nogi zgrzyt klucza w zamku.

Do bawialni wszedł Merin ap Owen.

- Więc już wstałaś, lady Eleanore - ucieszył się. - Usiądźmy i porozmawiajmy o interesującej nas oboje sprawie, a mianowicie o okupie.

Elf usiadła z powrotem.

- Mój mąż jest w Normandii - oznajmiła. - Wybrałaś, panie, nie najlepszy moment, żeby mnie porwać. - Merin byłby bardzo przystojnym mężczyzną - pomyślała - gdyby nie odrażająca blizna, która szpeciła mu lewą połowę twarzy. - Nie ma w Ashlinie nikogo, kto mógłby zapłacić okup. Nie mają do tego prawa.

- Mówisz, pani, tak, jakbyś nie wiedziała, kiedy mąż wróci.
- Bo nie wiem - odparła zgodnie z prawdą.
- Po co pojechał do Normandii?
- Nie zwierzał mi się, panie. Myślę, że to ma coś wspólnego z jego matką, która tam mieszka ze swym drugim mężem - odpowiedziała bez zająknięcia, jakby to była szczerza prawda.
- A może pojechał pokłonić się księciu Henrykowi, bo, jak słyszałem, angielski król niedomaga - spekulował Merin ap Owen.

- Być może, ale mój mąż był zawsze lojalnym wasalem króla Stephena, panie. To właśnie król w nagrodę za wierną służbę wydał mnie za niego.

- Ach, nie ma znaczenia, po co pojechał - stwierdził Merin ap Owen. - Potrzynam cię tu, pani, przez jakiś czas, jeśli to konieczne, choć uczciwie powiem, że tego nie przewidywałem - oznajmił jej. - Jak, pani, wiesz, lady Isleen jest niebezpiecznym przeciwnikiem. Jak rozumiem, jej pretensje są bezpodstawne, jednak ona święcie wierzy, że przez ciebie stała się jej krzywda, i będzie szukać zemsty.

- Ona ma ptasi mózdzek! - zirytowała się Elf. - Zamordowała mego brata i zije do mnie nienawiścią za to, że też nie dałam się zabić, aby ona mogła przywłaszczyć sobie ziemie należące do mojej rodziny! Zawsze uważałam się za osobę bardzo ustępliwą, ale do Isleen de Warenne potrzeba anielskiej cierpliwości!

Roześmiał się głośno, nagle zdając sobie sprawę, że ta młoda kobieta budzi jego sympatię. Isleen naigrawała się z jej dobroci, ale on naprawdę nie pamiętał, czy w życiu miał choć raz do czynienia z dobrą kobietą. Zaczynał podejrzewać, że właśnie poznał taką w osobie Eleanore de Montfort.

- Isleen jest głupia - przyznał jej rację - ale nie lekceważ jej, pani, bo choć brakuje jej rozumu i ogłady, jest niezwykle przebiegła, co czyni z niej niebezpiecznego przeciwnika.

- Czy to ona wymyśliła, żeby mnie porwać?

Skinieciem głowy odpowiedział twierdząco na jej pytanie.

- Szczerze mówiąc, zadowolilibym się kradzieżą waszych stad, ale Isleen stwierdziła, że sprzedając je, dostałbym połowę tego, co są warte, bo wszyscy wiedzą, że handluję kradzionymi zwierzętami. Natomiast porwijąc ciebie, pani, zmuszę

twego męża, żeby sam sprzedał bydło i owce, co przyniesie mi dwukrotnie większy zysk.

- Isleen wpędziła cię w kłopoty, panie - oznajmiła Elf. - Gdybyś ukradł zwierzęta, już miałbyś swoje pieniądze. A tak musisz czekać, aż mój mąż powróci z Normandii, i chronić mnie w tym czasie przed zakusami swojej ladacznicy. Nie wiem, czy ci się to uda. Kto wie, czy Isleen, choć nie najmądrzejsza, nie wyprowadzi nas obojga w pole.

Merin ponownie wybuchnął śmiechem.

- Pani, jesteś zupełnie inna, niż opisała cię Isleen!

- Od dnia, kiedy skończyłam pięć lat, do mego powrotu do domu, gdy przyjechałam pielęgnować chorego brata, widziałam Dickona i jego małżonkę jeden jedyny raz, krótko po ich ślubie. Klasztorne mury chronią przed zderzeniem z brutalną rzeczywistością. Tam dąży się do świętości w świecie prawie wolnym od pokus, Merinie ap Owenie. Prawdopodobnie Isleen widziała we mnie świętoszkowatą ciamajdę. Osądziła mnie na podstawie naszej krótkiej znajomości. Owszem, mam prostolinijną naturę, ale nie jestem naiwnym, infantylnym stworzeniem, za jakie mnie bierze. Więc jeśli będzie próbowała mnie skrzywdzić, stawię jej czoło. Jedyne, czego się obawiam, to to, że będzie chciała mnie otruć. Więc dopilnuj, panie, aby nie miała takiej możliwości, bo stracisz swój okup.

Pokiwał głową, zaskoczony jej umiejętnością rozumowania. Na rany Chrystusa! Co za wspaniała kobieta!

- Zapewnię ci bezpieczeństwo, pani - obiecał.

- Wierzę, że tak będzie - odparła cicho. - Panie, czy muszę pozostawać w tych komnatach przez cały czas? - zapytała po chwili.

- Nie. Zapraszam do izby, pani.

- Nie potrafię tak siedzieć i nic nie robić - wyznała. - Jeżeli jest w zamku warsztat tkacki, mogłabym zacząć kilim. Albo jeżeli masz jakieś rzeczy wymagające naprawy, chętnie je poproceruję. Chyba rozumiesz, panie, że nie znoszę bezczynności? Jeżeli jest w zamku ktoś, kto mógłby zbierać dla mnie rośliny i zioła, sporządzę mieszanki na okłady i napary oraz najróżniejsze maści do twej infirmerii. Kto dba o twych chorych i rannych, panie?

- Nikt - odpowiedział.

- Nikt?! - zdziwiła się Elf.

- To męska siedziba, pani. Do czasu, zanim sprowadziłem tu Isleen, w zamku mieszkali wyłącznie mężczyźni. Sami się leczylimy, jeśli zaszła taka potrzeba.

- Nie masz żony, panie? - Zaciekało ją, dlaczego Merin się nie ożenił, ale kiedy uzmysłowiła sobie, jakie warunki panują w tym miejscu, brak żony nie był znowu taki dziwny.

- Nie mam żony - odpowiedział. Z jakichś powodów wolał przemilczeć fakt, że swego czasu był dwukrotnie żonaty, lecz żadna z żon nie wytrzymała małżeństwa z nim.

- Prawdopodobnie znalazłaby się wśród twych poddanych choć jedna osoba, którą mogłabym nauczyć sztuki leczenia. Tym sposobem - tłumaczyła mu - po moim powrocie do Ashlinu miałbyś tu kogoś, kto by was kurował. Jeżeli spadnie na zamek albo wieś jakaś zaraza, ludzie będą padać jak muchy. To byłaby wielka tragedia.

Mówiła tak, jakby najzwyczajniej w świecie przyjechała z wizytą. Nie osądzała go, więc tym bardziej poczuł się niezręcznie. Nie powinna być dla niego uprzejma ani ofiarowywać pomocy - pomyślał. Nie był gościnnym panem domu, tylko porywaczem! A jednak ta jej słodycz sprawiała mu przyjemność.

- Znajdę pośród mych ludzi odpowiednią osobę - oznajmił jej. - Ale najpierw wyznaczę kogoś godnego zaufania, by cię ochraniał, lady Eleanore. Nie mogę dać ci kobiety do towarzystwa. Arwydd jest oddana Isleen duszą i ciałem. Pani, jeżeli kiedyś obdarzyłaś ją zaufaniem, teraz na nią uważaj. Znowu znalazła się pod wpływem Isleen i zrobi wszystko, czego ona od niej zażąda. Oczywiście, ostrzegę ją, by nie ważyła się spełnić żadnych poleceń swej pani, skierowanych przeciwko tobie. Isleen należy bez przerwy przypominać, że to ja rządę w Gwynfr. - Merin wstał i podał Elf ramię. - Odprowadzę cię do izby, lady Eleanore.

Zeszli schodami do dużej sali, w której nie było nikogo, oprócz jednego służącego.

- Gwyll, od tej chwili będziesz na usługi lady Eleanore - oznajmił mu Merin. - Odpowiadasz za jej bezpieczeństwo. Tylko ja wydaję rozporządzenia dotyczące pani. Nikt inny, a w szczególności lady Isleen, nie ma prawa o niczym decydować. Nie będę przekazywał poleceń przez żadnych pośredni-

ków. Skontaktuję się z tobą osobiście, jeżeli zajdzie taka potrzeba.

- Tak jest, panie - odpowiedział Gwyll.

Merin ap Owen zwrócił się do Elf:

- Przypuszczam, że na strychu powinien stać warsztat tkacki, który kiedyś należał do mojej babki. Pójdę sprawdzić, czy jeszcze tam jest, lady Eleanore. Gwyll, czy znajdzie się w zamku czółenko i przędza?

- Nie sądzę, panie - odparł Gwyll, zaskoczony tym pytaniem. - Może leżą gdzieś przy warsztacie?

- Panie, proszę pozwolić, bym sama rozejrzała się na strychu. Zapewne czekają na ciebie ważniejsze sprawy od szukania kobiecych zabawek.

- Dobrze, pani - zgodził się Merin ap Owen. - I tak zapewne w przeciwieństwie do ciebie, pani, nie wiedziałbym, czego mam szukać. Gwyll, zaprowadź panią i nie odstępuj jej na krok.

- Dobrze, panie - odpowiedział Gwyll, rozumiejąc znaczenie tego polecenia. Nie darzył sympatią tamtej Angielki. Była z gruntu złą kobietą.

Elf wąpiła, czy znajdzie to, czego chciała, lecz ku jej ogromnemu zdumieniu poszukiwania zakończyły się sukcesem. Natrafiła na krosna i czółenko, a także odkryła kosz z kolorową przędzą. Gwyll wyszperał nawet mały wiklinowy pojemnik z przyborami do szycia.

- Ciekawe, do kogo to wszystko należało - zauważyła półgłosem Elf.

W odpowiedzi Gwyll jedynie wzruszył ramionami, niby to nie mniej zaskoczony od niej, chociaż wiedział, czyje to były rzeczy. Krosna należały do babki jego pana, a kolorowa przędza do jego pierwszej żony, kobiety o marzycielskim spojrzeniu, która przybyła na zamek w Gwynfr pełna nadziei, po to jedynie, by wkrótce odkryć, że poślubiła potwora. Biedna dziewczyna, zakochana w Merinie ap Owenie, nie potrafiła pogodzić się z prawdą. Za swą miłość zapłaciła życiem i nie znalazł się nikt, kto by ją pomścił, ponieważ była sierotą. Gwyll podejrzewał, że koszyczek z przyborami do szycia również stanowił jej własność.

- Pani, jeśli masz już wszystko, co potrzeba, lepiej, byśmy wrócili do izby - powiedział do Elf. - Złożę warsztat, jeśli sobie, pani, życzysz. Czy ustawić go w pobliżu kominka?

- Tak byłoby wprost idealnie - odpowiedziała Elf i ułożywszy przybory do szycia na koszu z przędzą, zaczęła ostrożnie schodzić po wąskich schodach na wprost zrujnowanej baszty. Tu i ówdzie na stopniach leżały kamienie, które powypadały ze ścian. Elf była zaskoczona, że strop na poddaszu oparł się zniszczeniu. Gdyby nie to, jej skarby nie nadawałyby się do użytku. Naprawdę potrzebowała jakiegoś zajęcia, jeśli już musiała spędzić w zamku jakiś czas.

Kiedy wrócili do izby, Gwyll, tak jak obiecał, ustawił krosna koło kominka i przyniósł krzesło, po czym zwrócił się do Elf:

- Pani, chcesz teraz tkać czy wolałabyś wyjść na zewnątrz, by szukać roślin?

- Chyba dziś zostanę w domu, Gwyll. Ciągłe czuję się przemarznięta po podróży - odparła, uśmiechając się do niego.

- Pani, myślisz, że dłużej u nas pobędziesz? - zapytał grzecznie, pomagając jej zająć miejsce przy krosnach i ustawiając wysoki kosz u stóp. - A może rozwinę pasma przędzy na posadzce, byś mogła, pani, dobrać kolory? - zaproponował usłużnie, przechylając koszyk z morkami, by lepiej je mogła zobaczyć.

- Dziękuję - powiedziała Elf. - Nie wiem. To zależy, kiedy mój mąż wróci z Normandii. - Nachyliła się nad koszem i zaczęła wybierać kolory, układając motki na podołku. - Gwyll, odstaw kosz - poprosiła i zajęła się napinaniem osnowy na ramie.

- Och, jak tu swojsko i domowo! - doszła ją uszczypliwa uwaga.

- Dzień dobry, Isleen! - Elf pozdrowiła ją w odpowiedzi oschłym tonem. - Co ty robisz cały dzień? Gwynfr nie wydaje się oferować zbyt wielu atrakcji, a ja nie mam zwyczaju marnować czasu.

- Jakaś ty pobożna i dobra! Mój pan Merin cię rozpieszcza. Gdybyś była moim więźniem, wtrąciłabym cię do lochu i przykuła do ściany łańcuchem, by gryzły cię szczury. A to, co by z ciebie zostało, oddałabym twemu mężowi, kiedy przyjedzie z okupem. Prawdopodobnie byłby szczęśliwy, mogąc się ciebie pozbyć. Przecież nie dajesz mu szczęścia w łóżu. Czy modlisz się, kiedy na ciebie wchodzi, by choć trochę sobie poużywać na twym chudym ciele? - Isleen stała przed krosna-

mi i wlepiła w Elf swe intensywnie niebieskie, pełne złości oczy.

- Ale nie jestem twoim więźniem, Isleen, chociaż, jak rozumiem, tobie zawdzięczam swe obecne położenie - zareplikowała Elf.

W jej głosie nie było nawet śladu gniewu, jak zauważył Gwyll.

- Więc powiedział ci, że to był mój pomysł? A tak, mój! - piała triumfalnie Isleen. - Jeżeli twój mąż postanowi cię wykupić, to będzie go to kosztować fortunę. Ciekawe, czy zechce pozbyć się wszystkiego, co zyskał, żeniąc się z tobą, po to, by dostać cię z powrotem. Mam nadzieję, że nie zapłacisz okupu. A wtedy wsadzę cię do mego zamtuza, żebyś zarabiała na swoje utrzymanie! - Isleen wybuchnęła śmiechem, widząc pobladłą twarz Elf.

- Z twego powodu wstydzę się za siebie - odpowiedziała Elf. - Pierwszy raz w życiu czuję tak potężny gniew, że mam ochotę cię zabić! - Podniosła się z krzesła, wpatrując się z furią w swoją przeciwniczkę. Jej małe dłonie bezwiednie zacisnęły się w pięści. - Jesteś potworem, Isleen de WARENNE! Niech mi Bóg wybaczy, ale szczerze cię nienawidzę!

Isleen cofnęła się o krok pod jej gniewnym spojrzeniem. Szare oczy Elf zdawały się płonąć i Isleen nie wątpiła, że jeśli posunie się choć trochę dalej, Elf rzuci się na nią.

- A więc jednak masz jakieś ludzkie cechy - warknęła Isleen. - To świetnie! Walka ze słabym przeciwnikiem nie daje tyle przyjemności.

- Nie zamierzam dostarczyć ci rozrywki - chłodno stwierdziła Elf, po czym usiadła i zajęła się naciąganiem osnowy.

Isleen spojrzała na Gwylla.

- Zostaw nas same!

- Nie mogę - odpowiedział. - Pan tak rozkazał. Mam nie odstępować lady Eleanore i słuchać wyłącznie poleceń pana. - Kiedy to mówił, na jego usta zabłądził lekki uśmiech, i patrzył na Isleen z taką determinacją, że odgadła, iż go nie przekona.

Rozzłoszczona, zamierzyła się na niego.

- Bezczelny sługus! - wyskrzeczwała i w tej samej chwili odskoczyła do tyłu, przykładając dłonie do twarzy. Jak oniemiała patrzyła na stojącą przed nią Elf.

- Ty... ty mnie uderzyłaś! - krzyknęła z niedowierzaniem.

- Nigdy więcej nie podnoś ręki na służbę - ostrzegła ją Elf. - Gwyll jedynie spełnia rozkaz swego pana. Nie rządzisz tutaj.

- Ty też nie! - odcięła się Isleen. Gwałtownie rozcierała policzek. - Jeżeli mnie oszpeciłaś, znajdę sposób, żeby się zemścić, choćby nie wiem jak bardzo ten pies cię pilnował! Przyśięgam, że cię dopadnę!

- Nie jesteś śmiertelnie ranna - stwierdziła chłodno Elf. - Ślad po mojej ręce zblednie za kilka godzin, Isleen. I ostrzeżenie za ostrzeżenie: nie traktuj źle służby. Czy twoja matka niczego cię nie nauczyła? Moi ludzie w Ashlinie cieszą się, że zniknęłaś.

- Służący są tylko służącymi - stwierdziła Isleen z naciskiem.

- Zostali stworzeni przez Boga tak samo jak my - powiedziała Elf. - Nawet ty, przy całej swej podłości, jesteś dziełem Stwórcy.

- Nienawidzę cię! Nienawidzę! - wykrzyczała Isleen i głośno tupiąc, wybiegła z izby.

- Masz groźnego wroga, pani - zauważył Gwyll.

- Zawsze była moim wrogiem, nawet kiedy mnie nie znała - powiedziała Elf, zaskakując go swym stwierdzeniem. - Ale teraz jestem mądrzejsza i potrafię stawić jej czoło.

- Będę cię bronił, pani - zapewnił ją. Ciągłe nie mógł się nadziwić, że łagodna branka jego pana ochroniła go przed niesłusznym gniewem jego kochanki. Nie było w Gwynfr nikogo, kto by stanął po stronie tej angielskiej dziwki, więc lady Eleanore nie groziło większe niebezpieczeństwo. A odkąd pan powiesił dwóch swoich zbrojnych za to, że dobrali się do jego miodu, ich kompani na pewno nie spełnią jej rozkazu. Jedynie biedna, mała Arwydd była jej oddana, ale Arwydd nie jest zdolna do popełnienia morderstwa. Mimo to Gwyll postanowił czujnie strzec swojej podopiecznej.

Elf od samego początku wiedziała, że łyzy i uzalanie się nad sobą nie pomogą jej, więc postarała się, jak tylko było to możliwe, zorganizować sobie życie w zamku Gwynfr. Myślami była ciągle przy Ranulfie i ich synku, spokojna, że są bezpieczni. Krzepiąc się tą świadomością, spędzała czas,

tkając przy kominku lub spacerując po wzgórzach w poszukiwaniu ziół, z których mogła sporządzać medykamenty.

Któregoś dnia, kiedy jej wzrok zabłądził na wzgórze i zatrzymał się na nich dłużej, dobiegł ją łagodny głos Gwylla:

- Pani, nawet nie wiesz, w jakiej stronie leży Anglia, prawda? Tu jest dla ciebie bezpieczniej. Nie próbuj ucieczki, pani.

Elf nie odpowiedziała, udając, że nie usłyszała jego słów. Pochylona, wzruszyła kozikiem ziemię wokół korzenia rośliny i wyciągnęła ją powoli. Gwyll ma rację. Nie ma pojęcia, gdzie leży Anglia, i nie ma jak się tego dowiedzieć, nie wzbudzając podejrzeń. Podała kozik Gwyllowi i z pietyzmem ułożyła roślinę w koszyku.

Pomieszczenia w Gwynfr były, delikatnie mówiąc, prymitywne. Większa część zamku uległa ruinie, a poza Elf, Arwydd i Isleen nie mieszkały w nim żadne inne kobiety. Nie mieli nawet służących, które przychodziłyby w ciągu dnia. Jeśli chodzi o podstawowe potrzeby, warunki w zamku były trudniejsze nawet niż w klasztorze. Jeżeli Elf chciała się umyć, musiała przynieść wodę do swego alkierza. Arwydd pomogła jej tylko jeden raz, tamtego wieczoru po przyjeździe, ale od tej pory Isleen zakazała jej usługiwać Elf, a Merin ap Owen nie interweniował. Był najwyższy czas, aby Elf zrobiła pranie.

Kiedy ją porwano, spała odurzona środkiem nasennym. Zanim Merin ap Owen wykradł ją z dworu, ubrał ją w tunikę oraz spódnicę i owinął peleryną. Żeby utrzymać swe rzeczy w jakim takim stanie, trzepała je i szczotkowała, jednak chodziła w nich drugi tydzień z rzędu. Powinna uprać brudną koszulę, ale nie miała innej na zmianę. Ponieważ w alkierzu nie było drzwi, sprawa nie była prosta. Wreszcie wpadła na pomysł, że wykąpie się w koszuli, tak jak to robiła w klasztorze. Przygotuje kąpiel wieczorem, zanim Merin ap Owen przyjdzie do sypialni, a potem owinie się derką i rozwiesi koszulę nad kominkiem w bawialni. Potem położy się spać, tak aby Merin niczego nie zauważył.

Jednak kiedy Merin ap Owen wszedł do swego apartamentu, spostrzegł przystawione do kominka krzesło z rozwieszoną na oparciu batystową koszulą. Zaskoczył go nieco ten widok, ale szybko się domyślił, dlaczego w jego pokoju wisi damski fatałaszek. Gdyby na miejscu Elf była jakaś inna kobieta, niewątpliwie wykorzystałby sytuację. Jednak nigdy przed-

tern nie miał do czynienia z kimś takim jak Eleanore de Montfort. Podziwiał jej rzeczowe podejście do sytuacji, w jakiej się znalazła. Starła się być użyteczna, mimo że nikt od niej tego nie wymagał, a służba po raz pierwszy, odkąd sięgał pamięcią, wydawała się szczerze zadowolona.

Merina intrygował sposób, w jaki go traktowała. Co prawda Isleen pogardliwie wypowiadała się o lady Eleanore, lecz pani na Ashlinie wcale nie sprawiała wrażenia zakłamanego świętoszki. Musiał przyznać, że miała błyskotliwy umysł i świetnie radziła sobie z jego ladacznicą, która wykorzystywała każdą nadarzącą się okazję, aby poniżyć brankę. Merin był przekonany, że Eleanore nie pochwała jego sposobu życia, a mimo to nie odczuł, by próbowała go pouczać czy zmieniać. Natomiast starała się być użyteczna i pomagać tam, gdzie jej pomoc mogła się przydać. Zdażyła opatrzeć rany paru jego ludziom i wyleczyła kucharza z uporczywego kaszlu.

Merin ap Owen, który widział w słabszej płci głównie źródło cielesnych rozkoszy, musiał przyznać, że tym razem ma do czynienia z naprawdę dobrą kobietą. Odczuwał nawet coś na kształt wyrzutów sumienia, że porwał Eleanore, ale owo poczucie winy nie było aż tak dokuczliwe, aby ją zwrócić bez odpowiedniego okupu. Teraz, kiedy zobaczył tę część damskiej bielizny, suszącą się przed kominkiem, zdał sobie sprawę z kłopotliwego położenia branki. Był szczerze poruszony, że Eleanore, zamiast narzekać, stara się radzić sobie ze swymi problemami. W tym wypadku mógł jej nieco dopomóc.

Kiedy rano Elf obudziła się i sprawdziła, że Merin opuścił już swoje komnaty, wśliznęła się do bawialni po koszulę. Była czysta i sucha, a na krześle leżało kilka łokci cienkiego płótna. Poczowała się zaskoczona, a zarazem wzruszona gestem Merina. Ubrała się i zeszła do izby, gdzie zastała go przy śniadaniu. Isleen nie było na dole, bo rzadko wstawiała wcześniej.

Elf zajęła swe zwykłe miejsce przy stole.

- Dziękuję - powiedziała cicho.

- Pani, nie przypuszczałem, że twój pobyt tutaj się przeciągnie - odparł. - Gdybym to przewidział, wziąłbym więcej twoich ubrań. Nie krępuj się, pani, mów szczerze, jeśli ci czegoś potrzeba. Nie zamierzam narażać cię na niewygody.

- Nie należę do kobiet, które lubią się uskarżać, będą zadowolona, jeśli uszyję sobie zapasową koszulę.

Nie rozmawiali więcej na ten temat, aż do chwili, kiedy kilka dni później Elf z uśmiechem wręczyła mu starannie poskładany kawałek płótna.

- Co to? - zapytał ją.

- Panie, dałeś mi za dużo materiału - wyjaśniła mu. - Więc tobie także uszyłam koszulę. Może ci się przyda. Co prawda nie znam rozmiaru, ale myślę, że mniej więcej powinna pasować. Przymierz ją później, to poprawię ją, jeśli trzeba.

- Pani... - Merin ap Owen zaniemówił z wrażenia.

Nie pamiętał, by kiedykolwiek ktoś bezinteresownie zrobił coś dla niego. Eleanore była jego branką. Wykradł ją z jej domu, oderwał od rodziny, żeby przetrzymać ją do czasu, aż jej mąż doprowadzi się do bankructwa, aby zapłacić okup. Tymczasem ona myślała o jego wygodach, jakby byli starymi przyjaciółmi.

- Myślę, że pójde dzisiaj z Gwylllem na wzgórze, naturalnie, za twoją zgodą, panie. Wkrótce zrobi się za chłodno na zrywanie roślin. Udało mi się zebrać spory zapas ziół, potrzebnych do sporządzania lekarstw. - Uwagi Elf nie uszło zaskoczenie Merina, więc zmieniła temat, aby mu pomóc ukryć zmieszanie.

- Oczywiście, pani. Idź z Gwylllem. - Spojrzał na nią ukradkiem. Boże! Jaka ona śliczna! Ogarnęło go przygnębienie, bo zrozumiał, że stało się to, czego w życiu by się nie spodziewał. Serce, którego brakiem tak się dotąd chełpił, nagle dało o sobie znać. Był zakochany w Eleanore de Montfort! Jak do tego doszło? Prawdopodobnie powinien był posłuchać Isleen, kiedy przywiózł brankę do Gwynfr. Gdyby wtrącił ją do lochu, nie znalazłby się pod wpływem jej osobistego czaru, urody, mądrości i nieskończonej dobroci. Ale teraz jest już za późno. Zakochał się w dziedziczce z Ashlinu i jeśli planował zwrócić ją mężowi, lepiej, by Isleen nigdy nie odkryła jego sekretu.

O Boże, pomóż mi - modlił się w duchu po raz pierwszy od niepamiętnych czasów. Zastanawiał się, czy Bóg będzie skłonny wysłuchać modlitwy kogoś takiego, jak on. Żywił jednak nadzieję, że przez wzgląd na Eleanore de Montfort dobry Bóg nie pozostanie głuchy.

Zła pogoda na wybrzeżu nie zmieniała się od wielu dni. Wiał północny, zimny wiatr, siekł deszcz, a spienione fale rozbiły się z hukiem o nabrzeże Barfleur. Zniecierpliwiony król siedział markotny w swych wygodnych apartamentach, gotowy w każdej chwili wyruszyć w drogę. Nie można zbyt długo zwlekać z koronacją. Od ponad miesiąca Anglia była bez króla. Henryk Plantagenet mógł się jedynie modlić, by utrzymał się tam pokój i nie doszło do wojny domowej. Sukcesja jest ustalona i nie do podważenia - przekonywał się w duchu - ale Anglicy to niepokorna nacja.

Ranulf de Glandeville także wrzał ze zniecierpliwienia. Jedyne, czego pragnął, to doprowadzić swą misję do końca, przewieźć małego królewicza do Anglii i wrócić do Ashlinu. Nie widział żony i dziecka od prawie pięciu miesięcy. Słodką twarz Eleanore śniła mu się po nocach, pragnął wreszcie powiedzieć jej, że ją kocha. Już niedługo. Jeszcze trochę. O mało nie zawył ze złości, kiedy mu oświadczono, że nie ma potrzeby, by eskortował księcia do Anglii. Misja, na którą ściągnięto go do Normandii, okazała się jedną wielką bzdurą.

Królowa Alienor, teraz już w bardzo zaawansowanej ciąży z drugim dzieckiem, nie zgodziła się rozstać z synkiem. Dwór wyruszył w drogę do Barfleur natychmiast po powrocie króla z wyprawy na Vexin. Księżna Matilda została w Rouen, by rządzić Normandią pod nieobecność syna. Poparła swoją synową. I mały książę miał oficjalnie wjechać do Anglii razem z rodzicami i całym królewskim orszakiem.

- Zostałem pokonany przez moje kobiety - powiedział na usprawiedliwienie król z kwaśnym uśmiechem. - Ale moja matka twierdzi i ma rację, że nie należy denerwować Alienor w jej stanie. Tak więc musiałem ustąpić, a moja prowansalska róża wjedzie do Anglii z synem u boku. - Bezradnie wzruszył ramionami.

- W takim razie mogę wracać do Ashlinu - powiedział Ranulf.

- Nie, mój drogi de Glandeville. Chcę, żebyś uczestniczył w koronacji - odparł król. - Zostaniesz na dworze i przepa-

wisz się z nami do Anglii. Jesteśmy ci wdzięczni i pragniemy nagrodzić cię za twą lojalność.

Ranulf pokłonił się.

- Dzięki ci, panie, ale nie oczekuję nagrody za wierną służbę.

- Niemniej damy ci ją - odrzekł dobrodusznie król.

Ranulf wiedział, że audiencja dobiegła końca. Ukłonił się jeszcze raz i wycofał w gromadę kłębiących się wokół dworaków. Chciał wracać do domu! Nie miał ochoty jechać w wielkim orszaku Henryka Plantageneta z Normandii do Anglii i przyglądać się koronacji w Westminsterze. Chciał do domu! Znalazł się tu z powodu kaprysu Henryka. Jego misja skończyła się fiaskiem przez kaprys kobiety. W nagrodę będzie mógł popatrzeć, jak tych dwoje potężnych feudałów koronują na króla i królową Anglii. Pragnął mieć zamek, ale nie dokonał niczego, czym zasłużyłby sobie na taką nagrodę. A Simon nie zostanie wezwany na dwór, by towarzyszyć królewiczowi w zabawach. Ranulf de Glandeville musiał przyjąć do wiadomości, że nie stał się nikim ważnym, a przez te kilka krótkich miesięcy karmił się złudzeniami.

Rankiem siódmego grudnia niebo nieco się przejaśniło. Król rozkazał natychmiast wyruszać w drogę, pomimo że kapitan portu ostrzegł go, iż poprawa pogody jest pozorna i sztorm zerwie się znowu, gdy będą mniej więcej w połowie kanału.

- Wypływamy! - orzekł król i osobiście przyglądał się, jak jego rycerze, prowadząc konie, wsiadają na statek. Oprócz Alienor i jej panien służących nie było kobiet w orszaku, lecz Alienor nie traciła ducha, bo zdążyła się zahartować w podróżach, kiedy jeszcze jako królowa Francji brała udział w pierwszej krucjacie do Jerozolimy. Teraz dodawała odwagi swoim damom dworu, wchodząc na statek z małym księciem za rękę.

Kiedy wypłynęli z portu w Barfleur, niebo było ołowiane i wiał porywisty wiatr. Morze wzburzyło się, a mgła, która zasnuła flotyllę, rozdzieliła statki od siebie. Ranulf, Garrick Taliferro i ich giermkowie wraz z królewskim kapelanem wsiedli na jednomasztowy żaglowiec. Mężczyźni przywiązali konie i muła w miejscu, gdzie nie dosięgały ich wysokie bryzgi

wody. Potem usiedli razem, gdy tymczasem kapitan i jego dwaj marynarze wzięli kurs na Anglię. Zapadła noc - nieco otuchy wlewał w ich serca dźwięk trąbek z pozostałych żaglowców, dających znać o ich położeniu. Mężczyźni łamali się chlebem, dzielili kiełbasą i serem oraz popijali wino z bukłaka. Potem, gdy statek zaczął gwałtowniej huścić się na falach, ksiądz zatopił się w modlitwie za szczęśliwy koniec podróży. Co chwila dziób żaglowca unosił się wysoko w górę i Ranulf słyszał świst wiatru w przestrzeni pod burzą, zanim ster żaglowca z powrotem wbił się w wodę. Wystraszeni giermkowie spali płytkim, nerwowym snem.

Postaci mężczyzn kryła ciemność, więc Garrick nie widział wyrazu twarzy Ranulfa, kiedy go zapytał:

- Jaki był prawdziwy cel twego przyjazdu do Normandii, przyjacielu?

Ranulf uznał, że nie ma obowiązku dłużej dochowywać tajemnicy, więc opowiedział wszystko swemu towarzyszowi, uczciwie przyznając, że dwukrotna zmiana królewskich planów wyprowadziła go z równowagi.

- Mój przyjazd do Normandii nie miał sensu, ale jak mogłem odmówić królowi? - zakończył.

- Nie mogłeś - zgodził się z nim Garrick. - Tacy ludzie jak Henryk Plantagenet bardzo się różnią od nas, zwykłych śmiertelników. Królowi nawet przez myśl nie przeszło, że komplikuje ci życie. Oczywiście nie miał złych intencji. Wiesz, Ranulfie, że ci zazdroszczę? Zazdroszczę ci twego dworu, żony i dziecka. Wrócisz do siebie i nie będziesz zależny od królewskich kaprysów.

- Ale nie będę miał swego zamku.

- Zamku? - powtórzył Garrick, nie bardzo rozumiejąc.

- Miałem nadzieję, że w zamian za mą przysługę król da mi pozwolenie na budowę skromnej warowni w Ashlinie. Jesteśmy tak blisko Walińczyków, niewielki zamek pozwoliłby lepiej chronić granicy królestwa.

- Prędzej czy później Henryk ułoży się z walijskimi książętami - powiedział Garrick. - Możesz być tego pewien.

- Ale zamek dałby gwarancje takim układom. Wiem, że nie jestem żadnym wielkim panem, lecz liczyłem, że oddając przysługę królowi, poprawię swoją sytuację. W rezultacie moje nadzieje spełzły na niczym - westchnął Ranulf i po chwili

dodał: - O ile dobrze pamiętam, mówiłeś, że po koronacji wrócisz do domu i rozejrzysz się za żoną. Cóż cię powstrzymuje, Garricku? Masz ziemię. Weź sobie żonę z zamożnej kupieckiej rodziny. To żaden wstyd.

- Chyba tak zrobię - powiedział Garrick Taliferro. - Zaczyna mnie męczyć życie w kawalerskim stanie. Moja matka nie jest już pierwszej młodości. Ucieszyłaby się z synowej i wnuków.

Wreszcie rankiem mgła się podniosła i zobaczyli, że dobiegają do portu w Southampton. Wkrótce po zejściu na ląd dowiedzieli się, że widziano, jak królewski żaglowiec zbliża się do plaży w okolicy New Forest, oddalonego od Southampton zaledwie o kilka mil. Obaj rycerze wsiedli na konie i ruszyli na poszukiwanie swego pana, a ich giermkowie podążyli za nimi. Bardzo szybko rozniosła się wieść, że król wraz z małżonką i synkiem pomimo sztormowej pogody przypłynął do Anglii. Anglików ogarnęła radość.

Wysokie fale i szalejący wiatr rozsypały flotyllę po morzu, lecz żaden z żaglowców nie zatonął. Statki wysadzały swych pasażerów i ich wierzchowce na dość długim pasie wybrzeża. Wszyscy kierowali się do Winchesteru, gdzie król miał się najpierw udać, aby objąć królewski skarbiec. Najzagorzalsi zwolennicy zmarłego króla Stephena z obawą patrzyli w przyszłość, lecz żadnemu z nich nie starczyło odwagi, by nawoływać do rebelii przeciwko przyszłemu królowi Anglii Henrykowi Plantagenetowi, który był wnukiem Henryka I.

Thibault, arcybiskup Canterbury, wraz ze świętą złożoną z najznamienitszych biskupów oczekiwali na króla w Londynie. Koronacji miano dokonać w Westminsterze, mimo że potężna katedra z powodu wieloletnich zaniedbań była w nie najlepszym stanie. Jednak zgodnie z tradycją właśnie tam koronowano angielskich królów. Na głowy Henryka Plantagena i Alienor Akwitańskiej nałożono korony w ostatnią niedzielę przed Bożym Narodzeniem 1154 roku. On miał lat dwadzieścia jeden, ona trzydzieści.

Po ceremonii król i królowa, ubrani w uroczyste szaty, przejechali ulicami Londynu, by pokazać się swemu ludowi. Białą aksamitną tunikę króla zdobiły haftowane złotem lwy i lilie. Henryk był młody, przystojny i tryskał zdrowiem. Fakt, że nie wahał się przypłynąć do Anglii pomimo sztormowej

pogody, w porze roku niesprzyjającej podróżom, budził w poddanych wiarę, że oto mają przed sobą władcę pełnego wigoru i entuzjazmu. Piękna królowa również ubrana była w białe aksamity, a złoty pas wysadzany szlachetnymi kamieniami połyskiwał w słońcu grudniowego, zimnego dnia. Jej blond włosy krył czepek ze złotogłowi, wyszywany perłami, na który nałożono inkrustowaną klejnotami koronę. Alienor wcale nie wyglądała na starszą od swego męża.

- *Vivat rex!* - skandowali Normanowie.

- *Waes hael!* - wiwatowali Anglicy saksońskiego pochodzenia.

Król i królowa łaskawie przyjmowali entuzjastyczne okrzyki swych nowych poddanych, jadąc przez miasto w drodze do swej rezydencji w Bermondsey. Pałac w Westminsterze, wzniesiony na podwalinach saksońskiej budowli przez wujecznego dziadka króla, Williama Rufusa, doprowadzony później do świetności przez jego dziada, Henryka I, podobnie jak katedra, uległ zniszczeniu z powodu zaniedbań podczas wojny domowej pomiędzy Stephenem i Matildą. Przez całą noc w stolicy i okolicach palono ogniska i ucztowano na cześć nowego monarchy.

Rankiem następnego dnia Ranulf i jego przyjaciel Garrick Taliferro odłączyli się od dworu. Jechali razem jakiś czas, do chwili, kiedy Garrick odbił na zachód na drogę wiodącą do Glousteru, a Ranulf skierował się na północny zachód w stronę Ashlinu. Przy odrobinie szczęścia dotrze do majątku na Boże Narodzenie. Jedzie do domu! Do swej Eleanore! Do ich synka!

- Panie! Panie! - zawołał Pax wkrótce po tym, jak pożegnali się z Garrickiem. - Musimy się zatrzymać i dać odpocząć koniom. Robią już bokami. Mnie też śpieszno do domu, ale jeśli zajeździmy nasze wierzchowce, podróż się mocno wydłuży.

Ranulf, rozbawiony swą wręcz młodzieńczą niecierpliwością, posłuchał rady giermka. Strudzone konie przeszły w stępa, a kiedy kawałek drogi dalej jeźdźcy natrafili na małą gospodę, zatrzymali się w niej na nocleg. Żona właściciela nakarmiła ich chlebem i duszonym mięsem. Jednak spać położyli się na sianie przy swych zwierzętach, bo okolica była biedna i oddalona od ruchliwych szlaków, więc mogłoby się zdarzyć,

że rano nie znaleźliby ani wierzchowców, ani zbroi Ranulfa. Następnego dnia pan na Ashlinie jechał już znacznie poważniej. Na dworze było zimno, ale przynajmniej sucho. Kolejne noce udało im się spędzić w klasztornych hospicjach, gwarantujących im i ich zwierzętom poczucie bezpieczeństwa.

Wreszcie po południu dwudziestego czwartego grudnia okolica wydała im się znajoma, więc bezwiednie popędzili konie. Kiedy pokonali wzgórze, ich oczom ukazała się dolina Ashlinu i dwór na wzniesieniu, z wioską leżącą u stóp. Nawet w ich wierzchowce, wietrzące teraz bliskość stajni, wstąpił nowy duch. Ranulf dostrzegł owce na łące i bydło na pastwisku. Ogarnęło go uczucie ulgi. Walijczycy, niezwykle butni tego lata, jednak zostawili Ashlin w spokoju. Ranulf stwierdził z zadowoleniem, że choć most był opuszczony, połowa bramy stała zawarta. Przestrzegano jego poleceń.

Pola o tej porze dnia były opustoszałe. Jedyne dwóch pastuchów spędzało na noc krowy do obory i kilku owczarzy krzątało się wśród owiec. Ranulf pozdrowił ich z daleka uniesieniem dłoni. Teraz widział strażników patrolujących mury, a po chwili usłyszał głos trąbki, obwieszczającej wartownikom przy bramie, że zbliżają się jeźdźcy. Korciło go, by puścić konia galopem i pędem pokonać bramę, lecz opanował się i z godnością przejechał truchtem po zwodzonym moście.

- Witaj w domu, panie! - pozdrowił go strażnik przy bramie, bez śladu uśmiechu na twarzy.

Ranulf i Pax jechali do dworu ścieżką między chatami. Wieś okrył zmrok, Ranulf ledwo widział strużki dymu nad dymnikami chat i migotliwe światełka w ich małych oknach. Kiedy podjechali pod dwór, drzwi rozwarły się niespodziewanie i smuga światła zalała ziemię. Ranulf zsiadł z konia i podał wodze Paxowi.

- Zaprowadź konie do stajni! - polecił i energicznym krokiem wszedł do środka.

- Panie, witamy w domu! - Cedric wysunął się do przodu, dając znak służącemu, aby wziął od pana pelerynę.

Ranulf rozejrzał się po izbie. Rozpoznawał twarze służących, dostrzegł również ojca Oswina, a przy kominku kołyskę, gdzie niewątpliwie leżał jego syn. Podszedł bliżej i oniemiał na widok dziecka, które patrzyło na niego z wyraźnym zainteresowaniem. Niemożliwe, żeby to był jego syn!

- Gdzie jest Simon? - zapytał Ranulf.

Alyce zachichotała, po czym wyjęła dziecko z kołyski.

- To jest twój syn, panie.

- Ale...

- Panie, nie było cię w domu pięć miesięcy. Niemowlęta szybko rosną - wyjaśniła, podając mu chłopca.

Dwie pary takich samych oczu miały identyczny wyraz, gdy ojciec i syn przyglądali się sobie nawzajem. Ranulf był zdumiony, jak bardzo chłopczyk go przypomina.

- Na Chrystusa! - zawołał. - Uderzające podobieństwo!

- Tak, panie - zgodziła się Alyce, biorąc malca z jego ramion.

- Witaj w domu, panie - odezwał się ojciec Oswin, podchodząc do Ranulfa. - Cieszę się, że pan tego domu będzie obecny na pastercie.

Ranulf skinął głową i rozejrzał się po izbie.

- A gdzie moja żona?

- Panie, usiądźmy - poprosił ksiądz.

Ranulf nie ruszył się z miejsca.

- Gdzie jest Eleanore, ojczy?

- Panie, Walińczycy uprowadzili ją jesienią - powiedział ksiądz bezbarwnym głosem i czym prędzej dodał: - Ale żyje.

Cedric wcisnął w dłoń swego pana puchar z winem.

Ranulf wypił go do dna.

- Skąd wiecie? Jak mogliście do tego dopuścić? Gdzie był Fulk i wy wszyscy, kiedy porwano panią?

- Usiądź, panie - poprosił ksiądz, prowadząc swego pana w stronę kominka. - Opowiem wszystko, jak było, tylko proszę, usiądź.

Ranulf opadł ciężko na krzesło z rzeźbionymi oparciami.

- Niedługo po twoim wyjeździe w Ashlinie zjawiała się chuda jak patyk, mocno pobita dziewczyna. Błagała, by udzielić jej schronienia, no i pani się zgodziła. Wyleczyliśmy ją z ran i odkarmiliśmy, a pani włączyła ją do swej czeladzi. Kilka tygodni później świniopas z St. Friedeswide przywiózł wiadomość, że Walińczycy oblegają klasztor, a przeorysza prosi o pomoc. Panie, nic nie można było poradzić, pani kazała Fulkowi zebrać ludzi, jechać do St. Friedeswide i odeprzeć Walińczyków.

- Czy rzeczywiście atak na zakon miał miejsce? - zapytał Ranulf.

- I tak, i nie - odparł ksiądz i przeszedł do wyjaśniania szczegółów. - Kiedy się zorientowaliśmy, że pani zniknęła, wpadliśmy w panikę - zakończył ksiądz.

Fulk, który bezzwłocznie stawiał się w izbie, podjął jego opowieść.

- Jeszcze tego samego dnia nocą wyruszyliśmy w drogę powrotną do Ashlinu, bo domyśliłem się, że celowo zostaliśmy wywabieni, a fałszywego świniopasa nasłali sami Walijczycy. Panie, przez następne trzy dni lało bez przerwy, więc nie mogliśmy ruszyć w pościg z braku jakichkolwiek śladów. Wreszcie, kiedy się nieco przejaśniło, wysłałem Sima, żeby się dowiedział, gdzie ten bandyta Merin ap Owen ma swoją siedzibę, bo byłem pewien, że nie kto inny, tylko on uprowadził panią. Sima nie było prawie trzy tygodnie, a kiedy wrócił, potwierdził moje podejrzenia. Widział panią, jak dobrze strzeżona spacerowała po wzgórzach w pobliżu zamku tego obwiesia. Ponieważ próba odbicia pani wiązała się dla Sima ze zbyt dużym ryzykiem, wrócił i wszystko nam opowiedział.

Ranulf pokiwał głową, krwawa mgła ustępowała mu sprzed oczu, lecz pierś rozpierało uczucie potężnego gniewu.

- Niedługo potem przybył Walijczyk z żądaniem okupu - mówił dalej Fulk. - Merin ap Owen wiedział, że nie ma cię w domu, panie. Powiedział, że pani nic się nie stanie i będzie przebywać u niego aż do twego powrotu. Masz sprzedać wszystkie owce i bydło, żeby ją wykupić. Na znak, że masz już pieniądze, ustawisz na obwodzie murów płonące pochodnie. Zawsze któryś z jego ludzi obserwuje dwór. Gdy Merin ap Owen dowie się o sygnale, zjawi się parę dni później, by dokonać wymiany. Panie, musieliśmy pozwolić posłańcowi wrócić do Walii, by przekazał, że zrozumieliśmy warunki.

- Dobrze to wszystko obmyślane - wycedził Ranulf. - Nie sądziłem, że ten szubrawiec jest taki sprytny.

- W jego żyłach płynie szlachetna krew, ale ludzie powiadają, że jest bardzo nikczemny - powiedział Fulk. - Tak mi przykro, panie. Czuję się winny! Nie powinienem był jechać do St. Friedeswide!

- Nie, Fulk. - Ranulf pokręcił głową. - Tak jak należało, spełniłeś rozkaz pani. Gdyby ta dziewczyna, Arwydd, nie

zdradziła mojej żony, nie doszłoby do porwania. Nawet gdybyś był wtedy w domu, nie mógłbyś zapobiec temu, co się stało. Przyjacielu, sam wiesz, jak bardzo lubisz dobrze zjeść i wypić. Przy twoim apetycie do dzisiaj mógłbyś spać. Szczęście od Boga, że nie zostałeś odurzony i mogłeś trzeźwo myśleć, jak dalej postąpić.

Ranulf dla pocieszenia poklepał Fulka po ramieniu.

- Panie, co teraz zrobimy? - zapytał go Fulk.

- Najpierw pójdziemy na pasterkę - odparł Ranulf. - A potem porozmawiam z Simem i zorientuję się, czy mamy szanse odbić moją żonę. Prawdopodobnie lepszym rozwiązaniem będzie zapłata okupu. Ciekawe, że każą mi sprzedać owce i bydło. Dobrze to sobie zaplanowali. Walińczycy mogli sami ukraść moje stado. Ale zdecydowali się porwać mi żonę, bo wiedzieli, że dostaną za zwierzęta znacznie więcej niż oni. Taak, to było przemyślane działanie ze strony Merina ap Owena. Wpadł na dobry pomysł i zrećcznie wprowadził go w czyn.

- Panie, jeśli sprzedasz inwentarz - odezwał się ojciec Oswin - jak dwór przetrwa nadchodzący rok?

- Walińczycy mogli gdzieś w okolicy ukryć zwiadowcę - zaczął Ranulf. - Jest na tyle blisko, żeby dostrzec znaki na murach, lecz zbyt daleko, byśmy mogli go wykryć i pojmać. Jutro przypada święto, więc dopiero pojutrze spędzimy owce z odleglejszych łąk na te w pobliżu dworu i przy okazji oddzielimy ciężarne sztuki. Ukryjemy je w zagrodzie. Dzięki temu odnowimy stado. Walińczycy się o tym nie dowiedzą, bo przestaną się nami interesować, kiedy dostaną okup. Powinno nam wystarczyć siana z tegorocznych zbiorów do wiosny.

- Mamy kilka cielnych krów - zauważył rządcą Joseph, który też znalazł się w izbie.

- Ich także nie sprzedamy - zdecydował Ranulf. - Dziś świeci sierp księżycy. Każcie pastuchom spędzić krowy z pastwiska i zamknąć je w oborze. Muszę odzyskać żonę, ale nie pozwolę, by ten bandyta Merin ap Owen zamienił nas w żebraków.

- Zabijesz go, panie? - zapytał Fulk.

- Najpierw Eleanore musi wrócić do domu - powiedział cicho Ranulf. - A kiedy to się stanie, uczynię wielką przysługę królowi, najeżdżając na gniazdo tego szubrawca i jego bandy.

- Amen! - wykrzyknął ojciec Oswin.

- Pójdź do stołu, panie - odezwała się Ida. - Posiłek czeka, a ty masz za sobą długą podróż. Wiem, że moja pani życzyłaby sobie, abyśmy dobrze o ciebie dbali.

Słowa starej kobiety sprawiły mu przyjemność, lecz jednocześnie dręczyło go pytanie, czy w tę szczególną noc jego żonie w niewoli dogadzają tak jak jemu. Siadając przy stole, pomyślał, że pusto jest bez niej we dworze. Eleanore! Serce ścisnęło mu się z żalu. *Petite*, kocham cię z całej duszy!

Na zewnątrz zerwał się porywisty wiatr.

Elf, która tkła na swym miejscu przy kominku, nagle drgnęła. Była gotowa przysiąc, że usłyszała głos Ranulfa. A to wiatr zawodził w szparach okiennic. Przebiegł jej po plecach dreszcz. Była noc Bożego Narodzenia, ale w zamku Gwynfr ten wieczór nie różnił się od innych; nie było księdza, który celebrowałby mszę o północy. Dowiedziała się od Gwylla, że księża uważali Gwynfr za miejsce przeklęte, a mieszkańców, z właścicielem na czele, za pomiot szatana. W noc zimowego przesilenia urządzono wielką libację. Isleen sprowadziła na zamek swoje ladacznice, żeby zabawiły mężczyzn.

- Musisz zostać w mojej komnacie - zwrócił się do Elf Merin ap Owen. - Nie wychodź, żeby ktoś cię nie skrzywdził.

Potem zamknął Elf na klucz i na wszelki wypadek przecisnął go do komnaty przez szczelinę pod drzwiami. W ten sposób, wyjaśnił jej, nikt mu go nie wykradnie, kiedy będzie pijany. Oboje wiedzieli, że ma na myśli Isleen.

- Zdążę wytrzeźwieć, zanim tu wrócę, i wtedy poproszę cię o klucz - powiedział.

I zaraz poszedł.

Z izby na dole dochodziły piski i pijackie okrzyki. Na stole w komnacie stała przygotowana taca z jedzeniem. Elf zjadła kolację i zabrała się do szycia. Parę razy wydawało jej się, że słyszy kroki na korytarzu za drzwiami, raz zazgrzytała naciśnięta klamka. Elf szła dalej, trzymając przy sobie pogrzebacz. Nie sądziła, by ktokolwiek dał radę wedrzeć się do komnaty, ale na wszelki wypadek była gotowa się bronić. W końcu hałasy na dole przycichły, więc ubrana położyła się spać w swoim alkierzu, z pogrzebaczem przy łóżku.

W izbie Isleen wdzięczyła się do swego kochanka.

- Panie mój, dajmy ją mężczyznom, niech się z nią zabawią. Chcę widzieć, jak będą ją poniewierać.

- Prędszej ciebie oddam moim ludziom - powiedział. Zdawał sobie sprawę, że jest pijany, ale nie stracił zdolności rozumowania. Isleen może sobie pragnąć zemsty, lecz on chce dostać swój okup. Poza tym, jeśli on nie mógł mieć Eleanore, nie dopuści, by wziął ją inny mężczyzna. Na samą myśl, że ktośkolwiek mógłby ją oszpecić czy złamać jej ducha, zawrzał z gniewu. Uniósł się znad stołu, pociągając za sobą Isleen. Zdarł z niej suknię i naga rzucił na stół, tak by wszyscy mogli ją widzieć.

- Hej, drухowie, oto moja dziwka! Dziś daję wam ją do zabawy. To jedyna okazja, bo jestem zazdrosnym człowiekiem! Kto pierwszy weźmie ją tu, na tym stole? Czeka was prawdziwa uczta!

- Ty zwyrodnialcu! - syknęła Isleen, kiedy kompani Merina obiegli stół, wpatrując się w nią lubieżnie. Ktoś przewrócił ją na plecy, czyjeś ręce sięgnęły do jej pełnych piersi. Mężczyźni rozciągnęli ją na stole i po kolei ochoczo się z nią zabawiali. Ich wysiłki nie robiły na Isleen najmniejszego wrażenia. Nikt nie rozpalał jej tak, jak Merin ap Owen. Udawała podnieconą, ażeby sprawić im przyjemność i utrzymać sławę ognistej kobiety. Odwróciła głowę i zobaczyła Merina z rudowłosą dziewczyną na kolanach. Podobnie jak ona, była naga i z odrzuconą do tyłu głową ujeżdżała z zapałem jej pana, wydając z siebie jęki rozkoszy. Dzwka - pomyślała. Już ona dopilnuje, by jutro przeszła przez ręce wszystkich wieśniaków w Gwynfr. Nie będzie jej tak miło, jak z Merinem ap Owenem.

Noc dobiegała końca, biesiadnicy, syci jadła, napitków i rozkoszy, legli pokotem w izbie. Merin ap Owen wstał i rozejrzył się wokół siebie w poszukiwaniu Isleen. Spała pod stołem, przygnieciona ciałami dwóch uspiomych mężczyzn. Merin pochylił się i wyciągnął ją spod stołu.

- Chodź, moja piękna ładacznicu! - ryknął. - To jeszcze nie koniec. Mam na ciebie ochotę.

- Ty bydlaku! - uśmiechnęła się Isleen, z miejsca przytomniejąc. - To przez ciebie jestem cała obolała. Jeszcze pali cię żądza? Co się stało? Rudowłosa dziwka cię nie zadowoliła? Czyżby dlatego, że wolałbyś swoją małą brankę? - Wybuch-

nęła śmiechem na widok jego zaskoczony miny. - Myślisz, że nie zauważyłam, jak wodzisz za nią tęsknym spojrzeniem, kiedy sądzisz, że nikt cię nie obserwuje? Zachowujesz się jak chłopak od krów w zalotach do swej pierwszej pastereczki! - wyśmiewała się z niego, czując ukłucie zazdrości w sercu.

Udało jej się zbić go z tropu na jedną małą chwilę, lecz zaraz odzyskał rezon. Pacnął ją lekko, ciągnąc na górę po schodach.

- Traktuję lady Eleanore inaczej niż ciebie, moja piękna ladcznico, bo jest prawdziwą damą i ma złote serce. Ty natomiast jesteś zepsutą do szpiku kości dziwką o duszy czarnej jak noc. Obawiam się, że stanowimy dobraną parę.

Rankiem w dzień Bożego Narodzenia za oknami zamku Gwynfr wirowały płatki śniegu. Elf, jak co dzień, zasiadła do krosien. Wcześniej odmówiła modlitwy i cicho odśpiewała kolędę, którą pamiętała jeszcze z czasów St. Friedeswide. Smuciło ją, że tu, w Gwynfr, nie świętuje się Bożego Narodzenia. Jej gobelin zaczynał przybierać konkretny kształt. Ponieważ miejsce, w którym się znajdowała, nie sprzyjało tematom religijnym, zainspirowana widokiem wzgórz otaczających zamek, zdecydowała się na pejzaż z lesistymi górami, błękitnym niebem i łąką pełną kwiatów. Zamierzała dołożyć jeszcze parę jelonków.

Elf drżała z zimna. Peleryna narzucona na spódnicę i tunikę nie chroniła jej przed chłodem. Mimo że trzymała się blisko kominka, ziąb przenikał przez mury, bo w szczelinach między kamieniami w wielu miejscach brakowało zaprawy. Myślami była w swej własnej, cieplej izbie w Ashlinie. Jak się czuł jej mały Simon? Czy Ranulf powrócił już z Normandii? Kiedy skończy się jej niewola? Były święta, a nikt nie rozpałił w kominku specjalnego polana, tak jak to zawsze czynili w Ashlinie. Nie było pachnących woskowych świec, pieczeni z dzika i Ashliniaków śpiewających kolędy w świeżo odnowionym kościele. To pierwsze Boże Narodzenie jej synka, a jej nie ma przy nim, by się cieszyć, patrząc, jak maluch podziwia to wszystko. Ogarnął ją gniew, ale stłumiła go po chwili, skupiając myśli na Dzieciątku, którego narodziny sprowadziły pokój na ziemię. Wróciła wspomnieniami do domu. Jak bardzo tęskniła za kłótniową Idą, Willą, oddanym Cedrikiem i zasadniczym Fulkiem. Odczuwała brak własnego, wygodnego

łoża i smacznego jada, jakie przygotowywał ich kucharz. Tutaj, w Gwynfr, jedzenie było pozbawione smaku. Prawie w ogóle nie podawano jarzyn, musiała się o nie upominać.

Na zewnątrz żałośnie zawodził wiatr. Znowu dygotała z zimna. Drgnęła nerwowo, gdy na jej szczupłe ramiona opadła ciężka futrzana peleryna. Zdumiona spojrzała w górę i znalazła się twarz w twarz z Merinem ap Owenem. Ich usta niemal się dotykały. Cofnęła się spłoniona, nie mogąc wydobyć głosu. To jego spojrzenie! Rozpoznawała je. Tak samo patrzył na nią Ranulf. Teraz odgadła, co wyrażał jego wzrok. Ranulf ją kocha! Serce z radości podskoczyło jej w piersi i natychmiast spłynęło do żołądka. Merin ap Owen również ją kocha!

- Gwyll zwrócił mi uwagę, że nie masz zbyt wielu ubrań, pani - odezwał się Merin, spoglądając w bok. - Nadeszła zima, być może przyda ci się cieplejsze okrycie - dodał cicho.

Elf głośno przełknęła ślinę.

- Dziękuję ci, panie - odpowiedziała, pochylając się nad gobelinem.

- To z wilków. Ta peleryna. Sam je upolowałem w zeszłym roku - mówił dalej.

Musi spojrzeć na niego, bo inaczej stanie się podejrzliwy - pomyślała Elf.

- Jestem ci wdzięczna, panie - zapewniła go, podnosząc wzrok. - Już mi ciepłej. W nocy będę się nią nakrywać zamiast derki.

- Dlaczego nie powiedziałaś, że marzniesz?

- Nie mam zwyczaju się uskarżać.

- W przyszłości mów, jeżeli czegoś ci potrzeba, lady Eleonore. Wiem, że sytuacja jest nietypowa, ale nie leży w moim interesie, aby spotkała cię niewygodna czy krzywda. Jestem uczciwym człowiekiem i nie chcę oszukać twojego męża. Zwrócę cię, pani, całą i zdrową.

Elf nie potrafiła opanować chichotu.

Odpowiedział jej uśmiechem, bo nigdy dotąd nie słyszał, jak się śmieje.

- Ty jesteś uczciwym człowiekiem? Merinie ap Owenie, jesteś bandytą i złodziejem! - powiedziała, nie przestając chichotać.

Zawtórował jej śmiechem.

- Tak. Ale jestem uczciwym bandytą i złodziejem.

- Ciekawe, czy zakonnice w St. Bride tak o tobie myślały - powiedziała cicho.

Zaczerwienił się na te słowa.

- Trudno opanować żądzę krwi, pani. Nigdy przedtem nie dopuściłem się tak krwawego rabunku. Tamtego dnia podjudziła mnie diablica. Okazałem słabość. Wstydzę się tego, lecz co się stało, już się nie odstanie.

- Mógłbyś się modlić za tych, których skrzywdziłeś - tłumaczyła łagodnie Elf. - Zło można naprawić dobrem. Jeżeli szczerze żałujesz, proś Boga o wybaczenie. On cię wysłucha.

W odpowiedzi uśmiechnął się z rezygnacją.

- Lady Eleanore, nie liczę, bym dostąpił zbawienia. Może gdyby nasze drogi wcześniej się zeszyły, ale teraz już za późno. - Merin uklonił się lekko i wyszedł z izby.

Dłonie Elf opadły na gobelin. Ogarnął ją wielki smutek z powodu Merina ap Owena. Jaki był, zanim w jego życie wkroczyła Isleen? Gwyll twierdzi, że jego pan urodził się niegodziwy, ale czy rzeczywiście był z gruntu zły - zastanawiała się. Pewnie tak, bo Gwyll kochał Merina ap Owena i wiernie mu służył. Ale nie robił tajemnicy z przykrew prawdy. Jak ten świat jest zbudowany - dziwiła się Elf. Nigdy by się tego nie dowiedziała, gdyby pozostała w zakonie. Tam nie byłoby ani Ranulfa, ani Simona. Musi przyjąć do wiadomości, że na świecie istnieje dobro i zło. Dobro - pomyślała z nadzieją - przeważa.

Wzmagający się wiatr uderzał o okiennice.

Śnieg. Fatalnie - pomyślał Ranulf z irytacją. Chciał wysłać Sima do Gwynfr z wiadomością dla Merina ap Owena, że powrócił i że spełni jego warunki, jak tylko znajdzie kupca na bydło i owce. Handlarze będą się dziwić, że chce wyprzedać inwentarz. Niektórzy mogą uznać to za dobrą okazję do zaniżenia ceny. Stał przed poważnym problemem, ale go rozwiąże. Pragnął, aby żona szczęśliwie wróciła do domu.

Śnieżycą w końcu ucichła i śnieg zaledwie prószył, więc Sim udał się do Gwynfr. Dotarł tam pierwszego stycznia. Wspinał się po pochyłości wzgórza, z pogardą odnotowując rozpaczliwy stan budowli.

- Czego chcesz? - warknął wartownik zza kratownicy.

- Widzieć się z Merinem ap Owenem - odparł Sim.

- On nie przyjmuje obcych.

- Przyjechałem z posłaniem od Ranulfa de Glandeville'a, właściciela Ashlinu. Twój pan na pewno mnie przyjmie - uciał Sim.

- Poczekaj. - Strażnik zniknął na dłuższy czas, a kiedy wrócił, bez słowa podniósł kratę do połowy, tak że Sim, pochylając głowę, wjechał na dziedziniec.

- Tędy - rzucił wartownik, wskazując na jedną z ocalałych baszt.

Sim, nie kwapiąc się do podziękowań swemu przewodnikowi, zsiadł z konia i ruszył we wskazanym kierunku. Przy wejściu czekał na niego podejrzenie wyglądający typ, który machnięciem ręki nakazał mu iść za sobą i zaprowadził go do wielkiej izby. Tam, za stołem, siedział sam Merin ap Owen, a po jego prawej ręce lady Eleanore. Twarz miała bladą, lecz nic złego jej się nie stało. Natomiast po lewej ręce Merina Sim ujrzał... Isleen de Warenne! Słodki Jezu! Oto źródło wszelkich kłopotów - pomyślał.

- Panie! - ukłonił się Sim. - Przysyła mnie mój pan, abym cię powiadomił, że wrócił do Ashlinu i że spełni twoje żądanie. Ranulf de Glandeville chce się upewnić, czy jego żona jest bezpieczna i czy zostanie zwrócona.

- Możesz przyjrzeć się swojej pani - odpowiedział Merin ap Owen. - Jestem człowiekiem honoru, nawet jeśli postępuję w sposób nieco odbiegający od ogólnie przyjętych norm. Kiedy mogę się spodziewać okupu za lady Eleanore?

- Mój pan musi bardzo ostrożnie podejść do sprzedaży inwentarza - zaczął Sim. - Jeżeli pokaże, jak bardzo mu na tym zależy, wystawiając całe bydło i wszystkie owce na sprzedaż w tym samym miejscu, zrodzą się pytania. Pan pragnie uzyskać jak najlepszą cenę, bo wielkim szacunkiem darzy swoją żonę.

- Skąd ta gra na zwłokę, dlaczego nas zwodzicie? - niespodziewanie wtrąciła się Isleen. - Do tej pory twoja pani była bardzo dobrze traktowana, ale może znaleźć się w lochu, jeżeli twój pan zechce nas oszukać!

- Zamilcz! - zagrzemiał Merin ap Owen. - Nie jesteś tu panią! - Skierował wzrok na Sima. - Ta gra na zwłokę wydaje mi się dziwna. Co jeszcze się za tym kryje, oprócz powodów,

które podałeś? Czyż pan Ashlinu nie chce dostać żony z powrotem?

- Jeżeli mój pan się zdradzi, że jest w potrzebie i że rozpaczliwie zależy mu na sprzedaży zwierząt, kupcy to wykorzystają. Nie dostanie więcej za krowy i owce, niż ty, panie, byś za nie dostał, gdybyś je ukradł - wyjaśnił rzeczowo Sim. - Panie, uprowadziłaś lady Eleanore, bo w ten sposób spodziewałaś się więcej zyskać, czyż nie?

- Jak na mój gust, ten sługus jest za sprytny - odezwała się Isleen. - Zabij go!

- Jeżeli mnie zabijecie, kto przekaże wasze słowa mojemu panu? - zapytał cicho Sim. - Och, możecie zawieźć moje ciało do Ashlinu, ale czy rzeczywiście, panie, taką pragniesz dać odpowiedź Ranulfowi de Glandeville'owi? Wcale z tego nie wyniknie, że pani jest bezpieczna, prawda? Jedynie mój głos może przekazać wiadomość, która go uspokoi i sprawi, że nie napadnie na was, jak wściekły wilk na owczarnię.

Merin ap Owen zarechotał.

- Nie jesteś prostym sługą, co?

- Panie, mam na imię Sim i jestem zastępcą dowódcy straży, Fulka - padła spokojna odpowiedź. - Mój pan pragnął okazać szacunek, przysyłając tu kogoś wyższego ranga, a nie jakiegoś wiejskiego półgłówka. Panie, czy mogę porozmawiać z moją panią? Zamienić z nią kilka słów, by uspokoić jej męża?

Merin ap Owen skinął głową na znak zgody.

- Ale tutaj, przy wszystkich, Sim.

- Pani, przywożę ci pozdrowienia z Ashlinu. Codziennie modlimy się za ciebie i twój szczęśliwy powrót. Ojciec Oswin kazał ci przekazać, że wszyscy są zdrowi i w pełni sił. Mam wymienić imiona tych, którzy cię kochają, a więc: Cedric, stara Ida, Willa, Simon, Orva i Fulk. Lady Eleanore, twój mąż mówi, że doprowadzi do twego uwolnienia najszybciej, jak to będzie możliwe. Czy chcesz mu przesłać jakąś wiadomość?

- Powiedz mojemu mężowi - zaczęła Elf - że jestem bezpieczna, a Merin ap Owen dobrze mnie traktuje. Przekaż mu moje pozdrowienia. - Elf uśmiechnęła się szeroko i skinęła głową.

Sim ukłonił się z szacunkiem. Był zadowolony z siebie, bo przy tym Walijczyku i jego dziwce udało mu się przemycić

wiadomość, że dziecko ma się dobrze. Domyślał się, że pani chce wiedzieć, jak się czuje jej synek. Wszyscy w Ashlinie uważali, że porywacze nie wiedzą o jego istnieniu, ponieważ inaczej jego również próbowaliby uprowadzić.

- Wracaj do swego pana - polecił Merin ap Owen. - Powiedz mu, że moja cierpliwość ma swoje granice, ale rozumie jego ostrożność. Wrócisz tu za miesiąc i podasz mi czas i miejsce wymiany. Pamiętaj, że miejsce musi być neutralne. Powiedz swemu panu, że jeśli będzie próbował mnie oszukać lub odebrać żonę, nie płacąc okupu, zabiję ją - oznajmił z naskisaniem Merin ap Owen. - Zrozumiałeś, Simie z Ashlinu?

- Tak, panie, ale nie ma obawy. Panu na Ashlinie na niczym bardziej nie zależy niż na szczęśliwym powrocie jego małżonki, którą darzy wielkim szacunkiem i uznaniem - odpowiedział spokojnie Sim, po czym złożył ukłon przed panem na zamku Gwynfr, a potem przed Elf.

Merin ap Owen odpowiedział skinieniem głowy.

- Idź więc! - rozkazał.

Sim ukłonił się jeszcze raz i opuścił izbę.

- Bezczelny sługus! - prychnęła Isleen. - Powinieneś był go zabić i odesłać w kawałkach do jego pana.

- Nadtoś popędliwa - powiedział cicho Merin. - Niczego bym nie zyskał, pozbawiając życia zwykłego posłańca. Nie zabijam bez powodu, dla czystej przyjemności, jak ty, moja piękna ładacznico. - Odwrócił się do Elf. - Na wiosnę wrócisz do domu, lady Eleanore. Jesteś zadowolona?

- Tak - odpowiedziała szczerze. Jak dobrze, że widziała się z Simem! Chętnie porozmawiałaby z nim na osobności; a ile sprytu wykazał, dając jej do zrozumienia, że Simon jest zdrowy. Ranulf... Wrócił do domu. Jego przyjazd oznacza, że król Stephen nie żyje, a na angielskim tronie zasiadł drugi Henryk. Ta wiadomość nie dotarła jeszcze do Gwynfr, zresztą nie miało to żadnego znaczenia.

- Pani, musisz dokończyć gobelin, zanim nas opuścisz - odezwał się Merin ap Owen. - Powieszę go w izbie nad kominkiem, tak żeby wszyscy go widzieli.

- To niezbyt wygórowana zapłata za me utrzymanie - odrzekła Elf.

Jak on na nią patrzył! Zmagał się ze sobą, chcąc ukryć tęsknotę, ale widziała ten głód w jego oczach. Dobry Boże - mo-

dliła się w duchu - pozwól mi bezpiecznie wrócić do domu. Uciekała przed nim wzrokiem, a najbardziej obawiała się nocy. Kładła się spać zaraz po wieczerzy, więc kiedy wracał do swojej komnaty, ona już dawno spała w kamiennym alkie-rzu. A naprawdę to czuwała. Nie odważyła się zmrzyć po-wiek, dopóki nie usłyszała, jak chrapie. Jego pożądanie napa-wało ją lękiem. A co gorsza, intrygowało ją! Takiej pokusy nie doświadczyła żadna z zakonnice w St. Friedeswide i Elf co-dziennie się modliła do Boga, aby umiała się jej oprzeć.

Do tego ta Isleen! Nie jest głupia. Na pewno zauważyła, gdzie błądzi wzrok jej kochanka. Jeżeli wzbudzi w niej zawiść, bo przecież Isleen jest zazdrosna o Merina ap Owena, do cze-go się posunie? Już na samą myśl o tym Elf ogarniał strach. Och, Ranulfie! - przyzywała go w myślach. - Błagam, po-spiesz się! Chcę do domu! Pragnę znaleźć się w twoich silnych ramionach i czuć dotyk twych warg na moich ustach. Chcę wziąć na ręce naszego synka. Och, Ranulfie! Spiesz się, spiesz!

18

On ma serce twarde jak kamień - myślała Isleen, siedząc przy stole obok Merina ap Owena. Nie kocha jej. Łudziła się, że być może któregoś dnia zapała do niej miłością, lecz w koń-cu musi przyjąć do wiadomości, że ten dzień nigdy nie na-stąpi. Ale to wcale nie znaczy, że Merin ap Owen nie potrafi kochać. O nie! Kiedy w grę wchodzi Eleanore de Montfort, mięknie mu serce. Łajdak! A jej rywalka, taka nagle rezolutna, siedzi skromniutko u boku pana na zamku Gwynfr i małymi łydkami sączy wino z pucharu. Szkoda, że nie jest po brzegi wypełniony trucizną - pomyślała ze złością. Podła, mała świę-toszka!

Ona, Isleen, musi wreszcie zająć się swymi sprawami. Owszem, przyznaje, Walijczyk jest niezrównanym kochan-kiem, ale niewątpliwie on też nigdy nie miał lepszej kochanki od niej. Jednak to za mało. Pierwszy raz w życiu Isleen po-czuła, że potrzebuje czegoś więcej. Okazuje się, że mimo wszystko nie różni się aż tak bardzo od innych kobiet. Pra-gnęła być kochana, a jeśli nie mogła liczyć na miłość, to przy-

najmniej sama chciała kierować swoim życiem. Dlaczego żaden mężczyzna nigdy jej naprawdę nie kochał? Przecież była piękna.

Richard de Montfort mówił, że jest w niej zakochany, ale w rzeczywistości jedynie jej pożądał i był pod wrażeniem jej urody. Stał się potem taki nudny! Jakiś czas po ślubie jego zapał ostygł. Spodziewał się, że ona zmieni się w dobrą panią domu, będzie opatrywać jakieś cuchnące rany i leczyć kaszel jego poddanych. Na samą myśl o tym Isleen zatrzęsała się z obrzydzenia. To nie leżało w jej charakterze, co zresztą usiłowała mu wytłumaczyć. Potrzebowała uwielbienia, uważała, że to jej należało usługiwać. Pragnęła być rozpieszczana. Czeladź powinna wykonywać prace domowe, które, według Richarda, należały do obowiązków Isleen. Co prawda jej matka zajmowała się domem, ale ona była staroświecka.

Był jeszcze Saer de Bude, jej kuzyn. Uwiódł ją, kiedy była dzieckiem, a właściwie, tak naprawdę, to ona jego uwiodła. Nie potrafiła wyrzucić go z pamięci, kiedy ojciec zaaranżował małżeństwo z Richardem de Montfortem. Saer nie miał ziemi ani dworu, w którym mogliby zamieszkać. A do tego dochodziły jeszcze te głupie więzy krwi. Z początku bardzo się burzyła na myśl o zamążpójściu, ale Saer ją uspokoił. Obiecał, że bez względu na to, co się wydarzy, kiedyś i tak będą razem. A jednak i tak musiała wziąć sprawy w swoje ręce, zaczęła podtruwać Richarda, a Saer nie dał znaku życia, dopóki go nie wezwała.

Kiedy wreszcie się zjawił, twierdził, że w tym czasie starał się zdobyć pozycję w świecie, aby udowodnić, że jest jej godny. Kłamca! Wyłącznie dzięki niej mógł zyskać majątek, a co za tym idzie, szacunek. Jego zachowanie pod koniec pobytu w Ashlinie kazało jej przypuszczać, że wcale nie zamierzał zamordować Eleanore de Montfort. Uczyniłby z niej prawowitą małżonkę, a jej, Isleen, przypadłaby rola kochanki. Właściwie była zadowolona, że ich intryga zakończyła się niepowodzeniem. Nie zniosłaby takiej zdrady.

Ale to wszystko nic w porównaniu ze zdradą, jakiej dopuścił się Merin ap Owen. Co on widzi w tej Eleanore de Montfort? Adoruje ją jak jakiś zakochany po uszy młodzieniaszek. I nawet nigdy z nią nie spał! A może ją miał? Czy Merin mówi jej prawdę? - zastanawiała się. Jak można być zakochanym

w kobiecie, nie skosztowawszy wcześniej jej wdzięków? Nie potrafiła tego zrozumieć i zaczynała poważnie podejrzewać, że Merin ją oszukuje. Cicha woda z tej jej rywalki Eleanore de Montfort! Naturalnie, zależy jej, aby nikt, a już najbardziej Isleen, nie dowiedział się o jej cudzołóstwie. Na pewno jest kochanką Merina! Inaczej nie byłaby taka spokojna i pewna siebie, wstrętna dziwka! Cóż, Isleen nie pozwoli się dłużej wodzić za nos!

Ha! Co by tu wymyślić? Merin ap Owen pilnuje swej cennej branki jak kwoka kurczęcia. A kiedy go nie ma, ten przeklęty, stary sługus Gwyll nie odstępował jej na krok. Tak bardzo pragnęła dopaść Eleanore, ale musiała się pogodzić z faktem, że nigdy nie nadarzy się odpowiednia okazja. Więc jak zemści się na osobie, która wyrządziła jej tyle krzywdy? Isleen doskonale wiedziała, że mimo swej zmysłowej natury Merin zaczynał być nią znudzony. Prędzej czy później odprawi ją jak pierwszą lepszą, wiejską dziewczkę. Jak sobie wtedy poradzi?

Dopiero zaczęła organizować i przekształcać lupanar Cluda; na razie jej pozycja była zbyt słaba, by mogła się go pozbyć i przejąć zamtuż. Nie posiadała odpowiednich funduszy, a nie miała co liczyć, że Merin ap Owen sypnie groszem. Bardzo chętnie zostawi ją na pastwę losu i niech sobie radzi. Ale Isleen dobrze wiedziała, że samotna kobieta nie poradzi sobie, jeśli nie ma złota.

I nagle przyszło olśnienie. Rozwiązanie znajdowało się w zasięgu ręki! Kiedy Ranulf de Glandeville zbierze pieniądze, ona je ukradnie, zanim jeszcze okup trafi do Gwynfr. Mając złoto i rączego konia, Isleen de Warenne pojedzie, dokądkolwiek jej się zamarzy, i założy najlepszy lupanar w całej Anglii.

Londyn. Uda się do Londynu! Merin ap Owen nigdy jej nie odnajdzie. Będzie myślał, że Ranulf de Glandeville go oszukał. Wtedy zabije Eleanore de Montfort, ale najpierw ją zgwałci, więc Isleen zostanie pomszczona! Plan wydawał się perfekcyjny i musiał się powieść. Policzki jej płonęły, a serce biło jak oszalałe, kiedy rozkoszowała się myślą o zwycięstwie.

- Wyglądasz jak kot, który dopadł mysz - zwrócił się do niej Merin ap Owen. - O czym myślałaś, moja piękna ladacz-nico?

- O tym, jak ludzie z Ashlinu, którzy obeszlą się ze mną tak

nieuprzejmie, będą cierpieć niedostatek, kiedy Ranulf de Glandeville sprzeda swoje stada, żeby odzyskać żonę - skłamała, patrząc mu prosto w oczy. - Będą przymierać głodem, nie mając krów ani wełny, którą mogliby sprzedać na sierpniowym targu. Za co kupią zapasy potrzebne na przyszłą zimę? Skąd wezmą ziarno na siew i inne niezbędne rzeczy, których nie wytwarza się w Ashlinie?

Parsknęła jadowitym śmiechem.

- Ranulf de Glandeville przekona się poniewczasie, że zrobił kiepski interes, a jego poddani będą go przeklinać. Już teraz się cieszę na samą myśl o tym - dodała zgodnie z prawdą, bo rzeczywiście rozpierała ją radość. Należała jej się ta odrobina uciechy jako zadośćuczynienie za krzywdy. Ciekawe, czy Ranulf de Glandeville będzie się mścił. Który z nich wtedy zginie: on czy Merin ap Owen? Jej myśli z każdą chwilą stawały się słodsze!

- Aleś ty wredna, moja piękna ladacznico - powiedział Merin. - Jeszcze chwila, a rzucę się na ciebie. Twoja podłość rozpala mi zmysły. - Odwrócił się do Eleanore. - Pani, czas, byś udała się na spoczynek. I nie czekaj na mnie, bo wrócę późno - dodał żartobliwie, wiedząc, że dotknie tym Isleen.

- I niech cię nie niepokoją hałasy, które będą dochodzić z komnat na górze - dorzuciła Isleen. - Mój pan ma wiele wigoru, kiedy jest ze mną w łóżu - zakończyła, odsłaniając zęby w drapieżnym uśmiechu.

- Jak mi mówiono, wszyscy mężczyźni w twoim łóżu są pełni wigoru - odparła słodkim tonem Eleanore, po czym uniosła się z krzesła i pożegnawszy ich dygnięciem, opuściła izbę.

Merin ap Owen zaśmiał się cicho.

- A niech to! Chciałbym się znaleźć między jej udami!

- Mam uwierzyć, że jeszcze tam nie byłeś? - warknęła Isleen, nie dbając dłużej o zachowanie pozorów. - Myślisz, że choć na chwilę uwierzyłam, że z nią nie sypiasz, odkąd po przyjeździe do Gwynfr ulokowałeś ją w swojej komnacie? Ona może wygląda jak niewiniątka, ale wątpię, czy nadal jest taka cnotliwa, a ty z pewnością nie należysz do świętych!

- Wcale mnie nie znasz, moja piękna ladacznico, jeśli sądzisz, że splamiłbym honor, nastając na zakładniczkę - wycedził niebezpiecznie cichym głosem. - Nie wszystkie kobiety są

takie jak ty, Isleen. Większość ich do pewnego stopnia przypomina cię, ale nie wszystkie. Eleanore de Montfort jest uczciwa.

- Ty ją kochasz! - rzuciła Isleen oskarżycielskim tonem.

Przez dłuższą chwilę jego ciemne oczy wwiercały się w źrenice Isleen, ale potem uśmiechnął się zagadkowo. Nie będzie się wywnętrzać przed tą dziwką. Nigdy nikogo nie darzył tak czystym uczuciem jak Eleanore de Montfort. Nie sprofanuje go, zwierając się tej wywłoce z tego, co dzieje się w jego sercu.

- Chodź, moja piękna ladacznico! - powiedział, wstając od stołu. - Znasz lepsze sposoby od tej rozmowy, aby mnie rozbawić. Jestem pewien, że twojej pupie przyda się odrobina masażu. Zaczniemy od pasa, a potem wysmagam cię jeszcze brzozowymi witkami, byś była odpowiednio rozgrzana, kiedy razem będziemy szukać rozkoszy.

- Ona nie potrafi cię tak zadowolić jak ja - wymruczała zmysłowo Isleen, podążając za Merinem.

- Nie, nie potrafi - przyznał z uśmiechem.

Elf słyszała, jak przeszli korytarzem i zaczęli się wspinać po schodach, wiodących do komnat Isleen. Jej chichotom wtórował ponury śmiech Merina ap Owena. W takiej chwili, jak ta, Elf nie miała wątpliwości, że jej porywacz jest podłym człowiekiem. A jednak do niej odnosił się inaczej niż do Isleen. Dlaczego tak było? Nie umiała odpowiedzieć sobie na to pytanie, bo brakowało jej doświadczenia. Ile czasu upłynie, zanim ujrzy swego męża?

Już niedługo - pomyślał Ranulf, przeliczając monety, które John przywiózł z Herefordu, gdzie sprzedał resztę krów. Część stada sprzedali wcześniej w Worcesterze. Owce popędzili do biskupa, który, rozumiejąc położenie Ranulfa, zgodził się je kupić. Ku wielkiej uldze Ranulfa biskup potraktował go hojnie. Wykorzystywanie szlachty będącej w potrzebie wcale nie uwłaczało godności kościelnego dostojnika. Teraz - pomyślał Ranulf - należy wybrać termin i miejsce na przekazanie okupu. Dopiero gdy go dostarczy, Merin ap Owen uwolni Eleanore. Boże! Ile czasu minęło! Ranulf spojrzął na synka, który raczkował w przeciwległym końcu izby, podciągając się przy sprzętach, i pomyślał, że Elf wiele straciła.

Sim jechał do Gwynfr w strugach zimowego deszczu. Zdaży do Walii akurat przed upływem terminu na wyznaczenie czasu i miejsca wymiany. Przywitał go Merin ap Owen, ze skwaszoną Isleen de Warenne u boku. Natomiast nigdzie nie dostrzegł lady Eleanore.

- Panie, muszę widzieć się z naszą panią - zaznaczył grzecznie Sim.

- Gwyll! - zawołał Merin ap Owen. - Przyprowadź lady Eleanore! Niech jej człowiek zobaczy, że jest cała i zdrowa.

Gwyll niezwłocznie poszedł spełnić polecenie.

- Jakie miejsce proponuje twój pan? - zapytał Merin ap Owen.

- Panie, przywożę dwie propozycje, a jeśli żadna z nich nie wyda ci się odpowiednia, mój pan przystanie na twój wybór. Tuż przy granicy, po angielskiej stronie, znajdują się ruiny starożytnego dworu. Nazywamy go Briarmere. Albo możemy się spotkać na szczycie wzgórza na samej granicy.

Merin ap Owen zastanawiał się przez dłuższą chwilę. Bardzo dobrze znał Briarmere. W ruinach łatwo urządzić zasadzkę. Sam stamtąd napadał na bezbronne ofiary. Hmm, gdyby jednak przyjechał pierwszy... A jeśli pan na Ashlinie znajdzie się tam przed nim? Nie! Briarmere się nie nadaje. Natomiast granica jest idealnym miejscem. Na otwartej przestrzeni nikt się nie zaczai. Merin uśmiechnął się. Ranulf de Glandeville musiał myśleć tak samo, inaczej wybór nie byłby tak oczywisty.

- Na granicy za dziesięć dni - zdecydował.

- Więc ustalone - powiedział Sim. - Przywiozę złoto, a ty, panie, przyjedziesz tam z panią.

- Nie. Przywieziesz złoto i poczekaasz, aż dostarczą je mnie. Muszę się upewnić, czy twój pan zachował się uczciwie i czy w workach pod warstwą monet nie ma kamieni. Kiedy złoto znajdzie się w moich rękach i zostanie przeliczone, dostaniesz swoją panią. Osobiście ją odwiozę, aby mieć pewność, że bezpiecznie dotarła na miejsce. Gwynfr od granicy dzieli zaledwie parę godzin jazdy.

Intuicja podpowiadała Simowi, że nie powinien się zgodzić na taki sposób wymiany, ale nie był władny stawiać warunków, więc nie miał wyboru. Decyzja należała do Merina ap Owena.

- Za dziesięć dni będzie czekać na ciebie mój posłaniec - orzekł Merin ap Owen. - Przyjedzie sam. Ty też masz być sam.

Sim skinął głową.

- Sim!

Odwrócił się i zobaczył wchodzącą do izby Eleanore.

- Pani! - Złożył przed nią ukłon, a ona wzięła go za rękę i zaczęła wypytywać: - Czy wszyscy zdrowi w Ashlinie? Jak się czuje mój mąż, stara Ida, Fulk, Willa i Simon?

- Wszyscy mają się dobrze, pani, i niecierpliwie wyglądają twego powrotu - uspokoił ją. Jego pani wyglądała na zdrową, choć była blada i chyba nieco wycieńczona.

- Kiedy to nastąpi? - zapytała Elf.

- Pani, za dziesięć dni przywiozę okup, a gdy lord Merin ap Owen upewni się, że wszystko jest, jak należy, odwiezie cię, pani, do granicy, skąd pod moją eskortą powrócisz do domu.

Elf kiwnęła głową.

- Teraz, kiedy wiem, że koniec niewoli bliski, czas mi się będzie jeszcze bardziej dłużył - westchnęła.

- Jak widzisz, twoja pani jest w dobrym zdrowiu - odezwał się Merin ap Owen. - Jedź już i opowiedz swemu panu, co widziałeś, abyś w porę powrócił z okupem.

- Tak, panie, powrócę - odpowiedział Sim z ukłonem, po czym szybko opuścił izbę.

- A więc - prychnęła Isleen - twój mąż jest gotowy oddać całe mizerne bogactwo Ashlinu w zamian za twój powrót. Musi cię kochać. Ciekawe, czy starczy mu tej miłości, gdy w zimie wszyscy będziecie głodować.

- Isleen, nie umrzemy z głodu, choć niewątpliwie ciężko nam będzie po utracie stad. Z boską pomocą jakoś damy sobie radę - odparła Elf. - Natomiast zastanawiam się, gdzie ty będziesz w zimie.

- Co to ma znaczyć? - warknęła Isleen, a jej niebieskie oczy rozbłyły gniewnie.

- Co prawda brakuje mi w tych sprawach doświadczenia, ale podejrzewam, że lord Merin może się tobą znudzić. Bo, właściwie, co takiego możesz mu dać, czego nie znajdzie u innych kobiet? - Elf uśmiechnęła się prowokacyjnie, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego Isleen budzi w niej najniższe instynkty.

Isleen rzuciła się na Elf z pięściami, lecz Merin ze śmiechem zastąpił jej drogę.

- Ty żmijo! - wysyczała.

- Ty wywłoko! - zrewanżowała się Elf. - Myślisz, że kiedykolwiek zapomnę mego brata i to, co mu zrobiłaś?

- Gdybyś wyleczyła Richarda, usychałabyś teraz w tym swoim zakonie! Idealne miejsce dla ciebie! - wrzeszczała Isleen. - A zamiast tego masz męża, który cię kocha, i całkiem przyzwoitą posiadłość!

- A ty zamordowałaś Dickona! - wykrzyczała Elf.

- Tak, zamordowałam - przyznała Isleen z przerażającą szczerością. - Był nudziarzem, który oczekiwał, że stanę się jego służącą. Miał złe maniere, a w łóżu brakowało mu delikatności i finezji. Wyznam ci, że krótko po ślubie zaczął wzbudzać we mnie nienawiść! Z satysfakcją patrzyłam, jak cierpi! Byłam zadowolona, kiedy wreszcie wydał ostatnie tchnienie!

- Wiem, że Bóg ci wybaczy - powiedziała Elf. - Ale nie sądzę, by mnie było stać na taką wspaniałomyślność, choć płamię w ten sposób mam nieśmiertelną duszę. Jesteś najnikczemniejszym stworzeniem, jakie w życiu znałam, Isleen. Niech Bóg cię ma w opiece!

- Oszczędź mi swej litości! - ucięła Isleen. - Nie potrzebuję jej. Lepiej zacznij się użalać nad sobą, bo kiedy przywiozą okup, Ashlin będzie na skraju upadku. Co znajdziesz po powrocie, siostrzyczko? Ruinę i bandę głodnej, utyskującej czeladzi! - Isleen roześmiała się z satysfakcją.

- Wróć do męża, który mnie kocha - odparła Elf, wiedząc, że mówi prawdę. - Nasza miłość jest silniejsza od twojej podłości, a Ashlin przetrwa, bo razem go odbudujemy. Wolę żyć w biedzie z Ranulfem niż być dziwką, jaką ty się stałaś, jaką od początku byłaś! - Elf odsunęła rękę Merina ap Owena, który cały czas stał między nimi. - Panie, nie boję się jej, ona nie może mnie skrzywdzić - powiedziała i z dumnie podniesioną głową wyszła z izby.

- Chcę ją widzieć martwą! - wycodziła Isleen przez zacisnięte zęby.

- Niech spadnie jej z głowy choć jeden włos, a zabiję cię, moja piękna ladacznico! - uprzedził ją Merin. - I nie licz na szybką śmierć. Będziesz cierpieć męki, zanim skonasz.

Teraz z kolei Isleen strząsnęła jego rękę.

- Jesteś głupcem, mój panie! Chcesz jej! Trawi cię żądza. Pragniesz poczuć pod sobą jej blade ciało, ażeby ugasić pożar w łędźwiach, ale nie bierzesz jej! Przecież okup już jest twój! Dlaczego nie miałbyś się zabawić z tym wyblakłym stworzeniem, którego tak pożądasz? Kto się o tym dowie? Czy jej mąż zażąda zwrotu złota, bo przespałeś się z jego żoną? Myślisz, że ona mu się przyzna?

- Jesteś zazdrosna, moja piękna ladacznico - wymruczał. - Chcesz mnie sprowokować do haniebnego postępku, aby zemścić się na lady Eleanore. Nie jestem głupcem, Isleen. Różnię się od mężczyzn, którzy przewinęli się przez twoje życie. Widzę cię taką, jaką jesteś naprawdę. - Merin pogładził Isleen po policzku i zatrzymał dłoń na jej szyi. Smukłe palce zacisnęły się lekko na krtani. - Nie namówisz mnie, bym zadał gwałt ciału... lub duszy lady Eleanore. Zapewne zdażyłaś się przekonać, że nie osiągam przyjemności tak łatwo, jak inni mężczyźni. Lubię zadawać ból mojej partnerce. - Palce Merina zacisnęły się mocniej, kiedy nachylił się nad Isleen i musnął wargami jej usta. Gdy podniósł głowę, dostrzegł w jej oczach strach. Uśmiechnął się. - Myślę, że się zrozumieliśmy, prawda? - Nie odrywając wzroku od jej twarzy, cofnął rękę. Na białej szyi pozostały ślady po jego palcach. Powiódł dłonią po zaczerwienionej skórze i uśmiechnął się ponownie. - Lady Eleanore, w przeciwieństwie do ciebie, nie zniosłaby mych namiętnych zabiegów. Należysz do mnie i zostaniesz ze mną, chyba że zrobisz coś, czym mnie do siebie zniechęcisz. A wtedy, maleńka, nie odeślę cię do Cluda, lecz podaruję ludziom z mego garnizonu. Bardzo szybko cię wykończą.

- Jesteś potworem!

- Podobnie jak ty, Isleen - zauważył cicho. - Tyle że z nas dwojga ja jestem silniejszy. Więc miej się na baczności i ani na chwilę o tym nie zapominaj!

- Nie zapomnę - odparła.

Nie, na pewno nie zapomni. Będzie ostrożniejsza, ale i tak sprzątnie mu okup sprzed nosa.

- Zadrzyj spódnice! - usłyszała głos swego kochanka.

Spełniła polecenie ze śmiechem.

- Jesteś wcielonym diabłem, mój panie! - orzekła. - Czy mam udawać twoją niewinną brankę? Och, ratunku! Ratunku!

Boże i wszyscy święci, ratujcie mnie przed tym ogromnym, chutliwym kutasem! Nie! Nie! Nie weźmiesz mnie!

Merin trzepnął ją otwartą dłonią. Zareagowała jeszcze dzikszym śmiechem.

- Przyznaj się! Żal ci, że to nie ona jest na moim miejscu! - prowokowała go. - Ale ona nie dałaby ci tyle rozkoszy, co ja! - Przyciągnęła go ku sobie za ciemną czuprynę i namiętnie pocałowała.

W małym alkierzu Elf poczuła nagle, jak po plecach przebiegł jej dreszcz niczym tchnienie śmierci. Tak trudno było ostatnio przebywać razem z Merinem ap Owenem, patrzeć mu prosto w twarz, kiedy z nią rozmawiał! Od tamtej chwili, gdy zrozumiała znaczenie jego spojrzenia i odgadła, że ją kocha, czuła się przy nim niezręcznie. Naturalnie ani słowem nie wspomniał o tym, co czuje. Uważał, żeby nawet przypadkiem się nie dotknęli. Ale kiedy od czasu do czasu podnosiła wzrok znad krosien, napotykała jego przepełnione bolesną tęsknotą spojrzenie. Elf westchnęła zasmucona. Nawet gdyby była wolna, nie potrafiłaby go pokochać. Nie zniosłaby ponurej aury, jaką wokół siebie roztaczał. Merin napał ją lękiem.

A jednocześnie budził w niej współczucie. Domyślała się, że nic nie zraniłoby go bardziej niż świadomość, że ona mu współczuje. W ostatnich tygodniach dowiedziała się od Gwylła, że pan zamku Gwynfr ma za sobą dwa nieszczęśliwe małżeństwa. Biedak! On naprawdę nie potrafi kochać! Za to ona prawie nabrała pewności, że Ranulf darzy ją miłością, i teraz, kiedy będzie mogła wyznać mu swe uczucie, jej życie się odmieni. Pragnęła znowu znaleźć się w ramionach męża. Intuicja podpowiadała jej, że ich radość będzie tysiącrotnie większa, kiedy wyznają sobie miłość. Już niedługo, kochanie - pomyślała uszczęśliwiona. Już niedługo!

Eleanore! *Petite*, wołało jego serce i był gotów przysiąc, że słyszy, jak ona mu odpowiada. Kocham cię, najdroższa! Uwielbiam cię! Kiedy szczęśliwie znajdziesz się w mych ramionach, już nigdy cię z nich nie wypuszczę.

Dobry Boże, błagam, oddaj mi ją!

Sim powrócił do Ashlinu i zdał relację swemu panu.

- Panie, lady Eleanore jest zdrowa, jeno nieco błada. Dam głowę, że dobrze ją tam traktują. Merin ap Owen wybrał granicę na miejsce przekazania okupu i dokonania wymiany. Najpierw jednak chce dostać złoto. Dopiero kiedy sprawdzi, czy go nie oszukałeś, panie, osobiście eskortuje panią - wyjaśnił Sim.

- Nie podoba mi się to - stwierdził Fulk. - Podejrzewa nas, że chcemy go wywieść w pole, ale jaką my mamy gwarancję, że odda naszą panią?

- Żadnej, ale on też nie może być do końca pewien, że dostarczymy złoto - odpowiedział Ranulf. - W tego rodzaju negocjacjach, Fulk, przychodzi taka chwila, kiedy obie strony muszą obdarzyć się zaufaniem. Nie ma innego wyjścia. Właśnie dochodzimy do tego etapu. Sim zawiezie złoto i będzie czekał na moją żonę. Natomiast my ukryjemy się w ruinach Briarmere. To zaledwie parę mil od granicy. Kiedy już lady Eleanore będzie bezpieczna, ruszymy w pościg za Merinem ap Owenem, zabijemy go i odzyskamy nasze złoto. Wtedy będę mógł odkupić owce od biskupa i nabyć bydło. Jednak najważniejszą sprawą jest bezpieczeństwo mojej żony.

- Panie, jeżeli zamierzasz pozbawić życia Merina ap Owena - wtrącił Sim - najlepiej, żebyś zabił też jego ładacznicę. To lady Isleen jest sprawczynią całego zła i ziele nienawiścią do naszej pani. Gdyby nie ona, Merin ap Owen zadowoliliby się kradzieżą zwierząt. Na szczęście, z tego, co widziałem, to on rządzi w zamku. Dobrze traktuje naszą panią. Podejrzewam, że gdyby lady Isleen udało się go przekabacić, pani byłaby już martwa albo prawie martwa. Panie, jeżeli oszczędzisz tę kobietę, dalej będzie szukać zemsty na Ashlinie i lady Eleanore. Choć to może niegodne rycerza podnosić rękę na kobietę, ona musi zginąć, bo jest występna i zła. Baron Hugh nie wie, gdzie ona jest, więc nie musi się dowiedzieć, że wyzionęła ducha. Zresztą, jak na mój rozum, niewiele by go to obeszło.

Ranulf de Glandeville w zamyśleniu pokiwał głową.

- Z niechęcią wydam rozkaz zabicia kobiety - zaczął - ale obawiam się, że masz rację, Sim. Ty i Pax zajmiecie się nią, kiedy wjedziemy do Gwynfr. Bądźcie litościwi, niech długo nie cierpi. Torturowanie jej nie sprawi mi przyjemności. Wstawię się za wami do ojca Oswina, aby udzielił wam rozgrzeszenia.

Przeliczone złote monety spakowali do dwóch skórzanych worków. Suma była pokaźna, bo szczególnie korzystnie udało im się sprzedać krowy. Ranulf musiał się przyznać przed samym sobą, choć nigdy by tego nikomu nie powiedział, że przez chwilę go korciło, aby nie oddawać całego złota. Przecież ten bandyta nigdy się o tym nie dowie! Odrzucił jednak ten pomysł, bo nie mógł narażać życia swej drogiej Eleanore dla paru monet. Dość, że ukryli nieco owiec i krów. Niewiele, ale wystarczy, aby odnowić stada.

Ranulf nie wiedział, czy Ashlin nadal nie jest pod obserwacją, więc wyprawił Sima jedynie z dwuosobową obstawą do ochrony okupu. Strażnikom nakazał zatrzymać się w Briarmere i czekać na niego, natomiast Sim miał jechać dalej, by na granicy spotkać się z walijskim kurierem. Sam wraz z oddziałem planował wyruszyć dwie godziny później, więc jeśli nawet ktoś obserwował Ashlin, do tego czasu powinien udać się do Gwynfr z wiadomością, że zbliża się do nich angielski posłaniec.

Zaczynała się wiosna. Było szaro i wilgotno. Rankiem, czwartego dnia od wyjazdu z Ashlinu, Sim dotarł na graniczne wzgórze, gdzie oczekiwał na niego jeździec na koniu, szczelnie owinięty peleryną. Sim nie widział dokładnie jego twarzy, ale pomyślał, że niewiele go to obchodzi, i wręczył mu dwie skórzane sakwy. Posłaniec Merina ap Owena zważył każdą z nich w obleczonej w rękawicę dłoni.

- Mój pan będzie zadowolony - mruknął i zawróciwszy konia, zjechał ze zbocza na walijską stronę, by po chwili zniknąć w gęstym zagajniku. Sim przycupnął na wzgórzu. Do wymiany dojdzie za jakieś cztery, pięć godzin. Zaczął padać deszcz, najpierw drobny, a potem rześisty. Sim przeklinał w duchu swego pecha, kuląc się pod peleryną u boku konia. Zaczął kichać, czuł, jak woda wsiąka w przemoczone buty. Wkrótce mokre stopy zaczęły cierpnąć mu z zimna. Czekał i czekał. W końcu deszcz przestał padać. Być może pogoda opóźnia przyjazd pani - pomyślał. Słońce wyjrzało zza chmur i Sim uśmiechnął się na widok wiosennej tęczy rozpiętej między wzgórzami. Uznał to za dobry omen, ale Merin ap Owen nadal nie nadjeżdżał z jego panią.

W pewnej chwili u stóp wzgórza zjawił się jego brat Pax

i przywołał go machnięciem ręki. Sim wyszedł mu na spotkanie do połowy zbocza.

- Nikt się nie zjawił? - zapytał Pax.

- Czy gdyby przyjechali, sterczałbym na wzgórzu przemożony i zmarznięty? - warknął Sim.

- Ale dałeś złoto?

- Kilka godzin temu walijskiemu kurierowi. Nie ma mowy o pomyłce, poznałem go po godle zamku Gwynfr na pelerynie. Kiedy dostał złoto, powiedział, że jego pan będzie zadowolony - relacjonował Sim. - Być może deszcz opóźnił przyjazd pani.

- Wracam do pana i wszystko mu opowiem - zdecydował Pax i puścił się biegiem po zboczu.

Sim wzruszył ramionami i wrócił na szczyt skarpy. Przebiegł wzrokiem teren po walijskiej stronie: nigdzie ani żywego ducha. Rany boskie, co się mogło stać?! Czy Merin ap Owen jest niezadowolony z wysokości okupu? Przecież ten bandyta dostał uczciwą sumę, dwukrotnie większą od tej, jaką uzyskałby ze sprzedaży skradzionych zwierząt! A jednak coś tu się nie zgadza! Słońce powoli obniżało się nad linią horyzontu. Sim kichnął kilka razy. Nie może tkwić tu bez końca - zdecydował. Podszedł do konia, wskoczył na siodło i zjechał na walijską stronę. Kiedy Pax odkryje, że go nie ma, wróci po pana i ruszą za nim do Gwynfr. Nic innego mu nie pozostało, czuł, że nie ma czasu do stracenia.

Zmierzch zdążył zapaść, zanim wreszcie wdrapał się po kamienistym wzgórzu na dziedziniec zamku Gwynfr. Natychmiast został otoczony przez zgraję mężczyzn. Ściągnęli go z konia i zawlekli do wielkiej izby, gdzie rzucili go na kolana przed Merinem ap Owenem. Sim próbował się podnieść, lecz silnie pchnięty, runął z powrotem na posadzkę. Słyszał za sobą gniewne pomruki: zabić angielskiego bękarta! Uniósł głowę i spojrzał pytająco na Merina ap Owena.

- Masz czelność się tu zjawiać, Simie z Ashlinu? - odezwał się pan zamku Gwynfr. - Za twą zuchwałość czeka cię niechybna śmierć. Gdzie okup?

- Panie! - zaczął Sim, starając się zapanować nad głosem. - Kilka godzin temu spotkałem się z twym kurierem na szczycie wzgórza i wręczyłem mu dwie sakwy pełne złotych monet. Potem, jak było umówione, czekałem, aż przywieziesz lady

Eleanore. Z początku sądziłem, że deszcz opóźnia twój przyjazd, panie, lecz gdy przestało padać, pomyślałem, iż coś się musiało wydarzyć. Dlatego sam przyjechałem do Gwynfr. Panie, dlaczego twoi ludzie tak źle mnie potraktowali?

- Mówisz, że spotkałeś się z moim kurierem? - Merin ap Owen wpatrywał się w Sima ze swego miejsca za stołem.

- Tak, panie - odpowiedział stanowczo.

- Jak wyglądał? - dochodził Merin ap Owen.

- Nie widziałem jego twarzy, bo krył ją kaptur, lecz na pełerynie miał godło zamku Gwynfr. Kiedy dałem mu okup, powiedział, że będziesz, panie, zadowolony. A potem posłaniec odjechał - zakończył Sim.

- Nie widziałeś jego twarzy? Czy był wysoki? Jaki miał głos? Twierdzisz, że przywiozłeś złoto, a tymczasem ja go nie dostałem - oznajmił Merin ap Owen osłupiałemu Simowi.

- Nie widziałem jego twarzy przez ten kaptur - powtórzył Sim. - Dzień był ciemny, nadciągała ulewa. Teraz sobie przypominam, że posłaniec ani razu nie spojrzął na mnie i trzymał się w cieniu. Był raczej niewysoki. A powiedział do mnie zaledwie cztery słowa: „Mój pan będzie zadowolony”. Głos miał chropawy i pomyślałem nawet, że to dziwne, bo wy, Walijczycy, mówicie bardziej melodyjnie. Panie, dlaczego kurier miał wzbudzić moje podejrzenia, skoro nosił twoje barwy i stawił się w umówionym miejscu o wyznaczonej porze? - podsumował nieco ironicznie Sim.

- Właśnie, dlaczego - powtórzył za nim Merin ap Owen i nagle się zamyślił. - Simie z Ashlinu, mój wysłannik był wysokim mężczyzną i rzeczywiście miał głęboki, melodyjny głos. Jakiś czas temu znaleziono go martwego, mniej więcej o milę od zamku. Nie było przy nim złota. Ubranie miał nasiąknięte wodą, lecz ziemia pod zwłokami pozostała sucha. Wynikałoby z tego, że zginął, zanim dotarł na spotkanie na wzgórzu. Całkiem możliwe, że zacząłeś się na niego, zabiłeś go, a potem wróciłeś na skarpę, by czekać tam na kogoś, kto ewentualnie podążałby za nim. Czy twój pan naprawdę zapłacił okup, czy wydaje mu się, że potrafisz mnie oszukać?

- Panie - zaczął Sim, przerażony takim obrotem sprawy - przysięgam ci na życie lady Eleanore, że spotkałem się z twoim posłańcem na skarpie i przekazałem mu okup. Mój pan za żadne skarby nie naraziłby swojej żony na niebezpieczeństwo.

Mówię prawdę. Nikogo nie zabiłem. Dokładnie wypełniłem twoje instrukcje. Jeżeli ktoś uciekł się do podstępu, szukaj zdrajcy wśród swoich ludzi.

Pan zamku Gwynfr popadł w zadumę. Jego przystojna twarz przybrała skupiony wyraz, kiedy rozważał słowa Anglika. Chłopak musi mówić prawdę. Inaczej nie narażałby życia, przyjeżdżając do Gwynfr. Merin myślał intensywnie, mrużąc ciemnoniebieskie oczy. Tylko jedną osobę stać na taką zuchwałość, by dopuścić się zdrady wobec niego. Powinna teraz siedzieć u jego boku, ale wcześniej przekazała przez swą służącą, że cierpi na rozstrój żołądka i prosi, by zwolnić ją z obowiązku dotrzymywania mu towarzystwa podczas wyczerzy.

- Wstań! - polecił Simowi, po czym zwrócił się do jednego ze swych ludzi: - Badan, idź do baszty, do komnat lady Isleen i sprowadź ją tutaj. Jeżeli służąca będzie utrzymywać, że pani jest chora, powiedz, że chcesz się z nią zobaczyć na mój rozkaz. Gdyby pani nie było u siebie, przyprowadź tu służącą. Ale nie zrób jej krzywdy! - ostrzegł go.

Badan skinął głową i pobiegł spełnić polecenie. Sim pozbiierał się z posadzki i roztarł kolana. Kiedy go pchnięto, boleśnie się obił o twarde kamienie. Stał teraz w milczeniu, czekając na dalszy rozwój wypadków.

- Twojej pani nic nie zagraża - rzucił do niego półgłosem Merin ap Owen i więcej się nie odezwał.

Po kilku minutach Badan wrócił do izby, wlokąc za ramię ociągającą się Arwydd. Dziewczyna płakała przerażona.

- Gdzie jest twoja pani? - zwrócił się do niej Merin ap Owen głosem zimnym i twardym jak stal. - Mów, dziewczko!

- Ja... ja... nie wiem! - wyszlochała Arwydd.

- Panie, ona twierdziła, że jej pani śpi, ale kiedy ją odepchnąłem i wszedłem do sypialni, znalazłem puste łóżce - odezwał się Badan.

- Gdzie jest twoja pani? - Merin z naciskiem powtórzył pytanie.

Arwydd załkała jeszcze głośniej.

- Panie, przysięgam na Świętą Panienkę, że nie wiem!

- Łżesz! Musisz cokolwiek wiedzieć, nawet jeśli nie masz pojęcia, gdzie ona jest - powiedział Merin.

- Pani wyszła wcześniej rano - wyjaśniła Arwydd. - Nie

powiedziała, dokąd idzie ani kiedy wróci. Nie ma zwyczaju mi się opowiadać. Kiedy wychodzi, przeważnie nie wydaje żadnych poleceń, lecz dziś kazała mi mówić, że jest chora i śpi, gdyby o nią pytano. To wszystko, co wiem. Przysięgam!

- A jednak kiedy się ściemniło, nie przyszedłaś, by mi powiedzieć, że pani nie ma - zarzucił jej Merin ap Owen.

- Panie, nieraz bywało, że pani wracała do domu po zmierzchu - zauważyła Arwydd. - Gdybym przyszła do ciebie, a pani by wróciła, obiłaby mnie. Jestem jedynie jej pokojówką. Czeszę ją i dbam o jej stroje. Przynoszę, co mi każe. Pani ze mną nie rozmawia, jedynie wydaje polecenia i krzyczy, gdy jest niezadowolona. Niełatwo jej służyć, ale wolę już to niż usługiwanie w lupanarze wuja.

- Arwydd, jeżeli się okaże, że coś zataiłaś - wycedził Merin - to oddam cię moim mężczyznom, by się zabawili.

Arwydd padła na kolana przed siedzącym za stołem Merinem.

- Panie! Przysięgam, że nie wiem nic więcej, poza tym, co ci powiedziałam! Błagam, nie oddawaj mnie swoim ludziom!

- Panie - wtrącił półgłosem Sim. - Wierzę, że dziewczyna mówi prawdę. Lady Isleen zostawiła ją, bo byłaby dla niej ciężarem. Poza tym gdyby wzięła ją ze sobą, wcześniej odkryłybyś jej perfidny plan. A tak, zdążyła odjechać daleko, bo niewątpliwie to ona wzięła złoto.

- I zamordowała mojego posłańca - dopowiedział Merin ap Owen. - Isleen zawsze lubiła posługiwać się trucizną. Na ciele kuriera nie ma śladu po użyciu siły. Za to usta miał sine, a w kącikach drobinie zaschniętej piany. Jego koń zniknął i nigdzie w pobliżu go nie znaleziono. Zapewne odjechała na nim moja zdradziecka bogdanka. Dobrze to sobie zaplanowała, ale odnajdę ją i nie będę miał dla niej litości! Wstawaj, dziewczko! - warknął na Arwydd. - Wracaj do komnat swojej pani, bo muszę pomyśleć, co robić.

Arwydd zerwała się z podłogi i pędem wybiegła z izby, jakby gonił ją sam diabeł.

- Panie - odezwał się Sim. - Co z moją panią? W dobrej wierze zapłaciłem okup, którego żądałeś. To nie nasza wina, że złoto trafiło w niepowołane ręce.

Merin ap Owen spojrział znad stołu na młodego Anglika.

- Przez noc zastanowię się nad tym wszystkim. Możesz się

przespać w stajni, przy swoim koniu, Simie z Ashlinu. Wróć do izby godzinę po wschodzie słońca, a powiadomię cię o mojej decyzji. W żadnym wypadku nie wolno ci wrócić dziś do Ashlinu. Jadłeś co? Nie? Więc idź do kuchni, niech cię nakarmią. Na razie moi ludzie dadzą ci spokój, bo podobnie jak ja stałeś się ofiarą oszustwa.

Na Sima spłynęło uczucie ulgi. Ukłonił się i czym prędzej opuścił izbę. Merin ap Owen omal nie parsknął śmiechem, kiedy odprowadzał go wzrokiem. Chłopak wykazał odwagę, ale sposób, w jaki umykał z izby, świadczył o tym, że cała ta sytuacja napawała go przerażeniem. A jednak się nie zawahał, aby przyjechać do Gwynfr i prosić o uwolnienie swojej pani!

- Panie, jak zamierzasz postąpić? - zapytał Badan.

Merin zobaczył skierowane na siebie, zaciekawione spojrzenia swych ludzi.

- Jeszcze nie wiem - odpowiedział.

- Ale odszukasz tę dziwkę? - nie ustępował Badan.

- Tak, odszukam. A co do reszty, na razie nie wiem. Muszę się zastanowić, na wszelki wypadek rano bądźcie gotowi do drogi. - Merin wstał zza stołu i wyszedł z izby.

Elf siedziała przy kominku i cerowała jedną z jego tunik. Podniosła ku niemu swą piękną, poważną twarz.

- Co się stało? Panie, czy to nie dzisiaj miałam odzyskać wolność? Zapadła noc, a ja ciągle jestem w Gwynfr.

- Zamordowano mego kuriera i ukradziono złoto - oznajmił. - Muszę zdecydować, co robić.

Jej blade policzki zbieleły jeszcze bardziej.

- Jak do tego doszło, panie? - Elf odłożyła szycie i podniosła się z krzesła, stając przed nim.

Opowiedział jej wszystko, co ustalił na podstawie relacji Sima, wyznania Arwydd oraz własnych przypuszczeń. Ku jego zdumieniu Elf zalała się łzami, jej żaloszny szloch łamał mu serce. W geście pocieszenia objął ją ramieniem. Kiedy zaskoczona spojrzała mu w twarz, Merin ap Owen na ułamek sekundy stracił panowanie nad sobą. Nie mogąc się pohamować, złożył na jej ustach gorący, namiętny pocałunek.

Zdumiona, w pierwszej chwili nie wiedziała, co robić. Nikt, oprócz jej drogiego Ranulfa, tak jej nie całował. Instynktownie

rozchyliła wargi, lecz ochłonęła, gdy poczuła, jak Merin napiera na nią swym muskularnym ciałem. Jeszcze nie do końca przytomna, zbierała w sobie siłę woli, odpychając się obiema rękami od jego szerokiej piersi.

- Panie! - wyszeptwała, odwracając głowę. - Proszę cię! To, co robimy, jest niewłaściwe, dobrze o tym wiesz! - Odsunęła się od niego, stając w bezpiecznej odległości.

- Kiedy się domyśliłaś, że cię pragnę? - zapytał.

- Tamtego dnia, gdy zarzuciłeś mi na ramiona pelerynę z wilczego futra - odpowiedziała.

- Kocham cię, Eleanore - wyznał cicho.

- Wiem, Merinie. - Jej szare oczy napełniły się łzami.

- Ale ty nie odwzajemniasz mego uczucia. - Westchnął smutno. - Kochasz swojego Ranulfa. Czy on kocha cię tak, jak ja? Całkowicie, bezgranicznie i bezwarunkowo? Och! Nigdy nie sądziłem, że miłość może sprawiać tyle bólu!

- Tak, kocha mnie, a ja jego - odpowiedziała szczerze. - I jest jeszcze coś, o czym nie wiesz. Mamy syna, Merinie. Tęsknię za domem, za Ranulfem, ale najbardziej za moim dzieckiem. Skoro Ranulf zachował się w stosunku do ciebie uczciwie i zapłacił okup, czy możesz pozwolić mi jutro wrócić do domu? Niezależnie od twojej złej sławy, twych uczynków i tego, co mówią ludzie, ja osądzam cię na podstawie zachowania względem mnie. Odносиłeś się do mnie z szacunkiem i traktowałeś honorowo. I takim na zawsze cię zapamiętam, Merinie ap Owenie, kiedy wrócę do Ashlinu, do mego męża i synka.

- Mógłbym pozostać głuchy na twoje słowa i wziąć cię tutaj, w tej chwili! - krzyknął.

- Poznałam smak twego pocałunku i wiem, że uległabym namiętności, lecz kiedy nastałby świt, ogarnęłoby mnie dręczące poczucie winy, z którym musiałabym żyć do końca moich dni - wyznała mu Elf. - Mówi się, że kobiety są słabe, ale mają również poczucie godności. Plamiąc mój honor, splamisz również i swój. Nie pozwól, by żądza zniszczyła przyjaźń, jaka zawiązała się między nami. Nigdy dotąd cię takim nie widziałam i myślę, że więcej nie zobaczę. - Spojrzała mu w oczy błagalnie, lecz zarazem dumnie.

Mógł wziąć gwałtem tę drobną, kruchą istotę. Nie obroniłaby się. Zapewne nie narodziła się jeszcze kobieta, która

by dorównała mu siłą. Ale on kochał Eleanore! Jak człowiek może zbrukać i zniszczyć coś pięknego i niewinnego? Nie wątpił, że Isleen de Warenne nie miałaby skrupułów, jednak on, Merin ap Owen, w stosunku do Eleanore de Montfort nie potrafił się kierować niskimi pobudkami. Ujął jej dłonie, podniósł do ust i złożył na nich pocałunek

- Eleanore, widać moja miłość jest silniejsza od pożądania. Jutro zwrócę ci wolność, abyś mogła pojechać do swego szczęśliwego małżonka. I obiecuję ci, że póki żyję, Walijczycy nie będą niepokoić Ashlinu. - Uwolnił jej dłonie. - Idź spać, najdroższa, i nie obawiaj się. Tylko ty jedna poznałaś człowieka, jakim mógłbym się stać. Jutro po twoim wyjeździe rozpocznę polowanie na tę diabolicę. Przrzekam, że dopadnę ją i zabiję. Nigdy więcej cię nie skrzywdzi.

- Nie chcę mieć jej na sumieniu - powiedziała błagalnie. Uśmiechnął się.

- Jej śmierć nie obciąży twego sumienia, najdroższa. Dołączę ją do moich grzechów. A twój Bóg mi wybaczy, że uwolniłem świat z czarciego pomiotu - powiedział Merin ap Owen. - Za taki uczynek powinna czekać mnie nagroda.

19

- Pozwól mi zabrać Arwydd ze sobą - poprosiła Elf Merina ap Owena, kiedy rano po raz ostatni szykowała się do wyjścia z jego komnaty. - Wiesz, jaki los ją czeka, jeżeli zostanie w Gwynfr albo wróci do wuja.

- Chcesz ją pomimo tego, co uczyniła? - zdziwił się.

- Postąpiła tak, ażeby przeżyć - odparła Elf. - W gruncie rzeczy ma dobre serce. Nie potrafię zapomnieć, że ocaliła mego syna, tając przed Isleen jego istnienie.

- Jeśli zechce z tobą jechać, możesz ją wziąć - zgodził się. - Przyślę ją do ciebie. Potem zejdź do wielkiej izby, bym mógł cię oddać pod opiekę twego wiernego Sima z Ashlinu. Chcę, byście wyjechali z Gwynfr, zanim twój mąż spróbuje cię odbić i niepotrzebnie zginą ludzie. Nie wątpię, że Ranulf de Glanville jedzie na zamek. Bo ja bym tak zrobił, gdybyś była

moją żoną - uśmiechnął się do niej z goryczą, kierując się do wyjścia.

- Merinie! - zawołała za nim.

Natychmiast znalazł się przy niej. Wspięła się na palce i pocałowała go w oszpecony policzek.

- Gdybym to zrobiła w izbie, przy ludziach, wprawiłabym cię w zakłopotanie i naraziłabym na szwank swoją reputację - zaczęła. - Dziękuję ci. Myślę, że wbrew temu, co się o tobie mówi, w głębi serca jesteś dobrym człowiekiem. Pielęgnuj w sobie dobro ze względu na nieśmiertelność duszy. Będę się za ciebie modlić, Merinie ap Owenie - obiecała.

- Moje szanse na wybawienie od piekielnego ognia będą tak samo nikłe jak teraz - powiedział łagodnie. Uniósł dłoń Elf do ust, przez chwilę przytrzymując jej spojrzenie. - Mogłoby nam być wspaniale ze sobą, moja ty pani na Ashlinie - powiedział i wyszedł z komnaty.

Czuła, że płoną jej policzki. Czym prędzej otarła łzy toczące się po twarzy. Nie kochała go, a jednak świadomość, że on darzy ją miłością, nieznośnie jej ciążyła. Och, Ranulfie - pomyślała - potrzeba mi twych silnych ramion, by poczuć się pewnie!

- Pani....

Elf podniosła wzrok i zobaczyła, jak Arwydd z wahaniem staje w drzwiach. Skinęła na nią.

- Wierzę, że jesteś dobrą dziewczyną, chociaż z takim odaniem służyłaś swej występnej pani - powiedziała. - Arwydd, jesteś wolna i możesz decydować o sobie. Proponuję ci miejsce w moim domu, jeżeli chcesz jechać ze mną. Na początku nie będziesz miała łatwego życia. Dopuściłaś się zdrady w stosunku do mieszkańców Ashlinu. Nie pozwolą ci o tym zapomnieć, bo pamięć mają dobrą, a szczególnie moja Ida. Wstawię się za tobą, jeżeli przyrzekniesz, że odtąd będziesz lojalnie mi służyć. Moi ludzie powoli zapomną o twojej winie, bo z natury są dobrzy.

Arwydd padła na kolana i chwytając rąbek sukni Elf, z żarliwością go ucałowała.

- Pani! Och, pani! Ratuje mnie twoja dobroć! Z radością pojadę. Wszystko zniosę, bo wiele zła uczyniłam ludziom z Ashlinu. Na kolanach będę ich błagać o wybaczenie! Przysięgam

na Najświętszą Panienkę, że będą wiernie i uczciwie ci służyć do końca moich dni!

Elf podniosła dziewczynę z kłęczek.

- Więc ustalone - powiedziała spokojnie. - Chodź! Czas zejść do wielkiej izby. Pan zamku Gwynfr za chwilę zwróci mi wolność. Śpieszno mi jechać do domu.

Weszły do izby w trakcie śniadania. Elf usiadła za stołem. Kiedy służący postawił przed nią chleb, masło, jajka na twardo i ser, z apetytem zabrała się do jedzenia, gasząc pragnienie winem rozcieńczonym wodą. Przy jednej z ław dostrzegła Sima i z uśmiechem skinęła mu głową. Merin ap Owen podniósł się od stołu.

- Jak wszyscy wiecie, jestem człowiekiem honoru - przemówił. - Pan z ashlińskiego dworu dostarczył okup, którego zażądałem za jego żonę. To nie jego wina, że złoto ukradziono. Dalsze przetrzymywanie lady Eleanore jako zakładniczki byłoby czynem haniebnym. Dlatego oddaję ją pod opiekę jej poddanego, Sima z Ashlinu. Opuść Gwynfr w pokoju. A kiedy odjadą, my wyruszymy w pościg za diabolicą, która ukradła złoto. Idźcie przygotować się do drogi. Nie wiem, ile czasu nas nie będzie, bo nawet nie potrafię określić, w jakim kierunku udała się ta wywłoka, ale dopadniemy ją, kamraci! A wtedy... - zaśmiał się ponuro.

Jego śmiech przypawił Elf o dreszcz. Człowiek, którego poznała z zupełnie innej strony, wrócił do swej dawnej, przerażającej postaci. Bez słowa odeszła od stołu i skierowała się do Sima, który stał przy ławie, czekając na nią z niecierpliwością.

- Sim, wracamy do domu - powiedziała.

Bez słowa pokiwał głową.

Nie oglądając się za siebie, opuścili izbę i wyszli na dziedzińiec, gdzie Arwydd trzymała ich konie.

- Ona jedzie z nami? - z niedowierzaniem zapytał Sim.

- Simie, to dobra dziewczyna - powiedziała Elf tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Nie zostawię jej tutaj. Będzie mi służyć z oddaniem. Przekonasz się.

Sim pomyślał, że jego pani oszalała, ale nie miał prawa protestować. Ale kiedy jego pan zobaczy tę pokrętną dziewczkę, z miejsca ją przegoni. Sim podsadził obie kobiety na siodła, po czym dosiadł swego wierzchowca. Powoli zjechali po zboczu

wzgórza, na którym stał Gwynfr, i skierowali konie na wąski trakt wiodący ku granicy z Anglią.

Dzień był niezwykle piękny, słońce świeciło na błękitnym niebie, ciepłe powietrze pachniało wiosną. Elf nie pamiętała, kiedy ostatnio widziała słońce. Uznała to za dobry omen, choć nie dla Isleen de Warenne, którą Merin będzie tropił. Ciekawe, dokąd ona uciekła. Ach, mniejsza z tym! Jeżeli ujdzie z życiem przed Merinem ap Owenem, za jej podłość doścignie ją boska sprawiedliwość. Czym prędzej odsunęła od siebie wszelkie myśli o Isleen.

- Merin ap Owen mówił, że mój mąż może być gdzieś blisko. Myślisz, że miał rację? - spytała Sima.

- Tak, pani. Rzeczywiście. Dziwię się, że jeszcze go nie spotkaliśmy. Sądziłem, że rano stanie u bram Gwynfr, ale możliwe, że kiedy wieczorem nie znalazł mnie na skarpie, domyślił się, gdzie pojechałem, i zwleka, by zobaczyć, czy powrócę.

Ujechali kawałek drogi, gdy zza wzgórza wyłoniła się grupa jeźdźców. Elf wytężyła oczy. Po chwili z radosnym okrzykiem ścisnęła piętami boki klaczki i ruszyła galopem przed siebie. Sim natychmiast rozpoznał jeźdźców. Jego pan wysunął się przed kawalkadę i pędził na czele. Gdy obie grupy znalazły się naprzeciw siebie, konie zatrzymały się gwałtownie, ryjąc ziemię kopytami.

Ranulf de Glandeville w mgnieniu oka zeskoczył ze swego wierzchowca, pochwycił żonę w ramiona i zamknął ją w mocnym uścisku.

- Kocham cię! - namiętnie wyszeptał jej do ucha. - Kocham! - Przyłgnął łapczywie do jej ust, jakby za chwilę miał umrzeć z pragnienia.

Kiedy pozbawiona oddechu, wreszcie się od niego odewiała i spojrzała mu w oczy, jej twarz promieniała szczęściem.

- Dlaczego mi tego wcześniej nie powiedziałaś? Tak bardzo pragnęłam usłyszeć te słowa, bo sama kocham cię do szaleństwa.

- Ty mnie kochasz? - W jego oczach odmalowało się zdumienie.

- Tak, kocham, ty wielki głuptasie! Jak mogłabym nie pokochać mężczyzny, który odnosi się do mnie tak delikatnie i czule?

- Dlaczego nic nie mówiłaś?

- Bo myślałam, że ktoś taki mądry i światowy, jak ty, niechętnie słucho podobnych wyznań. Bałam się, że wprawię cię w zakłopotanie i będziesz patrzył na mnie jak na jakąś romantyczną głuptaskę. Zyskałam twój szacunek i zaufanie, nie chciałam tego zniszczyć, plotąc czułe słówka - wyznała Elf. - A dlaczego ty czekałeś aż do teraz?

- Nie sądziłem, że możesz darzyć miłością człowieka, który zabrał cię ze świata, który ukochałaś i w którym miałaś nadzieję na zawsze pozostać - powiedział szczerze. - Wiesz, Eleanore, myślę, że zakochałem się w tobie tamtego dnia, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem cię w dużej izbie w Ashlinie. Byłaś uprzejma i zapobiegliwa i z takim oddaniem walczyłaś o życie brata. Nigdy nie sądziłem, że będę miał prawdziwy dom i łagodną żonę, która będzie o mnie dbać i rodzić mi dzieci. A potem król dał mi ciebie w darze. Obawiałem się, że mi nie uwierzysz, kiedy otworzę przed tobą serce. Że wzbudzę jedynie twoją pogardę. Mogłaś przecież wziąć mnie za głupca, który za pomocą czułych wyznań chce szybciej przełamać twój opór. Bałem się utracić twą przyjaźń, *petite*. - Przesunął kostkami dłoni po jej policzku i ostrożnie starł z niego połyskującą łzę. - Nie płacz, maleńka. Znowu jesteśmy razem. Nigdy więcej nie narażę cię na niebezpieczeństwo. Jedź dalej do Ashlinu, a ja pojedę do Gwynfr i dopilnuję, by nie pozostał tam kamień na kamieniu. Merin ap Owen nie będzie napadał na okoliczne wioski ani tego roku, ani żadnego innego.

- Nie - powstrzymała go Elf, kładąc mu dłoń na ramieniu.

- Więc mam powód, by czuć się zazdrosny?

- Przejdźmy się, mężu, niech ci wszystko wyjaśnię - powiedziała. - Ranulfie, nie wiem, czy twoja zazdrość ma mi schlebiać, czy też powinnam się obrazić, że wątpisz w moją wierność. Chodź! - Wzięła go za rękę i odeszli razem na pole. Po drodze Elf wyjaśniła mu, że to Isleen de Warenne uknuła intrygę z porwaniem. - Nie zrozum mnie źle, mój mężu. Merin ap Owen zasłużył na złą sławę, ale mnie traktował z szacunkiem i kurtuazją. Chronił mnie przed Isleen, która tylko szukała okazji, żeby mnie skrzywdzić. Na swój sposób Merin ap Owen jest człowiekiem honoru. Isleen, przebrana za jego posłańca, odebrała okup od Sima i zniknęła. Dlatego nie uwol-

niono mnie wczoraj. Ranulfie, Sim zachował się bardzo dzielnie. O zmierzchu przyjechał do Gwynfr. Wtedy oszustwo wyszło na jaw. Jak widzisz, Merin ap Owen zwrócił mi wolność dziś rano. Nie jest do końca pozbawiony ludzkich uczuć i dał mi nawet słowo, że więcej nie napadnie na Ashlin.

- Wierzysz mu?

- Tak - odpowiedziała cicho Elf. - Musisz mi zaufać, Ranulfie. Cztery miesiące przebywałam w niewoli u Merina ap Owena. Nikt tak naprawdę nie zna go do końca, może z wyjątkiem jego długoletniego służącego Gwylla, który nade mną czuwał. Potrafi być dobry, Ranulfie. Przez te wszystkie miesiące spałam w alkierzu sąsiadującym z jego sypialnią, ponieważ bał się, że Isleen może mi coś zrobić, jeśli tylko znajdzie ku temu sposobność. Oprócz Gwylla nikt nie miał prawa wstępu do jego prywatnych komnat. Byłam tam bezpieczna. Merin ani razu nie przekroczył granicy dobrych obyczajów. Jeśli o te sprawy chodzi, czułam się tam równie bezpiecznie jak w klasztorze St. Friedeswide.

Opowieść Elf wzbudziła niepokój Ranulfa, jednak wiedział, że jego żona by go nie okłamała. Po prostu kłamstwo nie leżało w naturze Elf.

- Co ty robiłaś całymi dniami? - zapytał, wiedziony ciekawością.

- Razem z Gwylllem odszukaliśmy stare krosna. Ustawiliśmy je przy kominku i dla zabicia czasu tktałam kilim. Zanim nadeszła zima, zbierałam najróżniejsze korzenie i rośliny, żeby sporządzić zapas maści i tynktur dla zamku. Nie mieli tam żadnych medykamentów. Wprowadziłam Gwylla w tajniki sztuki zielarskiej, żeby w przyszłości sam sobie radził.

Ranulf wybuchnął śmiechem. Nie potrafił się opanować. Oto cała jego żona ze swą nieskończoną dobrocią i miękkim sercem!

- Założę się, że cerowałaś ubrania Walińczykowi - powiedział, żeby się z nią podroczyć.

- A tak - przyznała i zawtórowała mu śmiechem. - Kochanie, w zamku Gwynfr nie ma kobiet, nawet służące tam nie przychodzą, a Isleen na pewno nie było w głowie łatanie tunik tego biedaka. Nie mogłam pozwolić, by mój ciemniejszy chodził po zamku jak ostatni obdartus.

Ranulf zanosił się śmiechem.

- *Petite!* Uwielbiam cię z całej duszy. Jesteś naprawdę wyjątkowa, ty moja Eleanore!

- Ranulfie, lord Merin pojechał szukać Isleen. Podejrzewam, że niełatwo ją będzie odnaleźć, bo nie wiadomo, w jaką stronę się udała. Gwynfr jest na wpół zrujnowany. Nie trzeba go dalej niszczyć. Jeśli Merin w ogóle kiedyś tam wróci, znajdzie schronienie w tym, co zostało po jego siedlisku. Jedźmy do domu, do naszego synka. Myślę, że najwyższy czas podarować mu braciszka. - Elf uśmiechnęła się do męża.

Pokiwał głową na zgodę. Jak mógł odmówić jej prośbie? Naprawdę, nie potrafił. Za sprawą Merina ap Owena niemal został żebrakiem, ale odzyskał żonę.

Wrócili do koni i czekających na nich jeźdźców. Dopiero teraz pan Ashlinu spostrzegł Arwydd.

- Kto to? - zapytał.

- Ona ma na imię Arwydd... - zaczęła Elf.

- To ta dziewczka, która dopuściła się zdrady? - zapytał, marszcząc brwi.

- Ta sama - przyznała cicho Elf. - Zostanie moją służącą, mój panie, i nie chcę słyszeć ani słowa więcej. Arwydd popełniła fatalny błąd. Została zmuszona do spełnienia woli swej podłej pani. Już pokutuje za swój czyn. Ale też zrobiła nam obojgu ogromną przysługę. Wiedziała, że mamy syna. Zanim dojechaliśmy do Gwynfr, pomogła mi zasuszyć mleko, a potem ani słowem nie napomknęła o Simonie ani swej pani, ani Merinowi. Ranulfie, jak myślisz, co by się stało, gdyby Isleen dowiedziała się o jego istnieniu? Nic nie powstrzymałoby jej przed wykradzeniem dziecka z Ashlinu. Arwydd dzięki swemu milczeniu zapobiegła tragedii. Zasłużyła, żeby dać jej szansę. A ja będę się jej uważnie przyglądać. Ranulfie, Arwydd urodziła się wolna i ma dobre serce. W podzięce za wierność Isleen zostawiła ją na pastwę losu. Zapewniam cię, że dziewczyna będzie nam lojalnie służyć.

- Chyba niczego nie potrafię ci odmówić, moja żono - powiedział Ranulf.

Elf wspięła się na palce i lekko pocałowała go w usta.

- Dziękuję ci, mój panie - powiedziała, a on uniósł ją z ziemi i posadził w siodle.

- Jedziemy za Walińczykiem? - zapytał Sim, kiedy Ranulf dosiadł konia.

Kiedy Elf zszedła z siodła, staruszka z płaczem przycisnęła ją do płaskich piersi.

- Dzięki Bogu, Jego Błogosławionej Matce i wszystkim świętym w niebie, żeś wróciła do nas cała i zdrowa!

Elf usiłowała uspokoić swą nianię.

- Ido, ani przez chwilę nie zagrażało mi prawdziwe niebezpieczeństwo. Dobrze się ze mną obchodzono. Naprawdę! A teraz chcę zobaczyć mojego synka.

Ida wypuściła Elf z objęć i w tej samej chwili podskoczyła jak oparzona.

- A co ona tu robi?! - krzyknęła piskliwie i wskazując kościstym palcem na Arwydd, podeszła do pobladłej dziewczyny. - Co robi tu zdradziecka walijska dziewczka? Wróciłaś, żeby tym razem zniszczyć całą rodzinę?! Niech kto poda mi nóż! Zabiję ją, zanim uda jej się narobić szkód!

Elf stanęła pomiędzy Arwydd a rozjuszoną piastunką i powtórzyła to, co wcześniej wyjaśniła Simowi oraz Ranulfowi.

- Pani, masz zbyt miękkie serce - oznajmiła ponuro Ida. - Nie ufam tej Walijsce. Będą z nią kłopoty - przepowiedziała posępnym tonem.

- Nie będzie żadnych kłopotów - powiedziała z naciskiem Elf. - Czy wszyscy rozumiecie, co mówię? Ta dziewczyna uratowała dziedzica Ashlinu. I za to jestem jej dożgonnie wdzięczna. Jest pod moją ochroną. Jeżeli ktokolwiek skrzywdzi ją lub obrazi, będzie miał ze mną do czynienia. Pamiętajcie, że ja jestem tu panią!

Arwydd niespodziewanie uklękła przed Idą.

- Ido, proszę, wybacz mi to, co wam zrobiłam! - błagała, podnosząc na nią oczy pełne łez.

- Spryciara - wymruczała stara kobieta, piorunując ją wzrokiem. - Musisz zasłużyć na moje wybaczenie, ale nie będę podburzać innych przeciwko tobie. Przynajmniej tyle wymogłaś swoją prośbą.

Arwydd podniosła się z ziemi i pospieszyła za Elf, która zdążyła już wejść do dworu. Alyce wyszła pani naprzeciw ze swym podopiecznym na rękach. Elf popłynęły łzy po policzkach, gdy wzięła synka w ramiona. Simon de Glandeville miał płomiennozłote włosy, zupełnie jak ona, lecz patrzył na nią piwnymi oczyma swojego ojca. Elf jęła go obsypywać

pocałunkami, a chłopczyk bronił się przed nią, wrywał się z jej objąć i wyciągał rączki do Alyce.

- Och, Simonie! - zaśmiała się Elf. - Musisz wybaczyć swojej mamie! Tak za tobą tęskniłam i tyle rzeczy mi umknęło. Ale podobno nie będziesz pamiętać, że mnie przy tobie nie było, i szybko na nowo przywykniesz do swojej mamusi. - Elf pocałowała chłopczyka w czubek główki i podała Alyce. - Jestem ci wdzięczna - powiedziała do młodej służącej, która tak wiernie opiekowała się jej dzieckiem.

- Pani, Maria została jego mamką. Do dzisiaj go karmi - wyjaśniła Alyce, czerwieniąc się pod wpływem pochwały swej pani.

- Powiedz jej, by dalej to robiła, bo ja straciłam pokarm - odpowiedziała Elf.

- Moja pani! Witaj w domu!

- Cedric! - roześmiana Elf wyciągnęła ręce do swego ochmistrza.

Ujął jej dłonie i na chwilę przycisnął do serca, a potem odsunął się, by ustąpić miejsca rządcy Johnowi i Fulkowi. Obaj przywitali ją uszczęśliwieni, a ona podziękowała im za czuwanie nad Ashlinem pod jej nieobecność.

- Sim był bardzo dzielny i dobrze sobie radził w niebezpieczeństwie - zwróciła się do Fulka. - Możesz być dumny ze swego krewniaka. Fulk, obiecuję, że następnym razem posłucham twojej rady.

Oczy Fulka zaszczyły mgłą.

- Dziękuję, pani - powiedział, wdzięczny, że nie wini go za porwanie.

- Po wieczerzy chcę się wykapać - oznajmiła Elf, kiedy zasiedli do stołu.

Podano posiłek, Elf pochłaniała potrawy, a szczególnie pieczone mięso i jarzyny, które nie dość, że rzadko podawane w Gwynfr, zazwyczaj bywały rozgotowane lub zbyt długo duszone przez tamtejszego kucharza. Na stole znalazł się nawet słodki pudding z rodzynkami i suszonymi jabłkami, doprawiony cynamonem. Elf wyskrobała drewnianą miskę do czysta, a na koniec z westchnieniem wysączyła ostatnie kropelki słodkiego wina.

- Widać kuchnia w zamku Walijczyka pozostawia wiele do

życzenia - zauważył Ranulf. - Masz ochotę dokończyć mój deser?

Elf bez słowa zamierała się z nim na miski i z psotnym uśmiechem wyjadła resztkę puddingu.

- Brakowało mi słodczy - powiedziała.

- Mnie też - odparł z błyskiem w oczach.

Elf zachichotała.

Ten jej śmiech brzmi cudownie - pomyślał Ranulf.

- *Petite*, idź wziąć kąpiel - poprosił.

- Ranulfie, mój drogi mężu, wykąpmy się razem - zaproponowała, patrząc na niego z czułością. - Oboje byliśmy w drodze przez kilka długich dni i... nocy. Kąpiel pomoże nam się odprężyć. - Uniosła się z krzesła, a w drodze do alkowy odwróciła się jeszcze, by posłać mu zalotne spojrzenie.

Zapomniane od wielu miesięcy doznanie wstrząsnęło jego potężnym ciałem. Wzbierało w nim napięcie. Miał erekcję. Sącył powoli wino, ze wszystkich sił starając się zapanować nad zmysłami. Czekał na tę noc tak długo. Nie zepsuje jej przez niepotrzebną niecierpliwość. Willa i Arwydd, chichocząc, wyszły z alkowy. W przeszłości zdążyły się zaprzyjaźnić, więc teraz, kiedy Elf na nowo obdarzyła Arwydd zaufaniem, Willa nie zamierzała się na nią bocyć.

- Panie, lady Eleanore mówi, że masz do niej przyjść - powiedziała Willa.

- A nam przykazała wrócić do alkowy dopiero rano - dała Arwydd.

Ranulf odpowiedział konspiracyjnym uśmiechem, czym wzbudził kolejną falę chichotu, po czym przeszedł do alkowy, zamykając za sobą drzwi na zasuwę. Elf czekała na niego naga, jak ją Pan Bóg stworzył. Na moment zacisnął powieki, by stłumić wzbierające w nim podniecenie.

- Mój panie, pozwól, pomogę ci zdjąć ubranie, abyśmy mogli wejść do kąpeli - powiedziała zdławionym głosem. - Woda jest ciepła i pachnie kwiatami. - Poprowadziła go do stołka. - Siądź, proszę, ściagnę ci buty.

Usiadł posłusznie, zaskoczony jej brakiem skrępowania. Gdzie podziała się jego niewinna Eleanore? Czy możliwe, że Merin ap Owen... Czym prędzej odsunął od siebie to podejrzenie. Nie wątpił, że żona pozostała mu wierna. Gdyby było inaczej, zabiłaby się albo wyznała mu wszystko i błagała

o wybaczenie. Właściwie, dlaczego on się martwi, że jest tak rozkosznie bezwstydną? Czyż to nie przyjemne? Pieścił wzrokiem jej drobne, kształtne pośladki, gdy nachyliła się, by zzuć mu buty.

- Wstań teraz, mój panie - poleciła. Ściągnęła mu rajtuzy i wsuwając ręce pod tunikę i koszulę, głaskała go po gołych plecach i pośladkach. Pieszczotliwie masowała łydki, rolując rajtuzy do kostek. - Podnieś nogę - wskazała palcem jego lewą stopę. - Teraz drugą. - Kucając przed nim, zwinęła rajtuzy i odłożyła je na stołek.

Kiedy się podniosła, z zalotnym uśmiechem popatrzyła mu w twarz i rozebrała go z kaftana i dwóch tunik. Ranulf został w samej koszuli. Wzwiedziony członek wypychał cienkie płótno. Elf, zmysłowo oblizując wargi, rozwiązała troczki przy szyi i powoli rozciągając brzegi materiału, gładziła męża po piersi i zsuwała koszulę z ramion, aż opadła na podłogę.

- Teraz, mój panie, jesteśmy sobie równi - powiedziała. Pochylona, wilgotnym językiem smakowała skórę na jego piersi, drażniła brodawki, doprowadzając go do szaleństwa.

Przyciągnął ją do siebie i otoczył ramionami.

- Gdzie się podziało niewiniątko, które poślubiłem? - zapytał, muskając wargami jej usta.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, przytulił ją mocno i żarliwie pocałował.

Tyle czasu - pomyślała, półprzytomna z rozkoszy - za długo! Przyłgnęła do niego. Oszałamiało ją ciepło bijące z jego ciała. Wezbrany członek uwierał ją w podbrzusze, a uda Ranulfa były twarde jak skała. Elf rozchyliła wargi. Język Ranulfa bawił się jej językiem, przygotowując ją o dreszcz oczekiwania. Z trudem oderwała się od jego ust.

- Najdroższy, kapiel nie ostudzi naszych zmysłów, lecz woda ostygnie, jeśli zaraz do niej nie wejdziemy - powiedziała, patrząc w jego rozpalone piwne oczy.

Puścił ją i wszedł po stopniach do wysokiego, dębowego cebrzyka, który ustawiono dla nich przy kominku. Podał jej rękę i pomógł zanurzyć się w wodzie. Elf sięgnęła po morską gąbkę, nasaczyła ją płynnym mydłem i namydliła mu plecy, pierś, ramiona i barki. Kawałkiem miękkiego płótna przetarła mu twarz i małżowiny uszu. Potem umyła gąbką resztę, ukrytą pod wodą. Ranulf, zaciskając zęby, poddawał się tym

rozkosznym zabiegom. Na koniec zanurkował, jak kazała, aby opłukać się z mydła. Teraz przyszła kolej na niego. Wziął od niej gąbkę, namydlił ją i mył plecy i barki Elf, ochlapując jej jedwabistą skórę garściami wody. Kiedy skończył, odłożył gąbkę na brzeg cebrzyka, objął Elf ramieniem i przysunął się do niej. Delikatnie całował jej szyję, skubiąc ustami poskręcane pasemka włosów, zbyt krótkich, by dały się upiąć.

- Delicje! - wymruczał jej w kark, po czym uszczypnął wargami w szyję, śmiejąc się cicho, kiedy Elf z piskiem przylgnęła do niego plecami.

- Wiedźma - wymruczał, biorąc gąbkę w wolną rękę. Najpierw masował nią jedną pierś, potem drugą, obserwując, jak małe sutki unoszą się i twardnieją. Zanurzył dłoń pod wodę i zamknął ją na wzgórku Wenery.

Elf westchnęła z rozkoszy. Ta kąpiel mogłaby trwać całe wieki. Niepodziewanie Ranulf przechylił ją lekko i przyparł do ściany cebrzyka, rozsuwając jej uda. Czuła, jak szuka wejścia, jak w nią wnika.

- Och, Ranulf! - wymruczała gardłowo.

- Nie mogłem się powstrzymać ani chwili dłużej - szepnął jej do ucha. - Obiecuję, że to nie koniec na dzisiaj.

Elf instynktownie poddała się jego rytmowi. Z rozkoszy wiorowało jej w głowie. Ranulf przytrzymywał ją za biodra i napierając coraz mocniej, wypełniał ją, wilgotną i rozpaloną. Czuła, jak w niej nabrzmiewa, jak potęguje się jego napięcie. Wydała z siebie urywane westchnienie. Miała wrażenie, że lada chwila umrze z pragnienia.

Wstrząsnęła nimi eksplozja miłosnej kulminacji, wydzierając z gardeł krzyk. Ranulf osunął się na nią i ugniatał jej piersi, pieścił sutki, pripraviając ją o fale spazmów. Kiedy doszedł do siebie, obrócił ją i wpił się wargami w jej usta w łapczym, zawziętym pocałunku.

- To dopiero początek, *petite*, jeszcze nie mam cię dość - powiedział ochrypłym, niskim szeptem. Obejmując dłońmi jej pośladki, przycisnął ją do siebie, znowu spragniony i gotowy.

- Nie przypuszczałam, że mężczyzna może być taki nienasycony - zdziwiła się, zarzucając mu ramiona na szyję. Ale kiedy prowadził ją ku spełnieniu, odkryła, że ona także nie ma dość.

- Minał prawie rok, odkąd trzymałem cię w ramionach - przypomniał jej. - I pozostałem ci wierny. Na dworze królowej Alienor sporo pięknych kobiet z ochotą ogrzałoby mnie w łożu, lecz nie schodziłaś mi z myśli, *petite*. Jesteś moim skarbem, moją jedyną miłością. - Patrzył na nią z powagą, gdy czynił to wyznanie. Pierwszy raz zauważyła drobne zmarszczki w kącikach jego oczu. - Eleanore, moja misja dla króla nie doszła do skutku. Nie mamy co liczyć, że Henryk Plantagenet z wdzięczności da nam zgodę na budowę zamku w Ashlinie. Musimy się zadowolić tym, co mamy. Jesteśmy skromnym dworem, w dodatku zubożonym przez Merina ap Owena.

- Damy sobie radę. Czy mi się wydawało, że w zagrodzie przy stodole widziałam owce z jagniętami?

- Nie pomyliłaś się - odpowiedział z lekkim uśmiechem. - Później o tym porozmawiamy, najdroższa. Nadal płonę z pożądania. Chcę wziąć cię do łoża i zanurzyć się w twym słodkim ciele.

Wytarli się nawzajem do sucha, rzucili wilgotne płótno na kamienną posadzkę alkowy i przeszli do alkierza. Zanim zdążył pomóc jej wejść do łoża, przyklekła i pieściła go tak, jak to robiła raz kiedyś, przed ich rozstaniem, muskając i drażniąc go językiem, dopóki jej nie powstrzymał i nie podniósł na łożo, układając ostrożnie na jego brzegu.

- Chcę ci sprawić taką samą przyjemność - powiedział i delikatnie ją otwierając, zanurzył głowę między jej uda.

Najintymniejsza inwazja jego języka wyrwała z gardła Elf spazmatyczny, urywany oddech. Powolnymi pociągnięciami wnikał głęboko, kosztował jej smak. Krzyknęła z rozkoszy, czując, jak klejnot jej kobiecości twardnieje i rośnie pod pieszczotą jego języka.

Kiedy ją zaspokoił, podciągnął się wyżej na łożo i ułożył obok niej.

- Od dawna pragnąłem cię tam pieścić - wyznał, całując ją w usta. Nakrył dłonią wzgórek w spojeniu jej ud. - Jesteś taka gorąca i pobudzona. Najdroższa, czy kiedykolwiek się tobą nasyce? - Pochylił się nad jej piersią i ssał ją łapczywie.

Jęknęła cicho, prężąc się, kiedy przebiegł ją dreszcz. On ją zabije tym rozmyślnym zwlekaniem! Czy naprawdę można umrzeć z miłości?

- Ranulf, chcę cię - prosiła urywanym szeptem, gdy jego dłoń masowała jej pierś. - Płonę z pragnienia.

Wszedł w nią powoli, z głośnym westchnieniem. Jest cudowną kochanką - pomyślał, czując, jak go zamyka i więzi.

Poruszał się z powściąganą gwałtownością. Elf owinęła go nogami w pasie i przyciągnęła do siebie. Intuicyjnie zacisnęła mięśnie. Z jego westchnienia odgadła, że sprawiła mu przyjemność, więc zacisnęła je jeszcze raz i jeszcze, aż zaczęła błagać, by przestała, bo teraz on chce zadbać o jej radość. Poddała się poczuciu oszołomienia, jakie wyzwałała w niej jego miłość, siła i ciepło bijące z jego ciała. Oszołomienie powoli ewoluowało w kierunku nieznanego dotąd błogostanu. Dysząc ciężko, przywarła do Ranulfa, pod zaciśniętymi powiekami wystrzeliły tysiące gwiazd...

- Ranulf! - wydarło się jej z gardła i odpłynęła w słodką ciemność, słysząc jak przez mgłę jego głos wołający jej imię.

Kiedy się ocknęła, zobaczyła, że leży w objęciach na jego piersi. Uśmiechnęła się uszczęśliwiona. Miała przeczucie, że tej nocy poczęli dziecko. Pragnęła dziecka, wielu dzieci. Nie martwiło jej, że Ashlin nie stanie się warownią. Była zadowolona z tego, co Bóg jej dał. Miała męża, którego kochała z wzajemnością, i zdrowego synka, a także Ashlin z soczystymi państwiskami i żyznymi polami oraz wiernych chłopów i oddanych wyzwolenców. Miała gwarancję Merina ap Owena, że na zawsze pozostawi ich w spokoju. Nawet o nieznanym królu Henryku Plantagenecie myślała z wdzięcznością, bo na nowo zaprowadził w Anglii porządek i prawo. I naturalnie były też zakonnice z St. Friedeswide, jej prawdziwa rodzina i najdroższe przyjaciółki. Musi pojechać do nich lada dzień i uspokoić je, że wyszła cało z opresji.

- O czym myślisz? - zapytał Ranulf.

Drgnęła, wyrwana niespodziewanie z ciszy swych rozmyślań.

Oderwała głowę od jego ciepłej piersi, by spojrzeć mu w oczy.

- Myślę o tym, że się nam poszczęściło - powiedziała. - I o tym, że bardzo cię kocham, Ranulfie.

Radość opromieniła mu twarz, bo jej słowa zapadły mu głęboko w serce.

Otoczył ją szczelniej ramionami, obracając tak, by móc wi-

dzieć jej twarz. Podniósł do ust jej dłoń i z uśmiechem patrząc jej w oczy, po kolei całował opuszki palców.

- *Petite*, na początku te słowa nie chciały mi przejść przez usta, ale teraz już się ich nie lękam. Eleanore, kochałem cię wczoraj, kocham cię dziś i będę cię zawsze kochał.

Zapatrzyła się w jego piwne oczy, zamglone ze wzruszenia. Jak mogła kiedykolwiek wątpić w jego uczucie?

- Trzymam cię za słowo, mój mężu - powiedziała. - Pamiętaj: wczoraj, dziś i... zawsze!

Epilog
Londyn 1159

Dom na Trollops Lane, tuż za Aldersgate, należał do najświetniejszych, jakie dotąd wzniesiono w Londynie. W przeciwieństwie do większości kamienic i sklepów zbudowano go nie z drewna, lecz z kamienia, a dach pokryto łupkowymi dachówkami, co wielce zmniejszało ryzyko pożaru. Na tyłach domu znajdował się ogród, a powiadano, że do właścicielki posesji, damy lekkich obyczajów, znanej jako lady Strumpet, należały również pola graniczące z ogrodem.

Drzwi domu pilnowało dwóch Maurów, podobno eunuchów. Stali na warcie, ubrani w jaskrawe szarawary i błyszczące kamizelki, suto zdobione haftem i klejnotami. Do szerokich szarf ze złotogłowiu mieli przytroczone ostre tureckie bułaty.

Dom był urządzony wykwintnie, na orientalną modłę, z arabskim przepychem. W całej Anglii nie było drugiego takiego miejsca. Służące olśniewały urodą, a nie mniej od nich urodziwe kurtyzany z wielką ochotą oferowały swe posagowe kształty. Te piękne kobiety kosztowały znacznie więcej od zwykłych ladacznic. Dom na Trollops Lane był najlepszym lupanarem na-świecie, tak przynajmniej głosiła fama. Spełniano wszelkie zachcianki odwiedzających go dżentelmenów, wystarczyło jedynie wyrazić życzenie.

Dom miał trzy piętra. Na ostatnim całkiem wygodnie mieszkała służba. Pierwsze i drugie zajmowały przytulne komnaty, w których panie przyjmowały klientów, a parter służył do podejmowania i zabawiania gości. Pod domem znajdowała się głęboka, kamienna piwnica. Tam trzymano przed-

nie wina, a także urządzono pomieszczenia dla gości o dziwnych gustach i perwersyjnych skłonnościach. Kamienica była solidnie zbudowana, tak że odgłosy brutalnych orgii nigdy nie wydostawały się poza piwnicę.

Dom zapewniał niecodzienne i wyjątkowo śmiałe rozrywki. Lady Strumpet miała bujną wyobraźnię. Największym powodzeniem cieszyły się wieczory, które organizowano raz w miesiącu, a podczas których to klienci mogli zabawić się z dziewicą. Dziewczynę wprowadzano do bawialni i w pełni ubraną układano na stole. Zawsze korzystano z przebrania. Mógł to być kostium damy dworu, strój mieszczki, chłopki, Cyganki, a nawet habit zakonnicy. Zebrani panowie szczerze płacili za prawo do zdjęcia kolejnych części garderoby. Gdy dziewczyna została rozebrana do naga, rozpoczynała się ostra licytacja. Zwycięzca miał prawo spędzić całą noc ze swym trofeum, pod jednym wszakże warunkiem: musiał dokonać defloracji na stole, przy świadkach. W ten sposób wszyscy mogli się przekonać, że lady Strumpet nie oszukuje, obiecując nieknięty towar. Ofiary zazwyczaj poddawano działaniu środków odurzających, ale niektóre z nich i tak wyrwały się i krzyczały, co nawet dodawało pikanterii całej zabawie.

Chodziły słuchy, że sam król Henryk, którego skłonność do cielesnych uciech była powszechnie znana, zagląda do domu na Trollops Lane, kiedy bawi w Londynie. Królowa, choć piękna i podobno nie mniej namiętna od swego męża, była zajęta rodzeniem sukcesorów dla rozległego imperium. Alienor Akwitańska przyjechała do Anglii z pierworodnym synem księciem Williamem i z drugim dzieckiem w łonie. Mały książę zmarł, lecz królowa zdążyła wydać na świat trzech kolejnych królewiczów: Henryka, Richarda i Geoffreya, a także księżniczkę Matildę. Jeżeli Alienor słyszała cokolwiek o domu na Trollops Lane, to dobre maniere, a także pewność swego miejsca w sercu męża, sprawiały, że nigdy o nim nie wspominała.

Do świtu pozostały dwie godziny. W domu panowała cisza. Część klientów, syta rozrywki, opuściła gościnne progi, inni zdecydowali się pozostać na noc. Lady Strumpet zamknęła się na klucz w swym prywatnym apartamencie i przeliczała dochód. Ubrała się dziś w półprzezroczystą, zwiewną szatę, bo noc była ciepła, a jej ciało nie straciło nic ze swego

powabu. Bawiła się świetnie, witając gości w takim prowokującym stroju. Wielu z nich czyniło jej propozycje, ale to ona wybierała sobie kochanków. A rzucała ich, gdy zaczynali wierzyć w jej uczucie i stawali się zbyt pewni siebie. Nie życzyła sobie, by kiedykolwiek jakiś mężczyzna przejął władzę nad jej życiem.

- Jesteś ponętna jak zawsze, moja piękna ladacznico. - Błogą ciszę przerwał dobrze znany głos zdecydowanie niemile widzianego gościa.

Isleen odwróciła się powoli, pozorując zaskoczenie.

- Ktoś ty? - zapytała, udając, że nigdy przedtem nie widziała intruza.

Merin ap Owen wybuchnął śmiechem.

- Nie próbuj mnie zwodzić. Przyszedłem po swoje pieniądze. Bardzo dobrze zainwestowałeś złoto, najdroższa. Zdaje się, było tego dwa worki? Wezmę od ciebie trzy, bo pożyczając, nie sądziłaś chyba, iż nie zażądam procentu?

- Nie wiem, o czym mówisz - oznajmiła wyniośle Isleen, nadal udając, że nie rozumie, jaki jest cel wizyty tego gościa ubranego od stóp do głów na czarno.

W ułamku sekundy dłoń w rękawicy schwyła ją za szyję.

- Chcę złota, które mi ukradłaś, moja piękna ladacznico!

Palce zacisnęły się na krtani na tyle mocno, by sprawić ból, ale nie wyrządzić krzywdy.

- Pięć lat cię tropiłem, Isleen. Jesteś najbardziej przebiegłym stworzeniem, jakie nosiła ziemia, ale gra jest skończona. Oddaj mi złoto! - Cofnął rękę, by mogła mówić.

Isleen de Warenne, czy, jak kto woli, lady Strumpet, rozcierała obolałe miejsce, patrząc na niego z wściekłością. Była sama. Strażnicy spali na trzecim piętrze. Jej komnata, podobnie jak pozostałe pokoje, praktycznie nie przepuszczała żadnych dźwięków.

- Mój panie, kiedy cię opuściłam - zaczęła cynicznym tonem - zostawiłam ci coś znacznie cenniejszego od złota. Coś, czego rozpaczliwie pragnąłeś, ale nie miałeś odwagi wziąć. Dałam ci Eleanore de Montfort. Czy płakała i krzyczała wniebogłoso, kiedy ją gwałciłeś? Zaznałeś z nią rozkoszy? A może rozczarowała cię, zanim ją zabiłeś? - Isleen uśmiechnęła się jadowicie.

Teraz patrzył na nią z niesmakiem. Postarzała się; od czasu, kiedy była jego kochanką, jej uroda nieco przygasła.

- Nie zgwałciłem Eleanore de Montfort - oświadczył jej z uśmiechem. - Myślisz, że byłem na tyle głupi, by nie widzieć, że chciałaś ze mnie uczynić narzędzie zemsty? Zwróciłem Eleanore mężowi taką samą, jak w dniu, kiedy porwałem ją z Ashlinu. To nie jej wina, że zamordowałaś mojego posłańca i podszyłaś się pod niego. A teraz dawaj złoto i pójść sobie. Więcej nigdy mnie nie zobaczysz.

- Nic ci nie dam! - warknęła. - Jestem wpływową kobietą! Najwięksi panowie przychodzą zabawić się w moim domu. Sam król zaszczycił me łóżce. Zwrócę się do niego o pomoc. Udzieli mi jej. Powiedział, że nie zna kobiety podobnej do mnie - zakończyła z dumą, patrząc wyzywająco na Merina. - A ty jesteś zwykłym bandytą, szumowiną.

- To prawda, Isleen, ale mam swój honor, ty natomiast jesteś złodziejką i znajduję tacy, co to potwierdzą. Król jest sprawiedliwym władcą. Kiedy usłyszysz całą historię, wtrąci cię do więzienia. Tamtej nocy, gdy Sim z Ashlinu przybył do Gwynfr i dowiedział się, że jego pani nie została uwolniona, razem doszliśmy, co się stało. W tych okolicznościach nie mogłem dłużej przetrzymać Eleanore de Montfort. Od tamtej pory cię poszukuję. Moi ludzie opuścili mnie dwa lata temu i wrócili do Gwynfr, przekonani, że nie żyjesz albo że uciekłaś do Normandii. Ale ja się uparłem, bo w to nie wierzyłem. W końcu cię odnalazłem i chcę odzyskać, co moje. Albo oddasz mi złoto dobrowolnie, albo wezmę je siłą.

- Ty romantyczny walijski durniu! - syknęła Isleen, słysząc jedynie, że Merin ap Owen uwolnił Eleanore de Montfort. A przecież miała nadzieję, że jej przeciwniczka od dawna jest martwa. - Postawiłeś Eleanore de Montfort na piedestale. I niby dlaczego? Ona nie różni się od innych kobiet, mój panie, a wszystkie kobiety są z natury dziwkami. Nawet ta twoja droga lady Eleanore!

Uderzył ją otwartą dłonią. Cios był tak silny, że usłyszał trzask łamiącego się kręgosłupa i dojrzał śmiertelne zdziwienie w jej niebieskich oczach. Isleen bezwładnie osunęła się na podłogę.

Nachylił się nad nią i sprawdził puls. Isleen de Warenne nie żyła. Wzruszył ramionami i przestąpił ciało, kierując się

do kominka. Policzył kamienie, zaczynając od środkowego w szczycie gzymsu, i wyjął ruchomy, ciężki blok. Ponieważ chciał mieć gwarancję, że nic nie zakłóci jego wizyty, przez kilka nocy obserwował Isleen, aby poznać jej zwyczaje. Każdej nocy podglądał przez okno, jak otwiera skrytkę i chowa w niej złoto zarobione na nierządzie.

Sięgnął głęboko i wyciągnął ze skrytki sześć woreczków z monetami. Prawdopodobnie Isleen zdeponowała większość zasobów u złotnika, bo to, co znalazł, musiało być dochodem z ostatnich kilku nocy. Natrafił też na kilka sztuk kunsztownej biżuterii. Wrzucił precjoza do kieszeni. Isleen już ich nie będzie potrzebować. Dokładnie umocował kamień w otworze i pozbierał woreczki. Potem zdmuchnął świece, pogasił lampy i zbliżył się do tego samego okna, przez które wszedł. Rozchylił okiennice i przerzucił nogi na zewnątrz. Zanim zamknął okiennice, po raz ostami obejrzał się na ciało.

- Żegnaj, moja piękna ladacznico - powiedział szeptem i bardzo zadowolony z siebie, zniknął w ciemnościach.

Dotrzymał obietnicy danej Eleanore de Montfort. Isleen de Warenne nigdy więcej nie będzie jej niepokoić. Jego piękna ladacznica była już w piekle i będzie tam czekać na niego, lecz kto wie, czy on do niej dołączy. Bo czyż Eleanore de Montfort nie mówiła mu, że może uniknąć piekielnych ogni, jeśli odpokutuje za popełnione grzechy? Czy nie wierzyła, że nie jest do końca zły? Pięć lat spędzonych w drodze nauczyło go, że samotność i niegodziwość to źli towarzysze. Nie wiedział, czy naprawdę potrafi być dobry, ale skoro wypełnił swą misję, mógł przynajmniej spróbować. Dosiadł konia, ulokował łup w sakwach i ruszył starą Watling Street. W ciągu następnych kilku dni zatrzymywał się po drodze sześć razy, aby położyć po mieszkach złota na ołtarzach przypadkowo wybranych kościołów. Biżuterię zostawił na koniec i też ją podrzucił w kościele.

Potem przez kilka dni jechał na północny zachód i w końcu znalazł się w Shrewsbury. Sprzedał w mieście konia wraz z uprzężą, czaprakiem i siodłem, a uzyskaną skromną sumę schował do kieszeni, przeznaczając ją na swój ostatni dar. Przeszedł przez miasto, kierując się do celu swej podróży. Gdy zapukał do bramy i uchyliły się wrota, jego oczom ukazał się mnich w brunatnym habitcie.

- Bracie, pragnę poświęcić resztę życia Bogu - odezwał się Merin ap Owen. - Ale nie wiem, czy Bóg nie odwróci się od tak wielkiego grzesznika jak ja. Rabowałem, mordowałem i gwałciłem. Jestem najgorszy z najgorszych, jednak nie poniosłem kary za me niegodziwości. Teraz chcę za nie odpokutować, jeżeli mnie do siebie przyjmiecie. Nazywam się Merin ap Owen.

- Bóg zawsze z radością patrzy na skruszonych grzeszników, Merinie ap Owenie. Wchodźże do środka! - Mnich skinął na niego z pogodną miną. - Mamy tu więcej takich jak ty. Nie ty jeden obraziłeś naszego Pana. Jestem pewien, że On czeka na ciebie. - Mnich z uśmiechem przepuścił pokutnika przez bramę klasztoru.

Ni stąd, ni zowąd Merinowi przeszło przez myśl, że lady Eleanore byłaby zaskoczona. Ale czy na pewno? Pielęgnuj w sobie dobro ze względu na nieśmiertelność duszy - powiedziała mu. No cóż, spróbuje. Z uśmiechem na twarzy Merin ap Owen podążył za mnichem do klasztoru na spotkanie ze swym nowym życiem.